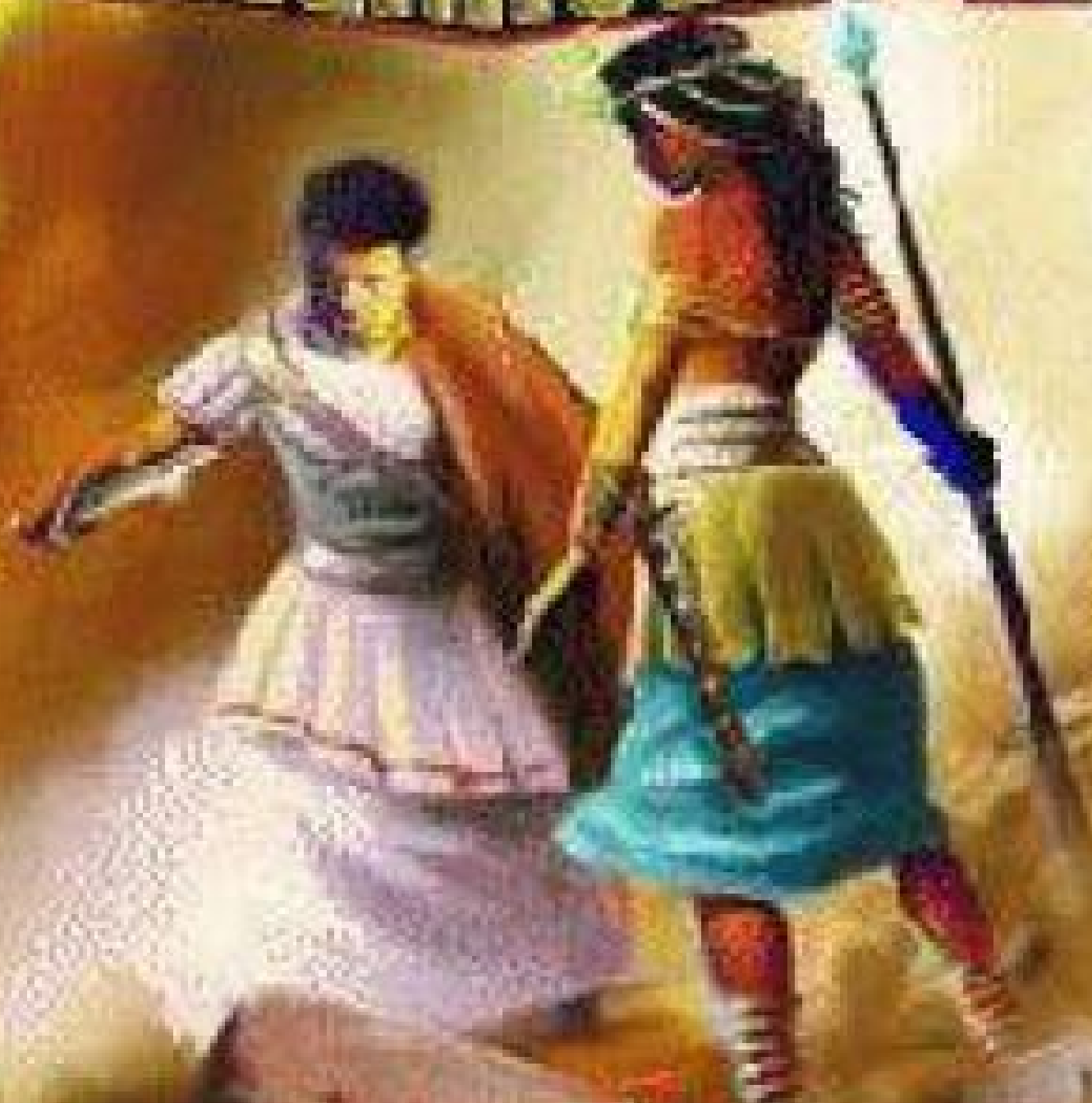


ERIC FLINT

TARCZA  
PRZEZNACZENIA



DAVID DRAKE

**Eric Flint**

**David Drake**

**TARCZA PRZEZNACZENIA**

*Destiny's Schield*

**Tłumaczenie: Justyna Niderla-Bielińska**

**GTW**

**DONALDOWI**

# Prolog

To było pierwsze publiczne wystąpienie cesarza, odkąd został ogłoszony nowym władcą Rzymu. Był bardzo zdenerwowany. Na dworze miał się pojawić ambasador Persji.

- On będzie dla mnie niemiły, mamó - jęknął cesarz.

- Cicho, cicho - szepnęła regentka. - I nie nazywaj mnie mamą. To nie wypada.

Cesarz wpatrywał się w wysoką, imponującą sylwetkę swojej nowej mamy, która siedziała tuż obok niego na własnym tronie. Kiedy napotkał jej zimne, czarne oczy, gwałtownie odwrócił głowę.

Jego nowa mama także budziła w nim niepokój. Nawet jeżeli stara mama powiedziała mu, że nowa jest jej dobrą przyjaciółką, cesarz i tak nie dał się zwieść. Regentka Teodora nie należała do miłych koleżanek, które zaprasza się na popołudniowe herbatki.

Regentka pochyliła się nad nim.

- Dlaczego myślisz, że ambasador będzie dla ciebie niemiły? - spytała szeptem.

Cesarz zmarszczył brwi.

- No bo... ponieważ tata tak strasznie stłukł tych Persów. To znaczy: mój stary tata - dodał po chwili, jakby coś sobie przypomniał.

Cesarz rzucił na swego nowego ojca spojrzenie pełne tajonego poczucia winy. Mężczyzna stał niedaleko, po jego prawej stronie. Spojrzał w puste oczodoły i natychmiast odwrócił wzrok. Bardzo szybko. Nawet jego prawdziwa matka nie próbowała mu tłumaczyć, że Justynian to „miły człowiek”.

- I nie nazywaj cesarskiego doradcy wojskowego tatą - znów wyszeptała Teodora. - To nie uchodzi, nawet jeżeli jest on twoim ojczymem.

Cesarz pochylił się na tronie i przybrał jeszcze żałośniejszy wygląd.

*To wszystko jest takie zagmatwane. Nikt nie powinien mieć tatusiów i mamus w takiej ilości.*

Zaczął odwracać głowę w nadziei, że podchwyci uspokajające spojrzenie swoich prawdziwych rodziców. Wiedział, że stoją gdzieś w pobliżu, pomiędzy innymi notablami rzymskiego dworu. Ale regentka znów przywołała go do porządku przenikliwym szeptem.

- Nie wierć się! To nie wypada.

Cesarz całą siłą woli zmuszał się do siedzenia nieruchomo. Denerwował się coraz bardziej i patrzył na perskiego ambasadora, który zbliżał się dostojnie, krocząc szerokim przejściem, prowadzącym do tronu.

Zobaczył, że perski ambasador się na niego gapi. Wszyscy się na niego gapili. Salę tronową wypełniali rzymscy notable; wszystkie oczy zwrócone były na cesarza. Pomyślał, że większość musiała być mu nieprzychylna, a przynajmniej tak wnioskował z sarkastycznych uwag, jakie robili przy nim rodzice. Wszyscy jego rodzice, cała czwórka. Paskudna natura cechująca ludzi z oficjalnego rzymskiego dworu stanowiła jeden z niewielu tematów, który nie stał się przedmiotem sporu pomiędzy rodzicami.

Ambasador podchodził coraz bliżej. Był to człowiek raczej wysoki i drobny w budowie. Miał cerę o ton ciemniejszą niż większość Greków, szczupłą twarz oraz wielki nos, przywodzący na myśl dziób orła. Jego podbródek porastała broda, przycięta na kształt trójkąta - wedle mody panującej wśród Persów.

Ambasador odziany był w szatę perskiego arystokraty. Przyprószone siwizną włosy przykrył tradycyjnym, zdobionym złotą nicią kapeluszem, nazywanym przez Persów *citaris*. Tunika, chociaż podobna do strojów Rzymian, miała długie rękawy, sięgające aż do nadgarstków. Spodnie także spływały aż do kostek i praktycznie skrywały uszyte z czerwonej skóry buty.

Kiedy cesarz dostrzegł jaskrawe noski butów Persa, poczuł nagłe ukłucie żalu. Jego dawny ojciec, prawdziwy ojciec, miał podobne buty. Nazywano je partyjskimi. Tata bardzo je lubił,

podobnie jak większość trackich katafraktów, którzy pozostawali pod jego rozkazami.

Ambasador podszedł już tak blisko, że cesarz mógł zobaczyć jego oczy. Mężczyzna patrzył na świat brązowymi tęczęwkami, zupełnie jak ojciec władcy (oczywiście jego dawny ojciec; obecny tata w ogóle nie miał oczu).

Ale cesarz nie widział nawet śladu ciepła, które zazwyczaj gościło w oczach jego dawnego ojca. Spojrzenie Persa było zimne jak lód. Cesarz podniósł wzrok. Wysoko w górze, na ścianach i suficie sali tronowej, pyszniły się ogromne mozaikowe postacie, patrzące na niego obojętnie. Wiedział, że to święci. Ludzie wybrani przez Boga. Ale ich oczy także były zimne. Cesarz podejrzewał, że oni również nie należeli do ludzi miłych, co nie poprawiło mu humoru. Ich surowe twarze przypominały mu nauczycieli. Skwaszonych, starych mężczyzn, których jedyną życiową przyjemność stanowiło wytykanie błędów.

Poczuł się tak, jakby pogrzebano go żywcem.

- Gorąco mi - jęknął.

- Oczywiście, że ci gorąco - rzekła cicho Teodora. - Masz na sobie królewskie szaty, a przecież jest ciepły kwietniowy dzień. Czego niby się spodziewałeś? Lepiej zacznij się przyzwyczajać - dodała oschle. - A teraz zachowuj się odpowiednio. Ambasador już tu jest.

Świta ambasadora zatrzymała się sześć metrów przed tronem. Pers wystąpił dwa kroki naprzód, pokłonił się nisko i przyklęknął na jedno kolano na grubym, luksusowym dywanie, położonym na zimnej, twardej posadzce sali tronowej specjalnie po to, aby mu to umożliwić.

Cesarz wiedział, że ten dywanik wyciągano z odpowiedniego magazynu tylko i wyłącznie na okoliczność przybycia wysłanników reprezentujących perskiego króla królów, szachinszacha. To był najlepszy dywanik, znajdujący się w posiadaniu Cesarstwa Rzymskiego, a przynajmniej tak słyszał.

Persja od zawsze była poważnym rywalem Cesarstwa Rzymskiego. Nie należało więc obrażać jej przedstawicieli. To nie mogło się opłacić.

Perski ambasador właśnie się podnosił. Ruszył w kierunku tronu. Mężczyzna wyciągnął rękę, w której trzymał zwój potwierdzający jego status na dworze rzymskim. Ambasador skrzywił się lekko, kiedy musiał unieść dłoń, i rzymski cesarz zaczął bać się jeszcze bardziej. Wiedział, że owo skrzywienie wywołał ból w zranionym ramieniu. Pers został poważnie ranny trzy lata temu.

To prawdziwy ojciec cesarza go zranił. Podczas sławnej bitwy pod Mindos.

*Na pewno będzie dla mnie nieuprzejmy.*

- Przynoszę pozdrowienia dla basileusa\* Rzymu od mojego pana, Chozroesa Anuszirwana, króla królów Iranu, a także okolicznych ziem.

Ambasador mówił bardzo głośno, więc wszyscy znajdujący się w wielkiej sali mogli go doskonale słyszeć. Jego głos był bardzo głęboki. Cesarz nigdy jeszcze nie słyszał kogoś mówiącego tak dźwięcznie, może z wyjątkiem kapłanów śpiewających w bazylice.

- Nazywam się Baresmanas - kontynuował ambasador. - Baresmanas z rodu Surenow.

Cesarz usłyszał, jak przez tłum zebrany w sali tronowej przebiegła fala szeptów. Zrozumiał, co oznacza ów niepokój, i przez chwilę poczuł dumę z tego powodu. Jego nauczyciele tygodniami bezlitośnie go zamęczali szczegółami historii i tradycji Persów. Cesarz nie zapomniał tych lekcji.

Oficjalnie Surenowie należeli do *sahrdaran*, czyli siedmiu największych szlacheckich rodów perskich. Nieoficjalnie uważano ich za ród najważniejszy spośród siedmiu. Sądono, że Rustam, legendarny bohater Ariów, perski odpowiednik Herkulesa, wywodził się właśnie z Surenow. Podobnie jak perski generał, który rozbił w puch rzymską armię Krassusa pod Harran.

Cesarz zdawał sobie sprawę, że szachinszach, wysyłając Surena jako ambasadora, chciał podkreślić swój szacunek dla Rzymu. Ale wiedza ta wcale nie zmniejszyła strachu.

Teraz to na pewno będzie dla mnie niemiły.

Surowa, wyniosła, arystokratyczna twarz perskiego ambasadora pękła nagle w nieoczekiwanym uśmiechu. Białe zęby błysnęły pośród gęstej, zadbanej brody.

- Z wielką przyjemnością stoję przed tobą, wasza wysokość - powiedział ambasador i skłonił się ku Teodorze. - I przed twoją matką, regentką Teodorą.

Cesarz wyciągnął rękę i wziął zwój. Kiedy rozwinął pergamin, z ulgą stwierdził, że dokument napisano po grecku. Umiał czytać, ale ciągle przychodziło mu to z trudem. A dokument był pełen długich i trudnych słów, których nawet nie rozpoznawał. Zaczął wpatrywać się w pergamin z wielką uwagą, dopóki nie usłyszał dyskretnego kaszlnięcia.

Cesarz kątem oka dostrzegł, jak regentka skłania nobliwie głowę. Przywołał z pamięci instrukcje, z pośpiechem zrolował pergamin i poszedł w jej ślady. Widząc, jak nowa matka nieznacznie marszczy brwi, poniewczasie przypomniał sobie resztę wytycznych.

- Witamy przedstawiciela naszego brata - pisnął - basileusa Pers...

Cesarz zastygł ze strachu, orientując się, jaką gafę popełnił.

Od wielu lat, zgodnie z obowiązującym protokołem, rzymski cesarz zawsze tytułował władcę Persji basileusem zamiast królem królów. Używając tego samego tytułu, jaki przysługiwał jemu, podkreślał specjalny status perskiego monarchy. Rzymianie nie zwracali się tak do żadnego innego władcy, może z wyjątkiem *negusa nagast* Etiopczyków, ale i to też przy niewielu okazjach.

Ale Persowie nigdy nie nazywali samych siebie Persami. Ten termin tyczył się mieszkańców perskiej prowincji Fars, zasiedlonej głównie przez Greków. Stamtąd wywodziła się stara dynastia Achemenidów. Persowie zwali swój kraj Iranem, ziemią, na której żyją Ariowie. I byli bardzo zasadniczy w tej sprawie, a szczególnie jeżeli chodziło o rozróżnienie pomiędzy Ariami a pośledniejszymi rasami. Szachinszach panował nad wieloma narodami, które nie miały nic wspólnego z Ariami i nie były formalnie uznane za część kraju Ariów. Nazywano ich po prostu nie-Ariami.

Cesarz zamarł ze strachu i dopiero lekki, zachęcający uśmiech na twarzy ambasadora przywrócił mu jasność myślenia.

- Basileusa Irańczyków i nie-Irańczyków - poprawił się szybko.

Uśmiech na twarzy wysłannika stał się szerszy. W jego brązowych oczach zamigotały przyjazne ogniki. Przez krótką chwilę, chwilę cudowną, przypominał rzymskiemu cesarzowi ojca. Jego prawdziwego ojca.

Spojrzał na okaleczoną twarz nowego ojca, byłego cesarza, Justyniana. Mężczyzna zwrócił ku niemu twarz bez wyrazu, tak jakby Justynian wciąż miał oczy i widział. Ta nieruchoma, twarda, pełna goryczy twarz.

To niesprawiedliwe, jęknął cesarz w głębi ducha. Chcę mojego ojca z powrotem. Mojego prawdziwego tatę.

Ambasador zaczął się wycofywać. Cesarz Rzymu miał właśnie odetchnąć z ulgą, kiedy kątem oka dostrzegł wyraz dezaprobaty na twarzy Teodory. Zesztywniał więc, pełen królewskiej godności.

W końcu może nie będzie dla mnie aż taki okropny.

Ambasador oddalił się już od tronu na kilka metrów. Ciągle wydawał się być uśmiechnięty.

*To niesprawiedliwe. Sasanidzi także są z Fars, dlaczego więc nie możemy nazywać ich Persami?*

Odetchnął wreszcie, ale bardzo ostrożnie. Poczuł, że regentka jest niezadowolona, lecz zignorował jej uczucia.

*Za wiele rzeczy do zapamiętania jak na jeden raz.*

Westchnął ponownie. Matka cesarza zasyczała, oburzona. Ponownie zignorował jej upomnienie.

*Jestem cesarzem. Mogę robić, co tylko chcę.*

To niestety nie była prawda i doskonale o tym wiedział.

*To niesprawiedliwe.*

*Mam tylko osiem lat.*

Ambasador oddalił się już na dziesięć metrów. Teodora wiedziała, że nie usłyszy ich z tej odległości, więc nachyliła się ku cesarzowi.

Chłopiec skulił się, przerażony nieuniknioną naganą.

*Co za niemila pani. Chcę, żeby wróciła moja stara mama.*

- Bardzo dobrze sobie poradziłeś, Focjuszu - nieoczekiwanie oznajmiła regentka. - Twoja matka będzie z ciebie dumna. Twoja prawdziwa matka - dodała z lekkim uśmiechem.

\* \* \*

- Jestem z ciebie dumna, Focjuszu - powiedziała Antonina. - Doskonale sobie poradziłeś. - Pochyliła się nad wysoką poręczą tronu i pocałowała go w policzek.

Jej syn zaczerwienił się, częściowo z radości, a po części z poczucia winy. Podejrzewał, że publiczne pocałunki matki nie pasowały zbyt do roli, jaką miał zagrać w tym przedstawieniu. Ale kiedy obrzucił salę tronową szybkim spojrzeniem, odkrył, że mało kto zwracał na nich uwagę. Kiedy regentka opuściła pomieszczenie i wraz z ojcem cesarza (a w zasadzie z oboma jego ojcami) udała się na prywatne spotkanie z perskim ambasadorem, atmosfera zdecydowanie się rozluźniła. Większość ludzi zajęła się jedzeniem, piciem i nieszkodliwymi plotkami. Z przyczyn praktycznych ignorowali dostojną obecność cesarza. Oczywiście nikt nie stał w jego pobliżu, a większość popełniała towarzyską i ceremonialną zbrodnię, odwracając się tyłem do swego niedużego władcy. Nikt nie miał interesu w tym, aby przypodobać się nowemu cesarzowi. Wszyscy wiedzieli, że prawdziwa władza spoczywa w rękach Teodory.

Focjusz wcale się nie martwił obojętnością tłumu. Wręcz przeciwnie, czuł z tego powodu wielką ulgę. Od pierwszej minuty audiencji po raz pierwszy czuł się odprężony. Zaczął się nawet zastanawiać, co by się stało, gdyby uniósł rękę i podrapał się za uchem.

Niewiele myśląc, zrobił to. A właściwie drapał się wściekle przez parę chwil.

*Jestem cesarzem Rzymu. Mogę robić to, co mi się żywnie podoba.*

- Przestań się drapać za uchem! - syknęła jego matka. - Jesteś cesarzem Rzymu! To nie wypada.

Cesarz westchnął, ale usłuchał napomnienia.

*To niesprawiedliwe. Nie prosiłem nikogo, żeby zrobił ze mnie cesarza.*

# KONSTANTYNOPOL

*Wiosna, 521 r. n.e.*

## Rozdział 1

Gdy tylko Antonina położyła Focjusza do łóżka, pospieszyła do królewskiej sali audiencyjnej. Kiedy tam dotarła, perski ambasador właśnie kończył swoją przemowę, która najwyraźniej musiała być dość długa.

Usiadła obok Belizariusza i obrzuciła pomieszczenie szybkim spojrzeniem. Wielka sala była prawie pusta, tylko pod ścianami stali strażnicy. Zniknął gdzieś tłum doradców, zwykle obecnych podczas audiencji. Jedynymi Rzymianami, którzy wsłuchiwali się w słowa perskiego ambasadora, byli Teodora, Justynian i Belizariusz.

Baresmanas był jedynym Persem obecnym w sali. Antonina wiedziała, że to właśnie on nalegał na taki, a nie inny skład obradujących. Fakt ten tylko podkreślał powagę audiencji i zdecydowanie ambasadora. Kobieta skupiła się na słowach Baresmanasa, najwyraźniej stanowiących konkluzję jego przemowy.

- I tak - mówił Baresmanas surowo - muszę was przestrzec jeszcze raz. Nie myślcie sobie, że machinacje Rzymian, godzące w wewnętrzną sytuację Persji, przejdą bez echa. Wasi szpiedzy z pewnością donieśli, że moja ojczyzna stoi na skraju wojny domowej. Ja, jako jeden z niewielu, w to nie wierzę. Ale nawet jeżeli tak jest, wszyscy Ariowie zjednoczą się przeciwko rzymskiemu najeźdźcy. Lepiej będzie, jeżeli w to uwierzycie.

Twarz ambasadora nieco zmiękła, a wyraz surowości zastąpił na wpół przepraszający uśmiech, dość ciepły, zważywszy na zaistniałą sytuację. Zmiana nastroju Baresmanasa zaskoczyła Antoninę. Podejrzewała, że przyjazna twarz, jaką ambasador ukazywał teraz rzymskiej cesarzowej i jej przybocznym, bardziej pasuje do właściciela niż sztywna maska, towarzysząca wcześniejszym słowom mężczyzny.

- Oczywiście, może się okazać, że moje szczerzenie zębów jest całkowicie niepotrzebne. Nie chciałem być nieuprzejmy. W końcu Rzym znany jest ze swojej mądrości, podobnie jak z męstwa i biegłości w walce. To całkiem możliwe, powiedziałbym nawet, że dość prawdopodobne, iż myśl o inwazji na Persję nawet nie przysłała wam do głowy.

Antonina była pod wrażeniem. Baresmanasowi udało się wypowiedzieć ostatnie słowa z kamienną twarzą. Naturalnie owo stwierdzenie było niedorzeczne. Przez ostatnie pięć setek lat żaden z rzymskich cesarzy nie wytrzymał choćby trzech kolejnych dni, żeby choć raz nie pomyśleć o zaatakowaniu Persji. I oczywiście wcale nie trzeba było dodawać, że zależność ta działała również w drugą stronę.

Kobieta przysunęła usta do ucha Belizariusza.

- O co mu chodzi? - szepnęła.

- O to, co zwykle - odparł cicho. - Zawsze tak jest, gdy Persowie muszą wybrać nowego władcę. Chozroes jest głównym kandydatem od chwili, kiedy umarł Kawad. Został nawet oficjalnie zatwierdzony na tym stanowisku, ale jego przyrodni brat, Ormazd, najwyraźniej nie pogodził się z sytuacją. Chozroes wysłał do nas Baresmanasa z ostrzeżeniem, abyśmy nie próbowali jeszcze bardziej namieszać.

Antonina skrzywiła się dyskretnie.

- Tak jakbyśmy mieli na to ochotę - mruknęła.

Belizariusz uśmiechnął się krzywo.



- Kochanie, nie bądź taka zadufana w sobie. To się już raz stało. Cesarz Karus wykorzystał wojnę domową, toczącą się pomiędzy Bahramem II i Hormizdem, i zaatakował Persję. Udało mu się nawet zdobyć ich stolicę, Ktezyfont.

- Ale to było ponad dwieście lat temu - zaprotestowała cicho.

- I co z tego? Persowie mają dobrą pamięć. I my także, jeżeli już o tym mowa. Inwazja Karusa była odpowiedzią na atak Ardashira, który najechał nas podczas wojny domowej. Wtedy, kiedy zamordowano Aleksandra Severusa.

Małżonka generała wzruszyła ramionami.

- Teraz sytuacja jest inna. Mamy na głowie Malawian.

Chciał coś jeszcze powiedzieć, ale nie zdążył. Wielkie podwójne drzwi wejściowe do komnaty audiencyjnej właśnie zaczęły się otwierać. Chwilę później do pomieszczenia wszedł perski oficer, który wyglądał na bardzo zmęczonego. Za nim wbiegła Irena Macrembolitissa, szefowa siatki wywiadowczej Cesarstwa Rzymskiego.

- O wilku mowa... - mruknął Belizariusz.

Antonina zamarła.

- Myślisz, że...?

Wzruszył ramionami.

- Niebawem się przekonamy. Ale przecież spodziewaliśmy się, że Malawianie prędzej czy później zaatakują Mezopotamię. Sądząc po wyglądzie tego oficera, właśnie nastąpiło to wcześniej.

Perski oficer podszedł do Baresmanasa. Ambasador stał jakieś trzy metry od Teodory. Chociaż przyniesiono dla niego krzesło, Baresmanas najwyraźniej sądził, że jego wiadomość nabierze odpowiedniego ciężaru, jeżeli przekaże ją na stojąco.

Wysłannik szachinszacha pochylił się lekko, aby usłyszeć, co oficer ma mu do powiedzenia. Pers zaczął szeptać mu coś nerwowo do ucha.

Antonina wyraźnie widziała, jak na twarzy ambasadora pojawia się zaskoczenie i obawa. Jednakże Baresmanas był doświadczonym dyplomatą. Odzyskał spokój w przeciągu kilku sekund. Kiedy tylko perski oficer skończył przekazywać tajemnicze informacje do ucha swojego zwierzchnika, Baresmanas znów założył nieprzeniknioną maskę.

Gdy żołnierz zamilkł, perski arystokrata skinął głową i w odpowiedzi szepnął kilka słów. Mężczyzna natychmiast skłonił się rzymskiej cesarzowej i w pośpiechu wybiegł z pokoju.

Żona Belizariusza zerknęła na Irenę. Po wejściu posłańca kobieta-spieg zajęła dyskretną pozycję przy ścianie, tuż obok drzwi wejściowych.

Oczy Antoniny napotkały spojrzenie Ireny. Dla pobieżnych obserwatorów twarz infiltratorki pozbawiona była wszelkiego wyrazu. Ale ona znała Irenę bardzo dobrze i nie mogła nie zauważyć powstrzymanego podniecenia swojej przyjaciółki.

Za plecami Baresmanasa Irena skinęła dyskretnie głową w stronę Antoniny. Uniosła kciuki w górę.

Antonina westchnęła.

- Chyba masz rację - szepnęła do męża. - Irena zachowuje się jak rekin, który zwęszył krew.

- Ta kobieta uwielbia wyzwania - mruknął Belizariusz. - Myślę, że wolałaby spędzić wieczność w otchłani, torturowana przez demony, niż zrezygnować choćby z jednego dnia ekscytującego życia. - Zachichotał. - Oczywiście wcześniej się upewni, że szatan pozwoli jej zabrać książki.

Baresmanas odchrząknął i znów zwrócił się do Teodory:

- Wasza wysokość, dostałem właśnie bardzo ważne wieści. Jeżeli pozwolisz, chciałbym teraz odejść. Muszę rozmówić się z moją świtą.

Skinęła lekko głową.

- Czy chcesz, abym zaplanowała następne spotkanie? - spytała.

Mężczyzna kiwnął gwałtownie głową; ruch wydał się niemal obcesowy.

- Tak. Jutro, jeżeli to możliwe.

- Oczywiście - odparła Teodora.

Antonina zignorowała pozostałą wymianę uprzejmości pomiędzy Baresmanasem a cesarzową.

Nie interesowały jej dyplomatyczne formalności.

Interesowała ją Irena.

- I jak myślisz? - szepnęła do Belizariusza. - Czy ona zostanie pierwszą istotą ludzką w historii, która eksplodowała?

Generał potrząsnął głową.

- Nonsens - odszepnął w odpowiedzi. - Spontaniczna ludzka erupcja jest niemożliwa. Tak przynajmniej piszą w większości uczonych ksiąg. Irena wie o tym doskonale. W końcu ona ma je wszystkie.

- No nie wiem - mamrotała dalej Antonina, nie spuszczać oka ze swojej przyjaciółki, która nadal tkwiła przy ścianie. - Właśnie zaczyna dygotać. Trzęsie się i drży. Wibruje jak napięta struna.

- To niemożliwe - powtórzył Belizariusz. - Wszyscy najwięksi badacze to wykluczają.

Baresmanas wreszcie opuścił pomieszczenie.

Irena wybuchła.

- Zaczęło się! Zaczęło się! Zaczęło się! Zaczęło się! Zaczęło się!

Podskakiwała w miejscu niczym piłka. Wirowała jak fryga.

- Malawa zaatakowała Mezopotamię! Inwazja na Persję!

Drżała, trzęsła się i dygotała.

- Moi szpiedzy przejęli informacje! Chozroes kazał Baresmanasowi szukać pomocy w Rzymie!

Wibrowała jak napięta struna, jak rozpięta na ramie skóra bębna.

- I widzisz? - zapytała Antonina z przekąsem.

## Rozdział 2

Trzy noce później w cesarskiej sali audiencyjnej znów odbyło się spotkanie. Kiedy Teodora zakończyła cykl rozmów z Baresmanasem, wezwała swoich doradców i najważniejszych dworzan.

Władczyni miała wielu doradców, ale w pomieszczeniu znajdowało się tylko dziesięciu. Belizariusz, podobnie jak cesarzowa, określał ich mianem wewnętrznego kręgu. Przynależność do tej grupy nie zależała ani od formalnie zajmowanej pozycji, ani od oficjalnego statusu, chociaż obie te rzeczy liczyły się przy wyborze. Członkostwo w wewnętrznym kręgu bazowało na dwóch znacznie ważniejszych sprawach.

Po pierwsze, osoba musiała cieszyć się zaufaniem Belizariusza, a co więcej - także zaufaniem Teodory, którą charakteryzowała wieczna podejrzliwość.

A po drugie, członkowie znali wielki sekret. Wiedzieli o posłańcu z przyszłości, o krystalicznym niby-klejnocie, który nazywał siebie Aide. O istocie, która wybrała Belizariusza i ostrzegła tego największego generała w Cesarstwie Rzymskim, że wkrótce jego świat stanie się polem walki pomiędzy potężnymi i tajemniczymi siłami, także pochodzącymi z dalekiej przyszłości.

Teodora usadowiła się w kręgu swoich doradców. Ponad nią wznosiła się wielka mozaika, przedstawiająca świętego Piotra. Ustawienie foteli było dość dziwne jak na królewskie posiedzenie. Tym bardziej, że cesarzowa siedziała na zwykłym krześle, a nie na tronie. Zwykłym, oczywiście, wedle standardów dworskich. Zazwyczaj podczas tego typu spotkań doradcy kulili się u stóp swojego władcy, który rozpierał się na wyżej ustawionym, potężnym tronie.

Ale...

- Oczywiście, że powinniśmy przyjąć propozycję Persów - rozległ się szorstki głos.

Cesarzowa pochyliła głowę i przyjrzała się mówcy. Mężczyzna zwrócił ku niej twarz, w której ziały dwie pobrużdżone rany, puste oczodoły.

To ze względu na Justyniana tak a nie inaczej ustawiono krzesła. Zgodnie ze zwyczajem były cesarz nie mógł już zasiadać u boku swej żony. Oficjalnie był teraz niczym, zaledwie jednym z doradców. Ale Teodora nie mogła znieść myśli o dalszym poniżeniu męża, więc z radością zaakceptowała sugestię Belizariusza, aby rozwiązać ten problem w najprostszy możliwy sposób. Przy takim ustawieniu krzesel podczas spotkania Justynian będzie znajdował się tuż przy niej w kręgu doradców.

- Wyjaśnij, Justynianie, co masz na myśli - poprosił Antoniusz Kasjan. Nowo obrany patriarcha Konstantynopola pochylił się do przodu i złączył pulchne dłonie.

- Tak, prosimy - poparł go z mocą Germanikus. Dowódca Armii Illyryjskiej miał nachmurzoną minę.

Germanikus skinął głową Teodorze.

- Z całym szacunkiem, wasza wysokość, nie widzę żadnej możliwości aliansu z Persją. Przeklećci Medowie! Oni zawsze byli naszymi wrogami. Persja i Malawa mogą rozerwać się na strzępy, mnie to nie obchodzi.

Nagle w sali rozległ się szmer protestu. Kilka osób miało niezadowolone miny.

- Tak, tak - warknął dowódca. - Wiem, że Malawianie są naszymi największymi wrogami. - Rzucił spojrzenie na Belizariusza. Na piersi generała, pod tuniką, bezpiecznie schowany w skórzanej sakiewce, wisiał klejnot z przyszłości. - Ale nie rozumiem, dlaczego...

- Niech diabli wezmą Persów - przerwał mu Justynian chrapliwie. - I Malawian także. Mnie zależy tylko na dynastii. - Były monarcha złapał poręcz swego krzesła kościstymi palcami. - Nie dajcie się zwieść - sarknął. - Czy naprawdę myślicie, że arystokracja jest zadowolona z tej sytuacji? Naprawdę tak sądzicie? - Zaśmiał się szorstkim śmiechem, w którym nie było radości. - Zapewniam

was, że dzisiejszej nocy połowa greckich nobilów planuje, jak pozbawić nas władzy.

- A niech sobie knują, co tylko zechcą - powiedział Sitas, wzruszając ramionami.

Gruby generał uśmiechał się szeroko.

- Sam jestem greckim arystokratą, miej to na uwadze. Więc nie zamierzam dyskutować z Justynianem. Właściwie muszę dodać, że był nieco zbyt pobłażliwy. Wedle moich własnych wyliczeń dwie trzecie greckiej arystokracji spiskuje dzisiejszej nocy, jak tu się do nas dobrać, a nie połowa, jak powiedział.

Sitas ziewnął.

- To tak samo jak szczury w mojej piwnicy. Nie przejmuję się szczurami.

Chryzopolis gwałtownie potrząsnął głową.

- Jesteś zbyt zadowolony z samego siebie, Sitasie - upierał się dalej. - Ja osobiście martwię się podobnie jak Justynian.

Chryzopolis zastąpił Jana z Kapadocji, straconego za zdradę, na stanowisku prefekta pretorów. Obok Germanikusa był jedynym z członków wewnętrznego kręgu, którego Belizariusz osobiście nie znał zbyt dobrze. Ale to sam generał zaproponował, aby przyjąć go do rady. Chryzopolis cieszył się reputacją człowieka posiadającego wielkie umiejętności oraz odznaczającego się nieposzlakowaną uczciwością. Pomiędzy najwyższymi rzymskimi arystokratami, którzy uszli z życiem z zamieszek, jakie wybuchły podczas nieudanego zamachu stanu, udaremnionego przez Antoninę i Belizariusza kilka miesięcy temu, nie była to cecha powszechnie występująca.

- Czy naprawdę myślisz, że to przymierze będzie miało pozytywne efekty? - zapytał.

- Oczywiście - odparł Justynian. Uniósł kciuk do góry. - Po pierwsze: armia wpadnie w ekstazę. Żołnierze boją się Persów, nie Malawian. Wszystko, co oddali od nich widmo konfliktu zbrojnego z Persją, spotka się z ich aprobatą. Nawet wielkie zwycięstwo Belizariusza pod Mindos nie rozwiało obaw i nasi ludzie ciągle nie pragną spotkania z perskimi kopijnikami na otwartym polu.

- Malawianie będą gorsi - zauważyła Antonina. - Jest ich znacznie więcej i mają nową broń palną.

Były cesarz wzruszył ramionami.

- I co z tego? Rzymscy żołnierze nie spotkali się jeszcze z Malawianami, więc się ich nie boją. To się zapewne zmieni z czasem. Ale ja martwię się terażniejszością. A teraz myślę, że nie ma lepszego sposobu na pozyskanie lojalności armii względem dynastii. Focjusz musi zawrzeć stuletni pokój z Persją.

Justynian uniósł drugi palec.

- Po drugie: to ucieszy naród, a zwłaszcza tych, którzy mieszkają tuż przy granicy. - Odwrócił głowę i skierował puste oczodoły na Antoniusza Kasjana. - Wieśniacy z tego regionu już są zachwyceni tym, że Kasjan został patriarchą. To monofizyci, heretycy, a przynajmniej większość z nich, i wiedzą, że Kasjan powstrzyma prześladowania.

- Nie mam formalnej władzy nad patriarchą Antiochii, Efraimem - sprzeciwił się Antoniusz. - Region przygraniczny podpada pod jego jurysdykcję.

- Do diabła z Efraimem - syknął niewidomy. - Kiedy dynastia umocni się na tronie, niebawem zniszczymy tego bękarta. Ja to wiem, ty to wiesz, Efraim to wie, i tak samo wiedzą o tym wieśniacy z regionu przygranicznego.

Belizariusz zauważył, że Germanikus nadal się krzywi. Najwyraźniej illyryjski generał ciągle nie podzielał zdania Justyniana i Chryzopolisa. Trak uznał, że nadszedł czas interwencji.

- Możemy ułożyć sobie życie z Persją, Germanikusie - oświadczył. - W końcu robimy to już od tysiąca lat. Ale nie uda nam się współżyć z Malawą. Oni chcą rządzić światem, sami. Inwazja na

Persję jest po prostu pierwszym krokiem zamierzonego podboju Rzymu. Wolałbym, żebyśmy zaczęli walkę już teraz, na perskiej ziemi, z perskimi kopijnikami po naszej stronie. W przeciwnym razie bowiem będziemy musieli stawić im czoła później, na rzymskiej ziemi i przeciwko perskim kopijnikom, wcielonym na siłę do gigantycznej malawiańskiej armii tuż obok Radżputów i Kuszan.

Germanikus popatrzył na niego sceptycznie. Belizariusz powstrzymał westchnienie. Denerwował go upór męzczyzny, ale przecież nie mógł go winić za nieufność. Dowódca Armii Illyryjskiej został dopuszczony do sekretu zaledwie miesiąc temu. Germanikus, podobnie jak Chryzopolis, nie znał wcześniej Belizariusza osobiście. Lecz był bliskim krewnym Justyniana i doskonałym generałem. Teodora nalegała, aby włączyć go do wewnętrznego kręgu i tracki generał się zgodził. W przypadku rady cesarzowa nigdy nie wydawała mu poleceń, jedynie sugerowała.

Wiedział jednakże, że illyryjski generał akceptuje prawdę o naturze Aide i rozumie ostrzeżenie kryształu przed nadchodzącą przyszłością. Ale - podobnie jak większość generałów - Germanikus miał konserwatywne przekonania. Tradycyjnym rywalem Cesarstwa Rzymskiego była Persja, a nie Indie.

Nie, nie mógł winić Germanikusa za jego stronnictwą ślepotę, więc zamiast się denerwować, spojrzął w oczy generała ze spokojem i pewnością siebie.

Po chwili tamten przestał się złościć.

- Czy jesteś pewny, Belizariuszu? - zapytał. Ton głosu generała nie był już wrogi, tylko po prostu poważny. Podobnie jak większość rzymskich żołnierzy darzył Belizariusza wielkim szacunkiem.

Zapytany stanowczo pokiwał głową.

- Zaufaj mi w tej kwestii, Germanikusie. Jeżeli teraz nie powstrzymamy Malawian, nadejdzie dzień, kiedy Cesarstwo Rzymskie zniknie z powierzchni ziemi, i będzie tak, jakby nigdy nie istniało.

Po chwili Germanikus westchnął:

- A więc dobrze. Uznałem twoje racje. Nie cieszę się z tego, co ma być, ale... - Usiadł i skrzyżował ręce na piersi. - Dostyc. Pozbyłem się już obiekcji.

Teodora zobaczyła, że wszyscy pozostali doradcy także doszli do tego samego wniosku.

- Więc niech tak będzie - oznajmiła. - Powiemy perskiemu ambasadorowi, że przyjmujemy propozycję aliansu. W ogólnych zarysach. Teraz musimy popracować nad szczegółami.

Zwróciła się do Ireny Macrembolitissy. Oficjalnie Irena należała do grupy najmniej ważnych urzędników pałacowych, a ostatnio została wyniesiona do pozycji sacellariusza, czyli skarbnika prywatnej kiesy cesarza. Jednakże jej prawdziwa funkcja dawała ogromną siłę. Kobieta była szpiegiem Teodory i dowódczynią nieoficjalnej siatki wywiadowczej Cesarstwa, *agentes in rebus*. Przez lata stała się także jedną z grona niewielu, ale to bardzo niewielu prawdziwych przyjaciół władczyni.

- Zaczynij, proszę, od przybliżenia nam szczegółów inwazji.

Irena pochylila się do przodu, odgarniając na plecy ciężkie, brązowe włosy.

- Malawianie zaatakowali Persję dwa miesiące temu - powiedziała. - Tak jak przewidział Belizariusz, zaczęli od potężnej inwazji od wybrzeża; statki wpłynęły w deltę Eufratu i Tygrysu. W przeciągu dwóch dni zdobyli ważny port Charaks i zamienili miasto w punkt wypadowy na tereny Mezopotamii.

- Czy nie zaatakowali równocześnie na północy? - zapytał Hermogenes.

- Tak, zgadza się - kiwnęła głową Irena. - Mają wielką armię, która wbiła się mocno we wschodnie perskie prowincje. Jednakże wydaje się, że ta armia nie ma ze sobą zbyt wielkiej ilości broni prochowej. Posługują się głównie tradycyjnym uzbrojeniem i jednostkami, czyli malawiańską piechotą ze wsparciem batalionów Ye-tai i ogromnymi oddziałami radżpuckiej kawalerii.

- A więc gorszy sort - osądził Germanikus.

Belizariusz potrząsnął przecząco głową.

- Wcale nie. Radżpucy kawalerzyści są naprawdę doskonali i dowodzi nimi Rana Sanga. Znam go z mojej wyprawy do Indii. W zasadzie znam go nawet dość dobrze. Jest tak samo dobrym generałem, jak ty i ja. I chociaż nie znam głównodowodzącego malawiańskiej ekspedycji na północy, pana Damodary, wiem, że Rana Sanga uważa go za doskonałego stratega.

Rozmówca zmarszczył brwi.

- Ale...?

Generał zachichotał.

- W szaleństwie Malawian jest metoda. Radżputowie są sercem armii Damodary, a Malawianie za grosz im nie ufają. Więc oddali dowództwo swemu najlepszemu generałowi, wyznaczyli mu najtrudniejsze zadanie, dali za mało broni prochowej i oddali pod rozkazy prawie całą radżpucką kawalerię. Damodara nie będzie miał wyboru. Musi polegać na Rana Sandze i Radżputach, a zapewniam was, że będzie walczył na bardzo nieprzyjaznym terenie i w dodatku przeciwko doskonałym perskim oddziałom. Kampania zapewne bardzo się przeciągnie i tym samym Malawianie upieką dwie pieczenie przy jednym ogniu. Persowie nie mogą zignorować zagrożenia, więc będą musieli przenieść znaczne siły z Mezopotamii. A jednocześnie Malawianie...

- ...wykrwawią Radżputów na śmierć - dokończył Germanikus.

- Dokładnie tak.

- To oznacza, że północną kampanią możemy się nie przejmować - mruknął Sitas. - A przynajmniej nie w tej chwili. Na tamym obszarze Persowie muszą radzić sobie sami. - Popatrzył na Irenę. - Jak wielkie siły Malawianie zgromadzili w Mezopotamii?

Kobieta zawahała się, wiedząc, że jej następne słowa spotkają się z niedowierzaniem.

- Co najmniej dwieście tysięcy żołnierzy. Prawdopodobnie więcej.

- To nonsens! - krzyknął Germanikus.

- Mylisz się - zastopował go Belizariusz. - Lepiej w to uwierz, Germanikusie. Imperium Malawy jest jedyną na tym świecie siłą zdolną do wystawienia takiej armii. A co więcej, potrafi zaopatrzyć ją we wszystkie potrzebne rzeczy, a przynajmniej tak długo, jak utrzyma Charaks. Kiedy byłem w Barakusze, największym porcie morskim Indii, na własne oczy widziałem potężną flotę statków zaopatrzeniowych, którą właśnie budowali.

Illyryjski dowódca wyraźnie pobladł.

- Dwieście tysięcy - szepnął.

- Co najmniej - poprawił go Belizariusz. - I będą mieli ze sobą broń prochową. Jediną słabością ich armii jest kawaleria.

Dowódczyni siatki szpiegowskiej potrząsnęła głową.

- I to nie, Belizariuszu. A przynajmniej nie lekka kawaleria. Wczoraj dostałam informację, że dynastia Lahmidów zerwała sojusz z Persją i związała się z Malawą. To daje naszym wrogom dużą siłę arabskiej kawalerii, a także oddziały na wielbłądach, co ułatwi im operacje na pustynnych obszarach na prawym brzegu Eufratu. Który, nawiasem mówiąc, wydaje się być główną trasą przetrzutu wojsk i zapasów Malawian.

- To ich znacznie spowalnia - skomentował Hermogenes. - Eufrat bardzo meandruje przez tereny zalewowe. Tygrysem na pewno byłoby szybciej.

Generał Belizariusz wzruszył ramionami.

- Malawianie się nie spieszą, bo nie liczą na zaskoczenie. Ich armia jest jak młot, który nas zmiażdży. Kiedy dotrą do Peroz-Szabur, przetrzucą statki na Tygrys. I otoczą bez problemu perską

stolicę, Ktezyfont.

- A jaka jest reakcja Persów? - zapytał Germanikus.

- Z tego, co mówił mi Baresmanas - odparła Irena - imperator Chozroes zamierza ufortyfikować się w Babilonie.

- W Babilonie?! - krzyknął Kasjan. - Przecież nie ma już Babilonu! Miasto stoi puste od wieków!

- Potrząsnął głową. - To tylko ruiny.

Irena się uśmiechnęła.

- Miasto, owszem. Ale mury Babilonu ciągle stoją. I są tak samo mocne jak w czasach Hammurabiego i Aszurbanipala.

- A czego Persowie chcą od nas? - zainteresowała się Antonina.

Irena zerknęła na Chryzopolisa. Prefekt pretorów był obecny przy wstępnej rozmowie z Baresmanasem, która dotyczyła tej kwestii.

- Chcą sojuszu z Rzymem i pomocy wojskowej. Najwięcej żołnierzy jak tylko się da. Mamy pomóc Chozroesowi w Babilonie. - Skinął na Sitas. - Persowie nie liczą na to, że pomożemy im wyrzucić Malawian ze wschodnich prowincji. Ale, cóż... desperacko potrzebują naszej pomocy w Mezopotamii.

- Ile oddziałów mielibyśmy im wysłać? - zapytał Justynian.

Chryzopolis wziął głęboki oddech.

- Proszę o czterdzieści tysięcy. Całą Armię Syryjską i pozostałe dwadzieścia tysięcy z Anatolii i z oddziałów europejskich.

W komnacie nagle podniósł się hałas.

- To niedorzeczne! - wołał Sitas. - To połowa całej rzymskiej armii!

- To zupełnie pozbawi obrony deltę Dunaju - sarknął Germanikus. - Wszystkie bałkańskie plemiona zbiegną się do kupy i za miesiąc będziemy mieć ich na karku. - Zwrócił się do Belizariusza.

- Chyba nie bierzesz ich propozycji poważnie!

Belizariusz potrząsnął głową.

- Nie, nie biorę, Germanikusie. Chociaż brałbym, gdybym sądził, że jesteśmy w stanie dać im taką siłę. - Generał znów wzruszył ramionami. - Lecz wiem, że po prostu nie damy rady. Musimy utrzymywać stały garnizon nad Dunajem, tak jak powiedziałeś. I niestety musimy trzymać armię Sitas w pobliżu Konstantynopola. Jak wszyscy doskonale wiemy, nowa dynastia ciągle nie umocniła się na tronie. Większość szlachty szuka okazji do kolejnego przewrotu, a jeżeli będą sądzili, że to może się udać, nie zawahają się ani chwili.

Germanikus szarpnął się za brodę.

- W danej chwili nie mamy żadnych wolnych oddziałów z wyjątkiem Armii Syryjskiej i Armii Egiptu.

- Nawet tego nie mamy - wtrąciła się Teodora. - W Egipcie także doszło do sytuacji kryzysowej.

- Popatrzyła na swoją wywiadowczynię. - Powiedz im o wszystkim.

- Tak jak wszyscy wiecie - zaczęła Irena - były patriarcha Aleksandrii, Tymoteusz IV, został zamordowany podczas powstania Nika, w tym samym czasie, co poprzednik Antoniusza - Epifanios. Sprawców nie odnaleziono, ale jestem prawie pewna, że to sprawka malawiańskich zabójców.

- Przy pełnej akceptacji i pomocy ultra ortodoksyjnych sił Kościoła - dodał Justynian z mocą.

Kobieta kiwnęła potakująco głową.

- Po trzech miesiącach walk grecka szlachta w Aleksandrii wybrała nowego patriarchę. To ultra ortodoksyjny mnich o imieniu Paweł. Następnego dnia znów zaczęły się prześladowania. Od tamtej pory w Aleksandrii wrze jak w kotle. Niemalże codziennie dochodzi do ulicznych bójek i zamieszek,

zazwyczaj pomiędzy ortodoksyjnymi i monofizycznymi mnichami. Dostaliśmy te wieści dopiero wczoraj.

- A co, do diaska, robi Armia Egiptu? - spytał rozzłoszczony illyryjski generał.

- Wzięli stronę nowego patriarchy - odparła Irena. - Zgodnie z moimi doniesieniami głównodowodzący naszych sił jest zaufanym doradcą Pawła.

- To generał Ambrozjusz, prawda? - chciał się upewnić Hermogenes.

Irena skinęła głową.

- Znam tego łajdaka! - ryknął Sitas. - Na polu walki nie jest wart złamanego grosza. To polityk aż po czubki palców. A do tego ambitny jak sam szatan.

Prefekt pretorów westchnął ciężko.

- A więc to tyle, jeżeli chodzi o Armię Egiptu. Nie możemy wysłać ich do Persji.

- Jest jeszcze gorzej, Chryzopolisie - odparł Belizariusz. - Będziemy musieli posłać oddziały do Egiptu, żeby naprawić sytuację.

- Myślisz, że powinniśmy interweniować?

- Z pewnością tak. Egipt jest największą i najbogatszą prowincją Rzymu. W odległej przyszłości, mam nadzieję, Egipt stanie się bastionem naszej morskiej operacji na Oceanie Indyjskim. Ostatnia rzecz, na jaką możemy sobie pozwolić, to niezadowolony i podminowany tłum.

- W tej kwestii całkowicie się zgadzam z Belizariuszem - poparła go cesarzowa. - Antoniusz poradził mi - skinęła w stronę Kasjana - żebym wysłała do Aleksandrii diakona Teodozjusza. Ma on zastąpić Pawła na stanowisku patriarchy. To umiarkowany monofizyta. Członek szkoły seweriańskiej podobnie jak Tymoteusz.

Chryzopolis zmarszczył brwi.

- Jak zamierzasz wymusić na Aleksandrii zmianę patriarchy?

Po raz pierwszy od chwili, w której zaczęło się spotkanie, Teodora uśmiechnęła się szeroko. Ale w wyrazie jej twarzy nie było nawet śladu radości.

- Zamierzam połączyć nowe ze starym. Znasz zapewne porządek religijny założony przez Michała z Macedonii. Michał zaproponował, że wyśle do Egiptu kilka setek swoich wyznawców, żeby stanowili przeciwwagę istniejącego tam obrządku monastycznego.

- Tak, to skutkuje doskonale, jeżeli chodzi o innych mnichów mieszkających na ulicach - mruknął Hermogenes. - Ale co z Armią Egiptu...?

- Nimi zajmie się Kohorta Teodoryjska - postanowił Belizariusz.

Na te słowa w komnacie zaległa martwa cisza. Wszystkie oczy zwróciły się na Antoninę.

Drobna Egipcjanka wzruszyła ramionami.

- Obawiam się, że to wszystko, czym dysponujemy w chwili obecnej.

- To nie wszystko - przerwał generał i popatrzył na Hermogena. - Myślę, że możemy zabrać ci jeden z legionów i wysłać do Egiptu razem z grenadierami jako wsparcie piechoty. A ja dam Antoninie pięć setek katafraktów i już mamy kawalerię.

Tamten skinął głową. Germanikus zmarszczył brwi i wodził wzrokiem od Antoniny do Belizariusza i z powrotem.

- Myślałem raczej, że zechcesz użyć grenadierów w Persji - skomentował.

- Stanowczo nie - powiedziała Teodora, zanim generał zdołał się odezwać. - Kohorta Antoniny to nasza jedyna siła uzbrojona w broń prochową, nie licząc małego oddziału Belizariusza, posługującego się raketami. Grenadierzy nigdy nie brali udziału w prawdziwej walce. Nie zamierzam ryzykować, że utracimy ich w Persji. Nie na tak wczesnym etapie wojny.

Germanikus skrzywił się jeszcze bardziej.



- A więc kto...?

- Ja - odparł Belizariusz. - Ja i wszystkie oddziały, które nie będą potrzebne gdzieś indziej. -

Potarł podbródek. - Myślę, że możemy zabrać jakieś pięć, a może sześć tysięcy ludzi z Armii Syryjskiej, do tego jest jeszcze moja ochrona.

- Mogę ci dać dwa tysiące katafraktów - przerwał mu Sitas i popatrzył na Germanikusa.

Dowódca Armii Illyryjskiej zamrugał niepewnie.

- Prawdopodobnie mogę dać ci pięć setek żołnierzy. Ale obawiam się, że nie więcej. Znosi się na kłopoty z północnymi barbarzyńcami w przyszłym roku. Malawianie z pewnością będą rozrzucać złoto pełnymi garściami.

Hermogenes zakończył rachunki, prowadzone na palcach, i podniósł głowę.

- To kiepska armia, Belizariuszu. Będziesz miał... tylko tysiąc katafraktów, jeżeli pięć setek oddasz Antoninie.

Belizariusz skinął głową.

Hermogenes wydał policzki.

- Plus dwa tysiące od Sitas i pięć setek od Germanikusa. To trzy i pół tysiąca ciężkiej kawalerii. Armia Syryjska da ci prawdopodobnie trzy czy cztery tysiące piechoty i może dwa tysiące jeźdźców. Ale to lekka kawaleria, łucznicy, a nie katafrakci z lancami.

- W najlepszym razie dziesięć tysięcy - podsumował Germanikus. - Zgadzam się z przedmówcą, to za mało na armię.

Trak wzruszył ramionami.

- To wszystko, co mamy.

- Nie podoba mi się pomysł, żeby Belizariusz sam dowodził tą armią - odezwał się Chryzopolis.

- To najlepszy strateg Cesarstwa. Tak naprawdę powinien zostać tutaj, w stolicy.

- Nonsens! - warknął Justynian i wyszczerzył zęby w uśmiechu. Podobnie jak jego żona nie czuł jednakże radości. I podobnie jak ona uśmiechał się pierwszy raz dzisiejszego wieczoru. - Chcecie sojuszu z Persją, prawda? - zapytał. - Nie będą zadowoleni, że możemy im zaoferować zaledwie kilka tysięcy ludzi. Ale Belizariusz z pewnością ich skusi i uatrakcyjni ofertę. - Po raz pierwszy w jego głosie zabrzmiały lżejsze tony. - I przestań się marszczyć, Chryzopolisie! Widzę twoją skwaszoną minę tak, jakbym ciągle miał oczy.

Pochylił się do przodu i zacisnął dłonie na poręczach krzesła. Przesunął „spojrzeniem” pustych oczodołów po zgromadzonych w sali ludziach. I przez jedną ulotną chwilę wszystkim zdawało się, że były cesarz naprawdę może ich widzieć.

- To ja zrobiłem z tego człowieka generała - oświadczył Justynian. - To jedna z niewielu decyzji w moim życiu, której nigdy nie żałowałem.

Opadł na oparcie fotela.

- Persowie będą zachwyceni. Możecie mi wierzyć.

## Rozdział 3

Następnego ranka, kiedy Baresmanas usłyszał od regentki odpowiedź na propozycję sojuszu, był naprawdę zachwycony. Prawda, liczył na większą armię. Ale ani on, ani imperator Chozroes nie marzyli nawet, że Rzymianie wesprą ich czterdziestoma tysiącami żołnierzy.

To, że Rzym nie zażądał w zamian przesunięcia granic ani wymiany terenów także bardzo go zadowoliło. Spodziewał się czegoś wręcz przeciwnego.

Ale najwspanialsze było to, że dostał Belizariusza.

\* \* \*

Ale nie wszyscy członkowie delegacji dzielili radość wraz z nim. Jego żona, pani Maleka, była niezadowolona. Kiedy tylko Baresmanas wrócił do małego pałacyku, położonego w samym centrum kompleksu dworskiego, w którym umieszczono Persów, kobieta miotła się po głównym salonie z nachmurzoną miną.

- Nie pochwalam tego - powiedziała do męża gwałtownie. - Nie powinniśmy prosić tych plugawych rzymskich mieszkańców o pomoc, tak jakbyśmy byli nędznymi, nisko urodzonymi żebrakami.

Ambasador zignorował jej słowa. Stał przed kominkiem, płonącym w sali, i grzał ręce; kwietniowe poranki były jeszcze dość chłodne.

- Nie podoba mi się to! - powtórzyła Maleka.

Baresmanas westchnął i odwrócił się od ognia.

- Ale imperatorowi się podoba - odparł łagodnie.

- Chozroes to tylko chłopiec!

- Z pewnością się mylisz - zaprzeczył jej mąż stanowczo. - Prawda, jest jeszcze młody. Ale cieszy się takim samym szacunkiem, jak wszyscy imperatorowie zasiadający na tronie Ariów. Nie pozwalaj sobie na wątpliwości w tej materii, żono.

Pani Maleka skrzywiła się.

- Nawet jeżeli... Jest zbyt skoncentrowany na inwazji Malawian! Zapomina o naszym wspaniałym aryjskim dziedzictwie!

Jej mąż powstrzymał się od ostrej riposty. W przeciwieństwie do swojej żony Baresmanas był dobrze wykształcony. Nie ustępował większości uczonych mężów, co było dość niespotykane wśród *sahrdaran*. Z drugiej strony Maleka należała do typowych przedstawicielek swojej klasy. Podobnie jak większość perskich arystokratek umiała pisać i była dość odczytana. Ale odkąd dorosła, nigdy nie korzystała ze swojej wiedzy. Woląла raczej uczyć się historii, usadowiona na poduchach, w swoim pałacu w Ktezyfoncie, i zasluchana w pieśni o bohaterskiej przeszłości Ariów.

Baresmanas przyjrzał się rozzłoszczonej twarzy swej małżonki i gorączkowo rozważał, w jaki sposób zdoła się przebić przez jej uprzedzenia i ignorancję. Naprawdę chciał jej wyjaśnić sytuację.

Wiedział, że prawdziwa historia jest zupełnie odmienna od jej fantastycznych wyobrażeń. Irańczycy, którzy rządili Persją i Azją Centralną, przybyli z azjatyckich stepów. Podobnie jak ich kuzyni - Scytowie. Oni także byli kiedyś nomadami, barbarzyńskim plemieniem. Tysiąc lat temu aryjskie plemiona opuściły stepy, ruszyły na południe i rozpoczęła się ich wielka, epicka historia. Poruszające się na zachód plemiona określono mianem Irańczyków. To właśnie oni stali się zaczątkiem chwalebnych Medów i Persów. Ich wschodni kuzyni ruszyli natomiast w kierunku północnych Indii i dali początek kulturze wedyjskiej, która w końcu objęła swym zasięgiem praktycznie cały centralny obszar kontynentu.

A potem, gdy już tego dokonali, obie gałęzie Ariów zaczęły konstruować swoją własną historię. Opowieść pełną legend i chwalebnych wydarzeń, mających niewiele wspólnego z rzeczywistością.

Mity i bajki, które wyrosły na feudalnej ziemi Wschodu. Teraz prawdziwa siła Irańczyków, podobnie jak niegdyś, znajdowała się na perskich równinach i rozległych, bogatych ziemiach Mezopotamii. Lecz Ariowie, a przynajmniej szlachta, pamiętali tylko legendy o północno-wschodnich stepach.

A w dodatku, pomyślał kwaśno, pamiętali je zupełnie na odwrót. Nie obchodziła ich siła militarna barbarzyńskich jeźdźców. Mówili tylko o czystej krwi i boskim pochodzeniu.

Baresmanas znów przyjrzał się żonie i zrozumiał, że nie jest w stanie przebić się przez jej uprzedzenia.

Dał więc za wygraną i sam postanowił sięgnąć do tradycji Ariów.

- Nie sprzeciwiaj się swojemu mężowi, żono - rozkazał. - I swojemu imperatorowi także.

Otworzyła usta, jakby chciała coś jeszcze powiedzieć.

- Dostyc już.

Pani Maleka skłoniła głowę i opuściła pokój w ponurym milczeniu.

Irańczyk usiadł na szeslongu, stojącym tuż obok kominka. W jego czarnych oczach odbijały się płomienie, tak jakby widział już zbliżającą się pożogę.

I rzeczywiście tak było. Kiedy patrzył w ogień, przypomniał sobie bitwę pod Mindos. To tam, trzy lata temu, rzymski generał rozbił w puch perską armię. Przechytrzył ich, złapał w pułapkę, a potem wyrznął w pień. Zdobył nawet obozowisko.

Belizariusz.

Baresmanas brał udział w tej bitwie. Podobnie jak jego dzieci, które były w obozowisku.

Odwrócił wzrok od ognia i zamrugał.

Jego dzieci nie byłyby pod Mindos, gdyby on, ojciec, ich tam nie zabrał. On także, mimo swego wykształcenia, dał się omamić aryjskim mitom. Wysoko urodzeni Persowie zawsze zabierali swoje rodziny na wojenne kampanie; był to stary zwyczaj. Pokazywali swemu wrogowi, a także całemu światu, że nie tracą wiary w niepokonaną siłę Ariów.

Jego żona nie pojechała pod Mindos. Wymówiła się kiepskim zdrowiem. Oczywiście nie obawiała się wroga, a tylko żaru syryjskiej pustyni. Ale jego dzieci gorliwie dotrzymywały mu towarzystwa, zarówno córka, jak i syn. Chcieli być świadkami, jak ich sławny ojciec, zastępca głównodowodzącego armii, Firuza, niszczy tych bezczelnych Rzymian.

Baresmanas westchnął. Podniósł lewą rękę i pogładził prawe ramię. Ramię bolało, jak zawsze, a przez jedwab tuniki mógł wyczuć brzydką, poszarpaną bliznę.

Ta blizna stanowiła pozostałość po rzymskiej lancy. Pamiątka po Mindos. Baresmanas, podobnie jak cała reszta szlachetnie urodzonych kopijników, został uwięziony w środku pola. Złapany w pułapkę przez sprytnego rzymskiego generała; a potem zmiażdżony potężnym kontruderzeniem.

Belizariusz.

Perski ambasador nie pamiętał wiele z ostatnich chwil bitwy. Tylko zamieszanie i duszący pył. A potem wzrastające, okropne przekonanie, że zostali przechytrzeni i wciągnięci w pułapkę. Szok i ból, gdy leżał oszołomiony i krwawiący na zrytej ziemi, z prawie odciętym ramieniem.

Ale najdokładniej pamiętał strach, który wdarł się do jego serca niczym gorące żelazo, które zaczęło krążyć w jego żyłach zamiast krwi. Nie bał się o siebie, lecz o swoje bezbronne dzieci. Perski obóz, jak zwykle, pozbawiony był ochrony i nic nie mogło powstrzymać Rzymian. Baresmanas wiedział, że żołnierze nieprzyjaciela wpadną do środka niczym wilki. Bał się Hunów, którzy nie znali umiaru w mordowaniu i plądrowaniu.

I tak się stało. A przynajmniej zaczęło się dziać.

Dopiero Belizariusz i jego katafrakci ukrócili rzeź. Generał był tak samo stanowczy i nieubłagany

w stosunku do swoich najemników jak w stosunku do Persów.

Tygodnie później, kiedy jego rodzina zapłaciła już okup, Baresmanas usłyszał opowieść z ust swojej córki, Tahminy. Kiedy ona i jej brat ujrzeli nadchodzących Hunów, skryli się pod jedwabnymi poduchami w swoim namiocie. Ale najeźdźcy nie dali się oszukać. Mały oddział wojowników szybko znalazł Tahminę i wywlókł ją przed namiot. Brat chciał przyjść jej z pomocą, ale jego odwaga była daremna. Hunowie nie zabili chłopca, gdyż wiedzieli, że żywy jest wart swej ceny na targu niewolników. Po prostu go ogłuszyli, jakby mimochodem, i dalej zrywali ubrania z jego siostry.

Wtedy nadszedł rzymski generał, w towarzystwie swoich katafraktów, i rozkazał mężczyznom, by zaprzestali plądrowania. Tahmina opowiedziała ojcu, jak Hun, który trzymał ją za włosy, zadrzwił sobie z Belizariusza. I jak generał po prostu wymówił z kamienną twarzą imię katafrakta. Katafrakta, którego twarz była jeszcze zimniejsza, tak samo okrutna jak u łasicy. Katafrakt był szybki i zabójczy jak łasica. Zabił trzymających Tahminę Hunów z potężnego łuku. Zginęli jak kurczaki z ręki drapieżnika.

Belizariusz.

Dziwny, osobliwy człowiek. Z okrutnym, doskonale skonstruowanym umysłem, w którym kryje się dziwaczna odrobina litości.

Baresmanas znów odwrócił głowę i jeszcze raz popatrzył w płomienie. I wreszcie, po raz pierwszy od chwili gdy dowiedział się o ataku Malawian na Mezopotamię, zobaczył wrogów smażących się w płomieniach.

Belizariusz.

## Rozdział 4

To była najpiękniejsza katedra, jaką Justynian kiedykolwiek widział. Piękniejsza i bardziej majestatyczna, niż kiedykolwiek marzył. Ukoronowanie jego życia. Świątynia Mądrości Bożej, taka, jaką planował wybudować.

Mese, centralna aleja Konstantynopola, zaczynała się przy Złotej Bramie i kończyła u wrót katedry. Na całej jej długości, w zwałach i kopcach, niczym podroby u rzeźnika, leżały ciała ofiar zarazy.

Połowa mieszkańców miasta umarła bądź była umierająca. Smród rozkładających się zwłok mieszał się z gęstym, lepkiem dymem, wznoszącym się ponad stosami płonących trupów. Nad miastem wisiała czarna, cuchnąca zasłona niczym nieustająca mgła. Ten sam opar widział ponad Włochami, Afryką Północną i nad każdą prowincją, odbitą dlań przez Belizariusza.

Justynian Wielki. Ten, który w imię przywrócenia wielkości Cesarstwa Rzymskiego wykończył jego wschodnią część, żeby podporządkować sobie zachodnią. I pozostawił cały obszar basenu Morza Śródziemnego - wyniszczony bratobójczą walką - na pastwę najgorszej od wieków zarazy.

Justynian Wielki. Mężczyzna, który przyspieszył upadek grecko-rzymskiej cywilizacji.

\* \* \*

Justynian szarpnął się na krześle.

- Dosyć - zakrakał. - Nie zniosę tego dłużej.

Pochylił się do przodu i wyciągnął przed siebie drżącą rękę. Na jego dłoni spoczywał błyszczący, jaśniejący przedmiot. Niektórzy nazwaliby go klejnotem. Magicznym kamieniem.

Belizariusz zabrał kryształ z ręki Justyniana i schował go z powrotem do sakiewki. Chwilę później skórzany woreczek zawisł bezpiecznie na jego szyi.

Usłyszał w głowie głos klejnotu:

**To nie jest miły człowiek.**

Belizariusz uśmiechnął się krzywo.

Nie, Aide, rzeczywiście nie jest. Ale może być wielkim człowiekiem.

Krystaliczna istota z przyszłości zdawała się wątpić.

**Nie jestem pewne. To nie jest miły człowiek, wcale.**

- Czy jesteś teraz zadowolony, Justynianie? - zapytał generał.

Były cesarz skinął głową.

- Tak. Wszystko było tak, jak mi opowiedziałeś. Teraz prawie żałuję, że prosiłem cię, abys mi pokazał. Ale potrzebowałem...

Machnął bezradnie ręką, jakby chciał przywołać słowa, których nie potrafił odnaleźć.

Belizariusz mu pomógł.

- Chciałeś wiedzieć, czy twoje podejrzenia są słuszne. Musiałeś się dowiedzieć, czy posadziłem mojego pasierba na cesarskim tronie, powodowany osobistym motywem, żądzą władzy i ambicją, czy jak ci mówiłem - potrzebą obrony przed Malawianami i zbliżającą się wojną.

Justynian opuścił głowę.

- Nie jestem ufnym człowiekiem - mruknął. - Taką mam naturę. - Otworzył usta, jakby chciał jeszcze coś dodać, ale się rozmyślił.

- Nie ma potrzeby, Justynianie - rzekł tracki generał. - Nie ma takiej potrzeby.

Generał ciągle się uśmiechał, jeszcze bardziej krzywo. Już kiedyś był uczestnikiem podobnej rozmowy, w koszmarnej wizji.

- To, co chcesz mi powiedzieć, zajmie ci całe godziny. I nie przejdzie ci łatwo przez usta, jeżeli

w ogóle.

Niewidomy potrząsnął głową.

- Nie, Belizariuszu. Jest taka potrzeba. Ze względu na mnie, a nie na ciebie. Czasami myślę - jego głos nabrał szorstkości - że utrata wzroku poprawiła mi postrzeganie rzeczywistości. - Wziął głęboki oddech. I jeszcze jeden. - Przepraszam cię - wydusił w końcu z trudem.

Trzeci uczestnik rozmowy zachichotał z kąta.

- Nawet kiedy przepraszasz, jesteś arogancki - oznajmił. - Czy myślisz, że jesteś jedynym grzesznikiem na świecie, Justynianie? A może tym największym?

Były władca odwrócił głowę.

- Zignoruję tę uwagę - powiedział z wielką godnością. - Ale czy ty także jesteś pewny, Michale z Macedonii? Czy ty ufasz tej istocie, którą nazywasz Boskim Talizmanem?

- Całkowicie pewny - odparł mnich kamiennym głosem. - To posłaniec od Pana, który ma nas ostrzec.

- A szczególnie mnie - mruknął Justynian. Niewidomy mężczyzna potarł blizny wypełniające oczodoły. - A czy Teodora...?

- Nie - odparł Belizariusz. - Raz jej proponowałem, ale odmówiła. Powiedziała, że woli sama doświadczać przyszłości niż oglądać ją w wizjach.

- Dobrze - odrzekł Justynian. - A więc nie ma pojęcia o raku, prawda?

Teraz to Belizariusz podskoczył na krześle jak oparzony.

- Nie. Dobry Boże! Nawet o tym nie pomyślałem, kiedy zaproponowałem jej klejnot.

- Siedemnaście lat - powiedział były cesarz martwym głosem. - A potem umrze z powodu nowotworu.

Macedończyk odkaslnął.

- Jeżeli uda nam się pokonać Malawian...

Justynian machnął ręką.

- To nieistotne, Michale. Malawianie niosą ze sobą wiele zła, ale z pewnością nie są odpowiedzialni za nowotwory. I nie zapominaj, że klejnot pokazał mi przyszłość, która mogła się zdarzyć. Przyszłość, w której Malawianie nie zdobyli całego świata, gdyż nie pomagał im demon o imieniu Ogniwo. Przyszłość, w której nadal byłem cesarzem i udało mi się podbić zachodnie wybrzeża Morza Śródziemnego.

Zamilkł na chwilę z pochyloną głową.

- Mam rację, Belizariuszu, prawda?

Mężczyzna zawahał się i w myślach zadał pytanie klejnotowi.

**Ma rację**, nadeszła odpowiedź. Aide przewidziało następne pytanie.

**Na raka nie ma lekarstwa. A przynajmniej nie będzie jeszcze przez wiele lat, nawet stuleci.**

**Jest poza twoim zasięgiem.**

Belizariusz wziął głęboki oddech.

- Tak, Justynianie. Masz rację. Bez względu na to, co się stanie, Teodora umrze na raka za siedemnaście lat.

Były cesarz westchnął.

- Razem z oczami wypalili mi zdolność do płaczu. Czasami przeklinam za to moich oprawców, bardziej niż za utracony wzrok.

Justynian wziął się w garść, wstał i zaczął przechadzać się po pokoju.

W pomieszczeniu, niegdyś pełnym posągów i ozdób, było teraz pusto. Teodora kazała wszystko wynieść. Bała się, że jej niewidomy mąż potknie się i przewróci.

Jednakże szybko pozbyła się strachu. Belizariusz, jak zawsze, z podziwem obserwował Justyniana, który z łatwością omijał przedmioty stojące na podłodze. Najwyraźniej były cesarz doskonale zapamiętywał ich położenie i bez trudu poruszał się pomiędzy krzesłami, stołem oraz pozostałymi sprzętami.

Ale w pokoju nie było już posągów ani ozdób. Justynian ich nie potrzebował, gdyż i tak nie mógłby podziwiać ich piękna. Zamiast tego wypełnił pomieszczenie przedmiotami, które od dawna stanowiły jego ulubione hobby. Połowa podłogi została zagracona mechanicznymi zabawkami i dziwnymi urządzeniami. Twierdził nawet, że ślepotą stała się jego atutem, gdyż mógł teraz wnikać w wewnętrzną strukturę swoich zabawek. Generał popatrzył na jeden z większych mechanizmów, który stał w kącie pokoju. W tej chwili urządzenie nie pracowało. Lecz Belizariusz widział, jak je uruchamiano. Justynian skonstruował tę rzecz, bazując na opisie wizji, jakich dowódca doświadczał przy połączeniu z Aide.

Była to pierwsza prawdziwa maszyna parowa zbudowana w Rzymie, a nawet na całym świecie. Nigdzie takich nie widział, nawet podczas podróży do malawiańskich Indii. Urządzenie - samo w sobie - nie było niczym więcej niż tylko zabawką, ale stanowiło model pierwszej lokomotywy, którą kiedykolwiek zaplanowano. Z pewnością nadejdzie dzień, kiedy Belizariusz zyska możliwość przerzucania swoich wojsk z jednego pola bitwy na drugie za pomocą takiej samej metody, jaką Aide pokazywało mu w wizjach. W obrazach potwornej rzezi z przyszłości, która będzie się nazywać Wojną Secesyjną.

Głos byłego monarchy przywołał go do rzeczywistości.

- Siedemnaście lat - mrucał Justynian smutnym głosem. - A ja, zgodnie z przepowiedniami klejnotu, będę żył, aż stanę się staruszką z demencją. - Na jego okaleczonej twarzy pojawił się wyraz bólu. - Zawsze miałem nadzieję, że ona mnie przeżyje - szepnął i skrzyżował ręce na piersiach. - No cóż, tak musi być. Dam jej naprawdę wspaniałe siedemnaście lat. Będę się starał najlepiej, jak potrafię.

- Tak - odparł Belizariusz.

Justynian potrząsnął głową.

- Boże, cóż za strata. Czy kamień także ci to pokazał, Belizariuszu? Tę przyszłość, w której nie ma Malawian? Przyszłość, w której wydałem ci rozkaz, abyś podbił zachodnie wybrzeża Morza Śródziemnego w imię odzyskania chwały Rzymu? Czy widziałeś, jak połowa Cesarstwa ginie od zarazy, podczas gdy ja marnuję królewski skarb i garściami czerpię złoto na wielkie, nikomu nie potrzebne posągi?

- Świątynia Mądrości Bożej nie była stratą pieniędzy, Justynianie - zaprzeczył zapytany. - To jest, to znaczy, byłaby jednym z największych cudów świata.

Justynian sarknął drwiąco.

- Dobrze, dopuszczę ten jeden wyjątek. Nie, dwa. Skodyfikowałem także rzymskie prawo. Ale reszta? Ten... - pstryknął palcami - twój sekretarz. No wiesz, plotkarz. Jak on się nazywa?

- Prokopiusz.

- Tak, on. Ta fałszywa ropucha napisała nawet księgę, w której wysławia te niedorzeczne budowle. Czy ją widziałeś?

- Tak.

- Słyszałem, że pozbyłeś się już tego śliskiego gada - wtrącił Michał. - Teraz nie potrzebujesz już, żeby rozpuszczał fałszywe plotki, które miały dojść do uszu naszych wrogów. Całe szczęście, że się go pozbyłeś.

Belizariusz zachichotał.

- Tak, wreszcie go wyrzuciłem. I szczerze wątpię, aby szpiedzy Malawy dalej wierzyli w to, że Antonina spędza cały czas w naszym majątku w Syrii na organizowaniu płomiennych orgii, kiedy tylko ruszę się z domu.

- A już na pewno nie po tym, jak pokazała się na Hipodromie ze swoimi syryjskimi grenadierami i zdławiła powstanie Nika! - warknął Justynian. Były cesarz potarł okaleczone oczodoły. - Skoro twój sekretarz stracił pracę, podeślij go mnie. Każę mu napisać książkę. Dokładnie taki sam stek propagandowych bzdur, jaki napisał dla mnie w innej przyszłości. Tylko że nie każę nazwać jej „Budowle”. Nazwę ją „Prawa” i pod niebiosą będzie słać Wielkiego Justyniana, który uszczęśliwił Rzym najwspanialszym systemem prawnym na całym świecie.

Wrócił na swoje miejsce.

- No dobrze, wystarczy - powiedział. - Chcę teraz porozmawiać o czymś innym. Belizariuszu, trochę się martwię wyprawą Antoniny do Egiptu.

Generał uniósł brew.

- Ja również! - rzekł lekko podniesionym głosem. - Przecież to moja żona. Wcale mi się nie podoba pomysł, żeby wysłać ją do bitwy z jedyne...

- Nonsens! - przerwał mu były władca. - Poradzi sobie doskonale, podobnie jak tutaj, w Konstantynopolu. Nie doceniasz jej, Belizariuszu. Każda kobieta jej wzrostu, która jest w stanie posiekać pół tuzina ulicznych zabijaków, poradzi sobie z tym bękartem Ambrozjuszem. Martwię się o to, co będzie później. Kiedy już zdławi to mini powstanie, wyruszy przecież dalej. Dołączy do naszych sił walczących na morzu. I co potem? - Justynian pochylił się do przodu, kierując puste oczodoły w stronę generała.

- Kto wtedy będzie kontrolował Egipt?

- Znasz nasze plany, Justynianie. Dowództwo Armii Egiptu weźmie Hermogenes i...

Były cesarz prychnął gniewnie.

- Człowieku, przecież to zwykły żołnierz! Cóż, diabelnie dobry, z pewnością. Ale żołnierze na nic się nie przydadzą, gdy trzeba będzie zgnieść religijnych fanatyków, którzy wywołują zamieszki w Egipcie. - Westchnął ciężko. - Zaufaj mi, Belizariuszu. Mam duże doświadczenie w tej kwestii. Jeżeli używasz żołnierza, aby zdławił mnicha, wszystko, co zyskasz, to nowego męczennika.

Justynian zwrócił się do Michała.

- Michale, ty jesteś nam potrzebny. Będziemy potrzebowali twojego autorytetu.

- I Antoniusza - dodał mnich.

Niewidomy machnął ręką, zniecierpliwiony.

- Tak, tak, i oczywiście z pomocą patriarchy. Ale to ty jesteś najważniejszy.

- Ale dlaczego? - zdziwił się Michał.

- Ponieważ zmiana cesarskich zwyczajów i nawyków, które powstawały przez wiele stuleci, będzie wymagała religijnego ferworu - wyjaśnił Belizariusz. - Potrzebny nam ruch społeczny, u którego podstaw znajdzie się zapał i przekonanie. W tej kwestii zgadzam się z Justynianem. Ma rację, żołnierze tylko kreuja męczenników. - Odchrząknął. - A co do innych... cóż, Antoniusz jest najlepszym człowiekiem, jakiego znam. To prawdziwy święty. To idealny patriarcha, ale...

Na szczupłej twarzy mnicha pojawił się krzywy uśmiech.

- On raczej nie został stworzony do karania nieprawości - dokończył Michał. Macedończyk poprawił się na krześle; przypominał jastrzębia, który mości się na najwyższej gałęzi. - Ja, z drugiej strony, nie mam takich oporów.

- Powiedziałbym, że wręcz odwrotnie - mruknął Justynian.

Były cesarz uśmiechnął się ponuro. Całkowicie aprobował metody Michała z Macedonii. Stylicki



mnich był świętym człowiekiem, czego o Justynianie nie można było powiedzieć. Jednakże z pewnością mieli ze sobą wiele wspólnego. W młodości cesarz był trackim wieśniakiem, a Michał - macedońskim pasterzem. Należeli do prostych ludzi. Ale także dość dzikich, każdy na swój własny sposób.

- Już postanowiliśmy, że wyślemy mnichów Michała do Egiptu, Justynianie - odezwał się znów Belizariusz, jednocześnie potrząsając głową. - Zgadzam się, że mogą tam pomóc. Jednakże bezspornym faktem jest, że ci mnisi, nie posiadając wsparcia wojskowego, wywołają tylko kolejną uliczną burdę i staną się nową frakcją, uwikłaną w zamieszki. My z kolei nie dysponujemy wielkimi siłami, a jedyne wolne oddziały, jakie udało nam się wygospodarować, zabieram ze sobą do Persji, nękaną przez Malawian. Nie możemy osłabić tych sił, Justynianie, a skarbiec jest pusty, więc nie stać nas na stworzenie nowej armii.

Nagle w umyśle trackiego generała pojawiły się obrazy.

Szeregi kawalerzystów. Ich broń i osłony, chociaż starannie wykonane, były proste i czysto użytkowe. Na zbroje narzucili gładkie tuniki. Białe tuniki, ozdobione czerwonymi krzyżami. Jechali główną ulicą wielkiego miasta. Za nimi maszerowała piechota, także ubrana w białe, proste tuniki, ozdobione wielkimi, czerwonymi krzyżami.

Generał roześmiał się głośno.

*Dziękuję ci, Aide!*

Zwrócił się do Michała:

- Czy masz już nazwę dla swojego nowego porządku religijnego?

Macedończyk skrzywił się.

- Proszę cię, Belizariuszu. Ja nie stworzyłem tego porządku. To inni...

- Zainspirowani twoimi naukami - wtrącił Justynian.

- ...go stworzyli i praktycznie mi narzucili. - Mnich niemalże zawył. - Nie mam pojęcia, co z nimi zrobić. Zaproponowałem, żeby jechali z Antoniną do Egiptu, bo nie wiedziałem, jak się ich pozbyć. Ciągłe domagają się ode mnie cudów, a ja przecież nie jestem Bogiem.

Generał uśmiechnął się. Mimo niesamowitej siły charakteru, dzięki której z łatwością zostałby mesjaszem, Michał z Macedonii nie nadawał się na przywódcę sekty i Belizariusz nie wyobrażał sobie, że mnich byłby w stanie poprowadzić jakąkolwiek zdyscyplinowaną grupę wyznawców.

- Ktoś musi zebrać ich do kupy - oświadczył. - Zorganizować ich. Nie minął nawet miesiąc, odkąd zaczęłaś publicznie wygłaszać kazania na Forum Konstantynopola, a na ulicach zaczęły pojawiać się grupki rozgłaszające twoje nauki.

Macedończyk sarknął.

- W rzeczywistości było ich trzech. To Marek z Aten, Zenon Symmachus i Ganzeryk. Zenon to Egipcjanin z Fajum; Ganzeryk to Got. Marek, oczywiście, jest Grekiem. Marek należy do ortodoksów, Zenon to monofizyta, a Ganzeryk jest arianinem.

- Ale jakoś się dogadali? - spytał Belizariusz, powstrzymując uśmiech.

Michał z Macedonii już miał znów wybuchnąć, ale nagle się uspokoił.

- Tak, Belizariuszu. Uważają, podobnie jak ja, że problem Trójcy Świętej to sprawa szatana, który w ten sposób odwraca uwagę ludzi od swoich ciemnych sprawek. - Uśmiechnął się lekko. - Jednak nie myśl sobie, że w pomieszczeniach, w których przebywają, usłyszysz tylko łagodne głosy, piejące zgodnym chórem. Często dyskutują, ale nie ma w nich złości. Są braćmi i miłują się nawzajem, tak samo jak kochają mnie.

- A czyją ty zajmujesz stronę podczas tych okazjonalnych dysput? - zainteresował się Justynian.

- Doskonale wiesz, jaka jest moja pozycja - warknął Michał.

Były cesarz uśmiechnął się: uwielbiał teologiczne spory. Nie licząc opieki Teodory, to właśnie Michał i patriarcha Kasjan pomogli odnaleźć mu drogę w ciemnościach, tuż po tym, jak został oślepiiony.

- Moja opinia co do Trójcy Świętej jest tak samo ortodoksyjna jak Antoniusza - oznajmił Stylita.  
- Chociaż ja stawiam sprawę prościej - prychnął. - Mój przyjaciel Antoniusz Kasjan jest Grekiem, a tym samym nie zadowala się prostą prawdą, kiedy może epatować sprytnymi greckimi sylogizmami i sprawić, że zatańczą wedle dialektycznych greckich tonów. Lecz ja nie jestem Grekiem, tylko Macedończykiem. Prawda, mamy wspólnych przodków. Grecy otrzymali od Boga intelekt jak brzytwa, podczas gdy my zadowoliliśmy się zdrowym rozsądkiem.

Michał uśmiechnął się lodowato.

- I to właśnie dlatego wielki Filip, mój przodek, stracił wreszcie cierpliwość i postanowił ujarzmić całe to rozgadane towarzystwo. I dlatego jego syn, Aleksander, podbił połowę świata.

- Żeby Grecy mogli go po nim odziedziczyć - dokończył Justynian.

- Więc postaw ich na czele nowego obrządku - powiedział Belizariusz. - I znajdź kobiety, które wykażą się podobnymi talentami. Muszą być takie.

Michał pogładził siwą brodę.

- Tak - rzekł po chwili zastanowienia. - A dokładnie znam dwie, które natychmiast przyszły mi do głowy. Juliana Sygarius i Helena z Armenii.

- Juliana Sygarius? - zdziwił się były władca. - Ta wdowa po...

Mnich skinął głową.

- Ta sama. Nie wszyscy moi wyznawcy pochodzą z plebsu, Justynianie. Część należy do szlacheckich rodów, chociaż większość wywodzi się z plebsu. Juliana jest jedyną kobietą z klasy senatorów, która odpowiedziała na moje wezwanie. Powiedziała mi nawet, że oddaje całą swoją fortunę do mojej dyspozycji.

- Dobry Boże! - krzyknął Justynian. - Ona jest jedną z najbogatszych osób w całym Cesarstwie!

Michał spiorunował go wzrokiem.

- Doskonale zdaję sobie z tego sprawę, bardzo dziękuję! I co niby mam zrobić z tą wiedzą? Od wczesnej młodości żyłem z jałmużny. To przyzwyczajenie, którego nie zamierzam zmieniać.

Kwaśny wyraz twarzy mnicha doskonale oddawał jego nastawienie do bogactwa. Zaczął mamrotać coś pod nosem, z czego zebrani zrozumieli tylko parę przewijających się słów o wielbłądzie i uchu igielnym. Nie były to miłe słowa. A w zasadzie bardzo niemiłe.

Belizariusz wtrącił się, żeby powstrzymać nadchodzącą burzę.

- Użyjesz tej fortuny, Michale, żeby kupić broń i opancerzenie. I zapasy, które wesprą żołnierzy nowego porządku.

- Będą zebrać o pieniądze, a niech ich! - warknął Michał. - Tak samo jak ja!

Generał potrząsnął przecząco głową.

- Będą zbyt zajęci. Bardzo zajęci. - Dowódca uśmiechnął się szeroko, a nie półgębkiem, jak to miał w zwyczaju. - To ty, Michale, będziesz twórcą nowego porządku religijnego. Porządku zbrojnego.

W umyśle generała pojawiła się nazwa.

- Nazwiemy ich Szpitalnikami - powiedział pochylając się na krześle.

Prowadzony przez Aide poprzez zawity labirynt historii Belizariusz zaczął im objaśniać swój pomysł.

\* \* \*

Kiedy Michał już poszedł, w pośpiechu wybiegając z Wielkiego Pałacu, Justynian westchnął

ciężko.

- To się nie uda, Belizariuszu. Och, z pewnością. - Były cesarz, mistrz intryg i dworskich gier, ze smutkiem potrząsnął głową. - Po pierwsze ludzie są z natury grzesznikami. Po jakimś czasie twoi nowi mnisi zmieniają się w kolejną gromadę ambitnych i chciwych duszpasterzy, chwytających wszystko, co im się tylko nawinie.

*Zobaczył obraz. Wspaniały pałac. Korytarzami, zdobnymi w drogie posągi i bogate gobeliny, skradali się ludzie. Mieli na sobie proste tuniki, ciągle białe z czerwonym krzyżem. Ale teraz tuniki szyto z jedwabiu, a rękojeści mieczy, wystających z pochew, były ozdobione klejnotami.*

- Prawda - odparł Belizariusz, ale w jego głosie nadal słychać było nutki doskonałego humoru. - Ale staną się tacy, jak mówisz, dopiero wtedy, gdy pokonamy Malawian. A potem... - Wzruszył ramionami. - Wiem aż nazbyt wiele o zmaganiach, które rozpoczęły się w dalekiej przyszłości i nas także uwikłały w kłopoty. Lecz zawsze czułem, że stoimy po właściwej stronie, ponieważ nasi wrogowie, ci, którzy nazywają siebie nowymi bogami, szukają perfekcyjnego człowieka. A kogoś takiego nie ma i nigdy nie będzie.

Wstał z krzesła.

- Wiesz o tym, tak samo dobrze jak ja. Czy naprawdę sądzisz, że twoje nowe prawa i sądy w efekcie sprawią, że zaczniemy żyć w Raju na Ziemi? Dadzą koniec wszelkiej nieprawości?

Justynian chrząknął sarkastycznie.

- A więc po co się męczysz i je tworzysz? - zapytał Belizariusz.

- Ponieważ sądzę, że warto - warknął rozmówca.

Generał pokiwał głową.

- Bóg osądzi nas za nasze poszukiwania, a nie za to, co znaleźliśmy.

Belizariusz zbierał się do odejścia. Justynian przywołał go jednak z powrotem.

- Jeszcze jedna rzecz, Belizariuszu, jeżeli już mówimy o wizjach. - Były cesarz uśmiechnął się krzywo i dość sceptycznie. Może nawet sardonicznie. - Czy miałeś jakieś wieści o swojej małej protegowanej w Indiach? Czy już udało jej się sprawić, że Malawianie wyją z wściekłości?

Wojskowy także się uśmiechnął i potrząsnął głową.

- Pytasz o Szakuntalę? Nie mam pojęcia... I zapamiętaj sobie, że ja nie mam wizji! Aide nie jest magiczne, Justynianie. Nie ma daru jasnowidzenia. Podobnie jak ty czy ja. - Generał uśmiechnął się do siebie, chociaż w jego głosie nie było sarkazmu. I nie skrzywił warg tak, jakby chciał sobie z kogoś zadrwić. - Wyobrażam sobie, że świetnie jej idzie. Zapewne zebrała już wokół siebie małą armię.

- Gdzie teraz jest?

Belizariusz wzruszył ramionami.

- Według planu miała szukać azylu w południowych Indiach. Jej dziadek jest królem Kerali. Ale nie wiem, czy rzeczywiście się tam udała. Nie mam żadnych wieści. To właśnie dlatego Irena pojedzie z Antoniną do Egiptu. Będzie próbowała odnowić kontakt z Szakuntalą i Rao poprzez Etiopczyków.

- A tak przy okazji, nie mogę powiedzieć, żebym był z tego zadowolony - odparł Justynian zrzędlawie. - Nie sprzeciwiłem się na radzie, gdyż wydało mi się, że to już postanowione. Ale... Irena jest doskonałym szpiegiem. Byłbym znacznie szczęśliwszy, gdyby została w stolicy, przy Teodorze, i miała oko na zdrajców. I czy naprawdę myślisz, że to małe powstanie, którego wywołanie zajęło ci tak wiele czasu i pieniędzy, naprawdę się rozwija? - dodał sceptycznie. - Czy to nie są twoje pobożne życzenia?

Belizariusz przez chwilę patrzył na niewidomego, zanim sformułował odpowiedź. Justynian, przy

całej swojej błyskotliwości, nie potrafił docenić siły ludowego powstania, gdyż odbiegał temperamentem od prostych ludzi. Mężczyzna ciągle myślał jak cesarz. Generał podejrzewał, że zawsze tak było, nawet wtedy, gdy Justynian sam uprawiał ziemię.

- Znam tę dziewczynę, Justynianie. A ty nie. Jest młoda, ale ma w sobie potencjał i z pewnością kiedyś zostanie doskonałą władczynią. A Rao jest jednym z najlepszych generałów w Indiach.

- I co z tego? - mruknął tamten. - Jeżeli sukces powstania spoczywa całkowicie na barkach dwóch osób, Malawianie mogą się tym zająć za pomocą swoich zabójców.

Belizariusz zaśmiał się.

- Zabić Rao? Przecież on sam jest najlepszym zabójcą w Indiach! Niech Bóg pomoże Malawianinowi, który będzie próbował wbić mu nóż w plecy! - Potrząsnął głową. - A co do Szakuntali, ona też jest całkiem sprawną maszyną do zabijania. Rao ją trenował, a zaczął, kiedy miała siedem lat. I ma najlepszych ochroniarzy na świecie. Elitarny oddział Kuszan, dowodzony przez mężczyznę o imieniu Kungas.

Były cesarz ciągle wątpił, co było doskonale widoczne w wyrazie jego twarzy. Belizariusz, patrząc na niego, doszedł do wniosku, że i tak nie zmieni jego nastawienia.

*Nie było go przy tym; nie widział, tak jak ja, Szakuntali, która wygrywała lojalność Kuszan, jej strażników i oprawców, wysłanych przez Malawian. Boże, w duszy tej dziewczyny jest wielka siła!*

Odwrócił się. A potem, uderzony jednym ze wspomnień, znów podszedł do byłego monarchy.

- Kiedy byłem w Indiach, Aide sprowadziło na mnie wizję. Gdy ją ujrzałem, utwierdziłem się w przekonaniu, że powinienem uwolnić Szakuntalę.

Justynian pochylił głowę i uważnie słuchał.

- W przyszłości, wiele stuleci naprzód, w świecie, który może zaistnieje, cała Europa będzie pod dominacją jednego z największych generałów i zdobywców. Jego imię to Napoleon. W końcu jednak zostanie on pokonany przez własną niezaspokojoną ambicję. Do porażki przyczyni się między innymi wielka, krwawiąca rana w Hiszpanii. Podbije Hiszpanię, ale nigdy nie będzie jej władcą. Jego żołnierze latami będą ginąć w nigdy nie kończącym się hiszpańskim powstaniu. Rebelianci dostaną wsparcie od narodu, który powstanie na wyspie nazywanej przez nas Brytanią. Wyspiarze nazwą te zmagania Wojną Hiszpańską. A kiedy już pokonają Napoleona, przeanalizują całą wojnę i dojdą do wniosku, że powstanie walcie się przyczyniło do zwycięstwa.

Były cesarz ciągle wątpił.

Belizariusz wzruszył ramionami i wyszedł.

\* \* \*

Na zewnątrz, na korytarzu, usłyszał w umyśle słowa Aide.

**To nie jest miły człowiek.**

Fasety błysnęły i zawirowały, tworząc nową konfigurację. Jak w kalejdoskopie - kolory emocji Aide tańczyły w blasku. Kwaśny niesmak został zastąpiony pewnym rodzajem lekko drwiącego humoru.

**Oczywiście książę Wellington także nie był miłym człowiekiem.**

\* \* \*

Justynian został sam w pokoju. Nie ruszał się z krzesła. Spędził parę chwil, zastanawiając się nad ostatnimi słowami generała, ale nie zajęło mu to dużo czasu. Znacznie bardziej interesowała go inna sprawa. Gdzieś w głębi potwornych wizji, zesłanych na niego przez klejnot, Justynian ujrzał ślad czegoś, co dało mu nadzieję.

Zobaczył posąg. Wyrzeźbiony przez twórcę kształt miał przedstawiać sprawiedliwość.

Postać była niewidoma.

- W przyszłości - wymamrotał do siebie - kiedy ludzie będą wysławiać sprawiedliwość, powiedzą, że jest ślepa.

Mężczyzna, który kiedyś był jednym z najlepszych cesarzy w długiej historii Rzymu, a już z pewnością najinteligentniejszym, potarł puste oczodoły. Po raz pierwszy od chwili, gdy wyłupiono mu oczy, gestu tego nie podyktowała desperacja ni gorycz.

Justynian Wielki. Tak bardzo chciał, żeby przyszłość ochrzciła go właśnie tym imieniem.

Może...

Teodora, ulegając naleganiom Belizariusza, stworzyła dla męża całkiem nową pozycję na dworze. Był teraz głównym specjalistą od prawa. Po raz pierwszy od wielu setek lat prawo rzymskie miało zostać skodyfikowane, zinterpretowane i spisane przez człowieka, który doskonale się do tego nadawał. Jakie by nie były jego wady i potknięcia, nikt w całym Cesarstwie nie miał wątpliwości, że Justynian jest najlepszym prawnikiem w całym basenie Morza Śródziemnego.

Może...

W końcu istnieli Salomon i Solon, a przed nimi Hammurabi.

Ale i tak ich lista była krótsza niż spis wielkich cesarzy. Znacznie krótsza, kiedy o tym pomyślał.

# MUZIRIS

*Wiosna, 531 r n.e.*

## Rozdział 5

- Już za chwilę - wyszeptał zabójca stojący przy oknie. - Widzę pierwsze szeregi jej kawalerzystów. Wyjeżdżają z za rogu.

Dowódca oddziału malawiańskich zamachowców podszedł do okna. Zwiadowca odsunął się. Delikatnie, samym koniuszkiem palca, dowódca odsunął zasłonę zaledwie na kilka centymetrów. Spojrzał na przebiegającą w dole ulicę.

- Tak - wymamrotał. Odwrócił się i dał znak prawą dłonią. Pozostali dwaj zabójcy podeszli do niego. Nieśli bombardę. Poruszali się ostrożnie i z wysiłkiem. Bombarda miała ponad pół metra długości i około dwudziestu centymetrów średnicy. Zrobiono ją z kutyh żelaznych sztab, kwadratowych w przekroju i grubych na trzy centymetry. Sztaby połączono na kształt baryłki, wzmocnionej czterema żelaznymi opaskami. Na końcu bombardy przymocowano grubą płytkę. Działo przyśrubowano do drewnianego stelażu, wykonanego z drzewa tekowego, wzmocnionego mosiądzem, o wymiarach pół na pół metra. Dwaj mężczyźni uginali się pod ciężarem urządzenia.

Ich wysiłek częściowo spotęgowały przeszkody, jakie napotykali na swojej drodze. Pokój był uiany szczątkami mebli i przedmiotów, należących do ubogich właścicieli apartamentu.

Szli do okna, omijając ciała członków rodziny, która tu kiedyś mieszkała. Mężczyzny, jego żony, matki i czwórki dzieci. Zabójcy zrzucili ciała na kupę w kącie. Ale pokój był zbyt mały, żeby pomieścić siedem ciał, zajmowały one trzy czwarte podłogi. Deski pokrywała warstwa przyschniętej krwi, ciągle jednak lepkiej. Na czerwonych plamach i ciałach siedziały chmary much.

Jeden z zabójców zmarszczył nos.

- Już zaczynają śmierdzieć - mruknął. - Niech diabeł porwie Indie Południowe i ich cholerny tropikalny klimat. A do tego mamy porę gorącą. Powinniśmy trzymać ich przy życiu, aż...

- Zamknij się - syknął przywódca. - Co niby mieliśmy zrobić? Trzymać ich pod strażą przez cały dzień? Dziecko i tak by zaczęło krzyczeć.

Podwładny zamilkł nagle. Kilka sekund później on i jego towarzysz opuścili bombardę na prowizoryczną platformę strzelniczą, którą oddział zabójców zbudował naprędce z samego rana. Była ona nieco chwiejna, gdyż składały się na nią zrzucone bezładnie na kupę posłania i dwa wiklinowe krzesła, czyli jedyne meble ubogiej rodziny. Ale musiała im wystarczyć. Bombarda zresztą nie stanowiła pełnowymiarowego działa. Miała strzelić tylko raz, wyrzucając małe kawałki metalu. Odrzut wyśle działo na przeciwległą ścianę, ale wtedy i tak już na nic im się nie przyda.

To wystarczy. Kiedy imperatorowa Andhry, obecnie na wygnaniu, będzie przejeżdżała pod oknem, znajdzie się w odległości zaledwie kilkunastu metrów. Nie ucieknie, nawet jeżeli dostanie ostrzeżenie w ostatniej chwili. Wąskie uliczki były z obu stron ograniczane przez ulepione z gliny budyneczki, identyczne jak ten, w którym leżeli i czekali zabójcy. Na takim dystansie pojemnik z metalowymi kulkami nie pozostawi w uliczce nikogo żywego.

- Nadjeżdża - szepnął zwiadowca. Wyglądał teraz przez drugie okno. Podobnie jak jego dowódca odciągnął zasłonę zaledwie na parę centymetrów.

- Czy jesteś pewien, że to ona? - zapytał przywódca. Zwiadowca został przydzielony do oddziału zabójców, ponieważ jako jeden z niewielu Malawian osobiście spotkał się z księżniczką tuż po rzezi, jaka odbyła się w Amavarati. Oczywiście, od tamtej pory dziewczynie przybyło lat. Ale nie tak wiele, żeby zwiadowca nie mógł jej rozpoznać.

- To musi być Szakuntala - odparł. - Nie widzę jej twarzy, bo ma na sobie welon. Ale jest drobna, ciemnoskóra, i nosi królewskie regalia. Któż inny by to mógł być?

Przywódca jęknął. Wolałby bardziej dokładną identyfikację, lecz...

Syknął niezrozumiały rozkaz do dwóch pozostałych zabójców. Komenda była niepotrzebna. Mężczyźni już zabrali się do ładowania bombardey prochem i pojemnikiem z kulkami. Przywódca znów odwrócił się do okna i wyjrzał na ulicę poniżej. Nie szukał punktu celowniczego. Bombarda nie należała do broni wyrafinowanych i dokładne celowanie nie było potrzebne, a już szczególnie na taką odległość.

Zwierzchnik ostatni raz obejrzał działą. Nie mógł powstrzymać grymasu. W tak małym pomieszczeniu wybuch i siła odrzutu z pewnością wywołają jakieś urazy u zgromadzonych zabójców. Miał nadzieję, że po odpaleniu działą nie zostaną unieruchomieni. A przynajmniej nie na tyle, żeby uniemożliwiło im to ucieczkę z domu, gdy wokoło zapanuje chaos i dezorientacja po tym, jak Szakuntala i jej najbliższa ochrona padną trupem.

- Chciałbym, żeby już im się udało opracować te zapalniki kontaktowe, nad którymi tak się biedzą - mruknął jeden z zabójców. - Wtedy moglibyśmy użyć prawdziwego działą z normalnej odległości. Ten nieszczęsny...

- Dlaczego nie życzysz sobie, żeby nie miała tysięcy marathijskich kawalerzystów w swojej osobistej ochronie, kiedy już o tym mowa? - sarknął przywódca. - I tych cholernych Kuszan, co tak sprawnie podrzynają gardła? Wtedy moglibyśmy po prostu wbić jej nóż pod żebro, zamiast...

- Pięćdziesiąt metrów - syknął zwiadowca. - Pierwsi kawalerzyści właśnie przejeżdżają pod nami.

Przylepił się do ściany i zszedł niżej, tak blisko okna, jak tylko zdołał bez ryzyka, że zostanie odkryty. Na jego twarzy, obok spokoju profesjonalisty, czaił się ponury grymas. Był prawie pewien, że zostanie solidnie przypalony ogniem wylotowym działą. A istniała także możliwość, iż jakiś słabszy spaw puści podczas wystrzału i działą rozpadnie się na części.

- Czterdzieści metrów.

Jeden z mężczyzn zajmujących się ustawianiem bombardey uciekł do odległego kąta i zwinął się w kulkę. Drugi wyjął krzesiwo i zapalił małe, żarzące się łuczywko. Podał je dowódcy i w pośpiechu dołączył do swojego kolegi. Przywódca kucnął tuż przy otworze zapłonowym, gotów podpalić ładunek.

- Trzydzieści trzy metry - oznajmił zwiadowca stojący przy oknie. - Szykuj się.

Mężczyźni zebrani w pomieszczeniu wzięli głęboki oddech. Już wcześniej podjęli decyzję, że odpalą bombardę, kiedy księżniczka znajdzie się w odległości dwudziestu metrów od nich. Wiedzieli, że w czasie potrzebnym do zapalenia prochu koń dziewczyny nie przejdzie więcej niż pięć metrów. Jeżeli wszystko miało pójść zgodnie z planem, worek pełen ołowianych kulek zamieni władczynię podbitej Andhry, obecnie na wygnaniu, w kupkę mielonego mięsa.

Dowódca uniósł łuczywko i przysunął je blisko do otworu zapłonowego.

- Trzydzieści metrów.

Drzwi tuż za nimi buchnęły, niczym wulkan, potokiem drzazg. Pierwszy mężczyzna, który wpadł do pomieszczenia, uderzył przywódcę, zanim ten zdołał mrugnąć. Cios miecza był bardzo brutalny, ale nie śmiertelny. Miał na celu odrzucenie zabójcy od działą. W możliwie krótkim czasie. Zamachowiec wył z bólu. Jego prawe ramię zwisało na pasku skóry, na wpół odcięte tuż nad łokciem. Łuczywko dopalało się nieszkodliwie na podłodze, sycząc w powiększającej się plamie krwi.

Zwiadowca przy oknie miał ułamek sekundy na rozpoznanie swojego zabójcy, zanim miecz wbił

się głęboko w jego serce. Znał imię, lecz nie potrafił go sobie przypomnieć. Wiedział tylko, że zginął z ręki dowódcy kuszańskich strażników Szakuntali. Z ręki człowieka, którego on i jego ludzie nazywali po prostu Żelazna Maska.

Jeden z zabójców, zwiniętych w kacie, umarł chwilę później, posiekany na kawałki przez trzech kuszańskich żołnierzy, którzy wpadli do pokoju tuż po swoim dowódcy. Żelazna Maska sam zajął się ostatnim zamachowcem. Nie zabił od razu, bo chciał najpierw go przesłuchać. Kuszanin zanurkował pod prawą ręką, dzierżącą broń, i ogłuszył napastnika ciosem głowicy miecza w czoło.

Kuszański dowódca rozejrzał się po pokoju. Do pomieszczenia wpadło kolejnych pięciu Kuszan i nagle zrobiło się ciasno jak w beczce z rybami. Trzech zajęło się zabójcą, któremu ich dowódca niemalże odciął rękę, gdy jako pierwszy wpadł do pokoju.

- Wystarczy - rozkazał. - Idziemy do imperatorowej.

- Nie ma takiej potrzeby, Kungasie - mruknął jeden z jego ludzi. - Ona już tu jest.

- Cholerna dziewczucha! - wrzasnął Kungas. - Mówiłem jej, żeby trzymała się z tyłu.

Kuszański dowódca podbiegł do okna i z wściekłością wyrzwał na zewnątrz. Imperatorowa, a właściwie jej sobowtór, siedziała na koniu, otwierając kolumnę. Dziewczyna właśnie zaczynała się trząść. Uniosła drżącą dłoń i odsunęła welon. Otarła twarz, rozmazując ciemny barwnik, którym ją pomalowano.

Ale Kungas nie patrzył na nią, lecz dalej, w dół kolumny jezdnej eskorty. Na postać innej drobnej dziewczyny, która właśnie się zbliżała. W odróżnieniu od imperatorowej tamta nie nosiła ozdobnych i ciężkich szat. Miała na sobie tylko prostą, kolorową tunikę i pantalony, czyli strój typowej obozowej ciury, może żony nisko postawionego żołnierza. Ona także odznaczała się ciemną karnacją, jednak jej skóra była naturalna, a dłonie nie drżały ani trochę.

- Ale się nasłuchasz - mruknął Kuszanin stojący tuż obok Kungasa. - Wygląda na bardziej wściekłą od tygrysy broniącej swoich młodych. Oczywiście, ona jest małą tygrysyką - dodał wesoło. - Chociaż to małe pocieszenie.

Kungas burknął coś pod nosem. Przez chwilę żołnierzowi wydawało się, że zamierza westchnąć. Ale trwało to ułamek sekundy i maska natychmiast opadła na twarz dowódcy.

Na ulicy poniżej prawdziwa imperatorowa wstrzymała konia i przystanęła na krótką chwilę, żeby zobaczyć, czy jej dublerce nic się nie stało. Potem wpadła do wnętrza domu.

Kungas stracił ją z oczu, ale mógł usłyszeć, jak wspina się po stromych, drewnianych schodkach, wiodących na wyższe piętro. Słyszał także jej głos.

- Jak to możliwe, że taka mała dziewczyna ma taki donośny głos - zdziwił się drugi Kuszanin. - I jak to się dzieje, że robi tyle hałasu tymi swoimi miękkimi bucikami?

- Zamknij się, Kaniszka - warknął Kungas. Kaniszka uśmiechnął się anielsko.

- Nigdy więcej, Kungas! - usłyszeli głos imperatorowej, dochodzący z dołu. - Czy dobrze mnie słyszysz? Nigdy więcej!

Wpadła do pokoju. Jej oczy natychmiast przygwoździły mężczyznę. Czarne, gorące oczy.

- Nigdy więcej! Dzijabai mogła zginąć!

Na żelaznej twarzy Kungasa nie widać było żadnych emocji. Tak samo w jego szorstkim głosie.

- Podobnie jak ty, imperatorowo. A ciebie nie da się zastąpić.

Szakuntala przez kilka sekund mierzyła go płonącym wzrokiem. Potem, gdy zdała sobie sprawę, że nie wzruszy twardogłowego dowódcy swojej straży przybocznej, rozejrzała się po pokoju. Wzdrygnęła się, kiedy zobaczyła ciała zamordowanej rodziny.

- Malawiańskie bestie - syknęła.

- Dlatego właśnie udało nam się ich wysledzić - odparł Kungas. - Nasi szpiedzy zauważyli, że



budynek wygląda na martwy. Wszyscy chowali się po pokojach. Potem wyczuli smród ciał.

Spojrzał na bombardę. Trzech Kuzan właśnie zabierało się za jej rozładowanie.

- Udało nam się ich odkryć w ostatniej chwili. To była doskonale przygotowana zasadzka.

Jedynym błędem, jaki popełnili, okazało się zbyt wczesne zabicie rodziny.

- Dziecko by płakało przez całą noc - skomentował Kaniszka.

Zwierzchnik Kuzan wzruszył ramionami.

- I co z tego? Wszyscy pomyśleliby, że to tylko płaczące dziecko w domu biedoty.

Szakuntala skrzywiła się. Kungas, na swój sposób, był najokrutniejszym i najtwardszym człowiekiem, jakiego знаła.

Oderwała wzrok od okropnego widoku ciał i popatrzyła na zabójców.

- Ilu udało ci się wziąć żywcem?

- Dwóch - odparł Kaniszka. - Lepiej niż się spodziewaliśmy.

- Będą mówić - orzekł Kungas. - To malawiańscy zabójcy, więc nie będzie łatwo. Ale przemówią.

- Z pewnością nie wiedzą zbyt wiele - odezwała się Szakuntala.

- Ale wystarczająco dużo. Miałem rację. Zobaczysz.

Imperatorowa popatrzyła na towarzysza. Po chwili odwróciła wzrok.

- Nie sądziłam, że do tego dojdzie. Mój własny dziadek.

- A czego się spodziewałaś? - Usłyszeli nagle głos od drzwi.

Szakuntala odwróciła się i zobaczyła, że na progu pokoju stoi Dadadzi Holkar. Jej nadworny doradca obrzucił pomieszczenie uważnym spojrzeniem i zatrzymał je dłużej na ciałach, zrzuconych na kupę w kącie.

- Malawianie - powiedział miękko. W jego głosie nie było potępienia ani oskarżeń. Po prostu wymówił słowo obojętnym tonem. Tak jakby wszystko było oczywiste. Spojrzał na Szakuntalę. - Czego się spodziewałaś, dziewczyno? - powtórzył. - Uszczęśliwiłaś jego królestwo malawiańską furią, sprowokowałaś ich, aby na niego spojrzeli. Zorganizowałaś prywatną armię w jego największym porcie. Wzbudziłaś na jego ulicach zamieszki i powstania.

- Wcale nie! To malawiańscy prowokatorzy podburzyli keralański tłum przeciwko uciekinierom z Andhry!

Holkar z uśmiechem pogładził brodę.

- Prawda. Ale to twoi marathijscy kawalerzyści roznieśli tłum na ostrzach mieczy i nabili opornych na lance.

- I właśnie tak powinni postąpić! - odparła zapalczywie. - Wielu z tych uchodźców także pochodziło z Maharasztry!

Doradca zachichotał.

- Nie zamierzam się z tobą kłócić o zasadnicze sprawy, dziewczyno! Po prostu chcę ci udowodnić, że stałaś się dla króla Kerali podstawowym źródłem kłopotów. Ten starzec nie jest wioskowym dziadem, ledwie powłóczącym nogami, Szakuntalo. W jego żyłach płynie królewska krew i ma w sobie duszę władcy. Wie, że teraz, kiedy Malawianie zaatakowali Persję, może choć na chwilę odsunąć od siebie zagrożenie, pod warunkiem, że nie będzie zwracał na siebie uwagi. Ostatnią rzeczą, której sobie życzy, jest jego własna wnuczka rozpętująca rebelię przeciwko Malawie na całym Dekanie, a w dodatku poczynając od jego własnego królestwa.

Holkar wszedł do pokoju, omijając ciała i plamy krwi. Kiedy podszedł do imperatorowej, położył delikatnie rękę na jej ramieniu. On jeden z całej eskorty mógł pozwolić sobie na ten gest. On jeden się ośmielił.

- Przecież to mój dziadek - szepnęła młoda kobieta. Jej głos drżał od tłumionego bólu. - Pamiętam, jak siadywałam na jego kolanach, gdy jeszcze byłam małą dziewczynką. - Wyrzała przez okno, żeby ukryć łzy napływające do oczu. - Przecież nie spodziewałam się, że mi pomoże. Ale ciągle nie mogę uwierzyć...

- Może to nie on wydał rozkazy, wasza miłość - wtrącił Kungas. - Prawdopodobnie to nie on. - Kuszański dowódca machnął ręką w kierunku martwych zabójców. - To są Malawianie, a nie Keralanie.

Czarne oczy Szakuntali nabrały twardego wyrazu.

- I co z tego? Sam to przepowiedziałeś, Kungasie. Próba zamachu przeprowadzona przez Malawian przy pełnej aprobacie keralańskich dostojników. - Odwróciła się, ze złością potrząsając ramionami. - Wicekról nie zorganizowałby tego na własną rękę. Nie odważyłby się.

- Dlaczego nie? Przecież może wszystkiemu zaprzeczyć. - Kuszanin znów skinął na martwych zabójców. - To Malawianie, nie Keralanie.

Szakuntala ruszyła w kierunku drzwi.

- Nie odważyłby się - powtórzyła. Kiedy dotarła do drzwi, odwróciła się i rzuciła ostatnie spojrzenie na ciała zamordowanej rodziny. - To robota mojego dziadka - syknęła. - Nie zapomnę o tym.

Chwilę później już jej nie było. Usłyszeli tylko, jak zbiega po schodach, tupiąc głośno, i wychodzi z domu. Dadadzi Holkar i Kungas wymienili spojrzenia. Doradca posmutniał. Natomiast na twarzy Kungasa malowało się współczucie, o ile żelazna maska jest w stanie wyrażać jakiegokolwiek uczucia.

Kaniszka właśnie kończył opatrywać ramię rannego dowódcy malawiańskich zabójców. Kuszanin pochylił się i podciągnął mężczyznę do góry. Ranny zaczął jęczeć. Kaniszka uciszył go jednym, celnym ciosem.

- Ale się cieszę, że nie jestem jej nadwornym doradcą - mruknął. - To tak, jakby doradzać tygrysicy, żeby przrzuciła się z mięsa na ryż. - Zarzucił sobie nieprzytomnego Malawianina na plecy i ruszył w kierunku drzwi.

- Prawda, to całkiem mała tygrysica - dodał jeszcze radośnie. - Ale nie chciałbym być na miejscu jej dziadunia.

Kuszanie w przeciągu minuty oczyścili pomieszczenie z ciał, także z zabitych członków rodziny zamieszkującej wcześniej dom. Zamierzali odnaleźć jakiegoś kapłana, który odprawi rytuały pogrzebowe. Dwaj malawiańscy zabójcy mieli zostać wrzuceni do dołu z gnojem. A dwaj pozostali, po szybkim przesłuchaniu, zostaną skazani na taki sam los.

Kungas i Holkar zostali sami w pokoju.

- Było naprawdę blisko - skomentował Dadadzi Holkar. W jego głosie nie zabrzmiała krytyka, tylko obojętne stwierdzenie faktu.

- Będą inni - odparł kuszański dowódca. - A potem jeszcze inni. To oczywiste, że keralańscy dostojnicy przymkną oko na malawiańskich szpiegów i zabójców, którzy na nią czyhają. Musimy zabrać imperatorową w bezpieczne miejsce, Dadadzi, i to szybko. Po tym, co się dzisiaj stało, ona nie zgodzi się więcej na to, abym użył Dzijabai jako jej dublerki.

Kungas drgnął nerwowo. Gdyby Holkar miał do czynienia z innym człowiekiem, powiedziałby, że ruch ten miał oznaczać wzruszenie ramion.

- Tutaj, w Muziris, nie dam rady jej ochronić.

Holkar uśmiechnął się lekko.

- A może Dewagiri? - zapytał. A potem, gdy zobaczył wyraz twarzy rozmówcy, wybuchnął

śmiechem. Wreszcie ujrzał, jak żelazna maska Kuszana unosi się choć odrobinę. Kungas szeroko otworzył oczy. W przypadku innego człowieka można by mówić o wytrzeszczaniu.

- Dewagiri? - sarknął. - Czy już zupełnie oszalałeś? To przecież twierdza Malawian. Największe miasto w Maharastrze z wyjątkiem Barakuchy. Malawianie mają tam garnizon...

Przerwał nagle. Na jego twarz wróciła żelazna maska.

- Ty coś wiesz - uznał.

Dadadzi pokiwał głową.

- Dzisiaj rano dostaliśmy wieści od kuriera wysłanego przez Rao. Rao wierzy, że jest w stanie zdobyć Dewagiri. Udało mu się skrycie wprowadzić do miasta tysiące swoich żołnierzy. Garnizon jest duży, prawda, ale... jak on sam mawia, a w końcu najlepiej się na tym zna, zgnuśniały i nieprzygotowany.

Kungas podszedł do okna. Wyrzął na zewnątrz, jakby chciał ocenić przydatność marathijskich kawalerzystów, nadal kłębiących się na ulicy poniżej.

I w zasadzie właśnie to robił.

- Mamy ponad trzy tysiące żołnierzy - mruknął zamyślony. - A codziennie przybywa ich coraz więcej, w miarę jak rozchodzą się wieści.

- Masz także wielu Kuszan - zauważył doradca.

- Sześć setek - zgodził się Kungas. - Większość z nich to moi krajanie. Opuścili Malawian, kiedy usłyszeli, że ja sam wypowiedziałem lojalność. Ale dobra jedna trzecia oddziałów pochodzi z innych klanów. Pamiętaj o tym.

Dowódca straży Szakuntali nadal stał przy oknie i wyglądał na zewnątrz. Holkar patrzył na jego zwalistą postać łagodnym spojrzeniem, korzystając z tego, że mężczyzna na niego nie patrzy.

Dadadzi pokochał Kungasa; był jego przyjacielem, jednym z niewielu, jakich miał w swoim życiu. Nie darzył tym uczuciem zbyt wielu mężczyzn.

Belizariusza, oczywiście, gdyż ten uwolnił go i tchnął nowe życie w jego duszę. Swojego syna, ciągle męczącego się w niewoli, gdzieś w głębi Indii, podobnie jak cała rodzina Holkara, rozbita i samotna. Rao, narodowego bohatera Marathów, który był jego idolem przez całe życie. Brata, dawno już martwego, zabitego w bitwie z Malawą. Kilku innych.

Ale Kungas zajmował w jego sercu specjalne miejsce. On i Holkar byli towarzyszami broni, zjednoczonymi jednym celem, nierozdzielnie związanymi z przeznaczeniem młodej imperatorowej. Stali się bliskimi przyjaciółmi, chociaż w innych warunkach byłiby zapewne obcymi sobie ludźmi.

Dadadzi Holkar, były niewolnik; nisko urodzony, z zawodu pisarz i nauczyciel. Mężczyzna, który podchodził do świata na sposób filozoficzny, lecz jego miękka i łagodna dusza miała żelazny środek.

Kungas, niegdyś malawiański najemnik; z urodzenia kuszański wasal, z zawodu żołnierz. Człowiek, który podchodził do świata pragmatycznie, tak samo jak tygrys, i którego dusza była taka sama jak żelazna maska zakładana na twarz.

Pierwszy został obecnie nadwornym doradcą... a nawet kimś więcej. Szakuntala nazywała Holkara: *peshwa* Andhry na wygnaniu. Uczyniła go premierem ludzi, którzy męczyli się w malawiańskich łańcuchach. Drugi, Kungas, stał się dowódcą oddziału straży przybocznej, a także głównodowodzącym sił Andhry.

Dusza dziewczyny była dla tych mężczyzn niczym magnes. Przyciągała do siebie rzesze ludzi; od miesięcy napływali do Muziris, gdzie udała się na wygnanie. Ludzie tacy jak Szahi i Kondew, dowódcy jazdy, a także inni, marathijscy jezdni, którzy aż palili się do tego, żeby odplacić Malawianom pięknym za nadobne.

Większość z nich była Marathami podobnie jak Holkar. Ale nie wszyscy. Stanowczo nie.

Żołnierze przybywali z całego kontynentu, kiedy docierała do nich wieść, że najstarsza dynastia Indii nie została przerwana, i wypowiedali walkę zaborczej Malawie. Większość z nich była żołnierzami z zawodu, ale zdarzali się wśród nich także prości ludzie, pochodzący z wielu nacji podbitych przez Malawian. W małej armii, formującej się w obozie uciekinierów w Muziris, znaleźli się bengalscy wieśniacy; zaledwie kilku. I Biharyjczycy, i Orisanie, i Gudżaratczycy.

Nie wszyscy byli wojownikami. Przybyli także kapłani Hindu. Sadhu, jak Bindusara, który ciskał gromy na odrażającą religię Mahweda. I buddyjscy mnisi, i janiści, szukający schronienia w miejscu, gdzie dynastia Satavahanów zawsze była silna.

W przeciągu kilku miesięcy od czasu, gdy Szakuntala założyła prowizoryczny obóz w Muziris, jej dwór na wygnaniu nabrał czegoś w rodzaju splendoru. Naturalnie, dość skromnego, jeżeli uznać za standard dwory wielkich królów. Ale oszałamiającego, jeżeli mierzyć go jakością.

Ale ze wszystkich ludzi, którzy schronili się pod skrzydła imperatorowej, Holkar jednych cenił najwyżej.

Potęga Malawian spoczywała na czterech filarach:

Najpotężniejszymi były proch i broń palna, a także barbarzyńcy Ye-tai.

Holkar zamierzał wykraść im ten sekret albo dostać go od Rzymian. Co do drugiej części - śmierć Ye-tai.

W następnej kolejności liczyli się żołnierze armii Malawy, jej prawdziwa elita, czyli Radżputowie i Kuszanie.

Pod skrzydłami imperatorowej nie schronił się żaden Radżputa. Dadadzi Holkar bardzo by się zdziwił, gdyby tak się stało. Radżputowie przysięgali lojalność imperium Malawy, a należeli do ludzi, którzy najwyżej cenili sobie honor.

Lecz ciągle miał nadzieję. Może pewnego dnia - w końcu człowiek nie może być niczego pewien.

Ale Kuszanie - to zupełnie inna sprawa. Byli uparci i twardogłowi, jednak nie dzielili z Radżputami ich przerośniętego poczucia honoru i lojalności. W dawnych czasach Kuszanie byli wielkim ludem; podbili i rządzą całą Azją Centralną i Indiami Północnymi, ale te dni dawno minęły. Persja zajęła połowę ich imperium, a druga część została najechna przez Ye-tai. Od wieków Kuszanie grali rolę wasali innych, owszem cenionych za umiejętności walki, ale traktowanych jako jednostki znacznie niższe, podległe. Holkar niejednokrotnie powtarzał sobie w duchu, że lojalność Kuzan względem Malawy przypominała nieco twarz Kungasa. Na zewnątrz pokazywali tylko żelazną maskę, jednak w środku myśleli i działali po swojemu.

W jego przemyślenia wdarł się nagle głos Kungasa:

- Dziwne - powtórzył i odwrócił się od okna. - Zaczynaliśmy z trzydziestoma żołnierzami. Tylko ludzie z mojego oddziału. Spodziewałem się także, że przyłączą się do nas moi ziomkowie, gdyż jestem dość wysoko postawiony w hierarchii klanowej. Ale inni...

Doradca Szakuntali potrząsnął głową.

- Wcale nie uważam, że to dziwne, mój przyjacielu.

Wyciągnął rękę i postukał towarzysza palcem w pierś. Poczł się tak, jakby stukał w pancerz.

- Tutaj ciągle trwają nauki Buddy. Gdzieś tam głęboko w twojej sceptycznej duszy.

Usta Kungasa wykrzywiły się w małym, zupełnie malutkim uśmiechku.

- Wątpię w to, Dadadzi. Co Budda zrobił dla nas dobrego, kiedy Ye-tai zaatakowali Peshawar? Gdzie był, gdy Malawianie zrobili nam ten dowcip?

- Ciągle tutaj - odparł peshwa. - Nie wierzysz w to? Pomyśl raczej o tych Kuzanach, którzy przyszli z innych klanów. Co ich tu przyniosło, Kungasie?

Kuzanin odwrócił wzrok. Holkar dalej naciskał:

- Powiem ci, ty sceptyku. Przywiodła ich tu pamięć. Wspomnienia Peshawaru, i Begram, i Dalverzin, i Khalchyan, i wszystkich innych wielkich miast kuszańskiego imperium. Pamięć o imperatorze Vimie i jego gigantycznych pracach nawadniających, które sprawiły, że pustynia zakwitła. Wspomnienia o Kaniszce Wielkiej, który rozprzestrzenił buddyzm na obszarze niemalże całej Azji.

Dowódca straży przybocznej potrząsnął głową.

- Cóż! Wszystko to minęło. Taka jest natura rzeczy. Czas płynie naprzód i wszystko się zmienia.

Dadadzi wziął Kungasa pod ramię i zaczął ciągnąć go w kierunku drzwi pochłapanego krwią i pełnego much pomieszczenia.

- Tak, wszystko się zmienia. Ale niektóre rzeczy powracają. A antyczna przeszłość inspiruje młodzież.

Kungas, zirytowany, stracił rękę Holkara. Znajdowali się teraz w wąskim korytarzu i kierowali ku stromym schodkom, wiodącym na parter i do wyjścia z domu.

- Starczy już tych głupot - rozkazał. - Jestem człowiekiem, który żyje teraźniejszością i przyszłością, chociaż na chwilę obecną tej przyszłości dla siebie nie widzę. Powiedz mi coś więcej o planach Rao dotyczących Dewagiri. Jeżeli zajmie miasto, nie zdoła go utrzymać dłużej niż rok. Nawet Dewagiri, które jest przecież potężną twierdzą, nie oprze się atakowi Venandaktry i jego dział. Będzie potrzebował żołnierzy. A także musi jakoś zachować ścieżkę dostaw żywności. Ale jak? I będziemy musieli sami zdobyć trochę dział. Jak? Może od Rzymian?

Zatrzymał się nagle i rzucił na Holkara groźne spojrzenie.

- Ha! Oni sami mają swoje problemy. Belizariusz niebawem wyrusza do Persji. Wiesz o tym tak samo dobrze jak ja. Oczywiście, to będzie dla nas pomoc, bardzo wielka. Znaczne siły Malawian zostaną związane w Persji, i to w dodatku z Belizariuszem jako głównym przeciwnikiem, ale Venandaktra ma do swojej dyspozycji wcale potężną armię, tutaj na Dekanie.

Ruszył naprzód i omal nie spadł ze schodów.

- Więc - rzucił przez ramię - powiedz mi jedno, filozofie. Jak mamy zdobyć działa?

Dadadzi nic nie odpowiedział i obaj mężczyźni wyszli na ulicę. Tam doradca wziął głęboki oddech, żeby pozbyć się trupiego odoru, zalegającego mu w nozdrzach.

- Ukradniemy Malawianom - powiedział z uśmiechem. - A resztę dostaniemy od Belizariusza.

Kuszanie uniósł lekko brwi. Gdyby był innym człowiekiem, oznaczałoby to, że się nachmurzył.

- Ale on jest tysiące kilometrów stąd, Dadadzi!

Holkar nadal uśmiechał się łagodnie. Kungas natychmiast pomyślał o posągu Buddy.

- Da nam działa, ty niedowiarku. Zaufaj mi. Belizariuszowi bardzo zależało na tym, żebyśmy wywołali rebelię. Nie zapomniał o nas. Bądź pewny.

Kungas zaprezentował swoją własną, uboższą wersję wzruszania ramionami i ruszył za malejącą w oddali postacią imperatorową. Holkar został nieco z tyłu i patrzył na dowódcę, zamyślony.

- Zaufaj mi, przyjacielu - szepnął. - Jestem pewien pięciu rzeczy. Malawa upadnie. Moja imperatorowa odbuduje świetność Andhry. Peshawar podźwignie się z gruzów. Belizariusz nas nie zawiedzie. I...

Jego oczy napełniły się łzami. Nie mógł mówić dalej.

*Odnajdę moją żonę i dzieci. Znajdę ich, gdziekolwiek malawiańskie bestie ich zagnały.*

## Rozdział 6

- Nie zamierzam zabierać ze sobą Maurycego do Egiptu, Belizariuszu. Absolutnie nie, więc nie naciskaj dalej. I nie każ mi brać ze sobą Walentyniana i Anastazjusza. Ich także nie zamierzam ze sobą zabierać.

Belizariusz przez chwilę wpatrywał się w swoją żonę, a potem wydał policzki. Opadł na oparcie krzesła i potoczył wokoło wściekłym spojrzeniem.

- Nie rozumiesz, jakie niebezpieczeństwo cię czeka, kobieto! Potrzebujesz najlepszego doradcy wojskowego na świecie. I najlepszych osobistych strażników.

Generał przewrócił oczami; w twarzy swej żony ciągle widział upór i niezłomne postanowienie. Kobieta mocno zaciskała dłonie na krawędzi stołu. Jego gorący wzrok przesunął się po mozaikach dekorujących ściany ich małego pałacyku, położonego w kompleksie cesarskim, ale tak naprawdę ich nie dostrzegał. Jednakże zatrzymał na chwilę spojrzenie na małym posądku, ustawionym na postumencie w kącie.

- Przeklęty cherubin - warknął. - Z czego się śmieje ten mały nagus?

Antonina ze wszystkich sił próbowała zapanować nad twarzą. Nie udało się jej niestety i mąż dojrzał skrzywione w uśmiechu usta, co tylko podsyciło jego gniew.

Belizariusz zacisnął zęby i odwrócił się na krzesło.

- Usiądź, Maurycy! - rozkazał. - A niech cię, i twój sztywny kark także! Przecież cię awansowałem, pamiętasz? Teraz sam jesteś generałem. Chiliarchą, tysięcznikiem, ni mniej, ni więcej! - Machnął krótko ręką, tak jakby chciał popchnąć Maurycego do przodu. - Siadaj więc wreszcie!

Dowódca osobistej ochrony Belizariusza wzruszył ramionami, podszedł bliżej i przyciągnął sobie krzesło. Kiedy tylko usiadł, Belizariusz nachylił się do niego.

- Wyjaśnij jej, Maurycy - powiedział. - Mnie nie zechce słuchać, bo myśli, że jestem tylko panikującym mężem. Ale ciebie może posłucha.

- Nie. - Mężczyzna potrząsnął głową.

Generał szerzej otworzył oczy.

- Nie? - Gałki oczne prawie wypadły mu z oczodołów. - Nie? - zabalgotał wściekle i jego rozmówcy nie zrozumieli dalszej części przemówienia.

Maurycy wyszczerzył zęby do Antoniny.

- Właściwie to nigdy wcześniej nie widziałem, żeby tak bełkotał. A ty?

Antonina uśmiechnęła się w odpowiedzi.

- Och, ja to widziałam tysiące razy. - Uśmiech zamienił się w skromny uśmieszek. - W intymnych sytuacjach, rozumiesz...

Maurycy pokiwał głową niczym mędrzec.

- Oczywiście. Jak tańczyłaś nago na jego brzuchu albo coś w tym rodzaju.

- Nie wspominając o bacie i zmrożonym...

- Wystarczy! - ryknął Belizariusz i walnął pięścią w stół.

Antonina i Maurycy zmierz yli go równie zagadkowym wzrokiem.

Tak, jakby dwie sowy spoglądały na rozwrzeszczaną mysz.

- Zazwyczaj wychodzi mu to lepiej, jeżeli przypomnieć sobie poprzednie razy - zdumiała się małżonka generała.

- Znacznie lepiej - zgodził się stary żołnierz. - Klucz leży w zrozumieniu drugiego dna. Ta nutka stali, skryta pod łagodnością.

Belizariusz znów zaczął ryczeć. Ale kiedy zobaczył, jak jego rozmówcy znów zaczynają się

szeroko uśmiechać, wziął się w garść.

- Dlaczego nie? - zapytał z mocą przez zaciśnięte zęby.

Uśmiech spełził z twarzy Maurycego. Niedźwiedziowaty weteran szarpnął za swą siwą, kręconą brodę.

- Nie zrobię tego - powtórzył - ponieważ to ona ma rację, a ty się mylisz. Bo właśnie myślisz jak panikujący mąż, a nie jak generał. - Machnął ręką, uciszając protest męża Antoniny. - Nie potrzebuje mnie, ponieważ nie ma w planach staczania bitew z przeważającymi siłami wroga w otwartym polu. Za to ty, tak.

Kobieta skinęła głową.

Belizariusz znów chciał zaprotestować, ale Maurycy ponownie go uciszył.

- Poza tym będzie miała ze sobą Szota. Ten mały, przysadzisty Ormianin nie posiada może aż tak wielkiego bitewnego doświadczenia jak ja, ale niewiele mu brakuje. Wiesz o tym tak samo dobrze jak ja. Z pewnością jest na tyle doświadczony, że poradzi sobie z każdym niebezpieczeństwem, jakie Antonina może napotkać na swojej drodze w Aleksandrii.

- Ale...

- Och, siedź cicho, młodzieńcze - warknął stary żołnierz. Przez krótką chwilę twarz Maurycego skurczyła się w wyrazie, którego nie przybierał od lat. Od czasu, kiedy wziął pod swoje skrzydła nad wiek rozwiniętego nastoletniego oficera, świeżo przybyłego z majątku ojca w Tracji, i nauczył go wszystkiego o wojnie. - Czy zapomniałeś już, jaki jest twój własny plan?

Belizariusz opadł na oparcie krzesła.

- Tak właśnie myślałem - sarknął tamten. - Od kiedy to przedkładasz taktykę nad strategię, młody człowieku? Aleksandria jest tylko przystankiem na drodze. Cała twoja strategia walki przeciwko Malawianom opiera się na sile marynarki. Kiedy ty będziesz ich zwodził w Persji, Antonina poprowadzi atak z flanki i upośledzi logistykę wroga; mamy nadzieję, że do spółki z królestwem Aksum. Etiopczycy, wraz ze swoją marynarką, są niezbędni do realizacji naszego planu. Aksumickie statki muszą wesprzeć powstanie w Maharastrze. To powstanie, które udało ci się wzniecić podczas ostatniej wizyty w Indiach. Będą potrzebowali dział, prochu, tego wszystkiego, o czym nam mówiłeś, gdy planowaliśmy kampanię. To dlatego zawsze nalegałeś, abyśmy budowali w Aleksandrii fabryki broni. Żebyśmy mogli zapewnić ciągłe dostawy Etiopczykom i indyjskim powstańcom.

Chiliarcha wziął głęboki oddech.

- Właśnie z tych powodów Aszot jest dużo lepiej przygotowany do udzielenia pomocy twojej żonie niż ja. Ten człowiek to były żeglarz. A co ja wiem o łodziach... - Pstryknął palcami. - Nie wspominając o Etiopczykach - ciągnął dalej. - Aszot jest z nimi zaprzyjaźniony.. mówi nawet ich językiem. Ja znam dokładnie dwa słowa w języku ge'ez. Piwo i czas przyszły dokonany od czasownika kopulować. Z pewnością bardzo mi się to przyda, kiedy będę koordynował posunięcia sprzymierzonej marynarki wojennej na transoceanicznej wyprawie!

Generał obsunął się na krześle.

- No dobrze - rzekł kwaśno. - Ale nalegam, aby wzięła ze sobą Walentyniana i Anastazjusza! Są najlepszymi wojownikami, jakich mamy. Będzie potrzebowała ochrony, a oni...

- A po co? - przerwał mu Maurycy. Położył masywne dłonie na kolanach i pochylił się do przodu. Przez chwilę on i Belizariusz mierzyli się wzrokiem. Po chwili starszy mężczyzna skrzywił usta w uśmiechu. Puścił oko do drobnej egipskiej kobiety, siedzącej po przeciwnej stronie stołu.

- Planujesz jakieś szarże kawaleryjskie, dziewczyno?

Antonina zachichotała.

- Gwałtowne abordaże i potyczki na pokładach statków?

Chichotała coraz głośniej.

- A może poprowadzisz oblężenie niezdobytch miast?

Prawie krztusiła się od powstrzymanego śmiechu.

- Jakież wypadki i pchnięcia? Ciosy i kontruderzenia?

Chichot zamienił się w otwarty śmiech.

- Właściwie - odparła - myślałam raczej o dowodzeniu z tylnych szeregów. Wiesz, coś w kobiecym stylu.

Odchyliła się na oparcie krzesła i uniosła do góry kształtny podbródek. Wyciągnęła władczo wskazujący palec.

- Ty tam! Tamtędy. A ty... tutaj. Ruszaj się, nie słyszałeś?

Belizariusz potarł twarz.

- To nie jest takie proste, Maurycy... i ty doskonale o tym wiesz, nawet jeżeli Antonina nie zdaje sobie z tego sprawy.

Przez moment na jego twarzy znów widniał zwyczajowy skrzywiony uśmiezek, a raczej jego marna namiastka.

- Przecież to ty nauczyłeś mnie praw obowiązujących w bitwie. Pierwsze brzmi; cały plan okazuje się do bani, kiedy przeciwnik pojawia się na polu walki. To właśnie dlatego...

- ... nazywamy go przeciwnikiem - dokończył Maurycy. Weteran potrząsnął głową. - Nie o to chodzi, Belizariuszu. Wszystko może się wydarzyć, wszystko może pójść niezgodnie z naszymi planami i Antonina znajdzie się nagle w niebezpieczeństwie. Tak musi być. Jednak ciągle będzie miała ze sobą setki trackich katafraktów, którzy ją ochronią. Każdy z nich, wiesz o tym doskonale, odda za nią życie, jeżeli zajdzie taka potrzeba. Oczywiście żaden nie jest tak doskonałym zabójcą jak Anastazjusz czy Walentynian, ale to ciągle najlepsi żołnierze na świecie. Przynajmniej w mojej, nieco subiektywnej, opinii. Jeżeli oni jej nie obronią, Walentynian i Anastazjusz nie zrobią większej różnicy. Podczas gdy - sarknął - tych dwóch może przydać się tobie. Ponieważ, w odróżnieniu od Antoniny, to ty będziesz prowadził szarżę kawalerii i ciał, i rąbał więcej niż jakikolwiek szanujący się generał, dowodzący wielką armią.

Dawny podopieczny spiorunował go wzrokiem.

- Doskonale o tym wiesz.

Maurycy patrzył na Belizariusza w milczeniu. Generał osiadał coraz niżej na krześle. Coraz niżej i niżej.

- Nigdy wcześniej nie widziałem, żeby wydymał wargi - zdumiał się chiliarcha. I znów mrugnął do Antoniny. - A ty?

- Och, a ja tak! - pisnęła mała kobietka. - Wiele razy. W intymnych sytuacjach, oczywiście. Zawsze, kiedy mam ból głowy i nie chcę smarować oliwką jego...

- Dosyć - jęknął Belizariusz.

Antonina i Maurycy zmierzili go równie zagadkowym wzrokiem. Jak dwie myszy, które z uwagą przyglądają się skamłacemu serowi.

\* \* \*

Kilka godzin później Belizariusz był w bardziej filozoficznym nastroju.

- Podejrzewam, że w końcu wszystko dobrze się ułoży - powiedział, prawie zadowolony z siebie. Antonina uniosła się na łokciu i uśmiechnęła do męża.

- Czujemy się już mniej zdenerwowani, prawda?

Belizariusz wyprostował nogi i położył pod głową skrzyżowane ręce.

- Teraz, kiedy miałem czas, żeby to przemyśleć - zgodził się łaskawie. - Zdecydowałem, że



prawdopodobnie Maurycy miał...

- Ty kłamco! - zawołała ze śmiechem i klepnęła go w ramię. - Przecież nie spędziłeś ani chwili na myśleniu, bo od razu wylądowaliśmy w łóżku! Zastanawiałeś się tylko nad nowymi dziwacznymi pozycjami, które umożliwiałyby ci dostęp do...

- Nie bądź wulgarna, kobieto - mruknął Belizariusz. - Poza tym nie słyszałem, żebyś narzekała. A raczej odwrotnie, sądząc po odgłosach, które wydawałaś.

- Z drugiej strony nie usłyszałaś także, że czerpałam radość z metafizycznych rozważań na temat naszej wyprawy.

Rozciągnęła się na łóżku, naśladowując pozę swojego męża. Ręce założyła pod głowę, wyciągnęła nogi.

- Wreszcie - powiedziała afektowanym tonem - pomiędzy głupim barszkowaniem miałem chwilę czasu, aby zastanowić się nad pewną sprawą, i doszedłem do wniosku, że ten uparty koleś, Maurycy, ma trochę racji w tej czy innej kwestii.

Generał zmierzył wzrokiem nagie ciało swojej żony, pokryte warstewką potu. Antonina uśmiechnęła się anielsko. Wzięła głęboki oddech, uniosła ciężkie piersi i wolno rozsunęła nogi.

- Patrząc obiektywnie, oczywiście - mówiła dalej - facet jest zwyczajnie głupi. Ale kilka ostatnich godzin, spędzonych na epistemologicznej dyskusji, doprowadziło mnie do niepewnej konkluzji, że może...

Rozsunęła nogi nieco szerzej. Wzięła kolejny głęboki oddech.

- ...niektóre sokratyczne przemyślenia tego palanta wykazują się pewnymi fenomenologicznymi konsekwencjami...

Belizariusz stracił wreszcie cierpliwość. Antonina przestała mówić, co nie znaczy, że zamilkła zupełnie.

- Tak, wreszcie pozbyliśmy się wszystkich obaw - mruknęła jakiś czas potem.

- To dlatego, że mój mózg przestał pracować - dobiegła ją spóźniona odpowiedź męża. - Wypieprzyłaś mi go z głowy.

\* \* \*

Rankiem Focjusz przyszedł do sypialni rodziców i usadowił się wygodnie na ich łóżku. Mimo całej masy zmian, jaka zaszła w jego życiu, chłopiec bardzo nalegał na zachowanie tego cennego codziennego rytuału. I niech zaraza weźmie protokół i dworską przyzwoitość.

Tłum służących i strażników, który od pewnego czasu wszędzie podążał za cesarzem, teraz został na korytarzu. Słudzy uważali, że sytuacja jest naprawdę groteskowa., a poza tym odbija się niekorzystnie na ich dostojnym statusie cesarskich pokojowców i służek. Lecz nie pozwalali sobie na żadne komentarze. Strażnicy bowiem należeli do oddziału trackich katafraktów generała, a dowodził nimi młody oficer o imieniu Julian. Julian został wyznaczony do ochrony Focjusza z dwóch powodów. Po pierwsze, był mężem Hypacji, młodej kobiety, która niańczyła Focjusza przez wiele lat (i ciągle to robiła, chociaż teraz nosiła dumny tytuł cesarskiej guwernantki). Po drugie, mimo swej młodości i radosnego usposobienia, był on naprawdę twardym żołnierzem. Oficer i ludzie pozostający pod jego dowództwem jasno dali do zrozumienia, że ich zadanie nie polega na wysłuchiwaniu narzekań garstki szaleńców i absolutnie nie interesują ich krzywdy personelu. Zatem, podczas gdy Focjusz cieszył się towarzystwem swych rodziców, jego strażnicy stali na korytarzu i gawędzili sobie spokojnie, a słudzy rozkoszowali się poczuciem skrzywdzonej dumy.

Chłopiec został w pokoju rodziców dłużej niż zwykle. Jego ojczym miał dzisiaj ruszyć na wyprawę do Mezopotamii. Focjusz nie obawiał się już tak bardzo jak kiedyś tej nieobecności. Teraz był przekonany, że Belizariusz wyjdzie cało z wszelkich kłopotów i opresji. Ale z pewnością będzie

tęsknił, i to bardzo. Teraz może nawet bardziej niż kiedyś.

W końcu jednak wstał z łóżka. Na jego małych barkach spoczywał teraz wielki ciężar i chłopiec rozumiał, że także jego ojciec ma dzisiejszego dnia wiele ważnych spraw.

- No dobrze - westchnął, kiedy drzwi się za nim zamknęły. - Chodźmy. Gdzie najpierw?

Julian wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Twój nauczyciel retoryki nalega, bardzo nalega, abys natychmiast zaszczyił go swoją obecnością. To, jak mi się zdaje, ma jakiś związek z figurami retorycznymi. Mówi, że twoja nieumiejętność budowania poprawnych synekdoch stała się właśnie publicznym skandalem.

Focjusz ponuro ruszył w dół korytarza.

- Wspaniale - mruknął. - Wprost wspaniale. - Chłopiec zadarł głowę i spojrzał na przyjazną, rumianą twarz Juliana. - Czy masz pojęcie, jakim nudziarzem jest ten facet?

- Spójrz na to z innej strony, wasza wysokość. Pewnego dnia będziesz mógł skazać go na śmierć za przynudzanie.

Focjusz jęknął.

- Nie, raczej nie. Zdaje mi się, że on już jest martwy.

Coraz wolniej powłóczył nogami.

- Życie było znacznie fajniejsze, zanim zrobili ze mnie cesarza.

Powłókł się dalej.

\* \* \*

Zanim wskoczył na siodło, Belizariusz po raz ostatni przytulił Antoninę. Długo nie wypuszczał jej z objęć.

- Ile to potrwa, jak myślisz? - szepnęła.

Jej mąż wzruszył ramionami.

- Nie mogę przewidzieć, kochanie. Jeżeli wszystko pójdzie tak, jak planowaliśmy, a to jest wielka zagadka, nie zobaczymy się co najmniej rok, a może nawet półtora. Będziesz musiała czekać do następnego czerwca, aż monsun zacznie wiać w odpowiednim dla nas kierunku.

- Jak strasznie długo - skrzywiła się.

Belizariusz uśmiechnął się smutno.

- Ale tylko wtedy, kiedy wszystko pójdzie zgodnie z planem. Jeżeli nie... któż może wiedzieć. Może spotkamy się wcześniej.

Antonina patrzyła na niego i czuła, że nie jest w stanie się uśmiechnąć. Wiedziała, co ma na myśli. Zdawała sobie sprawę z następstw takiej sytuacji.

*Jeżeli nasz plan się nie powiedzie, jedno z nas, a najprawdopodobniej oboje, będzie martwe.*

Skryła twarz na jego ramieniu.

- Tak strasznie długo - mruknęła. - Przecież dopiero co wróciłeś z Indii. Nie było cię półtora roku.

Generał pogłaskał ją po długich, czarnych włosach.

- Wiem. Ale nic na to nie mogę poradzić.

- Cholerna Teodora - syknęła Antonina. - Gdyby nie jej obsesja, żeby trzymać broń prochową pod kontrolą kobiet, nie musiałabym...

- To nonsens! - przerwał jej Belizariusz. Ujął żonę za ramiona i odsunął od siebie. W jego głosie nie było ani krzty wcześniejszego rozbawienia.

- Nawet gdyby Teodora nie miała tych swoich fobii - powiedział - nalegałbym, żebyś to właśnie ty objęła dowództwo nad Kohortą Teodoryjską. Ty najlepiej się do tego nadajesz. I to wszystko.

Antonina patrzyła na niego przez chwilę, a potem opuściła oczy.

- Tak długo - szepnęła. - Półtora roku. - Inagle, niespodziewanie się uśmiechnęła. - Ale przynajmniej będziemy w kontakcie. Prawie zapomniałam, wczoraj Jan z Rodos przysłał nam prezent.

Odwróciła się i przywołała służbę, stojącego na dziedzińcu. Mężczyzna trzymał w dłoniach pakunek, owinięty ciężkimi warstwami wełny.

Antonina wzięła do niego zawiniątko i odwinęła materiał. Pod osłoną, starannie umieszczone, tkwiły dwa identyczne obiekty.

Wzięła jeden i podała swojemu mężowi.

- Masz. To pierwsze teleskopy Jana. Jeden dla ciebie i jeden dla mnie.

Belizariusz uśmiechnął się z zachwytem i natychmiast przyłożył teleskop do oka. Tak bardzo zapamiętał się w nowym cudownym urządzeniu, że na chwilę zapomniał o wszystkim innym. Dopiero pokasływanie małżonki przywołało go do rzeczywistości.

- Cudowne - powiedział owijając teleskop w wełnianą tkaninę. - Dzięki temu i nowym stacjom kurierskim będziemy mogli przysyłać sobie informacje w kilka dni.

Antonina zachichotała.

- Dopiero, kiedy wybudujemy stacje. I zakładając, że Jan zdoła wyprodukować odpowiednią liczbę teleskopów.

- Wybudujemy, a on skonstruuje - odparł jej mąż z wielką pewnością siebie. Pogłaskał ją po twarzy. - Nie wątp w to, kochanie. W przeciągu paru miesięcy dostaniesz ode mnie wiadomość.

Nie pozostało im już nic do powiedzenia. Przez chwilą mąż i żona patrzyli na siebie. Potem objęli się po raz ostatni i pocałowali. Belizariusz wskoczył na siodło i wyjechał z dziedzińca, z Maurycem u boku. Jego dwaj osobiści strażnicy, Anastazjusz i Walentynian, jechali tuż za nimi.

Gdy dotarł do bramy, odwrócił się w siodle i pomachał do żony. Antonina nie uniosła ręki w odpowiedzi. Po prostu pokazała mu teleskop.

- Będę czekała na wiadomość od ciebie! - krzyknęła.

\* \* \*

Godzinę później do pałacu przybyła Irena. Miała ze sobą owinięty materiałem pakunek.

- Tylko tego nie upuść! - ostrzegła Antoninę, kiedy dawała jej zawiniątko. - Ukradłam je z osobistej piwniczki Teodory. Najlepsze wina w Cesarstwie Rzymskim.

Egipcjanka ugięła się pod ciężarem prezentu.

- Matko Boska, ileś ty tego przyniosła?

Irena popchnęła swą małą przyjaciółkę w głąb korytarza.

- Na tyle dużo, żeby umożliwić nam obu przeżycie tego paskudnego dnia. To tradycja, dziewczyno. Ostatnim razem, kiedy Belizariusz wyruszył na jedną z tych swoich wypraw, ty i ja upiliśmy się do nieprzytomności. A właściwie ty się upiłaś. Ja tylko służyłam ci pomocnym ramieniem.

- Ty kłamliwa więdźmo! - warknęła Antonina. - Ty wcześniej padłaś nieprzytomna.

- Bujasz - zaprzeczyła tamta twardo. - Po prostu zasnęłam, to wszystko.

Antonina prychnęła:

- Pewnie. Na podłodze, płasko na brzuchu.

- To ty tak twierdzisz - odparła Irena z godnością. - Pogłoski, zwykłe plotki.

Kiedy weszły do pokoju, żona Belizariusza ustawiła butelki na stole.

- Wyglądają jak żołnierze - mruknęła z zachwytem.

Irena złapała pierwszą z brzegu butelkę.

- To będzie masakra. Przynieś puchary.

Dwie godziny później rzeź osiągnęła apogeum. Antonina dostała czkawki.

- Starszy tego rosklejania się! - Czknęła. - Popatrzmy ff pszyszłość! Niedługo ruszamy. Do Egiptu. To moja ojszyzna, wiesz? - Czknęła znów. - Tam sze urrosiłam. Urodziłam.

Niepewną ręką doląła wina do pucharu.

- Jesstem zaszkoszona, sze Teodora posswolila ci jechać - powiedziała. - Nigdy bym nie pomyślała, że pozwoli swojemu szpiegowi - zachichotała - szpieżycy, można powiedzieć, sejsć ss oszu. Z oczu.

Irena wzruszyła ramionami. W jej wykonaniu prosty ruch zamienił się w cudowny, dostojny i filozoficzny.

- A sso mogła srobiś? Ktoś musiał jechać do Indii. Ktoś, żeby usta... sta - wzięła głęboki oddech i skoncentrowała się. - Odnowić. kontakt z Szakuntalą.

Greczynka wyprostowała się na kanapie, gdyż chciała dodać sobie powagi. Niestety, dostojność jej ruchów została silnie zakłócona przez wzbierające beknięcie.

- Cóż za grubiaństwo - oznajmiła, jakby komentowała nieprzystojne zachowanie kogoś innego. A potem beknęła głośno.

- Oczywiście, że ja nadaję się do tego najlepiej - ogłosiła wszem i wobec. - Mam doskonałe kwalifikacje. Doskonałe, ośmielam się powiedzieć.

- Ha! - skrzeknęła Antonina. - Jesteś kobietą, o to chodzi. Komu innemu Teodora zaufałaby w tej, tej... - Nie mogła znaleźć odpowiedniego słowa.

- Subtelnej intrydze dworskiej - odpowiedziała Irena. - Zręcznej dyplomacji.

Druga z kobiet prychnęła: - Myślałam raczej o... o...

- Wyrafinowanej strategii. Sprytnych podstępach.

- O... o...

- Brudnej, podstępnej, szcurzej...

- Właśnie! Właśnie!

Obie kobiety wybuchnęły głośnym śmiechem. Radość trwała kilka chwil. Nawet dość długo. Trzeźwy obserwator mógłby wyciągnąć błędne wnioski.

W końcu się uspokoiły. Kolejna butelka położyła głowę na pienku pod topór kata. Kiedy wypłył już połowę zawartości, Antonina popatrzyła na przyjaciółkę uroczyście.

- Hermogenes zostaje sse mną, wiesz. W Egipcie. Kiedy się rosssielimy, a ty ruszysz do Indii. Ciebie też zaboli serce. Ale prawdopodobnie nie będziemy w stanie odpowiednio tego oblać. Tam. Za dużo zajęć. Odpowiesialność. Lepiej pijmy teras.

Irena rozciągnęła się na kanapie.

- Za późno. To jusz konies. - Ze smutkiem potrząsnęła głową. - Hermo... genes i ja... hik. - Czknęła. - Już... hik, niech to, historia. Niech to. Przeszłość.

Egipcjanka otworzyła szeroko oczy.

- Co? Ale słyszałam... krążą plotki... poprosił cię o rękę.

Irena mrugnęła.

- Tak, prawda. Od miesięcy się tym gryzę. To było jak kopanie leżącego, oszywisie.

Szefowa cesarskiej siatki szpiegowskiej zobaczyła, że jej przyjaciółka marszczy brwi, zdumiona, i się zaśmiała. Na wpół radośnie, na wpół smutno.

- Słodka jesteś - mruknęła. - Zapominasz, że Hermogenes to nie Belizariusz. - Ze smutkiem rozłożyła ręce. A potem spojrzała jeszcze smutniej na podłogę, gdyż przypomniawszy sobie, że w jednej ręce trzyma kielich pełen wina.

- Przepraszam za to - rzekła. Antonina wzruszyła ramionami.

- Pamiętasz, mamy służbę. Oni to wyczyszczą. Jest ich dużo. - Nie martwię się podłogą! To najlepsze wino w Cesarstwie Rzymskim.

Oderwała oczy od nieszczęsnego widoku i spróbowała skupić spojrzenie na Antoninie.

- Mówiłaś, że Hermogenes nie jest Belizariuszem - przypomniała jej mała Egipcjanka. - Ale nie rozumiem. Ty nie masz zszarganej reputacji, nie tak jak ja - zachichotała. - I to nie tylko w przeszłości. Tak to jest z przeszłością, wiesz? Kiedy już jest teraźniejszością, nigdy nie przemija i już na zawsze siedzi ci na głowie. - Zamknęła oczy i zamyśliła się głęboko. - Hej, to filozofia. Założę się, że nawet Platon nie ująłby tego lepiej.

Irena uśmiechnęła się.

- To nie przeszłość jest problemem. To znaczy: ze mną i Hermogenesem. To przyszłość. Hermogenes... - Znów machnęła ręką, lecz zdołała powstrzymać ruch, zanim doszło do kolejnej obrazu najlepszego wina Cesarstwa Rzymskiego. - Hermogenes - kontynuowała - jest bardzo słodki, bez wątplenia. Ale... taki konwencjonalny, wiesz? W każdym razie, kiedy porzuca taktykę i strategię. Chce odpowiedniej dla siebie greckiej żony. Matrony. A nie... - westchnęła i opadła na kozetkę. - A nie szpiega, który lata to tu, to tam, i robi Bóg wie co o dowolnej porze dnia i nocy.

Greczynka wpatrywała się ze smutkiem na opróżniony w połowie puchar. A potem utopiła w nim swe smutki.

Antonina patrzyła na nią sówimi, okrągłymi oczami.

- Jesteś pewna? - zapytała. Irena uniosła się z kanapy i, zataczając się, podeszła do stołu, na którym stały butelki. Kolejny żołnierz oddał życie.

- O tak - mruknęła. Odwróciła się i popatrzyła na towarzyszkę, z trudem utrzymując równowagę. - Czy ja wyglądam jak matrona?

Antonina zachichotała i zakrztusiła się winem. Irena uśmiechnęła się smutno.

- Raczej nie. - Zrezygnowana, wzruszyła ramionami. - Chodzi o to, że nie wiem, czy kiedykolwiek w ogóle wyjdę za mąż. Ja po prostu... no nie wiem. Nie wiem. Takie coś. Nie potrafię sobie wyobrazić mężczyzny, który będzie z tym żył.

Podeszła z powrotem do kozetki i opadła na poduszki. Antonina nadal się jej przyglądała.

- Czy to cię martwi? - zapytała bardzo powoli i wyraźnie.

Druga z kobiet zapatrzyła się na przeciwległą ścianę.

- Tak - odparła łagodnie. I bardzo smutno. Jednakże chwilę później z pasją potrząsnęła głową.

- Sstarszy tego ponuractwa! - krzyknęła i wysoko podniosła puchar. - Za pszyhody!

\* \* \*

Dwie godziny później Antonina triumfalnie spoglądała na Irenę.

- Brzuchem do dołu, na podłodze, tak jak mówiłam.

Wstała z trudem; w dłoniach, wysoko, dzierżyła niczym bitewny sztandar ostatnią butelkę wina.

- Znów zwyciężyliśmy! - zawołała. A potem, dowodząc prawdziwości swej tezy, opadła miękko tuż obok swej przyjaciółki.

\* \* \*

Jakiś czas potem służby przenieśli obie kobiety do sypialni Antoniny. Żaden z nich nie uważał pijaństwa za skandal ani nie cmokał z dezaprobatą. Nie z Julianem i trzema katafraktami za plecami, którzy szczyrzyli zęby w uśmiechu, gotowi do natychmiastowej reakcji, gdyby doszło do złamania trackiego protokołu dworskiego.

- Niech śpią razem - rozkazał Julian. - To tradycja - zwrócił się do swoich towarzyszy.

Trakowie pokiwali głowami ze zrozumieniem.

Następnego ranka, kiedy Focjusz wszedł do sypialni, poczuł wielki niepokój.

- Gdzie jest moja mama? - zapytał.

Irena z trudem otworzyła oczy i natychmiast je zamknęła, gdyż ból pod czaszką był nie do wytrzymania.

- Gdzie jest moja mama?! - zawołał.

Irena popatrzyła na niego spod półprzymkniętych powiek.

- Kim ty, u licha, jesteś? - zakrakała.

- Jestem cesarzem Rzymu!

- Głupi chłopcze - syknęła Irena. - Czy wiesz, ilu rzymskich cesarzy zginęło z ręki swoich wrogów?

- Gdzie jest moja mama?

Kobieta potarła powieki.

- Wrzaśnij jeszcze raz, a dodam do listy kolejnego cesarza.

Naciągnęła poduszkę na głowę.

- Idź sobie - jej głos, przytłumiony jedwabną tkaniną, brzmiał głucho i słabo. - Jeżeli chcesz się widzieć ze swoją głupią matką, z tą pijaczką, szukaj jej gdzie indziej.

- Gdzie jest moja mama?

- Znajdź jakiegoś konia. Ta zwariowana baba z pewnością będzie się na niego gapić.

Kiedy chłopiec wybiegł z pokoju i ruszył w kierunku stajni, Irena ostrożnie uniosła poduszkę. Oślepiający blask słońca, przesączający się przez ciężkie draperie, sprawił, że natychmiast z powrotem opadła na łóżko i zaczęła szukać kryjówki. W wielkim pokoju słychać było tylko jej głos.

- Pieprzona, głupia tradycja.

Jęknęła.

- Dlaczego kobiety nie mogą po prostu popełniać samobójstwa, jak każda szanująca się słomiana wdowa? Jęknęła znów.

# MEZOPOTAMIA

*Lato, 531 n.e.*

## Rozdział 7

Kiedy Belizariusz spotkał się z pierwszymi oddziałami Armii Syryjskiej, tuż poza murami Callinicum, westchnął z ulgą.

Baresmanas, który jechał obok niego na czele kolumny wojska, nic nie powiedział. Lecz kamienny wyraz twarzy i tak go zdradził.

- Nie krępuj się. Możesz się uśmiechnąć - mruknął generał.

Irańczyk nie skorzystał z oferty. Dyplomatyczna etykieta była zbyt zakorzeniona w jego umyśle. Skinął tylko głową.

- Elitarne oddziały ze stolicy, przyzwyczajone do cesarskiego stylu życia, z pewnością odczują pewien dyskomfort - mruknął w odpowiedzi. - To nie ulega wątpliwości.

Sahrdaran odwrócił się w siodle i popatrzył na długą kolumnę. Kawalerzyści jechali drogą wiodącą wzdłuż prawego brzegu Eufratu. Trakt nie był utwardzony, ale dość szeroki i dobrze utrzymany. Droga prowadziła z Callinicum do Wrót Cylicji i przechodziła przez nadrzeczne miasta - Barbalis i Zeugmę. Była to główna trasa handlowa, łącząca Cesarstwo Rzymskie i Persję.

Osobiści strażnicy Belizariusza jechali na czele kolumny. Oddział tysiąca katafraktów trzymał szyk; poruszali się trójkami. Za nimi szedł nieduży kontyngent wozów artyleryjskich i ambulansów, wraz z dziesięcioma rydwanami uzbrojonymi w rakiety, które generał nazywał katuszami. Pojazdy także poruszały się sprawnie i w całkowitym porządku.

A potem...

Potykając się o siebie i mieszając, narzekając i gubiąc po drodze, jechała pozostała część małej armii Belizariusza, czyli dwadzieścia pięć setek ciężkiej kawalerii.

Większość z nich, czyli dwa tysiące, pochodziła z garnizonu w Konstantynopolu. Reszta z Armii Illyryjskiej Germanikusa. Illyryjczycy zdołali zachować pozory jakiegoś ładu przez około dwieście kilometrów forsownego marszu. W odróżnieniu od oddziałów ze stolicy mieli jakieś doświadczenie w kampaniach wojennych. Ale nawet oni, gdy armia przeszła przez Wrota Cylicji i znalazła się na północnej Pustyni Syryjskiej, ulegli całkowitej dezorganizacji, tak samo jak greccy katafrakci.

Dezorganizacji, a także nieopisanej demoralizacji.

Oddziały jechały zbyt daleko w tyle i Baresmanas nie mógł usłyszeć rozmów żołnierzy, ale potrafił doskonale je sobie wyobrazić. Od wielu dni, a nawet tygodni, wysłuchiwał narzekań. A już szczególnie katafrakci z Konstantynopola nie krępowali się ani trochę i dobitnie wyrażali swoje poglądy, każdej nocy, gdy zwalali się ciężko wokół obozowych ognisk.

*Cholerny, zwariowany Trak.*

*Jak wam się zdaje, jak ten szaleniec zdołał zostać generałem ?*

*Kiedy już tam dotrzemy, będziemy tak wyczerpani, że nie poradzimy sobie nawet z małym kiciusiem.*

*Cholerny, zwariowany Trak.*

*Jak wam się zdaje, jak ten szaleniec zdołał zostać generałem ?*

- Raczej ich nie oszczędzasz - zauważył perski arystokrata.

Belizariusz sarknął, rozzłoszczony.

- Tak myślisz? - Odwrócił się w siodle i zazgrzytał zębami. - Tak naprawdę, Baresmanasie,

tempo utrzymywane po wyjściu z Konstantynopola i tak jest mniejsze niż to, które zazwyczaj narzucam swoim oddziałom. Dla moich katafraktów to przyjemny spacer. - Zmarszczył brwi. - Dwa miesiące, dwa miesiące na przebycie dziewięciuset kilometrów. Trzydzieści kilometrów dziennie, ani trochę więcej. Jak na sporą armię piechoty to doskonały wynik. Ale jak na całkiem mały oddział kawalerzystów, jadących po całkiem niezłej drodze, a przynajmniej przez większość czasu, to po prostu wstyd.

Baresmanas zaśmiał się, chociaż jego śmiech przypominał bardziej grzechot suchych kamyków. Pokazał na małą grupkę, prowadzoną przez dwóch oficerów, która kłusowała niespiesznie w ich kierunku od strony Callinicum.

- Założę się, że myślisz o tych syryjskich chłopakach jako o elemencie motywującym twoich żołnierzy.

Generał Belizariusz przyjrzał się rzymskiej armii.

- Nie do końca. Ci cholerni maruderzy są tak przepełnieni poczuciem krzywdy, że z pewnością nie wezmą przykładu z garstki przykurzonych granicznych strażników. Wierzę jednak, że mogą ich użyć do tego, aby zawstydzili maruderów.

Oficerowie byli już tak blisko, że dało się rozpoznać ich twarze.

- O ile się nie mylę - zaczął Irańczyk - ci dwaj na przedzie to Bouzes i Coutzes. Ci sami bracia, których złapaliśmy na parę dni przed bitwą pod Mindos. No, pamiętasz, kiedy oni... no...

- Prowadzili zwiad - odpowiedział mu Belizariusz.

- Aha. To dlatego tak się odsadzili od reszty. - Sahrbaran uniósł brwi. - A w tamtej chwili miałem silne wrażenie, że ci uparci panowie pędzą do przodu, aby złapać tajemniczą karawanę z żołdem, która - dziwne, prawda? - nie została nigdy odnaleziona.

Trak ze smutkiem potrząsnął głową.

- Czyż to nie okropne? To, w jaki sposób rodzą się złośliwe plotki? To był tylko zwiad - dodał stanowczo i ostatecznie.

Mniej niż minutę później Rzymianie dotarli do Belizariusza. Generał zatrzymał konia. Długa kolumna, podążająca za nim, także się zatrzymała. Chwilę później podjechał do nich Maurycy.

Bouzes i Coutzes siedzieli w siodłach sztywni i wyprostowani. Na ich młodych twarzach nie malował się żaden wyraz, ale nie trzeba było wielkiej spostrzegawczości, aby wyczuć bijącą od nich aurę wrogości. Ich ostatnie spotkanie z Belizariuszem nie należało do najprzyjemniejszych, delikatnie mówiąc.

Ale generał cesarzowej Teodory wiedział, że bracia będą stać na czele oddziałów Armii Syryjskiej i już dawno obmyślił plan działania. W gorącej wodzie kąpani młodzieńcy dopuszczali się różnych głupot w przeszłości, ale zarówno Sitas, jak i Hermogenes twierdzili zgodnie, że od czasu bitwy pod Mindos bardzo się zmienili.

Powitał więc oficerów z szerokim uśmiechem na ustach i z wyciągniętą ręką; następnie przedstawił Baresmanasa w bardzo wytworny sposób. Przez chwilę obawiał się, że bracia będą niegrzeczni w stosunku do sahrbarana. Kiedy miał z nimi do czynienia, tuż przed bitwą pod Mindos, Bouzes i Coutzes bardzo hałaśliwie wyrażali swoją pogardę dla Persów. Lecz mężczyźni natychmiast rozwiali jego obawy.

- Twój bratanek, Kurusz, przybył już do Callinicum - powiedział Coutzes do Baresmanasa, kiedy już powitanie dobiegło końca. - Jest z nim siedem setek twoich kawalerzystów. Rozbili obóz tuż obok nas.

- Chcieliśmy, żeby ruszył z nami, aby was przywitać - dodał Bouzes. - Ale dowódca rzymskiego garnizonu w Callinicum nie chciał się na to zgodzić.



- Ten głupi osioł po szyję tkwi w regulaminie - dorzucił. - Powiedział, że perscy oficerowie nie mogą poruszać się po rzymskim terytorium z wyjątkiem szlaków handlowych.

Belizariusz roześmiał się. Rzymianie i Persowie handlowali ze sobą tak samo długo, jak walczyli. W rzeczywistości handel był podstawą ich związku. Mimo tego, że oba imperia często ścierały się na polu walki, znacznie częściej panował między nimi pełen napięcia pokój. I niezależnie od tego, czy oba państwa pozostawały w stanie wojny, czy nie, handel toczył się zawsze. Rok po roku, dekada po dekadzie, wiek po wieku, karawany podążały handlowym szlakiem.

Jednakże imperium to imperium, więc przepisy handlowe były jasno określone. Oczywiście, tylko oficjalnie. Ludzie żyjący w rejonie przygranicznym, zarówno Persowie, jak i Rzymianie, nie potrafili się oprzeć szmugłowi. Przez dziesiątki lat Callinicum pełniło funkcję oficjalnej bramy dla Persów, którzy tak jak Nisibis chcieli handlować z Rzymem, i tak samo dla Rzymian, którzy pragnęli wjechać na terytorium Persji.

- Zostaw to dowódcy garnizonu - warknął Maurycy. - Przecież wie, że mamy wojnę z Malawą, prawda? I to wspólnie z Persją?

Bouzes pokiwał głową.

- On mówi, że to nie ma nic do rzeczy i regulamin dalej obowiązuje - warknął Coutzes. - Dał nam cały wykład o tym, jak to nie ustaje w wysiłkach, żeby przeciwdziałać śmiertelnej pladze przemytnictwa.

Baresmanas zaśmiał się głośno.

- Mój bratanek nie potrafiłby nic przeszmużlować, nawet gdyby zależało od tego jego życie! Z resztą i tak jest zbyt bogaty na takie zabawy.

Belizariusz popędził konia.

- Jedźmy do Callinicum. Zamienię z dowódcą garnizonu parę słów.

- Tylko parę? - spytał Coutzes. Wyglądał na nieco dotkniętego.

Generał uśmiechnął się.

- Właściwie to sześć. Zdejmuję cię ze stanowiska dowódcy garnizonu.

- Aha.

- Belizariusz jest śmiertelnie niebezpiecznym przeciwnikiem - mruknął Maurycy.

\* \* \*

Do Callinicum wjechali dwie godziny później, tuż przed wieczorem.

Generał najpierw zatroszczył się o oddziałek budowniczych i rzemieślników; zadbał, aby dostali porządne kwatery. Kiedy opuszczał Konstantynopol, zabrał ze sobą nie mniej niż osiem setek takich ludzi. Po drodze zostawiał nieduże grupki, które miały zająć się budową stacji przekaźnikowych. Niebawem całe Cesarstwo Rzymskie zostanie objęte siecią komunikacyjną. Callinicum miało być końcową odnogą linii Konstantynopol - Mezopotamia.

Gdy już uporał się z fachowcami, Belizariusz udał się do dowódcy - garnizonu, żeby przekazać mu sześć słów.

Sześć słów w efekcie przerodziło się w kilka setek. Nowy dowódca garnizonu także musiał być zwolniony. Po tym, jak generał w kilkunastu słowach wytłumaczył mu, że musi zabrać ze sobą połowę żołnierzy do Mezopotamii, mężczyzna wypluł z siebie listę żądań, dotyczących pomocy w walce z nielegalnym handlem.

Belizariusz wymówił kolejne sześć słów.

Następny dowódca także musiał odejść. Po tym, jak głównodowodzący użył całej rzeki słów, przez większość czasu myśląc na głos i dochodząc wreszcie do wniosku, że powinien raczej zabrać ze sobą cały garnizon, a zostawić zaledwie garstkę żołnierzy do obrony, trzeci dowódca skrzeczał

przez długi czas, że grozi im niebezpieczeństwo najazdu bandytów.

Belizariusz znów wymówił sześć słów.

W końcu ciężar dowodzenia rzymskimi siłami w Callinicum spadł na barki niedźwiedziowatego setnika z przerwą między przednimi zębami.

- Wystarczy mi setka - poinformował generała nowy dowódca. - Wystarczy, żeby utrzymywać taki taki porządek w mieście. Nie mają nic innego do roboty. Callinicum to forteca, na rany Chrystusa, mury mają dwanaście metrów wysokości i są tak szerokie, że można po nich spacerować. Miejscowi bandyci, te żałosne. dupki, giną od krwotoku z nosa, kiedy udaje im się wdrapać tak wysoko.

- A jeżeli chodzi o szmugiel, pieprzę to - dodał radośnie. - Nie dasz mu rady nawet z całą rzymską armią. Kiedy tylko zajdzie słońce, możesz rzucić kamieniem z murów i masz wielką szansę trafić co najmniej trzech przemytników, zanim twój pocisk dotknie gruntu. I przynajmniej jeden z nich byłby moim krewniakiem.

- A w czwartki to byłaby zapewne moja żona - kwiknął.

O zachodzie słońca Belizariusz wyprowadzi! swoje wojska z Callinicum i poprowadził je w kierunku obozu, położonego parą kilometrów obok miasta, w którym oczekiwała ich Armia Syryjska. Nowi żołnierze, siedem setek najniezwyklejszych pod słońcem piechociarzy z garnizonu Callinicum, szli pomiędzy oddziałami generalskiej straży przybocznej. Trakowie zachęcali nowych rekrutów opowieściami o bitewnej chwale minionych kampanii, przysłych łupach i łukach - w chwili obecnej wycelowanych w plecy maruderów. Łukach katafraktów - o morderczym naciągu kilkudziesięciu kilogramów - oraz grotach strzał tak ostrych, że można by ich używać zamiast brzytwy.

Baresmanas, jadący na czele kolumny, nie słyszał rozmów żołnierzy z garnizonu Callinicum. Ale bez trudu wyobrażał sobie, co teraz mruczą pod nosami.

*Cholerny, zwariowany Trak.*

*Jak wam się zdaje, jak ten szaleniec zdołał zostać generałem?*

## Rozdział 8

Pawilon Kurusza był dużo mniejszy niż gigantyczna budowla, którą imperator Malawy kazał wznieść dla siebie podczas oblężenia Ranapur. Ale Belizariusz pomyślał, że perskie lokum jest bardziej luksusowe i bogato wyposażone. A do tego urządzone z większym smakiem.

Kiedy generał opadł na górę miękkich, krytych jedwabiem poduch, spiętrzonych koło niskiego stolika, sam Kurusz postawił przed nim kielich wina. Belizariusz przyjrzał się przedmiotowi z niejakim lękiem. To nie wino sprawiło, że się zawahał. Generał nie miał wątpliwości, że stoi przed nim najlepszy produkt perskich winnic. Nie, przstraszył się samego pucharu. Kielich stanowił najwspanialszy i z pewnością najdroższy tego typu przedmiot, jaki kiedykolwiek oglądał w swoim życiu. Mimo swej masy i wielkości puchar był bardzo cienki i delikatny; nóżka została misternie wyrzeźbiona na kształt kwiatu, a co gorsza całość zrobiono ze szkła. W kielich wpuszczono złoty liść, który jeszcze podkreślał wyróżnione w szkłe zawile ornamenty, składające się z nachodzących na siebie lekko wklęsłych dysków. Dodatkowo wprawiono wokół cztery idealne w szczegółach płaskorzeźby. Każda zajmowała około dwa centymetry kwadratowe, a przedstawiono na niej uskrzydłone konie, wykonane techniką kwasorytu.

Naturalnie płaskorzeźby wykonano ze złota. Z wyjątkiem srebrnych skrzydeł pegazów i małych oczu z klejnotów.

Belizariusz zerknął na ludzi zebranych wokół stołu. Bouzes, Coutzes i Maurycy gapili się na identyczne kielichy, które stały przed nimi. Bracia z zachwytem, Maurycy nieco ponuro.

- Nie odważę się dotknąć tej przeklętej rzeczy. - Usłyszał, jak stary wojak mamrocze do siebie.

Na szczęście Baresmanas postanowił zainterweniować.

- Nie obawiajcie się, przyjaciele - rzekł z uśmiechem. - Mój bratanek ma dwie skrzynie pełne takich cacek, A poza tym - dodał radośnie - nawet jeżeli upuścicie kielich, to raczej się nie rozbije na tej podłodze.

Czterej Rzymianie popatrzyli na dywan, Rzeczywiście, był on tak gruby i puszysty, że poduszki, na których siedzieli, wyglądały na całkowicie zbędne.

Kurusz, który przy stole zajął miejsce naprzeciwko Belizariusza, zmarszczył brwi. Nie ze złości, oczywiście; był tylko zdumiony.

- Czy pojawił się jakiś problem? - spytał. Jego greka, podobnie jak u wielu szlachetnie urodzonych Persów, była płynna, chociaż z obcym akcentem.

Jego stryj zachichotał.

- Nie każdy, mój bratanek, przyzwyczajony jest do picia z tak wyrafinowanych pucharów, godnych królewskiego okupu.

Młody Pers popatrzył na dzierzony w dłoni kielich.

- Z tego? - Popatrzył na krewniaka. - To jest niby takie kosztowne?

Czterej Rzymianie dołączyli do Baresmanasa w śmiechu. Ich reakcja nie była może zbyt dyplomatyczna, ale nie potrafili się powstrzymać.

Na szczęście Kurusz okazał się być przyjaznym człowiekiem. Najwyraźniej nie cechowała go kąśliwa próżność, typowa dla tak wielu perskich arystokratów. Po chwili on także zaczął się śmiać.

- Obawiam się, że nie przykładam zbyt wielkiej wagi do tych spraw - wyznał. - Moi słudzy się tym zajmują. - Wzruszył ramionami, a następnie machnął zachęcająco ręką. - Ale proszę, proszę! Pijcie! Musicie umierać z pragnienia po tym, jak przemierzycie tę nieszczęsną pustynię.

Słowa gospodarza sprawiły, że pozostali przestali się wahać. Czterej Rzymianie pociągnęli z pucharów. I przekonali się, choć ich to nie zdziwiło, że wino jest doskonałe.

Belizariusz skorzystał z zamieszania, żeby dokładnie przyjrzeć się Kuruszowi. Baresmanas

powiedział mu już wcześniej, że imperator Chozroes wybrał go na głównodowodzącego sił perskich podczas wspólnej kampanii z Rzymem i generałem Belizariuszem.

Arystokrata nie mógł mieć więcej niż dwadzieścia kilka lat. Młody oficer był wysoki i szczupły, a jego wąska twarz miała delikatne rysy.

Na pierwszy rzut oka przypominał Trakowi pewien typ ponadkulturowych ateńskich estetów, widzianych przezeń kilkakrotnie podczas podróży do Grecji. Rodzaj uduchowionych młodzianów, którzy nie potrafili sklecić nawet jednego zdania, nie wcisnąwszy do niego co najmniej dwóch aluzji do klasycyzmu, i którzy, delikatnie mówiąc, żyli w świecie całkowicie niepraktycznym.

Podobieństwo potęgował sposób, w jaki Kurusz się ubierał. Stroje, które miał na sobie, były bogate i doskonale uszyte. Podobnie jak w przypadku ateńskich estetów - oni także byli arystokratami, a nie pasterzami. Lecz wydawało się, że młodzieniec nie dba o wygląd zewnętrzny - narzucił na siebie kosztowną tunikę byle jak, tudzież zupełnie zignorował estetyczny dobór kolorów.

Jednakże przy bliższym badaniu pierwsze wrażenie przyskało. Ręce Kurusza, pomimo wąskich palców, były silne. Belizariusz zauważył również charakterystyczny odcisk na prawym kciuku młodzieńca. Persowie, inaczej niż Rzymianie, którzy preferowali chwyt trzema palcami, naciągali łuk zekierem.

Chłopak nawet poruszał się w inny sposób niż esteci. Jego gesty, ruchy, a także mimika znamionowały energię i nerwowość. Był spięty niczym pełnokrwiste zwierzę tuż przed wyścigiem. Nie miał w sobie ani odrobiny afektowanej rozlazłości, tak charakterystycznej dla tamtych.

I w końcu oczy. Podobnie jak u większości Medów, a także ateńskich estetów, jeśli już o tym mowa, oczy Kurusza były brązowe. Jednakże w ich spojrzeniu nie znalazłoby się ani krzty wahania, ani zamyślenia. Mimo młodości Persa wokół jego oczu już zaczynały tworzyć się delikatne zmarszczki. Nie powstały one jednak podczas czytania antycznych poetów przy słabym świetle świecy w Atenach. Młodzieniec często mrużył oczy, przepatrując pustynne tereny w pałącym słońcu.

Kurusz, gdy już odstawił puchar, najpierw odezwał się do Maurycego:

- Rozumiem, że to ty dowodziłeś Rzymianami na wzgórzach podczas bitwy pod Mindos.

Siwobrody skinął głową. Kurusz potrząsnął swoją.

- Musiałeś się z nas śmiać, gdy próbowaliśmy wjechać konno na ten, stworzony przez diabła, stok.

Maurycy zawahał się, patrząc na Persa.

- Zrobilibyście lepiej, gdybyście zsiadli z koni - odparł wreszcie, wzruszając ramionami.

Kurusz uśmiechnął się całkiem wesoło.

- Sam też do tego doszedłem! Koń padł pode mną już na samym starcie. Wtedy przeklinałem pecha. Ale teraz myślę, że właśnie dzięki temu uszedłem z życiem. Pieszko mogłem się chować za skałami. Nawet wasze strzały nie mogą przebić się przez kamień!

Znów potrząsnął głową.

- Mój stryj... - skinął w kierunku Baresmanasa - ostrzegał mnie, że nikt na świecie nie posługuje się tak mocnym łukiem jak rzymski katafrakt. Przyjąłem te ostrzeżenia do wiadomości, gdyż mój krewniak jest bardzo doświadczonym wojownikiem, ale wciąż nie mogłem uwierzyć, nie spodziewałem się, że wasza strzała przebiję zbroję mojego wierzchowca.

Zmarszczył brwi.

- Chociaż strzelacie bardzo wolno. Czy naprawdę uważacie, że podczas bitwy celowanie do nadciągającej ławy przeciwników jest aż tak istotne?

Belizariusz z trudem powstrzymał śmiech. Młody Pers wcale nie był wrogo nastawiony. Ani trochę. Generalnie mógł oprzeć się wrażeniu, że ma przed sobą młodego esteta, który zastanawia się,

całkowicie obiektywnie, jakimi szczegółami różnią się dwa style poezji.

Maurycy wzruszył ramionami.

- Nie sądzę, żeby udało się odpowiedzieć na to pytanie w kategoriach czysto militarnych. Wchodzi tu w grę także narodowy temperament. Wy, Persowie, macie szczęście do konnych łuczników i nie mam wątpliwości, że Rzymianie takowego nie posiadają. Więc po co się męczyć? Lepiej skoncentrować się na tym, co robimy dobrze, niż z wielkim trudem stać się drugorzędnymi imitacjami Persów.

Rozmówca pokiwał głową.

- Dobrze powiedziane. - Młody oficer westchnął. - Zresztą to i tak najprawdopodobniej dyskusja czysto akademicka. Te nowe piekielne malawiańskie urządzenia wszystko zmieniły.

- Widziałeś je w akcji? - spytał Belizariusz.

Kurusz zamrugał.

- O tak. Trzy razy. Byłem we wszystkich trzech bitwach, które stoczyliśmy z wrogiem na otwartym polu. W końcu jednak zrezygnowaliśmy i postanowiliśmy zająć Babilon oraz wykorzystać jego umocnienia.

- Czy mógłbyś mi opisać całą kampanię? - poprosił rzymski generał. Skinął uprzejmie w stronę Baresmanasa. - Twój stryj nakreślił mi ogólny obraz, ale nie był naocznym świadkiem wydarzeń. Chciałbym usłyszeć więcej szczegółów.

- Oczywiście. - Kurusz osuszył puchar i sięgnął po jedną z małych amfor, stojących na stole. Zaczął mówić, jednocześnie nalewając sobie nową porcję wina: - Flota inwazyjna Malawy składała się z setek jednostek. Większość była gigantyczna. Nie jestem żeglarzem, ale moi oficerowie, którzy mają jakie takie doświadczenie w morskich operacjach, twierdzili, że największe statki miały ładowność co najmniej tysiąca ton.

- Raczej dwa tysiące - przerwał Trak. - Jeżeli to te same statki, które widziałem w Barakusze.

Młody arystokrata spojrział na niego, zaskoczony, lecz pełen respektu.

- Nie wiedziałem, że masz doświadczenie w sprawach marynarki wojennej.

Belizariusz zachichotał.

- Bo nie mam. Albo mam, ale bardzo małe. Lecz moim towarzyszem w Barakusze był Garmat, główny doradca króla Aksum. Wygłosił to zdanie po tym, jak obejrzał statki. Myślę, że można ufać jego ocenie. Wiem z własnego doświadczenia, że wysoko postawieni Etiopczycy są doskonałymi ekspertami w sprawach marynarki.

- Ja również się z tym zgadzam - skomentował Baresmanas. - Dwa tysiące ton. - Skrzywił się. - Nie sądzę, żeby znalazł się jakikolwiek perski statek o podobnej ładowności.

- Ani żaden z naszych - dodał Bouzes. - Może z wyjątkiem paru jednostek, które pływają do Egiptu po zboże.

Belizariusz skinął w stronę Kurusza.

- Proszę, mów dalej.

- Flota przybyła bez żadnego ostrzeżenia, a właściwie... - jęknął rozżłoszczony - ostrzeżenie zostało zignorowane. Kilku kupców alarmowało, ale nadworni urzędnicy puścili ich doniesienia mimo uszu. - Zmarszczył brwi. - Aroganccy głupcy.

Generał ze zdumieniem zauważył, że Bouzes, Coutzes i Maurycy mają na twarzach sztywne, obojętne, dyplomatyczne maski. Wszyscy Rzymianie, bez wyjątku, przychylali się do zdania, że perscy urzędnicy to aroganccy głupcy. Belizariusz myślał inaczej, ponieważ Baresmanas i Kurusz nie byli pierwszymi perskimi arystokratami, których polubił, ale nie śmiał twierdzić, że ogólnie panujący pogląd opiera się tylko i wyłącznie na fałszywych przesłankach. Rzymscy urzędnicy także przy wielu

okazjach zasłużyli sobie na miano aroganckich dupków. Ale na całym świecie nie było nikogo podobnego do perskiego arystokraty, a już szczególnie takiego, który zajmował wysokie stanowisko na dworze. Nikt nie dorównywał mu w czystej, niczym nie skażonej, zimnej wyniosłości. W porównaniu z nimi nawet szlachta Radżputów mogła zostać uznana za uprzejmą i przyjmującą wszystkich z otwartymi ramionami. Nawet klan dynastyczny Malawian, mimo niesamowitej wprost brutalności i megalomanii, nie przejawiał tak daleko posuniętego poczucia własnej wartości i przewagi nad wszelkimi ludami Ziemi.

Najwyraźniej jednak takt Rzymian nie został w pełni doceniony. A może Kurusz był bardziej spostrzegawczy niż Belizariusz. Młody Pers potoczył spojrzeniem po siedzących wokół stołu i przyjrzał się uprzejmym, nie wyrażającym niczego twarzom Rzymian.

- Ale może nie różni się aż tak bardzo od innych, co zajmują podobne stanowiska.

Siorbnął trochę wina.

- Flota wpłynęła do delty Eufratu i Tygrysu - mówił dalej - i ze statków wysypała się potężna armia. Na statkach znajdowały się konie, a nawet słonie oraz nowa, potworna broń. W przeciągu dwóch dni udało im się rozbić w puch garnizon w Charaks. - Młodzieniec nachmurzył się ponownie. - Te mordercze świny zmasakrowały garnizon i wzięły do niewoli wszystkich cywilów. Najbardziej ucierpiały kobiety, szczególnie z rak tych śmierdzących barbarzyńców, Ye-tai, którym Malawianie najwyraźniej pozwalają na wszystko. Starannie oddzielili arystokratów, by poddać ich specjalnemu traktowaniu. Nie, zupełnie nie interesował ich okup. Zamiast tego zabili wszystkich ludzi płci męskiej z rodzin azadan, nawet niemowlęta, a także wszystkie kobiety z wyjątkiem młodych i ładnych. Te oddali malawiańskim oficerom na konkubiny.

Przebiegł długimi palcami po gęstych włosach. Jego twarz nieco się rozluźniła, a zamiast złości pojawiły się na niej żal i smutek.

- Przez wszystkie te lata, odkąd my, Irańczycy, i wy, Rzymianie, walczyliśmy ze sobą, popełniono wiele okrucieństw. - Machnął ręką. - Przez obie strony, przez obie; Ale ciągle nie mogę się dopatrzeć ani jednego czynu, który miałby w sobie aż tyle brutalności i niepotrzebnego okrucieństwa. Ani jednego.

- Bo nie ma takiego czynu - orzekł Baresmanas z mocą. - A przynajmniej nie na taką skalę. I pragnę wam przypomnieć, że mimo wszystkich okrucieństw, jakich dopuściliśmy się podczas wieloletniego konfliktu, dokonaliśmy także wielu czynów wielkodusznych i pełnych honoru.

Spojrzał na Belizariusza z aprobatą.

- Okazałeś nam litość pod Mindos i to jest jeden z ważniejszych przykładów.

- Dobrze powiedziane! - zawołał jego bratanek.

Kurusz dopił wino. Kiedy odstawił puchar z powrotem na stół, na jego twarzy pojawiła się radość przemieszana ze smutkiem.

- Wiem. - Uśmiechnął się. - Kiedy tam byłem, nie wątpiłem, że za chwilę zginę z poderżniętym gardłem. - Zadrżał lekko. - Dopadło mnie trzech twoich przeklętych Izauryjczyków, a to twardzi goście. Uśmiechali się niczym wilki. I warczeli jak wilki, które walczą między sobą o pierwszy kęs.

Wyszczrzył zęby do Maurycego.

- A potem podjechał jeden z tych twoich Traków i ich uspokoił. Częściowo postraszył ich napiętym łukiem, a częściowo skusił moimi pieniędzmi.

Maurycy odpowiedział uśmiechem.

- Jak duży okup musiałeś zapłacić?

Kurusz sarknął.

- Wystarczająco duży, żeby ustawić tych trzech Izauryjczyków na całe życie! Nie uwierzyłyś, ile

zażądali ci przekleci barbarzyńcy...

Przerwał nagle.

- Ale odbiegam od tematu. To było trzy lata temu. A Malawianie są tutaj i dzisiaj, a jak słusznie zauważył mój stryj, nie możemy się spodziewać z ich strony aktów bezinteresownej, a nawet interesownej litości.

- To nie jest ich metoda - zgodził się generał Belizariusz. - Arystokraci z Malawy są bardzo bogaci. Nie interesuje ich okup. A oddziały, które może i byłyby zainteresowane, są całkowicie podporządkowane dowódcom.

Napił się wina.

- Malawianie chcą podbić świat i nic mniejszego ich nie zadowoli. I zamierzają rządzić nim żelazną ręką. Charaks to jedno z pierwszych i na razie niewielu okrucieństw, jakie popełnią w Persji, a potem w Rzymie, jeżeli wasze królestwo padnie. Ale z całą pewnością nie był to pierwszy podły czyn, jakiego się dopuścili. Nie pierwszy. - Twarz generała przybrała posępny wyraz. - Byłem w Ranapur, gdy Malawianie stłumili powstanie. Kiedy Malawianie w końcu przedarli się przez mury, w mieście ciągle jeszcze znajdowało się dwieście tysięcy ludzi. Pięć dni później, po niewyobrażalnej rzezi, zostało ich zaledwie pięćdziesięciu. Kilka młodych szlachcianek, twardych na tyle, by przetrwać gwałty i bicie, sprzedano w niewolę.

Przez chwilę w pawilonie panowała grobowa cisza.

- Mów dalej, proszę - mruknął w końcu Maurycy.

Kurusz otrząsnął się i podjął opowieść:

- Kiedy Malawianie skończyli już z Charaks, większa część ich armii ruszyła w górę rzeki, w towarzystwie pięciu setek mniejszych statków. Reszta została w Charaks, a Malawianie zaczęły powiększać i umacniać port. Zakładamy, że duże statki wrócą do Indii po zapasy, kiedy tylko zmieni się monsun. - Spojrzał w kierunku wejścia do namiotu, jakby chciał ocenić pogodę. - Teraz mamy początek czerwca. W przeciągu miesiąca wiatry zaczną im sprzyjać.

Belizariusz pokiwał głową.

- Ich flota ruszy do Barakuchy w lipcu. A potem, gdy załadują zapasy, ruszą z powrotem gdzieś koło końca października. Najpóźniej w pierwszych dniach listopada.

- Jakie są ich siły w chwili obecnej? - zapytał Coutzes.

Gospodarz rozłożył ręce na stole i odchylił się do tyłu.

- Wiem, że trudno w to uwierzyć, ale...

- Nie, zapewniam cię, uwierzymy z łatwością - przerwał mu Belizariusz z mocą, jednocześnie rzucając ostrzegawcze spojrzenie na Bouzesa i Coutzesa.

- ... bazując na moich osobistych obserwacjach, oceniam całkowitą liczbę ich oddziałów na jakieś dwieście tysięcy żołnierzy, nie licząc sporego garnizonu pozostawionego w Charaks.

Kiedy nie doczekał się reakcji ze strony Rzymian, Kurusz szeroko otworzył oczy.

- Może byś trochę uściślił, jeżeli możesz - zasugerował chiliarcha, chrząkając.

Pers zamyślił się na chwilę.

- Nie sądzę, żeby mieli więcej niż czterdzieści tysięcy kawalerii. Większość ich oddziałów to piechota, z czego znaczna część miernej jakości. Ye-tai, oczywiście, są bardzo zajadli i niebezpieczni. Ale Malawianie najwyraźniej używają ich tylko do reperowania morale zwykłych oddziałów.

- Przede wszystkim są batalionami straży przybocznej i bezpieczeństwa wewnętrznego - uzupełnił Belizariusz. - Kiedy byłem w Indiach, widziałem, jak Malawianie ich używają. Ich głównym zadaniem w bitwie jest pilnowanie, czy zwykli żołnierze wykonują rozkazy przełożonych. Postępują

bardzo okrutnie i bezlitośnie z dezertkami i maruderami.

Kurusz skinął głową.

- Większość piechoty uzbrojona jest w tradycyjną broń. Włócznie, miecze, topory. A ich zbroja nie chroni całego ciała. Tak jak mówiłem, kiepska jakość. - Wzruszył ramionami. - Ale jest ich bardzo wielu, więc z łatwością zaleją przeciwnika. Zaleją go po tym, jak obezwładnią główne siły swoimi diabelskimi urządzeniami.

- Opisz te urządzenia - poprosił generał.

Kurusz rozrzucił ręce przepaszającym gestem.

- Zrobię to najlepiej, jak potrafię, Belizariuszu. Ale miej na uwadze, że widziałem te przeklęte urządzenia ze sporej odległości i za każdym razem nie miałem pewności, czemu się tak naprawdę przyglądam.

- Więc zrobmy to inaczej. Pozwól, że to ja powiem ci o tym, czego używają Malawianie, a ty tylko skorygujesz moje przypuszczenia w oparciu o swoje obserwacje.

Pers skinął głową. Belizariusz napił się wina, zamyślony.

- Myślę - odezwał się w końcu - a właściwie mam nadzieję, że ich broń dzieli się na trzy kategorie. Działa obłądnicze, rakiety i granaty. - Belizariusz opisał szybko wszystkie trzy rodzaje broni, jakie widział w Indiach, a potem przeszedł do dalszych spraw. - Rakiety z pewnością zostaną użyte w taki sam sposób, w jaki my, Rzymianie, tradycyjnie wykorzystujemy artylerię podczas bitew. Słabym punktem rakiet jest ich ogromny brak celności...

Zawahał się przez chwilę, lecz w końcu zwalczył opory. Jego własne rakiety, katusze, jak je nazywał, okazały się podczas testów całkiem celne. Nie tak dokładne jak katapulty, ale znacznie mniej chaotyczne niż broń Malawian, którą miał okazję zaobserwować. Aide doradziło Belizariuszowi, jak zrobić dokładnie pasującą lufę, do czego wykorzystał najlepszych greckich kowali. Upierał się nawet, żeby zrobić mosiężne otwory, mające upuszczać gazy wylotowe, aby nie dopuścić do rozerwania działa. Lecz miał nadzieję, że celność jego pocisków zaskoczy wroga. Nie miał powodów, by nie ufać Baresmanasowi i Kuruszowi ani podejrzewać, że są zbytnimi gadułami. Ale ciągle...

Na chwilę obecną postanowił odłożyć problem na później.

- ... ale niecelność kompensuje wielka siła rażenia i relatywnie prosta obsługa. Nie musisz wlec ze sobą ciężkiego onagra ani skorpiona, żeby wystrzelić raketę. Potrzebujesz tylko lufy i prostego urządzenia odpalającego. Ponadto rakiety także płoszą konie przeciwnika i rozbijają sztyk jazdy.

Kurusz pokiwał głową z ponurym wyrazem twarzy.

- Racja, nie jesteś w stanie kontrolować koni, kiedy nad głową wyją rakiety.

Generał znów się zawahał, rozdarty pomiędzy chęcią utrzymania sekretu a niesmakiem, że ma tajemnice przed własnymi sprzymierzeńcami. Tym razem niesmak wygrał batalię.

- To nie do końca prawda, Kuruszu. - Kiedy ujrzał zdumienie wypisane na twarzy młodego sahrdarana, uśmiechnął się krzywo. - Kiedyś też tak myślałem, wtedy gdy po raz pierwszy zobaczyłem rakiety. Jednakże gdy nabrałem doświadczenia z bronią prochową, przekonałem się, że konie można przyzwyczaić do czynionego przez nią huk. Cała rzecz polega na tym, że trzeba je wystawiać na armatnie salwy już od źrebaka. W pełni dojrzały koń bojowy z reguły będzie się bał. Ale koń tresowany od źrebaka spokojnie da sobie radę.

Gestem wskazał odchyloną klapę namiotu.

- Konie, które ciągną moje katusze, zostały specjalnie wyselekcjonowane pod kątem zachowania podczas silnego ostrzału artyleryjskiego. Także większość moich katafraktów dosiada koni, które nie boją się huków.



Dwaj Persowie, siedzący przy stole, w zamyśleniu szarpali się za brody. Belizariusz bez trudu odczytywał ich myśli. Bez najmniejszego trudu.

Wielkie nowiny. Ale przecież my, Irańczycy, nie mamy prochu, żeby szkolić nasze konie. Jak mamy go ukraść wrogowi? A może lepiej przekonać Rzymian, by dali nam trochę tych piekielnych urządzeń.

Przez chwilę Belizariusz i Baresmanas patrzyli na siebie. Potem, widząc, że Rzymianin lekko kiwa głową, perski arystokrata odwrócił wzrok.

Kiwnięcie znaczyło, że porozmawiają o tym później. A także to, że generał ma swoje zdanie na dany temat, ale...

To było na tyle. Baresmanas, jako wytrawny dyplomata, zdawał sobie sprawę, jakie kontrowersje wzbudza wśród Rzymian ten delikatny problem. Przymierze z Persją to jedna rzecz. Lecz uzbrojenie medejskiego wroga, z dawien dawna walczącego przeciwko Cesarstwu, stanowiło zupełnie odrębną kwestię.

Mężczyzna wiedział, że w tej chwili nie ma sensu naciskać, więc gładko zmienił temat.

- A granaty? - Wskazał na Kurusza. - Zgodnie z tym, co mówi mój bratanek, ta broń używana jest jedynie w bezpośrednich starciach.

- Ma rację. Taka jest ich rola. Nie widziałem nigdy, aby w Indiach używano ich inaczej.

Zdecydował się, że właśnie teraz wyjawí swój sekret. Wróg i tak prawie na pewno go znał. Jacyś szpiedzy musieli umknąć z rzezi na Hipodromie, gdzie Belizariusz i Antonina zgnetli powstanie Nika, wzniecone przez Malawian. Ciała zdrajcy Narsesa i jego towarzysza Adżasutry nie zostały odnalezione. Belizariusz i Teodora byli pewni, że wielki szambelan, tak przecież uzdolniony i sprytny, zdołał zaaranżować ich ucieczkę.

Zatem...

- Moja żona jest dowódcą oddziału grenadierów, zwanego Kohortą Teodoryjską. Udało jej się opracować metodę używania granatów na większym dystansie.

Opisał krótko umiejętności grenadierów Antoniny i ich sposób posługiwania się procą.

- Ale nawet w ich przypadku mówimy o zasięgu strzału z łuku, nie więcej - dodał na koniec.

Baresmanas i Kurusz pokiwali głowami ze zrozumieniem. Proca nie była ulubioną bronią perskich szlachciców, ale mieli oni jakie takie obycie z tak starożytnymi urządzeniami.

Belizariusz nalał sobie więcej wina, a potem rozejrzał się uważnie i uzupełnił puchary Baresmanasa i Bouzesa.

Kiedy odstawił amforę, generał zastanowił się nad nieobecnością jakichkolwiek sług w pawilonie. Ten prosty fakt wiele mu powiedział o gospodarzu. To, czego Belizariusz się domyślił, spotkało się z jego pełną aprobatą.

W pewnych sprawach Kurusz sprawiał wrażenie człowieka z innego świata, nieobecnego duchem. A bardziej precyzyjnie: był nieobecny duchem na sposób ludzi bardzo bogatych, którzy są tak przyzwyczajeni do służby, że traktują ją jak rzecz oczywistą. Ale kiedy przychodziło do spraw wojskowych, młody Pers najwyraźniej stawał się zdolny do odrzucenia atrybutów swojej kasty. Doświadczony w wojennym rzemiośle oficer nie popełnił typowego błędu arystokratów i nie zapomniał, że nisko urodzeni słudzy także mają uszy, umysły i języki. Zatem on i jego dostojni goście sami nalewali wino i usługiwali sobie nawzajem niczym towarzysze broni.

Belizariusz pociągnął łyk doskonałego napitku i kontynuował:

- Prawdopodobnie nie widzieliście jeszcze dział oblężniczych. Urządzenia są wielkie, ciężkie i niezgrabne. Bezużyteczne na polu walki. Ale niebawem zostaną użyte. W Babilonie. Malawianie z pewnością wykorzystają je do rozwalania ścian.

- Czy są bardzo silne? - zapytał Baresmanas.

- Pomyśl o największej katapulcie, jaką kiedykolwiek widziałeś, a potem pomnóż jej siłę przez trzy. Albo nie, przez cztery albo pięć. - Wzruszył ramionami. - Moim zdaniem Malawianie nie używają ich we właściwy sposób. Bazuję oczywiście na moich obserwacjach w Ranapur. Ale to wcale nie umniejsza ich skuteczności. Ranapur było wielkim miastem, z najwyższymi i najgrubszymi ceglanyściami, jakie widziałem. Kiedy wreszcie padło, a mieście na uwadze, że oblężenie trwało miesiące, jego wielkie ściany stały się wielką kupą gruzu.

Kurusz skrzywił się.

- Niestety mury Babilonu nie są ceglane. A przynajmniej nie zbudowano ich z cegły wypalanej. Swego czasu zewnętrzne umocnienia wykonano właśnie z takiego materiału, ale miasto jest opuszczone od wielu setek lat. Wieśniacy z regionu używają doskonałych cegieł jako budulca na swoje chaty. Wszystko, co zostało z zewnętrznych umocnień, to tylko ziemny rdzeń. Mury wewnętrzne ciągle stoją, ale zrobiono je w całości z cegieł suszonych na słońcu. Po wielu setkach lat ściany nie są twardsze od ubitej ziemi.

- Ale mimo wszystko mury są bardzo grube, prawda? - zapytał Maurycy.

Młody Irańczyk skinął głową.

- O tak. Bardzo grube! Mury zewnętrzne ciągle mają ponad pięćdziesiąt metrów grubości, a przed nimi rozciąga się stumetrowa fosa. Mury wewnętrzne składają się z dwóch ścian, pomiędzy którymi biegnie droga dla wojska. Łącznie z traktem, który liczy sobie około siedmiu metrów, całe mury mają jakieś dwadzieścia metrów grubości.

Siwobrody szeroko otworzył oczy. Coutzes gwizdnął cicho, potrząsając głową.

- Boże w Niebiosach - mruknął - nie miałem pojęcia, że nasi przodkowie potrafili wznosić budowle na taką skalę.

- Dlaczego nie, bracie? - sarknął Bouzes. - Widziałeś przecież piramidy w Egipcie. Wiem, że widziałeś. Stałem tuż obok ciebie, gdy gwizdałeś cicho, potrząsałeś głową i mówiłeś: „Boże w Niebiosach, nie miałem pojęcia, że nasi przodkowie potrafili wznosić budowle na taką skalę.”

W pomieszczeniu wybuchł śmiech. Nawet Coutzes, po chwilowym ataku gniewu na brata, zaczął nieśmiało chichotać.

Jednakże chwila dobrego humoru trwała krótko. Niebawem ponura rzeczywistość znów zapanowała nad zebranymi.

Belizariusz ponownie ulegał sprzecznym impulsom. Z jednej strony czuł potrzebę dochowania sekretu, a szczególnie istnienia Aide; z drugiej zaś - z trudem powstrzymywał się od wyjawienia go nowym sprzymierzeńcom, co stanowiło jego osobistą potrzebę.

Zdecydował się w końcu obrać zdradliwy środkowy kurs.

- Właściwie - powiedział, odchrząkując z cicha - sędzę, że natura murów Babilonu będzie działała na waszą, a raczej powinienem powiedzieć: na naszą korzyść. Ogień, prowadzony przez gigantyczne ciężkie działa, jest zbyt silny dla twardych ścian, zrobionych z cegły albo z kamienia. Lepiej sobie z nim radzić za pomocą ścian miękkich i grubych. Takie po prostu absorbują siłę uderzenia, a nie starają się jej rozproszyć.

Wszyscy mężczyźni, z wyjątkiem Maurycyego; patrzyli na Belizariusza oczami szeroko otwartymi ze zdumienia. Chiliarcha zacisnął usta i wlepił wzrok w pełny puchar.

Maurycy był jedyną osobą w pawilonie, która знаła sekret Belizariusza. Generał w końcu się z nim podzielił tajemnicą, kilka miesięcy wcześniej, po powrocie z wyprawy do Indii. Belizariusz zawsze czuł wyrzuty sumienia, że ukrywał to tak długo przed Maurycym. Zatem kiedy w końcu ujawnił istnienie Aide, udostępnił towarzyszowi bardzo wiele z wizji klejnotu, może więcej nawet

niż Antoninie, która była jego najbliższą powiernicą.

Nawet jeżeli na początku robił to z poczucia winy, niebawem wszystko się zmieniło. W rzeczywistości odkrył, że ów żołnierz jest jego najpożyteczniejszym współpracownikiem, a przynajmniej jeśli chodzi o sprawy wojskowe, poruszane przez Aide. Nie był zdumiony tym, że flegmatyczny i praktyczny tracki wieśniak, który stał się katafraktem, okazał się bardziej otwarty na dziwaczne wizje Aide niż ktokolwiek inny.

- Widziałeś to w Indiach? - zapytał Kurusz. - Takie fortyfikacje?

Maurycy rzucił w kierunku Belizariusza szybkie, ostrzegawcze spojrzenie. Chiliarcha wiedział doskonale, gdzie dowódca widział takie umocnienia. Wcale nie w Indiach, ale w swoich wizjach. W wizjach, które Aide wyświetlało w jego umyśle, w migawkach z oblężeń i wojen przyszłości. Klejnot skupił się szczególnie na teorii i praktyce wielkiego znawcy fortyfikacji, narodzonego tysiąc lat później mężczyzny o imieniu Vauban, który będzie żył w kraju nazywanym Francją.

- Nie bezpośrednio, Kuruszu. Ale zauważyłem, tuż przy końcu oblężenia Ranapur, że pokruszone ściany lepiej się opierają działom oblężniczym niż te, których cegły były jeszcze nietknięte.

Pogratulował sobie w duchu. W końcu udało mu się chociaż częściowo powiedzieć prawdę. Z całych sił przekonywał samego siebie, że skruszone mury Ranapur rzeczywiście dość dobrze opierały się salwom dział oblężniczych. Nawet jeżeli on sam w tamtej chwili nie zwracał na to uwagi.

Na szczęście kłamstwo zostało gładko przełknięte. Kurusz i Baresmanas byli tak zadowoleni z uzyskanej informacji, że nie wykazywali chęci dalszego drażnienia tematu.

Rozmowa zesłała na ewidentną słabość kawalerii Malawy, a szczególnie ciężkiej jazdy. Sprzymierzeńcy zastanawiali się, jak to najlepiej wykorzystać. Lecz przeszkodzono im, zanim zdolali rozpętać poważną dyskusję.

Do namiotu wszedł perski oficer, przystrojony w insygnia królewskiego kuriera. Z przeproszącą miną podszedł do stołu. Kiedy tamten pochylił się nad Baresmanasem i szepnął mu coś do ucha, Belizariusz grzecznie odwrócił wzrok i zajął uwagę Rzymian anegdotą opisującą oblężenie Ranapur. Opowieść, w której porównywał relatywną wartość kawalerii Radżputów i Ye-tai, była na tyle interesująca, że całkowicie pochłonęła Bouzesa i Coutzesa, a najwyraźniej także Maurycyego. Ale zauważył, że Kurusz praktycznie go nie słucha. Twarz młodego sahrdarana zeszywniała. Jakikolwiek wieści przywiózł kurier, generał był pewien, że bratanek Baresmanasa domyśla się ich treści. I podejrzenia wcale go nie cieszą.

Kiedy kurier opuścił namiot, Baresmanas rzucił w kierunku Belizariusza spojrzenie zawierające w sobie mieszaninę przeprosin i prośby.

Rzymski dowódca zrozumiał je poprawnie i wstał.

- Jest późno - powiedział - i wszyscy jesteśmy zmęczeni. Myślę, że najlepiej się stanie, jeżeli dokończymy naszą rozmowę później. Będziemy mieli wiele okazji do rozmowy podczas marszu na południe.

Pozostali Rzymianie natychmiast poszli za jego przykładem. W przeciągu dwóch minut wsiedli na konie, czekające na zewnątrz pawilonu, a potem ruszyli w kierunku rzymskiego obozu, położonego w pobliżu.

- Coś się stało - orzekł Coutzes.

- Polityka - oznajmił jego brat. - To musi być polityka.

Belizariusz był nieco zaskoczony. Wiedział, że Bouzes i Coutzes nie należą do głupców. Ale dawniej, gdy poznał ich trzy lata temu, bracia zachowywali się z tak beztroską bezmyślnością, że nie spodziewał się po nich aż takiej przenikliwości.

Jednakże nie skomentował ich wypowiedzi. Nie odzywał się do momentu, aż zostawili braci przy

ich namiocie i ruszyli wraz z Maurycym w kierunku obozowiska Traków.

- Wiesz, że ma rację - rzekł Maurycy.

Generał skinął głową.

- Mają kryzys na tronie. Chozroes jest nowym władcą i ma całą masę przyrodnych braci. A szczególnie Ormazd był niezadowolony z sytuacji. Prawdopodobnie doszłoby do wojny domowej, gdyby nie inwazja Malawian. Persowie mogą się śmiać z naszych adoptowanych cesarzy, tak bardzo jak tylko chcą, jednak to nie zmienia faktu, że ich historia obfituje w przewroty pałacowe, bo tam każdy, kto może, sięga po tron. W przeszłości bardzo często wybuchały wojny domowe po śmierci ich władcy. Członkowie dynastii Sasanidów samozwańczo obwoływali się władcami i dążyli do korony. Czasami nawet po trzech i po czterech.

Jechali przez chwilę w milczeniu. Chiliarcha nagle się uśmiechnął.

- Tak przy okazji, myślę, że świetnie dałeś sobie radę - powiedział. - To znaczy z tym kłamstwem. Ta gadka o pokuszonych murach Ranapur była szczególnie ładna. Miała w sobie tyle prawdopodobieństwa i autentyzmu. Udało ci się całkowicie uniknąć niezręczności tłumaczenia dwóm perskim sahrdaranom, że twoja wiedza o fortyfikacjach, stosowanych w wieku prochu i dział, pochodzi od jakiegoś pieprzonego barbarzyńcy, a w dodatku Gala, który urodzi się dopiero za dwieście lat.

Belizariusz się skrzywił. Maurycy uśmiechał się radośnie.

- Chociaż wymknęła ci się jedna rzecz. Kiedy powiedziałaś, że masz nadzieję, że jedyną bronią palną Malawian będą działa obłądnicze, rakiety i granaty.

Belizariusz zamrugnął, lecz Maurycy nie zamierzał mu odpuścić.

- Pech. Na szczęście, Persowie nie wyłapali pomyłki. Przecież mogli zapytać, jakiej jeszcze broni się spodziewasz.

Chiliarcha popatrzył ukradkiem na generała.

- I co byś im wtedy powiedział?

Belizariusz patrzył przed siebie w milczeniu. Jego twarz nie wyrażała żadnych uczuć.

- O tak - zachichotał Maurycy. - Miałbyś trochę trudności. Mam nadzieję, że nie zobaczymy artylerii zmotoryzowanej - powiedział, udatnie naśladowując baryton generała. - Albo nawet gorzej: ręcznych dział. No, wiecie, tych urządzeń, które od tak dawna my, Rzymianie, próbujemy stworzyć na podstawie wizji z przyszłości, przekazywanych mi przez magiczny kamień, który niektórzy z nas nazywają Talizmanem Bożym. I - zważcie - nie mówię, że nie mamy sukcesów.

Dojechali wreszcie do namiotu, który dzielili. Dowódca zsiadł z konia i uniósł głowę, żeby popatrzeć na zadowoloną gębę starego katafrakta.

- Mam całkowite zaufanie do Jana z Rodos - oświadczył w końcu, dobitnie i wyraźnie.

Maurycy potrząsnął głową.

- To dlatego, że nigdy z nim nie pracowałeś.

Chiliarcha także zsiadł z konia i poszedł za Belizariuszem do namiotu.

- Ja, z drugiej strony, pracowałem z nim - mruknął ponuro. - To całkiem ekscytujące doświadczenie.

# RODOS

*Lato, 531 n.e.*

## Rozdział 9

- Padnij, idiotko!

Antonina wskoczyła za barykadę. W samą porę. Usłyszała paskudny, ostry trzask eksplozji. Chwilę później nad jej głową z wściekłym jazgotem przeleciał niezidentyfikowany obiekt.

Zza drugiej barykady wysunęła się głowa Jana. Kiedy Antonina ostrożnie wyjrzała zza zasłony, ujrzała wpatrzona w siebie dwa wściekle jeziora błękitu.

- Jak wiele razy mam ci powtarzać? - zapytał oficer marynarki. - Te urządzenia są niebezpieczne!

Pozostali obserwatorzy testu, pięciu Rzymian, także zaczęli się wyłaniać zza kolejnych osłon, które z trzech stron otaczały działą, właśnie wypróbowywane przez Jana.

Działą, które właśnie zostało spisane na straty. Leżało na boku, na ciężkiej drewnianej podstawie, i nie miało jednej z żelaznych sztab, kształtujących lufę. Małżonka Belizariusza zamrugła widząc braki w konstrukcji urządzenia. To właśnie brakująca sztaba przeleciała nad nią z wizgiem zaledwie chwilę wcześniej, a gdyby trafiła, z łatwością zdjęłaby jej głowę z ramion.

Jan wyskoczył zza barykady.

- Dosyć! Dosyć! - krzyczał. Przeniósł rozpalony wzrok z kobiety na grupkę rzymskich oficerów, po czym wycelował w Antoninę wskazujący palec. - Od chwili obecnej ta kobieta nie ma prawa wstępu na mój poligon! - oznajmił. - I to wy macie dopilnować wykonania tego rozkazu!

Hermogenes odchrząknął.

- Nie mogę tego zrobić, Janie. To Antonina tu dowodzi, przecież wiesz. Wydaje rozkazy i tobie, i mnie. Z bezpośredniego cesarskiego nadania. Jeżeli masz zamiar powiadomić cesarżową Teodorę o przejęciu zwierzchnictwa, lepiej zrób to sam. Mnie nie proś.

- Wolałbym osobiście naszczać na smoka - mruknął jeden z oficerów, młody Syryjczyk o imieniu Eufroniusz, który służył jako oficer zastępca głównodowodzącego Kohorty Teodoryjskiej, dowodzonej przez Antoninę.

Zawodowy oficer piechoty, który stał obok niego i pełnił taką samą funkcję, z tym że przy boku Hermogenesa, z zapalem pokiwał głową.

- Ja też - zgodził się Kalikst. - Wielkiego, w pełni obudzonego, głodnego smoka...

- ...strzegącego swoich młodych - dokończył inny oficer. Miał na imię Aszot i dowodził trackimi katafraktami, pozostawionymi przez Belizariusza do ochrony żony podczas wyprawy do Egiptu.

Ostatni z oficerów nie powiedział ani słowa. Zwał się Menander i zajmował swe stanowisko dopiero od niedawna. Teraz teoretycznie był setnikiem, dowódcą oddziału złożonego ze stu żołnierzy. Liczył sobie zaledwie dwadzieścia lat i nigdy jeszcze nikim nie dowodził. Ale tytuł Menandra stanowił jedynie formalność. Naprawdę pełnił funkcję specjalnego doradcy Antoniny.

Menander był jednym z trzech katafraktów, którzy towarzyszyli generałowi Belizariuszowi w podróży do Indii. Pozostali dwaj, Walentynian i Anastazjusz, ruszyli na wyprawę z generałem i jego osobistą ochroną. Młodzian, który choćby w niewielkim stopniu nie był tak doświadczony w walce jak starzy wojacy, dostał inne zadanie. Belizariusz zauważył, że podczas pełnej przygód podróży do Indii Menander nauczył się bardzo wiele i o broni prochowej, i o taktyce, więc przedstawił go swojej żonie i wychwalał tak bardzo, że smagłolicy młodzieniec czerwienił się jak burak.

Tak więc niezbyt pewny siebie doradca nie odezwał się ani słowem. Ale żeby zapewnić o swojej lojalności, skrzyżował ręce na piersi i stanął tuż obok Antoniny.

Kiedy Jan zobaczył, że stoi naprzeciw zjednoczonej opozycji głównodowodzących ekspedycją, wyrzucił ręce do góry w akcie desperacji.

- Więc nie ponoszę za to odpowiedzialności! - Płonące wściekłością spojrzenie niebieskich oczu znów spoczęło na Antoninie. - Ty przeklęta kobieto. Przeklęta, mówię! Zginiesz marnie, i to w młodym wieku!

Jan zaczął kręcić się w kółko i machać rękami.

- Rozczłonkowana - przepowiedział. - Rozerwana na części - prognozował. - Zdekapitowana. Roztarta na krwawą, bezkształtną miazgę mięsa i kości - zakończył ponurą przepowiednię grobowym tonem.

Antonina, mająca spore doświadczenie w kontaktach z Janem, czekała spokojnie, aż ten wygada się i wybiega.

- A tak właściwie co się stało, Janie? - spytała po dłuższej chwili.

Tak jak zawsze, po chwili forsownego marszu i machania rękami, umysł oficera marynarki w końcu się uspokoił i ów mógł wrócić do sedna sprawy.

Rzucił okiem na rozszczerzone działo.

- To samo, co zwykle się dzieje z tymi przekłętymi, żelaznymi działami - warknął. - Jeżeli na spawie jest choć minimalna skaza, jedna z części lufy wylatuje z hukiem.

Podszedł do urządzenia i przyklęknął obok.

- Chodźcie tutaj - powiedział. - Pokażę wam, w czym jest problem.

Antonina obesza barykadę i stanęła tuż przy nim. Chwilę później dołączyli do nich pozostali oficerowie i zgromadzili się wokół działa.

Jan wskazał jedną z żelaznych sztab, które biegły przez całą długość lufy. Lufę zrobiono z dwunastu takich sztab, ale teraz było ich tylko jedenaście. Żelazne elementy miały około dwóch i pół centymetra na przekroju oraz niecały metr długości. Sztaby łączyły się, tworząc dwunastościenną rurę o przekroju około siedmiu centymetrów. Szpary pomiędzy sztabami wypełniono z zewnątrz roztopionym metalem.

Rodyjczyk wskazał popękane spawy, które kiedyś łączyły brakującą sztabę z pozostałymi.

- W tym miejscu zawsze pęka - oznajmił. - I zdarza się to już trzeci raz z rzędu.

Zmarszczył brwi, bardziej zamyślony niż zły.

- Nawet by mi to nie przeszkadzało, gdyby fakt pęknięcia dało się jakoś przewidzieć. Wtedy mógłbym je przetestować i zlikwidować usterkę. Ale tak się nie da. Jedno z dział wybuchło po tym, jak bez żadnego problemu strzeliło co najmniej dwadzieścia razy.

- Widzę, że wokół lufy przyspawałeś inne obręcze, nie takie jak przy ręcznych działach - zauważył z wahaniem Eufroniusz. - Może, gdybyś użył takich samych, wzmocniłbyś całą konstrukcję.

Dowódczym patrzyła, jak Jan walczy ze swoim temperamentem. Jednakże walka trwała krótko. Kiedy oficer marynarki przemówił, jego głos był łagodny i pobrzmiwała w nim nuta spokoju. Była to jedna z wielu cech, które Antonina lubiła w Rodyjczyku. Dawno już spostrzegła, że mimo swej legendarnej niecierpliwości i wybuchowego charakteru Jan z reguły był nieuprzejmy tylko w stosunku do zwierzchników, lecz za to bardzo kurtuazyjny w kontaktach z podwładnymi.

- Tak, masz rację, Eufroniuszu - powiedział. - Ale jest jeszcze jeden problem. Działa ręczne są małe i dość lekkie, nawet jeżeli dodam do nich kilka wzmocniających obręczy więcej. Co więcej, ładujesz do nich mniej prochu, więc mają mniejszą siłę, ale żeby osiągnąć to samo z siedmiocentymetrowym działem, musiałbym dać wzmocnienia na całej długości. A to znacznie zwiększyłoby jego ciężar...

Zawahał się, obliczając coś w głowie.

- Już teraz działa waży coś około osiemdziesięciu kilogramów. Jeżeli dodamy wzmocnienia, a tak jak mówiłem, musielibyśmy dać je na całej długości, a nie tylko miejscowo jak w działach ręcznych, ta broń zyska kolejne dwadzieścia pięć kilo. Powiedzmy, że razem to sto kilo, a to tylko waga lufy. Nie wliczam masy podstawy.

- To wcale nie tak źle - skomentował Aszot. - Szczególnie jeżeli zamierzasz zainstalować je na galerach wojennych.

- I tak, i nie - odparł wynalazca. - To prawda, masa nic nie znaczy na statku. Problem tkwi w spójności żelaza.

Spojrzał na Antoninę.

- Belizariusz mi o tym mówił, a ja sam sprawdziłem, testując działa, że lufa spawana ze sztab wymaga specjalnego traktowania. Te cholerne działa muszą być czyszczone w gotującej się wodzie po niemalże każdym użyciu, w przeciwnym razie bowiem w szczeliny wchodzi proch i zaczyna się korozja. - Skrzywił się podobnie jak przedmówca.

Hermogenes, który wodził wzrokiem od jednego do drugiego, zamyślony, zmarszczył brwi.

- Nie widzę problemu - orzekł. - Prawda, na lądzie armia mogłaby mieć kłopoty z wrzącą wodą do mycia dział, szczególnie na pustyni, Ale na statku...

Jan z wściekłości wybałuszył oczy. Jednakże zanim oficer zdołał upuścić z siebie gniew, wtrącił się Aszot.

- Janie, nie zapominaj, że on nigdy nie pływał po morzu.

Rodyjczyk zacisnął szczękę.

- Najwyraźniej nie! - ryknął.

- Jedną z rzeczy, jakich nie wolno ci robić na statku - z uśmiechem na twarzy wyjaśnił Hermogenesowi Aszot - jest rozpalenie wielkiego ogniska, aby zagrzać ogromny kocioł wody. Uwierz mi, Hermogenesie, nie chciałbyś tego robić. Nic na świecie nie pali się tak dobrze jak statek. To całe przesączone olejem drewno... żagle... wanty...

- Te przeklęte statki są jak kupa drewna na rozpałkę. Tylko czekają, aż ktoś je podpali - zgodził się Jan. - Poza tym, czego zamierzasz użyć? Wody morskiej? Wtedy lufa skoroduje jeszcze szybciej!

Antonina wyprostowała się.

- A więc postanowione. Na statkach zamontujemy działa odlane z brązu. Tak samo w artylerii polowej. A żelazne lufy zachowamy dla ręcznych dział piechoty.

- One ciągle będą wybuchać dość nieoczekiwanie - ostrzegł Jan.

Eufroniusz uśmiechnął się; był w zadziwiająco dobrym humorze.

- Tak, Janie, będą. Widziałem, jak to się dzieje, raz nawet wybuchło mi w rękę, i zgadzam się, że to dość przerażające doświadczenie. Ale moi grenadierzy dadzą sobie z tym radę. Jedynym pozytywnym aspektem ręcznych dział, które wybuchają, jest fakt, że sztaby rozpadają się na boki, a nie do tyłu. To przerażające, ale nie aż tak groźne, na jakie wygląda.

- Może, ale nie dla człowieka, który stoi obok - mruknął Kalikst.

- Nie do końca. Nie zapominaj, że ręczne działa mają zabezpieczające obejmy. Kiedy taka broń wybucha, a nie dzieje się to znowu tak często, obejmy trzymają sztaby tak, że te nie rozlatują się wokoło niczym śmiertelne pociski. Masz tylko kawałki metalu, całkiem niegroźne. Oczywiście, mogą cię zranić... a może nawet zabić, ale w końcu trzeba się z tym liczyć. - Grenadier wzruszył ramionami. - Takie jest życie: Jesteśmy farmerami i pasterzami, Kalikście. Uprawa ziemi także jest niebezpieczna, możesz w to uwierzyć albo nie. A szczególnie kontakty ze zwierzętami. Zeszłego roku mój kuzyn został okaleczony, kiedy...

Przerwał nagle i machnął ręką, jakby chciał odpędzić wspomnienia. Wszyscy, którzy spoglądali

na syryjskiego wieśniaka, zamienionego w grenadiera, zdumieli się, widząc gest tak pełen spokojnego fatalizmu.

- Damy sobie radę - powtórzył. Na jego twarz powrócił radosny uśmiech. - Chociaż w obecności moich grenadierów będę podkreślał konieczność utrzymywania dział w czystości. Nawet jeżeli będzie to oznaczało, że muszą wlec ze sobą ciężkie i nieporęczne kotły. - Zachichotał nagle. - Ich żony z pewnością podniosą wściekły wrzask, bo to one z reguły muszą wszystko dźwigać.

Jan z Rodos ciągle nie był w pełni usatysfakcjonowany.

- Brąz jest drogi - narzekał. - Żelazne działa są o wiele tańsze.

Żona Belizariusza potrząsnęła głową.

- Będziemy musieli się z tym pogodzić. Nie zamierzam wystawiać moich żołnierzy i marynarzy na takie ryzyko. Niech skarbnicy wrzeszczą, ile im się żywnie podoba. A jeżeli będą za bardzo krzyczeć - dodała ponuro - poskarżę się Teodorze.

Rozchmurzyła się wreszcie.

- Poza tym, Janie, możemy zrobić wielkie żelazne działa, które na stałe ustawimy na umocnieniach warowni. Kiedy już dotrzemy do Aleksandrii. Nie będzie miało znaczenia, ile ważą, ponieważ nie będziemy ich przenosić. Będą bronić miasta. I bez problemu da się je oczyścić. Artylerzyści z garnizonu i tak nie będą mieli nic innego do roboty. Mam nadzieję, że działa nigdy nie zostaną użyte.

Mężczyzna zmarszczył brwi.

- Jesteś pewna? - zapytał z mocą.

W tej chwili nie mówił o działach. Znow wracał do rozmowy, którą odbył z Antoniną, kiedy ta przybyła na Rodos. Gdy tylko postawiła nogę na stałym lądzie, kazała Janowi przenieść cały urządzony w pocie czoła warsztat oraz wszystkie gotowe działa do Aleksandrii.

Antonina westchnęła.

- Janie, rozmawialiśmy już o tym setki razy. Rodos jest zbyt odizolowane od reszty świata. Wojna z Malawą rozegra się na południu. Egipt jest kluczową pozycją. A poza tym..

Zawahala się. Podobnie jak większość Rodyjczyków, których poznała, Jan był bardzo przywiązany do swojej rodzinnej wyspy. Ale...

- Staw czoła prawdzie, Janie. Rodos jest nie tylko odizolowane, jest za małe.

Machnęła rękaw kierunku kilku warsztacików, odległych od miejsca testowania broni o jakieś pięćdziesiąt metrów. Warsztaty, podobnie jak strzelnicę, ustawiono na małym półwyspie, wcinającym się w morze. Za nimi wznosiło się kamieniste, strome zbocze.

- To wojna, jakiej jeszcze nie było. Musimy zbudować potężną broń, żeby ją wygrać. A to oznacza, że musimy przenieść się do Aleksandrii, Janie, a nie tkwić na tej małej wyspie. Aleksandria jest drugim co do wielkości miastem w Cesarstwie, tuż po Konstantynopolu, i na chwilę obecną znajduje się tam największe skupisko warsztatów, rzemieślników i fachowców wszelkiego rodzaju. Tylko tam możemy zdobyć odpowiednie materiały, a także siłę roboczą, i to dość szybko.

- Egipt jest również jedną z najbogatszych prowincji Cesarstwa - dodał Hermogenes. - Więc nie będziemy mieć problemu z wyżywieniem naszych ludzi. Podczas gdy tutaj, na Rodos...

Przerwał i zatoczył ręką koło, wskazując na pustynny, jałowy teren. Rodos cieszyło się wielką sławą w akwenie Morza Śródziemnego dzięki swoim marynarzom, a także sprytnym kupcom. Obie te klasy rozwinęły się na wyspie właśnie dlatego, że nic innego na niej nie było. Wyspiarze mieli kłopoty zwłaszcza z rolnictwem.

Jan wstał powoli.

- No dobrze - powiedział, wzdychając ciężko. Potem rzucił na Antoninę podejrzliwe spojrzenie. -



Na pewno nie wymyśliłaś tego wszystkiego tylko po to, aby w triumfie powrócić do swego rodzinnego miasta?

Kobieta roześmiała się, ale w jej głosie nie było radości. Ani trochę.

- Kiedy opuszczałam Aleksandrię, Janie, przysięgałam sobie, że moja noga więcej nie postanie na terenie tego miasta. - Na chwilę jej urodziwa twarz zamieniła się w brzydką, skurczoną maskę. - Pieprzyć Aleksandrię. Wszystko, co mi przypomina, to biedę, żebranię i...

Przerwała i wzruszyła ramionami. Wszyscy zebrani wokoło znali jej historię. Wszyscy, z wyjątkiem Eufroniusza, znali ją od dawna.

Syryjski wieśniak usłyszał ją zaledwie trzy miesiące wcześniej, kiedy Antonina wybrała go na głównodowodzącego oficera i zaprosiła wraz z żoną na obiad do swej willi. Wtedy to, gdy już zjedli i raczyli się doskonałym winem, opowiedziała im swoją historię. Bacznie obserwowała ich reakcje. Eufroniusz był zaszokowany, ale tak bardzo podziwiał Antoninę, że z łatwością przeszedł nad jej opowieścią do porządku dziennego.

Natomiast jego żona, Maria, zupełnie nie wyglądała na zaszokowaną. Ona także podziwiała Antoninę. Lecz w przeciwieństwie do męża rozumiała, jaki wybór mają dziewczynki wywodzące się z biedy. Maria wybrała inną ścieżkę niż Antonina... Przez chwilę, gdy przypominała sobie łagodność i niezręczność szesnastoletniego pasterza, jej dłoń gładziła rękę męża. Nie potępiła dowódczym. Sama myślała o takiej alternatywie, więcej niż raz, zanim zdecydowała się wyjść za Eufroniusza i zaakceptować życie żony wieśniaka.

Małżonka Belizariusza odwróciła wzrok.

- Pieprzyć Aleksandrię - powtórzyła.

# MEZOPOTAMIA

*Lato, 531 n.e.*

## Rozdział 10

Baresmanas przekazał im złe wieści, kiedy oddalili się od Callinicum o godzinę drogi.

- Wygląda na to, że szykuje się wojna domowa, a do tego mamy na głowie Malawian - powiedział ponuro.

Perski arystokrata patrzył na jałową pustynię północnej Mezopotamii. Na tle szarej, nagiej gleby wyróżniały się pojedyncze, okazjonalnie mijane oazy i Eufrat, toczący swe wody niecały kilometr od drogi na wschód, którą poruszało się wojsko.

Belizariusz uniósł brew i popatrzył na sahrdarana, ale się nie odezwał. Po chwili Baresmanas westchnął.

- Miałem nadzieję, że do tego nie dojdzie. Ale Ormazd zawsze był głupcem. Przyrodni brat Chozroesa zawsze miał mocne poparcie nie których rodzin sahrdaranów, a szczególnie Varazesów i Andiganów. Także spora część Karenów mu sprzyja. I jest całkiem popularny wśród królewskich vurzurganów. Najwyraźniej wszystko to musiało przyjść mu do głowy. Głupiec! - sarknął. - Wielkie masy deganów dały jasno do zrozumienia, że są lojalne względem Chozroesa. A bez nich... - Baresmanas wzruszył ramionami.

Belizariusz w zamyśleniu pokiwał głową, przypominając sobie strukturę sił i wpływów w Persji.

Perskie społeczeństwo było ściśle podzielone na klasy, a klasa zazwyczaj bezpośrednio przekładała się na polityczne wpływy i władzę. Członkowie siedmiu rodzin sahrdaranów zasiadali na stolcach najważniejszych prowincji, a także często zajmowali stanowisko zarządcy podległych królestw. Poniżej sahrdaranów plasowała się klasa grandów, których Persowie nazywali vurzurganami. Vurzurganie rządili małymi prowincjami i zajmowali stanowiska niższych urzędników królewskich.

I w końcu na samym dole perskiej arystokracji plasowali się azadanie, czyli ludzie szlacheckiego pochodzenia. Większość z nich należała do drobnej ziemiańskiej szlachty, którą Persowie obdarzali mianem deganów. To właśnie z deganów wywodziła się przerażająca, ciężko opancerzona, zbrojna w lance jazda, stanowiąca serce potężnej perskiej armii.

Zatem rywal Chozroesa, Ormazd, mimo że miał poparcie wielu wysoko postawionych arystokratów, nie zdobył zaufania ludzi, którzy stali się zbrojną pięścią perskiego władcy.

Generał uśmiechnął się krzywo.

- Nawet wielcy Ariowie - mruknął - muszą brać pod uwagę szarą i okrutną rzeczywistość.

Rozmówca odpowiedział na drwiący uśmieszek jednym z własnych grymasów.

- Właściwie to twoja wina - odparował. Belizariusz szerzej otworzył oczy.

- Moja wina? Ale niby jak...

- Najpotężniejszym i najbardziej wpływowym zwolennikiem Ormazda jest Firuz. Który pochodzi z rodu Karenów, jak zapewne wiesz.

Rzymianin potrząsnął głową.

- Nie, nie wiedziałem. Czy mówimy o tym samym Firuzie, który...

- Tak, w rzeczy samej. O tym samym Firuzie, o tym czempionie, dowodzącym perską armią pod Mindos. I doprowadził do największej klęski, jaka nam się przytrafiła na polu bitwy przez ostatnich sto lat. I ty się do tego przyczyniłeś, przyjacielu.

Belizariusz zmarszczył brwi.

- Wiedziałem, że przetrwał bitwę. Nawet go odwiedziłem, gdy był uwięziony, żeby oddać mu honory. Był dość nieuprzejmy, więc odwiedziny nie trwały długo. Ale nie wiedziałem, że jest Karenem, a także nie miałem pojęcia, że tak bardzo angażuje się w dynastyczne spory.

Baresmanas zaśmiał się szorstko.

- O tak. Jest faworytem królewskich urzędasów. Także kapłani Mazdy mają o nim jak najlepsze zdanie. To właśnie dlatego powierzono mu dowództwo pod Nisibis. Mimo jego ewidentnej... - wesołość znikła z jego głosu - niekompetencji w sprawach wojskowych.

Belizariusz na chwilę zgubił wątek. Na poboczu drogi wił się wąż, który spłoszył jego konia. Kiedy już uspokoił wierzchowca, znów zwrócił się do arystokraty.

- Zdaje się, że to wyjaśnia wrogość, jaką żywią do Ormazda deganie.

Sahrdaran zacisnął wargi.

- Nie zapomnieli o tej szalonej szarzy, jaką poprowadził pod Mindos, i tego, że pod jego wodzą wpadliśmy w twoje ziemne fortyfikacje. - Wzruszył ramionami. - Cóż to była za rzeź!

Przez chwilę sahrdaran wyglądał na starego, wymizerowanego człowieka. Belizariusz odwrócił wzrok, gdyż nie był pewien, czy panuje nad własnym wyrazem twarzy. Pod Mindos naprawdę doszło do rzezi. Wedle planu schwytał perskich kopijników i związał w walce z piechotą, podczas gdy jego własna ciężka kawaleria masakrowała tyły.

Westchnął. Przez ostatnie kilka miesięcy naprawdę polubił Baresmanasa. Ale jednocześnie wiedział, że dopuściłby do drugiego Mindos, gdyby zaszła taka potrzeba.

Część jego uczuć musiała być jasna dla Persa. Baresmanas nachylił się ku niemu.

- Takie jest prawo wojny - szepnął. - Nawet jeżeli wszystko nas różni, w tym jesteśmy podobni. Żaden z nas nie pokłada wiary w mity o bitewnej chwale i cennym męczeństwie.

- Tak jak nauczył mnie mój chiliarcha, Maurycy - odparł generał szorstko. - Wojna to krew i śmierć. Zorganizowane, systematyczne mordowanie, nic więcej i nie mniej. To była pierwsza rzecz, jaką mi powiedział w dniu, kiedy zostałem oficerem i powierzono mi oddział żołnierzy. Wtedy miałem siedemnaście lat. Lecz miałem w sobie na tyle rozsądku, żeby zapytać o zdanie mojego dowódcę, który był wtedy dziesiętnikiem

Irańczyk odwrócił się w siodle i popatrzył na długą kolumnę żołnierzy, rozciągającą się za nimi.

- A tak przy okazji, gdzie jest Maurycy? Nie widziałem go, kiedy ruszaliśmy dzisiejszego ranka. - Przyjrzał się kolumnie dokładniej. - A jeżeli już o tym mowa, gdzie twoi dwaj przyboczni?

Teraz Belizariusz się skrzywił.

- Jest mały problem. Poprosiłem Maurycyego, żeby go rozwiązał. Posłałem z nim Anastazjusza i Walentyniana oraz oddział moich katafraktów.

Baresmanas popatrzył na niego przebiegle.

- Szabrownicy?

Generał skrzywił się jeszcze bardziej.

- Gorzej. Ostatniej nocy w Callinicum żołnierze z konstantynopolitańskiego garnizonu upili się w tawernie i zgwałcili dziewczynę, która im usługiwała. To była córka właściciela zajazdu, niestety. Kiedy właściciel wraz z dwoma synami usiłowali im przeszkodzić, żołnierze ich zamordowali.

Baresmanas potrząsnął głową.

- Tak się zdarza. Zwłaszcza gdy w mieście są żołnierze...

- W mojej armii to się nie zdarza. - Generał zacisnął szczęki. - A przynajmniej nie więcej niż raz.

- Ukaralesz winnych.

- Kazałem ściąć im głowy, wszystkim siedmiu.

Rozmówca milczał przez chwilę. Jako doświadczony oficer, zdawał sobie sprawę z

konsekwencji. Armie, podobnie jak imperia, rządziły się swoimi prawami.

- Spodziewasz się kłopotów ze strony żołnierzy z konstantynopolitańskiego garnizonu - uznał. - Będą oburzeni, że trackie oddziały dokonały egzekucji ich towarzyszy.

- Mogą sobie być oburzeni, ile tylko chcą - warknął Belizariusz. - Tak długo, jak boją się moich żołnierzy, nic nie powinno się stać.

Odwrócił się w siodle i popatrzył za siebie.

- To dlatego Maurycy i jego ludzie nie jadą dzisiaj na czele kolumny. Pilnują oddziałów z Konstantynopola. I ciągną za sobą na linach siedem ciał. I worek z siedmioma głowami.

Znów się odwrócił; w jego oczach płonął zimny gniew.

- Mamy już wystarczająco dużo problemów na głowie. Jeżeli ci żołnierze mają takie głupie pomysły już teraz, zanim wyjechaliśmy z Rzymu, wyobraź sobie tylko, do czego będą zdolni na terenie Persji.

Baresmanas wydał wargi.

- To raczej byłoby trudne. A już szczególnie po tym, jak Ormazd wywołał kłopoty, nazywając postępek Chozroesa kapitulacją przed Cesarstwem Rzymskim.

Belizariusz zachichotał.

- Imperium Malawy właśnie niszczy Persję, a Ormazd oskarżył swojego brata tylko dlatego, że ten znalazł sprzymierzeńca?

Sahrdaran wzruszył ramionami.

- Jeżeli nie to, znalazłby coś innego. Ten człowiek cierpi z powodu niezaspokojonych ambicji. Mieliśmy nadzieję, że zaakceptuje swoje stanowisko, ale...

Generał popatrzył mu prosto w oczy.

- Jakie dokładnie wieści przywiózł ci kurier?

- To nie były wieści, Belizariuszu, raczej spekulacje. Po tym, jak zaatakowali nas Malawianie, Ormazd formalnie zaakceptował fakt, że Chozroes zasiądzie na tronie. W rewanżu Chozroes mianował go zarządcą Mezopotamii Północnej, bogatej prowincji, nazywanej przez nas Asuristanem, a przez was, zgodnie z antyczną nazwą, Asyrią. Ormazd zobowiązał się, że przyprowdzi imperatorowi trzydzieści tysięcy żołnierzy, aby pomogli mu w Babilonie. Dowiedzieliśmy się, że rzeczywiście zgromadził taką armię, ale na razie tkwi ona w obozie niedaleko Ktezyfontu, naszej stolicy. Wy nazywacie to miasto Seleucją, zgodnie z antyczną grecką nazwą; leży ono tuż nad brzegiem Tygrysu.

Sahrdaran utkwiał wzrok, pełen zimnej wściekłości, w pustynnym krajobrazie.

- Krótko mówiąc, są doskonale umiejscowieni; w sam raz, żeby zdobyć stolicę. I nie biorą udziału w wojnie z Malawą, czym osłabiają nasze jednostki. Obawiam się najgorszego.

- Myślisz, że Ormazd wszedł w układy z Malawą?

Baresmanas westchnął ciężko.

- Kto to może wiedzieć? Ja ze swojej strony w to nie wierzę, a przynajmniej nie w tej chwili. Myślę, że Ormazd czeka po prostu na rozwój wydarzeń i gotowi się, aby uderzyć na Chozroesa, kiedy ten zostanie wyparty z Babilonu. - Ze zmęczeniem potarł twarz. - Muszę ci także wyznać, Belizariuszu, że kurier przywiózł dla mnie instrukcje. Gdy dotrzemy do Peroz-Szabur, mam się rozstać z twoją armią. Mój imperator kazał mi zabrać Kurusza, jego oddziały, a także moich żołnierzy, którzy czekają na nas na miejscu, i udać się do obozowiska Ormazda.

- I co zrobić? - dopytywał się Belizariusz.

Arystokrata wzruszył ramionami.

- Cokolwiek zdołam. Zachęcić Ormazda, można tak powiedzieć, żeby dołączył się do nas

podczas walki z najeźdźcą.

Belizariusz przyglądał mu się przez chwilę.

- Jak duże siły oczekują nas w Peroz-Szabur?

- Dwa tysiące, może trzy.

Trak spojrział przez ramię, jakby chciał ocenić siły Baresmanasa. Siedem setek kawalerzystów, którzy służyli jako eskorta sahrdarana, ledwie majaczyło na końcu rozciągniętej kolumny.

- Mniej niż cztery tysiące ludzi - mruknął. - To raczej nie będzie dobra zachęta.

Baresmanas ponownie wzruszył ramionami.

Belizariusz wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Jaki dyplomata! Czy chciałeś mi właśnie powiedzieć, że imperator Chozroes nie zrobił nawet cienia sugestii, abyś poprosił swoich rzymskich sprzymierzeńców o pomoc?

Tamten spojrział na niego spode łba.

- Cóż... właściwie kurier coś o tym wspominał. Imperator zastanawiał się, po prostu myślał na głos, czy może przypadkiem rzymski dowódca zechce obejrzeć, tak zupełnie przy okazji, antyczne ruiny wspaniałej byłej stolicy greckich Seleucydów. Gdyby naszła go taka ochota, imperator nie ma nic przeciwko temu. - Baresmanas skinął głową. - Nic a nic.

Rzymski generał potarł podbródek.

- Seleucja. Tak, tak. Czuję nagłą potrzebę ujrzenia tego miejsca. W rzeczy samej, marzyłem o tym całe życie.

Przez dłuższą chwilę jechali w milczeniu.

- A tak przy okazji; Seleucja nie została wzniesiona przez Greków - zauważył Belizariusz. - Tylko przez Macedończyków.

Baresmanas machnął ręką.

- Proszę, Belizariuszu! Nie powinieneś spodziewać się po Arii pełnej krwi, że zrozumie tak delikatną różnicę. My wiemy tylko jedno. Wy, mieszańce z Zachodu, przychodzicie do nas tylko w dwóch postaciach. Jako źli Grecy i jeszcze gorsi Grecy.

## Rozdział 11

Dwa dni później niezadowolenie wzrastające od kilku dni wśród oddziałów z Konstantynopola dosięgło zenitu. Po południowym popasie, gdy wydano rozkaz wymarszu, garnizonowi żołnierze pozostali przy ogniskach i odmówili siodłania koni.

Najwyraźniej akcja ta została zaplanowana z wyprzedzeniem. Kilku trackich katafraktów, wliczając Maurycego, doniosło Belizariuszowi, że podoficerowie z garnizonu kręcili się między ogniskami podczas popasu. Wyżsi oficerowie spośród konstantynopolitańskich żołnierzy, chiliarchowie i trybuni, raczej nie maczali palców w buncie, a przynajmniej nie bezpośrednio. Lecz w oczywisty sposób nie zamierzali przywrócić dyscypliny w swoich oddziałach.

- To zorganizowany bunt - uznał Maurycy, pełen gniewu. - To nie jest tylko spontaniczne wystąpienie.

Belizariusz uspokoił go gestem dłoni. Przez chwilę patrzył na Eufrat, jakby szukał natchnienia w jego wolno płynących się wodach. Jak zwykle, kiedy tylko było to możliwe, wojsko rozkładało się na popas w pobliżu rzeki.

Otarł twarz chustą. Upał był nie do zniesienia. Nawet w cieniu płóciennego daszka, który rozpięli dla niego żołnierze, trudno było wytrzymać. Schronienie nie stanowiło namiotu w pełnym tego słowa znaczeniu, tylko kawałek płótna napięty na sześciu tyczkach. Wystarczało, aby osłonić przed słońcem, a jednocześnie nie odcinało dopływu świeżego powietrza.

- Nie używajmy tego terminu - poprosił generał z mocą. Popatrzył spokojnie w płonące złością oczy starego żołnierza. - Bunt to nie tylko przekłete słowo. To okoliczność prawna. Jeżeli nazwę ich zachowanie buntem, zobowiązę się zareagować w określony sposób, gdyż tego wymaga ode mnie cesarskie prawo. W sposób, który na chwilę obecną nie wydaje mi się do końca właściwy. Albo najmądrzejszy.

Belizariusz przyjrzał się twarzom pozostałych mężczyzn, stłoczonych pod nędznym schronieniem. Zebrali się tu wszyscy najwyżsi stopniem oficerowie z wyjątkiem dowódców konstantynopolitańskiego garnizonu. Ich nieobecność mówiła więcej niż drżące zapewnienia o lojalności.

Byli tu także Baresmanas i Kurusz. Trak postanowił najpierw rozprawić się z tym problemem.

- Kuruszu, byłbym wielce uradowany, gdybyś zechciał ruszyć naprzód ze swoimi oddziałami. Idźcie tak wolno, jak tylko się da, ale nie guzdrajcie się zanadto. My, Rzymianie, dogonimy was, jak tylko uporamy się z naszym kłopotem. Ale w chwili obecnej myślę, że najlepiej będzie, jak...

Młody człowiek skinął głową.

- Nie musisz tłumaczyć, Belizariuszu. Nie potrzebujesz w tym zamieszaniu jeszcze i aryjskich żołnierzy. Stalibyśmy się tylko kolejnym punktem zapalnym.

Odwrócił się i ruszył zwyczajnym dla siebie krokiem, pełnym nerwowej energii. Jednocześnie wydawał rozkazy swoim podwładnym. Baresmanas poszedł za nim, ale przedtem uśmiechnął się do Traka, jakby chciał mu dodać otuchy.

Kiedy Rzymianie zostali sami, atmosfera uległa lekkiemu rozluźnieniu. A może raczej Rzymianie wreszcie przestali być spięci.

- Nazywaj to, jak chcesz - warknął Coutzes. - Sądzę, że powinienes dać tym cholernym żołnierzom taką samą nauczkę, jaką dałeś tym siedmiu, którzy...

- Myślę, że powinniśmy wysłuchać najpierw generała - przerwał mu Bouzes. Położył rękę na ramieniu brata. - Wiesz przecież, że on jest bardzo sprytny. Czy może zapomniałeś?

Skarcony skrzywił się, ale nie odezwał się więcej.

Bouzes wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Może powinniśmy ogłosić, że w okolicy pojawiła się malawiańska karawana z żołdem? - zasugerował radośnie. - Może pošlemy tych dekonników na zbrojny rekonesans?

Wszyscy zebrani wokół oficerowie wybuchli śmiechem. Z wyjątkiem Belizariusza. Jednak nawet on, chociaż nie było mu wesoło, nie potrafił powstrzymać uśmiechu na widok zadowolonej gęby młodego mężczyzny.

Przez te kilka dni, od czasu kiedy Bouzes i Coutzes dołączyli do jego armii, Belizariusz zaczął podzielać zdanie Sitasa i Hermogenesa na temat braci. Wprawdzie żaden z nich, a szczególnie Coutzes, nie wyrzekł się zupełnie przywar młodości i dalej mieli gorące głowy, ale przez ostatnie trzy lata, od czasu bitwy pod Mindos, doświadczenie znacznie utemperowało ich charaktery.

Przywódca przestał się uśmiechać, jednak nie stracił do końca dobrego humoru. Już jakiś czas temu doszedł do wniosku, że tracący bracia są całkowicie akceptowalni na dowódczych stanowiskach. Nie wszyscy ludzie potrafili uczyć się na własnych błędach. Sam Belizariusz to potrafił i cenił tych, którzy posiadali tę umiejętność.

Zawsze uważał, że dobry humor stanowi klucz do sukcesu; a zwłaszcza umiejętność śmiania się z samego siebie. Kiedy usłyszał, że Bouzes i Coutzes zaprosili Maurycego na mały zbrojny wypad do najbliższej tawerny w Callinicum, generał stwierdził, że bracia z pewnością poradzą sobie na swoich stanowiskach.

Belizariusz spowaźniał do reszty. Miał problem do rozwiązania i wcale nie było mu do śmiechu. - Chciałbym obejść się bez rozlewu krwi - oznajmił. - I nie uważam, żeby to było potrzebne. Maurycy, nie zamierzam się z tobą spierać o przepisy ani regulamin. Myślę po prostu, że błędnie oceniłeś sytuację.

Maurycy szarpnął się za brodę.

- Może - odparł mrukliwie. - Ale...

Belizariusz znowu uniósł dłoń. Starszy mężczyzna lekko wzruszył ramionami i nie odezwał się więcej.

Generał zwrócił się teraz do Timasjusza, dowódcy pięciu setek illyryjskich kawalerzystów, których dostał od Germanikusa.

- Twoi ludzie są kluczem do rozwiązania sytuacji - ocenił. - A przynajmniej w moim rozumieniu. W którym miejscu stacjonują?

Timasjusz zmarszczył brwi.

- Stacjonują? Co dokładnie masz na myśli, generale?

Żołnierz miał ciężki akcent podobnie jak większość Illyryjczyków pochodzących z Dacji. Posługiwał się raczej łaciną niż greką. Sprawiał wrażenie człowieka nieco ociężałego umysłowo. Na początku Belizariusz składał to na karb ciężkiej mowy, ale przy bliższym poznaniu przekonał się, że Timasjusz rzeczywiście nie posiada zbyt lotnego umysłu. Kiedy miał do czynienia z rutynową sytuacją, był wcale kompetentnym oficerem, Ale...

Belizariusz zdecydował, że nie czas na konwenanse; musi być rzeczowy i zdecydowany.

- Mam na myśli to, Timasjuszu, że twoi Illyryjczycy od momentu wymarszu narzekają głośno i nieustannie. - Machnął ręką, uprzedzając protest oficera. - O nic cię nie oskarżam! Po prostu stwierdzam fakt.

Illyryjczyk zatracił się w ciężkim, pełnym urazy milczeniu. Generał Belizariusz zacisnął szczęki, zdecydowany do końca wyjaśnić sprawę. Ale okazało się to zbędne, gdyż do rozmowy wtrącił się podkomendny Timasjusza, setnik o Imieniu Liberiusz.

- To nie to samo, generale. Prawda, nasi ludzie bardzo narzekają, ale to tylko dlatego, że są nieprzyzwyczajeni do tak forsownych marszów.

Mężczyzna skrzywił się. Jego toporna twarz o nisko sklepionym czole nadawała mu wygląd nieledwie debila. Ale słowa, które padły chwilę później, całkowicie rozwiały to wrażenie.

- Musisz dostrzec różnicę pomiędzy naszym narzekaniem a tym, co gryzie ludzi z Konstantynopola. To rozpieszczeni garnizonowi dekwownicy. Prawda, nie wywodzą się ze szlachty, z wyjątkiem oficerów, ale podłapali od nich nastawienie. Są przyzwyczajeni, że stoją powyżej wszystkich, wrogów i przyjaciół. - Zmarszczył brwi jeszcze bardziej. Prawie znikły mu z twarzy. - A już szczególnie wynoszą się ponad swoich ziomków, cholerne bękarty. Ta dziewczyna w Callinicum nie była pierwszą barmanką, z którą poczynali sobie tak śmiało, możesz być tego pewien. Prawdopodobnie w Konstantynopolu zostało takich więcej, ale sprawy wyciszono. Z pewnością przy milczącej zgodzie wyższych urzędników.

Pomruk dobiegający ze strony pozostałych oficerów wskazywał na ich jednomyślność w tej kwestii.

- Illyryjscy żołnierze także nie są znani z dobrych manier - skomentował Belizariusz łagodnie.

Liberiusz zamrugał. W rzeczywistości oddziały illyryjskie cieszyły się jak najgorszą sławą wśród żołnierzy rzymskiej armii. Byli prawie tak okrutni jak najemnicy, walczący za pieniądze, a nie dla ideałów.

- Ale to nie to samo - upierał się tamten z mocą i pełnym przekonaniem. Belizariusz był pod wrażeniem spokoju mężczyzny.

Liberiusz skinął w kierunku Bouzesa i Coutzesa, i dwóch pozostałych oficerów Armii Syryjskiej.

- Ci chłopcy są przyzwyczajeni do Persów, bo mają z nimi częste kontakty. Medowie są cywilizowani. Prawda, kiedy wybucha wojna, obie strony zachowują się paskudnie. Ale nawet wtedy to sprawa pomiędzy imperiami. A w czasie pokoju, który trwa przecież przez większość czasu, na granicy panuje spokój i cisza.

Kilku syryjskich oficerów przytaknęło.

- Nie rozumiesz natomiast tego, z czym borykamy się w Illyrii - mówił dalej Liberiusz. - Z ciągłymi, niekończącymi się zamieszkami, obfitującymi w okrucieństwa. Przygraniczne wioski są płańdrowane przez Gotów albo Awarów, którzy wypuszczają się na okazjonalne grabieże. Ich królowie, o ile można ich tak nazywać, nawet o tym nie wiedzą, a przynajmniej nie o wszystkich wyprawach. - Wzruszył ramionami. - Więc odpłacamy im pięknym za nadobne i napadamy na ich wioski.

Zmarszczył czoło ponownie, mocno nachmurzony.

- To nie to sumo, co gwałcenie dziewczyny w naszym własnym mieście... a potem wymordowanie całej jej rodziny, która ośmieliła się stanąć w obronie pokrzywdzonej!

Znów przez zebrany tłumek przebiegł zgodny pomruk. Tym razem głośniejszy. Znacznie głośniejszy.

Belizariusz popatrzył na Timasjusza. Wolno myślący dowódca Liberiusza wreszcie załapał, o co chodzi jego podwładnemu. On także kiwał teraz głową z wielkim zapałem.

Generał czuł się usatysfakcjonowany. A przynajmniej w danej chwili. Lecz zakonotował sobie w umyśle, że w niedalekiej przyszłości musi zamienić parę słów z dowódcami Armii Illyryjskiej. Musi im przypomnieć, że niebawem wkroczą na terytorium Persji i że postęпки, które uchodziły im na sucho w delcie Dunaju, w Mezopotamii nie będą tolerowane.

Wyszedł z cienia i ruszył w kierunku swego wierzchowca.

- A więc dobrze.

Oficerowie poszli za nim. Belizariusz ruchem ręki kazał im zostać.

- Nie - powiedział. - Sam sobie z nimi poradzę.



- Co?! - wrzasnął Coutzes. - Nie zabierasz nikogo ze sobą?

Belizariusz uśmiechnął się krzywo i unióśł w górę dwa palce.

- Dwóch. - Pokazał na Anastazjusza i Walentyniana, czekających tuż obok zadaszienia, pod którym odbywała się narada. Kiedy tylko dostrzegli jego gest, dwaj katafrakci natychmiast dosiedli koni.

Gdy on także już siedział w siodle, uśmiechnął się do swoich oficerów, stojących poniżej. Wszyscy, z wyjątkiem Maurycego, patrzyli na niego, jakby był szalony.

- Dwóch mi wystarczy - oznajmił spokojnie i dźgnął konia ostrogą.

Kiedy trójka Traków oddaliła się od zadaszienia, Walentynian mruknął coś pod nosem.

- Co on powiedział? - zapytał Bouzes. - Nie usłyszałem.

Maurycy uśmiechnął się lekko.

- Zdaje mi się, że to brzmiało jak: „Czniać szalonych strategów”. Zwrócił się ku daszkowi chroniącemu przed słońcem.

- Ale może nie. On jest strasznie krytyczny w stosunku do wyższych stopniem! Może powiedział: „Leć mój miły koniku”. Wiecie, zachęcał konia. Biedne zwierzę, na pewno ma dość pustyni, tak samo jak my.

\* \* \*

Kiedy już oddalili się nieco, Belizariusz przywołał do siebie Walentyniana i Anastazjusza.

- Nie dotykajcie broni - powiedział, gdy już jechali obok siebie. - Chyba, że buntów... ach, przepraszam, pozbawieni motywacji żołnierze sięgną po nią pierwsi.

Popatrzył surowo na obu mężczyzn. Na topornej twarzy Anastazjusza nie gościł żaden wyraz. Walentynian skrzywił się, ale nie odważył się otwarcie zaprotestować.

Na twarz generała wypełził blady uśmiech.

- Właściwie chcę, żebyście zrobili dla mnie jedną rzecz, kiedy dotrzemy do obozu Greków. Macie się ze mną nie zgadzać.

- Nie zgadzać się? - zdumiał się Anastazjusz.

Belizariusz pokiwał głową.

- Tak, nie zgadzać. Oczywiście, nie otwarcie, miejcie to na uwadze. W końcu jestem waszym zwierzchnikiem. Ale chcę, żeby to było jasne. Macie mnie uważać za kompletnego idiotę.

Anastazjusz zmarszczył brwi. Walentynian mamrotał coś pod nosem.

- Co tam gadasz, Walentynianie? - zaciekawiał się Belizariusz. - Nie jestem do końca pewny, czy dobrze zrozumiałem.

Zapadła cisza.

- Powiedział, że to nie będzie trudne - mruknął Anastazjusz.

- Tak właśnie mi się zdawało - zadumał się dowódca i wyszczerzył zęby. - Cóż! Więc nie będzie z tym problemu, prawda? Przyjdzie to wam całkiem naturalnie.

Walentynian znów coś zamamrotał, ale z większej odległości. Drugi z katafraktów nie czekał na zachętę, tylko objaśnił słowa kolegi.

- Powiedział, oczywiście nieco streszczam, że sprytni faceci z reguły przechytrzają samych siebie i to jest ich koniec.

Belizariusz zmarszczył brwi.

- I to wszystko? Zdawało mi się, że powiedział parę słów więcej. A nawet kilka zdań.

Anastazjusz ze smutkiem potrzęsnał głową.

- Większość ze słów to po prostu bezużyteczne przymiotniki. I bardzo niekulturalne. - Olbrzym rzucił na swego towarzysza spojrzenie pełne niesmaku. - On jest prawdziwym profanem.

Zbliźali się już do obozu garnizonu z Konstantynopola. Belizariusz pchnął konia do kłusa.

Anastazjusz i Walentynian zajęli pozycje osobistych strażników.

- I pamiętajcie - odezwał się generał, odwracając głowę, kiedy jego przybocznicy zajęli już pozycje. - Macie się nie zgadzać. Nie aprobować. Jeżeli powiem coś sensownego, skrzywcie się. Jeżeli miłego, sarkajcie. Uspokajającego i łagodnego, plujcie na ziemię.

Usłyszał mamrotanie.

Belizariusz powstrzymał uśmiech. Nie prosił o tłumaczenie. Był całkowicie pewien, że słowa są obraźliwe.

Wjechali pomiędzy pierwsze straże obozu konstantynopolitańczyków. W przeciągu minuty minęli wolnym kłusem kilka setek żołnierzy, stojących w małych grupkach na obrzeżach obozowiska. Tak jak Belizariusz się spodziewał, większość żołnierzy trzymała się z daleka od centrum, gdzie pewna liczba buntowników siała ciągły ferment. W duchu nazwał ich wątpięcymi, ludźmi słabego serca, albo na wpół lojalistami.

Pilnował się, żeby obdarzać tych ludzi szerokim i przyjaznym uśmiechem. Tui tam zdobył się nawet na kilka słów pozdrowienia. Walentynian i Anastazjusz natomiast mierzyli żołnierzy zimnym, wściekłym wzrokiem, a pierwszy z nich dodatkowo mamrotał nieustannie pod nosem. Żołnierze generalnie odpowiadali na uśmiechy generała Belizariusza dość niepewnie i niezdecydowanie. Jednakże generał zauważył, iż spora liczba zdobyła się na uśmiech. Lekki, nieśmiały uśmiech; niepewny uśmiech, ale jednak uśmiech.

Wiedziałem, pomyślał z odrobiną samozadowolenia.

Nagle usłyszał w głowie głos Aide. **Co wiedziałeś? I co się dzieje? Jestem zagubione.**

Belizariusz zawahał się, zanim odpowiedział. Dla niego, a właściwie tego, chociaż generał już od jakiegoś czasu myślał o Aide „on”, niesubordynacja czy bunt stanowiły pojęcia całkowicie niezrozumiałe i abstrakcyjne. Aide było produktem rasy inteligentnych kryształów, pochodzących z dalekiej przyszłości, i przeniosło się w czasie do chwili obecnej, aby uratować ich przed niewolą - a może nawet całkowitą zagładą - u tych, których nazywało nowymi bogami. Inteligencja tych kryształów w wielu aspektach była całkowicie odmienna od ludzkiej. Jednym z nich okazał się całkowity brak indywidualności. Każdy kryształ, chociaż inny niż pozostałe, był częścią zbiorowej świadomości. Tak samo jak każdy z nich składał się z setek milionów obrotowych faset, które poruszały się nieprzerwanie i generowały tę dziwną inteligencję. Dla kryształów, i tak samo dla Aide, wewnętrzne połączenie z ludzkim umysłem oraz rozmowa z nim były niemalże nie do pojęcia.

*Mamy sytuację, którą nazywa się u nas buntem, Aide. Albo rebelią.*

Belizariusz wiedział z doświadczenia, w jaki sposób powinien przekazywać swoje myśli Aide, tak by istota go zrozumiała. Okazało się, że łatwiej jest, jeżeli pokazuje Aide wizje, a nie same słowa.

Teraz też tak postąpił. Przywołał na myśl obrazy różnych buntów i rebelii z przeszłości. Na koniec pokazał krystalicznemu doradcy powstanie Spartakusa i jego makabryczny koniec.

Wyczuwał, jak fasety wirują w takt wizji i klejnot usiłuje zrozumieć jego przekaz.

Kiedy to już się udało i Aide trawiło uzyskane informacje, Belizariusz oraz jego świta dotarli do środka obozowiska. Zebrała się tam co najmniej setka żołnierzy z garnizonu w Konstantynopolu, większość w małych grupkach, których osiłą stali się starsi wojacy.

Generał nie czuł się zaskoczony. Wiedział, że żołnierze opierają się na zdaniu i ocenie swoich dowódców i bezpośrednich przełożonych. Teraz była to armia dowodzona przez pentarchów, dziesiętników i setników, a nie przez oficerów.

Dobrze. Poradzę sobie z tymi weteranami. Będą rozgoryczeni i źli, ale także nie zapomną o swoim żołdzie. W przeciwieństwie do oficerów i te mają bogatych posiadłości, z których mogą się

utrzymać, kiedy tracą pracę.

Tłum nagle się uciszył. Belizariusz wyjechał powoli na sam środek obozowiska. Zatrzymał konia i obrzucił zebranych żołnierzy przeciągłym, spokojnym spojrzeniem.

Usłyszał w głowie głos Aide:

**To jest głupie. Twój plan nie ma sensu.**

Fasety doszły do jakiegoś wniosku i na podstawie wizji generała podjęły pewną i nieomylną decyzję. Na opinii klejnotu zaważył szczególnie ostatni obraz, to jest masakra, która zakończyła powstanie Spartakusa.

**Niedorzeczne. Absurdalne. Irracjonalne. Nie możesz ukarać tych wszystkich Judzi. Nie ukrzyżujesz ich, nie ma w okolicy wystarczającej ilości drewna.**

Belizariusz z trudem powstrzymał się ad śmiechu. Ledwie udało mu się zamienić wybuch radości w lekki, przyjazny uśmiech.

Żołnierze z konstantynopolitańskiego garnizonu ze zdumieniem ujrzeni, jak na twarzy ich dowódcy, który przecież przybył, aby srodze karać za nieposłuszeństwo, rozkwita łagodny i wesoły uśmiech.

Prawie nie zauważyli okrutnych min dwóch towarzyszy Belizariusza. Zaledwie dwóch czy trzech poczuło się urażonych niecenzuralnym mamrotaniem Walentyniana.

Przez pierwszą linię tłumu przebił się oficer i podszedł do generała. Za nim podążało jeszcze czterech dowódców.

Belizariusz natychmiast ich rozpoznał. Oficer na czele gromadki miał na imię Sunikas i był chiliarchą, głównodowodzącym konstantynopolitańskich żołnierzy. Za nim szli trybunowie, którzy pełnili funkcję jego bezpośrednich podwładnych. Znał imię tylko jednego z nich, Boraidesa.

Kiedy cała piątka zebrała się wokół jego konia, Belizariusz po prostu spojrzał w dół, na oficerów, i uniósł brew, ale nic nie powiedział.

- Mamy tu mały problem, generale - powiedział Sunikas. - Jak widzisz, ludzie...

- Z pewnością macie! - przerwał mu zwierzchnik. Mówił bardzo głośno, co zaskoczyło większość zgromadzonych. Tak głośno, że doskonale słyszeli go wszyscy żołnierze, nawet ci stojący na krańcach tłumu. Zapadła cisza. Generał zazwyczaj nie podnosił głosu, więc ludzie z czasem zapominali, jak donośnie potrafi krzyczeć; trenował swój baryton latami, aby wydawać wyraźne rozkazy nawet w bitewnym zgiełku.

Belizariusz po raz drugi obrzucił tłum uważnym spojrzeniem. Jednakże tym razem w jego oczach nie było choćby śladu łagodności. Obserwował żołnierzy surowo i poważnie.

Wskazał na jednego z mężczyzn, stojącego w wewnętrznym kręgu. Był to setnik, dość młody jak na pełnioną funkcję. Jego postać wyróżniała się z tłumu, gdyż był wyższy i lepiej zbudowany od przeciętnego żołnierza. Był także dość przystojny, mimo sporego nosa i grubych rysów. Lecz pomimo pierwszego wrażenia - brutalnego mięśniaka - Belizariusz nie dał się zwieść i dostrzegł inteligencję w jego brązowych oczach. A także spokój i pewność siebie.

- Jak się nazywasz? - zapytał.

- Agacjusz. - Setnik spochmurniał, a jego twarz zaczęła przypominać kamienną maskę. Odpowiedź, burkliwa i gniewna, niebezpiecznie zbliżała się do granicy oddzielającej nieuprzejmość od niesubordynacji. Ale generał był pod wrażeniem tego, że żołnierz bez wahania ujawnił swoją tożsamość.

Belizariusz machnął ręką - niezobowiązującym gestem, który obejmował cały obóz.

- Jesteś dowódcą tych ludzi - oświadczył z wielką pewnością siebie, ale całkowicie obojętnie. Tak, jakby mówił, że słońce wschodzi na wschodzie.

Agacjusz zmarszczył brwi.

- Ty jesteś dowódcą tych ludzi - powtórzył Belizariusz. - Teraz. Od dzisiaj.

Agacjusz wykrzywił się jeszcze bardziej. Zaczął oglądać się na żołnierzy stojących obok niego. Niebawem jednak, ku zadowoleniu generała, skrzyżował szerokie ramiona na piersi i podniósł głowę. Już nie marszczył brwi, a na jego obliczu zagościła kamienna determinacja.

- Skoro tak twierdzisz, to tak.

- Co powiedziałeś? - natychmiast warknął generał.

Setnik zawahał się przez krótką chwilę. Potem wzruszył ramionami.

- Tak - powiedział.

Belizariusz czekał, patrząc na niego.

- Generale. Panie - dodał po chwili Agacjusz, chociaż brzmiało to bardziej jak burknięcie.

Belizariusz nadal czekał i nie spuszczał wzroku z młodzieńca. Agacjusz także na niego patrzył. Na jego twarzy powoli pojawiała się zdumieni. Wreszcie młody setnik wydał policzki i stanął w postawie zasadniczej.

- Jestem tu dowódcą, panie. Dzisiaj. Teraz.

Trak skinął głową.

- Jutro także - powiedział. Bardzo miłym tonem, jakby poruszał kwestię jutrzejszej pogody. - I mam nadzieję, że w przyszłości również.

Kątem oka generał dostrzegł Anastazjusza, który wytrzeszczał oczy w wyrazie dezaprobaty. Słyszał, jak Walentynian nieustannie coś mamrocze. Mówił zbyt cicho, żeby rozpoznać słowa, ale ton wypowiedzi był jednoznaczny.

Generał przeniósł spojrzenie na chiliarchę i trybunów, którzy stali tuż przy jego strzemieniu. Z jego oblicza znikła cała łagodność i spokój; zastąpiło ją bezlitosne potępienie.

- Zwalniam cię ze stanowiska dowódcy, Sunikasio. I twoich trybunów także. Chcę, żebyście w przeciągu godziny wyruszyli z powrotem do Konstantynopola. Możecie zabrać ze sobą osobisty sprzęt. I swoich służących, oczywiście. Ale nic więcej.

Sunikas wybałuszył oczy.

- Nie możesz tego zrobić! - wrzasnął Boraides, jeden z trybunów. - Na jakiej podstawie?

Belizariusz usłyszał natychmiastowy ryk Walentyniana:

- Ma rację!

Po okrzyku nastąpił potok mamrotanych słów, z których generał zrozumiał tylko: „niesprawiedliwe” i „oburzające”, które to wyrazy występowały nader często. Anastazjusz z kolei przewiercał nowo mianowanego dowódcę Agacjusza palącym spojrzeniem. Jakże piękne było to spojrzenie! Godne prawdziwego Tytana!

Setnik odpowiedział znacznie skromniejszym spojrzeniem. Zaledwie godnym Herkulesa. Podoficerowie konstantynopolitańskiego garnizonu zaczęli gromadzić się wokoło Agacjusza. W przeciągu kilku sekund pojawiło się trzech innych setników i może z tuzin dziesiętników, którzy stanęli za nowym dowódcą i odpierali gniewne spojrzenia trackich katafraktów.

Tracki generał natychmiast wziął stronę greckich żołnierzy.

Odwrócił się błyskawicznie w siodle i spojrzął gniewnie na Walentyniana i Anastazjusza.

- Nie zniosę najmniejszej niesubordynacji! - wrzasnął. - Czy mnie rozumiecie? - Chciał dodać jeszcze „wy patałachy”, ale uznał, że to już zbyt przesada.

Walentynian i Anastazjusz posłusznie spuścili głowy. Jednakże nie, tak do końca posłusznie, jak z przyjemnością zauważył Belizariusz. Ich postawa znamionowała skarconych, ale ciągle upartych służbistów, którzy nie zgadzają się z groteskowym pogwałceniem żołnierskich norm i regulaminów

przez swego dowódcę.

Belizariusz znów popatrzył surowo na Boraidesa.

- Na jakiej podstawie? - warknął. - Na jakiej podstawie?

I popatrzył na niego tak, że jego spojrzenie musiało przejść do legendy. Było jeszcze surowsze niż u Tezeusza, który stanął naprzeciw Minotaura.

- Na podstawie waszej niezgłębionej niekompetencji! - ryknął.

Znów zatoczył koło ręką. Tym razem gest nie był oszczędny ani obojętny. Stanął wyprostowany w strzemionach i wyprostował ramię jakby miał zamiar rozkazać wodom Morza Czerwonego, żeby się rozstały.

- Pierwszym obowiązkiem dowódcy, każdego dowódcy, jest dowodzić! - zawył. - A wy najwyraźniej nie dajecie sobie z tym rady. Ci ludzie nie pozostają pod waszym dowództwem. Ci ludzie nie wypełniają waszych rozkazów. Sami to przyznaliście, zaledwie chwilę temu. - Usiadł z powrotem w siodle. - Dlatego zastąpiłem was człowiekiem, który nadaje się na dowódcę. - Wskazał Agacjusza. - Zastąpiłem was nim. To on jest nowym tysięcznikiem tej jednostki.

Belizariusz spojrział na Agacjusza i dłonią wskazał Sunikasa oraz trybunów.

- Przyjrzyj im się, Agacjuszu. Chcę, żeby jak najszybciej stąd odeszli. W przeciągu godziny.

Młodzieniec gapił się na generała. Belizariusz spojrział mu w oczy ze spokojem i pewnością siebie. Po kilku sekundach nowy chiliarcha kiwnął głową, przyzywając ludzi, którzy stali nieopodal, ale nie spuścił wzroku z Traka.

- Zajmij się tym, Cyrylu - mruknął. - Słyszałeś generała. W przeciągu godziny.

Cyryl, zeszpecony bliznami weteran, na oko dziesięć lat starszy od Agacjusza, uśmiechnął się drwiąco do swego nowego dowódcy.

- Jak sobie życzysz, panie - powiedział służbiście.

Wojak ruszył w kierunku Sunikasa i jego trybunów. Jego uśmiech powiększał się z każdym krokiem. A raczej stawał się coraz bardziej złowrogi.

- Słyszeliście rozkazy. Ruszać się.

Byli oficerowie, dowodzący oddziałem garnizonowym, przyglądali mu się w skupieniu. Cyryl lekko skinął dłonią. Podeszło do niego czterech dziesiętników, którzy cicho wyciągnęli miecze.

Anastazjusz wytrzeszczył oczy. Wyglądał, jakby miał paść na atak apopleksji.

Walentynian nadal mamrotał. Słowa „niesprawiedliwe” i „oburzające” znów powtarzały się z wielką częstotliwością. Belizariuszowi zdawało się także, że usłyszał zdanie: „O nieba, co to będzie?”. Ale może się mylił.

Spojrział wściekle na przybocznych. Katafrakci unikali jego wzroku, ale ciągle nie rezygnowali z pełnej uporu postawy. Kilku kolejnych podoficerów z garnizonu wystąpiło naprzód. Dwóch podeszło do Cyryla i jego dziesiętników, którzy w chwili obecnej wyrzucali byłych dowódców, używając do tego niemalże siły fizycznej. Lecz większość stanęła obok Belizariusza. Stało się jasne, że szykują się do obrony generała przed jego własnymi strażnikami. Jeżeli oczywiście zajdzie taka potrzeba.

- Cóż, to by było na tyle - oznajmił Belizariusz.

Zaczął zsiadać z konia. Podbiegł do niego pentarcha, żeby mu pomóc. Generał stanął na ziemi, a następnie podszedł do Agacjusza.

- Strasznie dzisiaj gorąco - powiedział. - Czy nie napiłbyś się ze mną wina?

Tym razem mężczyzna nie wahał się dłużej niż przez sekundę.

- Tak, panie. Z chęcią. Może napijesz się naszego?

- Z wielką przyjemnością. Będziemy mieli okazję lepiej się poznać. Chciałbym, abyś przedstawił mi także swoim podkomendnym. Oczywiście będziesz musiał mianować nowych trybunów. -

Wzruszył ramionami. - Wybierz ich wedle swojej oceny. Znasz swoich ludzi lepiej niż ja.

Agacjusz popatrzył na niego, zdumiony, ale się nie odezwał. Poprowadził generała do płóciennego namiotu, ustawionego w pobliżu. Większość podoficerów, zebranych wokół, podążyło za nimi, tworząc niewielką świtę. Tylko garstka pozostała na placu; przykładali się solidnie do swojej nowej pracy i nie spuszczaali czujnego oka z niegodnych zaufania strażników Belizariusza.

W przeciągu kilku sekund na stole pojawiły się amfory i wino popłynęło do pucharów. Nie minęły dwie minuty, a Belizariusz siedział pod osłoną płóciennego daszka, rozparty wygodnie, w otoczeniu nie mniej niż trzech tuzinów konstantynopolitańskich podoficerów, słuchających go z wielką uwagą. Mężczyźni otaczali go ciasnym kręgiem, gdyż szukali schronienia przed palącym słońcem.

Mimo niewygody i napiętej sytuacji nieplanowane zebranie pod daszkiem miało posmak niezobowiązującej popołudniowej pogawędki.

- No dobrze - rzekł generał wesołym głosem, gdy już opróżnił puchar. - Powiem wam, czego od was oczekuję. A potem zobaczymy, czy uda nam się osiągnąć porozumienie.

Obrzucił zebrany tłum szybkim spojrzeniem, a później jego wzrok spoczął na Agacjuszu.

- Chcę, żebyście wreszcie zaczęli porządnie maszerować. Ludzie mogą sobie narzekać i jęczeć, ile tylko mają ochotę, ale chcę, żeby to robili idąc w zwartym szyku. A przynajmniej w szyku, który chociaż trochę przypomina uporządkowaną formację.

Wyciągnął przed siebie naczynie. Dziesiętnik nalał mu wina.

- Zdaję sobie sprawę, że nie jesteście przyzwyczajeni do zaistniałych warunków, do pustyni, i że to najdłuższy i najbardziej forsowny marsz, jaki zdarzyło wam się podjąć. Ale już wystarczy. Przecież nie jesteście słabeuszami, na miłość boską. Mieliście dwa miesiące, żeby dojść do formy! Prawda jest taka, że marsz nie jest już dla was tak uciążliwy jak na początku, a przynajmniej ja tak uważam. Po prostu macie taki nawyk jęczenia i narzekania.

Przerwał na chwilę i pociągnął łyk wina. Popatrzył na Agacjusza. Nowy chiliarcha wziął głęboki oddech. Przez chwilę wodził wzrokiem po jałowej, rozpalonej pustyni.

Jeden z podoficerów, stojących za nim, chciał coś powiedzieć, sądząc z tonu, zaprotestować, ale Agacjusz uciszył go ruchem ręki.

- Zamknij się, Pawle - warknął. - Prawdę mówiąc, ja też mam już dosyć narzekań.

Popatrzył z powrotem na Belizariusza. Skinął głową.

- Dobrze, generale. Dopilnuję tego osobiście. Czego jeszcze od nas oczekujesz?

- Chcę, żebyście zaakceptowali parę oddziałów z Armii Syryjskiej. Lekką kawalerię. - Uśmiechnął się krzywo. - Nazwij ich doradcami. Częścią problemu jest fakt, że nie macie doświadczenia w marszach przez pustynię, a do tego jesteście zbyt arogancy, żeby słuchać czyichkolwiek rad.

Pokazał płótno rozpięte ponad jego głową.

- Na przykład to. Odkryliście te daszki dopiero przed tygodniem. Wcześniej stawialiście zwykłe namioty i każdej nocy pociliście się jak myszy, w gorącym zaduchu bez odrobiny wiatru.

Nowy dowódca skrzywił się. Belizariusz strofował go dalej:

- Takich drobiazgów są setki. Wasze wielkomijskie poczucie własnej nieomyślności sprawiło tylko, że wasze życie stało się trudniejsze, i spowodowało, że poczuliście niezadowolenie. Chcę, żeby to się skończyło. Kazałem oddziałom syryjskim podesłać wam kilkunastu zbrojnych. To będą Arabowie, większość z nich zna pustynię znacznie lepiej niż wszyscy inni. Jeżeli potraktujecie ich odpowiednio, staną się wielką pomocą.

Agacjusz potarł dłonią kark.

- Zgadzam się. I co jeszcze?

Belizariusz wzruszył ramionami.

- To, czego oczekują od wszystkich moich oddziałów. To znaczy, Agacjuszu, że od dzisiaj będziesz uczestniczył w naradach dowództwa. Przyprawdzaj ze sobą swoich trybunów. Także kilku setników, jeżeli chcesz. Ale niezbyt wielu... Nie lubię tłoku na naradach, wtedy bowiem trudno liczyć na prawdziwą twórczą dyskusję, przynoszącą efekty. Nie jestem zwolennikiem nadmiernej gadatliwości.

Agacjusz popatrzył na niego z powątpiewaniem.

- I co jeszcze?

- Nic.

Belizariusz osuszył puchar i wyciągnął go w kierunku chiliarchy. Ten napełnił go natychmiast.

- Teraz twój ruch - powiedział cicho.

Młody żołnierz ze złością wzruszył ramionami.

- Ach! - zawołał, a potem zamilkł na dłuższą chwilę.

Zmarszczył brwi.

- Generale, to jest tak - odezwał się w końcu. - Prawdziwym problemem nie jest marsz; nie jest nim też pustynia. Tak jak powiedziałaś, zdążyliśmy się już do tego przyzwyczaić. To... - Machnął niezdecydowanie ręką. - Wszystko przez to, że wyciągnięto nas z baraków bez uprzedzenia; nie dałeś nam nawet jednego dnia, tylko wysłałeś na tę przekłętą ekspedycję. Do Mezopotamii, na miłość boską, podczas gdy...

Zapadło gorzkie milczenie. Jeden z dziesiętników nie wytrzymał:

- Podczas gdy wszyscy pieprzeni arystokraci zostali w Konstantynopolu, ulokowani na ciepłych, wygodnych posadkach. Zostali tam niczym wielcy panowie.

Generał ze śmiechem podniósł głowę:

- Cóż, oczywiście! - krzyknął. - Ostatnia rzecz, jakiej bym sobie życzył na tej wyprawie, to banda arystokratów.

Ze smutkiem potrząsnął głową.

- Boże, pomyślcie o tym! Każdy katafrakt z tamtego oddziału nie rusza się na wyprawę bez gromady co najmniej dwunastu służących i osobistego wozu z bagażem. Mielibyśmy szczęście, gdybyśmy robili dziesięć kilometrów dziennie.

Uśmiechnął się z aprobatą do żołnierzy tłoczących się wokoło.

- Powiedziałem Sitasowi, że chcę jego najlepszych oddziałów, najlepszych. Właściwie musiałem stoczyć z nim walkę. Naturalnie usiłował wcisnąć mi swoje najgorsze jednostki, bezużytecznych arystokratów, którzy potrafią tylko paradować, ale nie dałem się nabrać. Potrzebuję prawdziwych wojaków, powiedziałem Sitasowi. Nie przyda mi się nikt inny.

Grecy nieznacznie wypięli pierś. Unieśli wysoko głowy. Belizariusz osuszył kielich i wyciągnął rękę po następną porcję wina.

- Przestańcie się martwić o to arystokratyczne wojsko, które kisi się w barakach w Konstantynopolu. Nie minie rok, a będziecie mieli takie łupy, że ich bogactwa wydadzą się tylko nędzną garstką miedziaków w porównaniu z waszymi. Nie wspominając już o chwale i wdzięczności Rzymu.

W spojrzeniach żołnierzy pojawił się cień chciwości.

- Łupy, panie? - zapytał jeden z nich. - Tak myślisz? Słyszeliśmy, że...

Zamilkł, a zamiast niego odezwał się drugi:

- Słyszeliśmy, że ty, panie, nie pochwalasz brania łupów.

Belizariusz szerzej otworzył oczy.

- Od kogo to słyszeliście? Chyba nie od syryjskich żołnierzy! Każdy z tych chłopaków wyszedł spod Mindos z taką ilością skarbów, że sam nie wiedział, co z nimi robić. I z pewnością nie powiedzieli wam o tym moi tracy katafrakci!

Grecy wymienili spojrzenia. Nagle Cyryl zaśmiał się głośno.

- Słyszeliśmy o tym od oddziałów garnizonowych. W Konstantynopolu. Mówili, że Belizariusz to ktoś w rodzaju delikacika, który nie pozwala swoim ludziom czerpać radości z kampanii.

Uśmiech na twarzy generała zniknął nagle, jak starty szmatką.

- To nie łupy. To łupienie. I co do tego mieli całkowitą rację!

Zmarszczył brwi tak srodze, że przez chwilę wyglądał jak bohater homeryckich sag.

- Nie będę tolerował łupienia i braku dyscypliny. Nigdy tego nie tolerowałem i nie będę tolerował. Nie miejcie co do tego wątpliwości. W mojej armii karą za łupienie jest pięćdziesiąt batów. A za morderstwo i gwałt grozi wam egzekucja. Jeżeli dwa razy w tym samym oddziale dojdzie do aktu łupiestwa, jego dowódca także dostanie baty. Albo będzie powieszony.

Osuszył kielich. Wyciągnął rękę. I natychmiast wypił to, co mu nalano. Znów wyciągnął naczynie przed siebie. Żołnierze spojrzeli na kubek, potem na niego. Wszystko wskazywało na to, że wypite wino ani trochę nie wpływa na samopoczucie generała.

- Nie popełnijcie błędu - powiedział. Łagodnie, ale stanowczo. - Jeżeli nie potraficie przestrzegać powyższych zasad... - Pokręcił głową ze zniecierpliwieniem. - To gońcie tych pięciu głupków i wracajcie razem z nimi do waszych miłutkich baraków w Konstantynopolu.

Znów wypił wino do dna. Wyciągnął pusty kubek.

- Powód, dla którego ci arystokraci z Konstantynopola niepewnie podchodzą do mojej osoby - oznajmił tonem miłej konwersacji - jest taki, że ci najdoskonalsi czempioni z wysokich rodów nie mają pojęcia, jak wygląda prawdziwa kampania. Kiedy po raz ostatni byli na wojnie?

Mały tłumek zadrżał od powstrzymanego chichotu.

- Kampania, żołnierze, jest wtedy, gdy wychodzicie z koszar z zamiarem skopania swojego wroga do nieprzytomności i realizujecie ten zamiar. Kiedy już wykonacie tę pracę, co innymi słowami określa się jako wygrywanie wojny łupy są najbardziej oczywistą sprawą pod słońcem. I nie mam tu na myśli mozolnego ich gromadzenia. - Skrzywił się pogardliwie. - Gromadzenie następuje wtedy, kiedy kradniecie srebrny talerz z chatki wieśniaka. Jego jedyny srebrny talerz, o ile takowy w ogóle posiada. Albo kurczaka. Łup to bogactwo całego imperium, które musi oddać złoto zwycięzcy.

Uniósł puchar i wycelował nim we wschodni widnokrąg.

- Nie ma na świecie bogatszego imperium niż Malawa. I powiem wam, że oni podróżują w niezapomnianym stylu. Kiedy byłem w Ranapur, malawiański imperator kazał dla siebie wznieść cholernie wielki pawilon, nie ustępujący wielkością naszemu pałacowi w Konstantynopolu. I nie uwierzcie, co było w środku! Sam jego tron, jego tron podróży, jak go sam nazywał, zrobiony był z jednej bryły...

Belizariusz nie przestawał snuć wesołej opowieści przez kolejne dziesięć minut. Połowę tego czasu poświęcił na opis skarbów Malawian, czym całkowicie porwał słuchaczy. W jego głosie było tyle zachwyty i podziwu. Pozostały czas wypełnił wspomnianiem tchórzostwa i głupoty Malawian. Tym razem jego głos ociekał pogardą i drwiną.

W rzeczywistości jego słowa nie do końca były kłamstwem. Jednakże nie można było nazwać ich całkowitą, trzeźwą prawdą.

Do czasu gdy skończył, zdołał osuszyć kolejną amforę wina. Jego słuchacze także sobie nie żalowali. Popatrzył na słońce i ziewnął.



- Do diabła. I tak jest już zbyt późno, aby ruszać w drogę.

Podniósł się na nogi.

- Dajcie mi chwilę, chłopcy. Muszę wydać rozkazy. A potem wrócę do was i zajmiemy się piciem na poważnie.

Żołnierze zgodnie wybałuszili oczy. Generał nie tylko zdołał utrzymać pion, ale czynił to z łatwością i ani trochę się nie kiwał. Belizariusz ruszył w kierunku Walentyniana i Anastazjusza. Jego dwaj katafrakci ciągle stali przy koniach, mokrzy od potu, gdyż słońce grzało niemiłosiernie. Patrzyli ze smutkiem na oddziały z Konstantynopola.

- Przekażcie moje słowa Maurycemu! - krzyknął do nich generał donośnie. - Na resztę dnia zostajemy tutaj. Podejmiemy marsz jutro rano.

Zaczął się odwracać i niedbale machnął ręką, odprawiając swoich podkomendnych. Nagle się jednak zatrzymał i uśmiechnął, jakby nawiedziła go jakaś szczęśliwa myśl.

- I każcie moim sługom przynieść więcej wina! Dużo wina, żeby starczyło dla wszystkich. I żeby wybrali dobry rocznik... Słuchacie mnie? Nie zamierzam częstować tych ludzi pomyjami!

\* \* \*

Kiedy pojawili się służący, którzy wiedli na postronku małego pociągowego muła, obładowanego wielkimi amforami, obozowisko konstantynopolitańskiego garnizonu na całego pograżyło się w radosnym świętowaniu. Wokół generała zebrał się wielki tłum słuchaczy. Tuziny zwyczajnych żołnierzy, setki, licząc tych, co kłębili się na obrzeżach, tłoczyły się wokół wewnętrznego kręgu podoficerów.

Gdy zaszło słońce, Belizariusz kazał zdemontować płócienny daszek żeby żołnierze mogli lepiej słyszeć jego głos. Kiedy to zrobiono, kontynuował swoją opowieść.

Opowieść o malawiańskich skarbach i militarnej niekompetencji, oczywiście. Ale pomiędzy jego słowami czaiło się drugie dno, misternie wplecione w melodię. Mówił o tym, że Malawian jest bardzo wielu i pokonać ich mogą tylko zdyscyplinowane i pełne ducha oddziały. Mówił o męstwie perskich sprzymierzeńców i o konieczności zachowania wobec nich maksimum uprzejmości i dobrych manier. Mówił o sobie, o swojej poczciwości i łagodności, ale podszytej zasadami.

Lecz w miarę upływu czasu zaczął coraz więcej mówić o Rzymie. O Rzymie i jego tysiącletniej chwale. O Rzymie, niejednokrotnie pokonanym w bitwie, ale nigdy w wojnie. O Rzymie, państwie prawa, które w godzinie konieczności zamieniało się w kraj srogich bestii. O Rzymie, którego władcy rządzili za zgodą jego obywateli. Słuchacze nie bez dumy przypomnieli sobie w tej właśnie chwili, że ich wspaniały kompan, przepijający do nich winem, jest przecież ojcem cesarza. I pomyśleli sobie, że to właśnie ci, którzy przelewali krew za Rzym i sprawili, że był bezpieczny przez długie stulecia, mają władzę nad cesarzem, gdyż to dzięki nim zasiada on na tronie.

I to oni byli tymi ludźmi.

Belizariusz dopił ostami kielich.

- Zdaje się, że już wystarczy - oznajmił. Podniósł się na nogi, powoli i ostrożnie, ale bez większego trudu, i popatrzył na swojego wierzchowca.

- Cholera - mruknął. - Za daleko, żeby jechać.

Spojrzał na Agacjusza.

- Za twoją zgodą, chiliarcho. Czy mógłbym przespać się dzisiaj u was?

Agacjusz popatrzył na niego szeroko otwartymi oczami. Sam wstał, raczej chwiejnie, i potoczył wokoło zdziwionym spojrzeniem. Wyglądał na nieco zaskoczony, a także zakłopotany.

- Nie mamy tu wiele...

Trak dobrotliwie machnął ręką.

- Wystarczy mi koc. Podczas kampanii bardzo często używałem siodła jako poduszki.

Dwóch dziesiętników zakreśliło się prędko i znaleźli dla generała najlepszy koc, jaki był w okolicy.

Kiedy przygotowywali legowisko, Belizariusz wyprostował się na całą swoją wysokość.

- Jeżeli macie do mnie jakąś prośbę - zawołał głośno i wyraźnie - wypowiedzcie ją teraz! Obiecuję, że ją spełnię, jeżeli tylko będzie leżała w granicach moich możliwości.

Przez tłum przebiegła fala wahania. Chwilę później na czoło wysunął się zakłopotany setnik.

- Chodzi nam o ludzi - powiedział, przemagając zachrypnięte ze zdenerwowania gardło. - O tych ludzi, których twoi katafrakci, Trakowie, ciągną za nami.

W tłumie rozległ się pomruk aprobaty. W tym pomruku pobrzmiwał smutek, a nawet odrobina gniewu, ale bez śladu gorącej furii sprzed kilku godzin.

- Ci chłopcy byli niegrzeczni - rzekł z mocą Agacjusz. - Wszyscy o tym wiemy. Nie pierwszy raz tak źle potraktowali cywilną ludność. Ale ciągle...

- Nie powinni ich tak wlec - przerwał ktoś żałośnie.

- Pieprzyć to! - odezwał się ktoś inny. - To była banda śmierdzieli... I wszyscy o tym wiedzieliście!

Mężczyzna, który wymówił te słowa, podniósł się z ziemi.

- Wlec ich, ile tylko chcesz, panie. Tylko nie w pobliżu naszych wojsk. To... to nie jest właściwe.

Szept tłumy urósł do chóralnego pomruku.

Belizariusz skinął głową.

- Macie rację. Pierwszą rzeczą, jaką zrobię rano, będzie wydanie rozkazu, aby ich pochowano. Dam im chrześcijański pochówek, o ile uda mi się znaleźć księdza, aby odprawił modły.

Żołnierz, stojący w pobliżu, sarknął gniewnie:

- To chyba trochę za wiele. Raczej szatan powinien dać im ostatnie słowo.

Przez obóz przetoczyła się salwa śmiechu. Belizariusz także się uśmiechnął.

- Bóg decyduje o naszym losie, a nie my sami - oświadczył - więc będą mieli chrześcijański pochówek. - Przerwał na chwilę, a potem znów przemówił. Jego potężny głos nie brzmiał już tak donośnie, ale i tak niósł się bardzo dobrze. Wręcz doskonale. - To się już nie powtórzy.

Nie groził im. Setki żołnierzy, które go słuchały, nie wychwyciły w jego głosie cienia groźby i doceniły to. Mężczyźni zrozumieli także, i zaakceptowali, że generał nie należy do ludzi dowodzących za pomocą strachu. Lecz kiedy przychodziło co do czego, nie zawahałby się rozkazać połowie swojej armii, by ciągnęła drugą połowę, tylko po to, aby zachować odpowiednią dyscyplinę.

- Tak, panie. - Usłyszał zbiorową odpowiedź.

- Nazywam się Belizariusz. Jestem waszym generałem.

- Tak, panie! - wrzasnęli jak jeden mąż.

\* \* \*

Następnego ranka, tuż po tym, jak armia podjęła dalszy marsz, od strony perskich sił, które szły daleko na przedzie, nadjechał kurier.

Został on wysłany przez Kurusza, aby delikatnie rozeznac się w obecnej sytuacji panującej w rzymskiej armii.

Belizariusz nie szedł na czele, więc nie zobaczył się z kurierem. Cały dzień spędził w towarzystwie oddziałów konstantynopolitańskich. Ale Maurycy zreferował Persowi obecny stan oddziałów.

Kurier powrócił wieczorem do namiotu Kurusza i opisał mu to, co się wydarzyło. Młody perski dowódca z trudem powstrzymywał się przed wybuchem, aż do chwili gdy posłaniec opuścił namiot.

Potem, gdy został sam na sam ze stryjem, eksplodował.

- Nie mogę w to uwierzyć! - syknął. - Ten człowiek jest kompletnie szalony! Radzi sobie z buntem, po prostu zwalnając oficerów? A potem promuje buntowników? A potem spędza całą noc, cackając się z nimi jak ze śmierdzącym...

- Przypomnij mi, mój drogi - przerwał mu Baresmanas zimno - bo chyba zapomniałem. Który z nas wygrał... bitwę pod Mindos?

Kurusz z trzaskiem zamknął usta.

\* \* \*

Tego samego wieczoru nowo mianowany chiliarcha oddziałów konstantynopolitańskich przybył na swoją pierwszą naradę w rzymskim obozowisku. Przyproceedził ze sobą nowych trybunów, między innymi Cyryla, oraz dwóch setników. Mimo przyjaznej zachęty siedmiu greckich żołnierzy usiadło niepewnie w kącie. Tej nocy nie brali udziału w dyskusji. Ale słuchali uważnie i uderzyły ich cztery rzeczy.

Pierwsza: dyskusja była bardzo żywa, bezpośrednia i spokojna. Belizariusz nie temperował swoich podwładnych, którzy otwarcie wyrażali opinie. Zachowanie to nie pasowało do większości generałów, jakich znali w swoim życiu.

Druga: to generał zawsze miał ostatnie słowo i on podejmował decyzję. I wyrażał ją jasno i dobitnie, wyraźnie wyznaczając wszystkim zadania. Zupełnie niepodobne do mętnych rozkazów, tak często wydawanych przez innych dowódców, którzy pozostawiali swoim podkomendnym szerokie pole do działania, aby w razie porażki całe odium spadło właśnie na nich.

Trzecia: nikt nie traktował ich z pogardą. Nawet tracy katafraktów generała.

A nawet więcej. Dowódca katafraktów, Maurycy, zatrzymał ich po spotkaniu i zaproponował kielich wina. A obaj dowódcy Armii Syryjskiej, bracia Bouzes i Coutzes, nie omieszkali się przyłączyć.

\* \* \*

Wiele godzin i wiele kielichów wina później Agacjusz ze smutkiem potrzasał głową.

- Nie umiem tego wytłumaczyć - mruknął - ale mam nieprzyjemne wrażenie, że ktoś tu nas przechytrzył.

- Nie oczekuj od nas współczucia - powiedział Coutzes i beknął głośno.

- Z pewnością nie! - zgodził się jego brat radośnie. Bouzes nachylił się i dolał wina do kielicha nowego tysięcznika. - Przynajmniej ciebie przechytrzył na tyle łaskawie, że wszedłeś do jego armii - mruknął.

Agacjusz spojrział na niego nieco mętnym wzrokiem.

- Co to ma niby znaczyć?

- Nieważne - przerwał mu Maurycy. Niedźwiedziowaty weteran uniósł swój kielich. - Zdaje mi się, że chciałbym przeprowadzić zbrojny zwiad na tej amforze, Bouzesie. Czy byłbyś tak miły?

I wtedy w umysłach konstantynopolitańczyków pojawiła się czwarta i ostatnia myśl.

Ci Trakowie i Syryjczycy mieli specyficzne poczucie humoru. Z pewnością żart był dość śmieszny, ale żeby tak od razu zanosić się rechotem przez kilka minut i klepać z radości po kolanach?

# MUZIRIS

*Lato, 531 n.e.*

## Rozdział 12

- Nie ma takiej możliwości, imperatorowo - oznajmił wicekról Muziris z wielką stanowczością. - Twój dziadek nie zamierza cię przyjąć ani nie zwolni cię z zakazu podróży do stolicy Vanji.

Wicekról odwrócił się na swoim wybitym pluszem, bogato zdobionym krześle i skinął na mężczyznę siedzącego po jego prawicy. Podobnie jak wicekról człowiek ten ubrany był w bogaty strój keralańskiego wysokiego urzędnika. Jednak zamiast nabijanego rubinami miecza, który stanowił oznakę władzy namiestniczej, trzymał w dłoniach laskę zdobioną szmaragdami, wskazującą, że pełni funkcję matisachivy. Tytuł ten oznaczał prywatnego doradcę, który z kolei należał do grupki dwunastu najpotężniejszych ludzi w królestwie w południowych Indiach.

Matisachiva był szczupły, za to wicekról korpulentny. Pozostałe ich cechy fizyczne były do siebie zbliżone, jak również typowe dla Keralan. Kerala była krajem Dravidów. Jej ludzie byli drobni i bardzo ciemnoskórzy, prawie jak czarni jak Afrykanie. Szakuntala odziedziczyła drobną sylwetkę i ciemną karnację, podobnie jak czarne połyskliwe oczy, po swojej matce, Keralance.

Matisachiva nazywał się Ganapati. Kiedy tylko Szakuntala zobaczyła go po raz pierwszy, jak siedział u boku wicekróla w sali audiencyjnej, zrozumiała, jak ważną funkcję pełnił. Pamiętała Ganapatiego, Dziesięć lat temu, gdy miała dziewięć lat, spędziła miłe sześć miesięcy w Vanji, stolicy regionu. W tamtych czasach była córką imperatora Andhry i odwiedzała rodzinę matki. Wtedy przyjęto ją bardzo dobrze, a nawet traktowano jak udzielną władczynię; nikt nie dbał o nią bardziej niż dziadek. Ale nawet wtedy zdarzały się chwile, kiedy należało temperować trudną, twardogłową dziewczynę i to Ganapatiego zawsze wyznaczano do tego zadania.

Teraz Andhra odeszła w przeszłość, zdeptana butami Malawian. Ale dziewczyna była całkowicie pewna, że Ganapati utrzymał swoją dawną pozycję i mówił „nie” w imieniu króla Kerali.

Ganapati odchrząknął.

- Król, twój dziadek, jest w trudnej sytuacji. Bardzo trudnej. Imperium Malawy nie grozi nam bezpośrednio. I wszystko wskazuje na to, że ten stan się utrzyma. Ambicje Malawy, dotyczące półwyspu Dekan, zostały zaspokojone przez... - skrzywił się przepraszająco - podbój imperium twojego ojca. A teraz skierowali swą uwagę na północ. Z naszego punktu widzenia inwazja na Persję była błogosławieństwem. Związali tam znaczną część swojej armii, więc nie mogą jej użyć przeciwko niezależnym monarchiom południowych Indii. Persja nie podda się tak łatwo, nawet Malawie.

Wicekról pochylił się do przodu.

- To prawda, szczególnie w świetle ostatnich wydarzeń - przerwał. - Zgodnie z ostatnimi raportami wygląda na to, że Cesarstwo Rzymskie stanęło po stronie Ariów. Ich najlepszy generał najwyraźniej prowadzi armię, która ma pomóc Persji. Mężczyzna nazywa się Belizariusz. Jak twierdzi Ganapati, Imperium Malawy uwikłało się właśnie w wojnę, która może potrwać lata. A może nawet dziesiątki lat.

Matisachiva odchrząknął ponownie.

- Więc w związku z bieżącymi wydarzeniami, królestwo Kerali nie zamierza nic robić, aby nie drażnić Malawian. Teraz są zainteresowani północą, a nie południem. I lepiej, żeby tak zostało.

- To prawda, ale tylko w chwili obecnej, matisachivo - przerwał mu Dadadzi Holkar. - Nadejdzie czas, kiedy Malawianie podejmą swój marsz na południe. I nie spoczną, dopóki nie

podbijają całych Indii.

Ganapati popatrzył z niechęcią na doradcę Szakuntali. Mimo mądrości i dogłębnego wykształcenia Holkara keralański doradca podejrzewał, że twardogłowa imperatorowa na wygnaniu wybrała sobie na pomocnika najmniej odpowiedniego człowieka. Impulsywne dziecko nawet nazwało tego człowieka peshwą! Tak jakby jej śmieszny rząd na wygnaniu naprawdę potrzebował premiera.

Matisachiva pociągnął nosem. Nie wątpił, że Holkar jest braminem w pojęciu Marathów. Ale Marathowie dość swobodnie podchodzili do czystości krwi i kast. I podobnie jak jego rodacy Dadadzi Holkar był mocno zanieczyszczonym mieszańcem.

Jednakże Ganapati był dyplomatą, więc odniósł się do Holkara bardzo grzecznie.

- Może to i prawda - powiedział. - Chociaż myślę, że nie powinniśmy pokładać tak wielkiej wiary w przepowiadaniu przyszłości. Któż może znać prawdziwe cele Malawian?

Uniósł dłoń, uprzedzając wybuch gniewu Szakuntali.

- Proszę, wasza miłość! Nie kłóćmy się o to. Nawet jeżeli twój doradca właściwie przewiduje rozwój wypadków, to nic nie zmienia. Zamiary Malawian są jednym. Ich możliwości czymś zupełnie innym. Pozwól, iż założę na chwilę, że Malawianom uda się podbić Persję, Ten wysiłek bardzo ich zmęczy... a ponadto zajmą się zarządaniem nowopodbitych, rozległych terenów, co też nie jest łatwe.

Odchylił się na krzesło, tryskając samozadowoleniem.

- Tak czy tak, Malawianie nie są żadnym zagrożeniem dla Kerali, a przynajmniej tak długo, jak ich nie drażnimy.

Matisachiva zmarszczył brwi i obrzucił Holkara kamiennym spojrzeniem.

- Niestety, ostatnie działania marathijskich buntowników niebezpiecznie...

- To nie są buntownicy - warknęła młoda kobieta. - To ludzie, którzy są lojalni względem Andhry i walczą, aby przywrócić prawowitą władzę na Dekanie. Prawowitą władzę, czyli mnie. Ja jestem prawowitym władcą Andhry, a nie ci najeźdźcy z Malawy.

Przez chwilę Ganapati wyglądał na zakłopotanego.

- Cóż... tak. Może. W najlepszym ze światów. Ale my nie żyjemy w takim świecie, imperatorowo. - Ponownie zmarszczył brwi. - Prawda jest taka, że Malawianie podbili Andhrę. W tym świecie, realnym świecie, Raghunath Rao i jego nieduża banda wyrzutków...

- Nie taka mała - przerwał mu Holkar. - I wcale nie są wyrzutkami! Jeżeli już mówimy o najświeższych informacjach, wczoraj dostaliśmy wiadomość, że Rao pokonał wielki malawiański garnizon i zdobył Deogiri.

Doradca i wicekról podskoczyli na krzesłach.

- Co?! - wrzasnął wicekról. - Deogiri?

- To szaleństwo - mruknął matisachiva. - Zupełne szaleństwo.

Ganapati wstał z krzesła i zaczął dreptać w miejscu. Był bardzo pokuszony i nawet sztywne dyplomatyczne maniery nie pomogły mu zachować spokoju.

- Deogiri?

Doradca Szakuntali skinął głową.

- Tak, matisachivo, Deogiri. Które - jak zapewne wiesz - jest największym i najlepiej ufortyfikowanym miastem w południowej Maharastrze.

Matisachiva wściekle szarpał się za brodę.

- To katastrofa! - krzyknął. Popatrzył na Holkara i Szakuntalę, wymachując rękami. - Czy zdajecie sobie sprawę, co to oznacza? Malawianie wyślą tutaj wielką armię, żeby zdusić rebelię! A Deogiri leży tuż przy północnej granicy Kerali!

Dadadźi Holkar uśmiechnął się zimno.

- Jaką wielką armię? - zapytał stanowczo. - Przecież właśnie przed chwilą usiłowałeś nas przekonać, że całe siły Malawian są związane w Persji.

Doradca Szakuntali zauważył, że matisachiva szykuje się do protestu, więc szybko mówił dalej:

- Musisz spojrzeć prawdzie w oczy, doradco Ganapati! Prawda jest taka, że uderzenie Rao było bardzo potężne. Prawda jest taka, że nie prowadził małej bandy wyrzutków. Prawda jest taka, że zdobył Deogiri za pomocą wielkiej armii i z łatwością utrzyma je przez dłuższy czas. Malawiański satrapa, Venandaktra, nie ma do dyspozycji więcej niż kilka prowincjonalnych oddziałów i mikroskopijną część armii Malawy, zwolnionej z wojny z Persją. Osobiście wątpię, czy Malawianie zdołają uwolnić jakiegokolwiek oddziały. Tak się złożyło, że znam generała Belizariusza osobiście. Całkowicie zasłużył na swoją reputację.

Ganapati trzepotał rękami jak rozwścieczona kura.

- Nie mogę tego tolerować! Cała ta sytuacja jest nie do zniesienia! - Zmierzył Szakuntalę i jej peshwę wzrokiem pełnym gniewu. - Wystarczy! - wrzasnął nagle. - Chciałem zachować się dyplomatycznie, ale już dość! Wy i wasi Marathowie praktycznie przejęliście władzę w Muziris. Co najmniej dwa tysiące waszych konnych bandytów...

Imperatorowa zerwała się na równe nogi.

- To nie są konni bandyci! To marathijscy kawalerzyści, którzy uciekli z Andhry po tym, jak Malawianie ją podbili, i teraz pozostają pod moją komendą jako regularna armia, dowodzona przez właściwie wyszkolonych oficerów!

- I jest ich znacznie więcej niż dwa tysiące - warknął Holkar. - Kiedy dokonywałem ostatniego spisu, kawaleria imperatorowej Andhry w Muziris liczyła sobie nieco ponad cztery tysiące jezdnych. Dodatkowo mamy około dwóch tysięcy żołnierzy piechoty, którzy są szkoleni przez osiem setek Kuszan. To ci sami, którzy wypowiedzieli lojalność Malawie i przeszli na stronę Szakuntali. To elitarni żołnierze, jak zapewne wiesz. W skrócie - podsumował - imperatorowa posiada znacznie więcej żołnierzy, niż liczy keralański garnizon miejski. I to znacznie lepszych żołnierzy - dodał zimno.

- Czy ty nas straszysz?! - wrzasnął keralański doradca, wytrzesz czając na niego oczy. - Nie ośmielisz się...

Holkar także wstał. W jego postawie nie było jednak gniewu. Zachowywał się jak poważny człowiek, doprowadzony na skraj cierpliwości.

- Wystarczy - powiedział cicho, ale stanowczo. Położył rękę na ramieniu Szakuntali, aby powstrzymać jej gniew. - Nie ma potrzeby dłużej tego omawiać - kontynuował. - Sytuacja jest jasna. Król Kerali zaniedbał obowiązki względem swego ludu i przystał na to, co Malawianie zrobili z Andhrą. Niech tak będzie. Ale w międzyczasie w Kerali schronili się uciekinierzy z Andhry. Większość z nich zebrała się w Muziris. Pomiedzy nimi są tysiące doskonałych marathijskich kawalerzystów, lojalnych względem imperatorowej Szakuntali. A to wszystko, w chwili obecnej, oznacza, że to ona właśnie ma realną władzę w mieście.

Dwóch Keralan gapiło się na Holkara z otwartymi ustami. Peshwa właśnie mówił im prosto z mostu i nie owijając w bawełnę to, czego za żadne skarby nie spodziewali się usłyszeć, a już na pewno nie w takiej formie.

Dadadźi rozrzucił ręce energicznym gestem.

- Tak jak powiedziałaś, Ganapati, takiej sytuacji nie można dalej tolerować. I to dotyczy zarówno was, jak i nas.

- Straszysz nas? - zabulgotał matisachiva. - Ośmielasz się? Nie...

- Zamknij się - warknęła Szakuntala.

Gulgotanie Ganapatiego natychmiast ustało. Holkar z trudem powstrzymał się od śmiechu. Keralanski urzędnik nigdy jeszcze nie stanął naprzeciw Szakuntali, kipiącej gorącym królewskim gniewem. Kiedy wpadała w taką złość, naprawdę była straszna mimo młodego wieku i drobnej budowy.

- Nie zamierzamy okupować Muziris - oznajmiła zimno, niemalże obojętnie. - Skoro mój dziadek okazał się człowiekiem, który nie respektuje zobowiązań krwi i postępuje z krewniakami w tak okrutny sposób, nie zamierzam go więcej oglądać. Opuzczę Keralę... i zabiorę moich ludzi ze sobą.

Zmierzyła dwóch Keralan wściekłym spojrzeniem.

- Wszystkich, Nie tylko kawalerzystów, ale wszystkich uchodźców.

Wicekról potrząsnął głową i zmarszczył brwi.

- Jest ich co najmniej czterdzieści tysięcy - mruknął. - Dokąd...

- Pójdziemy do Tamraparni. Władca tej wyspy zaproponował rai małżeństwo z jednym z jego synów. Powiedział także, że powita uchodźców z Andhry z otwartymi ramionami i pomoże mi w odzyskaniu należnego miejsca. W świetle zdrady mojego dziadka zdecydowałam się przyjąć ofertę.

Zamilkła. Po chwili Ganapati i wicekról wymienili spojrzenia.

Na początku na ich twarzach malowało się zaskoczenie. Potem radość. A na końcu, gdy wreszcie dotarł do nich sens jej wypowiedzi, zakłopotanie.

Kobieta wyczuła odpowiedni moment, więc postanowiła przycisnąć ich mocniej.

- Tak. Chcę, żebyście dali mi statki. Co najmniej sto pięćdziesiąt. Najlepiej dwie setki. Dacie mi je, a także pieniądze, żebym mogła przeprowadzić tę skomplikowaną operację.

I znów jęki oburzonych urzędników wypełniły pomieszczenie. Ale Holkar, który czujnie obserwował swoich rozmówców, wyczuł, że już wygrali. Kiedy już osiągnęli, co chcieli, poczuł satysfakcję, ale nie zaskoczenie. Gdy szedł za swoją władczynią przez pałac wicekróla do miejsca, gdzie czekała ich eskorta, nie mógł się powstrzymać od rzucania pełnych podziwu spojrzeń na drobną dziewczęcą postać.

*W końcu mnie posłuchała.*

\* \* \*

Kiedy jechali w kierunku obozowiska uchodźców, Szakuntala pochyliła się w siodle i uśmiechnęła do Holkara.

- Poszło całkiem nieźle.

- Mówiłem ci, że podziąła.

- Tak, tak - mruknęła. - Teraz rozumiem, że muszę uważniej słuchać rad mojego doradcy.

Dadadzi nie mógł nie zauważyć drwiącego uśmieszku. - Nie dobre dziecko - warknął.

- Niedobre? - spytała gniewnie. - I ty mi to mówisz. Poczekaj, aż władca Tamraparni odkryje, że obiecał pomóc mi w walce z Malawą! I że zaoferował mi swego syna za małżonka!

- Przecież ma syna - odparł Holkar z wielką godnością. - A nawet kilku. I nie mam wątpliwości, że zrobiłby ci taką propozycję, gdyby uważniej słuchał swoich doradców.

Szakuntala wybuchnęła śmiechem.

- Jesteś niepoprawnym spiskowcem, Dadadzi!

- Ja? Ty wcale nie jesteś gorsza, wasza miłość.

Holkar uśmiechnął się krzywo.

- Chociaż są chwile, kiedy zamieram, widząc twoją zuchwałość. Myślałem, że oszalałaś, kiedy kazałaś Rao...

- Mówiłam ci, że Rzym natychmiast wesprze Persję w wojnie z Malawą - oznajmiła

imperatorowa. Na twarzy dziewczyny widniała satysfakcja. Nie zdarzało się często, żeby dziesiętnastoletnia imperatorowa lepiej przewidziała sytuację niż jej sprytny doradca w średnim wieku. - I mówiłam ci, że Belizariusz poprowadzi ich armię.

- Tak, miałaś rację - zgodził się mężczyzna. - To dlatego nie słuchałaś mnie, kiedy sprzeciwiałem się, aby Rao natychmiast uderzył na Deogiri. Chciałem czekać, aż będziemy pewni, że Belizariusz i Rzymianie przyłączą się do wojny.

Z twarzy Szakuntali znikła cała radość.

- Nie miałam wyboru, Dadadzi - szepnęła. - Przecież byłeś przy tym, kiedy kurier od Rao opowiadał nam, jakich okrucieństw dopuszcza się Venandaktra w Maharastrze. Ta bestia wyrzynała całe wioski i zabijała jednego cywila za każdego żołnierza, którego zabił Rao.

Holkar zasmucił się:

- Ale wiesz, że zabije jeszcze więcej ludzi w zemście za Deogiri.

Imperatorowa potrząsnęła głową.

- Myślę, że się mylisz, Dadadzi. Mamy teraz w naszych rękach największe miasto południowej Maharasztry i Venandaktra nie ma wyboru. Jeżeli nie odbije Deogiri, straci wiele w oczach swego władcy. Ale nie ma na tyle potężnej armii, żeby oblegać miasto; wiesz, jak jest umocnione. To miejsce to forteca. Nie starczy mu żołnierzy, aby pustoszyć dalsze wioski Dekami. Nie może także prosić o pomoc imperatora Skandaguptę. Wiesz, tak samo dobrze jak ja, że Malawianie naciskają go, aby oddał swoją armię na potrzeby wojny z Persją. Teraz, kiedy muszą walczyć z Rzymem... i z Belizariuszem, z pewnością nie wyślą mu posiłków.

Znów potrząsnęła głową.

- Nie. W tym także mam rację. Jestem pewna. Nacisk na marathijskich wieśniaków zelżeje, gdyż Nikczemnik musi skoncentrować się na Deogiri.

- A co, jeżeli zdobędzie Deogiri? - zapytał doradca. - Co wtedy? I co, jeżeli Malawianie szybko pokonają Persów i Rzymian?

Szakuntala parsknęła śmiechem.

- Szybko? Z Belizariuszem na czele rzymskiej armii?

Holkar uśmiechnął się.

- Przyznaję, że szanse są małe. - Mrugnął do niej okiem. - Liczysz na to, prawda?

Skinęła głową z wielką pewnością siebie.

- W przeciwnym razie nigdy nie kazałabym Rao zdobywać Deogiri.

Spojrzała na swojego doradcę i nie wyglądała już jak porywcze dziewczę. W jej spojrzeniu czaił się chłód tysięcy.

- Wiesz, że on nas wykorzystuje... to znaczy: Belizariusz. To dlatego uwolnił mnie z niewoli i dał większą część skarbu ukradzionego Malawianom. I kazał nam rozpętać powstanie na ich tyłach, żeby musieli podzielić siły, które wyślą przeciwko niemu.

Dadadzi pokiwał głową.

- On myśli w taki właśnie sposób. - Przyjrzał się uważnie jej twarzy. - A ty nie wydajesz się rozżłoszczona zaistniałą sytuacją - skomentował.

Imperatorowa wzruszyła ramionami.

- Dlaczego miałabym się irytować? Belizariusz nigdy mnie nie oszukiwał. Mówił mi, jakie są jego plany. I obiecał mi, że zrobi wszystko, co w jego mocy, żeby mi pomóc. Co - zachichotała - najwyraźniej czyni.

Zmusiła konia do szybszego biegu.

- Znasz tego człowieka bardzo dobrze, Dadadzi. Lepiej niż ja, jeżeli już o tym mowa. To



najsprytniejszy człowiek świata, tak, zupełnie nieprzewidywalny w działaniu i taktyce. Ale jest w nim jedna rzecz tak przewidywalna jak wschód słońca.

- Jego honor.

Skinęła głową.

- Obiecał mi. I jestem pewna, że dotrzyma obietnicy. Pobije malawiańskie bestie w Persji, a my wykrwawimy ich na Dekanie.

Pchnęła konia do kłusa. Nie istniała żadna przyczyna, by przyspieszyć, może z wyjątkiem rozpierającej ją energii.

- Miałam rację, kiedy kazałam Rao zdobyć miasto - oznajmiła. - Teraz musimy zadbać, aby mógł je utrzymać.

*Lato, 531 n.e.*

## Rozdział 13

Pod koniec lata z Rodos wyruszyła imponująca armada.

Antonina przywiodła ze sobą potężną flotę z Konstantynopola. Miała wystarczającą ilość statków, żeby przetransportować swoich grenadierów, pięć setek katafraktów pod dowództwem Aszota oraz piechurów z Armii Syryjskiej, którzy mieli zaokrętować się później, w Seleucji. Statki, wszystkie należące do kategorii kupieckich żaglowców, eskortowane były przez dwa dromony, galery wojenne, tak lubiane przez rzymską armię.

Udało jej się nawet zarekwirować trzy wielkie statki do przewozu zboża. Kupcy, do których należały te jednostki, bardzo narzekali, mimo zaproponowanej im hojnej rekompensaty, ale cesarzowa Teodora szybko ustawiła ich do pionu. Z wielką łatwością. Wystarczyło, że zmarszczyła brwi, wydeła wargi i spojrzała na Justyniana Wielkiego. Kupcy odkryli nagle, że rekompensata jest całkiem niezła i przyjęli ją z pocałowaniem ręki.

Wielkie statki transportowe znacznie opóźniły tempo, lecz Antonina nie miała wyboru. Podczas wielkiej ceremonii na Forum Konstantyna, na pięć dni przed opuszczeniem Konstantynopola, Michał z Macedonii zaprezentował jej oddział Szpitalników, którzy zgłosili chęć uczestnictwa w ekspedycji do Egiptu, Małżonka Belizariusza spodziewała się mnichów kolejnego obrządku... ale nie trzech tysięcy żołnierzy, dumnie wyprężonych, w prostych białych tunikach, naznaczonych charakterystycznym czerwonym krzyżem.

To, co na początku uważała za skromną wojenną wyprawę, urosło do prawdziwej ekspedycji na szeroką skalę. Kiedy już załadowała Szpitalników na statki transportowe, w porcie ukazała się nieduża grupka urzędników i dostojników. Mieli oni być zwierzchnikami, oczywiście bardzo pewnymi siebie i zadufanymi, nowych cywili i kanoników, udających się do Egiptu. Między nimi znajdowali się pisarczykowie i skrybowie, którzy mieli służyć prefektowi pretorów w Egipcie i patriarsze Aleksandrii.

Każdy z nich, oczywiście, lubował się w wyszukanych tytułach, nadawanych w Rzymie nawet najmniej ważnym urzędnikom, wykonującym przyziemne prace. Przy ich imionach aż roilo się od: *tabularii, scrinariii, cornicularii, commentarienses, magister libellorum, magister studiorum, speculatores, beneficiarii...*

I tak dalej, i tak dalej.

Oni także beczeli niczym zagubione owce, gdy zaprezentowano im surowe warunki panujące na pokładzie statku. Zazwyczaj były to namioty rozpięte wprost na deskach pokładu małych jednostek, które Antonina kazała wzniesć w pośpiechu, naturalnie do wtóru jęków ich prawowitych właścicieli. Ale oni także, podobnie jak handlarze zbożem, pogodzili się ze swoim losem. Zmarszczone brwi Teodory miały niemalże magiczną moc, kiedy przychodziło do poskramiania kupców i urzędników.

A potem, na dzień przed odjazdem, pokazał się Michał i poinformował ją, ten niedowarzony święty, przeklęty prorok, że w Seleucji, Tyrze, a także w innych portach Lewantu będą na nią czekać kolejne oddziały Szpitalników, które chcą się dołączyć do egipskiej krucjaty.

Zajęła kolejne trzy statki transportowe; jeden z nich został złapany przez dromon, kiedy usiłował chyłkiem opuścić Złoty Róg. Natychmiast opróżniono je z ładunku i wcielono do cesarskiej służby. I znów Teodora musiała użyć swoich brwi.

W końcu udało im się wyruszyć. Przez kilka dni Antonina napawała się względny spokojem panującym na morzu, aż w końcu przybyła na Rodos, gdzie musiała się zmierzyć z kolejnymi żądaniami. Jan został uprzedzony przez kuriera, że jego zakłady muszą teraz zostać przeniesione do Egiptu, lecz jego uparta, nieprzejednana natura nie pozwoliła w pełni zająć się przygotowaniami do wyjazdu, gdyż nie miał do niego serca. Zatem po raz kolejny to zadanie spadło na Antoninę. Kręciła się jak fryga i rekwirowała statki wpływające do portu na Rodos, a potem wysłała Aszota na dromonie, aby przywiódł kilka jednostek z Seleucji. W końcu ekspedycja była gotowa do drogi.

Statki wypłynęły wreszcie z portu. Na czele płynął dumnie najnowszy wynalazek Jana, czyli galera wojenna.

Rodyjczyk był niesłychanie dumny ze swego dzieła. Jak sam twierdził, był to pierwszy okręt wojenny w historii świata, który został całkowicie skonstruowany w celu współdziałania z bronią palną. Na początku Menander spierał się z Janem, kiedy słyszał jego dumną tyradę, twierdząc, że przecież Malawianie mają okręty z raketami. Ale Jan w końcu przekonał młodego katafrakta, że nie ma racji. Malawiańskie okręty z raketami, twierdził, są zwykłymi składakami. To powolne statki kupieckie z paroma przenośnymi raketami na pokładzie. Zwyczajne platformy strzeleckie, nic więcej.

Kiedy Menander sam zobaczył okręt, szybko zmienił zdanie. Naprawdę było to coś unikatowego na skalę światową.

Naturalnie duma i radość Jana nie oznaczała statku zbudowanego całkowicie od zera. Czas naglił, więc Rodyjczyk nie zdołałby skonstruować kadłuba. Zatem rozpoczął pracę z istniejącym już szkieletem epatrokelesa, czyli większą wersją rzymskiego statku kurierskiego. Dodał do niego zasłony i wzmocnił pokład, tak aby działa, miotane siłą odrzutu, nie uszkodziły desek.

W końcu otrzymał szybką, zwrotną jednostkę, uzbrojoną w dziesięć odlanych z brązu dział, ustawionych po pięć na każdej burcie. Działa miały krótkie lufy z nawierconymi otworami o średnicy 12 centymetrów, doskonale wypolerowane i gładkie. Strzelały na dystans trzystu metrów, osiągając sensowne wyniki. Jako pocisków Jan używał marmurowych kul, tak oszlifowanych i wypolerowanych, że doskonale pasowały do luf. Za kartacze posłużyły ołowiane kulki.

- Jak zamierzasz go ochrzcić? - zapytał Menander.

- Teodora.

- Dobry wybór - przyznał młodzieniec i z wigorem pokiwał głową.

Wynalazca wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Może jestem uparty, twardogłowy, kontrowersyjny, nerwowy i trudny we współżyciu, Menandrze. Ale z pewnością nie jestem głupi.

\* \* \*

Gdyby jej flota składała się tylko i wyłącznie z okrętów wojennych, Antonina zrobiłaby całą trasę do Egiptu w tydzień. Gdyby wiały dobre wiatry, może nawet w trzy albo cztery dni.

Wiatry rzeczywiście okazały się pomyślne. Dowódczyni dowiedziała się od Jana i Aszota, że w lecie wiały prawie zawsze z kierunku korzystnego dla podróżujących na południe. Na osiem dni z dziesięciu wiała łagodna, ale stała bryza z północnego wschodu.

Oczywiście tempo całej armady wyznaczały powolne statki do transportu ziarna. Lecz nawet te jednostki, przy korzystnym wietrze, przepływały taką odległość w tydzień.

Jednakże Antonina oceniła, że podróż zajmie im co najmniej miesiąc, jeżeli nie dwa. Przyczyna tego stanu nie leżała w morzu, ale w polityce i wojskowości.

Podstawowe zadanie jej wyprawy polegało na wzmocnieniu rzymskiej władzy w Egipcie i Aleksandrii. Ale Irena i Kasjan, przy gorliwej zgodzie Teodory, postanowili, że żona Belizariusza

może upiec dwie pieczenie przy jednym ogniu. Albo, używając bardziej trafnej metafory - odstraszyć młode lwiątko, gdy pójdzie prosto w paszczę lwa.

Religijny zamęt nie dotarł jeszcze do Lewantu. Jednak te same siły, które działały na szkodę Cesarstwa w Egipcie, pojawiły się już w Syrii i Palestynie. A patriarcha Efraim cieszył się tak dużą popularnością, że mógł szkodzić Cesarstwu nawet na odległość.

Zatem Teodora rozkazała Antoninie, żeglującej wzdłuż wybrzeży Morza Śródziemnego, żeby pokazała miejscowym, jakim kursem mają płynąć.

Antoninie bardzo spodobało się to wyrażenie. Później, kiedy opowiadała o tym Belizariuszowi, ten uśmiechnął się krzywo.

- Wpada w ucho, nieprawdaż? - podsumował. - Wiesz, podłapała je ode mnie. A raczej od Aide, chociaż prawidłowo powinno to brzmieć: „Pod czyją flagą muszą płynąć”.

Antonina zmarszczyła brwi, zamyślona.

- A co to jest flaga?

Kiedy Belizariusz jej wyjaśnił, Antonina potrząsnęła głową.

- Niektóre rzeczy, które będą robić w przyszłości, są po prostu głupie. Dlaczego, u licha, zdecydowali się zamienić stare dobre złote cesarskie orły na nic nie warte, podarte świstki materiału?

- Och, nie wiem. Ale jako żołnierz, muszę ci powiedzieć, że pochwalam ich wybór. Flaga jest lekka. Popróbuj kiedyś dźwigać ciężki złoty sztandar podczas bitwy, w Syrii, w pełni lata.

Antonina odepchnęła od siebie problem z wielką godnością.

- Nonsens. Ja nie jestem jakimś tam zwyczajnym żołnierzem. Jestem admirałem. I moje statki nie zrezygnują ze sztandarów.

\* \* \*

I nie zrezygnowały.

Najpierw w Seleucji. Zatrzymali się w wielkim porcie na cały tydzień. Dwa dni zeszły na zaokrępowanie setek nowych Szpitalników. Lecz większość czasu dowódczym spędziła na zapędzaniu patriarchy Efraima do jamy.

Seleucja była portem Antiochii. Z kolei Antiochia była trzecim co do wielkości miastem w Cesarstwie, tuż po Konstantynopolu i Aleksandrii. Antonina nie poprowadziła swoich oddziałów do Antiochii, ale spędziła cały tydzień, paradując po ulicach antiochskiego portu. Już trzeciego dnia większość miejscowych, a szczególnie ludność syryjska, witała ją z szaloną radością. Ci, którzy nie cieszyli się na jej widok, chowali się po willach i monastyrach. I snuli czarne myśli, lecz nie odważyli się ich wypowiadać, chyba że ledwie słyszalnym szeptem.

Siódmego dnia, w Seleucji, do portu przybył duży kontyngent Armii Syryjskiej, prosto z twierdzy Daras. Większość żołnierzy wsiadła na statki. A reszta...

Z wielką ceremonią Antonina wysadziła na ląd sporą gromadę rzemieślników, którzy mieli wzniesć stacje semaforowe pomiędzy Antiochią! Seleucja. Miały one służyć jako połączenie pomiędzy siecią przybrzeżną, którą także miała skonstruować, oraz odnogą anatolijsko-mezopotamską, tworzoną przez Belizariusza.

Podczas gdy małżonka generała zajęta była zdobywaniem popularności tłumów, Irena zajęła się tym, co niewidoczne. Udała się potajemnie do Antiochii i w przeciągu tygodnia utrwaliła słabą do tej pory siatkę szpiegowską w domenie Efraima.

\* \* \*

Popłynęli dalej na południe, do Tyru. Po drodze zatrzymywali się, chociaż na kilka godzin, w każdym większym porcie.

I pokazywali sztandary.

W Tyrze doszło do prawdziwego święta. A także do wielkiego, chociaż mniej rzucającego się w oczy zwycięstwa.

Ludność miejska wyległa do portu i czekała na jej przybycie. Antonina i żołnierze słyszeli powitalne wrzaski już z odległości co najmniej półtora kilometra. W dokach czekał na nich kolejny tysiąc Szpitalników, dumnie wypinających pierś.

A pomiędzy nimi stał biskup Jeruzalem.

Teodozjusz, nowo obrany patriarcha Aleksandrii, który towarzyszył Antoninie w drodze do Egiptu, pokazał go jej, jak tylko statek flagowy zbliżył się do nabrzeża. Zaczął szeptać jej coś gorączkowo do ucha, aby wyjaśnić obecność biskupa przy powitaniu. Irena robiła dokładnie to samo, z tym że syczała do drugiego ucha Antoniny. Żona Belizariusza uciszyła ich oboje jednym gestem.

- Wiem doskonale, co to oznacza, Teodozjuszu... i ty, Ireno. Biskup Jeruzalem właśnie postanowił odciąć się od patriarchy Efraima i powrócić na łono Cesarstwa.

Zachichotała drwiąco.

- Oczywiście, chce upiec przy tym ogniu swoją własną pieczeń. Jeruzalem próbuje także dostać status patriarchatu... Jak długo już się o to starają? Trzy wieki?

Teodozjusz skinął głową.

Chichot Antoniny zmienił się w otwarty śmiech.

- Cóż, ale dlaczego nie? Czyż Jeruzalem nie jest najświętszym miastem w całym ziemskim Królestwie Chrystusowym? Jeżeli się nad tym zastanowić, to dlaczego nie?

Patriarcha szarpnął się wściekle za brodę.

- Cóż, tak, tak mi się zdaje. Ale urzędnicy kościelni zawsze odrzucali prośby Jeruzalem na takiej podstawie, że...

- ... że to mała przygraniczna dziura. A w dodatku pełna... a raczej nie tak pełna, zaspanych, niedomytych wieśniaków.

Duchowny zamrugał.

- To raczej dość okrutna ocena. Ale... tak. W zasadzie masz rację.

- A co jest złego w zaspanych wieśniakach? Z pewnością nie zobaczysz, i w końcu odkładaj ją na później zdrową popołudniową drzemkę tylko po to, aby spierać się o aspekt ludzki i boski natury Chrystusa.

Odwróciła się od relingu, ciągle z uśmiechem na twarzy.

- Patriarcha Jeruzalem - mruknęła. - Tak, tak. Całkiem ładnie brzmi.

\* \* \*

W końcu rzeczywiście udała się do Jerozolimy. Zawiesiła podróż na cały miesiąc. Cała Kohorta Teodoryjska i wszyscy Szpitalnicy z Konstantynopola ruszyli wraz z nią w głąb lądu, gdyż chcieli zobaczyć Ziemię Świętą na własne oczy.

Była to wielka i okazała eskorta dla biskupa Jerozolimy, który wracał do swego miasta w pełnym triumfie. Antonina, w chwili gdy już poznała biskupa osobiście, uznała go za po prostu okropną kreaturę. Był małostkowy i wiecznie nadąsany. Ale jako osobistość dostarczał jej wielkiej uciechy. Kiedy opuszczała Jerozolimę, biskup, który nazywał już siebie patriarchą, dał całkowite i publiczne błogosławieństwo jej wyprawie.

Zgodnie z tradycją i regulacjami kościelnymi patriarcha Antiochii zawsze miał zwierzchnictwo nad wielkim obszarem Syrii i Lewantu, który Rzymianie nazywali Oriens. Ale to się właśnie skończyło. Podczas tygodnia spędzonego w Seleucji wysłanniczka Teodory całkowicie podkopała prestiż Efraima. Teraz, po miesiącu spędzonym w Palestynie, przecięła jego terytorium na pół.

Naturalnie, najpierw musiano zwołać radę, która miała na celu potwierdzenie, lub też zaprzeczenie, nadania nowych uprawnień. Antonina, oczywiście, nie miała takiego prawa. Nawet cesarz nie mógłby ustanowić nowego patriarchatu bez zgody rady. Jednak zgromadzenie miało się odbyć dopiero w dalekiej przyszłości. Teodora zamierzała grać na zwłokę. Zatem na następnych parę lat biskup Jerozolimy odetnie się całkowicie od Efraima i uczepli się cesarskich szat regentki tak bardzo, jak tylko się da.

\* \* \*

Antonina pokazywała sztandar. Kiedy jej okręt flagowy wypłynął z Tyru, kobieta popatrzyła z miłością na wielkiego, złotego cesarskiego orła, umocowanego do głównego masztu.

- Flaga! - sarknęła. - Niby jak, na miłość boską, miałabym onieśmielić kogokolwiek kawałkiem głupiej szmaty?

\* \* \*

Ale do najlepszego doszło w małej rybackiej wiosce. Antonina, naturalnie, była zachwycona powitaniem, zgotowanym jej przez małą, lecz entuzjastycznie nastawioną populację, która wypłynęła na spotkanie jej armady małymi łódeczkami. Jednakże tak naprawdę najbardziej ucieszyła się z większego statku, płynącego wraz z rybackimi łodziami.

Była to galera wojenna z Aksum. A na jej pokładzie stał książę Eon wraz ze swoim dawazem, który przywiózł ze sobą oficjalne pozdrowienie od negusa nagast dla nowego cesarza rzymskiego. Wraz z propozycją aliansu przeciwko Malawianom.

- Jak, u licha, udało ci się przeprowadzić galerę wojenną z Morza Czerwonego na Śródziemne? - zapytała Antonina, kiedy tylko zobaczyła Eona.

- Przeciągnęliśmy ją - odparł z grymasem. - Nie pytaj jak. Nie pamiętam.

- Głupi chłopiec! - oświadczył Ousanas. - Nie pamięta dlatego, bo to niemożliwe. Mówiłem mu. Irena wyszczerzyła zęby w uśmiechu.

- Musiałeś walić go po głowie tysiące razy.

Ousanas jęknął.

- Nie mogłem. Byłem zbyt zmęczony. Ten idiota, mój książę, kazał mi nieść rufę. I to samemu.

- Ousanas jest najsilniejszym człowiekiem na świecie - dodał Eon z wielką dumą.

Dawaz walnął księcia w czubek głowy.

- Głupi niemowlak! Najsilniejszy człowiek świata odpoczywa sobie we własnym łóżku. I zachowuje swoją siłę na przedsięwzięcia mające więcej sensu!

# MEZOPOTAMIA

*Lato, 531 n.e.*

## Rozdział 14

Pierwsze problemy pojawiły się kilka godzin po tym, jak armia minęła Anathę. Miasto, położone tuż nad Eufratem, było jednym z wielu, które formowały łańcuch ufortyfikowanych twierdz, zbudowanych przez sasanidzkich imperatorów, aby ochronić Persję przed rzymską inwazją.

Baresmanas i Kurusz zaoferowali rzymskim oddziałom gościnę w mieście, ale Belizariusz im odmówił.

Kiedy wielka armia stacjonowała w miastach, zawsze istniało ryzyko incydentów z lokalną ludnością. A już szczególnie, kiedy żołnierze byli obcy. Gdyby jego oddziały składały się wyłącznie z Traków i Syryjczyków, nie wahałby się ani chwili. Katafrakci Belizariusza dawno już przyzwyczaili się do dyscypliny panującej w jego armii, a żołnierze z Syrii tak naprawdę nie byli tu obcy.

Syryjczycy, rasowo i lingwistycznie, byli bliskimi kuzynami ludzi z zachodniej Mezopotamii. Podobnie jak Arabowie, którzy stanowili trzon Armii Syryjskiej. Arabowie, zamieszkujący po obu stronach granicy, uważali polityczne zatargi pomiędzy Rzymem a Persją za zwykłe imperialne fanaberie. Żołnierze znali dobrze perskie zwyczaje i sympatie, a większość z nich mówiła chociaż trochę w języku pahlavi. Większość tych ludzi miała krewniaków rozsianych po całych zachodnich prowincjach perskiego imperium.

Zupełnie inaczej było w przypadku Greków i Illyryjczyków.

Problem polegał na tym, że Anatha nie mogła pomieścić całej armii. A nie mógłby zaufać swoim greckim i illyryjskim żołnierzom, gdyby ci nie czuli nad sobą ciągłego zagrożenia w postaci trackich i syryjskich katafraktów. Z drugiej strony, gdyby pozwolił Trakom i Syryjczykom wejść do miasta i spędzić noc w komfortowych warunkach, podczas gdy oddziały konstantynopolitańskie i illyryjskie musiałyby tkwić w polu...

Z pewnością odnowiłby zadrażnienia, które z takim trudem udało mu się zażegnać.

Zatem rozkazał swojej armii ominąć miasto.

Rozkaz, oczywiście, nie rozweselił oddziałów i żołnierze byli na niego źli. Ale generał był nieprzejednany. Nawet więcej: odpowiadał na wściekłe spojrzenia swoich żołnierzy wesołym uśmiechem. Animozja, malująca się w oczach podwładnych, stanowiła kolejny czynnik, który cementował jego armię. Niebawem wszyscy żołnierze jak jeden mąż przybrali smutne miny i zgodnym chórem narzekali na wariactwa ich dowódcy. Traccy katafrakci kwaśno skarżyli się niepokieszonym Illyryjczykom, smutni greccy kawalerzyści narzekali wraz z wściekłymi Arabami.

*Pieprzony dupek.*

*Kto przy zdrowych zmysłach wybrałby takiego palanta na generała?*

*Kiedy już dotrzemy tam, dokąd idziemy... najwyraźniej chyba na księżyc, będziemy zbyt zmęczeni, żeby dać klapsa niemowlakowi.*

*Pieprzony dupek.*

*Kto przy zdrowych zmysłach wybrałby takiego palanta na generała?*

\* \* \*

Trzy godziny po tym, jak Anatha zniknęła za horyzontem, Belizariusz dostrzegł, że zbliża się galopem oddział lekkiej kawalerii arabskiej, pełniący funkcję zwiadu.

Maurycy pokłusował na ich spotkanie, podczas gdy generał rozkazał armii się zatrzymać. Po

krótkiej rozmowie ze zwiadowcami chiliarcha pospieszył do Belizariusza. Kiedy do niego dojeżdżał, zobaczył, że Baresmanas i Kurusz także już podjechali, podobnie jak Bouzes i Coutzes.

- Droga jest zablokowana. To uchodźcy ze wschodu - przekazał informacje Maurycy. - Zwiadowcy rozmawiali z kilkoma z nich. Mówią, że przed nimi wielkie siły kawalerii Malawy... - Wzruszył ramionami. - Wiecie, jak to jest. Uchodźcy mówią, że Malawian jest co najmniej milion. Ale najwyraźniej siły są tak duże, że udało im się zdobyć miasto Thilutha.

- Thilutha?! - zawołał Kurusz. Młody sahrdaran popatrzył na wschód. - Thilutha nie jest tak duże jak Anatha - oznajmił. - Ale to dobrze ufortyfikowane miasto garnizonowe. Nie ma takiej możliwości, żeby zdobyć je tylko siłami kawalerii.

- Mają broń palną - przypomniał mu Belizariusz.

Maurycy skinął głową.

- Uchodźcy opowiadają historie o czarnoksięskiej mocy, której Malawianie użyli do rozwalenia miejskich bram.

Belizariusz przyjrzał się pustyni zmrużonymi oczyma.

- A ty co myślisz, Maurycy? I jak daleko stąd się przyczaili?

Chiliarcha w zamyśleniu szarpnął się za brodę.

- To wielkie siły, generale. Nawet jeżeli nie weźmiemy pod uwagę przesadzonych opowieści uchodźców, arabscy zwiadowcy oceniają, że armia Malawian może mieć i dziesięć tysięcy żołnierzy. Może nawet więcej.

- Zwyczajny wypad - oświadczył Bouzes. Ozdobiona zadartym nosem twarz młodzieńca skrzywiła się w smutnym grymasie. - Prawdopodobnie zbrojny rekonesans.

Belizariusz pokiwał głową.

- Właściwie to dobra wiadomość. To znaczy, że imperator Chozroes ciągle trzyma ich pod Babilonem. Więc Malawianie wysyłają wokoło konne oddziały, żeby niszczyły okoliczne wioski, a tym samym odcinały dostęp do zapasów i żywności.

Przerwał na chwilę i zastanowił się głęboko.

- Nie jestem do końca przekonany, czy Chozroes zdoła utrzymać Babilon w nieskończoność, ale im dłużej, tym lepiej. Potrzebujemy więcej czasu. Czasu dla Persji i czasu dla Rzymu. Teraz musimy nauczyć Malawian, że nie będą bezkarnie najeżdżać Mezopotamii.

Jego głos stwardniał.

- Chcę ich zniszczyć. Rozbić w puch. - Stał w strzemionach i rozejrzał się wokoło. - Musimy znaleźć miejsce, gdzie zastawimy na nich pułapkę.

Kurusz zmarszczył brwi.

- Anatha została zaledwie kilka godzin za nami. Możemy tam wrócić i...

Belizariusz potrząsnął głową.

- Anatha jest za silna i nie potrzebuje nas do obrony. Malawianie rzucą na nią tylko jedno spojrzenie i pójdą dalej. A wtedy my będzie my musieli ich ścigać i walczyć na polu, które oni sobie wybiorą.

Na twarzy Baresmanasa pojawił się nikły uśmiech.

- Chcesz czegoś słabszego - oznajmił. - Taką małą, patetyczną fortyfikację, która wygląda jak ziemianka, gdzie skryją się nasze oddziały. - Uśmiech stał się szerszy. - Coś takiego, jak ten przeklęty obóz piechoty, jaki zbudowaliście pod Mindos.

Generał wykrzywił wargi.

- Tak, Baresmanasie. Tego właśnie chcę.

Kurusz wreszcie zrozumiał. Młody perski szlachcic skrzywił się, a po chwili na jego twarzy



pokazał się szeroki uśmiech.

- Jesteś bezlitosnym człowiekiem, Belizariuszu! - krzyknął i potrząsnął głową. - Obawiam się, że nigdy nie zostałbyś prawdziwym Arią. Rustam, degan deganów nigdy by się na to nie zgodził.

Belizariusz wzruszył ramionami.

- Z całym szacunkiem do waszego legendarnego narodowego bohatera i potężnej mocy jego pałki, rzeźbionej w kształt łba byka... W końcu i on zginął, nieprawdaż?

- Jego wrogowie złapali go w pułapkę, kiedy szedł na polowanie - zgodził się radośnie Kurusz. - A jeżeli już o tym mowa...

Sahrdaran spojrział na swego stryja.

- Czy gdzieś w pobliżu jest teren polowań należący do imperatora?

Baresmanas wskazał rękaw stronę rzeki. Kilka kilometrów od brzegu rozciągała się spora plama zieleni.

- Tam - oznajmił.

Wszyscy oficerowie, zebrani w małą gromadkę, podążyli wzrokiem za jego palcem. W tej właśnie chwili podjechał do nich Agacjusz wraz ze swoim głównym trybunem Cyrylem. Kilka sekund później przybył także dowódca oddziałów illyijskich. Wreszcie zebrała się gromadka głównodowodzących armii. Nowoprzybyli zostali szybko wprowadzeni w plan Belizariusza.

- Będziemy musieli przepłynąć się przez Eufkrat - zauważył Coutzes. - Czy jest w pobliżu jakiś bród?

- Musi być - odparł Maurycy. - Uchodźcy są po naszej stronie rzeki. Jeżeli zwiadowcy z nimi rozmawiali, oznacza to, że musieli w jakiś sposób pokonać Eufkrat.

Chiliarcha machnął przyzywająco na arabskich kawalerzystów, którzy czekali niedaleko. Podjechali do niego wolnym klusem i zaczęli się naradzać.

- To ma sens - skomentował Kurusz. - Thilutha jest na lewym brzegu. O tej porze roku na rzece jest wiele brodów. Malawianie pewno podobnie przechodzą swobodnie w obie strony i plądrują oba brzegi.

Powrócił Maurycy.

- Do brodu niedaleko, tak mówią zwiadowcy. - Popatrzył badawczo na słońce. - Sądzę, że jeżeli trochę przyciśniemy żołnierzy, zdążymy przepłynąć całą armię, zanim zajdzie słońce.

- A więc przyciśnijcie ich - rozkazał generał.

Belizariusz uważnie zmierzył wzrokiem grupkę oficerów. W jego spojrzeniu nie było chłodu, a tylko stanowczość. Oczy generała na dłuższą chwilę spoczęły na Agacjuszu.

Dowódca oddziałów garnizonowych uśmiechnął się szeroko.

- Nie martw się, generale. Moi chłopcy nie będą opóźniać marszu. Nie, jeżeli będą mieć przed sobą perspektywę czegoś innego od całodziennego, nudnego znoju.

Jego spojrzenie utraciło ostrość.

- Imperialny park do polowań - zdumiał się. - Sądzę, że znajduje się tam królewska willa, i wszystko inne.

Ujął wodze i potrząsnął głową.

- Okropne, okropne - mruknął zawracając konia. - Te piękne rzeczy tak bardzo ucierpią. No wiecie, w bitwie i w ogóle.

Kiedy Agacjusz odjechał, wraz z pozostałymi oficerami, a przy Belizariuszu został tylko Maurycy, Kurusz popatrzył na generała zimno.

- W imperialnym parku do polowań zawsze jest willa - orzekł. - I to urządzona w taki sposób, aby odpowiadała statusowi króla królów. Wypełniona kosztownymi sprzętami.

Generał nie mrugnął nawet okiem.

- On ma rację, Kuruszu. Obawiam się, że własność imperatora mocno ucierpi.

- A już szczególnie od broni palnej - dodał siwowłosy wojak. Tracki chiliarcha nie wydawał się specjalnie zmartwiony tą myślą.

- Nie martwię się tym, jakich zniszczeń dokonają żołnierze wroga; - warknął młody perski szlachcic.

- Zamilcz, krewniaku! - rozkazał mu Baresmanas. Głos sahrdarana stał się szorstki, a w jego oczach, skierowanych prosto na Kurusza, czaił się lód. - Znam imperatora dużo lepiej niż ty - warknął. - Znam go od czasu, kiedy był jeszcze dzieckiem. Nazywają go Chozroes Anuszirwan... Chozroes o Nieśmiertelnej Duszy. Uwierz mi, to odpowiednie imię dla tego człowieka. Od czasów Cyrusa na tronie Ariów nie zasiadała wspanialsza dusza. Czy sądzisz, że taki imperator będzie się złościł, jeżeli odważni ludzie, którzy mu pomagają, skorzystają z jego gościny, nie pytając, podczas gdy jego kraj jest pustoszony przez demony?

Młodzieniec oklapł w siodle. A potem westchnął, zebrał wodze, zawrócił konia i pokłusował w kierunku swoich oddziałów. Chwilę później odjechał siwobrody Trak, który także udał się do swoich ludzi.

Kiedy zostali sami, stryj Kurusza uśmiechnął się przeprasząco.

- Oczywiście, skorzystają z gościny. I to z jakiej gościny!

Belizariusz poczuł nagle, że bardzo lubi człowieka, który stoi tuż obok. A potem, chwile, później, nie potrafił oprzeć się nagłemu impulsowi.

- Wiesz, masz całkowitą rację.

Baresmanas przyjrzał mu się uważnie.

- To znaczy: na temat Chozroesa. Będzie rządził Ariami przez pięćdziesiąt najbliższych lat i zostanie zapamiętany na tak długo, jak długo będzie istniał Iran. Będą go nazywali Chozroes Sprawiedliwy.

Mężczyzna pobladł, co było doskonale widoczne przy ciemnej, spalonej słońcem pustyni karnacji.

- Słyszałem - szepnął. Wziął drżący oddech. - Słyszałem pogłoski, że ty potrafisz przepowiadać przyszłość, Belizariuszu. Czy to prawda?

Belizariusz wyczuł podniecenie Aide, wirujące mu w głowie. Posłał szybką myśl w kierunku lśniących faset.

*Nie, Aide. Są chwile, kiedy tajemnica przestaje służyć naszym celom.*

Spojrzał na podekscytowanego sahrdarana spokojnymi oczami.

- Nie, Baresmanasie. Nie w tym sensie, jaki zdaje się masz na myśli.

Armia właśnie podejmowała marsz. Trak popędził konia, podobnie uczynił Baresmanas.

Generał nachylił się do sahrdarana.

- Przyszłość nie jest czymś niezmiennym i stałym, Baresmanasie. To jedno wiem. Choć to prawda, widziałem, co może się stać w przyszłości, poznałem alternatywne rzeki, jakimi może płynąć czas.

Przerwał na chwilę.

- Czczymy różnych bogów, mój przyjacielu - odezwał się w końcu. - Albo, może, to ten sam bóg, tylko widziany na różne sposoby. Ale żaden z nas nie wierzy w to, że na Ziemi panuje mrok. - Machnął ręką przed sobą, jakby chciał wskazać swemu rozmówcy ciągle niewidzialnego wroga. - Malawianie są wspomagani przez demona. Ten demon zdradził im sekret prochu i wypełnił ich paskudnymi, niezaspokojonymi ambicjami. Czy naprawdę sądzisz, że taki demon mógłby zstąpić na

Ziemię i nie spowodować interwencji boskich sił?

Baresmanas zastanawiał się nad tym, co usłyszał. Przez pewien czas jechali w milczeniu.

- A więc tak - odezwał się w końcu cicho. - Jak zawsze bogowie dają nam wybór.

Belizariusz skinął głową. Sahrbaran odzyskał zdrowe kolory. Zdołał się nawet lekko uśmiechnąć.

- Powiedz mi jeszcze jedno, Belizariuszu. Obiecuję ci, że więcej nie będę pytał. Czy ten boski duch dawał ci rady pod Mindos?

Generał potrząsnął głową.

- Nie. Absolutnie nie. Wierzę, że ten duch ochronił mnie od ran i śmierci. To znaczy; tylko mnie.

Ale to ja obmyśliłem taktykę.

Nieśmiały uśmiech sahrbarana zmienił się w radosny grymas.

- Z niewiadomej przyczyny to sprawia, że poczułem się lepiej. To na prawdę dziwne. Pomyślałbyś, że raczej stanie się odwrotnie. Że poczuję się lepiej, gdy się dowiem, że pokonała mnie jakaś nadnaturalna siła.

Belizariusz ponownie potrząsnął głową.

- Nie sądzę, żeby to było dziwne, Baresmanasie. To jest...

Przerwał, niezdecydowany. Nie umiał w prosty sposób opisać tytanicznej walki, toczącej się w dalekiej przyszłości, która rzutowała w tak bezpośredni sposób na ich teraźniejsze życie. Sam Belizariusz nie do końca pojmował te zmagania. Ale...

- Myślę, że to o to właśnie walczymy. Nieważne, czy nasza przyszłość, przyszłość ludzkości, zostanie ukształtowana przez nas samych, czy przez istoty, które nami sterują.

Nie wypowiedział już ani jednego słowa na ten temat.

Ani Baresmanas... teraz i nigdy. Sahrbaran był nieodrodnym synem swoich przodków, legendarnych Ariów. Kiedy dawał słowo, dotrzymywał go.

Oczywiście sceptyczny naukowiec, który w nim mieszkał, dziwił się temu sztywnemu honorowi. Tak samo, jak dziwił się, że nisko urodzony, sprytny Rzymianin, nie pojmujący aryjskich rygorów, również potrafił dotrzymać tajemnicy.

Ale najbardziej zajmującą była jeszcze inna myśl.

*I ja wybrałem tego człowieka na mojego wroga! Na demony, kiedy jest już po wszystkim, mogę stwierdzić, że to było głupie.*

\* \* \*

Jednakże Aide nie było ani trochę zdumione. W godzinach, które nastąpiły potem, gdy armia odnalazła bród, odkryty przez arabskich konnych zwiadowców, i przeszła na lewy brzeg Eufratu, a następnie rozbiła obóz na noc, Belizariusz czuł w głowie, jak fasety wirują w opętańczym tańcu. Nie potrafił jednak odgadnąć myśli klejnotu. Lecz wiedział, że Aide zastanawia się nad czymś bardzo ważnym.

Kryształ nie przemówił do czasu, aż rozbito obóz i wszyscy żołnierze, z wyjątkiem wart i straży, udali się na spoczynek. A generał, który jeszcze się nie położył, cierpliwie czekał w ciemności, aż jego przyjaciel się odezwie.

**Czy naprawdę myślisz, że jest tak, jak powiedziałeś? O naszej walce z nowymi bogami?**

*Tak*

Chwila ciszy. Potem tęskne:

**A co z nami? Czy my nie gramy tu żadnej roli? Czy tylko ludzie się liczą?**

Belizariusz uśmiechnął się.

*Oczywiście, że nie. Przecież wy jesteście częścią nas. Wy także jesteście ludźmi.*

**Wcale nie,** wrzasnął kryształ. **Jesteśmy inni! Dlatego właśnie nas stworzyliście, bo... bo...**

Mężczyzna nie potrafił sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz Aide było tak rozżłoszczone. Desperacja... frustracja... samotność... zagubienie... i, najbardziej ze wszystkiego, gorączkowa potrzeba porozumienia się.

Ale teraz było inaczej. Różnice pomiędzy dwoma osobowościami wygładziły się z czasem, gdyż Belizariusz i klejnot porozumiewali się już od wielu lat. Rozumieli się lepiej, niż sami przypuszczali.

I w końcu bariera opadła zupełnie. Gwałtowne wizje całkowicie zawładnęły umysłem Belizariusza i generał poczuł się tak, jakby gigantyczna fala przyływu wepchnęła go prosto do niebios.

## Rozdział 15

*Światy, światy, światy, krążące wokół niezliczonych słońc. Na tych światach ludzie, wszędzie... ludzie zmienieni, stransformowani. Większość wypaczona i zniekształcona. A przynajmniej dziwna, jak powiedziałby normalny człowiek.*

*Nadchodzi śmierć i uderza w światy. Ziemia także cierpi od plagi, która nie pozostawia na niej żywej istoty. Nie zostało nic, prócz... powoli, tu i tam, powstaje sieć kryształów.*

To lud Aide, zdaje sobie sprawę Belizariusz, który stara się zastąpić tych, którzy zniszczyli swój własny świat. Stworzeni przez tych, którzy zabili się nawzajem. Mają się stać ich następcami.

*Belizariusz wisi w ciemności. Wokół niego, pod nim, nad nim... w każdym kierunku... krążą wielkie wirujące spirale światła i piękna.*

Galaktyki.

*Wyczuwa nową obecność i natychmiast pojmuje jej znaczenie. Przeszywa go wielkie westchnienie ulgi.*

*Nareszcie, nareszcie...*

*W oddali dostrzega świetlny punkt. Tylko punkt, nic więcej, bardzo odległą plamkę jasności. Ale wie, nawet w wizji, że odległość to miara czasu, nie dystansu.*

Czas się przesunął i nadeszła przyszłość.

*Świetlny punkt wybuchł i ruszył naprzód. Chwilę później przed oczyma Belizariusza unosi się jeden z Wielkich Bogów.*

*Generał widział ich już wcześniej. Ale dopiero teraz, po raz pierwszy, zobaczył Wielkiego wyraźnie.*

*A przynajmniej na tyle wyraźnie, na ile może. Zdaje sobie sprawę, dlaczego nigdy nie zdoła obejrzeć go w pełnej krasie. Zbyt wiele ze struktury Wielkiego bazuje na siłach niewidocznych dla ziemskiego oka.*

*Słyszy nowy głos. W pewien sposób podobny do głosu Aide, ale jednak inny.*

**POLA SIŁOWE. MATRYCE ENERGII. NIEWIELE ZOSTAŁO W NAS ZIEMSKICH ISTOT. NIE MA W NAS NICZEGO.**

Wyglądał trochę niczym uskrzydłony wieloryb, wielki i potężny.

O ile wieloryb mógłby płynąć po niebie, świecąc wewnętrznym blaskiem. Ale był większy, znacznie większy. Wielki Bóg przytłaczał swoją wielkością każde ze zwierząt, jakie kiedykolwiek żyło na ziemi.

**NASZE WYMIARY LICZĄ OSIEM NA TRZY NA DWA, W PRZYBLIŻENIU, W WIDZIALNYM SPEKTRUM. NAZYWACIE TO KILOMETRAMI. NASZA MASA JEST TRUDNA DO SKALKULOWANIA. ZALEŻY OD PRĘDKOŚCI. OSIĄGAMY 93% PRĘDKOŚCI ŚWIATŁA PRZY NAJWIĘKSZEJ... NAZWIJMY TO „MOCY”. MUSIMY BYĆ BARDZO OSTROŻNI, KIEDY ZBLIŻAMY SIĘ DO UKŁADU SŁONECZNEGO. PRZY TAKIEJ PRĘDKOŚCI MOGLIBYŚMY POŁKNAĆ PLANETĘ. ZNISZCZYLIBYŚMY JĄ. I PRAWDOPODOBNIENIE TAKŻE NAS SAMYCH.**

Istota nie miała oczu, ani ust, ani żadnych zmysłów znanego mu rodzaju. Jednakże generał wiedział, że Wielki może zarejestrować każdy bodziec, jaki czuł człowiek, jak również wiele innych.

Teraz zobaczył wnętrze istoty. Dostrzegł migoczącą sieć kryształów, która formowała serce, a może duszę Wielkiego.

**TERAZ SĄ NASZYM DZIEDZICTWEM. NASI TWÓRCY, TAK SAMO JAK NASZE TWORY. ONI ZROBILI DLA NAS TO, CO COŚ ZWANE DNA ZROBIŁO KIEDYŚ DLA**

**NASZYCH ANTYCZNYCH PRZODKÓW. SPRAWIAŁO, ŻE PRZYSZŁOŚĆ NADCHODZIŁA.**

Belizariusz przyjrzał się dokładniej sieci kryształów. Klejnoty, pomyślał, są takie same jak Aide. A jednak w jakiś sposób inne.

**AIDE ZNACZNIE SIĘ OD NICH RÓŻNI. TO, CHOCIAŻ NIE, DLA CIEBIE TO ZAWSZE BĘDZIE ON. A WIĘC ON JEST TAK SAMO KREWNIAKIEM DLA TYCH TUTAJ, JAK TY JESTEŚ DLA BAKTERII. NIBY Z JEDNEJ RODZINY, ALE ZNACZNIE POTĘŻNIEJSZY.**

Wielki wyczuł niezrozumienie w umyśle generała.

*Co to jest bakteria?*

**JAK TY JESTEŚ KREWNIAKIEM BAKTERII. ALBO LEPIEJ GRZYBA. STWORZYLIŚMY TE KRYSZTAŁY, ABYŚMY MOGLI PRZEŻYĆ. ALE POTEM ODKRYLIŚMY, ŻE NIE MOŻEMY ICH ROBIĆ ANI UŻYWAĆ, JEŻELI NIE SKONSTRUJEMY INTELIGENTNEGO KRYSZTAŁU, KTÓRY BĘDZIE IM PRZEWODZIŁ I NAM ASYSTOWAŁ. I TO SĄ WŁAŚNIE LUDZIE. AIDE.**

*A więc to byli twoi niewolnicy. Usłyszałem to od nowych bogów.*

**NIGDY.**

Po tych słowach odebrał sygnał wesołości; szczerzej, choć nieco dziwacznej. I generał przekonał się wreszcie... ostatecznie, że te niemalże niepojęte istoty są naprawdę jego braćmi. Musiał tylko spojrzeć w lustro, aby ujrzeć drwiący, skrzywiony uśmiech, który pewnego dnia stanie się uniwersalnym symbolem ironii.

**WIEŚNIAK, KTÓRY TRUZI SIĘ UPRAWĄ ZIEMI, PŁODZI DZIECI... KTÓRE MAJĄ MU POMÓC W PRACY, MIĘDZY INNYMI. CZY TE DZIECI SĄ NIEWOLNIKAMI?**

*Mogą być, odparł generał. Widziałem to wielokrotnie, więcej razy, niż chciałbym pamiętać.*

Uczucie drwiącego humoru nie znikło.

**ALE NIE W TWOIM DOMU. NIE NA TWOIM POLU. NIE W TWOJEJ KUŹNI.**

*Nie, ale...*

Wielki przetoczył się na bok i zawirował. Zakręcił pętlę na niebie, szybując na skrzydłach ze światła i cienia.

**ZATEM CZYIM DZIECKIEM JESTEM... RZEMIEŚLNIKA?**

Generał odebrał bezgłośnie uderzenie powietrza, które mogło być wesołym śmiechem. Wielki zatoczył łuk i zaczął się oddalać.

*Zaczekaj, zawołał Belizariusz.*

**NIE. USŁYSZAŁEŚ WYSTARCZAJĄCO DUŻO. MUSZĘ DOŁĄCZYĆ DO MOICH BRACI I OBEJRZEĆ WSZECHŚWIAT. WYPEŁNIĆ GO CUDAMI, KTÓRE BĘDĄ WŁASNOŚCIĄ WSZYSTKICH. MY JE ZBUDUJEMY. NIE MAMY WIELE CZASU, GDYŻ ŻYJEMY KRÓTKO, A ROBOTY JEST MNÓSTWO. MOŻE MILION LAT... NIE UWZGLĘDNIAJĄC ROZSZERZANIA SIĘ CZASU.**

Teraz widział już tylko słabą kropkę światła.

*Zaczekaj, zawołał ponownie. Jest jeszcze tyle spraw, o które chciałem zapytać.*

Słaby punkt zawahał się, a potem zawrócił. Chwilę później Belizariusz patrzył z zachwytem na zbliżającą się ścianę płonącego piękna.

**NIE MA NIC, O CZYM SAM BYŚ NIE WIEDZIAŁ, A CO MOGŁOBY BYĆ CI POTRZEBNE. JESTEŚMY ISTOTAMI STWORZONYMI PRZEZ CIEBIE, TAK JAK KRYSZTAŁY AIDE SĄ NASZYM DZIEŁEM. A TERAZ TWOI PRAPRAWNUKOWIE**

**PRZYBYWAJĄ DO CIEBIE, ABY CI POMÓC, GDYŻ NADSZEDŁ CZAS KŁOPOTÓW.**

**A WIĘC CZEGO CHCESZ SIĘ DOWIEDZIEĆ... STARCZE? TO TY JESTEŚ STARSZYM TEJ OSADY, KTÓRA TERAZ ZAWIERA W SOBIE CAŁE GALAKTYKI. TO TY JESTEŚ KOWALEM, KTÓRY WYKUŁ LUDZKOŚĆ NA SWOIM WŁASNYM KOWADLE.**

Po tych słowach Trak sam się roześmiał i przez chwilę zdawało mu się, że galaktyki także zadrżały z radości. Wielki, zawieszony przed nim, wyprężył się. Zalewały go fale dobrego humoru podobnie jak generała.

**TO JEST NASZA NAJSTARSZA RELIGIA, DZIADKU. I MAMY POWODY, ABY JĄ WYZNAWAĆ.**

Zatoczył koło i odpłynął, daleko. Prawie zniknął z pola widzenia. Zaledwie słaba kropka, nic więcej.

Belizariusz usłyszał jeszcze słaby, rozbawiony głos:

**NAZWIJ TO, JAK CHCESZ... MOŻE - SZACUNEK DLA PRZODKÓW**

\* \* \*

Kiedy generał Belizariusz powrócił do rzeczywistego świata, przez chwilę po prostu patrzył przed siebie nieruchomo. Patrzył na wielką gromadę gwiazd, które migotały na nocnym niebie, częściowo zasłonięte przez płócienny daszek. Forpocztę wielkiej wioski z przyszłości.

A później zrobił to, czego nie robił od tygodni, czyli wyjął Aide z sakiewki.

Tak naprawdę nie było takiej potrzeby. Już dawno temu nauczył się porozumiewać z klejnotem bez wyjmowania. Ale chciał zobaczyć Aide na własne oczy. Tak samo, jak często odczuwał potrzebę trzymania Focjusza za rękę. Aby pokazać mu swą miłość, aby poczuć komfort bliskości.

Usłyszał głos kryształu.

**Nie odpowiedział mi.**

*Czy byłeś przy tym, jak spotkałem się z Wielkim?*, zapytał Belizariusz.

**Tak**, padła niepewna odpowiedź. **Ale nie sędzę, żebym zrozumiało. Nie jestem pewne.**

Aide. mówiło niepewnie i żałośnie, jak dziecko, które narzeka, że nie rozumie lekcji.

**My nie jesteśmy tacy, jak ty. Nie jesteśmy tacy, jak Wielcy. Nie jesteśmy...**

*Cicho, Aide. I przestań jęczeć. Jak niby masz dorosnąć, kiedy chłpiesz podczas każdego zadania?*

Zapadła martwa cisza.

**To my dorastamy?**

*Oczywiście. Jestem twoim przodkiem. A przynajmniej jednym z nich. A jak ci się wydaje, skąd się wzięłaś na tym świecie?*

*Wszystko wokół nas dorasta. A już z pewnością moi potomkowie!*

Zapadła długa, długa cisza. A potem: **Nigdy nawet nie marzyliśmy o tym. O tym, że my także możemy dorosnąć.**

\* \* \*

Aide nie przemówiło już więcej. Belizariusz mógł wyczuć, jak fasety zamykają się i zaczynają prowadzić wewnętrzny dialog.

Po krótkiej chwili schował klejnot do sakiewki i położył się na swoim posianiu. Musiał się przespać. Niebawem dojdzie do bitwy, może nawet jutro.

Kiedy właśnie zapadał w sen, obudził go głos Aide.

Bardzo słaby, bardzo nieśmiały.

*Co tam mówisz?*, mruknął nieprzytomnie. *Nie mogę cię usłyszeć.*

**To dlatego, że mamrocę.**

Dumnie:

**To dobrze, że mnie nie słyszysz. To oznacza, że wszystko wychodzi mi tak, jak powinno, chociaż dopiero zaczynam.**

Bardzo dumnie:

**Idzie mi coraz lepiej, wiem o tym. Ćwiczenie czyni mistrza, Walentynian zawsze to powtarza.**

Generał z niedowierzaniem otworzył oczy. *Słodki Jezu*, szepnął.

**Myślę, że zacznę od Walentyniana. To znaczy: dorastanie. On jest bardzo łatwy. Oczywiście, nie chodzi mi o szermierkę. Ale mamrotanie nie jest takie trudne. I...**

Trak usłyszał stek przekleństw.

Generał podskoczył na posłaniu.

*Nie używaj przy mnie takiego języka*, wrzasnął. Tak samo jak do swojego syna, Focjusza. I ze zbliżonym rezultatem.

Kiedy zasypiał, ciągle słyszał mamrotanie.



## Rozdział 16

Kiedy Belizariusz i jego żołnierze dotarli do parku łowieckiego, arabscy zwiadowcy zdążyli już wejść w jedno szybkie starcie z nadchodzącymi jednostkami malawiańskiej armii. Gdy wrócili, przynieśli ze sobą informację, że główne siły malawiańskie sanie dalej niż piętnaście kilometrów od nich. Podeszli na tyle blisko, że mogli ocenić armię Malawian, zanim ci ich odepchnęli.

Były więc dobre i złe wieści.

Dowódca najpierw przekazał dobre wiadomości:

- To główniani żołnierze. Nie mają żadnych weteranów ani dobrych zwiadowców. Nie zauważyli by nas, nawet gdybyśmy zaczęli szczać im na głowy. Na szczęście nie mają ze sobą kobiet. Inaczej wszystkie byśmy uwiedli i zdołalibyśmy spłodzić co najmniej trzech bękartów, zanim ci zasrani Malawianie zorientowaliby się, że ich dzieci są coś za ładne i za mądre.

Potem złe wieści:

- Ale jest ich cholernie dużo. Cholernie.

Generał Belizariusz popatrzył na zachód. Oceniał, że do zachodu słońca została mu godzina. Zwrócił się do Maurycego:

- Weź wszystkich moich katafraktów i katusze. Kiedy przybędą Persowie, każę im do ciebie dołączyć. - Przez chwilę się zastanawiał. - I weź też Illyryjczyków.

Rzucił szybkie spojrzenie na Timasjusza, illyryjskiego dowódcę.

- Będziesz pod dowództwem Maurycego. Czy to jakiś problem?

Timasjusz potrząsnął głową bez chwili wahania; ku wielkiej uldze

Belizariusza. Nabierał coraz lepszego zdania o Illyryjczyku. Może i nie był on zbyt sprytny, ale przynajmniej wiedział, co to znaczy dyscyplina, i potrafił współpracować.

Generał przyglądał się teraz lasom majającym na północnym wschodzie.

- Sądząc po tym, co do tej pory zaobserwowałem, będziemy tam mieć do woli doskonałych kryjówek. Chcę, żeby wszyscy dobrze się ukryli, Maurycy. I żadnych ognisk dzisiaj wieczorem, kiedy rozbijecie obozowisko. Będziecie moją niespodzianką, gdy zajdzie taka potrzeba, i nie chcę, żeby Malawianie zbyt wcześnie się zorientowali.

Belizariusz nie drażył tematu dalej. W rozmowie z siwobrodym żołnierzem nie było takiej potrzeby.

- Masz rakiety sygnałowe?

Tracki tysięcznik pokiwał głową.

- Pamiętaj, zielone oznacza...

- Zielone oznacza, że atakujemy wroga bezpośrednio. Czerwone znaczy, że atakujemy salwą rakiet. Żółte - przybывaj na pomoc. Białe - ratuj się na własną rękę.

Maurycy popatrzył wściekle na Belizariusza.

- Czy masz dla mnie jeszcze jakieś instrukcje? Może jak mam sznurować buty? - Spojrzał na pustynię. - Jeżeli chcesz mi powiedzieć, po której stronie świata zachodzi słońce, lepiej się pospiesz. Już prawie zaszło. Myślę, że to północ.

Głównodowodzący zachichotał.

- Spadaj, Maurycy.

Kiedy chiliarcha odjechał, ciągle wodząc wokoło rozzłoszczonym wzrokiem, Belizariusz zwrócił się do Bouzesa i Coutzesa.

- Jeden z was, nieważne który, weźmie syryjską piechotę i zacznie umacniać królewską willę. Weźcie także garnizon z Callinicum. Prawdopodobnie żołnierze będą musieli pracować całą noc.

Bracia skrzywili się, zwierzchnik za to się uśmiechnął.

- Powiedz im, żeby patrzyli na jasną stronę sytuacji. Będą musieli posprzątać otoczenie. Pozbierać wszystkie przedmioty, które leżą luzem. Trzeba je usunąć, oczywiście, żeby nikt się o nie nie potknął i nie przewrócił.

Bouzes i Coutzes natychmiast się rozchmurzyli. Belizariusz mówił dalej:

- Nie róbcie zbyt solidnych fortyfikacji, ale upewnijcie się, że osłony, przed granatami są solidne i można je szybko podnieść w ostatniej chwili. I zadbajcie o to, aby mieć sporo wyjść. To ułatwi wam wypad.

Bracia pokiwali głowami, a potem spojrzeli po sobie. Po chwili milczącej dyskusji, odbywającej się za pomocą wyrazu twarzy, grymasów niezrozumiałych dla nikogo innego, Bouzes zawrócił konia i oddalił się szybkim kłusem.

- A więc dobrze - powiedział Belizariusz. - Coutzesie, chcę, żebyś wziął ze sobą syryjską kawalerię, a także całą arabską jazdę, z wyjątkiem paru, których użyjemy jako zwiadowców, i przygotował obie do szarży. To ma być pierwsza rzecz juro rano. I chodzi mi o huński sposób szarżowania, rozumiesz mnie?

Młodzieniec pokiwał głową. Chwilę później on także odjechał. Został tylko Agacjusz wraz ze swoim trybunem, Cyrylem. Belizariusz przypatrywał im się przez chwilę.

- Chcę, żeby wasz konstantynopolitański regiment dobrze wypoczął dzisiejszej nocy. Rozbijcie normalny obóz, niedaleko od willi. Upewnijcie się tylko, że to wschodnia strona parku, gdzie drzewa są nieco rzadsze. Chcę, żebyście stali pomiędzy willą i Malawianami. Zrozumiałeś?

Agacjusz skinął głową. Generał mówił dalej:

- Rozpalcie ogniska... największe, jakie zdołacie. Wydaj ludziom podwójne racje wina i niech się głośno zachowują. Zachęć ich do śpiewu, jeżeli będą mieli na to ochotę. Tylko nie pozwól im się upić.

Cyryl zmarszczył brwi.

- Nie boisz się, że wróg zobaczy, jak...

- Mam nadzieję, że wróg was zobaczy.

Agacjusz zachichotał.

- Liczysz na to, że nie będą węszyli w północnych lasach, gdzie mogliby potknąć się o Traka albo Ilyryjczyka. Albo kręcić się w pobliżu samej willi, gdzie mogliby zobaczyć fortyfikacje skonstruowane przez Syryjczyków.

Niedźwiedziowaty oficer szarpnął się za brodę.

- To prawdopodobnie zadziała - zdumiał się. - Jeżeli ich zwiadowcy są tak źli, jak mówił Abbu, zadowolą się tym, co oczywiste. To będzie dla nich łatwiejsze. Wrócą do swojej armii, zamiast spędzać całą noc na przekradaniu się przez las, w którym kryje się Bóg wie co.

Belizariusz skinął głową. Agacjusz przyjrzał mu się dokładnie. W jego oczach widniał chłód, może nawet lód.

- Zamierzasz wytluc z nas całe gównno, prawda?

Zwierzchnik znów pokiwał głową.

- Tak, Agacjusz. Twoi ludzie prawdopodobnie będą mieli do odwalenia najgorszą robotę. A przynajmniej na początku. Mam nadzieję, że syryjscy kawalerzyści wciągną Malawian w zasadzkę i poprowadzą aż tutaj. Jeżeli tak...

- Mamy ich zaatakować. Zaszarżować. Wielką, przeprowadzoną na wprost kawaleryjską szarżą z lancami na sztorc. Taką, o której śpiewa się w legendach.

- Tak. Ale musicie być zdyscyplinowani. Szarża musi być porządna, lecz chcę, żebyście się rozproszyli, zanim rozniosą was na strzępy. Czy jesteście w stanie to zrobić? Chcę szczerzej

odpowiedzi. Z moich doświadczeń wynika, że katafrakci często myślą, że są nieśmiertelni. Tak się zapamiętują w walce, że...

Agacjusz zaśmiał się chrapliwie.

- Na miłość boską, generale! Czy w twoich oczach wyglądamy na bandę arystokratów?

- Jesteśmy całkiem niezli w rozpraszaniu się - dodał Cyryl, szczerząc zęby w uśmiechu. -

Wybacz, że tak mówię.

Belizariusz także się uśmiechnął.

- Jeżeli ma to wam pomóc, dołączę do was podczas szarży. Ja także jestem całkiem niezły w rozpraszaniu się. Wybaczcie, że tak mówię.

Dwaj Grecy zaśmiali się... tym razem naprawdę wesoło. Ale kiedy umilkli, w ich oczach ciągle czaił się cień chłodu. Belizariusz natychmiast odgadł, o co chodzi.

- Nie macie doświadczenia ze mną jako waszym bezpośrednim dowódcą - powiedział łagodnie. - Ale chcę, żebyście mi zaufali. Nie martwcie się o łupy. Powiedzcie waszym ludziom, że dostaną swoją część... po tym, jak wygramy bitwę.

Cyryl zerknął na willę. Syryjscy piechociarze zaczęli już wlewać się do wytwornego wnętrza. Nawet z tak dużej odległości, czyli około stu metrów, okrzyki radości słyhać było doskonale.

Agacjusz nie spuszczał wzroku z Traka. W jego oczach czaiło się nieskrywane podejrzenie.

Belizariusz uśmiechnął się krzywo.

- Ci Syryjczycy mają doświadczenie ze mną jako ich bezpośrednim dowódcą. Znają karę za pładrowanie ludności cywilnej. Nie zapominaj, Agacjusz, że moi katafrakci raczej nie będą się kręcić wokół willi. Nie słyszysz narzekania Maurycego, prawda? To dlatego, że on nie obawia się pładrowania. Ktokolwiek sprzeciwi się mojej woli, będzie musiał przejść przez piekło.

Mężczyzna nie zdołał powstrzymać się od mrugania.

Cała żartobliwość opuściła twarz rzymskiego generała. Kiedy przemówił, jego głos był spokojny i szczery.

- W mojej armii wszyscy dzielimy się łupami. Dzielimy je sprawiedliwie już po bitwie. Dzielimy wszystko, z wyjątkiem tego, co odkładamy dla ciężko rannych i rodzin tych, którzy polegli. Każdy żołnierz dostaje swoją dolę. Niezależnie od tego, co robił podczas bitwy.

Agacjusz i Cyryl gapili się na niego. A potem Agacjusz skinął głową. Gest ten raczej nie przypominał aprobaty, ale coś w rodzaju ukłonu uznającego wyższość. Chwilę później Cyryl poszedł w ślady swego przełożonego. Kiedy unieśli głowy, na twarz generała powrócił zwyczajowy skrzywiony uśmiezek.

- A teraz, jeżeli nie macie nic przeciwko, chciałbym porozmawiać nieco o taktyce tej... jak ją nazwałś, Agacjusz? Szarża godna opowieści minstrela? - Zachichotał. - Podoba mi się! A już szczególnie wtedy, kiedy minstrel śpiewa na wesoło. W końcu każdy heros wychodzi cało z opresji.

Grek wyszczerzył zęby.

- Ja sam również zawsze wołałem wesołe melodie.

- Ja też - dodał Cyryl. - Nie cierpię smutów. Nienawidzę tych przeklętych ponuraków.

\* \* \*

W godzinę po zachodzie słońca w parku pojawiła się perska kawaleria. Belizariusz spotkał się z nimi w odległości półtora kilometra od willi i zapoznał ich z planami na nadchodzącą bitwę.

Ku jego uldze Kurusz zgodził się natychmiast. Młody szlachcic rzucał kwaśne spojrzenia w kierunku willi, ale ani słowem nie zapytał o jej obecny stan.

Sam Belizariusz, w eskorcie kilku trackich katafraktów, zaprowadził Persów do miejsca w północno-wschodnich lasach, gdzie jego oddziały, wraz z Illyryjczykami, założyły obozowisko.

Poruszali się bardzo wolno. Las był gęsty, gdyż żaden z miejscowych wieśniaków nie odważyłby się zabrać choć patyczka z królewskiego rezerwatu, a zapadający zmrok nie ułatwiał przedzierania się przez poszycie. Trak wykorzystał tę chwilę, żeby wyjaśnić swoje plany w bardziej szczegółowy sposób. Skoncentrował się szczególnie na wytłumaczeniu Kuruszowi, dlaczego jego katusze muszą zostać użyte we frontalnym ataku. Rydwany z działami nie brały jeszcze udziału w bitwie. Generał chciał się przekonać, czy okażą się przydatne.

Podczas rozmowy Kurusz uzupełnił wiedzę Belizariusza na temat ich przeciwnika. Persowie spędzili dzień na obserwacji lewej flanki malawiańskiej armii. Podobnie jak arabscy zwiadowcy donieśli, że żołnierze wroga są słabo przygotowani i nie trzymają szyku. W przeciwieństwie jednak do lekkiej arabskiej kawalerii ciężka konnica perska zdołała przebić się przez przednią straż i dotarła niemalże do jądra armii, zanim ją odepchnięto.

Zobaczyli więc więcej szczegółów i młody Irańczyk mógł dodać do wiedzy rozmówcy kolejne cegiełki.

Armia Malawy była wielka, wręcz ogromna, jak na konny zwiad. Kurusz oceniał główne siły na jakieś dwanaście tysięcy regularnego wojska, Żołnierze nie byli tak ciężko uzbrojeni jak perscy kopijnicy czy rzymscy katafrakci, ale ich ekwipunek znacznie wykraczał poza pojęcie lekkiej kawalerii. W poczet armii wchodziło także pięć setek doskonałych arabskich jeźdźców z dynastii Lahmidów.

Wśród regularnych oddziałów rozproszone były jednostki kawalerzystów Ye-tai. Persowie nie potrafili podać ich dokładnej liczby, ale Kurusz oceniał, że w armii znajdują się dwa tysiące barbarzyńców. Może nawet więcej.

Dodatkowo Persowie zauważyli parę setek malawiańskich kszatryjasów oraz kilka tuzinów kapłanów Mahwedy, stanowiących centrum armii. Kapłani, w odróżnieniu od kszatryjasów, nie jechali konno. Siedzieli na wielkich wozach, ciągniętych przez muły. Zawartość wozów ukryto pod naoliwionym płótnem, ale Kurusz domyślił się, że zgromadzono na nich broń prochową oraz inne tego typu urządzenia.

Żadna z tych wieści nie wprawiła rzymskiego generała w jakiś szczególny niepokój. Domyślał się takiej struktury sił i nie martwił się liczebnością malawiańskiej armii. Prawda, stosunek jego żołnierzy wynosił dwa do trzech, jeżeli ich szacunki się zgadzały. Ale i tak w bitwie zyska taktyczną przewagę, gdyż to on wybiera pole.

Lecz ostatnia informacja młodego arystokraty sprawiła, że zamrugął zdumiony.

- Opisz ich jeszcze raz - zażądał.

- Jest ich prawdopodobnie dwa tysiące, Belizariuszu. Idą w tylnej straży malawiańskiej armii... co jest dość dziwne, moim zdaniem. Gdybym to ja był jej dowódcą, kazałbym iść im na czele. Doskonale trzymają szyk, prawie jak paradne oddziały na defiladzie, ale nie myślę...

Belizariusz potrząsnął głową.

- To z pewnością nie są oddziały paradne, Kuruszu.

Westchnął.

- A idą na końcu armii dlatego, że Malawianie zbytnio im nie ufają. Jednakże problem nie leży w technice wojskowej. Raczej w polityce.

- Niech to - mruknął po chwili. - Są tylko dwie rzeczy, których chciałem uniknąć. Jedną z nich są Radżputowie, a drugą... Jesteś pewien, że widziałeś kity?

Młodzieniec skinął głową.

- To dość charakterystyczne uczesanie. Mają nawet hełmy przystosowane do tego typu fryzur.

- Tak, wiem. Widziałem je już wcześniej. Kuszańskie hełmy.

Teraz sam Pers zamrugął ze zdumienia.

- Kuszańskie? Jesteś pewien?

- Tak. Żadne inne oddziały wroga tak nie wyglądają. A przynajmniej o ile się orientuję...

Pamiętaj, spędziłem w Indiach ponad rok. Przyjrzałem się malawiańskiej armii bardzo dobrze.

Kurusz chciał coś powiedzieć, jednak musiał zrezygnować, gdyż na jego drodze wyrosła nagle nisko zwisająca gałąź i musiał się pochylić.

- Pokonaliśmy ich, wiesz - mruknął, kiedy się wyprostował. - My, Ariowie. Wieki temu. A właściwie podbiliśmy połowę kuszańskiego imperium.

Generał Belizariusz uśmiechnął się na te słowa.

- Nie wątpię, że wasi minstrele śpiewają o tym po dziś dzień.

- Masz rację, śpiewają - odparł Kurusz ponuro. - Głównie treny żałobne o wspaniałych zwycięstwach, w których uszło z życiem może ze trzech bohaterów. Straty były bardzo duże. Po obu stronach.

\* \* \*

O północy, kiedy wrócił z lasu, Belizariusz udał się do willi. Baresmanas pojechał wraz z nim. Perski ambasador był niegdyś wielkim wojownikiem, bardzo poważanym, ale połączenie lat i potwornego urazu, jakiego doznał w bitwie pod Mindos, sprawiło, że nie był już zdolny do kawaleryjskich szarż i bitewnych zmagañ. Przystał więc z radością na propozycję, aby zostać dowódcą obrony willi, czyli oddziałów piechoty.

Bouzes i jego trzech oficerowie poprowadzili Belizariusza i Baresmanasa do wnętrza budowli. Unosili wysoko pochodnie, aby z dumą pokazać im sprytnie ukryte umocnienia. Byli szczególnie zadowoleni z osłon przeciwko granatom. Zrobiono je z podwójnej warstwy lnu, wzmocnionego cienkimi paskami metalu, które wszyto pomiędzy materiał. Taka konstrukcja ułatwiała transport osłon, gdyż można było zwijać je w rulony i mocować do juków. Teraz rozpięto je na ramach z brązu, skonstruowanych naprędce z balustrad, które upiększały niezliczone tarasy i balkony willi. Stelaże zostały zamocowane w każdym z przejść i okien za pomocą surowych rzemieni, te z kolei przywiązano do kółek, stanowiących niegdyś punkt mocowania balustrad i zasłon.

- Nie zrobiliśmy tych dziur, żeby mocować kółka - usprawiedliwiał się Bouzes. - Wywiercono je już wcześniej. Udało nam się przymocować do nich rzemienie. Widzicie? Każda z osłon może być przesuwana podobnie jak drzwi, bez większego trudu. Zajmuje to mniej niż pięć sekund. Nie widać ich z zewnątrz, dopóki się ich nie zamknie.

Generał nie był właściwie zaskoczony sprytem, z jakim ufortyfikowano budowlę. Wiedział, że syryjska piechota - mająca tak charakterystyczny dla ludzi mieszkających w regionie przygranicznym talent do różnych działań - to nieocenieni specjaliści od naprędce kleconych fortyfikacji z wszystkich materiałów, jakie akurat są pod ręką. Ale nie szczędził im szczodrych komplementów.

Baresmanas okazał się dużo bardziej hojny pod tym względem. Nawet nie wspomniał o perłach, które kiedyś zdobiły zasłony w imperialnej sypialni. Teraz w ich miejscu tkwiły surowe rzemienie osłon.

Nie skomentował także dziwnego położenia wielkich brązowych plafonów, które żołnierze ułożyli w miejscach, gdzie ściany willi były nieco słabsze. Ozdoby te wisały niegdyś w wielkiej jadalni królewskiej, gdzie goście imperatora, po całym dniu spędzonym na polowaniu, mogli podziwiać ich piękno podczas posiłku. Na plafonach nadal widniały płaskorzeźby, ale teraz wydawały się nieco bezbarwne. Lwy wyglądały blado bez szmaragdowych oczu, antylopy pospolicie bez złoconych rożków, pantery ponuro bez rubinowych i jadeitowych wstawek, a słonie bez kłów z kości słoniowej stanowiły już szczyt absurdu, gdyż przypominały długonose owce.

Arystokrata nie odezwał się także w samej jadalni, kiedy wraz z Belizariuszem dołączyli do żołnierzy podczas późnego posiłku. Ograniczył się tylko do wymiany uprzejmości, dotyczących głównie doskonałego jedzenia. Posiłek Syryjczyków był świetny... wspaniały i smaczny. Godny imperatora! I nawet jeżeli Baresmanas uważał za dziwne, że jedli na drewnianych talerzach i drewnianymi łyżkami, nie powiedział na ten temat ani słowa. Nie pytał, gdzie podziela się złota zastawa i sztuce, które zgodnie z zasadami sztuki powinny uświetnić tak doskonały posiłek.

Podczas całej wyprawy Baresmanas tylko raz stracił panowanie nad sobą. Usłyszał, jak Bouzes chwali umiejętności metalurgiczne swoich żołnierzy, którzy mogli je w pełni wykorzystać dzięki temu, że na terenie imperatorskiej willi znajdowała się doskonale wyposażona kuźnia, więc zapragnął natychmiast zobaczyć fachowców przy pracy.

Bouzes zachłystnął się nagle.

- Och, cóż,, tam jest bardzo gorąco, panie. Okropnie! I brudno. Nie uwierzyłbyś, jak bardzo! Och, nie, nie chciałbyś tam iść... nie w tak pięknym stroju. Nie, nie powinienes...

- Ale nalegam - upierał się Pers. Grzecznie, ale stanowczo. Potarł jedwabny rękaw tuniki gestem, w którym zawierała się żartobliwość i brak troski.

- Jutro będzie bitwa. Wątpię, czy ten strój po walce nada się jeszcze do czegokolwiek. A jestem bardzo zainteresowany umiejętnościami twoich żołnierzy. W perskiej armii nie widuje się czegoś takiego. Nasi degańscy kopijnicy i ich konna eskorta nie zniżyliby się do tego rodzaju pracy. A oddziały wywodzące się z kasty wieśniaków nie mają pojęcia o niczym z wyjątkiem orki.

Młody mężczyzna przełknął głośno ślinę.

- Ale...

- Zrób to, o co cię prosi sahrdaran, Bouzesie - wtrącił się Belizariusz. - Ja także chciałbym obejrzeć warsztat. Zawsze uwielbiałem patrzeć na pracę zdolnych kowali i na ich wyroby.

Bouzes westchnął. Wzruszył lekko ramionami i poprowadził ich na tyły domostwa. Wyszli z komnat królewskich, przeszli przez pomieszczenia służby i znaleźli się w małym skupisku budynków, w obrębie których zlokalizowano warsztaty. Perski imperator miał także praktyczne potrzeby, lecz żądał, aby ich realizacja odbywała się z daleka od oczu wysoko urodzonych Ariów.

Kiedy weszli do kuźni, praca natychmiast zamarła. Tuzin lub więcej Syryjczyków znieruchomiało. Porzucili narzędzia i wytrzeszczali oczy na dostojnych gości.

Sahrdaran także się gapił. Z wytrzeszczonymi oczami.

W centrum pomieszczenia stał gigantyczny kocioł, zaprojektowany do topienia metalu. Pod kotłem buzował ogień. Naczynie wypełniała roztopiona substancja. W tej właśnie chwili dwóch żołnierzy syryjskich zastygło, dzierżąc w dłoniach wielką chochlę o dwóch uchwytach. Właśnie zamierzali przelać jej zawartość do formy w kształcie sztaby, ustawionej pod przeciwległą ścianą.

Tajemnica imperatorskiej zastawy stołowej została wreszcie rozwiązana. Na półce obok kotła spoczywało zaledwie kilka złotych talerzy i nieduży kosz innych kosztownych przyborów, które jeszcze nie trafiły do złotej zupy. Te drobiazgi zresztą natychmiast zniknęły pod powierzchnią roztopionego metalu, gdyż rzymski żołnierz, który po nie sięgał, zagapił się na Baresmanasa i przedmioty wysunęły się z jego bezwładnej dłoni. Plum, plum, plum, wpadły z cichym pluskiem do kotła.

Ale to nie talerze tak przykuły uwagę perskiego arystokraty. Zapatrzył się na znacznie większe obiekty, które właśnie zatracaly kształt w gorącej zupie.

Baresmanas gapił się na uskrzydłonego konia, który stał na ciężkim postumencie. Podstawa topiła się szybko. W przeciągu kilku sekund koń zniknął pod powierzchnią płynu.

- To było łożo imperatora - sapał. - Zrobiono je z litego złota.

Żołnierze, zgromadzeni w kuźni, pobledli. Bouzes spoglądał błagalnie na Belizariusza.

Generał odchrząknął.

- Świetna robota, żołnierze! - huknął. - Z radością patrzę, jak doskonale wypełniacie moje instrukcje. - Położył rękę na ramieniu Baresmanasa. - To okropne, do czego zmuszają nas wojenne potrzeby.

Sahrdaran oderwał wzrok od kotła i zagapił się na Belizariusza.

- Mam nadzieję, że wspomniałem ci, Baresmanasie, o tym, że chcę przechwycić trochę malawiańskich dział. Oczywiście problem leży w strzelaniu. - Generał zmarszczył brwi groźnie. - Nie uwierzyłbyś, jakiego złomu używają Malawianie. Strzelają kamiennymi kulami w mury miejskie. A w bitwie używają pocisków napełnionych pokruszonymi kamieniami. Na miłość boską, czy możesz w to uwierzyć? - Wydał wargi, jakby chciał splunąć, ale powstrzymał się w ostatniej chwili. - Ja nigdy bym tego nie zastosował! Właściwie oddany strzał robi wielką różnicę. Może nawet załamać szarżę. Ale żeby tego dokonać, potrzebujesz ołowiu.

Przeszył na żołnierzy orlim wzrokiem.

- Zakładam, że nie znaleźliście ołowiu?

Mężczyźni gapili się na niego przez chwilę.

- Nie, panie! - zaskrzeczał jeden z nich. - Nie!

Kolejny gwałtownie pokiwał głową.

- Szukaliśmy, panie. Naprawdę. Przeszukaliśmy całą wille! Ale...

- Jedynie rury są z ołowiu - wtrącił się trzeci. Jego twarz przybrała smętny wyraz. - Musielibyśmy pruć ściany, żeby się do nich dostać.

Czwarty potrzęsnał ze smutkiem głową.

- Nie chcieliśmy tego, oczywiście. To królewski pałac, i w ogóle.

Wszyscy żołnierze spochmurnieli jak na komendę. Atmosfera zrobiła się pogrzebowa. Piechociarze pospuszczali głowy.

- To okropna profanacja - mruknął kolejny.

- Okropna - jęknął następny.

Dowódca postąpił krok naprzód i zajrzał do wnętrza kotła. Ręce założył za plecami. W jego oczach malowała się stanowczość, determinacja i całkowita pewność siebie. Wyglądał jak farmer, który ocenia jakość gleby, a inspekcja nie wypada po jego myśli.

- Złoto! - sarknął i wzruszył ramionami. - Cóż, spodziewam się, że będzie musiało wystarczyć.

Odwrócił się od kotła, wziął Baresmanasa pod ramię i zaczął go prowadzić w kierunku wyjścia. Sahrdaran nadal był sztywny i wyprostowany.

- Wojna to okrutny interes - mruknął.

Baresmanas nie miał wyboru, więc ruszył do drzwi. Jednakże nie wytrzymał i spojrzał za siebie, jakby nie mógł oderwać wzroku od żałosnego widoku.

A potem nagle wybuchnął śmiechem. Chociaż nie był to radosny chichot. Nie, raczej konwulsyjny śmiech, od którego drżały mu ramiona i trząsał się brzuch. Pers osłabł nagle i musiał się oprzeć o pobliską ścianę.

- To był ulubiony rezerwat do polowań naszego imperatora Kawada. - Krztusił się ze śmiechu. - Spędzał tu połowę czasu, zanim wiek przykuł go do łóżka.

Znów buchnęła zeń niepowstrzymana salwa rechotu.

- Raz powiedział mi... Ha! Ha!... że jest pewny, iż na tym łożu począł swego syna Chozroesa! Hi! Hi! Był tak bardzo dumny! Tamtego dnia zabił lwa i uznał, że to jest znak dla syna! Że to będzie symbol przeszłości.

Belizariusz wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Bardzo poetyckie! Rzecz godna legendy! Los Chozroesa rozstrzygnął się już w momencie poczęcia. Miał zostać pogromcą Malawian!

Baresmanas odepchnął się od ściany. Teraz to on wziął Belizariusza pod ramię i poprowadził go z powrotem do willi.

- Może powinniśmy zachować tę legendę dla siebie, przyjacielu - mruknął, ciągle roześmiany. - Tak łatwo jest źle zinterpretować mit.

Przeszli kilka kolejnych kroków. Sahraran popatrzył na generała z lekką drwiną.

- Jak wytłumaczysz imperatorowi Chozroesowi to, co zaszło w jego myśliwskiej willi? To znaczy, co mu powiesz, jeżeli nie dojdzie do bitwy?

Belizariusz uśmiechnął się krzywo.

- Sam się nad tym zastanawiam.

Wydął wargi.

- Chyba powinienem się pomodlić o trzęsienie ziemi.



## Rozdział 17

- Dobrze, że podesłałaś nam perskie oddziały wczorajszej nocy - zauważył Maurycy po tym, jak zsiadł z konia. - Nie byliśmy jedynymi ludźmi, którzy uznali, że te lasy to doskonała kryjówka. Wszyscy słudzy uciekli z willi, gdy zobaczyli, że zbliżają się Syryjczycy, a potem przyszli do nas. Gdyby nie ludzie Kurusza, którzy nad nimi zapanowali, służący kręciliby się po całej okolicy, gdcząc jak zagubione kurczaki. Malawianie z pewnością złapaliby chociaż kilku z nich.

Belizariusz zamrugął.

- Nie pomyślałem o tym - mruknął. Generał odwrócił się i spojrzał na willę. - Kiedy tu dotarliśmy, miejsce było zupełnie opustoszałe. Powiniennem zdać sobie sprawę, że w takiej posiadłości musi mieszkać mała armia służących, nawet jeżeli imperator aktualnie nie korzysta z willi.

- Mała armia? Powinieneś zobaczyć ten tłum!

Belizariusz puścił do Maurycyego oko.

- Czy będzie z nimi problem?

Siwobrody potrząsnął głową.

- Nie sądzę. Persowie uspokoili ich, a potem wyprowadzili głębiej w las. Kazali sługom zostać w ostępach, ale Kurusz powiedział mi, że upewnił się, czy wszyscy wiedzą, gdzie odprowadzono cywili. On myśli, że co najmniej połowa sług zacznie uciekać, kiedy tylko bitwa się rozpocznie, ale ma nadzieję, że raczej pobiegną głębiej w las, dalej od Malawian. Jeżeli wróg złapie któregokolwiek, to i tak będzie za późno, aby informacje na coś mu się przydały.

Maurycy zerknął na posiadłość.

- A co słyhać tam w środku? - zapytał. Chiliarcha przyjrzał się dokładnie ogrodowi i samej willi.

Królewska siedziba nie składała się tylko i wyłącznie z jednego budynku, ale z wielu połączonych budowli. Formowały one prostokąt, którego dłuższy bok biegł z północy na południe. Środek prostokąta był pusty i znajdował się w nim wewnętrzny ogród. Budynki otoczono ceglany murem, opasującym zewnętrzny teren siedziby. Zewnętrzny mur był niski i niezbyt masywny. Budynki skupiały się w pobliżu jego północno-wschodniego narożnika. Na zachodzie mur rozciągał się na jakieś kilka setek metrów, a następnie zawracał. Zachodnie tereny były bardzo zadbane i całkowicie otwarte, wyjątek stanowiły kępy krzaków i niskie drzewa, rozsiane to tu, to tam.

Na północ i zachód od willi, tuż za murem, zaczynał się niski las, który pełnił funkcję łowieckiego rezerwatu imperatora. Poszycie leśne było gęste, a roślinność pokrywała spory obszar. W lesie, mniej więcej trzy kilometry od posiadłości, kryły się oddziały Maurycyego. Na południu mały obszar leśny oddzielał budynki od Eufratu. Rzeka płynęła w odległości nie większej niż kilometr;

Maurycy, który bacznie oceniał teren, uznał, że rzeka i las działać będą jak pewnego rodzaju kanał, który nada Malawianom kierunek marszu. Pójdą prosto na willę. Wschodnie tereny były jedynymi, na których tak duża armia mogła poruszać się bez trudu. Żaden generał nie zdecydowałby się na przedzieranie się przez las. Prawda, chiliarcha zdołał przeprowadzić przez gęstwinę swoich katafraktów. Lecz on zastawiał pułapkę. Ukrywał swoje oddziały za gęstym parawanem drzew. Ale nawet dla niego zadanie było bardzo trudne.

Przyjrzał się otwartym terenom - na wschód od willi - jeszcze uważniej. To tam miała rozegrać się główna bitwa. Tu i tam widział żołnierzy z garnizonu w Konstantynopolu, jedzących właśnie śniadanie. Na południowym zachodzie, na samym skraju lasu oddzielającego willę od rzeki, stary stodoły, stajnie i zagrody, gdzie trzymano królewskie konie i cały inwentarz willi.

Potem chiliarcha dokładnie oszacował mur, który otaczał całą posiadłość, to znaczy: samą willę,

budynki towarzyszące i ogrody. Na koniec przyjrzał się bardzo uważnie bramie, w której stał wraz z Belizariuszem.

Najwyraźniej to, co zobaczył, nie zrobiło na nim pozytywnego wrażenia.

- Nawet kulawy muł wywaliłby ten mur jednym kopem - mruknął ponuro. - A co do tej śmiesznej tak zwanej bramy... założyłbym się, że nawet szczeniak się przedrze. Postawiłbym na to trzy do jednego.

Belizariusz spojrział na obiekty, które tak nie przypadły do gustu Maurycemu. Generał uśmiechnął się.

- Są całkiem niezłe, nieprawdaż?

Poklepał Maurycego po ramieniu.

- Rozchmurz się, ty stary ponuraku. To przecież domek myśliwski, a nie forteca. Mury służą do ozdoby, przyznaję. Ale willa została wybudowana dla imperatora. Jest wystarczająco solidna, nawet jeżeli składa się z połączonych ze sobą oddzielnych budynków. A poza tym chłopcy Bouzesa dokonali wczoraj istnych cudów, fortyfikując to miejsce. Utrzymają willę... Przynajmniej na tyle długo, jak to okaże się potrzebne.

Stary wojak nie odezwał się, ale kwaśny wyraz nie schodził z jego twarzy.

Generał za to uśmiechnął się jeszcze szerzej.

- Tak jak powiedziałem - stary ponurak.

- Nie jestem ponurakiem - oburzył się Maurycy. - Jestem pesymistą, A co, jeżeli twoja pułapka nie zadziała?

Belizariusz wzruszył ramionami.

- Jeżeli nie zadziała, będziemy musieli walczyć, tylko tyle. - Machnął ręką w kierunku willi. - Prawda, to nie jest wiele... ale i tak więcej, niż mają Malawianie.

Zanim Maurycy zdołał odpowiedzieć, przerwał mu wesoły głos. Kiedy odwrócili się razem z Belizariuszem, zobaczyli nadjeżdżającego Coutzesa. Dowódca syryjskiej lekkiej kawalerii kłusował drogą prowadzącą do willi. Zanim jechało trzech trybunów oraz Abbu, dowódca jego zwiadowców.

Siwobrody popatrzył w niebo. Słońce dopiero wyglądało zza wschodniego horyzontu.

- Jeżeli ma dla nas nowe wieści, to wnioskuje z tego dwie rzeczy. Albo ostatniej nocy odwalili kawał dobrej roboty, albo wróg dyszy nam już prosto w kark.

Dowódca zachichotał.

- Tak jak powiedziałem... ponurak. - Skinął głową w stronę nadjeżdżających. - Popatrz na tych wesołych koleżków, Maurycy! Czy oni, z tymi rozradowanymi twarzyczkami, wyglądają na ludzi, którzy uciekają, żeby ratować życie?

Maurycy zmarszczył brwi wściekle.

- Nie nazywaj żołnierzy wesołkami. To śmieszne. A już zwłaszcza w odniesieniu do Abbu.

Chiliarcha popatrzył na zbliżającego się dowódcę zwiadowców i humor nieco mu się poprawił. Maurycy w pełni aprobował Abbu. Arab patrzył na świat takimi samymi oczami jak chiliarcha. Miłe złego początki, w słoneczny dzień też może spaść deszcz, i tym podobne.

- Wróg zastawił na nas potworną pułapkę. - Tak brzmiały pierwsze słowa Abbu, gdy tylko zatrzymał konia. - Generale, wietrzę klęskę.

Coutzes roześmiał się.

- Stary kruk jest wkurzony, bo całą ostatnią noc musiał latać jak kot z pęcherzem.

- Nikt nie jest tak głupi! - sarknął Abbu. - Musieliśmy prawie prowadzić ich za rączkę! - Blisko osadzone oczy Araba płonęły wściekłością. Belizariusz z trudem powstrzymywał śmiech.

Twarz Abbu była podłużna i szczupła. Dominowały w niej ciężkie brwi i wielki, haczykowany

nos. Czarne włosy przetykały srebrne pasma, a broda była zupełnie biała. Jednakże nie miał w sobie nic z dobrodusznego dziadka. Wręcz przeciwnie - blizna biegnąca od skroni do siwej brody nadawała mu prawdziwie piracki wygląd.

Jednakże w danej chwili groźny pustynny wojownik przypominał generałowi starą, zgorzkniałą matronę, która została śmiertelnie obrażona przez wsiowego głupka.

- Żadna armia nie ma tak beznadziejnych zwiadowców! - wrzeszczał Abbu. - To wprost nie do pomyślenia. Powinni już wszyscy utonąć, gdyż ci partacze prowadzą ich prosto do studni.

Spochmurniał i rzucał na boki smętne spojrzenia.

- Jest tylko jedno wytłumaczenie. To oczywiste, oczywiste! Wróg z pewnością szykuje coś sprytnego. Chce nas podejść, nas, niewinne dzieci, pełne zaufania do wszystkich. Wreszcie spotkasz się z godnym siebie przeciwnikiem, generale Belizariuszu. Lis zostanie schwytany przez wilka.

Maurycy mruknął coś kwaśno, podobnie jak mogłaby legendarna Kasandra na wieść, że jej przepowiednie się sprawdzają.

Belizariusz, z drugiej strony, nie wydawał się zbyt poruszony. A w zasadzie wręcz odwrotnie. Generał praktycznie świecił wewnętrznym blaskiem zadowolenia.

- Zakładam, że skusiliście malawiańską straż przednią, żeby szła za wami do obozowiska?

Dowódca zwiadowców sarknął wściekle.

- Przez chwilę myślałem, że będziemy musieli zejść z koni i wyjaśnić im, co mają robić. „Rozumiecie mnie, wy, malawiańscy, tak zwani zwiadowcy? To jest obóz. A tamto... no tam, jest znane pod nazwą namiot. A ci chłopcy, co się tutaj kręcą, to żołnierze rzymskiej armii. Powtórzcie za mną: rzymskiej. Traficie z powrotem po ciemku? A może my pojedziemy z wami i złożymy raport waszym dowódcom? Czy nauczyliście się już mówić?”

Wydął wargi i skrzywił się, jakby zjadł cytrynę...

- Żaden wróg nie jest tak...

- Ależ, owszem, są - przerwał mu Trak. Na jego twarzy ciągle malował się dobry humor, ale kiedy się odezwał, mówił całkiem poważnie. Nie skierował swoich słów tylko do Abbu, lecz do wszystkich dowódców. - Zrozumcie naszego wroga. Jest on niesamowicie potężny, ponieważ ma tajemniczą broń oraz tak wielu żołnierzy, że my nie możemy się z nim równać. Ale metody, które pozwoliły mu na zbudowanie tak wielkiego imperium, są zarazem jego piętą achillesową. Nie ufają nikomu, tylko Malawianom. Nawet Ye-tai nie dowierzają do końca. Wszystkie inne ludy są dla nich tylko bezrozumnym narzędziem.

Popatrzył na twarze otaczających go ludzi i zatrzymał wzrok na obliczu Abbu.

- Mają zwiadowców tak samo dobrych, jak wszyscy inni na świecie. Na przykład Kuszan. Ci są doskonali. Ale trzymają ich na tyłach. A gdzie są Radżputowie? - Pokazał palcem na północny wschód. - Właśnie wykrwawiają się na śmierć w górach. Tutaj, w Mezopotamii, używają jako zwiadowców zwykłych kawalerzystów. - Wzruszył ramionami. - Bez Ye-tai, którzy by ich pilnowali, ci żołnierze wykonają każde zadanie, jak najmniej angażując swoje siły i chęci.

- Masz rację, to aroganckie bestie - wciął się Coutzes. - I chodzi nie tylko o to, że ich przednia straż jest do niczego. Nie mają prawie nikogo na flankach.

Belizariusz spojrział na wschodzące słońce.

- Kiedy tu będą? - zapytał.

- Za półtorej godziny - odparł natychmiast młody dowódca. - Najwyżej za dwie. - Młody Trak spojrział na Abbu z aprobatą. - Mimo narzekań i biadolenia Abbu i jego ludzie odwalili wczoraj w nocy kawał dobrej roboty. Malawianie idą prosto na nas, a ponadto się przegrupowali. Jak dla mnie wygląda to na formację bojową... chociaż nigdy takiej nie widziałem.

- Opisz mi ją - poprosił Belizariusz.

- Regularna kawaleria idzie na czele. Bardzo się rozciągnęli. Ciągłe idą w kolumnie, ale jest tak szeroka, że równie dobrze mogliby nadciągać ławą.

- Poruszają się wolniej niż płynący miód - dodał jeden z trybunów Coutzesa. Młodzian pokiwał głową.

- Potem idzie większość barbarzyńców; Ye-tai są na flankach. Ale nie poruszają się tak, jak powinny oddziały flankujące. Zamiast tego prą wprost na...

- To nie są oddziały flankujące - skorygował generał, potrząsając głową. - Ye-tai są używani głównie jako oddziały bezpieczeństwa. Malawiański dowódca ustawił ich na flance, żeby regularne oddziały nie załamały się podczas bitwy i nie uciekły z pola.

Coutzes prychnął.

- Jestem w stanie w to uwierzyć. Wyglądają na twardych skurczybyków, to pewne.

- Bo takimi są - zgodził się Belizariusz. - Mają zresztą też inną funkcję. Dowódca Malawian liczy z pewnością, że odeprą potencjalny atak z flanki.

Jeden z trybunów sapnął z niedowierzaniem.

- Nie są znowu aż tak twardzi. A przynajmniej nie w starciu z trackimi i illyryjskimi katafraktami, jeżeli już przyjdzie co do czego.

Belizariusz wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Takie samo jest moje zdanie. Czy Kuszanie ciągle idą z tyłu? - zapytał Coutzesa. - Bezpośrednio przy centrum, jakim są bojowe wozy z kapłanami i kszatryjasami?

Coutzes pokiwał głową. Belizariusz skopiował ten ruch.

- To ma sens - uznał. - Ta formacja, chociaż tobie wydaje się dziwaczna, Coutzesie, jest typowa dla Malawian. Oni podchodzą do ataku tak, jak kowal zbliża się do kowadła. Ich jedyną myślą jest to, aby użyć młota, którym, w tym przypadku, jest masa kawalerii ze wsparciem platform z rakietami. Jeżeli młot nie zadziała... - wzruszył ramionami - wezmą większy młot.

- A co z Lahmidami? - zapytał Maurycy.

Coutzes i pozostali trybuni wybuchli śmiechem. Nawet Abbu pozwolił, po raz pierwszy, żeby jego wargi skrzywiły się wesołym grymasie.

- Nie są głupcami - zachichotał dowódca zwiadowców. - Całkiem dobrzy Arabowie, chociaż to śmierdzący Lahmidzi - dodał z aprobatą. - Oni...

Przerwał mu młody Trak, który ciągle nie mógł opanować śmiechu.

- To właśnie oni zajęli prawdziwą pozycję na flance. Oczywiście na lewej flance. Stamtąd jest blisko do pustyni i nie ma wielu Ye-tai, przez których musieliby się przebijać, żeby uciec.

- Którzy zresztą nie są zbyt szczęśliwi, kiedy myślą o Lahmidach - dorzucił jeden z trybunów.

- Mogą wyłamać się minutę po rozpoczęciu bitwy, generale - odezwał się drugi. - Jak uzda pęka na buhaju. Wiesz, jak myślą ci Arabowie.

Abbu skrzywił się.

- Jak każdy człowiek przy zdrowych zmysłach! Jaki jest sens siedzieć na koniu, jeżeli nie zamierzasz użyć przekłętego zwierzaka do szarży? A już szczególnie z jakimś dowódcą idiotą, który manewruje swoimi oddziałami jak, jak... - zwiadowca wskazał głową w stronę Belizariusza - tak, jak po wiedział generał. Jak przyrośnięty mięśniami kowal, z brzuchem jak kocioł, który potrafi tylko walić w kowadło.

Belizariusz klasnął w dłoń.

- Wystarczy - powiedział. - Coutzesie, zaatakuj, kiedy tylko to stanie się możliwe. Ludzie z Konstantynopola są już z pewnością gotowi. Będę z nimi, gdy nadejdzie czas ataku.

Młodzian popatrzył na niego zdumiony. W jego spojrzeniu zdziwienie łączyło się z wahaniem.

- Jesteś tego pewien, generale? Straty będą...

- Będę z nimi - powtórzył głównodowodzący.

Coutzes poruszył lekko ramionami, tak jakby chciał nimi wzruszyć, tylko się rozmyślił. Zawrócił konia i odjechał. Jego trybuni i Abbu natychmiast podążyli za nim.

Kiedy zniknęli, Maurycy zerknął na Belizariusza.

- Dziwne - zauważył. - To znaczy, dziwię się, kiedy robisz tak drwiące uwagi o kowalach.

Zawsze mi się wydawało, że ty podziwiasz kowali.

- Bo tak. - Zabrzmiała pełna wigoru odpowiedź. - Jako dziecko spędzałem połowę czasu kręcąc się po kuźni. Kiedy dorastałem, sam chciałem być kowalem.

Generał odwrócił się, przeszedł przez bramę i ruszył w kierunku willi. Maurycy kroczył u jego boku.

- Nie śmiałem się z kowali, Maurycy. Śmiałem się z generałów, którzy myślą, że są kowalami.

Potrząsnął głową.

- Kowalstwo to umiejętność. I podobnie jak każda umiejętność rządzi się swoimi prawami. Pięknymi prawami... dopóki nie próbujesz zanieczyścić ich prawami przynależącymi do innego zawodu. Widzisz, kowadło to jest wielka, nieruchoma kupa żelaza. Kowadła nie będą z tobą walczyć.

\* \* \*

Pół godziny później Belizariusz rozstał się z Maurycym i ruszył w kierunku obozowiska konstantynopolitańczyków. Jak zwykle towarzyszyli mu Walentynian i Anastazjusz. Jechali parę kroków za nim.

Greckie oddziały były już gotowe. Nakarmione, napojone, w pełni uzbrojone i opancerzone... oraz podniesione na duchu. Kiedy do nich podjechał, żołnierze powitali go entuzjastycznie. Trak poważnie wysłuchał okrzyków powitalnych. Uznał, że nie było w nich nic udawanego. Najwyraźniej rozeszły się wieści, że Belizariusz razem z nimi stanie do walki w nadchodzącej bitwie. Generał stwierdził, że fakt, iż ich generał wraz z nimi zaryzykuje życie w kawaleryjskiej szarży, zakończył dzieło cementowania przymierza katafraktów z różnych armii.

Wreszcie mam armię, pomyślał z ulgą. Teraz muszę tylko przeżyć tę szarżę, powiedział do siebie chwilę później z odrobiną ironii.

Usłyszał w głowie słowa Aide.

**Myślę, że nie powinieneś tego robić. To bardzo niebezpieczne. Będą mieli rakiety.**

Belizariusz przez chwilę pocierał brodę, zanim odpowiedział:

*Nie sądzę, żeby to był jakiś problem, Aide. Stryjczycy zdeorganizują i rozproszą kawalerię przeciwnika, zanim my sami zaatakujemy. Jeżeli szybko wejdziemy do bitwy, nie zdążą użyć rakiet, bo cel będzie niewygodny.*

Aide było nieprzekonane.

**To bardzo niebezpieczne. Nie powinieneś tego robić. Jesteś nie do zastąpienia.**

Belizariusz westchnął. Zdawał sobie sprawę, że obawy kryształu nie mają nic wspólnego z oceną taktyczną sytuacji. Były zakorzenione dużo głębiej.

*Żaden człowiek nie jest nie do zastąpienia, Aide.*

**To nieprawda. Ty jesteś takim człowiekiem. Bez ciebie Malawianie zwyciężą. Ogniuwo zwycięży. Będziemy zgubieni.**

Generał poczuł przyływ pewności siebie.

*Kiedy mówisz, że jestem nie do zastąpienia, Aide, to masz na myśli moje zdolności jako*

*generała, prawda?*

Zapadła cisza.

*Prawda?*, zapytał znów Belizariusz.

**Tak**, nadeszła ponura odpowiedź klejnotu.

*Więc musisz zaakceptować ryzyko. Ryzyko jest nieodłączną częścią zawodu generała.*

Wyczuł niepewność czającą się w fasetach. Nie zamierzał jednak ustąpić.

*Mam małą armię. Armia wroga jest bardzo liczna. Jeżeli mam wygrać... wojnę, a nie tylko tę bitwę, muszę mieć armię, która jest dobrze zaopatrzona i szybka. Tylko zjednoczona, dobrze dowodzona armia może tego dokonać.*

Przerwał i zastanowił się, jak to najlepiej wyjaśnić. Wiedza i zrozumienie ludzkości były u Aide wielkie, a pod wieloma względami rozleglejsze nawet niż jego własne, ale krystaliczna istota nie pojmowała niektórych aspektów bycia człowiekiem; były jej całkowicie obce. Aide często zaskakiwało Belizariusza opacznym pojmowaniem pewnych spraw, a zwłaszcza wielkiej siły, która stanowiła napęd ludzkości. A także dziwił się, że istota tak niewiele wie o ludziach, którzy ją stworzyli.

Ludzkość była niczym gobelin, Aide to rozumiało. Ale teraz generał Belizariusz zamierzał wyjaśnić klejnotowi charakter pojedynczych nici.

*My, Rzymianie, jesteśmy bardzo podobni do Malawian. My także zbudowaliśmy wielkie imperium, składające się z wielu różnych nacji. Oni zorganizowali swoje imperium wedle ostrych, hierarchicznych zasad... Oddzielają czystość od brudu wedle ściśle określonych reguł i standardów. My robimy to inaczej. Ich metody dają im wielką siłę, ale małą elastyczność. A co najważniejsze 'nie mogą liczyć na pełną szczerłość i lojalność.*

*My pokonamy ich sprytem... i lojalnością.*

Skoncentrował się na tym punkcie. Zdawał sobie sprawę z bezwzględności swoich słów. Czuł, jak Aide opiera się logice.

*To prawda, Aide. Jestem pierwszym generałem Rzymu, gdyż odniosłem wiele zwycięstw nad Persami i barbarzyńcami. Osiągnąłem to za pomocą oddziałów przygranicznych... Oczywiście Traków, ale także Syryjczyków i Illyryjczyków. Grecy żołnierze, którzy są sercem rzymskiej armii, wiedzą o mnie niewiele, wyjąwszy moją reputację.*

To było zbyt abstrakcyjne. W wojnie z Malawianami ci ludzie byli czarnym koniem. Belizariusz musiał zdobyć ich bezwzględną lojalność i zaufanie. I to nie tylko ich, ale także innych, którzy dołączą później.

*Nie ma innego sposobu. Generał może zdobyć lojalność oddziałów tylko wtedy, kiedy sam jest wobec nich lojalny. Pokazałem już oddziałom garnizonowym, że nie dam się zastraszyć. Teraz muszę im udowodnić, że wraz z nimi nie będę się bał. Szarża kawalerii może przechylić szalę bitwy na naszą stronę. Jeżeli przeprowadzę ją odpowiednio gwałtownie, skupię uwagę wroga na Grekach. Nie przyjdzie im do głowy, że w pobliżu są jeszcze inni, ukryci w lasach.*

Zapadła cisza. Po chwili usłyszał ciche biadolenie.

**To będzie bardzo niebezpieczne. Możesz zginąć.**

Belizariusz nie odpowiedział. Dojeżdżali już do centrum greckiego obozowiska. Mógł zobaczyć Agacjusza, poprawiającego coś przy swoim bojowym rumaku, w otoczeniu trybunów i setników. Młody chiliarcha wydawał ostatnie rozkazy. Nie krzyczał ani nie podnosił głosu w przeciwieństwie do wielu rzymskich oficerów, którzy w ten sposób pozbywali się napięcia w dniu bitwy. Generał wielokrotnie był tego świadkiem. Nawet z tej odległości widać było, że naczelne dowództwo oddziałów garnizonowych jest zrelaksowane i spokojne.

Zadowolenie Belizariusza zostało nagle zakłócone przez głos Aide.

**Będzie mi ciebie brakowało. Bardzo.**

Mężczyzna skoncentrował się na fasetach. Jak wiele razy przedtem uderzyło go kalejdoskopowe piękno tej najdziwniejszej istoty, stworzonej ręką Boga. Tej przedziwnej duszy, która nazywała siebie Aide.

*Ja także będę za tobą tęsknił. Bardzo.*

Niewielka część jego umysłu zarejestrowała powitanie Agacjusza. Inna nieduża część sterowała ręką, która uniosła się w odpowiednim geście. Ale reszta...

Znowu kaprysy.

*Może spróbujemy po prostu ominąć ten problem, dobrze?*

Fasety błysnęły i zawirowały, przyjmując nową konfigurację. Kształt... formę... Belizariusz nigdy nie wyczuł w Aide czegoś takiego. Klejnot zaczął krystalizować.

**Pomogę ci,** nadeszła myśl. Stanowcza, pełna pewności siebie... twarda i niezłomna.

Prawie łasicowata.

**Ci pieprzeni Malawianie mają przesrane. Przesrane!**

Belizariusz zamarł ze zdumienia. Następne słowa Aide sprawiły, że odwrócił się w siodle, aby się upewnić, że to nie Walentynian.

**Mamrotanie, mamrotanie, mamrotanie...**

- Nic nie mówiłem - zaprotestował Walentynian, gdy zobaczył oskarżycielskie spojrzenie generała, skupione centralnie na sobie. Pełen urażonej dumy, pokazał kciukiem na wielkiego katafrakta, jadącego z nim ramię w ramię. - Zapytaj go.

- Ten człowiek milczał jak głaz, generale - zapewnił go Anastazjusz. - Chociaż wątpię, czy poświęcił choć jedną chwilę na filozofowanie, tak jak ja. Ja zawsze kontempluję przed bitwą, wiesz. Uważam, że słowa Marka Aureliusza są szczególnie...

Walentynian zaczął mamrotać. Kompan mrugnął do niego.

- Co mówiłeś? Nie zrozumiałem.

Belizariusz wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Zdawało mi się, że on powiedział: „Filozofia jest dla pedałów”. Ale może nie. Może powiedział: „Nie wzięłem sandałów”. No wiesz, rozzłościł się, bo nie ma butów na zmianę. I boi się, że te mu przemokną.

Generał usłyszał tylko mamrotanie.

**I mamrotanie, mamrotanie, mamrotanie...**

## Rozdział 18

Kiedy tylko Belizariusz zobaczył pierwsze oddziały lekkiej syryjskiej kawalerii wylewające się z pola bitwy, wydał rozkaz do ataku.

Samo pole bitwy, leżące dokładnie na wschód od niego, było zbyt daleko, aby mógł dokładnie je zobaczyć. Znajdowało się w odległości około kilometra i było tylko chmurą pyłu. Jałowe pole porastały zaledwie pojedyncze drzewa, forpocztę myśliwskiego rezerwatu króla królów. Ale generał, z doświadczenia, potrafił ocenić tempo bitwy jedynie na podstawie odgłosów.

Bazując na tym, co usłyszał, osądził, że sytuacja rozwija się niezwykle pomyślnie. O ile odpowiednio interpretował hałas, to rozwój wypadków na prawej flance mógł cieszyć. Tam Abbu i jego ludzie skoncentrowali się na przeciwniku, który w pewnym sensie należał do ich ludu.

Zwiadowcy Abbu byli beduinami, zorganizowanymi w plemiona. Przysięgali wierność dynastii Ghasanidów. Z kolei Ghasanidzi byli tradycyjnymi sprzymierzeńcami Rzymu w północno-wschodniej Arabii. W zasadzie nie należeli do typowych wasali, ale Rzym zawsze starał się delikatnie traktować swoich drażliwych arabskich sprzymierzeńców. Lahmidzi służyli Persom na tej samej zasadzie, także w północno-wschodniej Arabii, jednak nie tak dawno temu wypowiedzieli lojalność i sprzymierzyli się z Malawą.

Malawa była nowym wrogiem, zarówno dla Rzymu, jaki dla ghasanidzkich sprzymierzeńców. Ale ich arabscy krewniacy to ci sami ludzie Lahmidów, z którymi ludzie Abbu, a przedtem ich przodkowie, walczyli od wielu stuleci. Konflikt posiadał antyczne, gorzkie korzenie.

Obie strony sporu opisywały jego genezę w ten sam, typowo arabski sposób, lecz wprawione ucho generała wyłapywało między nimi wiele różnic. Przez lata żale i urazy rosły w siłę, a także pływały od jednej prawdy do drugiej. A teraz nadawały toczącej się bitwie specyficzny ton.

O ile Belizariusz nie mylił się okropnie, Abbu i jego ludzie dawali właśnie popalić Lahmidom, jak również, przy okazji, jedynym kompetentnym zwiadowcom w całej armii wroga, czyli Kuszanom.

Był bardzo zadowolony... nie, zachwycony. Maurycy nauczył go wielu rzeczy w czasach, kiedy nie był jeszcze generałem, aż w końcu przerósł swego mistrza, lecz nie zapomniał jednej z najwcześniejszych lekcji, która była prosta i brutalna.

Pierwszą rzeczą, jaką musisz zrobić, to oślepić skurczybyków.

\* \* \*

Zarządzona przez generała szarża przypominała raczej pełen wigom kłus. Wróg ciągle znajdował się daleko przed nimi, nawet jeżeli on sam też poruszał się w ich kierunku. Od pola bitwy dzielił ich jeszcze ponad kilometr. A kilometr, szczególnie w upale syryjskiego słońca, byłby zabójczy dla konia bojowego, niosącego swoją własną zbroję wraz z ciężko opancerzonym jeźdźcem.

Zatem po prostu kłusowali do przodu. Na początku Belizariusz nie spuszczał czujnego oka z oddziałów garnizonowych, aby upewnić się, czy w gorącej wodzie kąpani żołnierze nie próbują popędzić koni do szybszego biegu. Ale po chwili jego uwaga zelżała, gdyż przekonał się, że podoficerowie Agacjusza nadawali szarzy spokojne i miarowe tempo. Wszyscy byli weteranami i doskonale radzili sobie ze studzeniem zapału młodszych wojaków.

Nawet w kłusie dwa tysiące katafraktów, razem z perskimi deganami, czyli najcięższą kawalerią świata, brzmiali jak odległy grzmot. Syryjscy lżejsi konni, uciekający przed wrogiem, ruszyli nagle z kopyta. Znali ten dźwięk i wiedzieli, co on oznacza. Zorientowali się, że ich potężniejsi bracia właśnie idą im na pomoc. A co najważniejsze, wiedzieli, że ich generał po raz kolejny ich nie zawiódł.

Pierwsi Syryjczycy, którzy przegalopowali przez wolne miejsca, pozostawione im przez nadciągających katafraktów, krzyczeli wesoło i szczyrzyli zęby od ucha do ucha. Ich słowa brzmiały



jak radosne powitanie.

Belizariusz! Belizariusz!

Niektórzy z nich, podnieceni bitewnym zgiełkiem, zaczęli witać katafraktów.

Konstantynopol! Konstantynopol!

Chociaż uchodzący Syryjczycy, którzy wlewali się przez pozostawione szczeliny, krzyczeli i wiwatowali, oddziały ze stolicy zachowywały wyniosłe milczenie. Ale dowódca mógł wyczuć ukrytą satysfakcję za tymi kamiennymi twarzami, osłoniętymi przez hełmy. Wszystkie wspomnienia o ulicznych bójkach i ściętych towarzyszach poszły w niepamięć. Wszystkie uprzedzenia do mieszkańców przygranicznych obszarów, którzy mieli ostre języki, zostały odłożone na bok. Cała gorycz związana z arystokratami, którzy zadekowali się w Konstantynopolu, podczas gdy oni pocili się na pustyni, została odrzucona.

Teraz nie pozostało nic prócz zajadłej dumy najtwardszych wojowników, jakich znał świat.

Greków.

Łacińskie armie, wieki temu, pokonywały ich, gdyż posiadały doskonałą organizację i taktykę. Przegrywali tak wiele razy i tak dokumentnie, że w końcu przyjęli imię swoich zdobywców. Rdzeń Cesarstwa Rzymskiego był przecież grecki. Lecz ciągle nazywali go Cesarstwem Rzymskim i czerpali dumę z tej nazwy.

Perskie armie, które szczyły się najlepszą kawalerią na świecie, pokonywały ich raz za razem. Aż w końcu dumni Grecy, którzy teraz nazywali siebie Rzymianami, zaczęli imitować sposób walki antycznego medejskiego wroga. Katafrakti byli przecież kopia perskich deganów.

Grecy wielokrotnie przegrywali wojny i pojedyncze bitwy. Ale nie było lepszych od nich wojowników. Grecki hoplita należał do najmniejbezpiecznych przeciwników na starożytnym polu walki. To oni właśnie wprowadzili nowy styl walki, krwawe starcia twarzą w twarz, który szokował ich przeciwników.

Odrodził się Achilles, Ajaks zmartwychwstał. Ta sama krew płynęła w żyłach surowych mężczyzn, jadących tego dnia ramię w ramię z Belizariuszem. Zbroja była inna. Broń także się zmieniła. Jechali konno, zamiast iść ławą na własnych nogach. Ale byli ciągle tymi samymi, twardymi, bardzo twardymi Grekami.

\* \* \*

Zostało im nie więcej niż paręset metrów. Syryjscy kawalerzyści nadal kręcili się po polu, pomiędzy wojskiem Belizariusza a nadchodzącymi Malawianami. Generał prosił o huński sposób atakowania i dostał to, co chciał. Hunowie nie mogli spisać się lepiej. Zbliżyli się szybko, zawrócili i uciekli, ale przedtem wystrzelili we wroga pełną salwę strzał. Zaatakowali ponownie, znów zawrócili i uciekli. Podchodzili tak i odjeżdżali wiele razy. Zabijali, okaleczali, ranili... i ciągle unikali odwetu.

Belizariusz zobaczył wreszcie nadchodzących Malawian. Mógł z łatwością wyczuć złość, jaką darzyli syryjskich kawalerzystów. Malawianie, pełni arogancji i przekonani, że są nie do pokonania, marzyli tylko o tym, żeby zetrzeć się z umykającą armią wroga. Oddziały na czele parły do przodu, nie dbając o szyk bitewny. Oddziały Ye-tai, rozsiane pomiędzy nimi, nie musiały nawet poganiać żołnierzy. Nie było takiej potrzeby. Sami Ye-tai zresztą ulegli tej samej bitewnej furii, co reszta żołnierzy.

Żołnierze z Malawy nie wiedzieli wiele o Mezopotamii, a Ye-tai posiadali nawet mniejszą wiedzę. Nie mieli pojęcia o zmurszałych kościach, tkwiących tuż pod powierzchnią tej ziemi... O kościach rzymskich żołnierzy, którzy wieki temu popełniali podobne błędy. Krasus i jego legiony zostały rozbite w puch przez Partów pięć wieków temu, nie tak daleko od miejsca dzisiejszej bitwy.

Belizariusz najbardziej obawiał się, że Malawianie poprzedzą szarżę swoich oddziałów salwą rakiet. Nie martwił się jednakże tym, że broń spowoduje duże straty. Malawiańskie rakiety były zbyt nieprzewidywalne i niecelne, aby wywołać większe zniszczenia. Ale bał się, że hałas przstraszy garnizonowe konie. Wierzchowce, których używali żołnierze z Konstantynopola, zostały dobrane pod kątem opanowania i spokojnego usposobienia, lecz niestety nie miały żadnego doświadczenia z hukiem broni prochowej w przeciwieństwie do koni Traków i Syryjczyków, które przechodziły specjalne szkolenie.

Jednakże najwyraźniej Malawianie nie zamierzali strzelać. Tak jak miał nadzieję, lekką syryjską kawalerię cechowała tak wielka szybkość i zwrotność, że nie stanowiła dobrego celu dla malawiańskich kszatryjasów i ich dział. A teraz było już za późno. Wokoło unosił się kurz, wznoszony przez tysiące jezdnych, zarówno z armii Belizariusza, jak i jego wroga, więc dowódcy Malawian już nie widzieli, co się dzieje w centrum pola bitwy. Nie mogli dostrzec szarży ciężkiej konstantynopolitańskiej kawalerii. Z pewnością mieli ją usłyszeć. Nawet w bitewnym zgiełku szarża dwóch tysięcy katafraktów musiała wstrząsnąć ziemią. Ale grzmot nie wystarczy, by wycelować działa, a i on nie miał trwać wiecznie. Kiedy katafrakti zetną się wreszcie z oddziałami Malawian, kszatryjasi razić będą zarówno wroga, jak i swoich własnych żołnierzy.

Belizariusz zmusił konia do szybszego biegu. Nie był to jeszcze pełen cwał, jedynie spokojny galop. Żołnierze z garnizonu wiernie dotrzymywali mu kroku. Setnicy i dziesiątnicy nie musieli już martwić się o utrzymanie szyku. Linie katafraktów były tak proste, jakby wyznaczono je za pomocą niewidzialnego sznurka. Zbliżał się czas bitwy, a konstantynopolitańczycy byli takimi samymi Grekami, jak ich pradziadowie maszerujący zgodnie, ramię w ramię, pod Maratonem.

Zostało pięć setek metrów. Mimo tego, że byli coraz bliżej, całkowicie przestali widzieć wroga... Skrył się w pyłe, spowijającym całe pole bitwy. Nie rozwiewała go nawet najłżejsza bryza.

Czteryście metrów.

Z pyłu wyjechał mały oddział arabskiej kawalerii. Skierował się prosto na nadchodzących Greków. Kiedy się zbliżyli, Belizariusz rozpoznał, jadącego na czele, Abbu.

Dowódca zwiadowców przemknął obok generała, hałkując wściekle. Z małego nacięcia na policzku spływała krew, ale nie wyglądało na to, aby stary wiarus odniósł jakieś cięższe obrażenia.

Chwilę później Abbu podjechał do Belizariusza. Jego wierzchowiec dyszał ciężko, boki pokrywała warstwa piany, lecz ani trochę nie wyglądał na wyczerpanego.

A już Abbu z pewnością nie był zmęczony.

- Z Lahmidami koniec! - wrzasnął radośnie. - Pobicci jak psy! Wpędziliśmy tych przeklętników do rzeki!

Belizariusz odpowiedział na okrutny uśmiech bardzo podobnym grymasem.

- Wszystkich?

Abbu sarknął.

- Lahmidów. Śmierdzący Lahmidzi nie są beduinami, generale Belizariuszu. To rzeczne szczury. Chowają się w oazach. Na pustyni umierają z gorąca. Jestem pewien, że większość zagrzebała się w mule na brzegu Eufratu. Ale to nie ma znaczenia. Nie zobaczysz ich już nigdy więcej. A przynajmniej nie wcześniej niż za wiele dni. Z pewnością się pogubili.

Prychnął z pogardą.

- Wstrętni wielbłądojebcy. Nie mają nawet wymówki, dlaczego są takimi zboczeńcami. Lahmidzi są po prostu zbyt głupi, żeby dostrzec różnicę pomiędzy wielbłądem a kobietą.

Teraz prychnął z królewską dumą.

- Oczywiście, nie można ich za to winić. Kobiety Lahmidów są brzydsze od wielbłąda. I bardziej

złośliwe.

Zostało trzysta metrów. Przemknęły obok nich ostatnie oddziały Syryjczyków - największych ryzykantów, którzy wreszcie również postanowili opuścić pole bitwy. A potem, sekundę czy dwie później, z kurzu wyłoniły się pierwsze szeregi malawiańskiej kawalerii. Galopujące przed siebie w pełnej furii szarży.

Generał Belizariusz kątem oka dostrzegł pałające oczy Abbu. W tej chwili stary człowiek naprawdę wyglądał jak pirat, który wypatrzył skrzynię ze złotem.

Generał roześmiał się.

- Oto oni, Abbu. Nasza praca. - Odwrócił głowę. - Ty uciekaj. Przegrupuj swoich ludzi. Dołączcie do Coutzesa i Syryjczyków. Chcę być pewny, że będziecie tam, aby nas osłaniać, zwłaszcza z lewej flanki, kiedy będziemy w odwrocie. Nie chcę, żeby jakiś malawiański pies wylaź z tych lasów i nas zaskoczył.

Abbu sarknął po raz kolejny:

- Martw się o coś innego, generale. Martw się o cokolwiek innego. Żaden Malawianin nie wejdzie do tego lasu.

Zawrócił konia i po raz ostatni spojrzął na Malawian. Byli dwieście pięćdziesiąt metrów od nich.

- Niech Bóg będzie z tobą, generale Belizariuszu.

\* \* \*

Zobaczyli wreszcie setki malawiańskiej kawalerii. Może nawet tysiące. Trudno było ocenić ich liczbę, gdyż nie szli w zorganizowanym szyku.

Żołnierze wroga dostrzegli wreszcie zbliżających się ciężko opancerzonych katafraktów. Najwyraźniej niektórzy poświęcili choć kilka sekund na przemyślenie tak bezsensownego ataku... a przynajmniej Belizariusz miał takie wrażenie, widząc, że usiłują zatrzymać rozpedzone konie. Ale wątpiący zostali natychmiast przywołani do porządku przez Ye-tai. Armia Malawy, a raczej tłum Malawian mający pozory zbrojnego oddziału, kontynuowała szaleńczy atak.

Dwie setki metrów. Katafrakci naciągnęli łuki; wycelowali.

Nadszedł czas.

\* \* \*

Belizariusz dał rozkaz. Zabrzmiały rogi, dziko i głośno.

Rzymscy katafrakci zatrzymali konie. Kiedy tylko wierzchowce się uspokoiły, całe dwa tysiące kawalerzystów uniosło się w strzemionach. Pełną siłą ramion i pleców naciągnęli potężne łuki i niemal w jednej chwili zwolnili cięciwy.

Katafrakci atakowali w czterech liniach. Żołnierze w liniach ustawieni byli na kształt szachownicy, tak aby stojący na froncie nie zasłaniali innym cela. Ponadto pomiędzy oddziałami widniały spore przerwy, przygotowane dla uciekających Syryjczyków. Konni łucznicy z Konstantynopola zajmowali więc dobrze ponad półtora kilometra szerokości pola bitwy. Gdy oddali tak uporządkowaną salwę, a w dodatku z małego dystansu, ich strzały ścięły pierwsze szeregi Malawian niczym gigantyczna kosa.

Co najmniej połowa strzał chybiła celu i utkwiała w ziemi. Ale setki dotarły do miejsca przeznaczenia i poczyniły okropne spustoszenie w szeregach wroga. Żadne łuki na całym świecie nie były tak potężne jak oręż katafraktów, a ich strzały miały najostrzejsze groty.

Malawianie zawahali się. Wielu zaczęło krzyczeć i jęczeć, część z powodu ran i szoku, inni ze strachu i niedowierzania. Dla potężnych łuków ich lekka zbroja była niczym kartka papieru.

Generał skinął ręką. Rogi zabrzmiały ponownie.

Katafrakci schowali łuki i sięgnęli po lance. W przeciągu kilku sekund znów rozpedzili konie. Kiedy pomiędzy armiami zostało już tylko sto metrów, Grecy pchnęli wierzchowce do szarży. Metry znikwały, jakby zdmuchnięte za pomocą magii.

Jak na ironię to właśnie Malawianie... krwawiący, rozbici, pomieszani Malawianie przebyli większość tego dystansu. Ci, którzy szli w pierwszej linii i przeżyli ostrzał, teraz poganiali konie do jak najszybszego galopu, aby uniknąć kolejnej salwy.

To była naturalna reakcja, chociaż w efekcie mogła przynieść wszystko, co najgorsze. Belizariusz wiedział o tym i dlatego się nie spieszył. Człowiek na galopującym koniu musi poświęcić wiele ze swej uwagi, żeby utrzymać się w siodle. A zwłaszcza dotyczyło to malawiańskich kawalerzystów, którzy w odróżnieniu od Rzymian nie posiadali strzemion. Mimo dramatycznej furii szarży nieprzyjaciel nie był w stanie efektywnie użyć broni.

Rzymscy katafrakci nie zbliżali się szalonym cwałem. Wprawili konie w łagodny galop, w którym łatwo było mocno usadowić się w siodle, mogli więc skoncentrować się na śmiercionośnej pracy. Zaparli stopy w strzemiona, pochylili się lekko, wygodnie oparli lance i wycelowali ich ostre końce w żołnierzy wroga.

Kiedy dwie przeciwstawne siły wreszcie się spotkały, doszło do prawdziwej rzezi.

Malawiańscy kawalerzyści posiadali lepsze uzbrojenie i opancerzenie niż malawiańska piechota. Ale wedle perskich i rzymskich standardów należeli do kategorii lekkiej jazdy. Ich ciała okrywały lekkie koszulki kolcze, ale chroniły one tylko piersi i były dość kiepsko wykonane. Katafrakci mieli na sobie ciężkie pancerze, które chroniły także ich lewe ramię i całe ciało do połowy uda. Malawianie nosili skórzane czapki, wzmocnione paskami metalu. Katafrakci używali germańskich szyszaków, a ich szyje ochraniały segmentowane stalowe płytki. Malawiańskie lance, wywodzące się z tradycji jazdy nie używającej strzemion, były lekkie i smukłe. Grecy posługiwali się lancami dwa razy cięższymi i o połowę dłuższymi.

Ye-tai byli lepiej wyposażeni niż standardowi kawalerzyści. Ale oni także nie dorastali rzymskiej jeździe do pięt. I nie stanowiliby dla Belizariusza żadnego zagrożenia, nawet gdyby cesarscy katafrakci nie zaczęli używać strzemion, które Aide pokazało generałowi w jednej z wizji.

Rzymianie rozbili całą linię Malawian w puch. Niektórzy żołnierze, szczególnie ci z obu flank, zdołali uniknąć starcia. Większość jednak po prostu została starta z powierzchni ziemi. Podczas tej brutalnej kolizji zabito bądź ciężko okaleczono co najmniej pięć setek malawiańskich kawalerzystów. Połowa została rozniesiona na lancach; reszta zginęła od katafrackich mieczy i toporków. I tu także okazało się, że broń Malawian jest o wiele za lekka w stosunku do oręża Rzymian. Malawianie walczyli z perskimi deganami dopiero od kilku miesięcy. Rzymianie uczyli się od nich walki przez setki lat.

W tym pierwszym większym starciu obu armii brało udział może sześć tysięcy malawiańskich żołnierzy. W przeciągu mniej niż dwóch minut, które upłynęły pomiędzy salwą a szarżą, doznali oni strat sięgających pięćdziesięciu procent. Była to wprost horrendalna liczba, w porównaniu do innych bitew.

A potem stało się coś gorszego. Pierwsze szeregi Malawian musiały się całkowicie zatrzymać. Wielu z nich, wraz z końmi, leżało na ziemi. Ci, którzy wciąż utrzymywali się w siodłach, byli zdezorientowani i rozbici.

Malawianie, którzy ciągle parli z tylnych szeregów, nie widzieli, co dzieje się na polu walki, gdyż wokoło unosił się kurz oraz panował okropny zgiełk. Ciągłe popędzali konie, po czym utykali w nieruchomej masie na froncie. Teraz tysiące malawiańskich jezdnych tkwiły bezradnie, unieruchomione naprzeciw rzymskich linii.

Belizariusz planował dać hasło do odwrotu tuż po pierwszym starciu. Ale teraz, gdy zobaczył, w jakim stanie są linie Malawian, rozkazał stanąć do walki. Rogi znów się odezwały. Tyłne szeregi katafraktów wystąpiły do przodu, aby wypełnić braki w pierwszej linii. Zamknęli wszystkie szpary. Konni stali ramię przy ramieniu.

Ochroniany przez Walentyniana i Anastazjusza Belizariusz zajął miejsce w samym środku linii. Odrzucił już lancę. Zabrał ją ze sobą Ye-tai, który został trafiony i runął na ziemię podczas pierwszego starcia. Generał machał teraz mieczem, ale nie używaną zazwyczaj spathą, lecz perskim, długim kawaleryjskim ostrzem, które nosił w pochwie. Uniósł się w strzemionach i ściął Malawianina, który nagle wyrósł przed nim. Ciężki miecz przebił hełm wroga i rozplątał mu czaszkę.

Belizariusz miękko odwrócił rękę i trafił kolejnego Malawianina. I następnego. I kolejnego.

Podobnie jak w poprzedniej bitwie Aide służyło pomocą, dając generałowi niemalże nadnaturalną szybkość oraz nieludzką moc przewidywania ciosów przeciwnika. Lecz pomoc kryształu była niemalże niepotrzebna. Ta bitwa, a raczej bójka, wymagała od walczących siły i wytrzymałości, a nie szybkości i orientacji.

Nie miało to znaczenia. Rzymski generał był dobrze zbudowanym i silnym mężczyzną. Ciągłe ćwiczenia i treningi Maurycego wyrobiły w nim wytrzymałość. Stary chiliarcha uważał, że dobra kondycja to najlepszy przyjaciel żołnierza. Z kolei Walentynian wiecznie uczył go władania przeróżnymi rodzajami broni. Za każdym razem, kiedy stawał naprzeciwko wroga, ten upadał, przeszyty jego mieczem, a sam generał ani razu nie znalazł się w niebezpieczeństwie. Zresztą poradziliby sobie, nawet gdyby nie miał u boku Walentyniana i potężnego Anastazjusza, ochraniających go z obu stron.

Bitwa była gwałtowna, najkrwawsza ze wszystkich, w jakich Belizariusz brał udział. A przynajmniej z tych na taką skalę, a przecież generał nieraz był świadkiem masakry. Walka bardziej przypominała działania siekających mięso rzeźników. Malawianie znajdujący się na czele nawet nie mieli możliwości, żeby unieść broń, tak wielki panował tam ścisk. Rzymianie cięli ich setkami. Zabijali tych, których wpychano na stos trupów. Zabijali tych, którzy pojawiali się po nich.

W wielu miejscach bitwa skończyła się po paru chwilach. Grecy nie mogli dosięgnąć już żadnych żywych przeciwników, gdyż oddzielały ich od nich góry trupów.

Malawianie w pierwszych liniach zaczęli się wycofywać. Żołnierze nacierający z tyłu wreszcie wyczuli, co się dzieje, i odstąpili, umożliwiając towarzyszom ucieczką. Belizariusz wyczuł zmianę i zaniechał okrutnej rzezi. Szybko rozejrzał się wokół. Tkwił w samym środku rzymskich linii i nie widział już końca rozciągniętych szeregów. Ale zdawał sobie sprawę z niebezpieczeństwa. Mimo wielkich strat Malawianie znacznie przewyższali Rzymian liczebnością. Siłą rzeczy niebawem musieli otoczyć jego oddziały, nawet bez odpowiedniego rozkazu od podoficerów.

Wydał dwa szybkie rozkazy. Zagrzmiały rogi, dwukrotnie.

Pierwszy rozkaz nakazywał odwrót rannych. Katafrakci, słysząc rogi, zaczęli gniewnie wrzeszczeć w kierunku malawiańskich linii. Brzmiało to tak, jakby cały konstantynopolitański garnizon jednym głosem wyśmiewał się ze swojego wroga.

*Stukliśmy was po nic nie wartych tyłkach. A teraz zabieramy stąd nasze, zanim nas powoli zajdziecie od tyłu. Pieprzcie się. Nie lubicie tego? No to coś z tym zróbcie!*

Mimo całej swej brawury Grecy nie zwlekali dłużej. Byli przecież weteranami i wiedzieli, jakie niebezpieczeństwo im grozi, jeżeli dadzą zejść się od tyłu. Nie będą mogli wtedy uciec. Zatem pomagając sobie nawzajem, szybko zebrali ciężiej rannych i jakoś usadowili ich na koniach.

Nie zajęło to wiele czasu, chociaż Grecy zabrali też swoich zmarłych, tak samo jak rannych. Zresztą straty były niewiarygodnie małe... znacznie mniejsze, niż się spodziewali. Znacznie mniejsze.

Byli mocno zaszokowani, kiedy odkryli, jak niewielu z nich zginęło.

Rozpoczął się odwrót. Belizariusz zadbał o porządek ucieczki jeszcze przed bitwą. Zawsze trudno jest utrzymać ład podczas odwrotu, nawet wśród najlepszych żołnierzy. Ludzie mają tendencję do przyspieszania, gdyż chcą jak najszybciej znaleźć się w bezpiecznym miejscu, gdzie nie zagraża im ścigający wróg. I uporządkowany odwrót niepostrzeżenie zamienia się w paniczną ucieczkę.

Ale nie tym razem. W przeciągu paru sekund Trak zorientował się, że nie ma się czego bać. Co było oczywiste, ludzie z Konstantynopola nie uważali odwrotu za ucieczkę. Oni po prostu się wycofywali, ponieważ w danej chwili nic już nie mogli zrobić.

Poruszali się spokojnym kłusem, ani trochę szybciej, zachowali także staranny szyk, a nawet przegrupowali się w ruchu.

Belizariusz zajął miejsce. Jechał w pierwszym szeregu, tak samo jak podczas szarży. Grecy znów to zauważyli i przez ich szeregi przetoczył się gromki okrzyk: *Belizariusz! Belizariusz!*

Uśmiechnął się, a nawet pomachał ręką, ale nie odpowiedział na okrzyk. Podczas tej spokojnej ucieczki większość czasu spędził na spoglądaniu przez ramię. Patrzył na wroga. Oceniał. Zakładał.

Dostrzegł syryjskie i arabskie jednostki, znów szarżujące na wroga, gotowe dać osłonę wycofującym się katafraktom. Gestem odwołał ich na tyły. Nie istniał powód, aby się narażali. Malawianie ścigali ich, to prawda, lecz nie była to już ta szybka, pełna furii szarża, tak jak na początku. Poruszali się wolno, niechętnie i ostrożnie, popychani do przodu przez wrzeszczących Yetai.

Na chwilę obecną malawiańscy kawalerzyści mieli dosyć Rzymian.

Generał odwrócił się, zadowolony, i popatrzył na słońce. Nawet nie było jeszcze południa. Oceniał, że malawiańscy dowódcy nie zdołają pchnąć swoich oddziałów z powrotem do bitwy przez co najmniej dwie następne godziny. Może nawet trzy.

Miał mnóstwo czasu. Nie czerpał radości z zabijania. Nigdy, w żadnej bitwie, w żadnej walce. Jednakże cieszyła go dobrze wykonana praca i chciał przez cały czas odnosić podobne sukcesy. Za dwie godziny. Może nawet za trzy.

Miał mnóstwo czasu, jak dla tak uzdolnionego w swym fachu rzemieślnika.

## Rozdział 19

Dwie i pół godziny później armia wroga zaczęła zajmować pozycje dogodnie do oblężenia willi. Siły Malawian ustawiły się w liniach na otwartym polu na wschód od królewskiej posiadłości, w odległości około trzystu metrów od zabudowań. Na czele stały oddziały regularnej kawalerii, wspierane przez Ye-tai. Wozy z raketami, osłaniane przez Kuszan, ustawiono sto pięćdziesiąt metrów za pierwszą linią. Kszatryjasi, nadzorowani przez kapłanów Mahwedy, usunęli naoliwione płótno, zasłaniające zawartość wozów, i zaczęli wyładowywać rakiety oraz części dział. W przeciągu kilku minut ustawili artylerię na pozycji. W skład jednostki wchodziło osiemnaście raketnic, ustawionych w pojedynczej linii, w odległości dziesięciu metrów od siebie.

Znajdując się w pokoju na drugim piętrze willi, Belizariusz przyglądał się malawiańskiej formacji za pomocą swojego nowego teleskopu. Tuż za nim stali oficerowie syryjskich i greckich oddziałów, które ufortyfikowały się w willi imperatora, czyli Bouzes i Coutzes oraz Agacjusz z Cyrylem. Słuchali uważnie, jak Belizariusz opisuje im sytuację na polu walki.

Generał zaczął przyglądać się raketom, ale nie zatrzymał się przy nich na długo. Kiedy tylko zmontowano pierwsze dwie, czy trzy, z satysfakcją pomyślał, że dobrze je oceniał. Rakiety należały do tego samego typu, co te, które widział poprzednio. I to ze znacznie bliższej odległości, na dyplomatycznym statku Malawy podczas bitwy z piratami, kiedy płynął do Indii. W trakcie tamtej potyczki rakiety wprawiły Arabów na pirackich statkach w skrajną panikę. Ale uprzedził swoich oficerów, żeby nie spodziewali się, iż rakiety wywołają jeszcze jakikolwiek inny efekt.

- Większość zniszczeń dokonanych przez pociski na pirackich statkach - wyjaśnił, opuszczając na chwilę teleskop - powstała na skutek przypadku. Pirackie galery, podobnie jak wszystkie drewniane jednostki pływające, są jak stosy drewna czekające, aż ktoś je podpali.

Dwaj greccy oficerowie zachichotali, gdy ujrzeli zaskoczenie na twarzach Bouzesa i Coutzesa.

- Chłopcy ze wsi! - sarknął Cyryl. - Myślicie, że jak łódka pływa po wodzie, to się nie pali, A gówno. Przecież robią je z najsuchszego drewna jakie tylko mogą znaleźć, a co gorsza...

- ...są całe przesiąknięte olejem - dokończył Agacjusz. Podobnie jak jego podwładny chiliarcha uśmiechał się drwiąco. Był to ten szczególny, pełen pogardy i nie do pomylenia z żadnym innym uśmiech, jakim wilki morskie obdarzają szczury lądowe.

- Nie wspominając o wantach i żaglach - dodał Cyryl.

Bouzes i Coutzes, traccy dowódcy Armii Syryjskiej, nie obrazili się, słysząc sarkazm w głosach Greków. Jakiegoś innego dnia może i przykładaliby do tego wagę. Ale nie dzisiaj, kiedy wypowiadali się ci sami Grecy, którzy tak strasznie pobili ich wspólnego wroga. Po prostu uśmiechnęli się szeroko, machnęli ręką na swoją ignorancję, po czym zaczęli przyglądać się willi całkiem nowymi oczami.

- To zupełnie inna sprawa, prawda? - skomentował Belizariusz.

Pod wyszukanymi draperiami i wspaniałymi dekoracjami królewska willa była tak odporna na ogień, że przypominała raczej granitowy bunkier. Ściany wybudowano z wypalanej cegły, a pochyły dach pokryto ceramiczną dachówką. Żadne z nich nie zaliczało się do kategorii materiałów łatwopalnych... przecież i cegły, i dachówki wypalano w piecu, a Belizariusz miał pewność, że grube ściany bez trudu oprą się raketom, niosącym relatywnie małe ładunki.

Co prawda dachówki raczej spadną, jeżeli rakietą uderzy w nie bezpośrednio, lecz generał nie sądził, żeby doszło do wielu takich trafień. Wiedział z doświadczenia, że malawiańskie rakiety sanie tylko nieprzewidywalne i niecelne, ale także nie można na nich polegać nawet wtedy, gdy już dotrą do celu. Nie miały zapalników kontaktowych. Po prostu eksplodowały, kiedy płomień docierał do paliwa zgromadzonego w głowicy. Aby zniszczyć dach, rakietą musiałaby nie tylko uderzyć pod

odpowiednim kątem, ale też eksplodować w odpowiednim czasie.

Rzymski generał oceniał, że prawdopodobieństwo jednoczesnego wystąpienia obu tych zdarzeń jest nie większe niż to, że piorun uderzy w człowieka, a nie w wyższe drzewo. A nawet gdyby, wbrew przewidywaniom, rakietę uderzyła pod dobrym kątem i jednocześnie wybuchła...

- Może pogruchotać dachówki - zauważył Bouzes.

Belizariusz wzruszył ramionami.

- Dachówki leżą na potężnych krokwiach. Tak, wiem, krokwie są z drewna. Ale nie przypominają w niczym desek z pirackiej galery. Są znacznie grubsze, a co więcej nie ma na nich łatwopalnego oleju.

Teraz skoncentrował się na pozycjach malawiańskiej kawalerii. Przez cały czas przekazywał wnioski zebranym oficerom.

- Sądzę, że rozpoczną od salwy raketowej, a potem zaatakują nas otwarcie i wprost. - Zamilkł na chwilę. - Tak mi się zdaje. Właśnie zsiadają. To będzie atak piechoty.

- Ale przecież to kawaleria! - zdumiał się Coutzes.

Belizariusz z trudem powstrzymał się od śmiechu. Przypomniał sobie, jak trzy lata temu Coutzes i Bouzes ślepo trzymali się tradycji kawalerzystów. Najwyraźniej młody tracki dowódca nie do końca wyzbył się niechęci do pieszej walki.

Jednakże jego brat nie miał takich oporów.

- Nie bądź głupi. My także tak trenujemy naszych ludzi, aby radzili sobie również pieszo. Dlaczego Malawianie mieliby postępować inaczej?

- Dobrze powiedziane - mruknął głównodowodzący. Opuścił na chwilę teleskop i popatrzył na Coutzesa. - Zobaczycie za chwilę, dlaczego chciałem, abyście trenowali swoich kawalerzystów także do walki pieszej. Wiem, że uważaliście to za stratę czasu... - Machnięciem ręki zbył protest Coutzesa. - Ale chciałem, abyście to robili, gdyż wiedziałem, że nadejdzie czas, gdy uda mi się uzbroić tych dragonów w granaty. I mam nadzieję, że w ręczne działa.

Skinął głową w kierunku wroga, widocznego za oknem.

- Oni już mają granaty. Kszatryjasi zaczynają udostępniać prochową broń zwykłemu oddziałom.

Znow uniósł teleskop i kontynuował obserwację.

- Nadejdą, falami. Prawdopodobnie jeden grenadier na dziesięciu zwykłych żołnierzy. Ye-tai rozproszą się małymi oddziałami wśród linii i będą poganiali regularne wojsko, a tym samym przyspieszą tempo ataku. W pierwszej linii znajdzie się też trochę kszatryjasów, ale większość zostanie w centrum sił i razem z kapłanami zajmą się raketami. Pomogą także Kuszanom w pilnowaniu wozów. Mogą też... a niech to!

Zesztywniał i wycelował teleskop w jeden punkt.

- Niech to - powtórzył. - Prowadzą Kuszan na przednie linie. Całe dwa tysiące.

- Pieszoz? - zapytał Agacjusz.

Belizariusz opuścił teleskop i skinął głową. A następnie uśmiechnął się smutno.

- O ile się orientuję, Kuszanie nie mają żadnych oporów ani preferencji, kiedy dochodzi do walki. Pieszoz, konno, na łodzi, nie ma to dla nich znaczenia. Gdziekolwiek walczą, robią to doskonale. Są nie do pokonania.

Odwrócił się od okna. Patrząc na jego minę i postawę, oficerowie domyślili się, że podjął jakąś decyzję. Mężczyźni stłoczyli się wokół niego.

- To zmienia wiele rzeczy - oznajmił Belizariusz. - Jak zapewne wiecie, zamierzałem zachować Maurycego i jego chłopców na jutrzejszy dzień.

Zaczął stukać teleskopem w otwartą dłoń, by podkreślić wagę swoich słów.



- Zamierzam pokonać tych bękartów w taki czy inny sposób. Ale ja chcę czegoś więcej... chcę ich zetrzeć na miazgę. Aby tego dokonać, musimy zmusić ich do ataku wczesnym rankiem. Wtedy będziemy mieć cały dzień na ściganie uciekinierów.

Oficerowie pokiwali głowami. Wszyscy, nawet dwaj młodzi bracia, byli doświadczonymi wojownikami. Wiedzieli, że bitwa wygrana tuż przed zachodem słońca stanowi tak naprawdę bitwę wygraną połowicznie. Kiedy zapadał zmrok, nie można było całkowicie zniszczyć wroga, gdyż ciemności uniemożliwiały ten konkretny rodzaj bezlitosnej, morderczej pogoni.

Agacjusz wyjrzał przez okno.

- Ciągle nie ma jeszcze południa - zdumiał się. - Jeżeli bitwa zacznie się odpowiednio wcześniej...

Belizariusz potrząsnął głową.

- Chciałem, żeby Malawianie spędzili cały dzień na bezskutecznym waleniu głową w naszą fortecę. Chciałem ich wykrwawić, wymęczyć... a potem uderzyć znienacka masowym atakiem z flanki, przeprowadzonym przez Maurycego i Kurusza. Atak z pewnością rozbiłby ich armię, a my wyskoczylibyśmy z willi i dorznięli niedobitki.

Stwierdził, że jego oficerowie ciągle nic nie rozumieją. Nie winił ich za to. Nie byli przygotowani na spotkanie Kuszan, gdyż ich doświadczenie z malawiańskim wojskiem było dość powierzchowne.

- Kuszenie to zupełnie inni żołnierze. Oni nie ruszą na willę jako bezładna masa, popychana przez Ye-tai. Nie będą polegali na granatach. Wpadną tu tak, jakby atakowały nas najlepsze oddziały rzymskiej piechoty.

Ze wszystkich oficerów, stojących wokoło, tylko Bouzes znał nieco lepiej taktykę oddziałów piechoty stosowaną w walce przez Belizariusza. General zobaczył, jak na jego twarz wpływa zrozumienie.

- Gówno - mruknął młody Trak i rozejrzał się po pokoju. - Willa nie jest fortecą, jeżeli nie zauważyłeś. Umocnienia, które wznieśliśmy, są prowizoryczne, miały służyć jako osłona przed granatami, a nie...

- ... nie przed dwoma tysiącami najlepszych na świecie pieszych żołnierzy - dokończył za niego Belizariusz - atakujących w szyku i wciskających się w każde drzwi i przejście, żeby w końcu użyć swoich włóczni i mieczy.

- A niech się wciskają! - warknął Cyryl. - Nie obchodzi mnie, jak bardzo są doskonali. My także nie jesteśmy owieczkami, generale. Nasi katafrakti również potrafią walczyć pieszo... Sam zobaczysz! Razem z Syryjczykami posiekamy tych...

General zamachał ręką.

- Nie o to chodzi, Cyrylu. Nie wątpię, że odepchniemy Kuszan. Ale gwarantuję ci, że nie osiągniemy tego bez wielkich strat i sami mocno się zmęczymy, zanim dzień dobiegnie końca. Nie sądzę, abyśmy jutro byli w stanie ścigać kogokolwiek.

Zamyślony, potarł podbródek.

- Zastanawiam się...

General wrócił do okna i znów popatrzył przez teleskop. Przez dłuższą chwilę przyglądał się Kuszanom, zajmującym pozycje. A potem oparł się wygodnie o ścianę po lewej stronie okna i wycelował teleskop pod ostrym kątem w jakiś punkt na południowym zachodzie.

- Nie mamy żadnych oddziałów ukrytych w okolicy zagród dla bydła i koni. - Rzucił szybkie, badawcze spojrzenie na Bouzesa.

Młody Trak potrząsnął przecząco głową.

- Nie, panie - w jego głosie brzmiała nutka asekuracji. - Myślałem o tym, ale to co najmniej siedemset metrów stąd. Nie wydawało mi się, aby był jakiś sens...

Belizariusz uśmiechnął się krzywo.

- Bo nie było. Nie krytykuję twojej decyzji, Bouzesie. Chciałem się tylko upewnić.

Bouzes ponownie potrząsnął głową.

- Nie mamy tam nikogo, generale.

- To dobrze - rzekł przełożony. Gapił się przez teleskop przez kolejną minutę, zanim znów odwrócił się od okna. - Wywrócimy wszystko na lewą stronę. Nie sędzę, żeby Kuszanie poprowadzili pierwszą szarżę.

Jeżeli malawiański dowódca nie jest tak głupi jak kurczak, nie użyje swoich najlepszych oddziałów, zanim nie zmiękczy nieco przeciwnika. Puści przodem regularne oddziały i Ye-tai z granatami. Potem zobaczy, co się dzieje. Jeżeli przetrwalibyśmy pierwsze starcie, dopiero wtedy wypuściłby Kuzan. Oni mają być trzonem drugiego ataku. I to właśnie wtedy rozkażę Maurycemu szarżować.

Na twarze podwładnych generała znów wpłynął wyraz kompletnego braku zrozumienia. Belizariusz rozchmurzył się już zupełnie.

- Jeżeli masz do czynienia z Kuzanami, naucz się wykorzystywać ich talenty.

- Za pozwoleniem, panie - wtrącił się Cyryl. - Ale nie rozumiem, co na tym zyskasz, że Maurycy zaatakują, kiedy Malawianie będą jeszcze wypoczęci i waleczni.

- A jak postąpią Kuszanie? - zapytał Belizariusz z wielką stanowczością w głosie. - Myśl, Cyrylu. I pamiętaj, to doskonałe elitarne jednostki z doskonałymi dowódcami. Będą pieszo, więc znajdą się nagle i niespodziewanie pomiędzy ufortyfikowaną willą a ciężką kawalerią na ich prawej flance.

Tamten ciągle marszczył brwi. Belizariusz nie przestawał mówić.

- Reszta malawiańskiej armii zostanie rozbita i oszołomiona tą szarżą. Nie wspominając już o...

Zwrócił się do Agacjusza:

- Czy twoi chłopcy są gotowi na kolejną zabawę z lancami? Czy dadzą radę zrobić wycieczkę poza mury willi?

Zapytany uśmiechnął się szeroko.

- Po tej rozrywce dzisiaj rano? Do diabła, tak. Jedynym problemem będzie wyprowadzenie koni przez te małe, tak liczne, przejścia i brameczki.

Belizariusz machnięciem zbył jego kłopot.

- Nie zależy mi na tym, żeby szarża była przeprowadzona w perfekcyjny sposób. To nie ma znaczenia. Chcę tylko, by Malawianie musieli się rozproszyć. Kiedy Maurycy i Kurusz zaatakują ich z flanki, pierwsze szeregi będą musiały zająć się wami. Ye-tai będą musieli solidnie się namęczyć, żeby zmusić regularne oddziały do walki. Ale Kuszanie...

- Słodki Jezu, tak - szepnął Bouzes. Podeszedł do okna i spojrzał w dół. - Będą szukali zagród, stodół i stajni. To są jedyne miejsca w okolicy, gdzie piechota może się ufortyfikować, aby odeprzeć szarżę ciężkiej kawalerii.

Popatrzył z powrotem na przełożonego.

- Będą musieli działać natychmiast, Belizariuszu. Czy naprawdę są aż tak świetni?

- Liczę na to - odparł stanowczo generał. - Wiem, to jak hazard. Jeżeli się nie ruszą, jeżeli zostaną na swoich pozycjach, szybka bitwa zamieni się w całodniową krwawą jatkę. Całodniową.

Wzruszył ramionami.

- I tak wygramy, ale Malawianie zdołają uciec.

Cyryl i Agacjusz popatrzyli po sobie. A potem wlepili wzrok w Belizariusza.

- Cieszę się, że nie jestem generałem - mruknął Cyryl. - Z pewnością umarłbym od bólu głowy.

Agacjusz szarpnął się za brodę.

- O ile wszystko dobrze zrozumiałem, generale, planujesz pokonać Malawian w ten sposób, że oddzielisz od głównych sił ich najlepsze jednostki. Z kolei my mamy skoncentrować się na regularnym wojsku i roznieść je na miazgę.

Belizariusz skinął głową. Żołnierz targał się za brodę coraz mocniej.

- A jak chcesz powstrzymać Kuzan od szarży? Żeby nie przybiegli na pomoc...

Bouzes wyszczerzył zęby.

- Komu? Tym samym głupim, pieprzonym dupkom, Malawianom, którzy posłali ich na pierwszy ogień?

Generał Belizariusz potrząsnął głową.

- Nie pójdą, Agacjuszu. Malawianie nie ufają Kuzanom z tej prostej przyczyny, że nie mogą im zaufać. Kuzanie będą walczyć, ale w bitwie. Oni nie kochają swoich panów. Kiedy opadnie młot, Kuzanie będą dbać raczej o własną skórę.

Popatrzył na Bouzesa.

- Po pierwszej szarży, kiedy już złamiemy ich szyk, przegrupuj swoje oddziały i ruszaj na Kuzan. Piechota i tak nie przyda się do ścigania niedobitków. Lecz nie atakuj ich... Jeżeli to zrobisz, dojdzie do masakry. Po prostu ich zatrzymaj.

Teraz generał sam się rozpromienił.

- Przytrzymaj ich do jutra rana.

- A potem ich wykończymy? - zapytał Coutzes.

Belizariusz uśmiechnął się krzywo. Machnął ręką, jakby nie mógł się zdecydować.

- Zobaczymy - powiedział. - Może. A może nie. Ci Kuzanie są bardzo twardzi, ale raz widziałem, jak mała dziewczynka zdziałała z nimi cuda, gdyż używała odpowiednich słów.

\* \* \*

Pół godziny później rozpoczął się, atak. Od salwy rakiet, dokładnie tak, jak przepowiedział Belizariusz.

Kiedy patrzył, jak pociski huczą po niebie, eksplodują przypadkowo i spadają to tu, to tam, daleko od jego żołnierzy, generał doszedł do wniosku, że Malawianie właściwie wyświadczać mu sporą przysługę. Jakkolwiek jego oddziały wykazywały wyjątkową odwagę i dyscyplinę, wiedział, że podchodzą z wielką nieufnością do tajemniczej broni prochowej wroga. Z wyjątkiem Anastazjusza i Walentyniana, którzy towarzyszyli głównodowodzącemu w wyprawie do Indii, żaden z jego żołnierzy nie miał doświadczenia w walce z nieprzyjacielem posługującym się tego typu urządzeniami. Prawda, wielu żołnierzy widziało, jak ich towarzysze używają granatów... niektórzy nawet sami ćwiczyli z takimi pociskami. Ale nawet wojacy obsługujący katusze z raketami nigdy nie widzieli broni prochowej używanej w chaosie bitwy.

Teraz mieli po raz pierwszy zmierzyć się z Malawianami i ich bronią. A po pięciu minutach bitwy rezultat starcia okazał się...

- Zrobiliby lepiej, gdyby używali skorpionów albo onagrów - skomentował żołnierz piechoty syryjskiej, skulony za osłoniętym oknem niezbyt daleko od generała.

Grecki katafrakt, opierający się o ścianę nieopodal, roześmiał się szczekliwie.

- Zrobiliby lepiej, gdyby zbudowali wieżę obłężniczą i szczali na nas z góry - sarknął.

Syryjczyk obserwował kolejną raketę, która leciała miotając się wściekle i w końcu eksplodowała wysoko w górze. Belizariusz zapamiętał sobie, że mężczyzna nawet nie mrugnął

okiem, gdy usłyszał huk. Przez kilka pierwszych chwil od momentu ataku rzymscy żołnierze bali się hałasu i zamieszania, jakie wprowadzały rakiety. Ale teraz, kiedy już trochę się przyzwyczaili, podchodzili do całej sprawy bardzo spokojnie.

Ten sam Syryjczyk, widząc, że Belizariusz na niego patrzy, przechylił głowę.

- Po co oni to robią, panie? Jeżeli mogę spytać - odezwał się do generała. Żołnierz piechoty jednocześnie skinął ręką, pokazując sytuację za oknem. - Nie wydaje mi się, aby więcej niż tuzin tych rzeczy naprawdę eksplodował na polu walki. I zaledwie parę rzeczywiście spowodowało jakieś straty. O, chociażby ta, która wybuchła w ogrodach.

- Uważaj, aby nie stać się zbyt pewnym siebie, człowieku - przywołał go do porządku Belizariusz. Mówił głośno, gdyż wiedział, że słuchają go wszyscy żołnierze, stłoczeni w wielkim pokoju. - Te rakiety naprawdę mogą być niebezpieczne, w konkretnych warunkach. Ale masz rację, w tej sytuacji lepiej by było, gdyby użyli staromodnych katapult. Rakiety są skuteczne na większym dystansie, a już szczególnie ich rakiety, które nie mogą równać się z naszymi pod względem celności i skuteczności.

Przerwał, aby szczęśliwa myśl o doskonałych rzymskich raketach podniosła morale żołnierzy, ale za chwilę zaczął mówić dalej:

- Są praktycznie bezużyteczne podczas oblężenia tak mocno ufortyfikowanej pozycji jak nasza. Malawianie używają ich dlatego, że... - uśmiechnął się drwiąco - te aroganckie dupki są tak pewne swego, że nie chce im się wlec ze sobą katapult. Inaczej niż my.

Na uśmiech generała wojacy odpowiedzieli cichą owacją. Kiedy się uspokoili, Syryjczyk, który zaczął rozmowę, zadał kolejne pytanie:

- A jak by im szło, gdyby mieli ze sobą te wielkie działa oblężnicze, o których nam mówiłeś?

Belizariusz skrzywił się, jednakże na jego twarzy widniała drwina zamiast smutku.

- Gdyby mieli działa oblężnicze, nigdy nie zdecydowałbym się na zajęcie tej pozycji. To po pierwsze. - Beztrosko machnął ręką. - Wielkie działa oblężnicze zmiotłyby wilę z powierzchni ziemi w pięć minut. A po pół godzinie nie zostałby nawet ślad po tej przepięknej królewskiej rezydencji.

Ostrożnie, cały czas kontrolując nastroje, Trak obserwował, jak uśmiech znika z twarzy żołnierza. Nie czekał, aż zamyślenie zmieni się w rozpacz.

- Ale z drugiej strony - wypalił - działa oblężnicze są tak wielkie i nieruchawe, że na polu bitwy nie sposób ich przemieszczać, więc są łatwym celem.

Znów machnął ręką. Tym razem gest nie był ani trochę beztroski. Wyglądał jak doskonały rzemieślnik, który zdradza czeladnikom tajniki zawodu.

- Jeżeli mieliby ze sobą działa oblężnicze, załatwilibyśmy ich manewrami w otwartym polu.

Uśmiechy powróciły.

- Tak czy tak... to nie ma znaczenia, ludzie. I tak zetrzemy Malawian na miazgę!

Na zewnątrz dwie rakiety wypaliły w jednym momencie. Lecz głośny huk nie zdołał stłumić radosnych okrzyków, które wybuchły w zatłoczonym pomieszczeniu.

- Belizariusz! Belizariusz!

Tylko jeden żołnierz nie brał udziału w tym radosnym wybuchu... Ten sam Syryjczyk, który ciągle kulił się przy oknie i pilnie obserwował pole bitwy.

- Myślę, że to już, generale - zauważył. - Jestem prawie pewien, że szykują się do szarży.

Belizariusz podszedł do okna i skulił się obok żołnierza. Wyjął teleskop i wysunął go ostrożnie na zewnątrz. Tylko na kilka sekund, nie dłużej.

- Masz rację - oznajmił. Generał pochylił się i położył rękę na ramieniu Syryjczyka. - Jak się nazywasz? - zapytał łagodnie.

Mężczyzna wyglądał na nieco zaskoczonego.

- Feliks, panie. Feliks Chalcenterus.

Belizariusz skinął głową, wstał i wyszedł z pomieszczenia. W przejściu skręcił w prawo i ruszył w kierunku patio, gdzie znajdował się ogród. Grecy katafrakci tłoczyli się w korytarzach, przyciśnięci do ścian. Musiał przeciskać się pomiędzy nimi. Przejście było bardzo wąskie, a do tego najeżone uzbrojonymi po zęby żołnierzami.

Jego wędrówka przypominała przeciskanie winnych pestek przez prasę, więc kiedy dotarł wreszcie do ogrodu, sam czuł się, jakby i jego w tę prasę włożono. Mimo iście królewskich rozmiarów willa była zbyt mała, aby pomieścić tysiące ludzi, ciasno upakowanych w obrębie ścian. Jednakże Belizariusz nalegał, by upchnąć w środku tak wielu żołnierzy, ilu tylko się da. Willa nie była fortecą, ale solidne ściany i dach zapewniały dużo lepszą ochronę przed pociskami i strzałami niż skórzane zasłony i zasieki, które musiały wystarczyć oddziałom zgromadzonym na zewnątrz.

Kiedy znalazł się na terenie ogrodu, przekonał się, że rakietą nie wyrządziła tam zbyt wielu szkód. I to nawet mimo tego, że na patio także tłoczyły się setki żołnierzy, upakowanych tak samo ciasno jak wszędzie indziej.

Niestety ogród w niczym nie przypominał uroczego miejsca sprzed kilku dni, kiedy naprawdę zasługiwał na miano królewskiej siedziby.

Każda roślinka i drzewko zostały całkowicie zdeptane przez ciężko opancerzonych wojowników, którzy zajmowali każdy skrawek powierzchni dziedzińca. Tylko paru z nich wydawało się lekko rannych.

Belizariusz odetchnął z ulgą, chociaż nie zaskoczyło go to zbyt. Był prawie pewien, że trajektorie pocisków są zbyt płaskie, aby wyrządzić rzeczywistą krzywdę na wewnętrznym dziedzińcu.

Najwyraźniej jego przewidywania okazały się słuszne. Jedyne obrażenia zostały spowodowane przez rakiety, które przez przypadek wybuchły wysoko w górze, tuż ponad głowami żołnierzy. Ale nawet te nie poczyniły większych zniszczeń, gdyż w ogrodzie rozpięto szereg skórzanych osłon przeciwodłamkowych.

Generał znów ruszył przed siebie. Kiedy opuścił ogród, zagłębił się w zapchane korytarze budowli po przeciwnej stronie dziedzińca. Przeciskał się z trudem. Gdy wreszcie wyszedł na otwartą przestrzeń na tyłach willi, czuł się tak, jakby przed chwilą zszedł z konia po kolejnej szarzy.

Wyprawa zajęła mu znacznie więcej czasu, niż zakładał. Kiedy tylko wyszedł na otwartą przestrzeń, usłyszał za sobą istną kakofonię dźwięków i krzyków. Były to malawiańskie zawołania wojenne. Wróg rozpoczął piesze natarcie.

Mężczyzna nawet nie pomyślał o tym, żeby wracać. Na samo wspomnienie okropnego przeciskania się pomiędzy zakutymi w metal żołnierzami, przechodził go dreszcz. Zresztą i tak nie było takiej potrzeby. Dowódcą trzech tysięcy żołnierzy piechoty, wspieranych przez pięć setek z garnizonu w Konstantynopolu, był Bouzes. A Belizariusz całkowicie mu ufał i uważał, że świetnie sobie poradzi z odparciem pierwszego ataku.

Coutzes i Agacjusz, widząc zbliżającego się generała, pospieszyli na spotkanie. Oni także nie poruszali się zbyt szybko. Na tyłach willi zgromadziła się bowiem reszta greckich katafraktów i syryjskich kawalerzystów, czyli cztery tysiące ludzi wraz z końmi. Lecz tłum nie był tak gęsty jak w samej willi. Mur, otaczający posiadłość królewską od zachodu, ciągnął się na wiele metrów, a terenu nie ograniczały budowle, tylko małe altanki, wodne kaskady, tarasy i kępy drzew.

Belizariusz połączył się ze swoimi podkomendnymi w przeciągu kilku sekund. Pograżyli się w rozmowie. Wszyscy trzej mówili bardzo głośno, gdyż z drugiej strony willi dobiegał coraz większy

hałas. Okrzyki Rzymian i Malawian mieszały się z hukami granatów.

- Ilu macie rannych? - spytał najpierw generał.

- Lepiej by zrobili, gdyby użyli katapult - sarknął Agacjusz i popatrzył na Coutzesa. - A ty co byś powiedział? Może wszystkiego ze dwudziestu?

Coutzes wzruszył ramionami.

- Jeżeli w ogóle tyłu. I tylko trzy przypadki beznadziejne, o których wiem.

- A co z końmi? - zapytał generał.

Agacjusz pokiwał głową.

- Są trochę spłoszone, generale. Ale i tak udaje nam się je kontrolować. Nie sadzę, abyśmy stracili więcej niż dwanaście sztuk. A większość i tak wróci za parę godzin. Niestety, kilka skrzyło sobie karki, bo próbowały w panice przesadzić zewnętrzny mur.

Coutzes zaśmiał się.

- Nie sadzę, żeby cenny koń Abbu do nas wrócił! Przysięgam, generale, to pieprzone zwierzę prawie przeskoczyło przez tamte zarośla, a potem przez ścianę!

Agacjusz wyszczerzył zęby. Belizariusz wybałuszył oczy.

- Koń Abbu? Ten gniadosz, na punkcie którego on ma takiego hysia?

- Hysia? - sapnął brat Bouzesa. - Ten gniadosz to oczko w głowie starego pirata! On praktycznie się z nim nie rozstaje. Nawet razem śpią.

- Ale to już koniec - zachichotał Agacjusz. - Teraz do niczego się nie nadaje. Gdy widziałem Abbu po raz ostami, stał na murze i strzelał do tego potwora z łuku. Oczywiście, koń nie podszedł na odległość strzału... Moim zdaniem jest już w połowie drogi do Antiochii.

Belizariusz potrząsnął głową. Uśmiechał się, ale widać było, że czymś się martwi.

- Czy udało mu się...

Coutzes przerwał mu bezceremonialnie.

- Nie martw się, generale. Abbu wysłał arabskich kurierów, gdy tylko przekazaliśmy mu twoje słowa. Jakies pół godziny temu. Maurycy dostanie na czas zawiadomienie, że plany się zmieniły.

Przełożony uśmiechnął się bardzo krzywo.

- Cieszę się, że go tu nie ma i nie muszę wysłuchiwać jego narzekań na moje niezdecydowanie. - Udało mu się całkiem nieźle naśladować głos Maurycyego. - Kim ja niby jestem? Dzieckiem w obsikanej tunicy... oseskiem, któremu trzeba przypominać, że plany się zmieniły? Oczywiście, że plan się zmienił! Czy ta nie ja cię nauczył... generale, że plan zawsze się zmienia, kiedy nieprzyjaciel pojawia się na polu bitwy?

Coutzes wyszczerzył zęby. Agacjusz jednakże pozostał poważny.

- A więc myślisz, że będzie gotowy? - zapytał. - Przyznaję, jestem trochę zaniepokojony. Nie spodziewałem się przecież, że zostanie tak szybko wezwany.

Belizariusz położył rękę na masywnym ramieniu brodatego mężczyzny.

- Nie martw się - powiedział łagodnie. - Jeżeli jest na tym świecie choć jedna rzecz, której możemy być pewni, to właśnie Maurycy. On nigdy nie zasypia gruszek w popiele. Wysłałem kurierów tylko po to, aby upewnić się, że ruszy w tej samej chwili, gdy zobaczy racie sygnałowe, a nie kilkadziesiąt sekund później.

Odwrócił się do Coutzesa.

- A jeżeli już o tym mowa...

Młodzieniec pokazał palcem na małą kępę drzew, stojącą w odległości pięćdziesięciu metrów od nich.

- Tam, generale. Wycelowane i gotowe do strzału w tej samej chwili, kiedy tylko dasz znak.

Pierwsza czerwona. Potem zielona. Mamy po trzy zapasowe rakiety każdego koloru, na wypadek gdyby któraś nie wystrzeliła.

Belizariusz skinął głową. Odwrócił się i popatrzył na willę. Wsłuchał się w odgłosy walki. Nawet stłumiony przez budowlę hałas był bardzo natarczywy, a do tego narastał z minuty na minutę. Wybuchy granatów następowały jeden po drugim, niemalże bez przerwy.

Generał i jego oficerowie słuchali w milczeniu przez około minutę.

- Nie mają szans - przerwał ciszę Coutzes bardzo stanowczym tonem.

Agacjusz natychmiast skinął głową. Tak samo jak Belizariusz. Wszyscy trzej doszli do tego samego wniosku tylko na podstawie bitewnego zgiełku. Mimo gwałtowności i zaciekłości Malawian próby zdobycia willi musiały zakończyć się niepowodzeniem. Nie usłyszeli hałasów, które świadczyłyby o tym, że obrońcy stracili zapal. A takich hałasów nie mogliby pomylić z niczym innym. Żadnych desperackich okrzyków, wrzasków bólu i strachu... tylko miarowy zgiełk rzymskich zawołań bitewnych i triumfalnych wrzasków.

Atak musi się w końcu załamać. Malawianie odstąpią od willi, zostawiając za sobą małe strumyki krwi.

Belizariusz odwrócił się od zabudowań i obrzucił ich otoczenie szybkim spojrzeniem.

- Jesteście gotowi. - To było raczej stwierdzenie niż pytanie. Agacjusz i Bouzes nawet nie zamierzali na nie odpowiadać, gdyż było oczywiste, że są gotowi.

Generał westchnął.

- A więc to by było na tyle. - Znów popatrzył na willę, mrużąc oczy. - No to wracam do środka. - Ruszył w kierunku budowli. - Zawiadomię was - rzucił jeszcze przez ramię. - Obserwujcie sygnały. I natychmiast wystrzelcie rakiety.

\* \* \*

Ku jego wielkiej uldze tłum nieco się przerzedził, a przynajmniej w tylnych pomieszczeniach. Wszyscy żołnierze usiłovali wcisnąć się do frontowych pokoi, aby stawić czoła Malawianom. Walczyli z determinacją, by odeprzeć atak. Dotarcie do wewnętrznego ogrodu zajęło Belizariuszowi zaledwie kilka minut.

Jednakże tam utknął na dobre. I zaczął przeklinać samego siebie za głupotę.

Zapomniał, że zaledwie wczoraj wydał rozkaz, aby użyć wewnętrznego ogrodu jako polowego szpitala i teraz miejsce to zostało całkowicie zablokowane. Mimo trudnej sytuacji straty nie były duże, lecz ranni żołnierze oraz sanitariusze zajmowali znacznie więcej miejsca, niż ci, którzy stali na własnych nogach.

Kiedy tak patrzył na rozgrywającą się przed jego oczami scenę, Belizariusz był w pewien smutny sposób zadowolony z tego, co widział. Poza okropnymi stratami, do jakich dochodziło podczas pościgów, żadne starcie nie było tak ciężkie jak bezpośrednia walka z wykorzystaniem ziemnych umocnień. Oczywiście większość strat plasowała się po stronie atakujących, ale obrońcy także nie wychodzili z tego bez szwanku.

Tym razem jednak widział tylko lekkie obrażenia... Lekkie, biorąc pod uwagę sytuację. A nawet lepiej... Więcej żołnierzy było rannych niż zabitych, w porównaniu z tym, co oglądał zazwyczaj.

Najwyraźniej osłony musiały zadziałać.

Wierzył, że tak się stanie. Granaty Malawian, podobnie jak rzymskie, odpalane były za pomocą lontu, zapalanego ręcznie. Zazwyczaj żołnierz, który przycinał lont, wybierał dłuższe kawałki, gdyż podświadomie lękał się, że bomba wybuchnie mu w ręku. Malawianie koncentrowali ogień na niezliczonych oknach i drzwiach, które ozdabiały budynki posiadłości.

Ale osłony, które postawiono w tej samej chwili, gdy zaczęła się bitwa, odbijały malawiańskie

granaty, które wybuchają zbyt daleko, aby wyrządzić jakakolwiek krzywdę. Prawda, odłamki przebijały skórę i niebawem musiały zupełnie zniszczyć osłony. Lecz wzmocniona skóra znacznie osłabiła pierwszy gwałtowny atak i żołnierze ucierpieli tylko od nielicznych szrapneli, które zdołały się przebić.

Chociaż Belizariusz odczuwał wielkie zadowolenie na ów widok, nie poświęcił mu zbyt wiele czasu. Był zbyt zaferowany niespodziewanym problemem z dotarciem na pozycję, z której kierować miał żołnierzami odpierającymi drugi atak Malawian. Nie wątpił, że tym razem na czele pójdą Kuszanie. Musiał zgrać wszystko w czasie, a nie miał możliwości wydać rozkazów Maurycemu, jeżeli nie widział, co się dzieje.

Przez chwilę zastanawiał się, czy nie udałoby się przedrzeć na front, korzystając z połączonej sieci małych budynków, które wchodziły w skład posiadłości, ale odrzucił ten pomysł prawie natychmiast. Każdy z budynków był tak wypakowany żołnierzami, że nikt nie zdołałby się pomiędzy nimi precyzyjnie.

Właśnie przyszła mu do głowy groteskowa myśl, że będzie musiał pokonać ogród, skacząc z jednego rannego żołnierza na drugiego, kiedy usłyszał, że ktoś krzyczy jego imię.

- Generale Belizariuszu! Generale! Tutaj!

Popatrzył w tamtym kierunku. Po przeciwległej stronie dziedzińca stał w drzwiach ten sam żołnierz piechoty, z którym wcześniej rozmawiał. Feliks... Feliks Chalcenterus.

- Nie uda ci się przejść, panie! - krzyknął Syryjczyk. - Chiliarcha wysłał mnie tutaj, żebym ciebie wypatrywał! Poczekaj chwilę! Tylko jedną minutę!

Mężczyzna zniknął. Wrócił kilkadziesiąt sekund później, poprzedzany przez Bouzesa. Kiedy tylko pokazał się w drzwiach, młody Trak zwinął ręce w trąbkę, przyłożył do ust i zaczął się wydierać jak przez megafon.

- Musimy zrobić coś na kształt sztafety! O ile się zgadzasz, panie!

Generał zastanowił się nad problemem. Nie zajęło mu to dłużej niż dwie minuty. Skinął głową i machnął ręką. A potem, naśladując Bouzesa, także zwinął dłonie.

- Dobry pomysł! Zostaw Feliksa w drzwiach! Jeżeli Kuszanie będą na czele następnej szarży, zawiadom mnie natychmiast! - Przerwał na chwilę i wziął głęboki oddech. - Pamiętaj, musisz mnie zawiadomić, jak tylko ruszą!

Bouzes zamachał ręką na znak, że zrozumiał. Chiliarcha powiedział parę słów Feliksowi i zniknął. Syryjski żołnierz pozostał w przejściu. Stał wyprostowany i czujny. Nawet z tak sporej odległości Belizariusz widział jego pełną stanowczości minę. Żołnierz był młody... bardzo młody. Ale wiedział, co to znaczy obowiązek i jak należy się z niego wywiązać.

Belizariusz uśmiechnął się.

- Zasłużyłeś sobie na awans, chłopcze - szepnął. - Gdy tylko bitwa się skończy, obiecuję..

Generał skoncentrował się teraz na słuchaniu. W przeciągu kilku następnych minut odgłosy bitwy zamarły w oddali. Najwyraźniej Malawianie zostali odparci i teraz przegrupowywali szyki.

Uznał, że ma dość czasu, aby załatwić swoje sprawy.

Przedarł się znów przez zatłoczone pomieszczenia i wyszedł na otwartą przestrzeń na zachód od willi. Kilka metrów od drzwi czekał na niego Agacjusz. Konstantynopolitański katafrakt siedział już na koniu.

Belizariusz wyjaśnił mu szybko ideę sztafety sygnałowej.

- Macie jeszcze kilka minut - powiedział. - Znajdziesz dla mnie konia? Nie będę przekazywał ci informacji, tylko po prostu do ciebie wrócę.

Wskazał drzwi.



- Kiedy tylko mnie zobaczysz, każ zadać w rogi i daj sygnał do ataku. To da mi chwilę czasu na wdrapanie się na siodło.

Agacjusz skinął głową, a potem zmarszczył brwi.

- A gdzie są twoi przybocznicy?

Belizariusz wzruszył ramionami i uśmiechnął się drwiąco.

- Wygląda na to, że się rozdzieliliśmy. Musieli się zagubić w tłumie.

Grecki chiliarcha skrzywił się jeszcze bardziej.

- Nie jestem do końca przekonany, czy mi się to podoba, generale. To znaczy: pomysł, żebyś prowadził natarcie bez swoich katafraktów u boku.

Belizariusz skrzywił się.

- Zapewniam cię, Agacjusz, że potrafiłem o siebie zadbać na długo przed tym, jak...

- Ale...

- Wystarczy.

Agacjusz otworzył usta, a potem je zamknął.

- Tak, panie. Będzie, jak każesz.

Zwierzchnik skinął głową i ruszył w kierunku wewnętrznego ogrodu. Tym razem, kiedy szedł przez budynek, wydał rozkaz, żeby ludzie zrobili mu szersze przejście, gdy będzie wracał.

- Będę tędy wracał, za kilka minut, i będzie mi się bardzo spieszyło. Ostrzegam was, chłopcy... stratuję każdego, kto stanie mi na drodze. A mam na sobie ostrogi, raczcie zauważyć.

Żołnierze uśmiechali się do niego, niemalże wciskali w ściany i radośnie krzyczeli:

- Belizariusz! Belizariusz!

On odpowiadał im w jeden tylko sposób.

- Te nędzne dupki dostaną za swoje!

\* \* \*

Dziesięć minut później Feliks wyrzeszczał informacje przez zatłoczony ogród.

- Kuszenie formują szyk! Będą iść na czele atakujących!

Pięć minut później nadeszła kolejna wieść:

- Nadchodzą!

A potem:

- Już! Już! Już!

Jak na mężczyznę obleczonego w pełną zbroję katafrakta Belizariusz poradził sobie całkiem nieźle... Można nawet posunąć się do stwierdzenia, że przebiegł przez budynek, jakby go ktoś gonił. Ludzie, którzy tworzyli ściany z ciała i stali po obu stronach przejścia, z pewnością tak myśleli, sądząc po okrzykach zagrzewających go do szybszego biegu.

- Belizariusz! Belizariusz!

- Biegnij, generale! Biegnij!

- A niech mnie, ależ ten człowiek szybko człapie! - zawołał nawet jeden entuzjasta.

\* \* \*

Kiedy tylko wypadł przez drzwi na zewnątrz, zagrzmiały rogi. Kątem oka dostrzegł, jak w niebo uderzają czerwone i zielone rakiety. Lecz generał zwracał uwagę tylko na osiodłanego konia, którego dlań przygotowano.

Belizariusz nie dowierzał własnym oczom. Prawie się przewrócił, bo nie patrzył pod nogi. Obok konia stał przyboczny generała, Anastazjusz, i właśnie szykował się, żeby pomóc mu wsiąść. Własny wierzchowiec katafrakta stał nieopodal, obok zaś stołek do wsiadania.

- Jak ci się udało tu dotrzeć? - wykrztusił generał.

- Nie pytaj - mruknął Anastazjusz, pomagając Belizariuszowi wdrapać się na siodło.

Na szczęście był bardzo silny, więc udało mu się, choć nie bez trudu. Wielki katafrakt podszedł do własnego konia.

Belizariusz zebrał wodze. Zobaczył, jak greccy katafrakci i lekka syryjska konnica rozpoczyna atak. Jeźdźcy właśnie podzielili się na kolumny i rozproszyli wokoło willi. Kierowali się w stronę przerw w przeciwległym murze.

Część jego umysłu zarejestrowała, że wojsko podąża w idealnym szyku, a do tego jest doskonale zorganizowane. Reszta zmagiała się z tajemnicą.

- Jak się tu dostałeś? - zapytał ponownie. Tym razem mówił do mężczyzny, który już siedział na swoim wierzchowcu, gotów do boju u boku Belizariusza.

- Nie pytaj - syknął Walentynian. Katafrakt popatrzył na Anastazjusza niczym rozwścieczona łasica. - To jego robota. Mówiłem mu, że to niemożliwe. Nawet Mojżesz nie rozdzieliłby tego tłumu.

Anastazjusz, kłusując obok, usłyszał ostatnie słowa. Na jego twarzy, podobnej do spękanego kamienia, pojawił się szeroki uśmiech.

- Mojżesz nie był taki wielki, jak ja - oznajmił i wyciągnął do przodu dłoń wielką jak łopata. - Ty pierwszy, panie. Zwycięstwo czeka.

- Święte słowa! - krzyknął Belizariusz. - Racja!

Pchnął konia do galopu. Nie martwił się, że wierzchowiec się zmęczy. Dystans pomiędzy armiami był dość mały. Chciał za wszelką cenę dotrzeć do pierwszej linii i poprowadzić swoich żołnierzy do zwycięstwa.

Przegalopowali wokół willi i skierowali się do najbliższego przejścia. Generał osiągnął zamierzony cel. Syryjscy żołnierze piechoty, którzy w pośpiechu otwierali bramę, a raczej odrzucali na boki to, co z niej zostało, ledwie zdolali odskoczyć, kiedy Belizariusz przemknął tuż obok. Walentynian i Anastazjusz pędzili za nim. Reszta katafraktów jechała za swoim wodzem.

Żołnierze piechoty wrzeszczeli dziko, pozdrawiając radośnie przejeżdżających. Katafrakci wznosili wojenne okrzyki. Ale generał Belizariusz nasłuchiwał mamrotania, które powinno teraz nastąpić.

Ale nie nastąpiło. Zerknął przez ramię, zaciekawiony.

Jego spojrzenie napotkało oczy rozwścieczonej łasicy.

- A po co niby mam mamrotać? - Usłyszał syk łasicy.

## Rozdział 20

Kiedy generał znalazł się na wschodnich terenach posiadłości, zapragnął najpierw dokonać szybkiej oceny taktycznej sytuacji. Nie obserwował bitwy bezpośrednio od chwili, gdy wrócił do willi z pierwszego ataku kawalerii.

Ta pilna potrzeba spowodowała, że o mało co nie spadł z siodła.

Spadł w dosłownym tego słowa znaczeniu. Na otwartym terenie przed willą leżały ciała Malawian... zabitych, ciężko rannych, umierających. W niektórych miejscach trupy tworzyły nawet kilkuwarstwowe zwały. Belizariusz tak bardzo skoncentrował się na żołnierzach wroga, że niemalże zapomniał o tym, że oni także mogą umrzeć. Jego wierzchowiec potknął się o ciało i prawie zrzucił jeźdźca. Tylko nadnaturalny refleks, stanowiący zasługę Aide, sprawił, że Trak utrzymał się w siodle, a koń na nogach.

Myśl o najważniejszych rzeczach, skarcił się w duchu. Przez następne kilka sekund, nim nie wyjechał z pobojuwiska po wschodniej stronie willi, ignorował wszystko i uważnie patrzył, gdzie stąpa jego koń. Jedynie zimna, odległa i nieco obca mu część umysłu szacowała okropne straty wroga, które ów poniósł już na samym początku bitwy. W większości Malawianie zginęli od strzał, ale wielu żołnierzy nosiło także ślady obrażeń od własnych granatów, które musiały odbić się od osłon.

Wreszcie wydostał się z pola pokrytego trupami i mógł skoncentrować się na żyjącym wrogu.

Najpierw zauważył katusze. Już jakiś czas temu usłyszał ich syczący skrzek - nie do pomylenia z odgłosem wydawanym przez rakiety Malawian. Rzymskie pociski, zgodnie z instrukcją Belizariusza, były zakończone wentylami z brązu. Odrzut, kanalizowany równomiernie przez te otwory, sprawiał, że jego katusze pewniej trafiały w cel niż malawiańskie odpowiedniki. Wydawały także zupełnie inny dźwięk.

Nie mógł zobaczyć samych rydwanów raketowych. Katusze miały zaatakować Malawian z ukrytego miejsca w północno-wschodnich lasach. Za nimi szli traccy i illyryjscy katafrakci. Kępa drzew zasłaniała Belizariuszowi tamten fragment pola, ale widział same rakiety. Pierwsza salwa właśnie spadała na oddziały wroga. Patrzył na jedną linię eksplozji, która przecięła szeregi Malawian na prawej flance. Rakiety zrzucały kawalerzystów z siodeł i obalały konie na ziemię.

Wstrzymał oddech. Pierwsza salwa spadła niebezpiecznie blisko centrum armii nieprzyjaciela, gdzie na szczycie wozów z prochem siedzieli kapłani Mahwedy. Generał nie śmiał nawet marzyć, że ta amunicja...

Wypuścił długo wstrzymywany oddech. Druga i trzecia salwa spadły dokładnie w sam środek armii Malawian... Kilka rakiet trafiło nawet w wozy. Wielu kapłanów, siedzących na pojazdach, zniknęło jak zdmuchniętych miotłą. Jeden z wozów przewrócił się, gdyż rakietka wybuchła tuż pod nim. Toczył się jeszcze przez chwilę na dwóch kołach, aż w końcu opadł miękko na bok. Jedna z osi załamała się pod ciężarem platformy.

Belizariusz pochylił się nisko nad głową konia, gdyż obawiał się, że zapas amunicji zaraz wybuchnie. Odwrócił się i zaczął wydawać głośno rozkazy, aby ludzie schronili się przed eksplozją.

Nagle przerwał w pół słowa. Nie było żadnego wybuchu.

Zdumiony, odwrócił głowę i ujrzał, że mimo zniszczeń, jakich dokonały katusze, malawiańska amunicja nie zajęła się ogniem.

Ponad głową generała przeleciała strzała i wtedy przypomniał sobie, że czyhają na nich jeszcze inne niebezpieczeństwa. Pierwsze szeregi pieszych Malawian znajdowały się nie dalej niż sto pięćdziesiąt metrów przed nimi. Żołnierze wroga byli najwyraźniej zupełnie zaskoczeni nagłym i niespodziewanym atakiem z flanki. Lecz wielu z nich nie straciło głowy i ci właśnie strzelali do

Rzymian wysypujących się z willi.

Jednakże Malawianie nie strzelali zbyt celnie i nie zachowywali żadnego porządku. Belizariusz miał właśnie po raz kolejny pogratulować sobie samemu, że udało mu się tak dobrze zaskoczyć wroga, kiedy następna salwa strzał starła zadowolenie z jego twarzy.

Te strzały były doskonale wycelowane i wystrzelone w jednej, niemalże równoczesnej, salwie z odległości około stu metrów. Strzały wyglądały jak stado nadlatujących gołębi. Nadlatywały z prawej strony. Generał uniósł tarczę i skulił się w siodle, najlepiej jak potrafił.

Nie mniej niż trzy strzały wbiły się w jego tarczę; kolejna w zbroję, chroniącą pierś konia i piąta, boleśnie, w ciężko opancerzone prawe ramię. Na szczęście łuki wroga nie miały tej siły, co broń katafraktów. Strzała nie przebiła zbroi, chociaż mężczyzna był pewien, że rano dopatrzy się paskudnego sińca.

Reszta salwy trafiła pomiędzy katafraktów, którzy jechali tuż za nim. Wielu z nich zostało rannych; wnioskował po okrzykach bólu i zaskoczenia.

Kiedy generał wyrzwał zza skraju tarczy i popatrzył na prawo, zobaczył to, czego się spodziewał. Kuszanie właśnie formowali czworobok - tarcze uniesione, włócznie wycelowane; łucznicy stali tuż za linią tarczowników. Kuszański dowódca w jednej chwili ocenił sytuację i robił, co tylko mógł w danych warunkach. Czworobok przysiadł, opancerzył się i najeżył włóczniami niczym jeź otoczony przez wilki.

Sprytne wilki polują na łatwą ofiarę. I tak samo postąpił Belizariusz. Skierował konia na lewo i odciągnął swoich ludzi od formacji Kuzan. Miał zamiar objechać ich szerokim łukiem i spaść na zdeorganizowanych Malawian, którzy szli za pierwszą linią Kuzan.

Jego katafrakci, również nie będący głupcami, natychmiast podążyli za swoim dowódcą. Żaden z nich nawet nie wystrzelił w kierunku Kuzan. Generał poprowadził szarżę z północnych przejść w murze posiadłości. Kuszanie zatem zostali z prawej strony, kiedy Rzymianie mijali ich w pełnym galopie. Była to najmniej dogodna pozycja dla konnego łuczника, gdyż przy strzale musiał odkryć niemalże całe ciało.

Zatem Belizariusz i jego ludzie po prostu zacisnęli zęby, okryli się najlepiej, jak potrafili, za pomocą zakrzywionych tarcz, i umknęli spod morderczego ostrzału Kuzan.

Z kolei druga część katafraktów, dowodzona przez Agacjusza, opuściła teren willi przez południową bramę, więc miała doskonałą pozycję do strzału z konia. Kiedy Rzymianie wyjechali zza osłony, Kuszanie znajdowali się po ich lewej stronie. Każdy z tysięcy katafraktów, mijających kuszańskiego jeża, wystrzelił co najmniej jedną strzałę w kierunku wroga. Rażąc z odległości pięćdziesięciu metrów, w pełni rozciągnięte łuki katafraktów miały tak wielką moc, że strzała przebijała się przez każdy rodzaj zbroi, nawet przez wzmacniane metalem, laminowane, drewniane tarcze, o ile trafiła pod odpowiednim kątem.

Ściana kuszańskich tarcz załamała się pod zmasowaną lawiną strzał katafraktów. Znajdujący się po drugiej stronie Belizariusz i jego ludzie także na tym skorzystali. Ruszanie zaprzestali morderczego ostrzału i pospieszili na pomoc rannym towarzyszom po południowej stronie.

Kuszanie zostali za plecami rzymskich kawalerzystów. Generał Belizariusz i jego katafrakci znajdowali się w odległości pięćdziesięciu metrów od regularnych oddziałów Malawy, podążających tuż za Kuzanami.

Te jednostki, składające się z tysięcy spieszonych kawalerzystów, ruszyły nagle do szalonej ucieczki. Żołnierze, złapani pomiędzy katafraktów, którzy niespodziewanie pojawili się z flanki, a masę Rzymian wypadającą właśnie z willi, całkowicie się załamali. Konne oddziały bezpieczeństwa próbowały zatrzymać pędzących żołnierzy, ale bez efektu. Nawet miecze Ye-tai nie zdołały

opanować paniki.

Belizariusz obejrzał się przez ramię. Syryjska kawaleria, galopująca tuż za ciężko opancerzonymi Grekami, już zaczęła się rozciągać w linię i wyprzedzać wolniejszych katafraktów. Trzymali się z daleka od Kuszanie. Mieli zamiar wpaść na rozpraszającą się coraz bardziej flankę wroga. Za nimi wysypała się z willi syryjska piechota i zajęła wyznaczone pozycje. Skoncentrowali się przed samą willą i od północnej strony. Kuszanie, całkowicie odizolowani od głównych sił, mogli bez przeszkód zrejterować w stronę zagród.

Generał, zadowolony z widoku, odwrócił się. Malawiański żołnierz, biegnący tuż obok, potknął się i upadł. Belizariusz nie zamierzał marnować na niego lancy. Po prostu go stratował i popędził dalej.

Zaatakował go konny Ye-tai, uzbrojony w kopię. Belizariusz zaparł stopy w strzemiona i wyrzucił oficera z siodła mocnym pchnięciem. Ye-tai zwałił się na ziemię z rozplatanym brzuchem.

Kolejny żołnierz umknął przed jego koniem, przebierając nogami niczym ścigana antylopa. Generał trafił go prosto między łopatki.

Belizariusz zabił kolejnych trzech żołnierzy w ten sam sposób, zanim stracił lancę. Musiała utknąć w ciele ostatniego Malawianina. Wyciągnął długi kawaleryjski miecz i kontynuował walkę.

Pierwsze szeregi nieprzyjaciela poszły teraz w totalną rozsypkę. Nawet Ye-tai dali za wygraną i nie poganiali już regularnych oddziałów. Barbarzyńcy, ciągle na koniach, przegonili pieszych w panicznej ucieczce.

Żołnierze Malawy myśleli tylko o tym, aby umknąć rzymskiej kawalerii. Zresztą nie oni pierwsi ulegli w bitwie tej ślepej, nieopanowanej panice. I także nie oni pierwsi mieli za to zapłacić najsurowszą karę.

Generał nie ustawał w swej krwawej pracy. Ścielił się za nim ślad w postaci zmasakrowanych ciał. Lecz w głębi duszy cały się wzdragał przed rzezią i okrucieństwem. W końcu udało mu się osiągnąć spokój, gdyż odsunął na bok uczucia i dopuścił do głosu zimny, szacujący umysł.

Pomyślał, że Malawianie popełniają najgorszy z możliwych błęd. Gdyby, zamiast uciekać przed kawalerzystami, dotrzymali pola przeciwnikowi, jak to zrobili Kuszanie, mieliby szansę przetrwać. Ale teraz... nie było już dla nich ratunku.

Nagła eksplozja, tuż po lewej i to bardzo blisko, wyrwała go z ponurych rozmyślań. Kątem oka ujrzał, jak jeden z jego katafraktów wyrzuca ręce do góry, zasłania sobie twarz i spada z konia. Kolejny wierzchowiec potknął się i zrzucił jeźdźcę.

*To kartusze! Niech was, wstrzymajcie ogień!*

Nikt go nie słyszał. Belizariusz zobaczył kolejną chmurę rakiet, nadlatującą w ich kierunku.

Oczywiście, pociski te przeznaczone były dla Malawian... wedle planu miały one zniszczyć prawą flankę wroga. Jednak zaledwie kilka z nich trafiło w żołnierzy Malawy, a reszta spowodowała zamieszanie w ich własnych szeregach. Generał głośno i plugawie wyzywał Maurycego od głupców... oraz Bazylego, dowódcę oddziału katiusz, od bękartów spłodzonych przez imbecyla.

Ale...

To przecież sam Belizariusz kazał Maurycemu poprowadzić atak katiuszy. Generał wiedział, że rzymskie rakiety nie są idealnie celne, ale i tak wydał rozkaz. Po prostu nie spodziewał się, że Malawianie tak szybko uciekną. Zakładał, że atak rakietowy skończy się do czasu, gdy na pole wpadną katafrakci.

Zatem przeklinał także siebie samego za głupotę.

*Rakiety to broń na duży dystans, ty pieprzony kretynie! Nigdy więcej już tego nie zrobisz!*

Z trudem powstrzymał się od dalszych oskarżeń pod własnym adresem. Dotarł już prawie do

centrum malawiańskiej armii. Widział przed sobą kszatryjasów i kapłanów, którzy za wszelką cenę usiłowali zawrócić wozy. Zaprzężone do pojazdów muły wykonywały gwałtowne rozkazy swoich przerażonych panów z godnością i wyraźną niechęcią, Zgodnie ze swoją upartą naturą.

Na ten widok generał prawie się roześmiał. Co niby chcieli osiągnąć ci kapłani? Ciągnięte przez muły wozy miały taką samą szansę ucieczki jak spieszeni żołnierze.

Jeden z kapłanów Mahwedy, stojący na szczycie wozu, najwyraźniej doszedł do podobnego wniosku. Belizariusza dzieliło od niego zaledwie dwadzieścia metrów, gdy dostrzegł, że Malawianin wpadł na jakiś pomysł. Mężczyzna zamarł na chwilę, a następnie złapał małą baryłkę prochu i wysypał jej zawartość na beczki leżące na wozie.

Kapłan właśnie wyciągał urządzenie zapalające z fałd tuniki, kiedy miecz Belizariusza podciął mu nogi. Przeciwnik rozciągnął się na baryłkach, ale ciągle trzymał zapalnik. Następne cięcie Belizariusza pozbawiło go dłoni, a kolejne głowy.

Generał zatrzymał konia i wdrapał się na wóz. Z tej wysokości zaczął wyrzaskiwać rozkazy swoim donośnym, modulowanym specjalnie do bitwy głosem.

Rozkazy były proste, bluźniercze i ostre... a także zupełnie niepotrzebne. Anastazjusz i Walentynian już zabezpieczyli sąsiednie dwa wozy. Grecy katafrakci w przeciągu dziesięciu sekund zrobili to samo z resztą pojazdów.

Wszyscy kszatryjasi siedzący na wozach - a było ich co najmniej pięćdziesięciu - razem z dwoma tuzinami kapłanów próbowali się poddać. Katafrakci nie zamierzali brać ich do niewoli. Wielu z nich widziało, jak jeden z kapłanów próbował wysadzić wóz z amunicją. Grecy zabili wszystkich Malawian bez litości.

Belizariusz przestał wrzeszczeć. Żołnierze wykonali swoje zadanie. Malawiańskie wozy, wraz z wielką ilością prochu strzelniczego, zostały zdobyte przez Rzymian.

Generał wdrapał się na najwyżej położoną baryłkę. Z tak doskonałego miejsca usiłował dojrzeć, jak toczą się losy bitwy.

Ale bitwa już się skończyła. Pogrom dobiegł końca.

Maurycy uderzył w prawą flankę Malawian i zgruchotał ją niczym młot. Ye-tai, którzy pilnowali regularnych żołnierzy, zostali niemalże całkowicie rozbici, zanim zaczęli uciekać. Mimo wielu wad barbarzyńców nikt jeszcze nie oskarżył żadnego z nich o tchórzostwo.

Ye-tai dotrzyмали pola Rzymianom i zginęli prawie co do jednego, jak oceniał Belizariusz, szacując góry trupów.

Oczywiście ich odwaga na nic się nie przydała. W opinii Traka nawet najlepsze oddziały nie poradzą sobie z nieoczekiwanym atakiem z flanki. Nie na otwartym polu, gdzie nie ma miejsca, aby się schronić i przegrupować. Złapane w potrzask jednostki mogą walczyć... walczyć odważnie, ale zawsze będą gromadą rozproszonych żołnierzy, zmagających się ze zorganizowanym, pewnym siebie i zdeterminowanym wrogiem. Wynik takiego starcia był zatem oczywisty.

Było także oczywiste, że regularne oddziały Malawian nie przysły barbarzyńcom z pomocą. Żołnierze wroga stłoczyli się wokół głównych sił, które ciągle siedziały na koniach w przeciwieństwie do oddziałów podążających tuż za Kuzzanami. Nie widzieli powodu, aby nie skorzystać ze swojej przewagi, i po prostu umknęli przed morderczym atakiem z flanki.

Niestety, ich radość nie trwała długo. Chcieli jak najszybciej umknąć przed ciężką kawalerią, składającą się z Traków, Illyryjczykówi Persów. To było naturalne. Ciężka konnica nadciągała z hukiem, który wstrząsał drzewami północno-wschodniego lasu. Regularne oddziały malawiańskie uciekły więc na południe.

Był to masowy odwrót. Tysiące konnych galopowały w panice wzdłuż krawędzi lasu... wprost na

Eufkrat. Kiedy tylko żołnierze zdali sobie sprawę z pomyłki, skręcili na wschód i popędzili wzdłuż brzegu w kierunku odległego schronienia, które zapewniały siły Malawian oblegające Babilon.

Niewielu jednak miało osiągnąć bezpieczne miejsce, odległe o trzysta kilometrów. Bardzo niewielu.

Ścigający ich ludzie byli weteranami, dowodzonymi przez doświadczonych i sprawnych oficerów. Kiedy Maurycy i Kurusz dostrzegli, w jakim kierunku uciekają Malawianie, wysłali swoich katafraktów i deganów na południowy wschód, aby przecięli drogę uciekinierom. Mieli oni przyprzeć niczego nie spodziewających się Malawian do rzeki.

Belizariusz patrzył, jak rydwany raketowe ustawiają się w linii, mniej więcej trzy setki metrów od niego. Mała figurka, zakładał, że to Bazyli, ich dowódca, chociaż z tej odległości nie mógł rozpoznać twarzy, jeździła tu i tam, przypuszczalnie wydając rozkazy. Chwilę później w kierunku Eufkratu poleciała chmara syczących rakiet.

Trak obserwował ich lot. Po raz pierwszy miał okazję przyjrzeć się swojej nowej broni bez obawy, że drugim okiem musi śledzić rozwój bitwy. Pociski nie leciały prosto, ale też nie chygotały się tak szaleńczo jak rakiety Malawian. Sekundę później generał ujrzał, jak główce pocisków eksplodują miliardami szrapneli, prosto w tłum Malawian upchnięty tuż nad rzeką.

Zaczęła się straszna rzeź. Belizariusz zadbał o to, aby w główkach rakiet znalazło się to, co mieli najlepszego. Używał tylko odlewanych ołowianych kulek. W przeciwieństwie do Malawian, którzy pakowali do głowic opiłki i odpady z kuźni.

Rzymski generał popatrzył teraz na willę. Tam także, jak widział, sytuacja rozwijała się pomyślnie. Malawianie, którym udało się uciec przed szarżującymi katafraktami, również umykali w stronę rzeki. Syryjska kawaleria oderwała się od zdobytych wozów z prochem i sypchała Malawian na północny brzeg Eufkratu.

Za nimi syryjska piechota ustawiała się na pozycjach naprzeciw Kuszian. Kuszanie podjęli marsz w kierunku zagród. Syryjczycy poszli za nimi; oczywiście trzymali się na odpowiedni dystans i nie zamierzali atakować.

Usłyszał głos Anastazjusza, wywrzaskującego radosne pozdrowienie. Odwrócił się i zobaczył Agacjusza i kilku innych katafraktów, kłusujących w jego kierunku.

- Wysłałem moich ludzi, żeby pomogli Syryjczykom - oznajmił. - Po tym, gdy stwierdziłem, że ty robisz to samo.

Belizariusz właściwie nie wydał takiego rozkazu. Nie było takiej potrzeby, gdyż Cyryl sam podjął decyzję, a generał chciał się teraz skoncentrować na bitwie toczony przez Maurycego. Ale kiedy się rozejrzył, zauważył, że przy wozach została zaledwie setka katafraktów.

Belizariusz był bardzo zadowolony. Naprawdę bardzo. Generał nie mógł nie doceniać podwładnych, którzy nie dość, że myśleli szybko i samodzielnie, to jeszcze potrafili właściwie ocenić sytuację. Był przekonany, że osiągnął sukces jako generał tylko dzięki temu, że potrafił zgromadzić wokół siebie takich ludzi. Takich jak Maurycy, Aszot, Hermogenes, Jan z Rodos... nawet Bouzes i Coutzes, kiedy tylko udało mu się przetrzepać im tyłki.

A teraz zdobył Agacjusza i Cyryla.

Na jego twarzy musiał odbić się cień wewnętrznego zadowolenia. Chwilę później on i jego dwaj greccy oficerowie jaśnieli niczym słońce w zenicie. W uśmiechu generała nie było nawet cienia drwiny, a na twarzach Agacjusza i Cyryla nie gościł sardoniczny grymas, charakterystyczny dla weteranów.

- Jezu, generale - wrzasnął Agacjusz - to najmiłsza bitwa, w jakiej brałem udział!

- Piękna, piękna - zgodził się Cyryl. - Jedyńm zgrzytem była ta salwa rakiet.

Belizariusz się skrzywił.

- To moja wina. Powiniennem pamiętać, że te przeklęte rakiety ciągle nie są zbyt celne. I nie spodziewałem się, że tak szybko przebijemy się do środka.

Cyryl nie wydawał się w najmniejszym stopniu rozżłoszczony, chociaż to jego ludzie ucierpieli od ognia współtowarzyszy. Grecki katafrakt po prostu wzruszył ramionami.

- Się zdarza - wypowiedział największą prawdę weterana.

Agacjusz pokiwał zgodnie głową.

- Żyj i ucz się, to jedyne, co możesz zrobić. Poza tym... - Odwrócił się w siodle i popatrzył jak salwy raketowe raz za razem koszą setkami wrogich żołnierzy, stłoczonych nad rzeką.

- ... teraz świetnie sobie radzą. Katusze uratują jeszcze wielu rzymskich chłopców. Ci Malawianie są jak owce pozbawione barana.

Belizariusz usłyszał kolejne pozdrowienie. Odwrócił się i zobaczył, że od północy zbliża się Maurycy. Obok chiliarchy jechał jeden z jego setników, Grzegorz, oraz pół tuzina katafraktów.

Kiedy Maurycy podjechał do wozów, najpierw odezwał się do Cyryla i Agacjusza:

- Przepraszam za rakiety - oznajmił. Stanowczo i bez przesady. Chociaż na jego twarzy malowało się raczej zakłopotanie niż smutek.

Dopiero potem spojrzał na głównodowodzącego.

- Nie pytaj mnie nawet - warknął. - Odpowiedź brzmi: nie. Moi chłopcy z pewnością będą chętni, nawet jeżeli pomiędzy tymi obszarpanymi Malawianami trafi się choć paru, którzy mogą zapłacić za siebie jakikolwiek okup, a Persowie są w prawdziwym szale i nie zdołam powstrzymać ich bez...

Belizariusz potrząsnął głową.

- Wiem. Słyszę ich wrzaski.

Przechylił głowę, nasłuchując uważnie. Nawet z tej odległości krzyki Persów były bardzo wyraźne.

*Charaks! Charaks! Śmierć Malawianom! Nie ma litości!*

Maurycy zachichotał, widząc na twarzach Agacjusza i Cyryla zakłopotanie oraz zdumienie.

- Ten młody generał, który tu stoi - pokazał kciukiem na Belizariusza - ma miękkie serce. Lubi unikać okrucieństwa, kiedy tylko może.

Dwaj greccy oficerowie popatrzyli na generała niepewnie, tak jakby spoglądali na człowieka, którego za życia ogłoszono świętym. Możliwe, możliwe... ale bardziej prawdopodobne, że to bełkoczący szaleniec.

A potem przypomnieli sobie okrutną karę, jaką wymierzył siedmiu katafraktom w Callinicum i ich niepewność się rozwiła.

Agacjusz zamrugał.

- Matko Boska, generale. Maurycy ma rację. Nie ma sposobu, żeby...

I znów Belizariusz potrząsnął głową, uśmiechając się krzywo.

- Nie proszę o to, Agacjuzu. Po tym, co stało się w Charaks, Persów nie da się zatrzymać. Jestem tego całkowicie świadomy.

Uśmiech zbladł, zastąpiony badawczym spojrzeniem.

- Ale chcę, żebyście zapamiętali ten dzień na przyszłość. Na przyszłość bardzo niedaleką, kiedy Persowie zażądają głów Kuszan, a ja im odmówię.

Machnął rękaw kierunku rzeki.

- Okrucieństwa w efekcie doprowadzają do tego typu masakry. To jedna z przyczyn, dla których próbuję ich unikać. Następnym razem to wy możecie być na ich miejscu, błagając o litość i nie dostając jej, gdyż wcześniej sami jej nie okazaliście.



- I tak nie spodziewam się litości po Malawianach - wytknął siwy żołnierz. Mówił łagodnie, ale stanowczo, jak zwykle, kiedy publicznie spierał się z Belizariuszem.

- Od Malawian nie - odparł generał. - Ale kim są Malawianie, Maurycy?

Skinął w kierunku rzeki.

- Czy myślisz, że oni wszyscy są Malawianami? Albo Ye-tai? To tylko kilku z nich. Kapłani, kszatrijasi, większość oficerów. Może z tysiąc regularnych żołnierzy. A reszta? Biharyjczycy, Bengalczyki, Orisanie... Wszystkie indyjskie nacje przelewają swoją krew na brzegu rzeki.

Spojrzał badawczo na Agacjusza i Cyryla.

- W końcu - rzekł głosem twardym jak stal - nie pokonamy Malawian na polu w wielkiej bitwie, gdzieś w Persji. Albo w Anatolii, albo Baktrze, albo na wyżynie Indusu. Zmiażdżymy ich w samym sercu Indii, kiedy podległe im nacje w końcu wypowiedzą posłuszeństwo.

Na twarze Greków powróciła niepewność. Jednakże teraz nie wyglądali na ludzi, którzy odrzucają świeżo proklamowanego świętego, pełni sceptycyzmu. Po prostu mieli wątpliwości, typowe dla wszystkich weteranów zaczynających się zastanawiać, czy aby nie pozostają pod komendą najdziwniejszego z generałów - doskonałego stratega, który dokonuje cudów na polu bitwy.

- Gdybym tylko mógł, ocaliłbym wszystkich, którzy chcieliby się poddać - powiedział generał. - Wszystkich z wyjątkiem kapłanów Mahwedy. Ze względu na przyszłość, na nic innego.

Wzruszył ramionami.

- Ale... nie mogę ryzykować idiotycznej bójki z Persami. Nie dzisiaj, kiedy krew wrze im w żyłach.

Zeskoczył z baryłki. Chwilę później znalazł się już przy boku swego konia.

- Dzisiaj muszę dogadać się z Kuszanami.

Uczynił gest w stronę rzeki.

- Agacjuszu, Cyrylu... chcę, żebyście wsparli Persów. Spróbujcie ich odciągnąć. Są tak rozszalali, że z pewnością nie myślą jasno. Nad rzeką ciągle jest jeszcze parę tysięcy żywych i uzbrojonych żołnierzy. Będą walczyli jak szczury zapędzone do kąta, kiedy tylko się zorientują, że nie bierzemy ich do niewoli. Persowie najprawdopodobniej wpadną na nich bez zastanowienia i dadzą się otoczyć.

Agacjusz i Cyryl skinęli głowami.

- Weźcie wszystkich moich ludzi - dodał Belizariusz. - Zostawcie tylko setkę, żeby pilnowała wozów. Niech je zaciągną do willi. Ale bądźcie ostrożni... Poczekajcie lepiej na moich ludzi od katuszy, to wam pomogą. Są przyzwyczajeni do prochu.

Dwaj greccy oficerowie ponownie skinęli głowami. Zawrócili konie i pokłusowali, wykrzykując rozkazy. W przeciągu dwóch sekund dwa tysiące żołnierzy z Konstantynopola pędziło w kierunku rzeki, aby dołączyć się do rzezi nad Eufratem.

Głównodowodzący zwrócił się do Maurycyego i Grzegorza.

- Ty masz zrobić to samo, Maurycy. Weź Traków i Illyryjczyków. Grzegorzu, chcę, żebyś znalazł Coutzesa... i Abbu - dodał chichocząc. - Jeżeli uda mu się znaleźć nowego konia. Zbierz arabskich zwiadowców i połowę lekkiej kawalerii, później przeprawcie się przez rzekę. Zostaw mi drugą połowę do pilnowania Kuszan.

- Będą musieli użyć brodu, który znaleźliśmy kilka kilometrów w górze rzeki - zauważył Grzegorz. - To zajmie kilka godzin.

- Tak, wiem. To nie ma znaczenia. I tak będą na miejscu na czas, gdyby Malawianom udało się w jakiś sposób przeprawić przez Eufrat.

Jego głos był okrutny i bezlitosny, a twarz zimna jak kamień.

- Ścigaj ich, Grzegorzu. Chcę, żebyś ich gonił bez litości. Nawet kilka dni, jeżeli zajdzie taka potrzeba. Chcę, żeby ta armia Malawian została całkowicie unicestwiona. Nie może zostać więcej niż garstka żywych, którzy powrócą do Babilonu. Niech nasz wróg wie, że nie ma szans w starciu z imperatorem Chozroesem.

Żołnierz uśmiechnął się krzywo.

- Może nawet nie zostanie garstka, generale. Ci, którym udało się uciec, mają przed sobą trzysta kilometrów. Z pustynią po jednej stronie drogi i... nadrzecznymi wieśniakami, którzy z radością przyłożą im kłonicą po głowach. Do pościgu przyłączą się całe wioski. Oni także słyszeli o Charaks, możesz się założyć.

Belizariusz kiwnął głową. Grzegorz dziabnął wierzchowca ostrogą i skierował się na południe. Chwilę później Maurycy także się oddalił, ale w przeciwnym kierunku.

W pobliżu generała zostali tylko Anastazjusz i Walentynian.

- I co teraz, generale? - zapytał Anastazjusz.

Belizariusz popędził konia i pokłusował w kierunku willi.

- Upewnimy się, że Kuszanie są całkowicie unieruchomieni, A potem... - popatrzył w górę, oceniając pozycję słońca. - To prawdopodobnie zajmie nam resztę dnia, a na pewno całe popołudnie. Kuszanie mogą próbować się przebić. Prawdopodobnie znów czeka nas walka.

- Ale niewiele - zagrział olbrzym. - Kuszanie nie są głupcami. Nie będą tracili sił na przebicie się przez nasze linie. A przynajmniej nie pieszo. Wiedzą, że mamy konie. - Katafrakt westchnął. - Nie Kuszanie. Zamiast tego będą walczyli jak lwy, a zaczną od fortyfikowania stodół i zagród. Będą gotowi, gdy rano po nich przyjdziemy.

- Mam nadzieję ominąć ten problem - powiedział generał.

- Chcesz ich namówić, żeby się poddali? - zapytał Walentynian sceptycznie. - Po tym, jak spędzili pół dnia na wysłuchiwanie odgłosów masakry reszty swojej armii?

- Taki jest mój plan. - Co dziwne, Belizariusz nie stracił ani odrobiny dobrego humoru.

Tak samo jak Walentynian nie pozbył się sceptycyzmu.

- To będzie jak wejście do leża lwa i namówienie go, żeby przeszedł na wegetarianizm.

- To wcale nie takie trudne - odparł dowódca. - A przynajmniej nie wtedy, kiedy znasz język lwa.

Generał uśmiechnął się krzywo. Anastazjusz zmarszczył brwi groźnie, Walentynian syknął.

- Jak się tak zastanawiam, to myślę, że wy dwaj też mówicie po kuszańsku. Może nie tak dobrze jak ja. Ale... wystarczająco dobrze. Wystarczająco.

Nachylił głowę w kierunku Walentyniana.

- Co? Nie ma mamrotania?

Katafrakt popatrzył na Belizariusza jak wściekła łasica.

- Słowa mnie zawiodły - mruknął.

\* \* \*

Tego samego wieczoru, kiedy słońce zachodziło już za horyzont, Belizariusz zbliżył się do ufortyfikowanych kuszańskich pozycji, aby rozmawiać o rozejmie. Był bez broni, tylko w towarzystwie Anastazjusza i Walentyniana.

Anastazjusz także był bez broni.

Walentynian... Cóż, on również przyrzekał, że nic ze sobą nie ma. Przyrzekał na wszystkich świętych i grób swojej matki. Generał nie uwierzył mu nawet na minutę, ale nie naciskał dalej. Nawet jeżeli Walentynian miał ze sobą broń, z pewnością była doskonale ukryta. A poza tym...

Wolałby raczej porozmawiać z lwem w jego leżu, niż odebrać cokolwiek łasicy. Pierwsza propozycja była bezpieczniejsza.

W końcu okazało się, że namówienie Kuszan do poddania się - zamiast walki do ostatniego człowieka - stanowiło jedną z najłatwiejszych rzeczy, jakie generał musiał zrobić w swoim życiu. A sam fakt, że mu się udało, sprawił Belizariuszowi ogromną satysfakcję.

Po raz kolejny jego reputacja okazała się na wagę złota.

Tym razem jednak nie była to reputacja człowieka litościwego. Żaden Kuszanin nie miał w swym twardym życiu zbyt wiele do czynienia z litością i z pewnością nie uwierzyłby w opowieści jakiegoś obcego generała.

Lecz wyszło na jaw, że Kuszanie doskonale wiedzą, kto to jest Belizariusz. Ich dowódca usłyszał, że generał jest człowiekiem honoru od jednego z niewielu ludzi, którym ufał. Ufał mu, mimo że nie miał w sobie kuszańskiej krwi.

- Sam Rana Sanga mi o tobie opowiadał - rzekł mężczyzna i wyprostował się dumnie. - Odwiedziłem największego króla Radżputany w jego pałacu, na jego osobiste zaproszenie, zanim wyruszył z panem Damodarą do Hindukuszu.

Żołnierz pochylił się i nalał odrobinę płynu do pucharu Belizariusza, zanim napełnił swoje naczynie. Czarki były proste, zrobione z gliny, podobnie jak butla, z której nalewał napitek. Kiedy Trak usiadł na cienkiej słomianej macie, ułożonej w kącie stajni, a jego kuszański towarzysz postąpił tak samo, wokół zebrali się inni żołnierze. To oni właśnie wyjęli z polowego plecaka butlę i dwa kubki.

Belizariusz skorzystał z chwilowej przerwy, żeby bliżej się przyjrzeć kuszańskiemu dowódcy. Jak się dowiedział, mężczyzna nazywał się Vasudeva.

Vasudeva podobny był do pozostałych Kuszan. Niski, ciężko zbudowany, o rozrośniętych barach i klatce piersiowej. Beczkowaty korpus wspierał się na mocnych nogach. Miał lekko żółtawą, azjatycką cerę, a także płaski nos i wąskie oczy. Tak jak jego ziomkowie, czesał włosy w wysoki czub. Całego obrazu dopełniała kozia bródka, rzadsza niż brody preferowane przez Rzymian i Persów.

I podobnie jak u większości Kuszan jego twarz wyglądała jak wyrzeźbiona w kamieniu. Generał nie potrafił nic z niej wyczytać. Belizariusz znał dobrze jednego tylko Kuszanina - Kungasa, byłego wasala Malawy, obecnie dowódcę osobistej straży imperatorowej Szakuntali. On także miał twarz podobną do kamiennej maski.

A raczej żelaznej maski, chociaż kryła się za nią całkiem odmienna dusza.

Kiedy Belizariusz pomyślał o Kungasie, nabrał pewności siebie.

- A jak się miewał Rana Sanga, kiedy go widziałeś po raz ostami? - spytał grzecznie.

Kuszanin wzruszył ramionami.

- Któż może wiedzieć, co inny człowiek naprawdę czuje. Może jego żona, może dzieci. Ale nikt inny.

- Czy wiesz, dlaczego cię zaprosił do siebie?

Vasudeva popatrzył nań przeciągle. Na początku spojrzenie było zimne. Ale potem...

Maska nie straciła ostrości, ale w oczach wojownika pojawiło się rozbawienie. Chociaż dość lodowate.

- Tak. Spotkaliśmy się już wcześniej, podczas wojny z Andhrą. Dobrze nam się pracowało. Kiedy usłyszał, że zostałem wybrany na dowódcę oddziałów wysyłanych do Mezopotamii, zaprosił mnie do siebie przed odjazdem. - Zaśmiał się szczekliwie. - Chciał mnie ostrzec przed rzymskim generałem o imieniu Belizariusz!

Vasudeva zamyślił się na chwilę, jakby przypominał sobie tamtą rozmowę.

- Oczywiście znasz Persów, powiedział do mnie pan Sanga. Ale nigdy nie spotkałeś się z

Rzymianami. A z pewnością nie z takimi, jak Belizariusz.

Kuszański dowódca spojrzał Belizariuszowi prosto w oczy.

- Powiedział mi, że jesteś tak podstępny i szybki jak mangusta. - Znów się roześmiał. - Spodziewaj się po tym człowieku tylko rzeczy nieoczekiwanych, powiedział mi. Uwielbia podstępny i pułapki. Jeżeli zastawi na ciebie oczywistą zasadzkę, uważaj, bo cios nadejdzie z innej strony. Jeżeli wyda ci się, że jest słaby, bądź pewny, że udaje. I co najważniejsze, pamiętaj, jaki los spotkał arogancką kobrę, która stanęła naprzeciw mangusty.

Zaśmiał się ponownie. Wszyscy Kuszenie, stojący dookoła, zawtórowali mu głośno.

- Próbowałem powiedzieć o tym panu Kumarze, kiedy zdałem sobie sprawę, że z Persami są Rzymianie. Byłem prawie pewien, że to ty dowodzisz. Pan Kumara jest... był dowódcą tej ekspedycji.

- Teraz to jest pan Zjadłymnieryby - sarknął jeden z Kuszan. - I dobrze.

Vasudeva zmarszczył brwi.

- Oczywiście mnie nie słuchał. I wpadł prosto w pułapkę.

Belizariusz pociągnął łyk ze swojego kubka.

- I co jeszcze Rana Sanga mówił o mnie?

Mężczyzna znów popatrzył na Belizariusza przeciągle. I ciągle zimno. Oceniał go, mierzył.

- Powiedział, że jest w tobie tylko jedna przewidywalna rzecz. Że jesteś człowiekiem honoru. On także zna wartość przysięgi.

Rzymski generał czekał. Vasudeva szarpał końcami palców za kocią bródkę. Odwrócił wzrok.

- To trudne, bardzo trudne - mruknął.

Belizariusz czekał.

Vasudeva westchnął.

- Nie będziemy rozbici i sprzedani jako niewolnicy różnym panom. Musimy się trzymać razem.

Belizariusz skinął głową.

- Zgadzam się.

- Możemy pracować, ale nie jako bezrozumna siła robocza. Kuszańscy żołnierze nie są psami.

Generał kiwnął głową.

- Zgadzam się.

- I żadnych batów. Żadnego bicia. Zaakceptuję jedynie egzekucje, jeżeli zajdzie taka potrzeba. Ale tylko za pomocą miecza albo topora. Nie jesteśmy kryminalistami, żeby nas wieszać albo nawlekać na pal.

Ponownie kiwnął głową.

- Zgadzam się.

- Dobrze jedzenie. I trochę wina, ale nie za często.

Belizariusz potrząsnął głową.

- Tego nie mogę obiecać. Przecież mamy kampanię, a was będę używał jako siły roboczej. Moi ludzie nie jedzą zbyt dobrze i obywają się bez wina. Mogę wam tylko obiecać, że nie będziecie mieli gorzej niż oni. I jeżeli będzie jakieś wino, z pewnością podzielę się z wami.

Generała dobiegł cichy pomruk od strony zebranego tłumu i wiedział, że jego ostatnia wypowiedź zadowoliła żołnierzy. Podejrzewał, chociaż nie był pewny, że ostatnie pytanie Vasudevy miało być dla niego pułapką. Kuszański dowódca był wytrawnym żołnierzem. Zatem z pewnością wiedział, że inna odpowiedź byłaby albo kłamstwem, albo zuchwałymi słowami głupca, który nie zdaje sobie sprawy z realiów wojny.

- Dobrze - zgodził się rozmówca.

Belizariusz czekał nadal.

W końcu nadeszło oczekiwane słowo:

- Przysięgam.

Belizariusz także dał słowo honoru. W rzeczywistości dał je podwójnie. Raz w imię swego chrześcijańskiego Boga. A potem, ku wielkiemu zdumieniu Kuszan, w imię Buddy, do którego oni sami modlili się po kryjomu, gdy w okolicy nie było kapłanów Mahwedy, tropiących herezję.

\* \* \*

Tego wieczoru, bardzo późno, generał Belizariusz rozpoczął negocjacje z Persami. Siedzieli w samym środku poboju, które kiedyś było wspaniałą willą łowiecką imperatora.

Z nimi także poszło mu łatwiej, niż zakładał.

Kurusz nie pałał żądzą kuszańskiej krwi. Kiedy młody sahrdaran wysłuchał Belizariusza, nalał sobie w milczeniu trochę wina. Był to doskonały napitek, a w dodatku sahrdaran wyciągnął skądś swoje wspaniałe puchary.

Wypił pół czary za jednym zamachem.

- Dobrze - powiedział.

Trak wybałuszył oczy. Kurusz skrzywił się.

- Nie mówię, że mi się to podoba - warknął. - Ale przecież dałeś słowo. Wiesz, my, Ariowie, rozumiemy znaczenie przysięgi.

Osuszył puchar następnym łykiem. Później pokazał na swoje przemoczone krwią ubranie i zbroję.

- Myślę, że Charaks zostało wystarczająco pomszczone jak na jeden dzień. Tak mi się zdaje - mruknął.

Belizariusz nie drążył dalej tematu. Nie widział potrzeby, aby wymagać od Kurusza czegoś więcej ponad ponurą akceptację.

Rzucił tylko pytające spojrzenie Baresmanasowi. Starszy sahrdaran do tej pory nie odezwał się ani razu i najwyraźniej zamierzał nadal milczeć. Popatrzył na generała, a z jego twarzy nie można było wyczytać żadnych uczuć.

Nie, Baresmanas nie zamierzał się odzywać. Lecz Belizariusz podejrzewał, że perski arystokrata musiał już powiedzieć parę słów do swojego krewkiego bratanka. Z pewnością przypomniał mu o litości, jaką rzymski generał okazał Persom pod Mindos. I nauczył go, a przynajmniej próbował, że litość także może się przydać. Bardziej niż tysiące uzbrojonych po zęby katafraktów. I może być nawet bardziej zabójcza dla wroga niż ci ostatni.

# WYBRZEŻE MALABARSKIE

*Lato, 531 n.e.*

## Rozdział 21

Obozy uchodźców w Muziris roiły się niczym kopce mrówek. Całe rodziny pakowały ocalały dobytek i czekały, aż wyruszą w podróż do Tamraparni. Marathijscy kawalerzyści i kuszańscy żołnierze szykowali sprzęt. Wielka flota statków, stojąca w porcie, przygotowywała ładownie. Keralañscy urzędnicy znosili skrzynie pełne złota i srebra, którym mieli zapłacić za wymuszoną migrację. Imperatorowa i jej doradca snuli plany.

Przybył także stary przyjaciel.

Pewnego popołudnia, w słoneczny dzień, do portu zawinęło pięć aksumickich okrętów wojennych, niesionych monsunem, który w tym rejonie świata stanowił prawdziwą rzadkość o tej porze roku.

Na ich spotkanie nie wypłynął oddział przybrzeżnej straży Kerali. Nikt już dłużej nie wątpił, że Muziris zostało całkowicie opanowane przez Szakuntalę i jej ludzi. Etiopskie statki zostały przywitane przez keralański okręt wojenny, zarekwirowany przez marathijskich żołnierzy.

Kiedy tylko jednostka potwierdziła ich tożsamość, aksumiccy goście zostali natychmiast zaprowadzeni przed oblicze Szakuntali. Cztery setki żołnierzy eskortowały zaledwie siódmkę osób. Imperatorowa, uprzedzona o wizycie, przywitała ich z pełnym królewskim ceremoniałem tuż przed wrotami wielkiego pałacu, który zajęła na swoje potrzeby.

Trzej Etiopczycy, krocący na czele wojska, byli pod wrażeniem tego, co zobaczyli, podobnie jak pozostała czwórka idąca razem z nimi. Ci jednak nie byli Afrykanami. Cała siódmka знаła sytuację panującą w Indiach, jak również wiedziała, w jakim położeniu znajduje się Szakuntala. Spodziewali się więc czegoś bardziej zbliżonego do łachmanów i biedy. Imperatorowej na wygnaniu, ściganej młodej dziewczyny, ukrywającej się wśród uchodźców. Władczyni z zaledwie garstką wiernych Kuszan, którzy ocalili ją przed Imperium Malawy.

A zamiast tego...

Jechali ulicą, eskortowani przez setki marathijskich kawalerzystów, a wzdłuż całej trasy stały wiwatujące tłumy. Większość z nich stanowili uchodźcy z Andhry oraz innych krajów indyjskich, podbitych przez Malawę. Ale w tłumie stało także sporo ciemnoskórych Keralan. Jej własny dziadek mógł postąpić wobec władczyni nielojalnie, a malawiańscy prowokatorzy podjudzali tłum przeciwko uchodźcom z Andhry, zalewającym ich domy, jednak wielu ludzi, rodaków jej matki, nie zapomniało, że Szakuntala jest córką Kerali. Zatem oni także głośno wiwatowali, gdyż wydarzenia pokazały, że imperatorowa Andhry, choć obecnie na wygnaniu, jest siłą, z którą należy się liczyć. Miała sprzymierzeńców... z dalekiej Afryki! I takich wspaniałych żołnierzy!

W rzeczy samej byli wspaniali. Sarweni sprostali oczekiwaniom i porzucili zwyczajową aksumicką nieformalność. Maszerowali w równych liniach i wysoko podnosili wielkie włócznie, a także potrząsali bojowo kitami strusich piór, które zdobyły ich głowy.

Kiedy zbliżyli się do pałacu imperatorowej, odezwały się bębny. Goście zatrzymali się u podstawy schodów wiodących do głównego wejścia. Drzwi otworzyły się i ze środka wybiegły najpierw dziesiątki, a potem setki Kuszan. Żołnierze ustawili się na schodach. Na końcu pojawili się osobiści strażnicy Szakuntali, mały oddział żołnierzy, który towarzyszył jej od pierwszych dni panowania. A właściwie od pierwszego dnia, gdy jako jedyna uszła z życiem z rzezi w Amavarati i stała się jedyną spadkobierczynią tronu Andhry. Ci mężczyźni zabrali ją z rodzinnego pałacu tego

samego dnia, kiedy zamordowano jej rodzinę. A potem, wiele miesięcy później, splunęli w twarz Malawie i dali jej wolność.

Wreszcie na schodach pojawiła się Szakuntala wraz z Dadadzi Holkarem. Za nimi szły cztery królewskie damy dworu.

Imperatorowa zeszła, a raczej spłynęła po schodach, żeby przywitać swoich gości.

Mimo wielkiej pompy i splendoru dostojność chwili stała się nieco naciągana. Pod powłóczką formalności czaiła się bowiem szczerą radość.

Wśród Etiopczyków, którzy stali przed pałacem, znajdowało się czterech Kuzan - oddziałek, prowadzony przez Kudzulo, który rok wcześniej pomógł księciu Eonowi w ucieczce z Indii. Kiedy tylko strażnicy Szakuntali dostrzegli swoich dawno utraconych braci, ich dyscyplina mocno się zachwiała. Oczywiście, nie złamali szyku. Ale szerokie uśmiechy na twarzach nie miały nic wspólnego z powagą sytuacji.

Zresztą to nie miało znaczenia, gdyż ich własna imperatorowa także się uśmiechała. Częściowo na widok Kudzulo i jego ludzi, ale głównie ze względu na trzy znajome twarze należące do Etiopczyków stojących na przedzie.

Garmat, Ezana i Wahsi. Trójka mężczyzn z małego oddziału, który uratował ją z malawiańskiej niewoli.

Lecz nie dostrzegła czwartej twarzy i jej uśmiech zbladł. Garmat potrząsnął głową.

- Nie, Szakuntalo. Nie ma go z nami. Negusa nagast wysłał Eona na inną misję. Ale księżę poprosił mnie, żebym przekazał pozdrowienia i najlepsze życzenia.

Szakuntala skinęła głową.

- Pomówimy o tym później. W tej chwili chcę wam podziękować, że odprowadziliście do domu moich Kuzan.

Uśmiechnęła się i skinęła na jedną z dam dworu.

- I nie wątpię, że zechcesz odzyskać Tarabai. Tak jak obiecałam Eonowi.

Marathijska kobieta wystąpiła naprzód. Chociaż starała się zachować powagę, na jej twarzy szczęście walczyło z niepokojem. Cieszyła się, że wróci do swojego księcia. Niepokoiła się, że po tak długiej rozłące mógł stracić zainteresowanie jej osobą. Kiedy księżę Eon rok temu podróżował po Indiach, on i Tarabai byli niemal nierozłączni. Zanim rozdzielili się, aby na różne sposoby uciec Malawie, Eon poprosił ją, aby została jego konkubina, i Tarabai się zgodziła. Ale... to było dawno, a księżęta są niewyobraźalnie kapryśni i mają krótką pamięć.

Na szczęście Garmat natychmiast rozwiał jej wątpliwości.

- Jest możliwe, że nie spotkasz Eona po przyjeździe do Aksum, Tarabai. W tej chwili ma zadanie do wykonania. Lecz ma nadzieję, że nie zmieniłaś zdania.

Stary pół-Arab uśmiechnął się.

- Właściwie on ma coś więcej niż tylko nadzieję. Właściwie to już dodał nowe skrzydło do pałacu. Twoje komnaty, kiedy już tam przybędziesz... i komnaty dla twoich dzieci, kiedy one też się pojawiają. A jestem pewien, że niebawem tak się stanie.

Dziewczyna zaczerwieniła się aż po cebulki włosów, lecz promieniała szczęściem.

Kiedy Garmat skończył ze sprawą Tarabai, ponownie zwrócił się do Szakuntali. Już się nie uśmiechał.

- To ryle, jeżeli chodzi o przyjemności, wasza miłość. A teraz reszta...

Wyprostował się.

- Przywożę ci oficjalną propozycję aliansu z negusa nagast Aksum - powiedział głośno i wyraźnie. - Propozycję przymierza przeciwko Malawie.

Na te słowa powietrze wypełnił przytłumiony pomruk gorączkowych rozmów.

- Kiedy tylko zesłiśmy na ląd, usłyszeliśmy, że planujesz zabrać swoich ludzi na Cejlon. Miast tego proponują ci, abyś przybyła wraz z uchodźcami do nas, do Etiopii.

Młoda władczyni przysięgłaby, że wyraz jej twarzy nie zmienił się ani na jotę. Jednakże zapomniała, jak spostrzegawczy jest stary pół-Arab.

- Ach - mruknął. Jego głos był łagodny i cichy. Tak cichy, że teraz mogła go słyszeć tylko ona i Dadadzi. - Tak się zastanawiam. Ucieczka do odległego kraju nie leży w twojej naturze. Tak. Mam pięć statków, wasza miłość. Na ich pokładach przyplęnęła połowa Dakuen Sarwe... cztery setki żołnierzy pod komendą Ezany i Wahsi. Jeden z nich musi zawieść do Etiopii mnie i Tarabai. Reszta, wraz z sarwenami, jest do twojej dyspozycji.

Szakuntala skinęła głową.

- To okręty wojenne, czy tak? - spytała, również cicho.

Garmat znów się uśmiechnął.

- Aksumickie okręty wojenne, imperatorowo. - Odkaszlnął z dumą. - W porównaniu z baliami Malawian są wspaniałe. I ośmielam się twierdzić, że moi sarweni z łatwością pokonaliby co najmniej trzykrotnie liczebniejszy oddział tak zwanej malawiańskiej piechoty morskiej.

- Tak, wiem - odparła. - Tak się składa, że z pewnością mi się przydadzą. Statki i sarweni. Słyszałeś wieści o Deogiri?

Mężczyzna skinął głową. Uśmiechnął się jeszcze szerzej.

Pochyliła się do jego ucha.

- Tak się złożyło...

\* \* \*

Trzy dni później flota opuściła Muziris w strugach ulewnego deszczu. Matisachiva Ganapati i wicekról obserwowali statki z doków. Zostali tam przez cały dzień, skryci przed deszczem pod małym pawilonem, aż upewnili się, że wszystkie statki tej przeklętej imperatorowej na wygnaniu zniknęły za horyzontem.

Kiedy już Szakuntala opuściła keralańską ziemię, mężczyźni odzyskali nieco humoru.

- Dzięki bogom - mruknął wicekról.

Ganapati ciągle miał kwaśną minę.

- Za co niby? - spytał. - Uniknęliśmy klęski zaledwie o włos. Dzisiaj rano przybył posłaniec z Vanji. Malawianie grożą nam w niewyszukany i wprost bezczelny sposób. Żądają, aby król pojmał Szakuntalę i wrócił prawowitym posiadaczom.

Wicekról potrząsnął głową.

- Nie powinni się spodziewać, że król ich posłucha. W końcu to jego wnuczka.

- Pewnie nie - zgodził się matisahiva i wzruszył ramionami. - Na szczęście powinni zadowolić się tym, że ją wygnaliśmy... Ją i jej uchodźców. Natychmiast wyślę posłańca z dobrymi wieściami.

Słoń, który dźwigał ich baldachim, stał smętnie w deszczu. Dwaj keralańscy urzędnicy szybko wdrapali się na jego grzbiet. Mimo pośpiechu, zanim dotarli pod baldachim, zdążyli przemoknąć do suchej nitki.

Ganapati ciągle miał kwaśną minę.

- Przeklęty monsun - mruknął.

Nagły podmuch wiatru szarpnął za poję schronienia i bryzg deszczu dokumentnie zmoczył jego towarzysza.

- Przeklęty monsun! - wrzasnął wicekról.

\* \* \*



- Błogosławiony monsun - orzekł Kungas radośnie. Dowódca osobistej straży Szakuntali przechylił się przez reling i całym sobą chłonał przepiękny widok. Nie wydawał się ani trochę martwić faktem, że jest zupełnie mokry. Ani tym, że nie rozciągał się przed nim żaden widok.

Podobnie zachowywał się człowiek stojący obok.

- Błogosławiony monsun - zgodził się Dadadzi Holkar. - Nikt nie będzie w stanie dojrzeć, w jakim kierunku odpływamy. Miejmy nadzieję, że deszcz się utrzyma.

- O tej porze roku? - zachichotał Kungas. - Bądź poważny, Dadadzi! Patrz!

Pokazał palcem na wschód. Ich statek oddalił się od brzegu nie więcej niż trzy kilometry, ale Wybrzeże Malabarskie całkowicie skryło się za chmurami.

- Nie można nic zobaczyć - oznajmił. - I tak będzie co najmniej przez dziewięć dni na dziesięć, przez co najmniej następny miesiąc. To i tak więcej czasu, niż potrzebujemy na dotarcie do Suppari, nawet tak wolnymi statkami.

Dadadzi zaczął szarpać się za brodę, ale szybko zaprzestał. Jego zwyczaj zaczął niebezpiecznie przypominać wyzymanie gąbki.

- Prawda - mruknął. - Jest jeszcze jeden plus całej sytuacji. Również uchodźcy nie zorientują się, dokąd płyniemy. Większość będzie przekonana, że podążamy do Tamraparni, aż do chwili gdy zawiniemy do Suppari.

Kuszanie popatrzył na niego przeciągle.

- Możemy mieć trochę kłopotów.

Holkar potrząsnął głową.

- Nie sądzę. Mam wielu szpiegów w obozie i wszyscy mówią, że większość uchodźców jest w pełni oddana imperatorowej. Wierzę, że zaakceptują jej decyzję. Poza tym ona zamierza dać im wybór. Ci, którzy nie zechcą pozostać w Maharastrze, mogą płynąć do Tamraparni. Ci, którzy się na to zdecydują, dostaną statki. Oczywiście, po tym, jak już zdobędziemy Supparę.

Kamienną, twarz Kungasa przeciął uśmiech.

- Niezbyt ciekawy wybór. Król Tamraparni nie będzie zachwycony, kiedy usłyszy, że Szakuntala nadużyła jego gościnności, w dodatku bez jego wiedzy. A w dodatku zamierza się wydać za jego syna!

Holkar nie odpowiedział. Przez kilka minut dwaj mężczyźni milczeli, patrząc w przestrzeń. Nie widzieli nic poza oślepiającą, nieprzerwaną, ale piękną ścianą deszczu.

W końcu Kungas odchrząknął.

- A jeżeli już mowa o małżeństwie - zagał.

Dadadzi Holkar skrzywił się.

- Nawet nie chce o tym rozmawiać - odparł cicho. - Uwierz mi, mój przyjacielu, przy wielu okazjach próbowałem nawiązać do tego tematu. Za każdym razem zbywa mnie, mówiąc, że jest jeszcze za młoda.

Dowódca straży skrzyżował ramiona.

- To nie o to chodzi. W tej sytuacji żaden kandydat nie uznałby jej za dojrzałą do zamążpójścia. W tej chwili nie ma nic do zaoferowania w zamian za przymierze z jakakolwiek liczącą się siłą. Ale kiedy zajmiemy Supparę... Kiedy pokażemy Indiom, i całemu światu, że Andhra zamierza utrzymać południową Maharasztrę, wtedy dopiero pojawi się problem podtrzymania dynastii. Musi kiedyś o tym pomyśleć, Dadadzi. W przeciwnym razie bowiem, gdy nadejdzie czas, będzie miała związane ręce.

Doradca imperatorowej westchnął.

- Ty znasz mój problem, przyjacielu.

Kungas zapatrzył się w morze. Skinął głową... raz, potem drugi.

- Ona kocha Rao.

Holkar wydał wargi.

- Proszę - warknął. - To tylko zadurzenie młodej dziewczyny w mężczyźnie, którego zna od dziecka. Przecież nie widziała go od dwóch lat... może nawet dłużej.

- Widzieli się bardzo dawno temu - zgodził się rozmówca. W jego głosie brzmiały miażdżone kamienie. - Wtedy, gdy doszczętnie zdemolował pałac Nikczemnika, żeby ją wydostać. To musiało być prawdziwe spotkanie po latach.

Dadadzi nie odezwał się. Kungas odwrócił głowę, jakby coś przyciągnęło jego wzrok.

Tak naprawdę nie chciał, żeby Holkar zobaczył jego twarz. W tej chwili nawet Kungas nie potrafił powstrzymać się od uśmiechu.

Doskonale. Jego myśl pełna była satysfakcji. Doskonale... dziecko! Biedny Holkar. Nawet on... nawet on jest zupełnie ślepy.

Przez chwilę Kungas zastanawiał się nad tą dziwną obsesją Hindusów, którzy nie mogli powstrzymać się od myślenia o czystości i zanieczyszczeniu krwi. Nawet jego przyjaciel Dadadzi nie potrafił się od tego wyzwolić.

*Ci Hindusi są tak ślepi. A przecież prawda leży na wyciągnięciu raki.*

Odwrócił się od relingu.

- Mam dość tego deszczu - oznajmił. - Schodzę pod pokład. Niebawem i tak się zacznie. Muszę się przygotować na wypadek, gdybym był potrzebny.

Kungas ruszył w kierunku wjazdu i jego twarz stała się niewidoczna dla Holkara. Wreszcie mógł sobie pozwolić na otwarty uśmiech.

*Bądź uparta, Szakuntalo. Idź w zaparte, nie wdawaj się w dyskusje. Kiedy wreszcie padnie pytanie wprost, będziesz wiedziała, co zrobić ze swoim małżeństwem. Wtedy będziesz wiedziała.*

Lekko potrząsnął głową.

*To takie oczywiste!*

\* \* \*

Godzinę później flota zmieniła kurs. Zmiana była powolna, a w dodatku pełna chaosu, zamieszania i ryzykownych manewrów. Zamieszanie częściowo wynikało z prostego faktu, że kapitanowie statków nie wydali komendy do wykonania zwrotu jednocześnie, gdyż nie sposób było tego czasu ustalić. Mogli posługiwać się jedynie klepsydrami albo zegarami słonecznymi. Z powodu deszczu zegary słoneczne stały się bezużyteczne. Podobnie klepsydry. W tych warunkach trudno było zapewnić każdemu kapitanowi identyczną klepsydrę i dopilnować, żeby wszyscy obracali je w jednym momencie.

Tak więc każdy dowódca dał rozkaz zmiany kursu, gdy uznał, że nadszedł odpowiedni czas.

Jednakże chaos, który wtedy zapanował, był w większości przypadków efektem niesubordynacji kapitanów statków handlowych. Zakwestionowali oni zmianę kursu. Zapłacono im, aby przewieźli imperatorową i uchodźców do Tamraparni i delikatnie mówiąc, nie uradowali się z faktu, że miejsce przeznaczenia uległo zmianie... a zwłaszcza wtedy, kiedy odkryli, dokąd teraz zmierzają.

*Suppara ? Czy wszyscy poszaleliście ? Przecież w Supparze są Malawianie!*

Ale kapitanowie statków w rzeczywistości nie byli ich dowódcami. A dowódcy wywodzili się z zupełnie innej rasy. Kuszańscy i marathijscy kawalerzyści z radością zastosowali się do rozkazu i bez trudu zmusili kapitanów do posłuszeństwa.

Słuchali głosów sprzeciwu przez około minutę. A potem wyciągnęli miecze.

Po chwili keralańscy kapitanowie i żeglarze uwijali się jak w ukropie. Prawda, narzekali pod

nosem, lecz nie mieli złudzeń co do tego, czy zdołają pokonać oddziały żołnierzy, umieszczone strategicznie na pokładach wszystkich statków. Nie tych żołnierzy.

Jedna z załóg próbowała. Pod dowództwem w gorącej wodzie kąpanego kapitana keralańscy żeglarze złapali za broń i rozpoczęli bunt. W końcu było ich dwa razy więcej niż żołnierzy. Przypuszczalnie sądzili, że ilość da im przewagę nad przeciwnikiem.

Niestety, bardzo się mylili. W przeciągu dwóch minut czterej ocalali marynarze zostali zaciągnięci na dziób i tam opatrywali swoje rany, patrząc lękliwie na kuszańskich żołnierzy, którzy ich pilnowali. Choćby jeden Kuszanin nie został ranny w kotłowninie.

A potem, ku jeszcze większemu zmartwieniu, ujrzeli, jak z mgły wyłania się statek. W przeciągu kilku sekund okręt ustawił się równolegle do ich jednostki. Keralańscy żeglarze rozpoznali banderę. Był to jeden z niebezpiecznych, szybkich okrętów etiopskich.

Przez reling przechylił się aksumicki oficer.

- Jakiś problem? - zawołał. - Słyszeliśmy hałas... hałas... no - zawahał się, czując, że osiągnął już szczyty swej znajomości hindi.

Kuszański dowódca obrzucił go wściekłym spojrzeniem.

- Tak, jest tu jeden problem! - wrzasnął i pokazał palcem na czterech jeńców. Keralańscy żeglarze skulili się na dziobie.

- Zostało tylko czterech buntowników. Nie wystarczy, żeby płynąć dalej.

Do relingu podszedł kolejny Etiopczyk. Kuszański dowódca natychmiast go rozpoznał - to był Ezana, jeden z aksumickich głównodowodzących.

Ezana szybko rozeznał się w sytuacji. Znał Kuszan i wiedział, że nie znają się zbyt na sprawach związanych z morzem. Nie liczył, że sami poradzą sobie ze statkiem.

Odwrócił głowę i wyrzucił z siebie krótką litanię imion. W przeciągu minuty obok niego stanęło sześciu Etiopczyków. Kiedy tamci przygotowywali się do przejścia na sąsiedni statek, głównodowodzący zajął się podprowadzeniem swojej jednostki jak najbliżej kupieckiego żaglowca. W przeciągu kilku sekund Etiopczycy złączyli oba statki linami.

Ezana lekko przeskoczył na pokład keralańskiej jednostki. Następnie ruszył na dziób, gdzie czekał na niego Kuszanin wraz z kilkoma żołnierzami, nadal pilnującymi jeńców.

Kiedy już dotarł na dziób, Ezana skinął na sześciu Aksumitów, którzy także ruszyli za nim.

- Ci ludzie zostaną z wami przez całą podróż - wyjaśnił, używając poprawnego, chociaż ciężko akcentowanego hindi. - Razem z tymi czterema marynarzami powinno wam się udać.

Obrzucił statek uważnym spojrzeniem. Sądząc po wyrazie twarzy, nie był zbyt zadowolony z oględzin.

- Indyjska balia - sarknął. - Dałbym radę poprowadzić dobry aksumicki statek kupiecki w zaledwie sześć osób. Nawet w pięć... nawet w cztery, gdyby zaszła taka potrzeba.

Spojrzał sarkastycznie na czterech ocalałych Keralan. Mężczyźni kulili się na deskach pokładu, a teraz jeszcze bardziej pochylili głowy. Robili wszystko, co w ich mocy, aby stać się jak najmniej widocznymi.

Jednakże nic to nie dało. Ezana kucnął tuż przy nich.

- Popatrzcie na mnie - rozkazał. Mężczyźni niechętnie unieśli głowy.

Aksumita uśmiechnął się szeroko.

- Nie bądźcie tacy ponurzy, chłopcy. Pomyślcie, jakie mieliście szczęście! Moi ludzie nienawidzą prowadzenia tak idiotycznych jednostek, jak ta. Z pewnością doszłoby do buntu, gdybym wyrzucił was za burtę i kazał kolejnej czwórce moich marynarzy wejść na pokład.

Kiedy Keralanie usłyszeli tak szczęśliwe wieści, nieco się rozchmurzyli.

Niestety radość znikła, jak starta szmatą, kiedy Ezana zmarszczył brwi gniewnie.

- Ale moi ludzie z pewnością mniej nienawidzą takich balii, niż ja nienawidzę buntowników! - ryknął. - I na waszym miejscu od tej pory zachowywałbym się wzorowo.

Czterej Keralanie wybełkotali chaotyczne słowa potwierdzenia. Etiopczyk zmarszczył brwi jeszcze bardziej.

- Jesteście żeglarzami. Zakładam więc, że znacie sposoby, jakimi Aksumici rozprawiają się z buntownikami?

Czterej marynarze z przerażeniem pokiwali głowami.

- To dobrze - mruknął.

Wstał i podszedł do kuszańskiego dowódcy.

- Nie będziesz miał z nimi więcej kłopotu - oznajmił. Ruszył w kierunku relingu, a kuszański oficer szedł tuż obok niego.

- A jak Etiopczycy radzą sobie z buntownikami? - zapytał.

Ezana złapał za sznury. Jednak zanim przeskoczył przez reling, uśmiechnął się radośnie do kuszańskiego dowódcy.

- To ma wiele wspólnego z łowieniem ryb.

Przeskoczył.

- Mamy słabość do mięsa rekina! - krzyknął z pokładu swojego statku.

\* \* \*

Dwa dni później Ezana wszedł na pokład statku flagowego imperatorowej. Szakuntala zwołała radę i zaprosiła wszystkich głównych oficerów wyprawy. Ezana, wraz z Garmatem i Wahsi, miał stanowić etiopską reprezentację na spotkaniu.

Garmat już był na pokładzie i czekał na niego. Dwaj mężczyźni ruszyli w kierunku kwatery imperatorowej, w deszczu tak ulewnym, że przypominał raczej wodospad.

- To musi być najgorszy klimat na świecie - mruknął Ezana zrzędliwie.

- Och, nie wiem - uśmiechnął się drugi oficer. - Przynajmniej nie jest gorąco. Właściwie panuje raczej przyjemna temperatura. Podczas gdy Pusty Kwartał...

Rozmówca stanowczo potrząsnął głową.

- To nie do porównania. W Arabii przynajmniej możesz oddychać.

Rzucił na brzemienne chmurami niebo wściekłe spojrzenie.

- A tak przy okazji, jak długo tutaj pada?

Dotarli właśnie do małego daszku, który chronił wejście do dużej kabiny, zlokalizowanej na śródkręciu. Obaj mężczyźni usiłowali jakoś otrząsnąć się z wody, zanim wejdą do środka. Na szczęście nie mieli na sobie nic więcej ponad proste spodniczki.

Garmat zmarszczył brwi w zamyśleniu.

- Właściwie nie jestem pewny. Myślę, że słyszałem gdzieś, iż podczas pory monsunowej południowo-zachodnie Indie otrzymują...

Wymówił etiopskie słowo określające ilość opadów. Ezana szeroko otworzył oczy. Słowo oznaczało mniej więcej, że na ziemię spada około czterech metrów wody w przeciągu pięciu miesięcy.

- Matko Boska!

Garmat kiwnął głową, w kierunku wschodniego wybrzeża Indii, skrytego teraz za gęstą zasłoną deszczu i chmur.

- Rozchmurz się. Jeżeli wszystko pójdzie dobrze, niebawem będziemy szli przez góry do Maharasztry. Słyszałem, że po tamtej stronie Zachodnich Ghatów jest całkiem sucho.

- Mam nadzieję, że to niebawem nastąpi - mruknął Aksumita i wszedł do kajuty.

Pomieszczenie służyło za królewską komnatę Szakuntali i było nieco groteskowe, przynajmniej według Ezany. Był Etiopczykiem, wychowanym w aksumickiej tradycji królewskich zwyczajów. Etiopskie ozdoby były masywne, ale dość proste. I zawsze skłaniały się ku praktycznym zastosowaniom. Kiedy członek etiopskiej rodziny królewskiej, a nawet sam negusa nagast, wyruszał w morską podróż, zadowalał się małą, prostą kajutą, ozdobioną co najwyżej skórą lwa albo strusimi piórami.

Hindusi postępowali inaczej. Ich ozdoby także były masywne. Ezana pamiętał, jak bardzo zaimponował mu wystrój pałacu imperatora Malawy, a także jego wielki pawilon. Ale ornamenty nie były ani surowe, ani tym bardziej praktyczne.

Nigdy nie widziałem aż tylu niepotrzebnych sprzętów, pomyślał kwaśno.

Spojrzał na rzeźbę z kości słoniowej, która stała na smukłym stolczku tuż przy wejściu. Statuetka, niesamowicie zdobna i zawiła, przedstawiała na wpół nagą parę, splecioną w namiętym uścisku. Ezana zamrugał zdumiony. Lecz to nie erotyzm rzeźby tak go zaskoczył, gdyż Aksumici nie byli ani trochę pruderyjni. Poczł się niemalże urażony tym, że rzecz była tak absurdalna i niepotrzebna.

Na statku wojennym?

Kiedy jest sztorm, ta rzecz to tylko niepotrzebny balast. Garmat wepchnął go do kabiny.

- Jesteśmy dyplomatami - szepnął. - Bądź grzeczny.

\* \* \*

Szakuntala tkwiła na górze poduch, oparta o przeciwległą ścianą kajuty. Dadadzi Holkar siedział po jej lewej stronie, na pozycji głównego doradcy. Tuż obok usadowił się przywódca religijny, Bindusara.

Doradcy wojskowi Szakuntali stłoczyli się z prawej strony swojej imperatorowej. Był tam Kungas, wraz z dwoma głównodowodzącymi oficerami Kuszan, Kaniszką i Kudzulo. Dowódcy marathijskiej kawalerii, Szaszi i Kondew, siedzieli w towarzystwie trzech głównych podkomendnych.

Znajdował się tu także Wahsi. Przybył nieco wcześniej. Siedział na małym drewnianym stołeczku. Dwa inne, puste, czekały w pobliżu. Imperatorowa wiedziała, że Etiopczycy wolą siedzieć na krzesłach, więc kazała je tu przynieść. Pozostali siedzieli na poduszkach w pozycji kwiatu lotosu.

Kiedy tylko Garmat i Ezana zajęli miejsca, narada się rozpoczęła.

- Pierwsze etapy naszego planu zakończyły się pełnym sukcesem - odezwała się Szakuntala. - Udało nam się bez przeszkód opuścić Keralę i wyprowadzić Malawian w pole. Jestem prawie pewna, że nasz wróg wierzy, że uciekamy do Tamraparni.

Przerwała i rozejrzała się wokoło, szukając jakichkolwiek oznak niezrozumienia czy niezgody. Kiedy nie zobaczyła żadnych, mówiła dalej.

- Wierzą także, że nasze przybycie do Suppary stanie się dla Malawian całkowitym zaskoczeniem. A skoro tak dobrze nam idzie, może my skoncentrować się na bardziej odległej przyszłości. Zaskoczmy Malawian i zdobędziemy miasto. Ale pojawia się pytanie... Co dalej?

Kondew poruszył się niespokojnie. Władczym spojrzała nań i pytająco przechyliła głowę. Miało to być zaproszeniem do mówienia.

Marathijski oficer wahał się przez chwilę. Był relatywnie nowym członkiem wewnętrznego kręgu doradców imperatorowej. Znał indyjskie tradycje, służył przecież u ojca Szakuntali, który znany był z umiłowania do etykiety oraz regulaminów, i ciągle nie mógł się przyzwycząić do zachowania imperatorowej. Traktowała ona wszystkich swoich doradców łagodnie i bez dystansu.

Szakuntala dostrzegła, że się waha, więc postanowiła go zachęcić.

- Proszę, Kondewie. Mów, jeżeli masz jakieś wątpliwości.

Oficer kawalerii nerwowo szarpnął się za brodę.

- Nie mam wątpliwości, wasza miłość. Nie o to chodzi. Myślałem tylko, że po zdobyciu Suppary mamy po prostu ruszyć na Deogiri. I połączyć nasze siły z wojskiem Rao. - Pochylił głowę szybkim, przeproszającym gestem. - Ale może źle zrozumiałem.

- Dobrze rozumiałeś, Kondewie - odparła Szakuntala. - Taki był nasz plan. Ale nieoczekiwane przybycie Aksumitów oraz oferta przymierza zmusiły mnie do ponownego przemyślenia sprawy. A przynajmniej zaczęłam myśleć bardziej ambitnie.

Zwróciła się do Etiopczyków.

- Gdyby udało nam się utrzymać Supparę... to znaczy, utrzymać ją na dłużej, czy wasza marynarka zdołałaby zatrzymać malawiańskie statki z dala od miasta?

Trzej Etiopczycy spojrzeli po sobie.

- Nie, imperatorowo - odparł Wahsi stanowczo i pewnie. - Gdyby Malawianie nie mieli broni prochowej, może by się udało. Ich flota jest znacznie większa niż nasza, zarówno pod względem żołnierzy, jak i statków, ale nasza jest lepsza. Poza tym większość malawiańskich jednostek uwikłana jest w konflikt z Persją.

Wzruszył ramionami.

- Jednakże oni naprawdę mają tę piekielną broń. To znosi naszą przewagę jakościową. Nie jesteśmy w stanie abordażować ich jednostek. Ich rakiety są niecelne na dużym dystansie, ale z bliska stanowią bardzo niebezpieczną broń.

Kobieta skinęła głową. Nie wydawała się specjalnie zasmucona czy zaskoczona słowami Wahsiego.

- A więc nie bylibyście w stanie przerwać blokady Suppary?

Oficer potrząsnął głową. Szakuntala pochyliła się do przodu.

- Powiedz mi jeszcze jedno, Wahsi. Gdyby udało nam się utrzymać Supparę, nie oddać miasta z powrotem w ręce Malawian, czy udałoby wam się przejść przez blokadę?

Wszyscy trzej Aksumici wybuchli śmiechem.

- Mamy być jak lisy kradnące kury z kurnika! - zachichotał Ezana.

- Z bardzo silnego kurnika - uzupełnił Garmat. - Będziemy musieli być bardzo ostrożni. Ale...

Wahsi przestał się śmiać.

- Tak, imperatorowo - powiedział stanowczo. - Możemy przebić się przez blokadę. Przepłynąć przez nią niczym woda przez sieć rybacką. Nie tylko jeden czy dwa statki, tu czy tam. Możemy przez nią przepływać cały czas, kiedy tylko zechcemy.

Machnął lekceważąco ręką.

- Rozumiesz, mówię o blokadzie całego wybrzeża. Jeżeli zgromadzą wszystkie statki wokół Suppary, skutecznie ją zablokują. Ale zakładam, że w pobliżu musi być sporo miejsc, gdzie można niepostrzeżenie przybić do brzegu i wyładować towar.

- Jest ich setki! - krzyknął Bindusara.

Wszyscy spojrzeli na sadhu.

- Znam dobrze Wybrzeże Malabarskie - wyjaśnił. - A właściwie całe zachodnie wybrzeże Indii, od Kerali do Kathiawaru.

Bindusara spojrział na wschód, jakby przyglądał się pobliskiemu wybrzeżu przez drewniane ściany kabiny.

- Zachodnie Ghaty biegną równoległe do linii brzegowej, od południowego krańca półwyspu aż na północ, do rzeki Narmada. Tworzą zachodnią granicę Dekanu. - Machnął lekceważąco dłonią. -

Ghatty nie są zbyt wysokimi górami. Nie w porównaniu z Himalajami! Przeciętą wysokość szczytu nie przekracza tysiąca metrów. Nawet najwyższe, Anai Mundi w Kerali, nie liczą sobie więcej niż trzy tysiące metrów. Ale góry są bardzo skaliste. Połączenie trudnego terenu i dość mocnego nachylenia daje w rezultacie niezliczone mrowie małych rzeczulek. W odróżnieniu od wschodniego wybrzeża, gdzie do morza wpływają tylko wielkie rzeki, takie jak Ganges czy Brahmaputra.

- Dobry teren dla przemytników - mruknął Ezana.

- Teren? - rzekł z uśmiechem Bindusara. - Powiedz lepiej... raj dla przemytników. I nie zapominaj o klimacie, Ezano. Zachodnie wybrzeże Indii to najbardziej mokra część półwyspu. Każda z rzeczek wpada do morza w otoczeniu gęstwiny palm i drzew lekowych. Linia brzegowa obfituje w setki małych, ukrytych zatoczek, gdzie można wyładować i ukryć towar. A mieszkańcy z pewnością radośnie pomogą w tym procederze. W większości są to biedni farmerzy i rybacy, więc przyda im się każdy grosz, a ponadto nie pałają miłością do Malawian.

Szakuntala dostrzegła, jak Wahsi kiwa głową.

- A więc dacie radę? - zapytała.

- Bez problemu, imperatorowo. - Etiopski oficer przejechał palcami przez gęste, kręcone włosy, nie spuszczać wzroku z władczyni.

- Chcesz przerwać oblężenie Deogiri, a do tego musisz mieć pod kontrolą całą Maharasztrę - orzekł. - A Suppara będzie zapleczem logistycznym.

Imperatorowa skinęła głową.

- Dokładnie. Nie próbowałabym, gdyby nie to, że główne siły wroga uwikłane są w konflikt z Persją. Ale kiedy mam przeciwko sobie tylko Venandaktrę, myślę, że może się udać... jednak tylko pod warunkiem, że uda nam się zdobyć broń prochową.

- W Supparze są działa - powiedział marathijski oficer Szaszi. - Jeżeli zdobędziemy miasto, będziemy je mieć.

- To nie wystarczy - mruknął Kungas. - One się nie nadają. - Zerknął na Holkara. - Ty masz szpiegów w Supparze. O ile się nie mylę, te działa to umocowane na stałe bombardy obronne.

Dadadzi Holkar pokiwał głową.

- To ogromne działa. Są trzy, skierowane na port, aby odeprzeć ewentualny atak z morza. - Skrzywił się. - Podejrzewam, że można je ruszyć z miejsca, ale...

- Zapomnij - przerwał mu Kuzanin. - Możemy użyć tych dział, żeby bronić Suppary przed malawiańskim atakiem od strony morza, ale na nic się nie przydadzą w lądowej kampanii przeciwko armii Venandaktry. Potrzebujemy pomocy Rzymian. Jestem pewien, że do tej pory Belizariusz zdołał już rozgryźć tajemnicę broni palnej i nauczył się ją produkować. Gdybyśmy zdołali się z nim skontaktować, Etiopczycy mogliby przesznułować dla nas broń. I utrzymać stałe dostawy prochu.

Zebrani w kabinie popatrzyli po sobie.

- A więc musimy wysłać kogoś do Rzymu - przemówił Bindusara.

- Nie do Rzymu - skorygował Dadadzi. - Do Belizariusza. Dla rzymskich władz jesteśmy tylko dziwnymi obcokrajowcami, tylko Belizariusz dobrze nas zna.

Peshwa wyprostował się na całą wysokość.

- Ja pojedę - oznajmił. - Nasza delegacja musi być dowodzona przez kogoś, kto jest wysoko postawiony na dworze imperatorowej, a także osobiście znany Belizariuszowi. To oczywiste, że ja powinienem pojechać.

- Nonsens! - krzyknęła Szakuntala. - To zupełne szaleństwo. Przecież jesteś moim peshwą, Dadadzi. Potrzebuję cię tutaj.

Holkar zmarszczył brwi.

- Ale tylko ja jestem..

Przerwał i popatrzył zaskoczony na Kungasa.

Kuszański dowódca sapał głośno. Gdyby ktoś inny wydawał podobny dźwięk, mógłby on zostać uznany za przejaw dobrego humoru. W przypadku Kungasa trudno było orzec.

- Przecież to dowódca twojej przybocznej straży! - zaprotestował Dadadzi.

Szakuntala machnęła ręką.

- Już go nie potrzebuję na tym stanowisku. Kaniszka z powodzeniem zajmie jego miejsce.

Właściwie talent Kungasa tylko się marnował.

Niemal wszyscy w kabinie wlepili w wojownika zdumione spojrzenia. Na twarzach zebranych malował się sceptycyzm połączony z wahaniem.

Szaszi odchrząknął.

- Wybacz mi, wasza miłość, ale wydaje mi się, że wysyłanie Kungasa to nie jest najlepszy pomysł. On nie jest wysoko urodzony... no, ani bramin, ani ksatrijas... i boję się, że... e... rzymski generał Belizariusz poczuje się obrażony, jeżeli twój ambasador będzie... no... e... tak nisko...

Nie dokończył, gdyż zebrani wybuchli gromkim śmiechem. Śmiali się głównie Etiopczycy, ale imperatorowa także się dołączyła, i nawet Kungas wydał z siebie skąpy chichot.

Dadadzi tylko się uśmiechnął.

- Nie rozumiesz, Szaszi - powiedział, potrząsając głową. - Rzymianie w większości... a Belizariusz szczególnie, nie patrzą na te sprawy tak jak my, Hindusi. Są bardzo zasadniczy w kwestii szlachetnego urodzenia, ale w praktyce... - Wzruszył ramionami. - Tak długo, jak Kungas pozostaje oficjalnym wysłannikiem imperatorowej i ma wystarczająco dostojnie brzmiący tytuł, Rzymianie będą usatysfakcjonowani. A z pewnością Belizariusz będzie.

- Dobrze powiedziane, Dadadzi - odezwała się Szakuntala. Skinęła władczo na Kungasa. - Mianuję cię więc moim ambasadorem w Rzymie i nadaję tytuł Mahadandanayaka oraz Bhatasvapati.

Na twarz Kungasa wypłynął nieśmiały uśmiech. Ledwie go było widać.

- Wielki Dowódca oraz Pan Armii i Kawalerii - mruknął. - O mamó, ależ awansowałem w hierarchii świata!

Szakuntala zauważyła kątem oka, że Garmat zmienił się na twarzy. Radość została zastąpiona zmarszczonymi brwiami.

- Nie zgadzasz się - orzekła. W jej głosie nie było oskarżenia, jedynie pytanie.

Stary pół-Arab szarpnął się za brodę.

- Tak, imperatorowo, nie zgadzam się. - Machnął lekceważąco ręką. - Nie, oczywiście nie z powodów podnoszonych przed chwilą. Kungas byłby całkiem dobrym ambasadorem z rzymskiego punktu widzenia. A nawet więcej niż dobrym, jeżeli chodzi o Belizariusza. Generał ufa mu i go podziwia. Wiem o tym... sam mi powiedział.

Indyjscy oficerowie, zebrani w kabinie, jak jeden mąż popatrzyli na Kungasa. Jak zwykle twarz kuszańskiego dowódcy była nieprzenikniona niczym kamienna maska. Znow przypomniano im, że ten niepozorny Kuszanin, którego podświadomie uważają za nisko urodzonego pół-barbarzyńcę, cieszy się doskonałą reputacją wśród narodu, który jest uznawany za najpotężniejszy na świecie. Oni sami za to nie mieli szans, aby osiągnąć taki sam status.

- A więc w czym problem? - spytała dziewczyna.

Garmat wyjął wargi.

- Problem, imperatorowo, jest trojakiej natury. - Uniósł kciuk. - Po pierwsze, zamierzasz wysłać z misją jednego z lepszych oficerów, bardzo kompetentnego w sprawach strategii, i to w przeddzień wielkiej bitwy. Wierzę, że mimo działań zdobędziecie Supparę, ale jak ustalaliśmy wcześniej, aby tego



dokonać, najpierw Kuszanie muszą zdobyć działa, i to przez zaskoczenie. Jeżeli się nie uda, nie możesz nawet myśleć o lądowaniu w Supparze z marathijską konnicą. Statki zostaną zniszczone, zanim dotrzecie do portu.

Wskazał na Kungasa.

- Gdybym był tobą, to właśnie Kungasa wybrałbym na dowódcę tego oddziału. Nikogo innego.

Szakuntala potrząsnęła głową. Mężczyzna uniósł rękę, uprzedzając jej słowa.

- Nie, imperatorowo. Nie możesz czekać, aż bitwa się skończy, i dopiero potem wysłać Kungasa z misją. Nie mamy czasu do stracenia. Potrzebujesz pomocy Rzymian. Ja sam muszę was opuścić już jutro i wrócić do negusa nagast, aby zdać mu raport. Wasz ambasador... kimkolwiek będzie, powinien popłynąć ze mną.

Szakuntala pochyliła głowę, zamyślona. Młoda imperatorowa, jak zwykle, szybko podejmowała decyzje.

- Zgadzam się. Nie mamy czasu.

Uniosła głowę.

- A inne powody?

Garmat wyprostował drugi palec.

- Po drugie, myślę, że misja Kungasa będzie daremna. Jak ma niby znaleźć Belizariusza? W tym chaosie w Persji?

Etiopczyk zaśmiał się drwiąco.

- Trudno będzie znaleźć tam kogokolwiek, a co dopiero Belizariusza. Generał powiedział mi raz, że wojenny chaos jest jego najlepszym przyjacielem. Stwierdził, że ten, kto kocha zamieszanie, zawsze odniesie wielkie korzyści. Czy rozumiecie, co to znaczy?

Marathijscy oficerowie Szakuntali marszczyli brwi, podobnie jak sama imperatorowa. Było oczywiste, że uważają umiłowanie Belizariusza do wojennego chaosu za skrajnie dziwaczne.

Tylko Kungas rozumiał i pokiwał głową.

- Belizariusz rozpęta tam istny zamęt - powiedział. - Zrobi wszystko, co w jego mocy, żeby wytworzyć jak największy chaos, a potem wykorzysta go najlepiej, jak potrafi.

Kuszanin potarł dłonią czubek głowy.

- On nie tylko może być wszędzie, lecz postara się spowodować wrażenie, że jest tam, gdzie go tak naprawdę wcale nie ma. - Chrząknął, częściowo z zachwyty, po części ze złości. - Oczywiście, chce wprowadzić wroga w błąd. Ale tak samo zmyli sprzymierzeńców, którzy zapragną go odszukać.

Pocieranie głowy zamieniło się w gwałtowne szarpanie włosów.

- To będzie trudne. Oj, trudne.

- To będzie niemożliwe - uściślił Garmat. - I w efekcie zupełnie niepotrzebne.

Odczekał chwilę, aby zebrani dokładnie przetrawili jego słowa, a potem uniósł trzeci palec.

- Trzeci powód, imperatorowo, jest bardzo prosty. Nie ma potrzeby wysłać Kungasa do Rzymu, gdyż jestem całkowicie pewny, że Rzym... a właściwie Belizariusz, już wysłał ambasadora do ciebie. I jestem przekonany, że ten ambasador wiezie dla ciebie to, czego potrzebujesz.

Wszyscy zagapili się na starego człowieka. Na wszystkich twarzach malowało się zaskoczenie... Wszystkich z wyjątkiem etiopskich.

- Ty coś wiesz - stwierdził Holkar.

- Nic konkretnego - zastrzegł się Ezana. - Tylko...

Garmat odchrząknął.

- Królestwo Aksum ma w Rzymie małą, ale dość sprawną siatkę szpiegowską. Już od co najmniej stu lat. - Skrzywił się lekko i nieco przepaszająco. - Zważcie, że pomiędzy nami i Cesarstwem nigdy

nie było kłopotów. Od czasu gdy cesarz Dioklecjan ustanowił granicę rzymskich terytoriów w Afryce na rzece Elephantine, panuje tam całkowity spokój. Ale jednak...

Wzruszył ramionami.

- Rzym to wielkie imperium, a nasz kraj jest mały. Zawsze lepiej trzymać rękę na pulsie i pilnować, czy większy sąsiad czegoś nie planuje. Niezależnie od obecnych stosunków i nastawienia. Nigdy nie możesz wiedzieć. Czasy się zmieniają.

Hindusi pokiwali głowami ze zrozumieniem. To było rozsądne. Ich własna historia obfitowała w gwałtowne i nieoczekiwane zdarzenia.

- Oczywiście nasza uwaga koncentruje się na Egipcie. Większość ludności wyznaje tam monofizytyzm, co jest dla nas korzystne. Nasza wiara jest bardzo podobna i wielu Egipcjan postrzega nas jako duchowych braci. Wielu monofizyckich przywódców, prześladowanych w Cesarstwie, znalazło schronienie w Etiopii. Trwa to już kilka lat, odkąd zaczęły się prześladowania, podsycane przez ortodoksów...

Przerwał, gdyż dotarło doń, że większość słuchaczy nie ma pojęcia, o czym on mówi. Tylko Dadadzi Holkar rozumiał, o co chodzi. Garmat z trudem powstrzymał się od mamrotania.

*Przekłęci, aroganccy Hindusi!*

- Nieważne - westchnął.

Chociaż lubił i podziwiał wielu Hindusów, po raz kolejny zaskoczony był ich ograniczonym pojmowaniem świata. Nawet najbardziej otwarci mieszkańcy Indii mieli tendencję do patrzenia na szeroki świat poza granicami ich kraju jako na niezróżnicowaną masę pół-barbarzyńców. Na tym tle Holkar stanowił wyjątek. A jeżeli chodzi o odłamy chrześcijaństwa, zupełnie ich to nie interesowało.

- Chodzi o to - mówił dalej - że jakiś czas temu dotarły do nas informacje o rzymskiej ekspedycji do Egiptu. Ma ona podłoże polityczne i składa się z żołnierzy. Oficjalnie jej celem jest zdławienie rodzącej się tam rebelii i odnowienie rządów twardej cesarskiej ręki. To najbogatsza prowincja Rzymu. Ale kogo wysłali na czele ekspedycji? Żonę Belizariusza, Antoninę.

Wzruszył ramionami.

- Oczywiście, to tylko spekulacje. Ale znając Belizariusza, nie zdziwiłbym się, gdybym miał rację. Oczywiście, Antonina ma do wykonania w Egipcie właśnie takie zadanie... Rzymianie naprawdę muszą przywrócić tam spokój. Lecz jestem całkiem pewien, że pod tym kryje się drugie dno. Myślę, że Belizariusz wysłał swoją żonę, aby stworzyła drugi front walki przeciwko Malawianom. I bardzo bym się zdziwił, gdyby ten plan nie obejmował udzielenia pomocy militarnej Andhrze.

Popatrzył na Szakuntalę znacząco. Młoda imperatorowa i jej peshwa, którzy dobrze zrozumieli znaczenie spojrzenia, skinęli głowami. Szakuntala, dbając o swój wizerunek, nigdy publicznie nie wyjaśniła, gdzie i jak zdobyła ogromną fortunę, za pomocą której finansowała armię i całą kampanię wojenną. Jej marathijscy oficerowie, chroniąc się pod skrzydłami imperatorowej, kiedy uciekła z malawiańskiej niewoli, nie pomyśleli nawet, żeby o to zapytać. Imperatorowe są z definicji bogate. Wszyscy to wiedzą. Takie jest prawo natury.

W rzeczywistości ścigana młoda dziewczyna dostała skarb od samego Belizariusza - w przeddzień ucieczki. Były to pieniądze, którymi imperator Skandagupta próbował skusić generała, aby ten zdradził Rzym i przeszedł na stronę Malawy. Rzymski generał dał pieniądze Szakuntali, żeby ta rozpętała powstanie na tyłach Imperium Malawy.

- Czy ten człowiek by o tobie zapomniał? - zapytał Garmat cicho. - Czy ten człowiek porzuciłby swoje plany?

Szakuntala szerzej otworzyła oczy.

- Masz rację - szepnęła. - Kogoś do nas wysłał. Belizariusz z pewnością by o tym pomyślał.

Opuściła nieco ramiona, jakby odetchnęła z ulgą. Nagle wszyscy zrozumieli, jak trudno było jej podjąć decyzję o wysłaniu Kungasa do Rzymu.

- Zostajesz, Kungasie - oznajmiła. - Zostaniesz tutaj, ze mną.

Kuszański dowódca skinął głową.

- Jak szybko obraca się koło fortuny - mruknął tylko z drwiącym uśmiechem.

Szakuntala zmarszczyła brwi gniewnie.

- Nonsens! Nie zabieram ci twoich tytułów... No, może z wyjątkiem ambasadora Rzymu. Ciągłe jesteś Mahadandanayaka. Ciągłe moim Bhatasvapati.

Jej oczy złagodniały. Patrzyła na człowieka, który niegdyś był jej prześladowcą, ale zawsze obrońcą.

- Tak jak od czasów Amavarati - szepnęła. - Kiedy uratowałeś mnie przed bestiami Ye-tai.

\* \* \*

Kiedy jakiś czas później wyszli z kajuty, marathijski dowódca Szaszi zaczął Garmata.

- Zastanawiam się, kogo Rzymianie do nas wyślą? Z pewnością będzie to jakiś sławny generał.

Pół-Aksumita nie odpowiedział, gdyż z trudem walczył ze śmiechem. Popatrzył na Ezanę i Wahsiego i ujrzał, że jego etiopsy ziomkowie toczą tę samą bitwę.

Szaszi poszedł sobie.

- Biedny koleś - mruknął Wahsi.

- Cóż za szok go czeka, kiedy się dowie - zgodził się Ezana.

Garmat przekonał się nagle, że teraz musi walczyć z głośnym wybuchem śmiechu. Trzy lata temu obaj mężczyźni towarzyszyli mu w podróży do Rzymu.. Znali realia rzymskiego dworu. A także fobie i słabostki cesarzowej Teodory.

Ale nie odezwał się. Począł, aż wdrapią się na pokład małej szalupy i ruszą w kierunku swojego statku. Dopiero wtedy pozwolił sobie na śmiech. Ezana i Wahsi szybko do niego dołączyli.

- To na pewno będzie kobieta! - chichotał Ezana.

- Teodora nie zaufa nikomu innemu - wykrztusił Wahsi. - Szaszi umrze z przerażenia!

Garmat potrząsnął głową.

- Właściwie to niesprawiedliwe. Nie zapominajcie, to Marath. Przecież oni uznają władzę żeńskich imperatorów. Mają nawet w historii przypadki kobiet, które prowadziły armię do boju. Ciągłe jednak...

Zamilkł. Oczywiście nie mógł być do końca pewny... tylko spekulował. Lecz sądził, że potrafi zgadnąć, kogo Teodora i Belizariusz wyślą z misją do Indii.

Nie Antoninę. Pół-Arab był całkiem pewny, że generał ma względem swojej żony ambitniejsze plany. A w kręgu najbliższych doradców cesarzowej, doradców płci żeńskiej, pozostawała jeszcze tylko...

Ezana dokończył jego myśl głośno.

- Może i mają te swoje tradycje, Garmacie - zachichotał - ale nawet Marathowie nie spotkali nigdy takiej sarkastycznej baby o ostrym języku i umyśle jak brzytwa, która przeczytała w życiu więcej książek, niż istnieje na świecie, w którym oni żyją.

- Biedny Szaszi - powtórzył Wahsi. - To taki sztywniak. Widzę, że w przyszłości spotka go wielki cios i jego rzeczywistość legnie w gruzach. Cóż za wielkie nieszczęście.

*Lato, 531 n.e.*

## **Rozdział 22**

- Uważaj - syknęła Antonina.

- Przecież uważam - warknęła Irena. - To przez tę głupią łódkę.

Kobieta-szpieg, niepewnie i ostrożnie, po raz kolejny wyciągnęła przed siebie nogę, po czym złapała reling małej szalupy, kołyszącej się przy burcie okrętu flagowego Antoniny. Morze nie było bardzo wzburzone, ale Irena jeszcze nigdy nie próbowała przejść z pokładu większego statku na mniejszy.

Wreszcie dotknęła stopą pokładu, ale mała łódeczka chybnęła się pod naciskiem. Kobieta gwałtownie zabrała nogę i przywarła do sznurowej drabinki. Z jej ust popłynął strumień wulgarnych przekleństw, szorstkich słów, nieładnych wyrażen. Przeznaczonych dla świata w ogóle i dla małych łodzi w szczególności.

Na górze, na pokładzie, Ousanas szczerzył radośnie zęby.

- Wszyscy są świadkami! Zdarzył się cud! Jest wreszcie jakaś książka, której Irena nie czytała! Oczywiście mam na myśli „O przechodzeniu z pokładu na pokład na wzburzonym morzu” autorstwa słynnego Profanitesa Dyspepsjusza.

Strumień przekleństw zrobił się naprawdę wulgarny. Zawierał w sobie obsceniczne określenia, nieoczekiwane wstrętne frazy. Tym razem dotyczyły one w szczególności pewnego Afrykanina.

W odpowiedzi Afrykanin rozpromienił się jeszcze bardziej.

- Może ci pomogę? - spytał grzecznie.

Kobieta popatrzyła na niego z wściekłością.

- Tak! - warknęła. - Wsadź mnie wreszcie do tej idiotycznej łodzi!

- Nie ma problemu, moja szlachetnie urodzona grecka damo - odparł Ousanas radośnie.

Dawazz przeskoczył przez reling okrętu flagowego Antoniny, przez zaledwie ułamek sekundy oceniał sytuację, a potem skoczył dokładnie na sam środek szalupy, bujającej się na falach poniżej. Wyładował lekko na obu nogach i z łatwością złapał równowagę. Następnie popatrzył na Irenę. Kobieta-szpieg wisiała na drabince na tle burty większej jednostki. Była blada; zaciskała dłonie na sznurze tak mocno, że kłykcie pobielały jak śnieg.

- Skacz - powiedział.

Irena szeroko otworzyła oczy. Popatrzyła na niego, jakby był niebezpiecznym wariatem.

- Skacz - powtórzył mężczyzna. - Złapię cię.

- Musisz być całkowicie szalony! - zaskrzeczała.

Ousanas podniósł wzrok na okręt flagowy. Antonina i Eon przechylali się przez reling. Na twarzy żony Belizariusza malowała się głęboka troska. Eon z trudem powstrzymywał się od śmiechu.

- Eonie! - zawołał Ousanas. - Odetnij drabinkę!

- Doskonały pomysł! - ucieszył się tamten. Książę wyciągnął miecz z pochwy. Był to typowy aksumicki oręż, tylko staranniej wykonany niż większość z nich. Miał krótkie, zakończone tępo ostrze i był bardzo ciężki... podobny bardziej do wielkiego tasaka niż do rzymskiej spathy.

Przyjaciółka Teodory z przerażeniem popatrzyła na miecz. Ostrze wyglądało na takie, które przetnie grube sznury niczym siekiera. Eon, umięśniony niczym Herkules, uniósł wysoko miecz.

- Aaaa! - krzyknęła Irena i konwulsyjnie odepchnęła się od drabinki.

Spadła nie więcej niż półtora metra w dół. Dawazz złapał ją z łatwością, a następnie delikatnie postawił na pokładzie szalupy. Chwilę później kobieta opadła bezwładnie na zwój lin umieszczony na pokładzie.

- Jesteś paskudną istotą - syknęła. - I pochodzisz z paskudnego kraju. - Sapała przez chwilę. - Teraz wiem, skąd Homer czerpał inspirację, kiedy pisał o cyklopach.

Ousanas mlasnął językiem.

- Taki okrutny - jęknął. - Taki bezwzględny!

- Wszystko w porządku, Ireno? - spytała Antonina z góry.

Kobieta-szpieg odetchnęła głęboko i chrapliwie, a potem nagle uśmiechnęła się szeroko.

- Właściwie to nic mi nie jest. Pierwszy etap misji zakończył się powodzeniem!

Uśmiechnęła się do Ousanasa.

- Przepraszam cię za obelgi i nieuprzejme uwagi.

Mężczyzna zamrugał, spodziewając się najgorszego.

- Nie chciałam pokalać pamięci tych biednych potworów z legendy - syknęła.

\* \* \*

Na pokładzie Antonina i Eon popatrzyli na siebie.

- Jesteś pewna, Antonino? - zapytał książę. - Przed tobą trudne zadanie. Moi sarweni mogą ci pomóc. Mam prawo wykorzystać ich w dowolnym celu. Tak jak ci powiedziałem, mój ojciec zaoferował Rzymowi pełne przymierze.

Kobieta potrząsnęła głową.

- Nie, Eonie. Z pewnością przyjmujemy ofertę negusa nagast. Właściwie Teodora dała mi polecenie, abym sama wystąpiła z taką propozycją. Ale jeżeli nie zdołam przywrócić władzy Rzymu w Egipcie tymi siłami, którymi dysponuję, cztery setki aksumickich żołnierzy nie zrobią wielkiej różnicy.

Rzuciła okiem na etiopski okręt wojenny. Zaledwie sto metrów dalej jednostka kołysała się łagodnie na falach. Przy relingu stali żołnierze z Dakuen Sarwe. Oceniała, że jest ich około pięćdziesięciu. Reszta oddziałów Eona czekała na niego w małym porcie Pelusium, w odległym wschodnim końcu delty Nilu.

- Poza tym - dodała - obecność aksumickich sarwenów może spowodować problem natury politycznej. Chcę stłumić powstanie ultrachalcedońskich fanatyków w Egipcie, ale bez alarmowania większości ortodoksyjnych Greków. Wiesz, że oni patrzą na Etiopczyków jako na sprzymierzeńców monofizyckich uchodźców. Jak na zagranicznych heretyków, których Rzym używa przeciwko własnym obywatelom.

Eon pokiwał głową, głęboko zamyślony. Antonina po przyjacielsku położyła dłoń na jego ramieniu.

- Tak więc widzisz, muszę odrzucić twoją propozycję. Chociaż bardzo ci dziękuję i proszę, przekaz te podziękowania swojemu ojcu.

- Dobrze.

- Przekaż mu także, że Rzymianie zgadzają się na proponowany alians. Kiedy Irena dotrze do Aksum, stanie się odpowiedzialna za negocjację szczegółów z negusa nagast. Ma do tego pełne uprawnienia i możesz powiedzieć swojemu ojcu, że cesarzowa Teodora ufa jej bezgranicznie. W tej chwili twoi sarweni przydadzą się najlepiej jako jej eskorta.

Ona także się uśmiechnęła.

- Tak jest lepiej. Nie mogę pogodzić się z myślą, że Irena pojedzie do tego indyjskiego kotła. Ale przynajmniej wiem, że nie będzie sama i to mnie ratuje. Z tobą, Ousanasem i czterema setkami

Dakuenów nie ma się czego obawiać. - Zadrzała lekko. - A jeżeli już o tym mowa, jestem szczęśliwsza, odkąd wiem, że nie będzie musiała stawić czoła piratom z Morza Czerwonego bez...

- Piraci - warknął Eon i wybuchł szczekliwym śmiechem.

Za nim stali trzej oficerowie Dakuen Sarwe. Byli przywódcami królewskiego regimentu księcia Eona i nie bez powodu uważali się za wyborowych żołnierzy. A także żeglarzy. Odpowiedzieli na warknięcie księcia pełnymi ognia spojrzeniami, a na jego śmiech chrząknięciami i parsknięciami, oznaczającymi pogardę i lekceważenie.

- Piraci - mruknęli. Tak mogłyby mówić lwy, oczywiście gdyby potrafiły mamrotać. Tak brzmiałoby słowo: „hieny”. Albo antylopy, sarny.

Mięso.

Antonina wyszczerzyła zęby w uśmiechu. Uścisnęła księcia mocno. On także odwzajemnił uścisk, chociaż dość niepewnie. Jak uprzejmy, młody, wysoko urodzony chłopiec, który ściska szanowaną, podziwianą... i bardzo piękną starszą kobietę.

- Uciekaj - szepnęła. - I zadbaj o Irenę. Zrób to dla mnie i dla Teodory. I dbaj też o siebie.

Chwilę później Eon i jego oficerowie bez najmniejszych problemów zeszli na pokład szalupy. Kiedy tylko stanęli na pokładzie, zrzucano cumy i łódka odbiła od burty. Oficerowie złapali za wiosła. Zgodnie z aksumicką tradycją wszyscy żołnierze zaczęli od szeregowców. Tak więc oficerowie wiedzieli, jak się wiosłuje, i robili to doskonale. Szalupa szybko płynęła w kierunku etiopskiego okrętu wojennego.

Antonina i Irena patrzyły na siebie przez cały czas trwania tej krótkiej podróży. Przez ostatnie trzy lata, lata wytężonej pracy i walki z malawiańskim złem, stały się naprawdę bliskimi przyjaciółkami. Teraz każda z nich ruszała własną drogą, prosto w paszczę bestii. I istniało spore prawdopodobieństwo, że już nigdy się nie zobaczą.

Żona Belizariusza z trudem powstrzymywała łzy.

- Boże, będę za tobą tęsknić - szepnęła. - Tak bardzo.

Zobaczyła, jak Irena, odległa o jakieś trzydzieści metrów, odwraca głowę. Antonina nie mogła nie zauważyć podejrzanego błysku w jej oczach. Tamta także walczyła ze łzami.

Antonina przeniosła spojrzenie z przyjaciółki na Eona. Księżę siedział na ławeczce tuż przy sterze szalupy. Mogła dostrzec, jak powoli wodzi głową tu i tam; badał wnikliwie powierzchnię morza.

Zdała sobie sprawę, że młodzieniec już zaczął wywiązywać się z obietnicy. Już chronił Irenę przed wszelkim niebezpieczeństwem.

A potem uśmiechnęła się, gdyż w szerokich ramionach Eona było tyle aroganckiej pewności siebie i siły. Antonina czuła, że księżę może każdego osłonić tymi ramionami.

Oczywiście, rekiny nic sobie nie robiły z ramion. Ale gdyby miały takowe, z łatwością stawiłyby czoła największym morskim potworom.

Tuńczyk. Ośmiornica. Płaszczka.

Mięso.

\* \* \*

Kiedy szalupa, wioząca Irenę, dotarła do punktu przeznaczenia, z rzymskich jednostek ruszyły w kierunku aksumickiego okrętu wojennego inne łódeczki, mające na pokładach różne towary.

Trzy z nich wiozły beczułki z prochem. Dwie załadowano działami - trzyfuntowymi, odlanymi z mosiądzu; każda łódka miała na pokładzie jedno z nich. Dwie pozostałe wiozły małe oddziały syryjskich grenadierów, wraz z żonami i dziećmi, którzy ochoczo zgodzili się towarzyszyć Irenie w podróży do Indii. Jeżeli wszystko poszłoby dobrze, mieli być nauczycielami żołnierzy, których

zebrała wokół siebie imperatorowa Szakuntala. Z ich pomocą w Indiach miała powstać armia uzbrojona w broń prochową.

Drobne dłonie Antoniny zacisnęły się na relingu. Kiedy jej mąż, Belizariusz, był w Indiach, robił wszystko, aby wywołać powstanie. Nie należał on do ludzi, którzy zapomnieliby czy opuścili sprzymierzeńców.

Nie mój mąż, pomyślała z dumą i poczuciem siły.

Nie znała przyszłości. Ale nie zdziwiłaby się, gdyby wiedziała, że w przyszłości, w każdej z możliwych przyszłości, imię Belizariusza zawsze będzie pamiętane ze względu na dwie rzeczy.

Doskonały umysł militarny. I lojalność.

Rzuciła ostatnie spojrzenie na małą i odległą figurkę swojej przyjaciółki, po czym odwróciła się od relingu. A potem przeszła, a raczej przemaszerowała na dziób swego okrętu i popatrzyła na wody Morza Śródziemnego.

Patrzyła na południowy zachód. W kierunku Aleksandrii.

Znów złapała za linę relingu. Teraz nawet mocniej.

W milczeniu składała obietnice. Jeżeli Irena dotrze bezpiecznie do Indii, dalej wszystko pójdzie bez trudu. Jeżeli Belizariusz nie zdoła wesprzeć powstania w Andhrze, to nie stanie się to z powodu porażki Antoniny.

Wjedzie do Aleksandrii, i do Egiptu, i przywróci tam panowanie Rzymu. Wykorzysta zasoby i rzemieślników tej najbogatszej prowincji i uczyni z niej zbrojownię Cesarstwa, służącą wojnie z Malawą.

Ta zbrojownia, obok innych zastosowań, będzie także służyła Szakuntali i jej powstańcom. Wiele dział popłynie na południe. Rakiety, ręczne działa, proch, granaty... oraz mężczyźni i kobiety, którzy potrafią ich używać i mogą nauczyć tego innych.

Na południe, do Aksum. A potem, przez Morze Czerwone, do Maharasztry. Jakoś, kiedyś, ta broń trafi do rąk młodej imperatorowej, którą Belizariusz uwolnił z malawiańskich rąk.

Przywarła do relingu i popatrzyła gniewnie na ciągle niewidzialnych ludzi, którzy opierali się jej woli. Tych samych ludzi, a przynajmniej ludzi ich pokroju, co przez całe życie z niej kpili.

Gdyby w tej chwili jakiś rekin dojrzał sylwetkę drobnej kobietki na pokładzie rzymskiej galery wojennej, z pewnością by ją rozpoznał. Oczywiście nie poznałby ciała... kształtna postać Antoniny w niczym nie przypominała ryby. Prymitywny umysł istoty nie nawiązałby także więzi intelektualnej.

Ale rekin natychmiast by ją rozpoznał. O tak. Instynktownie zobaczyłby w niej pokrewną duszę.

*Głód. Chcę mięsa.*

# MEZOPOTAMIA

*Lato, 531 n.e.*

## Rozdział 23

W Peroz-Szabur Belizariusz zarządził pierwszą dłuższą przerwę w marszu, odkąd trzy miesiące wcześniej opuścili Konstantynopol. Armia miała pozostać w mieście przez siedem dni, jak oznajmił. Wszyscy żołnierze mogli bez przeszkód korzystać z miejskich uroków, wyjąwszy jednostki oddelegowane do pełnienia funkcji żandarmerii, ale i te wybierane były sprawiedliwie ze wszystkich oddziałów i podlegały ciągłej rotacji.

Po oznajmieniu całej zebranej na placu armii tej szczęśliwej wieści Belizariusz szybko oddalił się do swojego namiotu. Zajęło mu to około dziesięciu minut, w którym to czasie jego oddziały nieprzerwanie wywrzaskiwały jego imię. Po nim przemawiał Maurycy - i to właśnie on przestrzegł żołnierzy przed nadużywaniem perskiej gościnności, grożąc im licznymi, bardzo krwawymi i okrutnymi karami.

Żołnierze nie przejęli się jednak zbyt groźbami Maurycego. Powitali nawet jego krótki sadystyczny monolog okrzykami radości. Co prawda, nie trwały one aż dziesięciu minut. Uśmiechnięci wojacy nie mieli wątpliwości, że groźby zostaną spełnione, jeżeli zajdzie taka potrzeba. Po prostu były one zbyt skuteczne.

Żołnierze byli w doskonałym nastroju. I tak właśnie powinno być.

Po pierwsze, w perspektywie mieli tydzień bez marszu.

Po drugie, tydzień ten mieli spędzić w sporym i gwarnym mieście. A Persowie już zadbali o kwatery. Były nawet łóżka, a przynajmniej solidne posłania.

I na końcu, co sprawiało im największą radość, mieli spędzić cały tydzień bez marszu, w dużym i gwarnym mieście, i w dodatku z pełnymi sakiewkami. I dotyczyło to każdego żołnierza bez wyjątku.

Mieli pieniądze, więcej pieniędzy, niż każdy z nich widział w całym swoim życiu. Nieświadoma i nieco wymuszona szczodrość imperatora, w którego willi po przejściu wojska nie został nawet gram złota, oraz całkiem solidne łupy, pochodzące ze zwyciężonej armii Malawian, sprawiły, że mała armia Belizariusza dosłownie opływała w dostatki, jak żadna inna w historii świata.

A Persowie z Peroz-Szabur wiedzieli o tym doskonale. Zresztą i tak rzymscy żołnierze byliby tu popularni, nawet gdyby nie mieli grosza przy duszy. Belizariusz i jego ludzie właśnie rozgromili malawiańską armię, a stanowiło to największe zwycięstwo od czasu, gdy wróg najechał na Persję. I podczas gdy Kurusz i jego kopijnicy także zasłużyli na swoją porcję sławy, nie mogła ona się równać z glorią, w jakiej chodziły oddziały rzymskie.

Mieszkańcy Peroz-Szabur cudem uniknęli oblężenia, a co więcej ci, którzy uratowali ich przed nienawidzonym wrogiem, mieli w kieszeniach tyle złota, że w przeciągu nocy mogli znacznie wzbogacić sakiewkę niejednego człowieka.

*Chwała zwycięzcom!*

Kiedy Rzymianie wmaszerowali do Peroz-Szabur, ulice dosłownie pękały w szwach od Persów, wznoszących pochwalne okrzyki. Wielu przyszło tu, aby oddać cześć zwycięzcom. Ale byli też inni - kupcy, szynkarze, prostytutki, jubilerzy - którzy mieli dodatkowe motywy. Proste, nieskomplikowane motywy, doskonale uzupełniające się z nieskomplikowanymi potrzebami rzymskich żołnierzy.

Zatem kiedy generał wrócił do namiotu, nie martwił się o to, że w mieście dojdzie do niebezpiecznych incydentów. Co w pełni mu odpowiadało, gdyż potrzebował nieco czasu dla siebie i nie chciał się rozpraszać.



Musiał pomyśleć. I rozważyć wszelkie możliwości.

\* \* \*

Trzeciego dnia w południe w jego namiocie zjawił się Baresmanas.

- Dlaczego nie zatrzymałeś się w mieście? - spytał na samym wstępie.

Sahrdaran rozejrzał się po skromnie urządzonej pawilonie, z którego Belizariusz zawsze korzystał podczas kampanii. Wokół siebie nie widział żadnych przedmiotów zbytku, które mogłyby wskazywać na to, że generał zażywa zasłużonego odpoczynku. No, może z wyjątkiem amfory z winem i lekko odchylonych klap namiotu, przez które wpadała ożywcza bryza.

Trak popatrzył na niego z posłania, na którym siedział, na wpół oparty o poduszkę, leżącą tuż obok skrzyni na osobiste rzeczy. Z uśmiechem zamknął czytaną właśnie książkę i skinął w kierunku krzesła, stojącego tuż obok stolika do pisania. Stolik i krzesło stanowiły jedyne meble w namiocie.

- Usiądź, Baresmanasie. Wyglądasz na zmęczonego.

Perski szlachcic opadł na krzesło i westchnął ciężko.

- Bo jestem zmęczony. To miasto to dom wariatów! Żołnierze hulają dzień i noc!

- Wyobrażam sobie, bezwstydnie i bez żadnych ograniczeń. - Generał wyszczerzył zęby. - Nie możesz się wyspać. Nie słyszysz własnych myśli. Ku własnemu zdumieniu wspominasz swój namiot jak wymarzoną, spokojną przystań.

Baresmanas zachichotał.

- Widzę, że wszystko przewidziałeś.

- Nie mam pojęcia, jak perscy żołnierze świętują zwycięstwo. Może są bardziej powściągliwi...

- Ha!

- A nie? - Belizariusz uśmiechał się szeroko. - Ale znam dobrze rzymskich żołnierzy. Nawet demona z otchłani doprowadziliby do rozpaczki już samym hałasem, jaki robią.

Generał przechylił głowę.

- Mam nadzieję, że nie było poważniejszych problemów?

Baresmanas potrząsnął głową.

- Nie, nie. Trochę skarg od nobliwych matron, oczywiście, wkurzonych prowadzeniem się przyzwoitych do tej pory córek. Ale nawet one martwią się bardziej tym, co stanie się za dziewięć miesięcy, niż niestosownością dzisiejszego zachowania. Wiesz, my, Ariowie, z dezaprobatą patrzemy na bękarty.

Belizariusz uśmiechnął się.

- Każdy naród, jaki znam, z dezaprobatą patrzy na bękarty... ale w jakiś sposób sobie z nimi radzi.

Potał podbródek.

- Może coś w rodzaju dożywotniej pensji od armii? Dyskretnej, ma się rozumieć, złożonej w odpowiedzialne ręce, zanim odjedziemy. Może miejscy notable?

Sahrdaran zastanawiał się przez chwilę.

- Myślę, że kapłani będą lepsi. - Wzruszył ramionami. - Zresztą to i tak nie będzie duży problem. Matrony są bardziej zagubione niż rozszoszczone. Wygląda na to, że od dnia przybycia armii padło tu wiele propozycji małżeństwa. Niektóre złożono już po kilku godzinach!

I matki nie wiedzą, co z tym zrobić. Jak zapewne wiesz, nasze zwyczaje są dość surowe w tej kwestii, dużo bardziej niż wasze.

Tak się złożyło, że Belizariusz orientował się dość dobrze w zwyczajach Persów dotyczących małżeństwa. Inaczej niż monogamiczni Rzymianie Persowie mieli kilka różnych typów małżeństwa. Podstawowa odmiana, nazywana patixsayih, przypominała zwyczajne chrześcijańskie małżeństwo, z

tym jedynie wyjątkiem, że dopuszczała wielożeństwo. Ale w Persji legalne były także inne formy, wliczając w to związek na określony czas.

Trak uśmiechnął się; był najzupełniej pewny, że syryjskie oddziały, które od lat stykały się z Medami, znały ich zwyczaje i z wielką chęcią podzieliły się wiedzą z kolegami.

Po chwili uśmiech generała zmienił się w pełną zamyślenia zadumę.

- Baresmanasie, wydaje mi się, że...

- Rzymskie oddziały zabawią w Mezopotamii przez jakiś czas - przerwał mu sahrdaran. On także uśmiechał się, zamyślony. - Może nawet na lata. Peroz-Szabur, ze względu na swoje położenie, stanie się bazą wypadową dla naszej armii, a przynajmniej wszystko na to wskazuje. Żołnierze są zwykłymi ludźmi, a nie bestiami, Cierpią z powodu samotności, a wielu z nich tak samo tęskni za duchem, jak pożąda ciała.

Po raz kolejny Belizariusz ze zdumieniem myślało tym, że człowiek siedzący po przeciwnej stronie namiotu myśli w sposób tak podobny do niego. Przypomniał sobie również o dziwacznej przyjaźni, jaką rozwinęła się pomiędzy nim a Rana Sangą, kiedy przebywał w Indiach. Tam także różnice w urodzeniu i wychowaniu nie stanowiły żadnej bariery... nawet mimo tego, że Rana Sanga był przecież jego wrogiem.

Przez chwilę zastanawiał się, jak król Radzputów radzi sobie w Baktrii.

Podejrzewam, że aż za dobrze, pomyślał ze smutkiem. Lecz mimo wszystko nie potrafił źle życzyć temu człowiekowi... a przynajmniej nie jemu samemu, choć jako generał przeciwstawiał się celowi, któremu tamten służył.

Zmusił się do myślenia o chwili obecnej.

- Myślę, że uda nam się osiągnąć zadowalające wszystkich porozumienie, Baresmanasie. Porozmawiaj z kapłanami, dobrze? Jeżeli będą chętni do współpracy, namówię moich żołnierzy, żeby podeszli do swoich miłosnych podbojów z nieco większym... no, jakby to nazwać?

Sahrdaran uśmiechnął się szeroko.

- Może z nieco dłuższym - zasugerował. - Albo, dla tych, co są nieco bardziej prości, żeby nie powiedziec prymitywni, możesz to nazwać zagwarantowaną rekreacją.

Baresmanas szarpnął się za brodę. Gest ten najwyraźniej wyrażał satysfakcję. Mężczyzna, który miał zwyczaj dbać o siebie, skorzystał z okazji, że stacjonują w większym mieście, i kazał sobie elegancko przystrzyć i uformować brodę. Jednakże dotykając zarostu, nie miał na myśli tylko i wyłącznie czerpania przyjemności z nienagannego wyglądu. Najwyraźniej cieszył się, że niebawem jego problem zostanie rozwiązany. Teraz był to mały problem... ale nawet małe napięcia mogą w przyszłości doprowadzić do wielkich zniszczeń.

- Tak, tak. - Zadumał się. - Nie sądzę, żeby kapłani Mazdy robili jakieś problemy. Matrony także! W końcu każdy Irańczyk jest zadowolony, kiedy może odepchnąć od siebie widmo nieprawego łoża. Nawet jeżeli legalny ojciec nie przebywa przy dziecku, łatwo wyjaśnić jego nieobecność... a już szczególnie, gdy dziecko dostaje pieniądze od armii.

Popatrzył na generała nieco sceptycznie.

Belizariusz zrozumiał to spojrzenie i wzruszył ramionami.

- Dotacje nie są problemem. Armia jest bogata. Dużo więcej niż połowa łupów trafiła w moje ręce. Większa część to moje prywatne pieniądze. Reszta pozostaje pod moją pieczęcią, jako zabezpieczenie dla rannych, kalek oraz wdów i sierot. Ale znajdzie się też pieniądź na inne cele.

- A twoi żołnierze?

- Nie mogę ci obiecać, Baresmanasie, że wszyscy zachowają się odpowiedzialnie. Weź pod uwagę, że ja nie podzielam obiegowej opinii o żołnierskiej naturze podwórzowych kotów. Lecz także

nie mogę traktować ich jako idealnych przykładów życia w rodzinie. Wielu żołnierzy nie martwi się tym, ilu bękartów pozostawiają po sobie... a w liczbę tę wliczam także tych, którzy lubią się chwalić swoją jurnością, chociaż nie dbają o efekty. Ale postaram się jakoś na nich wpłynąć. Jeżeli moi podkomendni mnie wesprą... a na pewno to zrobią...

Przerwał na chwilę, delektując się słowami.

*Na pewno to zrobią. O tak, teraz wreszcie mam armię z prawdziwego zdarzenia.*

- ... żołnierze zaczną konstruować swoje własne zwyczaje. Armie mają tendencję do konserwatyizmu. Jeżeli posiadanie perskiej żony w Mezopotamii... żony tymczasowej, ale jednak żony, stanie się zwyczajem, będą krzywo patrzyli na co bardziej rozwiązłych kolegów. A to bardzo źle, jeżeli twoi koledzy patrzą na ciebie krzywo.

Teraz on popatrzył sceptycznie na Persa.

- Oczywiście zdajesz sobie sprawę, że wielu z tych żołnierzy ma żony w domu, w Rzymie. I że żadna z perskich żon nie zostanie uzna na przez cesarskie prawo.

Baresmanas roześmiał się.

- Proszę, Belizariuszu! - Machnął rękaw lekceważącym geście. - My, pełnej krwi Ariowie, nic sobie nie robimy z praw ostatnich zagranicznych barbarzyńców, którzy w swoich dalekich krajach robią sobie, co chcą.

**Nie będziesz pożądał żony bliźniego swego!** - Belizariusz usłyszał głos Aide.

*Ale to jest inny kraj, A poza tym prostytutki to nie są patixsayih.*

**Ale werset tu pasuje, prawda?**

Generał był zaskoczony. Nigdy jeszcze Aide nie popisało się tak subtelnym zrozumieniem zawłości dotyczących stosunków międzyludzkich.

Klejnot emanował cichą dumą. Belizariusz miał mu właśnie pogratulować, kiedy jego uwagę przyciągnęły następne słowa gościa.

- Co czytasz?

Belizariusz spojrział na książkę, leżącą na jego podołku. Przez chwilę czuł się nieco zagubiony, gdyż Baresmanas przerwał mu żartobliwą rozmowę z Aide. Ale niemalże natychmiast skoncentrował się na pytaniu. Arystokrata po prostu chciał być uprzejmy i dlatego pytał. Generał natomiast podchodził do sprawy bardzo poważnie.

- Właściwie miałem z tobą o tym porozmawiać. - Podniósł książkę do góry. - To rzecz napisana przez rzymskiego historyka Ammianusa Marcelinusa. Ten tom obejmuje rozdziały od XX do XXV jego „Dziejów Rzymskich”.

- Nie znam tego autora. Czy to antyczny pisarz? Współczesny Livy albo Polibiusza?

Belizariusz potrząsnął głową.

- Raczej całkiem współczesny. Właściwie Ammianus był żołnierzem. Towarzyszył cesarzowi Julianowi podczas wyprawy do Persji dwie setki lat temu. - Poklepał okładkę książki. - Ten tom zawiera właśnie wspomnienia z tego okresu.

- Ach. - Na twarzy sahrdarana ukazała się dziwaczna kombinacja emocji; wstyd połączony z satysfakcją.

- Prawda, ta kampania nie była dla nas szczęśliwa - mruknął. - Większość miast, przez które ostatnio przechodziliśmy, na przykład Anatha, została zniszczona przez Juliana. Podobnie jak Peroz-Szabur, teraz sobie przypominam. Starte z powierzchni ziemi. Jednakże w końcu...

Satysfakcja wygrała batalię. Belizariusz zachichotał.

- W końcu ten przeklęty głupiec, Julian, spalił swoje statki w jednym z tych pompatycznych gestów, których ja nigdy w życiu bym nie uczynił i nie uczynię.

Prychnął drwiąco. Jak profesjonalista, który kpi sobie z nieprzemysłanego gestu amatora, nawet i mającego talent, niestety nie potrafiącego go wykorzystać.

- Ten człowiek wygrał praktycznie wszystkie bitwy i przełamał wszystkie oblężenia. A potem pozbawił swoją armię zaopatrzenia! Niech Bóg chroni nas przed teatralnymi gestami dowódców! Musieli się poddać, bo umierali z głodu, a cesarz w końcu stracił życie.

Potrząsnął głową.

- To dopiero miażdżąca klęska, i to poprzedzona wspaniałym zwycięstwem. Tak, wszystko skończyło się korzystnie dla was, Persów. W zamian za to, że Rzymianie bezpiecznie opuścili Mezopotamię, dostaliście pięć prowincji i Nisibis.

Satysfakcja na twarzy Irańczyka przygasła.

- Nie było wcale tak wspaniale, mój przyjacielu. Miasta legły w gruzach, a kraj spustoszone. - Zamyślony, potarł pokryte bliznami ramię.

- W efekcie była to kolejna z niekończącej się serii wojen, jakie Ariowie i Grecy toczą ze sobą od wieków. To jakaś obsesja walki. Ileż to razy Nisibis przechodziło z rąk do rąk? Wy zdobyliście Ktezyfont, my

- Antiochię. Czy wasze Cesarstwo, czy może nasze imperium byłoby lepszym panem tych ziem?

Belizariusz znów potrząsnął głową.

- Nie, Baresmanasie. Ja z radością zobaczyłbym koniec tych wieloletnich waśni. - Uśmiechnął się krzywo. - Zauważ, że można mnie oskarżyć o sprzyjanie wrogowi. To znaczy, zaprzepaściłem właśnie skutki zwycięstwa pod Mindos.

Baresmanas ciągle pocierał ramię, ale teraz uśmiechnął się słabo.

- Pozwolę ci na ten osobisty triumf, Belizariuszu. Z wielką radością. I mam nadzieję, że już nigdy nie spotkam Rzymianina na polu walki.

Rzymski generał roześmiał się.

- I ja też! Wy, Persowie, jesteście dla mnie za twardzi.

Popatrzył drwiąco na sahrdarana.

- Wiesz, to był jeden z głównych powodów, dla których Justynian przyjął waszą ofertę. Powiedział, że trwający sto lat pokój scementuje armię rzymską i wzmocni lojalność względem cesarza. Zrobiłby wszystko, żeby tylko uniknąć kolejnej wojny z tymi przeklętymi deganami!

Mimo tego, że Baresmanas był raczej naukowcem niż żołnierzem, poczuł się mile połączony zawiązaniem komplementem, ale nie rozwodził się nad tym, tylko wskazał na książkę.

- A więc po co to czytasz?

Belizariusz potarł podbródek.

- Pożyczyłem ją od mojej przyjaciółki, Ireny, która kocha książki. Chciałem się przekonać, o czym jest. I sądziłem, że może zawierać jakieś użyteczne informacje. I myślę, że zawiera. Właściwie są bardzo przydatne.

Popatrzył na perskiego arystokratę, który wyglądał na zaintrygowanego.

- Czy już wystarczająco nacieszyłeś się spokojem i wypoczynkiem w Peroz-Szabur? Czy myśl o dwóch dniach spędzonych w plenerze nie jest ci wstrętą? Oczywiście, jest okropnie gorąco. Z drugiej jednak strony, spotkają cię pewnością małe przyjemności. Wiesz, takie jak cisza, samotność, wschody słońca...

- Wystarczy! - roześmiał się Baresmanas. - Wszystko, tylko nie to zwariowane miasto! Najgorsza pustynia wydaje mi się rajem w porównaniu z tym kotłem.

- Właściwie nie będzie tak źle. Chcą się tylko nieco cofnąć. Pojedziemy nad kanał, który mijaliśmy w drodze do Peroz-Szabur.

Baresmanas zmarszczył brwi.

- Nehar Malka? Królewski Kanał?

Belizariusz skinął głową. Sahrbaran jeszcze bardziej się zdumiał.

- Ale po co? Kanał jest zupełnie suchy. Nie używano go od czasu... - Przerwał nagle i Belizariusz dokończył jego wypowiedź:

- Od czasu, kiedy wy, Persowie, zablokowaliście go dwieście lat temu. Po tym, jak cesarz Julian użył go, aby przeprowadzić statki z Eufratu na Tygrys, żeby oblegać Ktezyfont.

Baresmanas wyjął wargi.

- Tak, tak. Ten mały epizod... No, dobrze, nie taki mały. Julian nie zdobył Ktezyfontu, ale był blisko. W każdym razie doszliśmy do wniosku, że nawodnienie i trasa dla kupieckich statków to nie są wystarczające powody, dla których mamy udostępnić Rzymianom doskonały szlak logistyczny, który wspomagałby ich w oblężeniu stolicy.

Pytając przechylił głowę.

- Ale... pytam cię po raz drugi. Dlaczego interesujesz się tym kanałem, który jest przecież suchy?

- Właśnie dlatego się nim interesuję, Baresmanasie.

Uniósł rękę, aby powstrzymać dalsze pytania.

- Proszę! W tej chwili wdałem się w niezobowiązujące spekulacje, zainspirowane starą książką. Zanim powiem ci coś więcej, muszę rzucić okiem na kanał. Nie zdołałem bliżej mu się przyjrzeć, kiedy jechaliśmy do Peroz-Szabur.

Szlachcic wstał.

- Dobrze więc. Kiedy chcesz wyruszyć?

- Jutro rano, tak wcześnie, jak się da. - Lekko zmarszczył brwi. - Nienawidzę się za to, że odciągam moich żołnierzy od tak wspaniałej rozrywki, ale musimy mieć eskortę. Moi katafrakci będą musieli...

- Niekoniecznie, Belizariuszu! Niech chłopcy mają jakąś przyjemność. Moje oddziały czekają tu na mnie prawie od miesiąca. Niech to oni jadą jako eskorta. Nalegam na to!

\* \* \*

Ku wielkiemu zdumieniu Belizariusza mała ekspedycja przerodziła się w naprawdę wielką wyprawę. Pełne dwa tysiące żołnierzy Baresmanasa pojawiło się pod namiotem generała już o pierwszym brzasku. Nawet gdyby nie obudził się wcześniej, hałas czyniony przez dwa tysiące koni i ludzi z pewnością poderwałby go z posłania. Generał wybiegł ze swojego namiotu z mieczem w dłoni, gdyż podejrzewał, że może to nieprzyjaciel atakuje z zaskoczenia.

Baresmanas zsiadł z konia i uśmiechnął się do generała, który patrzył na niego szeroko otwartymi oczami.

- Wygląda na to, że nie tylko ja szukam spokoju i ciszy - zauważył. - Prawie wszyscy moi żołnierze postanowili dołączyć do wyprawy, kiedy tylko usłyszeli, że istnieje taka możliwość. Ale pomyślałem sobie, że nie potrzebujemy sześciu tysięcy ludzi.

- Sześciu tysięcy? - spytał Belizariusz słabym głosem.

Sahrbaran uśmiechnął się jeszcze szerzej.

- Zaskakujące, nieprawdaż? Spodziewałem się co najwyżej trzech tysięcy, Wygląda na to, że nasze wielkie zwycięstwo w bitwie pod Anatha sprawiło, że deganowie wyskakują jak spod ziemi i desperacko pragną także mieć udział w chwale. Prawda jest taka, że większość żołnierzy postanowiła jechać z nami, gdyż mają słabą nadzieję spotkać kolejny oddział Malawian. To stąd się bierze entuzjazm dla naszej małej wyprawy.

Podszedł jeden ze służących generała i przyprowadził jego konia. Belizariusz wziął wodze.

- A więc to nie są wszystkie twoje oddziały? - spytał.

Sahrdaran niepewnie wzruszył ramionami.

- A kto to może wiedzieć? Większość pochodzi z mojej prowincji, Garami. A reszta? Kto wie?

Większość, jak podejrzewam, jest z prowincji Ormazda, Arbaistanu.

Belizariusz skinął głową i wskoczył na siodło. Ruszyli i generał zaczął zastanawiać się nad ostatnimi słowami Baresmanasa.

Mimo wielu podobieństw perskie i rzymskie państwa różniły się jednak w paru zasadniczych kwestiach. Kluczową różnicę stanowiła właśnie organizacja armii. Rzymskie wojsko było profesjonalną formacją, złożoną z najemników, zazwyczaj rekrutowanych spośród barbarzyńskich plemion, choć nie stało się to regułą. Armia perska natomiast była dużo bardziej skomplikowana.

Feudalizm jest zawsze skomplikowany, usłyszał w głowie myśl Aide. To najdziwniejszy system, jaki wy... my, ludzie, wynaleźliśmy. Jesteśmy skomplikowanymi istotami. A już specjalnie wy, protoplazmiczni ludzie.

- Tak jest - mruknął Belizariusz. Nie domagał się wyjaśnienia słowa „protoplazmiczny”. Podejrzał, że wcale nie chce wiedzieć, co ono znaczy.

Każdy ze szlachetnie urodzonych, mający status sahrdarana lub vurzurgana, utrzymywał prywatną armię, złożoną z żołnierzy pochodzących z jego okręgu czy prowincji. Niektóre oddziały, zwane domowymi, były opłacane przez swego pana. Reszta składała się z deganów, którzy mieli obowiązek sami zapewnić sobie uzbrojenie i konie.

Deganie wywodzili się głównie z szeregów drobnych szlachetków, właścicieli miasteczek i wsi. Byli najniższym szczeblem na drabinie arystokratycznej, ale ciągle należeli do azadanów, jak Ariowie nazywali szlachetnie urodzonych. Chociaż oficjalnie pozostawali pod komendą wyższej szlachty, deganie byli ekonomicznie niezależni i jako klasa nie musieli podporządkowywać się nikomu. Kiedy jakiś arystokrata chciał ściągnąć do swojej armii deganów, bardziej się liczył jego osobisty prestiż niż formalne zobowiązania.

Ze swojej strony deganie zawsze utrzymywali małe oddziały żołnierzy, które towarzyszyły im podczas kampanii. Zazwyczaj składały się one tylko z kilku mężczyzn. W większości należeli do śmietanki małomiasteczkowego towarzystwa... Byli dobrze prosperującymi farmerami albo kowalami, którzy nie tylko odznaczyli się siłą i dobrą kondycją, ale też stać ich było na konia i odpowiednie wyposażenie.

Sam perski imperator nie dowodził bezpośrednio żadnym wojskiem poza oddziałami domowymi i strażą przyboczną, czyli regimentem żołnierzy, którzy cały czas nosili antyczny przydomek Nieśmiertelnych. Co do reszty, szachinszach polegał na lojalności wyższej szlachty. Która z kolei polegała na wsparciu swoich deganów.

W teorii piramida sprawdzała się świetnie. W praktyce jednak...

**Zwycięstwo ma wielu ojców, podsumowało zgrabnie Aide. Klęska jest sierotą. Albo w tym przypadku - zwycięstwo ma wielu potencjalnych synów.**

Belizariusz uśmiechnął się.

*A klęska jest bezdzielna.*

Odwrócił się w siodle i uśmiechnął do towarzysza.

- A więc sądzisz, że Ormazd cierpi na ból głowy?

Sahrdaran zachichotał.

- Podejrzewam, że Ormazd musi mieć potworną migrenę. Każde go ranka, kiedy się budzi, widzi, że jego armia znów zmniejszyła się o paru żołnierzy. Jego degani znikają, żeby szukać sławy i fortuny pod skrzydłami lepszych od niego.

Belizariusz popatrzył z uwagą na otaczającą ich potężną eskortę. Persowie maszerowali we właściwym porządku, chociaż oku rzymskiego generała formacja wydawała się nieco dziwaczna. Po chwili zdał sobie sprawę, że szczególna rozlazłość wynikała z socjalnego porządku. Persowie nie maszerowali jak Rzymianie, w oddziałach i szeregach, ale skupiali się w małych gromadkach. Zrozumiał, że to deganie wraz z otaczającymi ich podkomendnymi. Podczas gdy podstawową jednostkę rzymskiej armii stanowił oddział, w perskiej była nią wiejska gromada. Grupa ludzi, którzy dorastali razem i znali się przez całe życie.

Po minucie czy dwóch Belizariusz złapał się na tym, że rozważa, jak najlepiej połączyć rzymskie i perskie siły, nie lekceważąc przyzwyczajzeń i charakterów obu nacji. Odepchnął od siebie te myśli. Miał coś ważniejszego do roboty.

- Musimy się zatrzymać przy obozie jenieckim - oznajmił.

Baresmanas pytająco uniósł brew, ale nie zaprotestował. Po prostu wymówił imię.

Jeden z Persów jadących w pobliżu natychmiast przy kłusował do sahrdarana i rzymskiego generała. Kiedy tylko się zbliżył, przełożony skinął nań ręką w charakterystyczny sposób.

- Chcę ci przedstawić dowódcę moich domowych oddziałów, generale Belizariuszu. Nazywa się Merena i pochodzi z doskonałej azadańskiej rodziny, spokrewnionej z Surenami.

Trak skinął grzecznie głową. Perski dowódca odpowiedział na ukłon bardzo sztywno. Belizariusz popatrzył na niego uważnie, ale nie mógł stwierdzić, czy sztywność wynikała z natury mężczyzny, czy może spowodowały ją specyficzne okoliczności.

Po chwili doszedł do wniosku, że oba te czynniki odgrywały tu swoją rolę. Belizariusz poznał wielu Persów i zauważył w nich tendencję do osiągnięcia pewnej atletycznej szczupłości. Z kolei Merena był potężnie zbudowanym mężczyzną, prawie tak ciężkim jak przyjaciel generała, Sitas. Ale podczas gdy Sitas obnosił się ze swoją siłą i masą w sposób dość luźny, Merena wydawał się preferować dużo sztywniejsze metody. Mimo że na pierwszy rzut oka wyglądał na doskonałego jeźdźcę, siedział w siodle niczym kawał drewna.

Baresmanas przekazał mu informację o odwiedzinach obozu jenieckiego po drodze na północ. Merena skinął głową, znów bardzo sztywno, i odjechał, żeby wydać rozkazy.

- Dość sztywny facet - zauważył generał.

Baresmanas zacisnął usta.

- Normalnie nie jest takim formalistą i sztywniakiem. Lecz myślę, że nie bardzo wie, jak sobie radzić w zaistniałej sytuacji. Właściwie to widzicie się nie po raz pierwszy. W pewnym sensie już się sobie przed stawialiście.

Belizariusz wydał usta.

- On też był pod Mindos. - To było bardziej stwierdzenie niż pytanie.

- O tak. U mego boku, podczas tej szalonej szarży Firuza. Próbował mi pomóc po tym, jak lanca zepchnęła mnie z siodła. Ale on także został ranny. Plumbata prawie odcięła mu nogę.

Belizariusz zamrugał. Plumbata to broń, której współcześni Rzymianie używali w miejsce pilum, czyli oszczepu, faworyzowanego w pierwszych dniach Cesarstwa. Plumbata była znacznie krótsza, bardziej jak oszczep niż włócznia. Ale utrata dystansu oznaczała zwiększenie siły, gdyż tuż pod ostrzem instalowano zazwyczaj ołowiany obciążnik. W bezpośrednim starciu, rzucona krótkim ruchem przez doświadczonego użytkownika, plumbata mogła przebić się przez zbroję katafrakta czy degana. A rany, jakie powodowała, były wyjątkowo ciężkie.

- Przybiła go do siodła - kontynuował Irańczyk. - A potem, gdy twoi żołnierze podcięli koniowi pęciny i rozplatali brzuch, biedne zwierzę zważyło się na niego i go przygniotło. Omal nie stracił nogi. Jestem pewien, że gdyby trafiło na innego, już by jej nie miał. A ten ciągle chodzi, chociaż

okropnie kuleje.

Generał skrzywił się. Baresmanas dojrzał wyraz jego twarzy i wzruszył ramionami.

- Belizariuszu, przecież on ciebie za to nie wini. Naturalnie, ma pretensje o tamtą bitwę... ale wszystkie dotyczą Firuza. Ale, oczywiście, nie miej do niego żalu, że nie zalicza cię do najlepszych przyjaciół.

- Wyobrażam sobie, że nie! - Generał wahał się przez krótką chwilę. A następnie zdecydował się odrzucić dobre wychowanie na rzecz potrzeby chwili. - Jednakże muszę wiedzieć... proszę, nie obraż się... czy on będzie w stanie nam służyć. W końcu zmuszono go do tak bliskiej...

- Nie musisz się o to martwić - przerwał mu Baresmanas. - Jakikolwiek są jego uczucia względem ciebie, nie mam najmniejszych wątpliwości, że jest całkowicie lojalny względem mnie i mojej rodziny.

Na twarzy Belizariusza musiał pokazać się sceptycyzm, gdyż sahrdaran natychmiast uzupełnił swoją wypowiedź.

- To nie tylko sprawa obowiązku i tradycji. Rodzina Mereny jest znana... a nawet podziwiana ze względu na militarne osiągnięcia. Lecz nie są bogaci. Ciągłe tkwiłyby w niewoli, gdybym nie zapłacił za niego okupu.

Trak pokiwał głową. On i Baresmanas przez chwilę jechali obok siebie w milczeniu.

- Zauważyłem, że jesteś bardzo hojny w stosunku do swoich osobistych oddziałów - zauważył po chwili sahrdaran tonem niezobowiązującej konwersacji. - Powiedziano mi, że oddałeś im swoją połowę bitewnych łupów. Postąpiłeś bardzo wspaniałomyślnie.

Belizariusz uśmiechnął się krzywo.

- To prawda. Naturalnie moi żołnierze są mi całkowicie oddani. Ale jestem człowiekiem praktycznym. Pamiętaj, ludzie to nie bezmyślne narzędzia. Przecież nawet prosty kowal dba o swoje kowadło i młot. Czyści je, oliwi, poleruje.

Znów zapadła cisza. Zbliżali się do obozu jenieckiego. Milczeli, zadowoleni, jak ludzie, którzy doskonale rozumieją się bez słów.

\* \* \*

To była pierwsza wizyta Belizariusza w obozie, odkąd armia dotarła do Peroz-Szabur. Odczuwał satysfakcję, widząc, że jego katafrakci wypełnili rozkazy co do joty.

Kiedy wjeżdżali do obozu, Merena jechał u boku Baresmanasa. Generał patrzył, jak unosi brwi ze zdumienia.

- To ma być obóz jeniecki? - zapytał.

Dla nieświadomych oczu miejsce wyglądało jak każdy inny obóz polowy rzymskiej armii. Wokoło wznosiły się namioty... setki namiotów. Ludzie nie byli w nich stłoczeni niczym bydło. Namioty w dodatku rozbito w schludnych, równych rzędach. W odpowiedniej odległości wykopano porządne latryny. Obozowe paleniska były duże i doskonale zaopatrzone zarówno w paliwo, jak i w narzędzia do gotowania.

Kiedy wjechali do obozu, na sporym placu pomiędzy namiotami stały pełne dwa tysiące Kuszan. Oczywiście, usłyszeli nadjeżdżające konie. I chociaż nic nie wskazywało na to, że zbliżający się oddział ma zamiar ich atakować, ciągle...

Po co tu jadą dwa tysiące kawalerzystów?

Merena mruknął z aprobatą, widząc gotowość tych nieuzbrojonych przecież żołnierzy.

- Dobrze, dobrze! Twardzi ludzie. Oczywiście, to by była masakra, ale przynajmniej u żadnego z nich nie zobaczyłbyś ran na plecach.

U wejścia do obozu powitał ich mały oddziałek Rzymian. Była to mieszana jednostka, złożona z



żołnierzy należących do każdej z grup armii Belizariusza. Skrupulatnie pilnowano, żeby regularnie wymieniać strażników obozowych. Nie trzeba chyba mówić, że funkcja ta była dość niewdzięczna, tym bardziej, że ich towarzysze mogli korzystać do woli z przyjemności Peroz-Szabur. Lecz rzymski generał nie widział żadnych oznak zniecierpliwienia czy zgorzknienia. Żołnierze wiedzieli, że rotacja odbywa się na uczciwych zasadach. Za dzień czy dwa oni także mieli czerpać pełnymi garściami z miejskich przyjemności, podczas gdy inni obejmą niewdzięczne stanowisko.

W armii Belizariusza zarówno obowiązki, jak i nagrody rozdzielano sprawiedliwie. I dlatego jego ludzie byli w pełni usatysfakcjonowani.

Ku zaskoczeniu i radości Belizariusza dowódcą oddziału okazał się Bazyli, mężczyzna, który dowodził jednostką katuszy. Zanim generał wyruszył na wyprawę, przez chwilę miał ochotę wezwać do siebie Bazylego i zabrać go ze sobą, ale porzucił tę chęć, gdyż sądził, że odnalezienie żołnierza w rozbawionym Peroz-Szabur będzie niemożliwe.

A teraz spotkał go tutaj. Bazyli był jednym z trzech, a może czterech ludzi, których naprawdę pragnął zabrać ze sobą.

- Jedziesz ze mną, Bazyli - oznajmił. - Wybieramy się w kameralnym towarzystwie do tego starego kanału, który mijaliśmy po drodze.

Spojrzał przez ramię na wielką masę perskich kawalerzystów, czekającą na zewnątrz obozu.

- No, może nie w takim kameralnym. Lecz potrzebuję twojej opinii. Masz więcej doświadczenia z bronią palną niż ja.

Bazyli nie wydawał się specjalnie zasmucony tym rozkazem, chociaż oznaczał on, że zostanie pozbawiony przyjemności Peroz-Szabur, gdy już nadejdzie jego kolej.

Belizariusz nie był zaskoczony. Osobiście mianował Bazylego na stanowisko dowódcy katuszy, po długiej i wyczerpującej dyskusji z Maurycem. Obaj podjęli tę decyzję. Częściowo ze względu na talent mężczyzny do posługiwania się prochem, co wśród trackich katafraktów nie zdarzało się często. Bardziej jednak ze względu na to, że można było na nim w pełni polegać.

- Tak, panie. Kiedy ruszamy?

- W przeciągu kilku minut, mam nadzieję. Jak tylko wybiorę sobie Kuszanina albo dwóch. Gdzie jest Vasu... a resztą nieważne. Już go widzę.

Dowódca Kuszan już szedł w ich kierunku, w towarzystwie gromadki swoich zastępców. Kiedy Vasudeva dotarł do generała, spojrzał w górę. Jego twarz niczego nie wyrażała.

- Czy jest jakiś problem, generale?

Belizariusz uśmiechnął się serdecznie i potrząsnął głową.

- Nie, Vasudevo. Ani trochę. Po prostu jadę przyjrzeć się pobliskim ruinom. To mniej niż dzień drogi stąd. Przyjechałem tutaj, bo chcę, żeby towarzyszyło mi paru Kuszan.

Nadal żadnego wyrazu.

- Podejrzewam, że ja.

Ciągle bez wyrazu.

Z kolei Belizariusz uśmiechał się od ucha do ucha.

- Oczywiście, że nie, Vasudevo! To by okropnie wyglądało... No, myślę. Zabieram właśnie dowódcę więźniów na tajemniczą wyprawę. Z której, sądząc po wielu smutnych historiach, już się nie wraca. Nie, nie. Chcę tylko kuszańskiego żołnierza... albo żołnierzy, jeżeli jest choć jeden więcej, kto zna się na...

Zabrakło mu słowa. W kuszańskim nie było odpowiednika rzymskiego terminu „inżynier”, a przynajmniej on go nie znał. Postanowił, że posłuży się opisem.

- Architektura krajobrazu. Roboty ziemne. Kanały. A niech to...

Vasudeva pokiwał głową.

- Chcesz eksperta od prac obłązniczych.

- Tak! Doskonale powiedziane.

Po raz pierwszy mężczyzna zsunął choć trochę maskę. Na jego twarzy pojawił się ślad goryczy.

- Jeżeli tak, generale, możesz na ślepo brać każdego Kuszanina. Wszyscy jesteśmy ekspertami w tej materii. Malawianie do tego właśnie nas używają. Oczywiście, do czasu zwycięstwa. Wtedy my idziemy opatrzeć swoje rany, a Ye-tai i kszatryjasi zajmują się podziałem łupów.

Maska powróciła.

- Jednakże... - Vasudeva odwrócił głowę i popatrzył na jednego z towarzyszących mu mężczyzn. -

Vima, ty pojedziesz. Jesteś najlepszy.

Kuszanin o imieniu Vima skinął głową. Ruszył w kierunku osiodłanego konia, którego Belizariusz przyprowadził ze sobą do obozu. Nagle jednak, jakby uderzyła go jakaś myśl, zatrzymał się w miejscu.

- Mam pytanie, generale Belizariuszu. Powiedziałaś: roboty ziemne i kanały. Czy to, co będziemy oglądać, ma jakikolwiek związek z irygacją?

Zapytany skinął głową. Vima popatrzył na trzy wolne, osiodłane konie.

- Są jeszcze dwa, prawda? - upewnił się.

Belizariusz znów pokiwał głową.

Vima spojrzał na wielki tłum Kuszan, który zebrał się wokoło.

- Kadfizes! - zawołał. - Chodź tutaj. I gdzie jest Huviszka?

Jakiś człowiek przepchnął się do przodu.

- Tutaj - oznajmił.

Przyzywający skinął nań.

- Ty też.

Kiedy Belizariusz i jego gromadka wyjechali z obozu jenieckiego, po czym ruszyli na północ traktem wiodącym z Peroz-Szabur, Vima westchnął lekko.

- Dobrze jest znowu siedzieć na koniu - skomentował i popatrzył na Belizariusza. - Nie mam co podejrzewać, żeby to był jakiś znak na przyszłość, prawda?

Generał potrząsnął głową nieco przepraszająco.

- Nie, Vimo. Jeżeli znajdziemy to, co mam nadzieję odnaleźć, to obawiam się, że Kuszan czeka długa i ciężka praca w jednym z najgorętszych miejsc na świecie.

Tamten mruknął coś pod nosem. Podobnie jak dwaj Kuszanie jadący tuż za nim.

- Mogło być gorzej - odezwał się jeden z nich, ten o imieniu Huviszka.

- Znacznie gorzej - zgodził się Kadfizes.

Vima znów mruknął. Belizariusz był zaciekawiony.

- Nie jesteście zmartwieni tą perspektywą?

Wszyscy trzej Kuszanie mruknęli jednym głosem. Ku wielkiemu zdumieniu generała dźwięk wyrażał raczej zadowolenie.

- My, Kuszanie, podchodzimy do wielu spraw z nieuzasadnionym optymizmem - zauważył Vima.

- Ciężka, długa i niekończąca się praca w upale brzmi znacznie lepiej niż wiele innych propozycji.

Kadfizes znów mruknął.

- Na przykład: egzekucja - przetłumaczył mruknięcie Huviszka. - Może być ona interpretowana jako bardzo krótka i łatwa praca. Pochylił głowę i ciach... już po wszystkim. Męczy się tylko kat.

Belizariusz, zaskoczony, słuchał tej interpretacji, natomiast Baresmanas roześmiał się głośno.

Za to Merena nie. Mężczyzna także mruknął coś pod nosem.

- Dobrze, dobrze. Twardzi kołesie, tak jak mówiłem.

## Rozdział 24

W godzinę po przybyciu do Nehar Malka Belizariusz wyłożył im swój plan. Następne dwie godziny spędził z Bazylim i z Kuszanami, aby się upewnić, że jego plan ma choć cień szansy urzeczywistnienia.

Resztę dnia, czyli wieczór, oraz dzień następny spędził z Baresmanasem. Byli tylko we dwóch w namiocie i rozmawiali o zamierzeniach Belizariusza, lecz nie rozpatrywali ich z praktycznego i technicznego punktu widzenia, a z moralnego.

- Belizariuszu, prosisz nas o bardzo wiele.

- My wykonamy całą pracę i dostarczymy większość materiałów, które będą potrzebne...

Arystokrata machnął ręką, przerywając tyradę.

- To nie o to mi chodzi i doskonale o tym wiesz. - Popatrzył na rzymskiego generała rybitwym wzrokiem. - Jako Aria kiedy zastanawiam się nad twoim planem, nie mogę się powstrzymać od myślenia, że planujesz przywrócić te same warunki, które zaledwie dwa wieki temu umożliwiły cesarzowi Julianowi tak bolesne uderzenie w Mezopotamię.

Po tych słowach Pers lekko się uśmiechnął, co złagodziło nieco jego wypowiedź. Ale tylko troszkę. Belizariusz wzruszył ramionami.

- Nie do końca, Baresmanasie. Jeżeli mój plan się uda, a mam taką nadzieję, sytuacja będzie zupełnie...

Baresmanas znów przerwał mu gestem.

- Tak, tak... Jeżeli wszystko pójdzie po twojej myśli. Nie wspominając już o tym, że jako sceptyczny i nieufny Aria nie mogę nie zauważyć, że to właśnie wy, Rzymianie, będziecie odpowiedzialni za tę część planu, która jest najbardziej konfliktogenna, i to właśnie ona może zmienić całą sytuację. A co, jeżeli zdecydujecie się na zmianę?

Trak ze spokojem popatrzył na zaciętą twarz rozmówcy.

- A czy ty jesteś sceptycznym i nieufnym Persem, Baresmanasie?

Sahrdaran odwrócił wzrok i w zamyśleniu szarpnął się za brodę.

- Nie - odparł. - Ja sam nie jestem. Ale inni będą, a już szczególnie wtedy, gdy zorientują się, że żaden aryjski dowódca nie będzie miał kontroli nad końcowym etapem planu.

Belizariusz chciał wzruszyć ramionami, ale się rozmyślił. Nie mógł przejść nad tym do porządku dziennego. Musiał stawić czoła niejasnościom.

- Nie ma innego sposobu, sahrdaranie. Jeżeli ma zadziałać, mój plan musi być ściśle tajny... a już zwłaszcza końcówka. Wiesz, tak samo dobrze jak ja, że perskie siły już zostały spenetrowane przez agentów Malawy.

- A twoje nie? - odciął się Baresmanas.

- To raczej mało prawdopodobne. Ale to nie oddziały grają główną rolę w moim planie. Pamiętaj, że siatka szpiegowska Malawian w Persji jest dużo bardziej aktywna niż w Rzymie... a także o tym, że my pół roku temu rozbiliśmy samo serce tej siatki.

Baresmanas skrzywił się.

- To kolejna rzecz, która mi się nie podoba! Twój plan zakłada zdradę po stronie Ariów!

Belizariusz nie odezwał się, tylko popatrzył na towarzysza własną odmianą rybitwego wzroku.

Po chwili Baresmanas westchnął. A nawet pozwolił sobie na chichot.

- Przyznaję, uważam, że twoja ocena jest poniekąd słuszna. Chociaż nienawidzę tego, że muszę to przyznać.

Teraz sam generał się zaśmiał.

- Nie załamuj się. Zdrada jest raczej wynalazkiem Rzymian, a nie Persów. Przecież nie mówię, że

nasze najwyższe kręgi są całkowicie od niej wolne. I przynajmniej wasz imperator Chozroes ciągle ma oczy na właściwym miejscu, czego nie można powiedzieć o naszym Justynianie.

- I to bardzo dobre oczy - mruknął Baresmanas. Sahrddaran wyprostował się na krześle. - Musisz to omówić z samym imperatorem bezpośrednio, Belizariuszu. Tylko on może podjąć decyzję. Ja nie mogę go w tym wyręczyć.

- Wcale tego nie oczekiwałem - nadeszła natychmiastowa odpowiedź. - Doskonale wiem, że tylko Chozroes Anuszirwan ma do tego prawo. Ale on zapyta cię, co o tym sądzisz. I cała sprawa się do tego sprowadza. Czy ty mi ufasz, Baresmanasie?

Dwaj mężczyźni, siedzący w namiocie, patrzyli na siebie w milczeniu.

- Oczywiście, złożę mu swoją przysięgę - dodał Belizariusz.

Po raz ostatni tego dnia Baresmanas machnął ręką, odpychając od siebie słowa rzymskiego generała.

- Przysięga jest tak samo dobra jak człowiek, który ją składa. Od ciebie nie potrzebuję przysięg.

Nagle perski szlachcic się zaśmiał.

- Zdaje mi się, że najwięcej korzyści z całej sprawy wyciągnie Walentynian! Jego praca stanie się dużo prostsza!

Belizariusz, zdumiony, zmarszczył brwi.

- Przecież to oczywiste! Chozroes zgodzi się tylko wtedy, gdy dojdzie do wniosku, że Belizariuszowi można ufać. I z pewnością nie będzie miał zaufania do żadnego innego rzymskiego generała.

Belizariusz ciągle marszczył brwi. Sahrddaran znów się zaśmiał.

- Ależ byłem ślepy! Przecież to oczywiste! Będziesz musiał obiecać imperatorowi, że zadbasz o swoje życie... żeby, kiedy nadejdzie czas, wydać odpowiedni rozkaz.

Belizariusz szeroko otworzył oczy.

- O tak - mruknął Baresmanas. - Już nie staniesz na czele szarżującej kawalerii, mój przyjacielu. I to przez dłuższy czas.

- Nie pomyślałem o tym - przyznał generał.

**A ja tak,** usłyszał głos Aide.

**I nie tylko Walentynian odetchnie z ulgą,** dodało Aide z satysfakcją. **Ja też.**

**Ja też, i to bardzo.**

\* \* \*

Kiedy Belizariusz wrócił do Peroz-Szabur, wysłał posłańców do miasta i zwołał głównodowodzących na naradę. Znalezienie wszystkich zajęło parę ładnych godzin. Większość znaleziono w typowych lokalach, przywodzących na myśl otchłanie rozpusty. Dwóch czy trzech bawiło się w bardziej poważanych tawernach. A jeden, ten, którego znaleziono na końcu, był w bardzo nietypowym miejscu. Jak na człowieka jego pokroju.

- Przepraszam za spóźnienie - powiedział Agacjusz, kiedy wszedł do namiotu dowódcy. Rozejrzał się wokoło i zamrugnął, zdumiony. Okazało się bowiem, że był ostatni.

- Nieważne, chiliarcho - odparł generał uprzejmie. - Zdaję sobie sprawę, że zwołałem to spotkanie bez wcześniejszego ostrzeżenia. Proszę, usiądź.

Kiedy Belizariusz czekał, aż dowódca oddziałów z Konstantynopola zajmie miejsce, zastanawiał się nad zachowaniem tego człowieka oraz jego podwładnych, jeżeli już o tym mowa. Agacjusz wydawał się nieco zagubiony, jakby myślami bawił gdzieś indziej. To było do niego niepodobne. Agacjusz miał tylko dwadzieścia osiem lat, co było dość nietypowe jak na żołnierza, który z najniższej rangi został wyniesiony na stanowisko setnika, nie mówiąc już o tysięczniku. Jednakże

Belizariusz przekonał się, że mimo młodego wieku i opinii muskularnego zabijaki mężczyzna ten jest nie tylko inteligentny, ale też potrafi doskonale koncentrować uwagę na jednej sprawie.

Trak zastanawiał się, dlaczego więc ów jest tak rozproszony. I dlaczego jego podwładni patrzą na niego tak znacząco? Zdawałoby się, że się z niego podśmiewają.

Wypchnął te myśli ze swojego umysłu. Miał ważniejsze sprawy.

Przez następne trzy godziny Belizariusz zapoznawał swoich podkomendnych z dwoma sprawami, które mieli wziąć pod rozwagę.

Po pierwsze - co zajęło całe dwie godziny - nakreślił im plan dotyczący następnej kampanii przeciwko Malawie, którego kluczowym punktem miało być Nehar Malka. Wiele aspektów strategii pomiął, częściowo ze względów bezpieczeństwa, częściowo dlatego, że sam nie w pełni je jeszcze przemyślał. Ale powiedział wystarczająco dużo, żeby jego dowódcy wzięli udział w dyskusji na temat zaangażowania rzymskich oddziałów w różne części planu.

Zauważył, że roztargnienie Agacjusza zanika powoli, w miarę jak dyskusja się rozwija. Wręcz przeciwnie, chiliarcha brał w niej bardzo aktywną rolę.

- Jest bardzo ważne, żeby Abbu trzymał się z tyłu - nalegał Grek. - On i większość jego zwiadowców...

Agacjusz gestem uciszył protesty pozostałych dowódców.

- Przestańcie jęczeć! - warknął. - Reszta po prostu pomaszeruje na Babilon drogą z Ktezyfontu. Pójdziecie do samego serca perskiego terytorium, na miłość boską! Właśnie rozbiliśmy jedyny podjazd Malawian, o jakim głosi wieść... więc po co wam zwiadowcy?

Wycelował paluch w Bazylego, a potem skinął na dowódców syryjskiej piechoty.

- Podczas gdy ci chłopcy zostaną tutaj zupełnie sami. I będą mieli tylko dwa tysiące Kuszan, na których trzeba mieć oko, a w dodatku pustynia zaczyna się parę kilometrów stąd. Będą jak placki na patelni, jeżeli w porę nie dostrzegą atakujących oddziałów Lahmidów.

Belizariusz oparł się wygodniej, bardziej niż zadowolony z tego, że Grecy rozwiązują problem we własnym zakresie.

Agacjusz zdławił słaby protest i przeszedł do następnej sprawy.

- A jeżeli chodzi o te bzdety opowiadane o garnizonie z Callinicum - w tej chwili spojrzął gniewnie na swoich konstantynopolitańskich podkomendnych, którzy najgłośniej protestowali - to nie chcę o tym więcej słyszeć! Podczas walk o willę poradzili sobie doskonale, a nawet świetnie, biorąc pod uwagę okoliczności. Prawda, nie dorastają do pięt chłopakom z Syrii, ale do czasu. I dlatego właśnie nie powinniśmy ich zostawiać. Żołnierze od katusz i Syryjczycy mają wystarczająco dużo zajęć na głowie i raczej nie będą mieli czasu, żeby trenować niedoświadczonych ludzi w robotach ziemnych, jakie ich czekają.

Znów przeszył zgromadzonych gniewnym wzrokiem.

- Tak więc oni idą z nami, tak jak powiedział generał. I nie chcę słyszeć żadnych narzekań.

Inni Grecy, zebrani w namiocie, pochyłili głowy. Wcześniej to właśnie oni krzyczeli najgłośniej o mazgajach z Callinicum. Belizariusz z trudem powstrzymywał się od śmiechu. Wiedział już od dawna, że Agacjusz z łatwością radzi sobie nawet z najbardziej opornymi podwładnymi. Teraz przekonał się, że kiedy zachodzi taka potrzeba, potrafi nagiąć do swojej woli nawet równych mu stopniem.

To pierwsze spotykało się zawsze z cichą aprobatą Belizariusza. Drugie ze szczerym podziwem.

Twarde spojrzenie Agacjusza opuściło Greków i spoczęło teraz na Celsusie, dowódcy garnizonu z Callinicum. Celsus siedział zgarbiony na stołku w kącie namiotu. Był raczej niskim człowieczkiem, dość starym jak na żołnierza i bardzo nieśmiałym z natury. Jak zwykle podczas narad dowództwa

milczał przez całą dyskusję. A w dodatku milczenie to nabrało skrajnej uniżoności, kiedy kompetencje jego żołnierzy zostały tak brutalnie wyśmiane przez innych, młodszych, bardziej przebojowych, pewnych siebie, a co najważniejsze - głośniejszych oficerów.

Grecki chiliarcha skinął lekko na mężczyznę i gestem tym dał do zrozumienia zebrany, że w pełni aprobuje zachowanie oddziałów z Callinicum. Celsus także kiwnął głową, a w jego oczach zaśniała wdzięczność. Przez chwilę nawet jego kościste ramiona nieco się wyprostowały.

Kiedy Agacjusz usiadł na swoim stołku, generał w myślach zasięgnął opinii Aide.

Absolutnie wspaniały. Widziałeś to, Aide? Czy rozumiesz, dlaczego to jest takie ważne?

Odpowiedź była pełna wahania.

**Nie jestem pewne. Myślę...**

Wahanie znikło.

**Tak. To w taki sposób ludzie... ludzie twojego rodzaju... wspierają się wzajemnie. Siła pochodzi od siły innego, a nie od słabości.**

*Dokładnie tak.*

Oficerowie zebrani w namiocie po raz kolejny skupili swą uwagę na Belizariuszu. Generał wstał i przygotował się do poruszenia kolejnego tematu. Ale zanim to zrobił, dał sobie chwilę na prywatne myśli.

*Jestem z ciebie taki dumny, mój... wnuku.*

**Ty jesteś moim przodkiem.**

\* \* \*

W przeciągu następnej godziny Belizariusz wraz ze swoimi oficerami skupili się na delikatnej sprawie. Tej, którą poruszał wcześniej z Baresmanasem.

- Tak więc - zakończył - nie mówię żadnemu z was, co ma robić, ale powtarzam: ta wojna nie skończy się na jednej bitwie. Nawet nie na jednej kampanii. Prawdopodobnie będziemy walczyć z Malawą przez wiele lat. Mam nadzieję, że w końcu wojna przeniesie się na ziemie naszego wroga. Lecz na razie, a potrwa to zapewne jeszcze jakiś czas, walczymy tutaj, w Persji. I pamiętajcie, to lepiej, niż gdy byśmy musieli zmagać się z nimi na rzymskiej ziemi.

Wziął krótki oddech.

- Mówiłem już o tym wcześniej, wiele razy, ale powtórzę to jeszcze raz. Musimy zachować dobre stosunki z Persami. Jeżeli zaczną myśleć, że rzymscy sprzymierzeńcy wcale nie są lepsi niż malawiański wróg, zaistnieje ryzyko, że postanowią zejść z drogi. Opuszczą Mezopotamię, skryją się na wyżynie i zostawią nas samych.

Popatrzył na zebranych bardzo surowo.

- Tak jak powiedziałem, nie mówię nikomu, co ma robić. Ale proszę was, żebyście chociaż byli przykładem dla swoich żołnierzy. Nie obchodzi mnie, co Rzymianie robią w tawernach i domach publicznych, dopóki nie zachowują się jak rzezimieszki. Ale jeżeli wasi ludzie zapragną nagle rzucić się na głęboką wodę... - Odczekał chwilę, aż ucichną wątle chichoty. - To pamiętajcie, że Persowie mają swoje zwyczaje.

Przerwał na chwilę i popatrzył na swoich oficerów, którzy siedzieli w milczeniu, przyglądając mu się.

Byli cicho, jak się tego spodziewał. Jednak zauważył, że reagowali jakoś inaczej, chociaż musiał naprawdę wyteńczyć uwagę, żeby dostrzec drobne różnice.

Syryjscy oficerowie, podobnie jak Celsus, dowódca oddziału z Callinicum, uśmiechali się lekko. Syryjczycy i Arabowie znali doskonale perskie zwyczaje, które w dużej mierze przypominały ich własne, więc najwyraźniej uśmiechali się z powodu konsternacji pozostałych dowódców.

Tracący katafrakci generała także się uśmiechali, bardzo lekko. Nawet Maurycy, wieczny ponurak, skrzywił wargi. Prawda, na ich twarzach nie było kpiny jak u Syryjczyków. Trakowie dobrze znali Persów, ale nie mieli ani odrobiny współczucia dla twardych i dumnych Ariów. Nie, ich uśmiechy pochodziły skądinąd. Zнали bardzo dobrze Belizariusza. I dlatego uważali, że to bardzo śmieszne, kiedy neofici usiłują podążyć tropem pokrętnego umysłu generała, który patrzy na świat w zupełnie inny sposób.

Illyryjscy oficerowie patrzyli na Belizariusza, jakby był jednym z legendarnych, dwugłowych stworów, żyjących gdzieś na południe od Nubii. Illyryjczycy byli bardziej prostolinijni nawet od Traków i ich doświadczenie z obcokrajowcami ograniczało się w zasadzie tylko do barbarzyńców. Prawda, doskonale rozumieli barbarzyńców. Przecież krew tych plemion płynęła także w ich żyłach. Ale idea przejścia tak zwanych zwyczajów tych... tych... tych...

Generał odwrócił wzrok, żeby się nie roześmiać. Jego oczy spoczęły na Grekach.

To oni stanowili klucz do problemu, wiedział o tym. Cesarstwo Rzymskie było całkowicie cesarstwem greckim, we wszystkim z wyjątkiem nazwy. Na tronie mogła sobie zasiadać tracko-egipska dynastia. Egipt mógł sobie być najbogatszą i najgęściej zaludnioną prowincją, a Trakowie i Syryjczycy mogli grać pierwsze skrzypce w kwaterze głównej rzymskiej armii, ale to właśnie Grecy byli sercem i duszą Cesarstwa. To ich język był językiem Cesarstwa. To ich szlachta była osią arystokracji Cesarstwa. To ich kupcy i handlarze stali na czele gildii Cesarstwa.

I to ich żołnierze i oficerowie byli źródłem rzymskiej siły.

I tu, po raz pierwszy, Belizariusz spotkał się z reakcją, której się nie spodziewał. Agacjusz znów wyglądał na zagubionego, i to bez nadziei na odnalezienie. Trak doszedł do wniosku, że ów mężczyzna znajduje się w zupełnie innym świecie. Natomiast reakcja jego podkomendnych była naprawdę zastanawiająca. Belizariusz spodziewał się, że Grecy zareagują podobnie jak Illyryjczycy. Oczywiście, bardziej wyszukanie, ale ciągle oczekiwał, że będą na niego patrzeć, jakby na wpół oszalał.

Czyż Grecy mają się martwić tym, co myśli jakaś gromada nieokrzesanych Persów?

Natomiast oni wcale nie patrzyli na Belizariusza. Za to rzucali szybkie, zagadkowe spojrzenia na swego dowódcę i mocno zaciskali usta. Tak, jakby walczyli, i to bardzo ciężko, z buzującym w nich śmiechem.

Dziwne. Bardzo dziwne.

Belizariusz z trudem oderwał wzrok od Greków i spojrzał na resztę swoich podkomendnych. Najwyraźniej żaden z oficerów nie kwapił się do podjęcia tak nieoczekiwanego tematu. Właściwie tego się spodziewał. Zatem po kolejnej minucie ciszy podziękował im uprzejmie za uwagę i pozwolił odejść.

Wszyscy wstali. Chiliarcha konstantynopolitańskich żołnierzy pierwszy rzucił się do wyjścia, omalże nie tratując pozostałych. Nagle jednak zatrzymał się i stanął niczym blok skalny, tamujący przepływ. Oficerowie przeciskali się obok niego, żeby wyjść. Mężczyzna to robił krok w przód, to w tył, jakby był rozdarty pomiędzy dwoma możliwościami i nie mógł podjąć decyzji. W pewnym momencie zaczął się obracać, jakby chciał znów wejść do namiotu. Zatrzymał się, odwrócił; znów odwrócił, zatrzymał. Tańczył w miejscu, do przodu i do tyłu...

W końcu w namiocie zostali tylko Belizariusz, Maurycy i Agacjusz. Przez chwilę dowódca konstantynopolitańskich oddziałów popatrzył generałowi prosto w oczy. Miał dziwny wyraz twarzy. Na wpół błagający, na wpół... rozżłoszczony?

Nie, zdecydował Belizariusz. To nie był gniew, tylko głęboko skrywana uraza.

Ale dlaczego, zastanawiał się.



Nagle Agacjusz zniknął. Belizariusz popatrzył na Maurycego.

- Czy wiesz coś, o czym ja nie wiem?

Maurycy prychnął.

- A czego się spodziewałeś? Jestem Trakiem, na miłość boską. To już wystarczająco źle, że chcesz zaśmiecić mój umysł jakimiś wydumanymi perskimi zwyczajami. Czy mam także postarać się zrozumieć Greków?

\* \* \*

Dwie noce później, wczesnym wieczorem, Agacjusz pojawił się nagle w namiocie Belizariusza.

Kiedy zaproszono go do środka, stanął wyprostowany przed obliczem generała.

- Muszę ci zadać pytanie, panie - powiedział. Jego głos był nieco szorstki.

Belizariusz skinął głową. Przybyły odchrząknął.

- Dobrze. To jest tak, panie. Wiem, że to się często zdarza... no.

Znów odchrząknął. Szorstkość znikła, zastąpiona pewnym rodzajem młodzieńczej niepewności. A może zakłopotania.

Słowa popłynęły szybciej.

- Wiem, że to się często zdarza, że dowódcy oddziałów, to znaczy w randze tysięcznika co najmniej, po zakończonej z sukcesem kampanii, a czasem nawet po jednej bitwie, jeżeli to było duże zwycięstwo, no i oni są zapraszani do arystokratycznych rodów. To znaczy oficjalnie. No, oficerowie.

Zamknął usta z trzaskiem. Belizariusz potarł podbródek.

- Tak - odparł kiwając głową. - To się zdarza. Dość często. Na przykład ja. Urodziłem się jako clarissime... To najniższa klasa szlachty, już poza konnymi. Po tym, jak Justynian zrobił ze mnie osobistego strażnika, wtedy... nieważne. To długa historia. Dzisiaj, oczywiście, odkąd mój syn został nowym cesarzem, zaliczam się do najwyższej szlachty, do senatorów. - Uśmiechnął się krzywo. - Teraz jestem glorissimi, ni mniej, ni więcej.

Agacjusz nie uśmiechnął się w odpowiedzi. Generał zdał sobie sprawę, że stąpa po cienkim lodzie.

- A ty, Agacjuzu? Nigdy cię o to nie pytałem. - Machnął przepaszająco ręką. - Nie myśl sobie, że dbam o te rzeczy, jeżeli chodzi o moich oficerów. Interesują mnie tylko ich kompetencje. Ale powiedz mi, z jakiej klasy się wywodzisz?

Agacjusz zagapił się na generała.

- Mój ojciec był piekarzem - odparł. Mówił bardzo miękko, ale w jego głosie brzmiały twarde nuty.

Belizariusz ze zrozumieniem pokiwał głową.

W Cesarstwie Wschodnim, inaczej niż w Zachodnim, ludzie nie byli zmuszani do przejmowania zawodu ojców. Ciągle jednak zazwyczaj tak się działo. Wszyscy rzemieślnicy zorganizowani byli w gildie i uważano ich za ludzi wolnych. Ale mimo tego, że niektórzy z nich byli naprawdę poważani, tak jak na przykład kowale, żaden z nich nigdy nie zostałby uznany za stosownego towarzysza dla rodziny szlacheckiej.

A już z pewnością nie piekarz, uważany za najniższy rodzaj rzemieślnika, stojący zaledwie nieco powyżej niewolnika czy służącego.

Zatem Agacjusz, jak wielu jemu podobnych, chciał odciąć się od nędznego statusu swoich przodków i dlatego zaciągnął się do armii, tej głównej podopiecznej Cesarstwa Rzymskiego, która delikatnie mówiąc, nic sobie nie robiła z pochodzenia ani statusu.

Jednakże dowódca ciągle się dziwił. Znał wielu ludzi, bardzo wielu, którzy cierpieli z powodu

obsesji na punkcie swego oficjalnego statusu i klasy. Lecz młody chiliarcha nigdy o to nie dbał.

Generał odepchnął od siebie spekulacje. Jakikolwiek by nie były motywy tego człowieka w przeszłości, teraz chciał dostać odpowiedź na interesujące go pytanie, które wydawało się dla niego bardzo ważne.

- Czy to ma dla ciebie znaczenie? - upewnił się.

Agacjusz skinął głową.

- Tak, panie. Ma. Kiedyś nie miało, ale teraz... - Zaciśnął usta. - Teraz ma - dokończył miękko.

Niemalże przez zaciśnięte zęby.

Belizariusz porzucił rozluźnioną pozę i usiadł sztywno na krześle.

- Rozumiesz chyba, że jeżeli nadam ci jakakolwiek rangę, musi być ona potwierdzona przez cesarza? I oczywiście przez Senat, jeżeli interesuje cię status senatora.

Mężczyzna skinął głową. W końcu jego sztywne oblicze zaczęło nieco mięknąć.

- Nie potrzebuję być senatorem, panie. Wystarczy mi... coś.

Belizariusz skinął głową.

- W takim wypadku nie widzę problemu. - Powrócił jego krzywy uśmiech. - A już szczególnie nie w osobie cesarza!

Agacjusz zdołał się nawet lekko uśmiechnąć. Jego przełożony potarł podbródek.

- Trzymajmy się więc armii, jeżeli nie zależy ci na Senacie. Ja sam, osobiście, mogę nadać ci rangę komesa. Jak ci się podoba... hrabio Agacjusz?

Agacjusz sztywno skłonił głowę.

- Dziękuję ci, panie. - Przez chwilę wyraźnie się wahał, zanim się przemógł. - Jak to się ma do perskiego degana?

- Zależy, jak na to patrzysz. Formalnie rzymski hrabia jest powyżej degana. To równoważnik... - zakołysał rękami w przód i w tył - jednego z niższych stopni w klasie vurzurgan, mniej więcej.

Belizariusz wzruszył ramionami.

- Ale to my, Rzymianie, tak na to patrzymy. Oficjalnie Persowie akceptują tę rangę jako równoważnik. A w praktyce... prywatnie...? - Ponownie wzruszył ramionami. - Łączenie naszych oficjalnych stopni z nadania ze statusem wynikającym z ich urodzenia jest dość kłopotliwe. Więzy krwi są dla nich znacznie ważniejsze.

Nagle, ku wielkiemu zdumieniu generała, Agacjusz całkowicie się rozluźnił. Niedźwiedziowaty oficer uśmiechnął się od ucha do ucha.

- To nie problem. Nie dla...

Zamilkł nagle. Uśmiech zniknął. Grek skrzyżował ramiona.

- Dziękuję ci jeszcze raz, panie. To dla mnie wiele znaczy. Ale - jeżeli mogę - chciałbym zadać ci jeszcze jedno pytanie.

- Tak?

- Czy zechciałbyś dołączyć do mnie jutro w południe? To osobista okazja.

Belizariusz szerzej otworzył oczy. Wedle jego doświadczeń osobista okazja w wydaniu Agacjusza przypominała raczej radosną pijatykę w tawernie. Jednak nie sądził, że...

Agacjusz mówił dalej:

- Pan Baresmanas będzie ci towarzyszył. Już z nim rozmawiałem i on się zgodził. Spotkanie odbędzie się w pałacu gubernatora w mieście.

Belizariusz był teraz naprawdę zaintrygowany. Co, do diabła, miał z tym wspólnego Baresmanas? Wystarczy, powiedział sobie twardo. To jest ważne dla tego człowieka.

- Będę tam, Agacjusz.

Grecki oficer po raz kolejny skinął głową, podziękował mu i wyszedł.

Dziwne. Bardzo dziwne.

\* \* \*

Następnego dnia, wczesnym popołudniem, do generała przybył Baresmanas. Był z nim Kurusz, jak również wszyscy głównodowodzący domowych oddziałów z wyjątkiem Mereny.

Zaden z nich nie miał na sobie zbroi, a tylko dwóch nosiło miecze. Widząc ich doskonałe ubrania, generał pogratulował sobie, że sam zdecydował się na założenie najlepszej tuniki. Podobnie jak Persowie nie wziął miecza, zadowolając się tylko ozdobnym sztyletem.

Podczas gdy jechali do miasta, Belizariusz usiłował wydobyć z Baresmanasa jakieś informacje na temat tej osobistej okazji, ale sahrdaran nie chciał nic powiedzieć, tylko uśmiechał się enigmatycznie.

Kiedy dotarli do pałacu gubernatora, Belizariusz z podziwem popatrzył na piękną budowlę. Zewnętrzne mury były bardzo masywne, zgodnie z antycznymi mezopotamskimi tradycjami, które nakazywały używać do budowy kamieni i zaprawy. Toporność i prymitywność budulca złagodzona została zewnętrzną warstwą tynku, malowanego w najprzeróżniejsze barwne wzory. Jak na ironię większość motywów zaczerpnięto z grecko-rzymskiej cywilizacji... reliefy, akanty, wieńce laurowe, nawet greckie ornamenty. Jednakże efekt okazał się nieco dziwaczny, gdyż Persowie mieli swoje własne podejście do koloru i kompozycji. Dominowała opalizująca czerń, czerwień i oślepiająca żółć.

Gmach był szeroki na czterdzieści metrów i około dwa razy taki na długość. Skomplikowany rysunek krenelarzy i balkoników dodatkowo urozmaicał zewnętrzne ściany. Sądząc po wielkości, pałac był wysoki na trzy piętra, ale Belizariusz dość dobrze znał perską architekturę i wiedział, że pomieszczenia będą bardzo wysokie i rozległe. Jedyne na tyłach pałacu, tam gdzie znajdowały się prywatne komnaty gubernatora, budowla miała więcej pięter, a co za tym idzie - więcej mniejszych pomieszczeń.

Na froncie pałacu pysznił się wielki aivan, czyli wejście połączone z salą audiencyjną, dość charakterystyczne dla perskiej architektury. W przypadku tego pałacu aivan znajdował się w najwęższej, południowej ścianie. Prawie połowę ściany uformowano w wielki łuk, który prowadził do beczkowato sklepionego aivanu. Aivan stał otworem, co w warunkach perskiego klimatu było nie tylko dopuszczalne, ale też całkiem przyjemne. Miał dwanaście metrów wysokości, licząc od marmurowej podłogi do szczytu łuku, a ściany przyozdobiono mozaikami w stylu rzymskim oraz tradycyjnymi mezopotamskimi stiukowymi bas-reliefami.

Belizariusz podejrzewał, że niezależnie od rodzaju prywatnej okazji związane z nią rzeczy odbędą w aivanie. Lecz kiedy zsiadł z konia i ruszył za Baresmanasem, odkrył, że aivan jest prawie pusty.

Znajdowali się tam tylko Agacjusz i mała grupka jego podwładnych, czyli Cyryl oraz trzech trybuni z oddziału z Konstantynopola.

Pięciu greckich oficerów stało już w znacznie mniejszym, łukowatym przejściu, prowadzącym do głębiej położonych pomieszczeń. Dalej generał mógł dojrzeć krótki korytarz, także beczkowato sklepiony, a za nim następny pokój. Tamten, z tego, co widział, do granic możliwości wypakowany był ludźmi.

Kiedy szli przez aivan, Belizariusz nachylił się do Baresmanasa:

- Myślałem, że...

Pers potrząsnął głową. Ciągle tajemniczo się uśmiechał, ale teraz nie krył radości.

- To niedorzeczne! - krzyknął. - Aivan służy do spotkań publicznych. Gubernator, wtajemniczony

w naturę naszego spotkania, czyście udostępnił swe prywatne komnaty. To jego prywatna sala audiencyjna.

Sahrdaran wyciągnął rękę przed siebie.

- Jak zapewne widzisz, tam właśnie idziemy.

Agacjusz wystąpił krok naprzód, żeby ich powitać. Mężczyzna trzymał się bardzo prosto i sztywno, chociaż Belizariusz dostrzegł w jego oczach wyraz ulgi.

- Dziękuję ci za przybycie, panie - powiedział cicho. Odwrócił się na pięcie i poprowadził ich przez łukowato sklepiony korytarz.

Następny pokój był bardzo duży; miał co najmniej dwadzieścia metrów długości, tak samo jak szerokości. Ściany wznosiły się do góry na dziesięć metrów. Ozdobiono je freskami przedstawiającymi heroiczne czyny bohaterów przeróżnych epickich poematów Ariów. Pomieszczenie miało także wysokie sklepienie, które w najwyższym punkcie mogło mieć siedem metrów.

W pokoju kłębił się tłum ludzi; wszyscy byli Persami. Trak rozpoznał gubernatora okręgu, który stał pod północną ścianą, otoczony gromadką wysokich urzędników. Większa grupka, licząca około dwunastu osób, znajdująca się nieco dalej, najwyraźniej składała się z samych skrybów.

Po zachodniej stronie pomieszczenia stała jeszcze większa gromada. Byli to kapłani Mazdy, jak zauważył Belizariusz. Z zainteresowaniem spostrzegł, że reprezentują oni oba odłamy zoroastrizmu, na co wskazywały ich charakterystyczne ubiory. Persowie nazywali swoich kapłanów mobadami albo herbadami. Kiedy Belizariusz, całe lata temu, po raz pierwszy usłyszał o tyra rozróżnieniu, pomyślał natychmiast o chrześcijańskich księżach i mnichach, którzy przecież także się od siebie różnili. Dalsze doświadczenia z perskim społeczeństwem wyprowadziły go z błędu. Różnice pomiędzy mobadami a herbadami były bardziej subtelne i nigdy nie udało mu się do końca ich poznać. Mobadowie zdawali się reprezentować oficjalną potęgę kleru, podczas gdy herbadowie funkcjonowali raczej jako nauczyciele albo mędrcy.

Jednakże bardzo go zdumiało, że obie frakcje są tak licznie reprezentowane. To było dość niezwykle. Pomiędzy oboma odłamami dawało się zauważyć wyraźną rywalizację. Belizariusz wiedział, że z reguły obecność jednych całkowicie wykluczała obecność drugich.

Teraz przyjrzał się największej grupie Persów w pomieszczeniu. Ci stali stłoczeni pod wschodnią ścianą i najwyraźniej składali się tylko i wyłącznie z deganów. W samym środku gromadki stał Merena, dowódca oddziałów domowych Baresmanasa. Kiedy generał przyjrzał im się uważniej, stwierdził, że są bardzo do siebie podobni.

Baresmanas potwierdził jego przypuszczenia.

- To ludzie z klanu Mereny. A przynajmniej ci, którzy są obecni w mieście.

Sahrdaran już się nie uśmiechał. Teraz szczerzył zęby od ucha do ucha. Potrząsnął lekko głową.

- Ciągle nie rozumiesz? To naprawdę dziwne, jak na człowieka, który jest tak spostrzegawczy...

Sądziłbym, że...

Nagle nastąpiło małe zamieszanie. Deganie zaczęli się rozstępować, aby przepuścić niedużą grupkę, wchodzącą właśnie do komnaty przez korytarz we wschodniej ścianie.

Pojawiły się cztery kobiety. Pierwsze, które Belizariusz zobaczył od chwili, gdy wszedł do pałacu.

Usłyszał w głowie chichot Aide.

**Ja domyśliłem się już wczoraj.**

Kobieta na czele była w średnim wieku. Trzy, idące za nią, wyglądały na znacznie młodsze. Bez wątpienia jej córki.

Belizariusz poczuł, jak opada mu szczęka.

### **Cóż za tępak.**

Dziewczyna w środku, najstarsza, miała około szesnastu lat.

### **To pierwsze oznaki starczego zniedołężnienia. Nic innego.**

Okrywał ją wyszukany strój. Jej siostry, które szły po bokach, nosiły podobne ubrania, ale nie aż tak rzucające się w oczy.

### **Nie martw się, dziadku.**

Jej twarz zakrywał welon, z wyjątkiem oczu. Były to ciemnobrązowe oczy. I błyszczały z podniecenia. Piękne oczy. Generał nie miał wątpliwości, że reszta jest równie urodziwa.

### **Zadbam o ciebie.**

Belizariusz nie był w stanie uważnie śledzić bardzo długiego rytuału, który nastąpił później. Częściowo dlatego, że ciągle nie doszedł do siebie. Poza tym ceremonia opierała się na całkowicie odmiennej religii. Jednakże najbardziej rozpraszał go głos Aide, które ciągle mówiło w jego myślach.

Blask poświęconego ognia...

### **Od dzisiaj będziesz musiał zadowolić się owsianką.**

Główny skryba przemawia na temat praw do majątku i zobowiązań, które są centralnym punktem małżeństw patixsayih...

**Nie możesz sobie pozwolić na mięso. To zbyt duże ryzyko. Mógłbyś zaciąć się paskudnie, bo z pewnością zapomnisz, którego końca sztyletu powinieneś użyć.**

Sztynne przemowy, Agacjusz i Merena mówią o swoich szanowanych przodkach...

### **I oczywiście pobędziemy się konia.**

Wyuczone słowa herbadów, wsparte oceną mobadów, podsumowane wyważoną mową gubernatora okręgu i jego wyborowych doradców...

### **Znajdziemy dla ciebie jakiegoś osiołka.**

...który zgodził się, po długich przemowach, że małżeństwo nie kala wymaganej czystości aryjskiej krwi szlachetnie urodzonych.

### **Małego osiołka. Żebyś się nie zranił, kiedy z niego spadniesz.**

\* \* \*

Po skończonej ceremonii rozpoczęło się przyjęcie i wtedy do Belizariusza podszedł Merena.

- Mam pytanie - powiedział. Był tak samo sztywny jak zawsze.

Belizariusz grzecznie skinął głową, czekając na dalsze słowa.

- Czy Agacjusz był pod Mindos? Nie chciałem go o to pytać. A teraz jest moim zięciem, więc tym bardziej nie wypada.

- Nie, Mereno. Nie było go tam.

Degan zamruczał coś pod nosem.

- Dobrze, dobrze. - Merena potarł udo. - W przeciwnym razie było by mi... dość trudno - mruknął jeszcze i odszedł, bardzo mocno kulejąc.

\* \* \*

Kiedy Belizariusz opuszczał pałac, zerknął na Baresmanasa, idącego tuż obok. Na twarzy sahrdarana ciągle tkwił uśmiech. Teraz już nie tajemniczy. Tylko nieco drwiący.

- A jak ty się o tym dowiedziałeś? - warknął generał.

- Nie musiałem się dowiadywać, mój przyjacielu. To właśnie ja... ach, jakiego słowa wy, Rzymianie, używacie, by to określić? Tak, tak... to ja zaaranżowałem całe to wydarzenie.

Belizariusz szeroko otworzył oczy. Baresmanas zachichotał.

- O tak. To ja przedstawiłem tego szarmanckiego młodego oficera Merenie i jego rodzinie... po tym, jak umówiłem się z jego żoną, że Sudaba na pewno będzie wtedy obecna i że zadba o to, aby jej córka wyglądała naprawdę pięknie. To ja właśnie...

- Przestań się chełpić - mruknął Belizariusz. - Przyznaję, że to był prawdziwy majstersztyk i może rozwiązać wszystkie nasze problemy...

- Myślisz, że naprawdę zrobiłem to tylko po to? - Sahraran prychnął drwiąco. - Przyjacielu, ja miałem znacznie więcej problemów, wymagających natychmiastowego rozwiązania. Tak jak ci powiedziałem, Merena jest słynnym wojownikiem, a także niedoścignionym wzorem aryjskiej poprawności. Jest także, wedle degańskich standardów, dość biedny. Więc... facet ma córkę w wieku odpowiednim do zamążpójścia i nie jest w stanie zapewnić jej posagu. Pomyśl, co za wstyd! Co za hańba! Żaden perski szlachcic nie weźmie żony bez posagu.

Belizariusz uśmiechnął się krzywo.

- Podczas gdy pełen wigoru młody rzymski oficer, wyniesiony co prawda z nizin... lecz wzbogacony podczas ostatniej kampanii na nieprzyjacielskim łupie, będzie bardziej zainteresowany podwyższeniem swojego statusu niż pieniędzmi.

- Dokładnie tak.

Belizariusz ze smutkiem potrząsnął głową.

- Jestem niczym owieczka wśród wilków. Niewinne dziecko otoczone przez krętaczy i oszustów.

**Nie martw się, staruszk. Zaopiekuję się tobą. Och... uważaj. Przed nami stopień!**

# BABILON

*Jesień, 531 n.e.*

## Rozdział 25

Chozroes Anuszirwan wskoczył lekko na niski mur, wieńczący najwyższy poziom Esagili, antycznych ruin, które kiedyś były wielką świątynią boga Marduka. Z tak wysokiego punktu imperator Persji mógł bez przeszkód spoglądać na południe, na wielkie obozowisko Malawian oblegających Babilon.

Chwilę później dołączył do niego Belizariusz. Generał przez chwilę szukał oparcia dla stóp. Wzmocniony mur miał co najmniej metr grubości, ale nie zaopatrzone go w nic, co mogłoby uchronić nieostrożnego człowieka przed upadkiem w trzydziestometrową przepaść, usianą na dnie odłamkami skał.

Chozroes uśmiechnął się do generała.

- Czy ta wysokość ci nie przeszkadza? - spytał grzecznie, a w jego głosie brakowało choćby śladu drwiny.

Rzymski generał potrząsnął głową.

- Niespecjalnie. Jednak nie chciałbym raczej tutaj tańczyć.

- Szczęściarzu! Ja sam nienawidzę wysokości. Boję się każdej powyżej końskiego grzbietu.

Belizariusz zerknął na perskiego imperatora. Prawda, Chozroes był nieco blady i spięty, jakby z trudem panował nad swoim ciałem.

Trak po raz kolejny znalazł się pod wrażeniem samodyscypliny imperatora. Generał przybył do Babilonu trzy dni wcześniej i od razu dostrzegł, że Chozroes doskonale potrafi ujarzmić swoją dynamiczną i wybujałą osobowość. Teraz także manifestował tę samą twardą siłę woli. Perski władca stał swobodnie na szczycie ponad przepaścią, która wielu innych rzuciłaby na kolana i kazałaby nieprzytomnie szukać schronienia.

Obaj mężczyźni milczeli przez jakieś dziesięć minut. Stali po prostu ramię przy ramieniu i patrzyli na bitwę, której losy ważyły się u ich stóp.

Belizariusz natychmiast obejrzał się za siebie na dźwięk dział oblężniczych. Odległa o około półtora kilometra chmura dymu wskazywała na sporą baterią potężnych bombard. Kiedy wiatr zwiął wyziewy, zobaczył same działa. Osiem ustawiono poza wałem ziemnym. Spostrzegł, że formacja wyglądała niemal identycznie jak ta, którą widział pod Ranapur. Jego spojrzenie pobiegło na północ i południe, gdzie stały dwie następne baterie. Usłyszał kolejny grzmot, zobaczył chmurę dymu i znów działa zniknęły z widoku.

Belizariusz uniósł nieco wzrok i popatrzył na mury obleganego miasta. Szeroko otworzył oczy.

Babilon w istocie poszczycić się mógł potężnymi zabezpieczeniami. Zewnętrzne mury były tak grube, że przywodziły na myśl raczej niskie wzniesienie. Fortyfikacje nie sięgały wysoko - może na jakieś siedem metrów, nie więcej, ale miały szerokość co najmniej czterdziestu metrów.

Przyjrzał się dokładniej i odkrył, że zewnętrzny mur właściwie jest potrójny, a przynajmniej kiedyś taki był. Ściana wewnętrzna, szeroka na jakieś siedem metrów, została zbudowana z cegieł suszonych na słońcu. Wieże strażnicze, stojące w równych odstępach, miały także około siedmiu metrów wysokości. Ustawiono na nich kryte platformy dla perskich żołnierzy, którzy obsługiwali skorpiony i inne urządzenia artyleryjskie. Ścianę wewnętrzną od środkowej oddzielał pusty, usiany gruzami pas o szerokości około szesnastu metrów. Mur środkowy był nieco grubszy. Nie ustawiono na nim wież. Do budowy tej ściany użyto twardszej i wytrzymalszej cegły, wypalanej w piecu.

Z takiego samego materiału zbudowano ostatni, najbardziej zewnętrzny mur. Od środkowej ściany nie oddzielała go żadna przestrzeń. Pierwotnie gruby na trzy metry, służył jako parapet dla środkowego muru, ale także ograniczał szeroką i głęboką fosę, opasującą miasto.

Jednakże z tej ściany niewiele zostało. Przez setki lat okoliczni wieśniacy wybrali co lepsze cegły i pobudowali z nich chaty. Również fosa bardziej przypominała płytką, zamuloną rzekę niż dzieło rak ludzkich. Efekt ten częściowo usprawiedliwiała niewyobrazalna wielkość fosy - Belizariusz ocenił, że musi ona mieć co najmniej sto metrów szerokości.

Patrzył, jak kula armatnia uderza w zewnętrzny mur. Do fosy zsunęła się niewielka lawina potrzaskanych cegieł i wpadła do wody, pozostawiając na jej powierzchni zmarszczki. Poza tym wielkie działa zdawały się nie pozostawiać na murach żadnych śladów.

- W takim tempie - zdumiał się - prędzej wypełnią całą fosę gruzem i kulami armatnimi, nim skruszą te mury.

Chozroes prychnął.

- Byliśmy przerażeni... ja też, przyznaję, kiedy tylko zaczęli strzelać z tych niewiarygodnych machin. Nazywasz je działami oblężniczymi. Ale po kilku dniach... a potem po tygodniach, przestaliśmy się ich bać. Właściwie to dość śmieszne. Większość z moich doradców nalegało, abym został w Ktezyfoncie i schronił się za jego wysokimi, kamiennymi ścianami. Ale sądzę, że gdybym tak postąpił, dzisiaj...

- Dzisiaj byłbyś już pokonany - dokończył generał. - Widziałem już wcześniej, jak te urządzenia działają... I widziałem także mury Ktezyfontu. Z pewnością ległyby w gruzach w przeciągu dwóch miesięcy.

Pokazał palcem na zewnętrzne fortyfikacje Babilonu.

- Podczas gdy te mury... te szerokie, miękkie, niskie ściany, a właściwie pagórki, bardziej przypominają ziemne wały. To najlepsza forma obrony przed działami oblężniczymi.

Obaj mężczyźni patrzyli, jak kolejna kula uderza w mur - tym razem w wewnętrzny. Pocisk zagrzebał się w pokruszonych ceglach i tylko strażnica, odległa o trzydzieści metrów od miejsca uderzenia, zadygotała w posadach.

- Sądzę, że od tego ściana robi się mocniejsza - zachichotał władca.

- Ile razy atakowali bezpośrednio? - zapytał Belizariusz.

- Siedem. Ostatni raz przed miesiącem. Nie... prawie sześć tygodni temu.

Perski imperator odwrócił się i pokazał na prawo, w kierunku Eufratu.

- Ostatnim razem spróbowali podpłynąć barkami, wyładowanymi żołnierzami. To była masakra. Jak zapewne sam widzisz, zachodnie mury miasta są ciągle w doskonałym stanie, tak samo jak przed tysiącem lat, kiedy Nabuchodonozor kazał je zbudować. Solidna robota. Kamień. I są bardzo wysokie. Laliśmy na nich płonącą naftę i zatopiliśmy wiele jednostek za pomocą pocisków z katapult.

Uniósł nieco rękę, ale wciąż pokazywał na zachód.

- Gdyby mogli ustawić działa oblężnicze od zachodu, prawdopodobnie zdołaliby skruszyć ściany z kamienia. Ale kazałem zniszczyć groble i mostki.

Belizariusz popatrzył na rzekę. Było późne popołudnie i promienie zachodzącego słońca rzucały odbłaski na szerokie wody Eufratu. Chozroes, zgodnie z mezopotamską tradycją wojskową, która sięgała czasów Sumerów, kazał zalać niżej położone tereny. Uwolniony z okowów, uczynionych ręką człowieka, Eufrat rozlał się szeroko i zamienił cały obszar na zachód od Babilonu w jedno wielkie bagno. Teren stał się niedostępny nawet dla piechoty, nie wspominając już o jakiegokolwiek artylerii.

Na wschodzie Babilonu zabezpieczono w ten sam sposób. Antyczne miasto było teraz niczym wyspa - od zachodu, wschodu i północnego wschodu otaczały je bagna. Armia Malawian rozłożyła



się obozem od południa. Perskie siły ciągle kontrolowały wąski przesmyk, wiodący od Bramy Isztar, zlokalizowanej w północno-zachodniej ścianie, do zachodnich terenów Mezopotamii. Nawet po tylu miesiącach oblężenia Malawianie nie byli w stanie otoczyć i całkowicie odciąć miasta.

Chozroes znów spojrzał na południe.

- Pierwsze sześć ataków miało miejsce właśnie tu. Malawianie za każdym razem ponosili ogromne straty, i nie osiągnęli nic. No, może z wyjątkiem trzeciego ataku. Podczas walk ich doborowe oddziały... te najlepsze, żołnierze z dziwnymi fryzurami...

- Kuszanie.

- Tak. Jakiś tysiąc przedarł się przez zewnętrzne mury w trzech różnych miejscach. Ale...

Wzruszył ramionami. Belizariusz popatrzył w dół i zamrugał.

- To musiała być rzeź.

- Tak - zgodził się Chozroes. Imperator pokazał na wewnętrzne fortyfikacje, które składały się z drugiego kręgu murów, ustawione jakieś dwieście metrów za zewnętrznym kręgiem umocnień. - To podwójna ściana. Zewnętrzna ma około siedmiu metrów grubości, wewnętrzna nie więcej jak pięć. One także zostały wzniesione za czasów Nabuchodonozora. Był bardzo sprytny... albo raczej jego inżynierowie i architekci. Jak zapewne widzisz, obie ściany oddziela pusta siedmiometrowa przestrzeń. Biegnie tamtędy droga, zaprojektowana specjalnie po to, aby umożliwić przemieszczanie się wojsk. A za zewnętrzną ścianą tkwi niski wał ziemny. Stąd go nie widać. Ale zobacz tam, to fosa, która przylega do wału. Ma około pięćdziesięciu metrów szerokości.

Belizariusz potrząsnął głową.

- Musieli zginać. Jeżeli wróg przebrnie przez pierwszą fosę i pokona zewnętrzne umocnienia, znów wypada na otwartą przestrzeń i znów musi poradzić sobie z następną fosą i następnymi fortyfikacjami.

- Tak, tutaj też doszło do masakry. Na drodze stały setki deganów i ich przybocznych. Powierzchnia jest dobrze utrzymana i solidnie utwardzona, więc mogą po niej biegać konie. Bez trudu mogli strzelać z siodła, chronieni przez zewnętrzny mur, a co więcej - bez przeszkód przemieszczali się do miejsc aktualnie zagrożonych. Nie sądzę, abyśmy stracili więcej niż dwie setki ludzi. Czyli tyle samo, ilu ocalało Kuszan, którym udało się wycofać przez zewnętrzne fortyfikacje.

Chciał dodać coś jeszcze, ale jego uwagę przyciągnęła rakietą nadlatująca od strony malawiańskich linii. Chozroes i Belizariusz śledzili wzrokiem chaotyczny lot pocisku, który w końcu spadł na otwartą przestrzeń pomiędzy pasami umocnień i nie wyrządził nikomu żadnej krzywdy.

- Właściwie rakiety są dla nas większym problemem - skomentował imperator. - Prawie wcale nie uszkadzają murów i wiele z nich w ogóle nie trafia do celu. Ale te, które lecą prosto, mają większy zasięg niż działa oblężnicze i powodują duże straty. Moi żołnierze najbardziej martwią się tym, że nie sposób przewidzieć, gdzie spadnie taki przeklęty pocisk.

Generał skinął głową, ale nie odezwał się. Zajęty był studiowaniem umocnień wroga.

Najpierw obrzucił je szybkim spojrzeniem. Takie same widział pod Ranapur i znów nie zrobiły one na nim zbyt dużego wrażenia. Gdyby rzymska armia miała oblegać miasto przez tak wiele miesięcy, zrobiłaby przez ten czas znacznie lepsze i solidniejsze umocnienia.

Teraz spojrzał dalej, w kierunku rzeki. Kilka kilometrów od miasta ujrzał prowizoryczną przystań, którą Malawianie zbudowali na lewym brzegu Eufratu. Nabrzeże było rzeczywiście dość niechlujnie wzniesione, jednak mogło pomieścić wiele statków. Oceniał, że cumuje przy nim co najmniej czterdzieści jednostek, a każda z nich ma pojemność paru setek ton. Kolejny tuzin statków nadpływał od strony morza. Dulki wiosła błyszczały w słońcu, a jednostki ospale walczyły z leniwym prądem.

Belizariusz przypomniał sobie Ranapur i dokładniej przyjrzał się rzece. Tak jak się spodziewał, Malawianie strzegli floty zaopatrzeniowej za pomocą armady małych, szybkich okrętów wojennych.

- Niewiarygodne, prawda? - zapytał Chozroes. - Nawet w dawnych legendach nie ma nic o operacji logistycznej na taką skalę.

Zamilkł i zacisnął usta.

Belizariusz ukradkiem spojrział na imperatora. Twarz młodzieńca pozostawała całkowicie bez wyrazu, ale generał zdał sobie sprawę, że lęk wysokości powoli przejmuje panowanie nad silną wolą władcy.

- Widziałem już dość - oznajmił i odwrócił się, jakby chciał już odejść.

Na twarzy Chozroesa ciągle malowała się obojętność.

- Jesteś pewny? - spytał.

Trak pokiwał głową. Zobaczył, a przynajmniej tak mu się zdawało, że imperator lekko westchnął z ulgą. Odwrócił się szybko i zeskoczył na dach świątyni leżący półtora metra niżej.

Belizariusz także skoczył, chociaż wylądował nieco ciężiej niż Pers.

Częściowo dlatego, że generał był znacznie potężniejszym mężczyzną. Chozroes co prawda także był dość atletycznie zbudowany, ale połączenie młodego wieku i szczupłej, umięśnionej sylwetki sprawiało, że ważył dużo mniej. Poza tym Belizariusz miał na sobie półzbroję, więc z hukiem wylądował na dachu. Imperator za to nosił jedynie prostą tunikę i spodnie, strój typowy dla perskiego szlachcica, który zażywa odpoczynku.

Generał zachwiał się lekko, kiedy jego stopy dotknęły dachu. Chozroes przytrzymał go za ramię.

- To musi być okropne - zauważył z uśmiechem. - Musisz nosić to na sobie przez cały czas.

Belizariusz skrzywił się.

- A do tego jeszcze ten upał! Ale... tak musi być. Generał nie może ot tak sobie paradować w tunice, kiedy jego żołnierze wypacają z siebie całe rzeki.

Chozroes potrząsnął głową.

- Masz rację, nie może - zgodził się i wyszczerzył zęby od ucha do ucha.

- Podczas gdy imperator...

Belizariusz parsknął śmiechem.

- Tak, wiem, jeszcze zanim przybyliśmy, wszystko słyszałem od twoich pełnych podziwu żołnierzy. Jak to nieustraszony Chozroes Anuszirwan z nagą piersią stawia czoła Malawianom.

Imperator zerknął na swoją tunikę. Strój był bardzo prosty w kroju. Ale oczywiście nie można było powiedzieć, że należy do biedaka.

- Raczej nie - mruknął i zaprezentował rękaw. - To bawełna, widzisz? Nie len. Bardzo cenna. Prawie tak droga jak jedwab...

Przerwał, a Belizariusz zachichotał.

- Teraz już droższa. Bawełna pochodzi z Indii i przez jakiś czas dostawy zostaną zawieszona.

Dwaj mężczyźni popatrzyli po sobie.

Kiedyś byli wrogami. Chozroes nie walczył pod Mindos, trzy lata temu. Został w Ktezyfonie podobnie jak wszyscy jego bracia - rodzeni i przyrodni, spiskujący, aby zasiąść na tronie po śmierci starego imperatora Kawada. Ale to właśnie armię jego ojca generał Belizariusz rozbił w puch.

A teraz byli sprzymierzeńcami.

- Tak jest lepiej - mruknął imperator. Wziął generała za ramię i poprowadził w kierunku małego zikkuratu, który stał na środku dachu. W ścianie piramidy widniało wejście, a za nim schody prowadzące do ogromnego wnętrza Esagili.

- Znacznie lepiej - zgodził się Belizariusz.

**Tak, usłyszał w głowie głos Aide. Największy perski imperator w tym tysiącleciu nie jest najlepszym wrogiem, jakiego można sobie wymyślić.**

Belizariusz zastanawiał się, jak potoczyłyby się losy obu mocarstw, gdyby Malawa nigdy nie osiągnęła swojej potęgi, wspieranej przez istotę o imieniu Ogniwo. Aide nazywało to coś - na wpół człowieka, na wpół maszynę - cyborgiem. Sztucznym organizmem wysłanym w przeszłość przez nowych bogów z przyszłości.

**W przyszłości ty znów pokonasz Persów, powiedziało Aide. W bitwie niedaleko Daras. To w pobliżu Mindos.**

*A potem?*

**A potem, dziesięć lat później, Chozroes zdobędzie Antiochię.**

Byli już przy wejściu do zikkuratu. Chozroes wprowadził generała do wnętrza. Było tam znacznie chłodniej. Belizariusz westchnął z ulgą.

*Tak jest znacznie lepiej.*

\* \* \*

Chozroes oparł się wygodniej, rozłożył ręce i zatoczył nimi krąg.

- Belizariuszu, zapomniałem, że jesteś chrześcijaninem. To musi być dla ciebie prawdziwy cud!

Generał zmarszczył brwi, zaskoczony. Ręka z kielichem, zawierającym wino, znieruchomiała.

Władca się roześmiał.

- Nie mów mi, że nie rozumiesz! Przecież siedzisz na szczycie wieży Babel!

Belizariusz szerzej otworzył oczy. Popatrzył w dół, na ziemię pod stopami, a następnie rozejrzał się wokoło.

On i Chozroes spoczywali pod baldachimem, rozpiętym na szczycie sporego wzgórza, na środku tego, co kiedyś było Babilonem. Wielki pawilon imperatora wzniesiono nieco na północ od miejsca, gdzie siedzieli, tuż u podnóża wzniesienia. Dwaj mężczyźni byli sami; służący trzymali się w odległości dziesięciu metrów od nich.

Wzgórze stanowiło najwyższy punkt Babilonu i z jego szczytu roztaczał się wspaniały widok na całe miasto. Jednakże teraz niewiele z niego zostało. Właściwie tylko zewnętrzne fortyfikacje zachowały się w dobrym stanie.

Także Esagila, świątynia Marduka, była w całkiem niezłym stanie. Ta wielka budowla znajdowała się na południe od nich. Na zachodzie, oddzielony od podnóża wzniesienia wysoką kamienną ścianą, płynął Eufkrat, leniwie tocząc wody poprzez miękką glebę Mezopotamii. Na północy Belizariusz mógł zobaczyć ruiny antycznych królewskich pałaców. Tuż obok nich stała słynna Brama Isztar, prawie nietknięta.

Ale reszta...

Wschodnią część Babilonu, prawie trzy czwarte całego miasta, zamieniono w jedną wielką farmę. Tu i tam rosły drzewa owocowe, przetykane zagrodami dla zwierząt. Na stoku wzgórza, na którym siedzieli, wyrosło natomiast świetnie prosperujące miasteczko. Kiedy wspinali się na szczyt, mijali schludne chatki wieśniaków, zasiadających teraz na tronie, na którym wieki temu panowali antyczni monarchowie.

W tej chwili miasteczko się wyludniło. Chaty zarekwirowali przyboczni żołnierze Chozroesa. Ale ziemię nadal uprawiano; Belizariusz widział kobiety i mężczyzn obrabiających pola, zamknięte pasem murów miejskich. Z zaciekawieniem spostrzegł, że żaden z wieśniaków nawet nie unosił głowy na huk malawiańskich dział. Oblężenie ciągnęło się już od miesięcy i mieszkańcy przywykli do hałasu.

Teraz przyjrzał się samemu wzniesieniu. Miało ono około półtora kilometra obwodu i kilkaset

metrów wysokości. Na pierwszy rzut oka wyglądało jak wszystkie inne okoliczne pagórki, tylko było nieco wyższe i dlatego właśnie Chozroes wybrał je na swoją kwaterę.

Miało jednakże jedną charakterystyczną cechę...

- Teraz, kiedy zacząłem się nad tym zastanawiać, zauważyłem, że to wzgórze jest bardzo regularne - zdumiał się. - Obwód to praktycznie idealny okrąg.

- Nie idealny - zaprzeczył Chozroes Anuszirwan. Imperator pochylił się i wskazał południowo-zachodnią, a później południowo-wschodnią część podstawy wzgórza. - Jeżeli przyjrzy się uważniej, zobaczysz ślady czterech narożników. Tak samo jest po północno-wschodniej i północno-zachodniej stronie. - Odwrócił lekko głowę, wskazując przeciwny kierunek. - Kazałem moim architektom dokładnie obmierzyć wzgórze. Wykopali nawet dość głęboki tunel, wprost do wnętrza, od północnej strony. Na trzydziestym metrze natrafili na ceglana ścianę czegoś, co przypomina gigantyczny zikkurat.

Odchylił się na oparcie z zadowolonym wyrazem twarzy.

- To wieża Babel z antycznych legend. Jestem tego pewien. Krusząca się powoli od wielu stuleci. Przykryta ziemią niesioną z wiatrem. Po wielu wiekach stała się taka, jaką widzimy dzisiaj. Tak przy okazji, to dość częsty proces. W Mezopotamii jest bez liku takich wzgórz, które kryją w sobie antyczne ruiny.

Belizariusz popatrzył na imperatora z podziwem.

- To musiało wymagać sporo pracy.

Chozroes zaśmiał się głośno.

- Nie dla mnie!

Radość znikła z jego twarzy.

- Prawda, byłem ciekawy, co jest w środku, ale także potrzebowałem czegoś, żeby zająć moich ludzi. Kiedy tylko stało się jasne, że Malawianie nie zdołają sforsować zewnętrznych umocnień, a przynajmniej nie bez ogromnego wysiłku, i że głód raczej nam nie zagrazi, żołnierze zaczęli się nudzić. Jestem pewien, że wiesz, jak bardzo niebezpieczne jest, gdy żołnierze spędzają czas na bezużytecznej krzątaninie.

Trak skinął głową.

- Poza tym robiłem plany na przyszłość. Oczyszczamy tunele i pomieszczenia w środku pagórka. Mają one służyć jako magazyny żywności i, mam nadzieję, amunicji. Jedzenie nie będzie się psuło tak szybko, bo pod ziemią jest znacznie chłodniej. I nawet jeżeli Malawianie w końcu przełamią zewnętrzne umocnienia i przysuną swoje działa na tyle blisko, żeby zagrazić samemu miastu, bezpośrednie trafienia we wzgórze nie stworzą żadnego niebezpieczeństwa dla prochu schowanego głęboko pod ziemią.

Perski imperator zamilkł nagle i przyszpilił Belizariusza spojrzeniem czujnych, inteligentnych oczu.

Rzymski generał nie odwrócił wzroku. Nadeszła wreszcie ta chwila i nie mógł dłużej odsuwać tej rozmowy.

- Zgodziłem się już, że Ariowie będą mieli dostęp do broni palnej, imperatorze Chozroesie. Poszedłem nawet dalej. Upierałem się, że powinniśmy przekazać Persom sekret jej wytwarzania, Ale...

- Cesarzowa się nie zgodziła - dokończył Chozroes.

Belizariusz uniósł prawą dłoń, jakby chciał podkreślić, że sprawa nie jest taka prosta, na jaką wygląda.

- Tak... i nie. Zgadza się, że to pomogłoby Persji toczyć wojnę przeciwko Malawie. Tak

naprawdę wyrównać szanse. Lecz obawia się skutków długoterminowych.

Chozroes pokiwał spokojnie głową. Perski imperator nie miał żadnego problemu ze zrozumieniem oporów rzymskiej cesarzowej. Wszyscy mieli nadzieję, że pewnego dnia Malawianie odejdą. A Rzym i Persja, z drugiej strony, nadal pozostaną dwoma najpotężniejszymi imperiami, które od setek lat ścierają się ze sobą.

Belizariusz usłyszał głos Aide. Klejnot był bardzo zdenerwowany.

**Głupia kobieta! Ona jest taka nierozsądna w tej sprawie!**

Generał musiał powstrzymać się ze wszystkich sił, żeby nie wykonać uspokajającego gestu. Na szczęście trenował już od dawna i nauczył się utrzymywać swoją łączność z Aide tak, aby postronni obserwatorzy się nie zorientowali. Jednakże te wewnętrzne spory bardzo go rozpraszały...

*Teraz nie czas na to, Aide!*

Fasety zawirowały ponuro. Belizariusz znów skierował całą swą uwagę na imperatora. Chozroes właśnie coś do niego mówił.

- Rozumiem jej podejrzenia - zadumał się. - I na nieszczęście nie mogę jej powiedzieć nic, co by je rozwiało czy chociaż stłumiło. Mogę przysięgać, że podpiszemy traktat o stuletnim pokoju... nawet tysiącletnim, jeżeli tego zechce. Ale długo po tym, jak ja i Teodora umrzemy, Rzym i Persja nadal będą egzystować obok siebie. Któż może wiedzieć, czy nasi następcy dotrzymają słowa? I czy Ariowie i Rzymianie nie zetną się znów na polu walki, uzbrojeni tym razem w rakiety i działa?

Aide nie potrafiło kontrolować zniecierpliwienia.

**I co z tego? Mamy problem teraz - z Malawą! Jeżeli sobie z nimi nie poradzimy, za sto lat nie będzie ani Rzymu, ani Persji, i nie będzie się o co martwić. A poza tym...**

*Siedź cicho!*, warknął w duchu Belizariusz. Była to jedna z niewielu chwil, gdy pozwalał sobie na odrobinę niegrzeczności względem Aide. Fasety natychmiast zamigotały w odwrocie.

Trak wyczuwał, jak z kryształu emanują zranione uczucia. Jednakże nie przejmował się tym. Klejnot nie cierpiał nadmiernie. Aide przypominało raczej skrzywdzone dziecko, które jest niezadowolone, że musi słuchać ojca. Odwraca się, dąsa... i snuje myśli o kosmicznej niesprawiedliwości.

Lecz musiał się skoncentrować na bieżących problemach. I znał już opinię inteligentnego kryształu. Podczas ostatnich dni spędzonych w Konstantynopolu, kiedy omawiał to zagadnienie z Teodorą i jej doradcami, Aide praktycznie codziennie zdręczało go wizjami z ludzkiej przyszłości.

To były tysiące wizji. Najlepiej zapamiętał obrazy z podboju Indii przez Brytyjczyków. Właściwie podbój to nie był dobry termin. Przejęcie władzy w Indiach stanowiło długi i skomplikowany proces, który koniec końców nie odbył się nawet przy użyciu sił zbrojnych. Prawda, Brytyjczycy mieli broń palną, ale niebawem zdobyli ją także indyjscy radzowie. Jednakże ci orientalni władcy nie mogli się mierzyć z polityczną, socjalną i ekonomiczną organizacją Brytyjczyków.

Z tego samego powodu, jak podkreślało Aide, przekazanie sekretu broni palnej Persom nie przedstawia żadnego zagrożenia dla Rzymu. Przecież nie tylko technologia i uzbrojenie determinują równowagę sił pomiędzy imperiami i narodami. To same społeczeństwa są źródłem siły.

Rzym był państwem kosmopolitycznym, bogatym w kupców, handlarzy i rzemieślników. A w dodatku, mimo pełnej pretensji szlachty, ludzi cechowała tam otwartość na talenty. A przynajmniej do pewnego stopnia.

Persja była zupełnie inna. Imperium Ariów miało budowę typowo feudalną. Społeczeństwo w żadnym stopniu nie przypominało rzymskiego, a manufaktury i przemysł ledwie się rozwijały. Armia perska dorównywała rzymskiej na polu walki tylko dlatego, że Medowie szczycili się najlepszą na

świecie ciężką kawalerią.

Gdyby to społeczeństwo otrzymało nagle broń palną, efekt okazałby się zupełnie inny, niż przewidywała Teodora. Aide mówiło, że za pięćdziesiąt lat Persja nie będzie już przeciwnikiem dla Rzymu.

Belizariusz zgadzał się z klejnotem i także spierał się z Teodorą. Kładł również nacisk na fakt, że w chwili obecnej najważniejsze jest pokonanie Malawian i do tego muszą dążyć.

Ale Teodora...

Potrząsnął głową.

- Obawiam się, że ona jest bardzo podejrzliwa.

Chozroes zachichotał.

- Nonsens, Belizariuszu. Wszyscy władcy są podejrzliwi. Zaufaj mi w tej kwestii. Mówię ci z własnego doświadczenia. Nawet moi rodzeni bracia...

Przerwał nagle.

- Porozmawiamy o tym później. Teraz muszę cię oficjalnie prosić, aby Cesarstwo Rzymskie udostępniło nam broń palną.

Imperator skinął rękaw stronę południa.

- Jak zapewne widzisz, do tej pory udawało nam się powstrzymać ich za pomocą konwencjonalnych środków. Ale teraz potrzebuje my czegoś więcej, Belizariuszu. - Zacisnął pięści. - Muszę przerwać to oblężenie.

Westchnął.

- Jakiś czas temu spróbowaliśmy wycieczki. To było głupie posunięcie. Przeklinałem siebie za to wtedy i przeklinani po dziś dzień. Nasi żołnierze zostali zmasakrowani. Kiedy tylko znaleźli się w zasięgu, Malawianie zaczęli strzelać z tych wielkich dział. Tym razem jednak nie ładowali ich kulami z kamienia, ale odłamkami skał i kawałkami żelaza.

- Szrapnele - rzekł Belizariusz.

- Nie mieliśmy szans. Doszło do okropnej rzezi, chociaż prawie natychmiast dałem hasło do odwrotu.

Otarł twarz gestem zawierającym kombinację bólu i żalu do samego siebie. Ale Chozroes wcale nie zamierzał złagodzić nacisku.

- Muszę przerwać to oblężenie... i to zanim upłynie rok. A do tego potrzebuję własnych dział. Malawiańskie umocnienia nie są tak silne jak mury Babilonu, ale ciągle stanowią poważną przeszkodę dla szarży kawalerii. Tylko działa mogą je uszkodzić na tyle, aby moi żołnierze byli w stanie skutecznie zaatakować.

Generał zmarszczył brwi.

- Dlaczego tak się upierasz, żeby przerwać oblężenie... i to w ciągu roku?

Siedząc na krześle, obrócił się nieco i popatrzył na południe.

- Nie sądzę, żeby Malawianie dali radę wdrzeć się do Babilonu. Nie, dopóki nie zwiększą swoich sił co najmniej o połowę. A nawet Malawianie nie są tak potężni, chociaż ich siły liczą tysiące tysięcy żołnierzy.

Patrzył teraz na zalane tereny na zachodzie.

- Prawda, niebawem możemy mieć problem z zarazą, szczególnie przez te bagna. Ale choroba zazwyczaj mocniej uderza w oblegające go niż oblężonego.

Odwrócił się i popatrzył na wschód, na niesamowicie rozległe tereny uprawne, które zamykały się w obrębie murów Babilonu.

- Będą musieli cię zagłodzić. A myślę, że to może im zająć wiele lat. Nawet jeżeli nie da się

czegoś uprawiać na polach Babilonu, zawsze możesz to sprowadzić. Miasto w końcu nie jest całkowicie odcięte. Weszliśmy do środka od północy bez żadnych problemów. Jestem najzupełniej pewny, że barki z dołu rzeki mogłyby tu zawijać.

Młody władca machnął ręką.

- Nie martwię się Babilonem, generale. Utrzymam miasto, nie ma co do tego wątpliwości. Ale na co mi się to przyda, jeżeli utracę całą Persję?

Westchnął ponownie.

- Zamknęli mnie tutaj, razem z większą częścią armii. I wysyłają wielkie bandy, które niszczą Mezopotamię...

Przerwał na chwilę i zaniósł się chrapliwym śmiechem.

- Teraz mamy o jedną mniej... dzięki tobie! Ale ciągle są jeszcze inne i niszczą wszystko, co się da. A co gorsza - na wpół uniósł się z siedziska i wyciągnął ramię, pokazując na północny wschód - wielka armia wkroczyła do wschodniej Persji. I pokonuje każdą siłę, jaka staje im naprzeciw!

Belizariusz uniósł brew. Chozroes opadł na oparcie i pokiwał z goryczą głową.

- O tak. Wygrywają każdą z bitew.

Przez chwilę srogo marszczył czoło. Grymas jednakże zawierał w sobie więcej zdumienia niż gniewu.

- To naprawdę dziwne. Nie mogę powiedzieć, że zaimponowała mi jakość malawiańskich oddziałów. A przynajmniej nie tutaj, w Mezopotamii. Nieprzebrane masy żołnierzy i broń palna... oto, co daje im tak miażdżącą przewagę. Na pewno nie są to umiejętności oficerów. Jednak na wschodzie, gdzie nie mają wielu okazji do użycia broni palnej, radzą sobie zdumiewająco dobrze.

- Nie jestem tym zaskoczony, imperatorze. Te siły składają się głównie z Radżputów pod dowództwem Rana Sangi. Znam go osobiście. Radżputowie należą do najlepszej kawalerii na świecie, a Rana Sanga jest jednym z lepszych generałów. A Malawianin, który dowodzi całą armią, pan Damodara, cieszy się opinią jednego z lepszych dowódców.

- Cieszy się opinią? A czyją?

Belizariusz uśmiechnął się krzywo.

- Rana Sangi, tak się składa.

- Ach! - Perski imperator złapał się mocno za oparcie fotela. Wziął głęboki oddech. - To wiele wyjaśnia. A także czyni moje potrzeby jeszcze łatwiejszymi do zrozumienia. Mogę trzymać Malawian pod murami Babilonu przez kilka następnych lat, lecz tylko przerwanie oblężenia da mi swobodę manewru, której tak potrzebuję. Jeżeli ucieknę z Babilonu, nie znajdę już innego miejsca, gdzie będę mógł stawić czoła Malawianom, i Mezopotamia wpadnie w ich ręce. Ale jeżeli zostaną...

- Malawianie spustoszą wszystkie okoliczne ziemie. A w końcu zdobędą Fars i całą wschodnią wyżynę.

Chozroes pokiwał głową. A potem, kiedy zauważył, że kielich Belizariusza jest pusty i generał obraca go w palcach jak zabawkę, skinął na służącego, stojącego kilka metrów dalej. Ale Belizariusz powstrzymał sługę krótkim gestem.

- Więcej nie, dziękuję. - Odstawił kielich na mały stolik, ustawiony obok jego siedziska. - Wyśle polecenia do Rzymu i każę przywieźć do Babilonu trochę dział. A także duży zapas prochu. Tylko to mogę zrobić. Postaram się także - w tym momencie wydał policzki - przekonać cesarzową, żeby pozwoliła mi wyszkolić waszych żołnierzy na artylerzystów.

Anuszirwan szarpnął się za brodę.

- Myślisz, że się zgodzi?

- To możliwe. Oczywiście będzie nalegała, żeby broń i proch pozostały pod kontrolą rzymskich

oddziałów. Ale będziesz miał je tutaj, w Babilonie. A potem...

Chozroes uśmiechnął się słabo.

- Pod kontrolą rzymskich oddziałów - mruknął. - Tak, tak. To bardzo ładnie... no, brzmi całkiem bezpiecznie.

Przez chwilę perski imperator i rzymski generał patrzyli na siebie porozumiewawczo.

Belizariusz przerwał ciszę krótkim parsknięciem śmiechem.

- Imperatorze, ona nie jest ani trochę naiwna. Raczej wręcz przeciwnie! Natychmiast zrozumie skutki. Łatwo przewidzieć rezultaty, gdy tylko młodzi rzymscy żołnierze... - przerwał i zapatrzył się w przestrzeń. - To zdumiewające - mruknął - ile pięknych kobiet macie tu, w waszym kraju.

Chozroes wyszczerzył zęby.

- Jesteśmy miłymi ludźmi. Nie możesz zaprzeczyć. - Uśmiech zniknął. - Ale sądzisz, że regentka się zgodzi?

Mąż przyjaciółki Teodory, pokiwał głową.

- Myślę, że to wystarczy. Teodora będzie mogła uspokoić swoje sumienie tym, że przecież nie wydaje swoich sekretów wprost. Przynajmniej przekłęci Persowie będą się musieli napocić, żeby je zdobyć.

- W pełnym tego słowa znaczeniu - zachichotał młodzieniec. Oparł dłonie na kolanach i wstał. Jak zwykle ruch był szybki i pełen energii.

- A jeżeli już mowa o pięknych perskich dziewczętach - zagaił. - Dzisiaj wieczorem w moim namiocie odbędzie się przyjęcie. Na cześć córki Mereny, teraz żony jednego z twoich głównodowodzących oficerów. Zrozumiałem, że ona towarzyszy mu w kampanii.

Belizariusz wstał i pokiwał głową.

- Tak, w rzeczy samej. Najwyraźniej na to nalegała. Ku zdumieniu samego Agacjusza.

Perski imperator ruszył w kierunku wyjścia z namiotu. Przechylił głowę na bok.

- Czy był zły? Czy naprawdę uwierzył w te bajeczki o posłusznych perskich żonach?

Trak zaśmiał się.

- Właściwie był raczej zadowolony. Myślę, że jest naprawdę zakochany. To nie było zwyczajne małżeństwo z rozsądku czy dla korzyści.

Chozroes uśmiechnął się.

- To dobrze. To dobrze wróży na przyszłość. Takie wesele to dobry znak... Mam nadzieję, że będzie ich więcej.

- Ja też - zgodził się Belizariusz.

Kiedy szli powoli w kierunku pawilonu, uśmiech Chozroesa nabrał drwiących nutek.

- To właśnie dlatego... częściowo dlatego... nie, całkowicie dlatego postanowiłem wydać to małe przyjęcie. Kiedy moi szlachetnie urodzeni przyjaciele zobaczą, że faworyzuję takie małżeństwa, z pewnością wynajdą córeczkę czy dwie, by wydać je za obiecującego rzymskiego oficera. Możesz być tego pewny! Bez wątpienia my, Ariowie, lubimy mówić o czystości krwi, ale w żadnym razie nie jesteśmy odporni na ambicję.

Przerwał na chwilę i z zachwytem popatrzył na zachodzące słońce. Belizariusz dołączył do niego.

- Nasz świat jest naprawdę piękny mimo zła, które w nim tkwi. Belizariuszu, zapamiętaj na zawsze ten widok i niech cię on podnosi na duchu w mrocznych dniach, które nadejdą.

Imperator potrząsnął głową i spojrział na pawilon.

- Mówiąc o mrocznych dniach, które nadejdą... stanie się to już za moment. Mój brat Ormazd będzie na przyjęciu. - Skrzywił się wściekle. - Oczywiście, będę musiał być dla niego miły. W końcu przecież on... nie postąpił wbrew mojej woli!



Rzymski generał prychnął:

- Właściwie to było zdumiewające, jak szybko podjął decyzję. Kiedy tylko Baresmanas i ja pokazaliśmy się w jego obozie pod murami Ktezyfontu, z prawie dwunastoma tysiącami ludzi i opromienieni aurą zwycięstwa pod Anathą, natychmiast się rozmyślił. Nawet nie narzekał po drodze.

- No myślę, że nie - warknął imperator. - Musiał się mocno postarać, żeby zachować twarz.

Uśmiech zniknął z twarzy rzymskiego generała. Belizariusz popatrzył na Chozroesa znacząco. Nie powiedział ani słowa. Nie musiał nic wyjaśniać... nie temu człowiekowi.

Młodzieniec westchnął.

- Tak, Belizariuszu. Zgadzam się. Masz moje pozwolenie na przeprowadzenie swojego planu.

Belizariusz zawahał się:

- Czy rozumiesz... czy Baresmanas wszystko dokładnie ci wyjaśnił? Na końcu...

Chozroes uciął jego słowa szybkim ruchem dłoni.

- Tak, rozumiem. Będę musiał ci zaufać.

- Dam ci moje słowo, jeżeli tego chcesz

Imperator roześmiał się prawie wesoło.

- Nonsens! Nie chcę twojej przysięgi. Chcę... tych twoich dwóch ochroniarzy. Czy oni pełnią tę funkcję na stałe?

Chozroes wziął generała za ramię i znów ruszyli w kierunku pawilonu. Jednakże krok obu mężczyzn nie przypominał w niczym wcześniejszego spaceru ludzi podziwiających leniwie zachód słońca. Teraz kroczyli niczym osoby zdeterminowane, które wreszcie podjęły decyzję.

- Dobrze - oznajmił. - Oni także będą na przyjęciu. Chcę się z nimi spotkać. Na osobności.

Generał popatrzył na rozmówcę zdumionym wzrokiem.

- Na osobności? Z Walentynianem i Anastazjuszem? Ale po co?

- Chcę, żeby dali mi swoje słowo, że utrzymają cię przy życiu za wszelką cenę, niezależnie od kosztów.

Zmierzył generała wzrokiem.

- Nawet jeżeli będzie to oznaczało przywiązanie cię linami do drzewa i ogłuszenie, żebyś nie brał więcej udziału w żadnej szarży kawaleryjskiej, które przysporzyły ci tak wiele sławy. I to wśród moich deganów!

Imperator potrząsnął głową.

- Każdy generał, który zaimponuje deganom bohaterstwem, odwagą i brakiem poszanowania dla osobistego bezpieczeństwa, wymaga ścisłego nadzoru. Bardzo ścisłego.

Byli już prawie u wejścia do pawilonu.

- Ten Anastazjusz? Czy on jest naprawdę taki wielki?

Belizariusz skinął głową. Chozroes zatrzymał się przy wejściu i mierzył generała wzrokiem od stóp do głów niczym farmer, który poddaje ocenie swojego tuczniaka.

- Tak, tak - mruknął. - Nie powinien mieć żadnych kłopotów. Nawet jeżeli będzie musiał cię obezwładnić.

Odwrócił się i wszedł do namiotu.

- Postaram się, żeby złożył mi taką obietnicę! - zawołał jeszcze przez ramię.

\* \* \*

Anastazjusz miał twarz bez wyrazu. Walentynian nawet nie próbował ukrywać emocji.

- ... w imię Ojca i Syna - skończyli jednocześnie.

Powaga sytuacji cierpiała nieco, gdyż Walentynian uśmiechał się od ucha do ucha. Ale Chozroes nie wydawał się niezadowolony z końcowego efektu, biorąc pod uwagę, że sam się szeroko

uśmiechał.

- Doskonale - podsumował.

Anastazjusz i Walentynian uznali to za sygnał dla siebie. Chwilę później uklonili się z szacunkiem i wycofali za jedwabne zasłony, które oddzielały prywatną część namiotu Chozroesa od głównej, dostępnej dla wszystkich.

Imperator zmarszczył lekko brwi. Skłonił głowę ku Belizariuszowi.

- Co on powiedział? Ten niniejszy... coś tam mamrotał, jak wychodził.

Belizariusz uśmiechnął się.

- Zdaje mi się, że powiedział: „Niech Bóg błogosławi mądrego imperatora”. Ale może źle go zrozumiałem. Może powiedział...

- Nonsens! - zawołał Chozroes. - Jestem zupełnie pewny, że to właśnie powiedział.

Wziął generała za ramię i pociągnął go do wyjścia.

- Wspaniały chłopak! Cudowny, cudowny! Nawet mimo tego, że wygląda jak złośliwa łasica.

Belizariusz zachował uwagi dla siebie. Aide nie.

**Zgadzam się. Wspaniały chłopak. I Anastazjusz też!**

**Belizariuszu, spojrzysz na całą rzecz przez pryzmat filozofii. Może mógłbyś poprosić Anastazjusza, żeby zacytował jakieś odpowiednie frazy z Marka Aureliusza albo...**

**Co ja słyszę? Czy ty coś tam mamrociesz pod nosem?**

# EUFRAAT

## Rozdział 26

- I założyłeś ładunki? - zapytał Belizariusz. - Wszystkie?

Generał westchnął, widząc wahanie na twarzy Bazylego.

- Tylko mi nie mów... Założyłeś tak wiele, jak się dało, wykorzystując proch Malawian, ale nie wykorzystasteś ani grama naszego prochu.

Żołnierz pokiwał głową. Unikał wzroku generała, Belizariusz z trudem powstrzymał wybuch gniewu. Przypominał sam sobie, że mianował Bazylego dowódcą oddziału katuszy, gdyż mężczyzna ten, jako jeden z niewielu spośród Traków, miał wyraźny talent do broni palnej. Dlatego też nie zdziwił się, że Bazyli tak oszczędza swoje zasoby.

- Dokończ robotę, Bazyli - warknął generał. - Nieważne, czy wykorzystasz przy tym cały zapas... nawet jeżeli pozbawisz prochu swoje ukochane katusze. Dokończ robotę.

Bazyli otworzył usta; następnie je zamknął.

- Tak, panie - powiedział ponuro.

Belizariusz wrócił do studiowania prac, jakie strofowany dowódca wykonał podczas jego nieobecności. Po minucie czy dwóch zły humor całkowicie minął. Bazyli naprawdę wykonał kawał dobrej roboty. Mimo tego, że za żadną cenę nie chciał rozbroić swoich ukochanych rakiet.

Z wielkiej tamy, która oddzielała Nehar Malka od Eufratu, nie zostało prawie nic. W poprzek koryta stała tylko cienka ściana, ledwie powstrzymująca napór wody. Na północnym brzegu kanału leżała, wybrana z tamy, wielka góra kamieni. Już teraz ze ściany sączyły się małe strumyczki wody i łączyły w małą rzeczkę, która zwilżała suche od setek lat dno Królewskiego Kanału.

Pomyślał, że to musiała być straszna i ciężka praca. Oczywiście większą jej część wykonali kuszkańscy jeńcy.

Popatrzył na Bazylego.

- Czy bardzo narzekali? To znaczy Kuszanie.

Tamten potrząsnął głową.

- Ani trochę. Nawet nie próbowali się migać od roboty. Nasi chłopcy narzekali bardziej.

Belizariusz mruknął coś z zadowoleniem. Chociaż w przypadku Bazylego wypełnił jego instrukcje co do joty.

- Jaką metodę rotacji zastosowałeś? Trzech do jednego?

- Przez pierwszy tydzień tak - odparł oficer. - Potem zmieniłem na jeden do jednego.

Generał otworzył szeroko oczy.

- Czy to nie było odrobinę...

- Ryzykowne? Nie uważam tak, generale.

Dowódca oddziału katuszy zerknął na Belizariusza, aby ocenić jego nastrój.

- Przypomniałem sobie, panie, jak namówiłeś ich do poddania się - dodał. - Potem, po pierwszym tygodniu, porozmawiałem z Vasudevą. Dał mi swoje słowo, że Kuszanie nie będą próbowali ucieczki. - Katafrakt uśmiechnął się. - Właściwie to on nalegał, żebyśmy utrzymali zasadę podziału naszych ludzi na połowę. Połowa pracuje razem z Kuszaniem, a reszta ich pilnuje. Po tym, jak mi przysiągł, zamierzałem znacznie zmniejszyć liczę strażników. Ale Vasudeva...

Belizariusz roześmiał się i klasnął w dłonie.

- Powiedział, że to będzie dla nich poniżające!

Bazyli pokiwał głową.

Belizariusz w pełni odzyskał dobry humor. Położył na ramieniu katafrakta uspokajającą dłoń.

- Dobra robota, Bazyli.

Bazyli znów zerknął na zwierzchnika, oceniając jego nastrój. Chciał coś powiedzieć, ale generał przerwał mu, potrząsając głową. Nie był zły, ale stanowczo nie zamierzał dopuścić podwładnego do głosu.

- Nie, Bazyli. Nie zamierzam roztrząsać tego po raz kolejny. Możliwe, że sam proch Malawian wystarczy, ale nie mogę ryzykować. Chcę, żeby ta tama upadła w jednej chwili... i to całkowicie.

Popatrzył swojemu podwładnemu prosto w oczy.

- Zastanów się nad tym, Bazyli. Jeżeli ładunki nie będą wystarczające i tylko połowa tamy wyleci w powietrze... Co zrobimy? Wiesz, równie dobrze jak ja, że zakładanie nowych ładunków, kiedy przez wyrwę rwie woda, jest praktycznie niemożliwe. Zajmie wiele dni... Nie wspominając już o rannych, czy nawet zabitych, gdyż praca ta będzie bardzo niebezpieczna. W między czasie Malawianie skorzystają z okazji, żeby uratować swoją flotę. Jeżeli Eufrat będzie opadał powoli, prawdopodobnie zdołają odprowadzić większość statków w bezpieczne miejsce w dole rzeki. A z pewnością zabiorą je na tyle daleko od Babilonu, że kiedy w końcu siądą na dnie, Chozroes nic im już nie zrobi.

Generał nie mówił głośno, nie krzyczał, ale jego głos był twardy jak stal.

- Chcę, żeby ich statki natychmiast siadły na mieliźnie, Bazyli. Chcę, żeby poziom wody w Eufracie opadał tak szybko, że Malawianie nie zdążą nic zrobić.

Bazyli westchnął ciężko i pokiwał głową. Belizariusz znów poklepał go po ramieniu.

- Rozchmurz się wreszcie, człowieku. Niebawem dostaniemy nowy zapas dział i prochu z Callinicum. Dobrych rzymskich dział i prochu, a nie tego malawiańskiego badziewia. Ogromny zapas. Wysłałem rozkazy, aby dostarczono nam cały proch, jaki tylko się znajdzie. Przed nami jeszcze więcej niszczycielskiej pracy. Dużo więcej.

Bazyli skrzywił się.

Generał, który znał powód tego grymasu, nie mógł powstrzymać się od czarnych myśli.

*Mam nadzieję. Jeżeli zwyczajne problemy logistyczne nie staną się jeszcze większe.*

Ale nie było sensu dalej zgłębiać tego tematu, więc generał zaczął mówić o czymś innym.

- A co sądzisz o bezpieczeństwie naszego przedsięwzięcia? - zapytał.

Bazyli natychmiast się rozchmurzył.

- Wszystko doskonale, panie. Dzięki Abbu i jego zwiadowcom oraz Kuruszowi i jego Persom w pobliże obozu nawet jaszczurka się nie prześlizgnie.

Stali na szczycie resztek antycznej tamy i katafrakt wskazał w dół, na Nehar Malka.

- Malawianie nie mają pojęcia, co się tutaj dzieje. Jestem tego pewien. Obawiałem się tylko jednego. Tego, że Kuzanie będą próbowali się wymknąć i przekazać informacje Malawianom zebranych pod Babilonem. Oczywiście w dzień nie miałoby najmniejszej szansy, ale kazałem Abbu utrzymywać pełne patrole także w nocy i Arab przysięga, że żaden Kuzanin nigdy nawet nie próbował...

- Nie - przerwał mu Belizariusz, stanowczo potrząsając głową. - To nie należy... hm, jak to powiedzieć... to nie jest coś, czego spodziewałbym się po Kuzanach.

Bazyli zmarszczył brwi.

- Dlaczego nie? Vasudeva przysięgał, że nie będą się buntować ani nie uciekną całą masą. Nigdy nie obiecywał, że nie pošle kilku Kuzan z informacjami dla swoich sprzymierzeńców.

Generał odwrócił wzrok. Teraz to on się zawahał. Nie dlatego, że nie był pewny lojalności Kuzan i ich uczuć do malawiańskiego okupanta, tylko nie wiedział, jak to wyjaśnić Bazylemu bez ujawniania...

Jego rozterki przerwał głos Aide.

**Powiedz mu.**

Belizariusz zamarł ze zdumienia.

*Jesteś tego pewne, Aide?*

**Powiedz mu. A przynajmniej tak wiele, jak musisz. To nie będzie miało znaczenia, Belizariuszu. Nawet jeżeli ktoś to powtórzy, to co? Do tej pory Ogniwo i tak musiało się domyślić, że tu jestem. A nawet jeżeli nie, niebawem się dowie. Prędzej niż płotka, która po tej rozmowie rozniesie się w obozowisku Rzymian, dotrze do uszu szpiegów Malawy. Utrzymanie sekretu nie jest już ważne. A przynajmniej nie tak ważne, jak utrzymanie zaufania twoich oficerów.**

Belizariusz westchnął, niewątpliwie z ulgą. Zawsze uważał, że jako generał odniósł sukces głównie z jednego powodu - potrafił zbudować zespół ufających sobie podwładnych. To, że musiał trzymać w sekrecie istnienie Aide, ograniczało jego naturalne zdolności i instynkty przywódcze.

Był szczęśliwy, że może z tym skończyć.

Naturalnie natychmiast przyszło mu na myśl, że wielu weźmie go za gaworzące niemowlę, a to już gorzej.

Belizariusz uśmiechnął się więc i popatrzył na stojącego obok katafrakta.

- Czasami... czasami, Bazyli, nawiedzają mnie wizje z przeszłości.

Tracki żołnierz wybałuszył oczy. Ale znów nie aż tak bardzo, pomyślał Belizariusz.

- Nie jesteś zaskoczony?

Bazyli wzruszył ramionami.

- Nie, panie. Niespecjalnie. Nikt mi nie powiedział, ale nie jestem głupi. Spostrzegłem, jak Maurycy... i Walentynian, i Anastazjusz też, jeżeli już o tym mowa, nabierają wody w usta, kiedy rozmowa schodzi na pewne rzeczy. Na przykład na to, jak wyrwałeś Malawianom sekret broni palnej i w jaki sposób przekazałeś go Antoninie na tyle wcześniej, że mogła zebrać swoją małą armię w Syrii, zanim jeszcze wróciłeś z Indii. I to, co się stało... a właściwie, co się nie stało w Indiach. I dlaczego byłeś tak pewny, że Malawianie będą naszym wrogiem - wtedy, kiedy nikt jeszcze nawet o nich nie pomyślał. I dlaczego Michał z Macedonii... ten Michał z Macedonii, stał się tak bliskim przyjacielem generała? I dlaczego...

Belizariusz ze śmiechem uniósł rękę.

- Wystarczy!

Rozejrzał się wokoło. On i Bazyli byli na tamie całkiem sami. W pewnym oddaleniu, u podnóża zapory, stał niewielki oddział konnej eskorty i czekał na nich cierpliwie. W pobliżu nie widział żadnych Persów... zresztą i tak nie mieliby gdzie się skryć, wyjąwszy trzciny, które rosły na brzegu Eufratu. Najbliższa kępa wystrzeliła z mułu w odległości trzydziestu metrów. Z takiego dystansu nikt nie dojrzałby małej rzeczy, którą dowódca wyjął z sakiewki zawieszanej na szyi.

Ujął Aide w dłonie, tak żeby nikt nie mógł zobaczyć klejnotu. Bazyli nachylił się nad nim, zachwycony.

- Michał z Macedonii mi to dał - powiedział Belizariusz łagodnie. - Ponad trzy lata temu. Nazwał to wtedy Boskim Talizmanem.

- To jest takie piękne - szepnął katafrakt. - Nigdy nie widziałem czegoś tak cudownego.

- Bo to cud. To posłaniec z przyszłości, który przybył tutaj, żeby ostrzec nas przed Malawianami. Pokazał mi wizje przyszłości, jaką zgotują nam Malawianie.

Przerwał, gdyż Bazyli nie mógł oderwać wzroku od jarzących się faset.

- Później opowiem ci o wszystkim, co widziałem... w tamtej przyszłości. Naprawdę...

Zawahał się i znów usłyszał głos Aide.

**Tak. Nadszedł czas.**

- Powiem wam wszystkim. Wszystkim dowódcom. Nadszedł czas. Ale teraz...

\* \* \*

Mówił spokojnie przez kilka minut. Opowiedział katafraktowi Bazylemu o jednej wizji, tej, w której zobaczył księżniczką, cierpiącą w malawiańskiej niewoli. Jej strażnikiem był Kuzanin o imieniu Kungas. I powiedział mu, że Kuzanin o imieniu Kungas nie ostrzegł swojego pana z Malawy, który pewnej nocy przyszedł do komnaty zakładniczki, żeby zrobić z niej nową konkubinę. Nie wyjawiał wielkiemu panu, że jego nowa konkubina jest zabójcą. Belizariusz opowiedział o tym, jak ten wielki pan zginął, ponieważ Kuzanin na swój własny sposób pojmował pojęcie honoru.

A potem opowiedział mu, jak w tej przeszłości, której panem był Belizariusz, Kuzanin znów trzymał język za zębami. Jak nie powiedział ani słowa swoim panom z Malawy, kiedy zdał sobie sprawę, że Rzymianie uwolnili księżniczkę i właśnie zamierzają przemycić ją w swoim orszaku.

- I gdzie on jest dzisiaj, ten Kungas? - zapytał Bazyli.

Belizariusz wsunął Aide z powrotem do sakiewki.

- Dzisiaj Kuzanin o imieniu Kungas, razem ze swoimi ludźmi oczywiście, jest osobistym strażnikiem imperatorowej Szakuntali. Dziedziczki tronu Satavahanów. Prawowitej władczyni królestwa Andhra.

Bazyli, zdumiony, podniósł głowę i popatrzył na południe, gdzie w oddali majaczył obóz kuszańskich jeńców.

- Myślisz, że... ?

Zwierzchnik wzruszył ramionami.

- Kto wie? Kungas jest niezwykłym człowiekiem. Ale wierzę, że pod wieloma względami wszyscy Kuzanie są podobni. Mają mocno zakorzenione poczucie lojalności i obowiązku, a pojmują je na swój własny sposób. Są wasalami Malawian i służą im wiernie. Ale nie sądzę, żeby bardzo kochali swoich panów. A raczej nie kochają ich wcale.

Odwrócił się i zaczął schodzić z tamy.

- A co najważniejsze - rzucił jeszcze przez ramię - mają swoje własne specyficzne poczucie humoru. Bardzo pokręcone. I raczej dość ponure. Ale potrafią się naprawdę głęboko cieszyć.

Zaczekał na Bazylego u podnóża tamy. Kiedy oficer do niego dołączył, Belizariusz uśmiechnął się od ucha do ucha.

- Widzisz, liczę właśnie na to poczucie humoru. Kuzanie z pewnością nie powiadomią Malawian o tym, co się tutaj dzieje. Nie, na pewno nie... to by zepsuło niezły kawał.

\* \* \*

Tej nocy, w półmroku małego namiotu, Vasudeva nachylił się nad stołem i dolał wina do kubka Belizariusza.

- To dobre wino - powiedział. - Oczywiście jest go zbyt mało. Persowie to straszne sknery. Ale jest niezłe. Naprawdę dobre.

Mężczyźni osuszyli kubki. Vasudeva uśmiechnął się.

- Wiesz, my lubimy zakłady. I tak mamy tu jeden całkiem niezły, który się jeszcze nie rozstrzygnął. Wszyscy Kuzanie obstawili. - Wzruszył niewinnie ramionami. - Oczywiście, nie za bardzo mamy co stawiać, bo jesteśmy tylko jeńcami wojennymi. Ale to sam zakład jest tak bardzo emocjonujący, a nie stawki.

Napełnił kubek Belizariusza. Znów się napili.

- Zakładacie się o to, czy mi się uda - orzekł generał, kiedy odstawili kubki na stół. - Czy

powiedzie się mój plan osuszenia Eufratu i odcięcia Malawianom, oblegającym Babilon, dopływu zapasów.

Towarzysz generała prychnął i machnął ręką w geście pełnym lekceważenia.

- Ba! Jaki Kuszanie byłby tak głupi, żeby się o to zakładać?

Znów nappełnił kubki. Uniósł swój do ust, ale zanim się napił, drwiący uśmieszek wykrzywił mu wargi.

- Nie, nie, Belizariuszu. My zakładamy się o to, co zrobisz potem.

Belizariusz zdołał przełknąć swoje wino, nie dławiąc się śmiertelnie. Vasudeva uśmiechał się teraz bardzo szeroko.

- O tak - mruknął kuszański dowódca. - To prawdziwe pytanie.

Vasudeva napił się wina i uniósł amforę pytającym gestem. Trak potrzęsnał przecząco głową i zakrył dłonią pusty kubek.

- Nie, dziękuję. Mam już dość. Jutro będzie ciężki dzień.

Vasudeva skrzywił się i odstawił dzban.

- Proszę, i tak to my odwalimy większość roboty. I to w tym okropnym upale!

Belizariusz wstał i natychmiast się pochylił, gdyż prosty namiot był dość niski. Drugi mężczyzna wstał także. Był znacznie niższy od generała, więc nie musiał się kulić.

Znów uśmiechnął się lekko.

- Tak to właśnie jest. Naprawdę dobre kawały wymagają mnóstwo pracy.

\* \* \*

Na zewnątrz namiotu, w spokojnym powietrzu kuszańskiego obozowiska, czekali Walentynian i Anastazjusz razem z końmi. Belizariusz szybko wskoczył na siodło.

Vasudeva wyszedł z namiotu, żeby pożegnać rzymskiego generała. Belizariusz spostrzegł, że z sąsiednich namiotów wychodzą inni Kuszanie. Przez chwilę on i Vasudeva patrzyli sobie w oczy.

- Po co tu dziś przyjechałeś, Belizariuszu? - spytał nagle kuszański dowódca. - O nic mnie nie prosisz.

Generał uśmiechnął się krzywo.

- Bo nie było takiej potrzeby, Vasudevo. Po prostu chciałem się przekonać, czy Kuszanie nadal mają to swoje poczucie humoru.

Vasudeva się nie uśmiechnął. W rozświetlonej księżycową poświatą ciemności majaczyła jego twarz, twarda jak kamień, a w dodatku z każdą chwilą coraz twardsza.

- Tylko to nam zostało, Rzymianinie. Kiedy ludzie mają tak nie wiele, bardziej dbają o tę resztę, która im została.

Belizariusz skinął głową i uderzył konia piętami. Walentynian i Anastazjusz podążyli za nim, ale trzymali się w odległości kilku metrów.

- Taka jest prawda - mruknął generał do siebie cicho. - Tak. Aż w końcu, kiedy nie mają już nic, zdają sobie sprawę, że... - Dalsze słowa stały się niezrozumiałym ciągiem mamrotanych wyrazów.

- Co on powiedział? - szepnął Anastazjusz, pochylając się w siodle. Walentynian miał skwaszoną minę.

- Jakieś głupoty o tym, że tylko dusza ma znaczenie, czy coś takiego.

- Bo to prawda - powiedział Anastazjusz aprobowująco. - Wiesz, gdyby znudziła ci się praca żołnierza - dodał wielkolud, widząc wyraz twarzy kompana - zawsze mógłbyś przekwalifikować się na cudotwórcę. Takiego, co zmienia wino w ocet.

Walentynian zaczął coś mamrotać, ale olbrzym całkowicie go zignorował.

- Myślałem, że to całkiem niezły dowcip - rzekł.

Mamrotanie, mamrotanie, mamrotanie.

- Poczucie humoru to bardzo ważna rzecz, Walentynianie.

Mamrotanie, mamrotanie, mamrotanie.

- Wino w ocet. Tak, tak. A potem...! Jest wiele możliwości! Świeże mleko w kwaśne. Szczeniaka w ponuraka. Kociaka w lenia. O tak! Walentynian z Tracji, tak cię będą nazywać. Cudotwórca! Oczywiście będą cię unikać jak zarazy. A nawet obrzucać kamieniami, kiedy znajdziesz się w pobliżu. Ale staniesz się sławny! A ja będę mógł mówić: znałem go, gdy był tylko prostym, paskudnym, źle wychowanym, ponurym żołnierzem. O tak! Będę mógł...

Mamrotanie, mamrotanie, mamrotanie...

\* \* \*

Wcześniej następnego ranka rozpoczęły się prace nad drugą fazą planu Belizariusza. Teraz rzymscy żołnierze mieli więcej roboty niż wcześniej. Rozkopywanie starego kanału, może z wyjątkiem zakładania ładunków, stanowiło prostą i nieskomplikowaną pracę. Oczywiście, bardzo ciężką, gdyż polegało głównie na przenoszeniu ton kamieni i ziemi z koryta kanału na jego brzegi. Ale była to praca nie wymagająca żadnych kwalifikacji.

Teraz było inaczej.

Belizariusz przyglądał się pracom z wieży, którą jego żołnierze wzniesli na lewym brzegu Eufratu, tuż obok miejsca, gdzie Nehar Malka uchodził na wschód. Wieża była mocna, ale dość prosta w konstrukcji. Zbudowano ją z drewna, a na szczycie, na wysokości około sześciu metrów, zbito z desek małą platformę. Miała ona zaledwie dwa metry kwadratowe i otaczała ją niska barierka, a ponad nią rozpięto liny daszek dla ochrony przed słońcem. Na górę wchodziło się po drabinach przymocowanych wprost do podpór.

Na platformie stanąć mogło zaledwie trzech, a co najwyżej czterech mężczyzn. Belizariusz i Baresmanas, którzy okupowali punkt widokowy przez pierwszy dzień, mieli mnóstwo miejsca.

Rzymski generał pokazywał sahrdaranowi, co dzieje się poniżej.

- Właśnie mocują pierwszą barcę.

Baresmanas przechylił się nad barierką. Pod sobą widział rzymskich żołnierzy, holujących małą barcę w dół Eufratu. Stateczek był standardową jednostką, jakiej używają rybacy w Mezopotamii i w całym regionie. W Egipcie ten typ statku nazywano skaphe. Barka miała szesnaście metrów długości i pięć szerokości. Ze stępionym dziobem przypominała statek z dwiema rufami. Można było napędzać ją siłą wiosła albo zamontować żagiel. Jednakże tę barcę nieco zmodyfikowano. Maszt umocowano bardzo starannie do pokładu, a żagle zastąpiono wiklinowymi osłonami, bezużytecznymi, jeśli chodzi o łapanie wiatru, ale niezastąpionymi, by podtrzymywać kosze z kamieniami, które tkwiły przed nimi.

Na barce znajdował się oddziałek żołnierzy; dowódca wykrzykiwał rozkazy do większej liczby Rzymian, stojących na brzegu i trzymających barcę na długich linach. W pobliżu jednostki płynęły dwa inne stateczki, które służyły za holowniki - jeden umocowano tak, by pomagał przewyciężyć powolny prąd rzeki, a drugi płynął obok, aby korygować kurs, nadawany przez żołnierzy z brzegu.

Barka zadziwiająco szybko znalazła się na swoim miejscu, jakieś trzydzieści metrów od brzegu. Ustawiono ją dziobem w górę rzeki. Jednostka była bardzo mocno zanurzona. Ze swojego punktu Belizariusz i Baresmanas mogli zobaczyć, że cały pokład wyładowano kamieniami, które tak obciążają statek, że ten bliski jest zatonięcia.

Dowódca barki spojrział na Belizariusza. Generał machnął ręką, dając mu do zrozumienia, że jest zadowolony z pozycji statku. Natychmiast dwóch żołnierzy z barki skoczyło do ładowni. Baresmanas i Belizariusz usłyszeli głośny huk, gdy mężczyźni wybili kołki zatykające dziury w kadłubie.

Po minucie czy dwóch żołnierze wyszli na pokład. Cały oddział, z wyjątkiem dowódcy, wdrapał



się na pokład mniejszego stateczku. Przymocowali statek do jednej z lin, a resztę cum zrzucili. Duża barka powoli zaczęła chować się pod powierzchnię wody.

Dowódca oddziału wdrapał się szybko po drabince na szczyt masztu. I tam pozostał, patrząc uważnie, czy barka zanurza się w rzece tam, gdzie powinna. W razie gdyby prąd zepchnął ciężką jednostkę, gotów był wydać odpowiednie komendy. Kiedy woda zaczęła moczyć mu stopy, dowódca przeskoczył na mniejszą barkę. Chwilę później z rzeki wystawał tylko ostatni metr masztu. Barka całkowicie osiadła na dnie.

- To pierwsza - oznajmił Belizariusz. - Doskonała robota.

Obok pierwszej barki już zaczęto umieszczać drugą. Baresmanas, przyglądając się operacji, nie mógł wyjść z podziwu, jak szybko Rzymianie pozycjonowali statki mimo rzeczno-prądowego prądu. Już następny poszedł na dno. I następny.

Sahrdaran nie odezwał się, ale naprawdę był pod wrażeniem. Persowie często pokonywali Rzymian na polach bitew. Ale żadna armia nie miała tak niesamowitego talentu do prac ziemnych i fortyfikacji jak rzymscy żołnierze.

- Czy wystarczy wam barek? - zapytał, kiedy dzień już się kończył. Do tej pory zatopiono już jedenaście jednostek.

Belizariusz wzruszył ramionami.

- Myślę, że tak. Dostawy z Callinicum są bardzo regularne. A że nie mam im co odesłać na tych barkach, prawie wszystkie mogę użyć do budowy zapory.

Uśmiechnął się, kiedy przypomniał sobie wyraz ulgi na twarzy Bazylego, gdy ten ujrzał, że na barkach z Callinicum jest spory zapas prochu do jego ukochanych dział. Lecz to nie było wszystko. Dostał także nowe rakiety, a także trzy nowe katusze i sporo ludzi, którzy mieli zostać przeszkoleni jako ich obsługa.

Generał popatrzył na zachód. Słońce prawie dotykało horyzontu. Oceniał, że jest już zbyt ciemno, żeby zatapiać kolejną barkę. Nie chciał ryzykować życia swoich ludzi, jeżeli to nie było konieczne. Mimo pozornej łatwości i spokoju, z jakim jego żołnierze ustawiali barki, była to naprawdę niebezpieczna i trudna praca.

Przechylił się więc przez barierkę i rozkazał zakończyć na dzisiaj prace. Podkomendni, którzy dobrze go znali, spodziewali się takiego polecenia. Nadpływająca barka została łagodnie przyciągnięta do brzegu i tam umocowana. Następnego dnia żołnierze z łatwością wypchną ją znów na środek rzeki.

\* \* \*

Trzeciego dnia Belizariusz przeniósł operację na przeciwległy brzeg rzeki, gdzie wzniesiono podobną wieżę. Podczas gdy Maurycy pilnował prac na lewym brzegu, Belizariusz rozpoczął ustawianie barek od zachodu.

Piątego dnia operacja trwała w pełnym toku. Eufrat był w tym miejscu dość płytki, ale też bardzo rozległy. Miał około półtora kilometra szerokości. Rzymianie zatapiali dwadzieścia do dwudziestu pięciu barek dziennie, więc za dwa tygodnie miała tu powstać tama, która niemalże całkowicie zahamuje przepływ.

Oczywiście tempo zatapiania ciągle spadało. Kiedy tama zaczęła się zamykać, rzeka nabrała wartości. A co gorsza, pojawiły się wiry.

Ósmego dnia doszło do wypadku. Kiedy żołnierze wybili szpunty, nie zdążyli wyjść z ładowni. Co się stało? Nikt tego nie wiedział, i raczej się nie dowie. Prawdopodobnie jeden z nich poślizgnął się, a drugi chciał mu pomóc. Ale mieli mało czasu i powinni się spieszyć. Woda, wdzierająca się do kadłuba, nie była już tą powolną, leniwą rzeką. Do statku wdarła się prawdziwa spieniona fala i w

moment zatopiła go niczym kafar. Parę dni później jedno z ciał wydostało się na powierzchnię i popłynęło z prądem.

Pod koniec drugiego tygodnia Eufrat przypominał parskającą bestię. Kiedy rzymscy inżynierowie wydłużali linie barek i przesmyk zmniejszał się coraz bardziej, środek rzeki zamienił się w rwącą wodną kipieli. Za tamą podniósł się poziom wody. Eufrat stał się nagle wodospadem, przelewającym się przez linię barek na całej długości.

Teraz codziennie zdarzały się nieszczęścia. Zazwyczaj dochodziło do złamań, a także zmiężeń palców, ale nie obyło się bez wypadków śmiertelnych. Dwunastego dnia zginęła cała załoga barki. Żołnierze właśnie mieli ustawić jednostkę na pozycji, gdy stracili nad nią panowanie i ciężko obciążony statek został wciągnięty przez wartki prąd. Zanim zdołano nad nim zapanować, rozpadł się na kawałki, a jego załoga wylądowała w kipieli. Nim ich wyłowiono, wszyscy nie żyli. Jeden z żołnierzy przeżył pół dnia, ale obrażenia czaszki okazały się zbyt poważne i nie udało się go uratować.

Najbardziej ucierpiały rzymskie oddziały, gdyż to one wykonywały najniebezpieczniejszą część pracy, ale Kuszanie także nie mieli lekko. Rzymscy inżynierowie zatapiali barki, a kuszańscy jeńcy podwyższali tamę za ich plecami. Kuszanie podpływali do zatopionych statków na pokładach własnych barek i wrzucali do wody ciężkie kosze z kamieniami. Prąd znosił kosze, po czym zatrzymywały się one na wiklinowych pseudo żaglach. Zatopione maszty z pewnością mogłyby nie wytrzymać takiego obciążenia, więc Rzymianie przywiązywali je linami do każdej poprzednio zatopionej barki i tak tama wydłużała się coraz bardziej.

Jednakże większość Kuszan zaangażowana była gdzie indziej. Kamienie, używane jako obciążenie, znoszono z całej okolicy. Na szczęście w promieniu kilometra od rzeki teren był bardzo skalisty. Mezopotamia to kraj rolniczy, ale wierzchnia warstwa gleby, wysuszona przez wiatr, regularnie odślaniała coraz to następne warstwy kamieni. Te kamienie, w miarę upływu lat, wybierano z pól i układano na skraju. Tak więc żołnierze nie musieli ich wykopywać, wystarczyło je tylko zebrać. Ale praca i tak była ciężka, gdyż Kuszanie musieli ładować je na sanie i wlec spory kawałek do rzeki.

Na początku Kuszanie byli niezadowoleni.

*Szaleni Rzymianie!*

*Dlaczego ten głupiec nie użyje kamieni, które wykopaliśmy z Nehar Malka? Patrzcie! Jest ich cała góra... i to nie dalej jak trzysta metrów stąd!*

*A tak na marginesie, kto zrobił z tego idioty generała?*

Jednakże w miarę upływu czasu jeńcy zaczęli zdawać sobie sprawę, że ten całkowicie zidiociały rzymski generał ma jakieś plany względem tych kamieni. Jakie one były, Kuszanie nie wiedzieli. Nie pozwalano im zbliżać się do Nehar Malka. Ale z pewnej odległości widzieli, że wokół ogromnej góry kamieni, usypanej przez nich na północnym brzegu Nehar Malka, kręcą się rzymscy inżynierowie. Wyglądało na to, że kopane są tam jakieś tunele. I zauważyli, że w prace te zaangażowani są ci sami Rzymianie, którzy zajmowali się rydwanami z raketami. Eksperci od broni palnej.

Kuszanie zaczęli zakładać się z większą zaciekłością.

Kurusz i jego Persowie nie brali udziału w żadnej pracy. Oni zapewniali bezpieczeństwo na całym obszarze. Każdego dnia Kurusz oraz dziesięć tysięcy perskich kawalerzystów patrolowało cały region i wysyłało patrole zwiadowcze na czterdzieści kilometrów w głąb kraju. Abbu i jego arabscy jeźdźcy towarzyszyli im w pracy, podobnie jak mały rzymski oddział. Do Persów codziennie na zasadzie rotacji przyłączał się batalion rzymskiej piechoty i kawalerii. Tak naprawdę zadanie to

miało być wytchnieniem dla żołnierzy. Po ciężkiej i ryzykownej pracy przy tamie każdy rzymski żołnierz z utęsknieniem wyczekiwał dnia, kiedy będzie mógł sobie trochę pomaszerować.

\* \* \*

W końcu, dziewiętnastego dnia, ostatnia barka zatonąła na swoim miejscu. Rzymianie odpoczywali przez cztery dni, podczas gdy Kuszanie kończyli umacnianie barek za pomocą koszy z kamieniami.

Wreszcie skończono budowę. Dwadzieścia trzy dni wyteżonej pracy zmieniły Eufrat w wodospad. Prawda, niski wodospad. Ale i tak wszyscy byli pod wrażeniem.

Rzymskie i kuszańskie oddziały spędziły dwudziesty czwarty dzień na radosnym świętowaniu. Oblegali brzegi i upijali się wesoło, podziwiając huczącą kataraktę, którą zbudowali. Na rozkaz Belizariusza wydano spore racje wina... tak samo duże dla Rzymian, jak i dla Kuzan. Gdyby w pobliżu był jakiś malawiański oficer, z pewnością wściekłby się na widok porozumienia, jakie połączyło jeńców i ich strażników.

\* \* \*

Jednakże Belizariusz i jego oficerowie nie dołączyli do zabawy. Spędzili cały dzień w namiocie generała. Pierwsze dwie godziny zajęło im omówienie bieżących planów.

Resztę zajęły cuda, zachwyty i zagadki.

Tak jak obiecał Bazylemu, Belizariusz zdradził swój sekret całemu dowództwu. Najpierw opowiedział im oklejnocie, używając swoich własnych słów. Kiedy skończył, pokazał im Boski Talizman.

Aide przygotowało się na tę chwilę. Namiot dowódcy wypełniły wirujące blaski kolorów i światła, a były one tak oślepiające, że skórzane ściany schronienia zajaśniały wszystkimi barwami tęczy.

Rzymscy żołnierze, którzy stali na zewnątrz, szeptali pomiędzy sobą. Niektórzy mówili, że to czary. Ale większość się nie dziwiła. Dla nich Belizariusz był... wyjątkowy. Błogosławiony człowiek. Czyż sam Michał z Macedonii nie mówił tak o nim?

Zatem dlaczego jego namiot nie miałby jarzyć się w świetle dnia?

Kuszanie także to zauważyli i przedyskutowali sprawę. Tutaj opinia była jednogłówna.

*Czary. Rzymski generał jest czarownikiem. To przecież oczywiste. Jasne jak słońce.*

Mania zakładów sięgnęła apogeum.

\* \* \*

Kiedy zapadł zmrok, oficerowie Belizariusza w milczeniu opuścili namiot. Żaden z nich się nie odezwał, z wyjątkiem Agacjusza.

- Nie zawiedziemy cię, generale - szepnął dowódca greckich katafraktów, gdy mijał Belizariusza w przejściu. - Przysięgam ci.

Belizariusz skłonił głowę. Chwilę później w namiocie został tylko Maurycy.

- Kiedy? - spytał tracki chiliarcha.

- Jak szybko możesz być w Babilonie? Za tydzień?

- Bądź poważny - warknął Maurycy. - Czy ja wyglądam na raczkujące dziecko?

Generał uśmiechnął się.

- Cztery dni - mruknął Maurycy. - Trzy, żeby tam dotrzeć, i dzień, żeby Chozroes mógł się przygotować.

- Pięć dni - odparł Belizariusz. - Chozroes powinien być gotowy, ale jeden dzień nas nie zbawi. Poza tym nigdy nie możesz wiedzieć... A jak spadniesz z konia?

Siwobrody żołnierz spojrział na niego spoode łba i wyszedł bez słowa.

Wczesnym rankiem następnego dnia Maurycy wyjechał. Towarzyszyła mu setka trackich katafraktów, a także oddział arabskich zwiadowców.

W tym samym czasie jeden z głównych oficerów Kurusza, sam Merena, powiódł podobną ekspedycję do Ktezyfontu. Mieli zanieść ostrzeżenie mieszkańcom miasta.

Przez następne cztery dni Belizariusz doglądał ostatnich przygotowań w Nehar Malka. W prace zaangażowane były tylko oddziały Bazylego, a reszta ludzi spędziła ten czas na zasłużonym odpoczynku.

Piątego dnia, późnym popołudniem, wszyscy żołnierze sprzymierzonych sił ustawili się na brzegu Eufratu. Było ich ponad dwadzieścia tysięcy - Rzymian, Persów, kuszańskich jeńców, a każdy z nich chciał zająć jak najlepszy punkt obserwacyjny. Belizariusz musiał użyć swoich katafraktów, żeby powstrzymać napierający tłum i odsunąć żołnierzy stojących zbyt blisko brzegu.

Sam generał stał na szczycie wieży. Obok niego w dół spoglądali Baresmanas i Kurusz.

- Nie powinienes tego ogłaszać - złościł się młody arystokrata. - Kiedy minęło południe, nie byłem w stanie wygnać patroli na zwiad.

Trak wzruszył ramionami.

- I co z tego? Zanim szpiedzy dotrą do Malawian z informacjami, oni już będą je znali.

Pochylił się nad barierką. Tuż pod nim, u podstawy wieży, stał Bazyli. Dowódca oddziału katiuszy spojrzał na niego. Mężczyzna trzymał w dłoniach płonące łuczywo.

Belizariusz chciał właśnie wydać rozkaz odpalenia ładunków, ale się zawahał.

- Nowe czasy - mruknął. - Nowe czasy potrzebują nowych tradycji. Komenda „odpalaj” już nie wystarczy.

*Aide?*, wezwał klejnot w myślach.

Odpowiedź nadeszła natychmiast.

**Uwaga, ognia.**

Belizariusz wyszczerzył zęby i przechylił się ponad barierką.

- Uwaga, ognia!

Bazylemu nie trzeba było tłumaczyć. Chwilę później lont palił się jasnym płomieniem. I sycząc wściekle, pokonywał drogę ku ostatniej barierze oddzielającej Nehar Malka od Eufratu. Bazyli cieszył się jak dziecko.

- Podoba mi się! Podoba! - krzyknął. - Uwaga, ognia!

Jego okrzyk podjęli inni żołnierze. W przeciągu trzech minut cała armia wyrzaskiwała te słowa. Nawet Kuszenie, którzy dopiero od niedawna mówili greką i kaleczyli język niemiłosiernie.

- UWAGA, OGNIA! UWAGA, OGNIA!

Ogień dotarł do ładunków.

Proch się zapalił.

## Rozdział 27

Zniszczenia zostały doskonale zaplanowane. Stało się to oczywiste z chwilą odpalenia ładunków. Zgodnie z radą Aide Belizariusz i Bazyli założyli je w optymalnych miejscach i osiągnęli pożądany efekt.

Niższe partie tamy wyleciały w powietrze niemalże na całej długości. Spiętrzone wody Eufratu w jednej chwili runęły otwartym przesmykiem. Wielka rzeka, uwolniona z okowów, wdarła się do otwartego kanału. Rozszalałe wody pędziły suchym wąwozem Nehar Malka, jednocześnie go poszerzając i pogłębiając.

Ale Belizariusz, niestety, nie mógł podziwiać tego widoku. Jak to zwykle w życiu bywa, praktyka zwyciężyła teorię. Prawda, ładunki podłożono doskonale. A potem dwukrotnie zwiększono ich liczbę mimo zapewnień Aide, że wystarczy to, co jest. A potem znów podwojono.

Oczywiście, Aide narzekało. Przestrzegało, ostrzegało, złościło się. Sprzeciw rzymskiego generała doprowadził je do własnej odmiany krystalicznej furii.

Ale bezskutecznie. Posługując się prostą logiką ludzi, którzy mają do czynienia z prochem dopiero od niedawna, Belizariusz i Bazyli uznali, że więcej jest lepsze od wystarczająco. Lepiej być pewnym, że robota jest dobrze wykonana, niż ryzykować, że osiągnie się połowiczny rezultat, gdyż poskąpiło się prochu i wysiłku.

**Mówiłom ci**, narzekało Aide, kiedy Belizariusz obserwował wierzchnie warstwy tamy szybujące pod niebiosa. Tysiące ton kamieni i żwiru pędziło w kierunku wieży, na której stał generał. A przynajmniej tak to wyglądało.

Baresmanas i Kurusz pierwsi rzucili się do drabiny i zeszli na dół. Rzymski generał był w połowie drogi...

### **Głupi ludzie.**

...kiedy pierwsze głązy zaczęły spadać na wieżę. Był już w trzech czwartych wysokości...

### **Protoplazmiczni idioci.**

...kiedy posypały się na niego odłamki drewna...

### **Koronowane małpy.**

...wieża zawałiła się kompletnie.

To prawdopodobnie ocaliło mu życie. Tak samo jak Baresmanasowi, Kuruszowi i Bazylemu, którzy także instynktownie szukali schronienia pod gruzami wieży. Na wpół potrzaskana platforma wylądowała na głowach Belizariusza i pozostałej trójki, niemalże pozbawiając ich przytomności. Ale potem drewniana podłoga zachowała się jak wielka tarcza, która ochroniła ich przed nadlatującą lawiną kamieni. Gdyby nie platforma, dwaj rzymscy oficerowie i dwóch Persów zamieniłoby się w trudną do zidentyfikowania mięsną pulpę.

Jednakże w tamtej chwili Belizariusz nie był zbyt zachwycony tym faktem. Platforma, która leżała na jego plecach, ani trochę nie amortyzowała uderzeń tak jak prawdziwa tarcza, a tylko rozpraszała uderzenie na całe jego ciało. Nie został więc zmiażdżony. Co dziwniejsze, nawet nie połamało mu kości. Ale czuł się tak, jakby jakaś wielka siła usiłowała spłaszczyć go jak kotlet, tylko że kotlety nie muszą wysłuchiwać obelg podczas klepania na stolnicy.

### **Pieprzony, zwariowany Trak.**

**A tak przy okazji, kto cię zrobił generałem?**

**Zadziwiające, że udało ci się wyjść na świat z łona matki, taki jesteś głupi. Jestem zaskoczone, że nie szukałeś swojej własnej drogi. Boże dopomóż, powinieneś słuchać swojej matki.**

## Zwariowany, pieprzony Trak.

A tak przy okazji, kto cię...

I tak dalej w tym samym tonie.

\* \* \*

Wykopanie Belizariusza i jego towarzyszy - gdy kamienie przestały już spadać - zajęło żołnierzom prawie godzinę. Właściwie samo kopanie nie trwało dłużej niż kilka minut. Opóźnienie wynikało z tego, że kiedy rozpoczął się ostrzał, ludzie uciekli aż na kilometr od miejsca eksplozji.

- Wszystko poszło zgodnie z planem? - zakrakał Belizariusz, gdy tylko go odkopano. - Nie mogłem nic zobaczyć.

Żołnierze zapewnili go, że wszystko się udało jak najdoskonalej.

- Następnym razem - skrzeknął znów. - Mniejsze ładunki.

- Znacznie mniejsze - charknął Bazyli.

- Pieprzeni wariaci ci Rzymianie - zapiszczał Baresmanas.

- Kto zrobił z tego idioty dowódcą? - jęknął Kurusz.

\* \* \*

Inni także nie posłuchali ostrzeżeń. Kiedy Merena dotarł do Ktezyfontu, żeby przestrzec gubernatora przed nadchodzącą falą powodziową, mężczyzna wyszydził jego słowa. Częściowo dlatego, że taką miał naturę. Był arogancki, a niedawna nominacja na namiestnika stolicy Persji jeszcze podniosła jego mniemanie o sobie. Jednakże nastawienie urzędnika wynikało głównie z zależności politycznych. Namiestnik Ktezyfontu o imieniu Shiroe był sprzymierzeńcem frakcji Ormazda. Kiedy pojawił się przed nim oficer z armii Baresmanasa, najzacieklejszego zwolennika Chozroesa, pomyślał, iż nadarza się doskonała okazja, aby uzyskać punkt w walce z politycznym przeciwnikiem. Tak więc Shiroe odpowiedział na ostrzeżenia Mereny szyderstwem, sugerując, że musi on być szalony i zwyczajnie bredzi. Drwił sobie także z aliansu Rzymu ze zdraziecką frakcją Persów, a swoją wypowiedź zakończył kiepsko zawołowanym wnioskiem, iż pan Merena szykuje się do zdrady imperium Persów.

Ludzie Mereny musieli powstrzymać swego dowódcę przed rękoczynami.

Po tej nieudanej audiencji, kiedy Merena uspokoił się na tyle, że był w stanie jasno myśleć, kazał swoim ludziom nieformalnie ostrzec mieszkańców miasta, a szczególnie rybaków, którzy wypływali na Tygrys. Żołnierze zrobili, co w ich mocy, żeby dyskretnie uprzedzić rybaków i kapitanów łodzi.

Udało im się uprzedzić około połowę zagrożonych ludzi. Do reszty nie zdołali dotrzeć, gdyż było ich zbyt mało.

Kiedy dwa dni później nadeszła wielka fala, doszło do wielkich zniszczeń. Na szczęście zginęło tylko kilku rybaków. W momencie gdy fala dotarła do Ktezyfontu, nie była już tak niszczycielska. Poziom rzeki podniósł się dość spokojnie o półtora metra. Rybacy nie musieli uciekać przed ścianą wody. Większość ludzi znajdujących się na rzece zdołała jakoś wydostać się na suchy ląd, ale ich łodzie, rzucone z wielką siłą na oba brzegi, rozpadły się w drzazgi, podobnie jak nabrzeża i pomosty zbudowane nad rzeką.

Prestiż Shiroe spadł na łeb, na szyję, a wraz z nim lojalność oddziałów. Wielki tłum rozwścieczonych i przemoczonych rybaków oraz marynarzy, na których czele stał Merena i jego ludzie, wpadł do pałacu, po czym przedarł się przez nieliczne lojalne strażę, które nie zdołały obronić swego pana. Shiroe został wyciągnięty ze swoich komnat, zakuty w łańcuchy i wrzucony do spienionej wody Tygrysu. Kipiel pochłonęła go bez śladu.

\* \* \*

Z kolei w Babilonie wszystko poszło zgodnie z planem. Chozroes przygotowywał się na tę

chwile od tygodni. Dwudniowe ostrzeżenie, które otrzymał od Maurycego, było w zasadzie niepotrzebne.

Belizariusz wysadził tamę późnym popołudniem, gdyż chciał, aby skutki eksplozji stały się widoczne w Babilonie następnego ranka. To dałoby imperatorowi Chozroesowi cały dzień na wykorzystanie nowej sytuacji.

Oczywiście jego wyliczenia były bardzo prowizoryczne... Opierał się na średniej prędkości przepływu wody w odniesieniu do odległości, jaka dzieliła Nehar Malka od Babilonu. W efekcie pomylił się o kilka godzin, gdyż nie wziął pod uwagę, że po opadnięciu wody znacznie zmaleje jej ciśnienie, a tym samym prąd stanie się słabszy. Tak więc dopiero w południe następnego dnia Malawianie odczuli efekty jego pracy.

Ta różnica okazała się korzystna. Perski imperator był pewny oceny rzymskiego generała, więc zdecydował się rozpocząć natarcie o świcie, niezależnie od tego, czy woda opadła, czy nie. To była mądra decyzja. Jak zwykle przygotowania do ataku zajęły im więcej czasu, niż planowali. Perskie oddziały, w odróżnieniu od Rzymian, nie miały doświadczenia w pracach inżynieryjnych i trwało kilka godzin, zanim ustawili na pozycjach i odpowiednio przygotowali zaimprovizowane barki, które miały przewieźć ich przez Eufrat.

Do tej pory Malawianie, zaalarmowani powolnymi pracami inżynierów Chozroesa, zdali sobie sprawę, że Persowie planują wypuścić się na drugi brzeg Eufratu. Ale ta wiedza na nic im się nie przydała.

A nawet wręcz przeciwnie - jeszcze im zaszkodziła. Pan Dziwita, dowódca malawiańskich sił, sądził, że perski projekt pozbawiony jest sensu.

- Po co oni to robią? - dziwił się, patrząc ze swojej wieży obserwacyjnej na przygotowania Persów.

Żaden z pół tuzina oficerów nie odpowiedział na jego pytanie. Zresztą i tak pytanie było czysto retoryczne podobnie jak większość zadawanych przez Dziwitę. Podwładni już dawno temu przekonali się, że ich dowódca niechętnie patrzy na ludzi, którzy myślą samodzielnie i nie wahają się tych myśli wypowiadać.

Dziwita pokazał na perskie oddziały, zmasowane na lewym brzegu rzeki, tuż pod wielkimi zachodnimi murami Babilonu.

- To szaleństwo - orzekł. - Nawet jeżeli uda im się przeprawić na drugi brzeg, co niby mają tam robić? Po zachodniej stronie Eufratu?

Rozrzucił ramiona. Gest był bardzo obszerny i deprecjonujący prace wroga.

- To nieważne! I tak nie uda im się przeprawić na drugi brzeg. Widzę, że czeka nas wielkie zwycięstwo.

Zwrócił się do jednego ze swoich podkomendnych, dowódcy galer wojennych malawiańskiej floty.

- Jajanaga! Wyślij całą flotę! Zmasakrujemy tych Persów, kiedy tylko wpłyną na rzekę! - Spojrzał wściekle na oficera. - I upewnij się, żeby żadna galera nie wystrzeliła, zanim Persowie nie znajdą się jak najbliżej drugiego brzegu. Chcę być pewny, że złapiemy większość na tych żałosnych barkach. Rozumiesz mnie?

Jajanaga skinął głową i natychmiast się oddalił. Pan Dziwita wrócił do obserwacji działań wroga. Raz po raz klaskał w ręce z zadowolenia.

- Zetrzemy ich na miazgę! Rozbijemy w puch!

\* \* \*

Malawiańska flotylla, złożona z czterdziestu dwóch galer, znajdowała się w zasięgu strzału, gdy

kapitan okrętu flagowego zorientował się, że coś tu jest nie w porządku.

Jednakże jego pierwsze przypuszczenie całkowicie chybiło celu. Podszedł do szefa wiosłarzy.

- Dlaczego tak zwalniasz? - spytał.

Szef wiosłarzy natychmiast potrząsnął głową i wskazał ludzi bijących w bębny.

- Wcale nie! Posłuchaj! Wybijają właściwe tempo!

Kapitan zmarszczył brwi jeszcze bardziej. Zanim tamten skończył mówić, oficer domyślił się, co jest nie tak. Ciągle jednak... Statek zwalniał. Nie! On się cofał!

- Patrzcie! - zawołał jeden z pozostałych oficerów, pokazując na pobliski brzeg. - Rzeka opada!

- Co?! Przecież to niemożliwe! Nie tak szybko!

Kapitan przechylił się przez reling i wpatrzył w brzeg. Po kilku sekundach jego twarz mocno pobladła.

- Zawrócili rzekę w górnym biegu - szepnął. - Tak musi być. Nic innego nie zdołałoby...

Przerwał, gdyż jego uwagę przyciągnął huk kopyt walących w drewniane pomosty. Wielu kopyt. Dojrzał perską kawalerię w górze rzeki, pędzącą przez pływający most z ułożonych barek. Tuziny... setki... tysiące perskich kopijników i opancerzonych łuczników przelewały się przez zachodni brzeg Eufratu.

Podobnie jak jego dowódca, pan Dziwita, kapitan galery także był zaskoczony perską szarżą. Wydawało się, że wróg nie ma żadnego celu w przekraczaniu Eufratu, a już szczególnie dlatego, że wystawiłby się wtedy na bezpośredni ostrzał malawiańskich dział, zamontowanych na okrętach. A zresztą z kim mieliby walczyć po tamtej stronie rzeki? Wielka masa armii Malawy rozbiła obóz na wschodnim brzegu, na południe od umocnień Babilonu.

Teraz wreszcie zrozumiał. Kapitan był inteligentnym człowiekiem.

- Wiedzieli o tym wcześniej - syknął. - Chcą spalić statki z prowiantem.

Obrócił się na pięcie i popatrzył na ciężko obciążone barki, odległe o około kilometr na południe. Już teraz widział, że wielkie, nieruchawe kolosy wymykają się spod kontroli, gdyż pcha je uciekająca z rzeki woda. Wiedział, że w przeciągu minuty zaczną siadać na dnie, a wtedy nie będzie dla nich ratunku.

I nie pomogą im galery wojenne. Jego własna flota także siądzie na mieliźnie - oczywiście nie tak szybko, gdyż okręty wojenne miały mniejsze zanurzenie, chyba że...

- Wiosłujcie na środek rzeki! - wrzasnął. - Zasygnalizujcie do innych statków, że mają robić to samo!

Bębny natychmiast zaczęły wybijać nowy rytm. Malawianie nie używali zbyt skomplikowanego systemu sygnałów w swojej flocie. Ale kapitan okrętu flagowego był także komandorem całej jednostki. Bębny wybijały prostą wiadomość: róbcie, co wam każę.

Ale było już za późno. Kiedy tylko zabrzmiały bębny, komandor flotylli ujrzał, jak pierwszy z jego okrętów przechyliła się na bok. Oczywiście nie doszło do dramatycznego trzasku miażdżonego drewna, gdyż koryto Eufratu wypełniał miękki muł, a nie kamienie. Galera po prostu nagle się zatrzymała i legła na boku, zgodnie z nachyleniem dna rzeki.

Nic dramatycznego, nic spektakularnego. Ale rezultat okazał się śmiertelny.

Byli niczym bezbronni dzieci.

Malawianin poczuł, jak jego własny okręt zaczyna szorować o dno, usłyszał cichy syk mułu i piasku, trących o drewniany kadłub. Jednostka przechyliła się lekko. Kolejny syk, kolejny zryw i okręt zatrzymał się na stałe.

Kapitan był mężczyzną myślącym szybko. Nie tracił czasu na próby wypchnięcia okrętu z mułu - błotniste dno trzymało kadłub niczym klej. Zamiast tego zaczął przygotowywać się do obrony.



- Ustawcie rakiety wokół statku, na obu burtach! - krzyknął. - Ustawcie je tak, żeby odeprzeć atak z ziemi!

Jego podkomendni popędzili do swoich zadań. Jeden z nich nagle krzyknął i złapał się za ramię. Z okolicy łokcia wystawała strzała. Krzyk urwał się szybko, gdyż kolejna strzała przebiła gardło marynarza.

Kapitan obrócił się na pięcie. Przerażony, zobaczył, że wrogowie, którzy wcześniej przeprawili się na zachodni brzeg, teraz ustawili się równolegle do jego jednostek. Pierwsze szeregi Persów już wjeżdżały w koryto rzeki. Oczywiście, poruszali się bardzo wolno, gdyż dno pokrywał muł i gęste trzciny, ale silne perskie konie nieubłaganie parły naprzód. Niebawem pokonają dzielącą ich odległość.

Wiedział, że nie zdążą ustawić rakiet. A jego marynarze, lekko uzbrojeni i opancerzeni, nie mieli szans, najmniejszych szans w bezpośrednim starciu z deganami.

Mężczyzna nie był głupi. Chciał właśnie zawołać, że się poddają, ale nagle zmarł, gdyż dotarł doń wojenny okrzyk nadciągających Persów.

Charaks! Charaks! Charaks!

Natychmiast zrozumiał, że wróg nie przyjmie kapitulacji. Nie było na to szans.

Zginął osiem sekund później, zabity przez strzałę, która przebiła mu serce. Nie próbował nawet uniknąć pocisku. Nie było sensu. Strzały wroga padały tak gęsto jak rześisty deszcz. Nie uciekał, tylko stał w milczeniu, nieruchomy i wyprostowany w oczekiwaniu na cios wroga.

Inteligentny dowódca był kszatryjasem. Kiedy już nie miał szansy i wszystko zmierzało ku jednemu, potrafił umrzeć z honorem.

Persowie, którzy widzieli jego śmierć, byli pod wrażeniem. Godziny później wydobyli ciało kapitana, a raczej to, co z niego zostało, spod nadpalonego kadłuba jego galery. Zanieśli je do Babilonu i pogrzebali z pełnymi honorami wraz z poległymi Persami. Czyli na szczycie kamiennej wieży, zwanej dakhma, przy alei Ariów. Tam padlinożerne ptaki obierały kości z mięsa, a tym samym oczyszczały duszę zmarłego, tak że mogła ona odlecieć czysta i nietknięta.

\* \* \*

Ale to miało dopiero nastąpić. Teraz perscy kawalerzyści myśleli tylko o rzezi i zniszczeniu. Deganie i ich łucznicy pędzili wzdłuż zachodniego brzegu przez wiele mil i niszczyli każdy statek, jaki tylko pojawił się w ich zasięgu. Wielka malawiańska armia na przeciwległym brzegu mogła tylko patrzeć i zagryzać wargi w bezsilnej złości.

Oficerowie Malawy wydali rozkaz, aby żołnierze weszli do rzeki i spróbowali pomóc swoim ziomkom na statkach. Ale błoto i trzciny spowalniały bieg żołnierzy tak samo jak perskich kawalerzystów na zachodnim brzegu, a przecież Malawianie mieli do pokonania znacznie większy dystans. W chwili gdy mężczyźni przedarli się przez muł i dopełzli do statków, zastali tylko płonące kadłuby.

Naturalnie Persowie nie byli w stanie zniszczyć całej floty. Wiele malawiańskich galer i barek z zaopatrzeniem siadło na dnie u wschodniego wybrzeża. Niektóre miały po prostu szczęście, inne zawdzięczały ocalenie szybkim reakcjom kapitanów, albo też obu tym opcjom. Statki chronione przez oddziały Malawy były całkiem bezpieczne. Nie odniosły zbyt wielu zniszczeń nawet na skutek osiadania na dnie, gdyż Eufrat to mulista rzeka.

Ale wszystkie statki, które osiadły w zasięgu perskich strzał, skazane zostały na śmierć. Te, które były bliżej, spalono w bezpośrednim starciu, po tym jak ich załogi wycięto w pień. Zbyt odległe jednostki podpalono po prostu za pomocą płonących strzał. Marynarze, którzy potrafili pływać, ocaleli. Reszta spaliła się żywcem.

O zachodzie słońca Persowie przerwali atak i wrócili do Babilonu. Kiedy ostatni degan znalazł się na wschodnim brzegu, prawie jedna trzecia malawiańskiej floty przestała istnieć, wraz z większością marynarzy stanowiących załogę zniszczonych statków.

\* \* \*

Ale tego dnia armia Malawy straciła nie tylko wielu marynarzy. Godzinę po wyruszeniu Persów pan Dziwita wydał rozkaz szarży na mury Babilonu. Atak rozpoczął się prawie natychmiast, gdyż oficerowie byli przerażeni zachowaniem dowódcy, i potrwał aż do późnego popołudnia.

Możliwe jest, że pan Dziwita dał rozkaz do ataku, gdyż sądził, że Persowie niemalże całkowicie pozbawili Babilon ochrony. Było to prawdopodobne, ale raczej wątpliwe. Szpiedzy Malawy dostarczali głównodowodzącemu dokładne informacje o tym, co dzieje się w mieście wroga i jakie są jego siły. Wystarczyłoby, żeby pan Dziwita policzył Persów harcujących na zachodnim brzegu, odjął ich liczbę od całkowitej liczby obrońców, i wyciągnąłby wniosek, że w Babilonie zostało jeszcze całkiem sporo żołnierzy.

Nie, działanie pana Dziwity wynikało tylko i wyłącznie z najprostszych pobudek. Powodowała nim ślepa furia Nieopanowany, pełen złości gniew skrzywdzonego dziecka. A do tego dziecka bardzo rozpuszczonego.

Jego oddziały zapłaciły cenę za ten gniew. Chozroes całkiem właściwie ocenił charakter swojego przeciwnika. Imperator spodziewał się tak bezsensownego ataku, więc przygotował doskonałą obronę. Żołnierze Malawy przemierzający ziemię niczyją zostali przywitani gradem strzał i pocisków z katapult. Ich ciała pokryły fosę stosami. Ci, którzy się przedarli, musieli stawić czoła ciężko opancerzonym deganom, z łatwością ścierających ich na miazgę. Straty były ogromne, szczególnie wśród Kuszan, którzy jak zawsze szli na czele. Pod koniec dnia, gdy w końcu odwołano atak, na polu bitwy zostało sześć tysięcy poległych Malawian. Trzyście tysięcy odniosło ciężkie rany, a dalsze pięć tysięcy zmarło w przeciągu następnego tygodnia.

Podsumowując, tego jednego dnia Malawianie stracili ponad dwadzieścia tysięcy żołnierzy. Każda inna armia załamałaby się po takim ciosie. Ale nie Malawianie, chociaż i oni zostali mocno okaleczeni.

Jednakże sam pan Dziwita nie osłabł ani trochę. Mijały godziny, a jego gniew rósł z minuty na minutę. O zachodzie słońca jego zdesperowani oficerowie zdali sobie sprawę, że dowódca zamierza dalej prowadzić atak mimo zapadających ciemności.

Otworzyła się przed nimi otchłań całkowitej klęski. I z tej najczarniejszej przyszłości wyciągnęła ich stara kobieta.

\* \* \*

Kiedy czcigodna pani Holi wdrapała się, z wyraźnym wysiłkiem, po schodach prowadzących do wieży dowodzenia, na platformie, gdzie zebrał się tłumek głównodowodzących oficerów, natychmiast zapadła cisza. Nawet pan Dziwita przestał się wydzierać.

Czcigodna pani rzuciła na Dziwitę tylko pobieżne spojrzenie.

- Jesteś zwolniony - oznajmiła. Jej puste oczy spoczęły na mężczyźnie stojącym tuż obok dowódcy.

- Panie Ajuto, teraz ty jesteś głównodowodzącym tej armii.

Dziwita wytrzeszczył oczy.

- Nie możesz tego zrobić! - wrzasnął. - Tylko imperator ma wystarczające...

- Zabijcie go - powiedziała czcigodna pani Holi.

Dwaj strażnicy, stojący tuż obok, zeszywnieli. Pełni wahania, wodzili wzrokiem od Holi do Dziwity i z powrotem. W końcu to on był ich dowódcą. A ona... tylko oficjalnie... nic więcej, niż...

Nic... ale. Słyszeli wiele opowieści. Wszyscy malawiańscy żołnierze opowiadali sobie podobne historie.

Oczy czcigodnej pani Holi były teraz zupełnie puste. Kiedy znów się odezwała, jej głos był nieludzki. Całkowicie pozbawiony jakiegokolwiek życia.

- ZABIJCIE GO.

Strażnicy do tej pory słyszeli tylko opowieści. Ale oficerowie zebrani na platformie należeli do dynastycznego klanu. Wiedzieli, że za opowieściami kryje się prawda.

Miecz pana Ajuty pierwszy przeszył brzuch pana Dziwity, ale tylko dlatego, że oficer stał najbliżej. Zanim mężczyzna osunął się na ziemię, pięć kolejnych mieczy wypuściło życie z jego ciała.

Dwaj strażnicy ciągle stali wyprostowani i sztywni, Puste oczy czcigodnej damy spoczęły na nich. Nawet jeżeli się zawahała, trwało to mniej niż ułamek sekundy.

- ICH TEŻ ZABIJCIE. NIE ŻYCZĘ SOBIE ŻADNYCH OPOWIEŚCI.

Pulchni generałowie w średnim wieku zaatakowali młodych, pełnych sił żołnierzy. Gdyby dwaj strażnicy nie byli mentalnie sparaliżowani, z pewnością drogo sprzedaliby swoje życie w walce z owymi oficerami w kiepskiej kondycji. Ale nie mogli się ruszyć, więc zginęli w przeciągu kilku sekund.

Czcigodna pani Holi usiadła na krześle Dziwity. Zignorowała trzy ciała i plamy krwi, rozlanej na podłodze platformy.

- PRZERWIJCIE TEN NIEDORZECZNY ATAK. - rozkazała.

- W jednej chwili, czcigodna pani Holi! - zawołał Ajuta. Spojrzał na jednego ze swoich podkomendnych. Chwilę później mężczyzna gramolił się w dół po drabinie.

Ajuta niechętnie stanął przed starą kobietą. Niechętnie, gdyż wiedział, że to, co siedzi na krześle, jest tylko z wyglądu starym, niedołężnym ciałem. W formie pani Holi mieszkał bowiem duch nazywany Ogniwem. Obawiał się go prawie tak bardzo, jak go podziwiał.

- OPISZ MI ZNISZCZENIA.

Ajuta nawet nie próbował oszacować strat. Wiedział, że Ogniwem tak naprawdę nie o to pyta. Zamiast tego więc przeszedł do sedna problemu.

- Bez zaopatrzenia nie możemy zdobyć Babilonu.

Zerknął na Eufrat. Zmrok zapadł już prawie całkowicie, ale rzeka ciągle była dość dobrze oświetlona przez płonące statki.

- W najlepszym razie zostaliśmy unieruchomieni...

Zawahał się, gdyż nie mógł zebrać się na odwagę i wymienić liczb. Wiedział, że Ogniwem najszybciej karze tych, którzy są nieuczciwi. Chociaż w tej kwestii boski duch całkowicie różnił się od Dziwity. Nie groziły mu bezrozumne ataki szału. Był zimny... po prostu lodowaty.

Odchrząknął.

- Na co najmniej rok - dokończył.

Człowiek mrugnąłby powieką, albo coś w tym rodzaju. Ogniwem po prostu patrzyło na Ajutę przez kobiece puste oczy.

- AŻ TAK DŁUGO?

Mężczyzna znów oczyścił gardło.

- Tak, czcigodna pani Holi. Zanim nie odbudujemy zniszczonej floty zaopatrzeniowej, będziemy mogli utrzymać zaledwie niewielką część oddziałów, a to umożliwi nam tylko oblężenie, a nie ataki. I będziemy musieli...

Machnął bezradnie ręką, pokazując na niewidoczne połączenie kraju Persów, zupełnie pozbawionego drzew.

- ... będziemy musieli budować statki w Indiach, bo tu nie ma surowca. Dopiero następnego roku przybędą tutaj z monsunem.

Czcigodna pani Holi, a raczej Ogniwo, nie odzywała się. Oczy starej kobiety ciągle były puste, ale Ajuta wyczuwał, że za tymi soczewkami odbywa się gorączkowa kalkulacja szans.

- TAK. MASZ RACJĘ. ALE NIE TO JEST NAJGORSZE ZE WSZYSTKIEGO.

Ostatnie zdanie zawierało w sobie ślad pytania. Głównodowodzący armii z wigorem pokiwał głową.

- Nie, pani Holi, rzeczywiście nie. Nie ma sensu budować nowej floty, jeżeli rzeka nie wróci do...

Znów machnął bezradnie ręką. Ciszę przerwał głos czcigodnej pani Holi.

- MUSIMY PRZYWRÓCIĆ POZIOM W RZECE. MUSIELI POSTAWIĆ TAMEJ W GÓRZE RZEKI. MUSISZ WYSLAĆ LUDZI...

NATYCHMIAST, ŻEBY ZNISZCZYLI TAMEJ I SIŁY, KTÓRE JĄ ZBUDOWAŁY.

- Natychmiast! - zgodził się Ajuta. - Jutro wyślę odpowiedni oddział! Sam stanę na jego czele!

Staruszka podniosła się z krzesła.

- NIE, PANIE AJUTO, NIE BĘDZIESZ JEGO DOWÓDCĄ. ZOSTANIESZ TUTAJ JAKO GŁÓWNODOWODZĄCY ARMII OBLEGAJĄCEJ. WYZNACZ JEDNEGO ZE SWOICH OFICERÓW NA DOWÓDCĘ EKSPEDYKCJI.

Malawianin nawet nie pomyślał o tym, żeby się spierać. Z wigorem pokiwał głową.

- Którego, czcigodna pani Holi? - spytał niemalże przymilnie. - Czy życzyłybyś sobie kogoś konkretnego?

Boski duch rozejrzał się po platformie, oceniając zebranych tam oficerów, którzy stali wyprostowani jak struny. To było szybkie spojrzenie.

- TO NIE MA ZNACZENIA. I TAK ZAMIERZAM OSOBIŚCIE WZIĄĆ UDZIAŁ W WYPRAWIE. KIMKOLWIEK BĘDZIE, PRZYPILUNUJĘ GO.

Ajuta szeroko otworzył oczy.

- Ty? Ty sama? Ale...

- NIKOMU NIE MOGĘ UFAĆ, AJUTO. TO BYŁA ROBOTA BELIZARIUSZA. JEGO... I TEGO, KTÓRY JEST Z NIM.

Odwróciła się.

- TERAZ POZNAŁAM MOJEGO WROGA. I ZNISZCZĘ TO OSOBIŚCIE.

Chwilę później stara kobieta zeszła po drabinie w asyście kilku młodszych oficerów, którzy jej pomagali. Ajuta z ulgą patrzył, jak odchodzi. W rzeczy samej tak bardzo mu ulżyło, że zaledwie przez chwilę dziwił się czcigodnej pani Holi, która powiedziała o Belizariuszu „to”.

Założył, że to osobista niechęć. I nie przyszło mu do głowy, że duch zwany Ogniwem nie ulega tak niskim pobudkom.

\* \* \*

Następnego ranka imperator Chozroes patrzył ze szczytu wzniesienia, które kiedyś było wieżą Babel, jak spore siły Malawian oddalają się w kierunku Nehar Malka i Peroz-Szabur.

Widok był imponujący. Po drugiej stronie Eufratu zgromadziła się armia licząca co najmniej sześćdziesiąt tysięcy ludzi. Ze swojego punktu widokowego Chozroes widział, że na razie siły wroga składają się tylko i wyłącznie z ciężkiej piechoty. Ale nie miał wątpliwości, że po drodze przyłączą się do nich oddziały kawalerii, harcującej po okolicy i plądrującej Mezopotamię. Kiedy armia dotrze do miejsca przeznaczenia, liczba żołnierzy wzrośnie o co najmniej dziesięć tysięcy.

Większość zaopatrzenia armii Malawy podróżowała na grzbietach wielbłądów, jednak

towarzyszyło im także kilka małych wojennych galer, które zostały mozolnie przeciągnięte przez błota pod Babilonem. Jednostki te miały na tyle niewielkie zanurzenie, że mogły płynąć środkiem koryta. Poziom wprawdzie drastycznie opadł, ale ciągle w głównym nurcie pozostało sporo wody.

Nie widział żadnych dział. Byłby zdumiony, gdyby mieli jakieś ze sobą. Tygodnie wcześniej Belizariusz wyjaśnił mu, że wielkokalibrowe armaty, nawet te najłżejsze, wymagają do transportu rydwanów, a jeszcze lepiej barek. Statki transportowe, niestety, miały zbyt duże zanurzenie, a jeżeli chodzi o wozy... Kto miał je ciągnąć? Wielbłądy słabo nadawały się na zwierzęta pociągowe, a konie nie dałyby rady przetransportować tak ciężkich ładunków przez pustynię, gdyż byłoby to dla nich zbyt wyczerpujące. Oczywiście trasa wzdłuż rzeki także nie wchodziła w rachubę. Mimo tego, że poziom Eufratu znacznie się obniżył, tereny przybrzeżne ciągle były zbyt podmokłe i rozmiękłe.

Nie, pomyślał z zadowoleniem, jest dokładnie tak, jak przewidział Belizariusz. Pozostaną im tylko rakiety i granaty, czyli broń, którą można przewieźć na grzbiecie wielbłąda.

Nie odrywając wzroku od armii Malawy, perski imperator skinął głową ku stojącemu w pobliżu mężczyźnie.

- Jesteś pewny, Maurycy? Ciągle nie jest za późno. Mogę wydać rozkaz ataku na te siły.

Maurycy potrząsnął głową.

- To nie byłoby rozsądne, wasza miłość. - W jego głosie wyczuwalny był przepraszający ton. -

Wybacz mi, że to mówię.

Chiliarcha wskazał południowy kierunek. Nawet z tej odległości było oczywiste, że główne siły nieprzyjaciela są zmobilizowane i gotowe.

- Mają nadzieję, że tak postąpimy. Dzisiaj będą przygotowani. Zbudowali nawet własne mosty pontonowe. Jeżeli znów zaszarżujesz, nie będziesz miał żadnych szans.

Chozroes nie naciskał dalej. W rzeczywistości zgadzał się z Maurycym. Zaproponował atak, gdyż uważał, że to jego obowiązek. Wiele zawdzięczał Rzymianom i nie był człowiekiem, który lubi mieć długi.

Westchnął w głębi ducha. Wiedział, że jeszcze przez jakiś czas nie zdoła ich spłacić. O ile w ogóle mu się to uda. Znów okoliczności sprawiają, że jego sprzymierzeńcy będą walczyć za niego. Wielka malawiańska ekspedycja nie natrafi na żadne perskie oddziały z wyjątkiem dziesięciu tysięcy deganów Kurusza. A i tak te siły będą broniły Peroz-Szabur, które malawiańska armia minie w drodze do Nehar Malka. Kurusz co najwyżej zwiąże w walce dziesięć tysięcy żołnierzy wroga, nie więcej. Ale i tak nie zdoła bezpośrednio pomóc w obronie tamy.

I znów generał Belizariusz będzie walczył za niego. I to zupełnie sam.

Przyszła mu do głowy gorzka myśl.

Nie sam, ale przy pomocy zdrajcy.

Chozroes skrzyżował ramiona. Musiał podjąć brzydką decyzję. Nie mógł już tego odkładać.

Zwrócił się do jednego ze swoich adiutantów.

- Poślij po Ormazda - rozkazał.

Kiedy oficer pobiegł z rozkazem, władca skrzywił się paskudnie. A potem, kiedy zobaczył na twarzy Maurycyego lekki uśmiech, skrzywił się jeszcze bardziej.

- I jeszcze to, Maurycy? Jesteś tego pewien?

Rzymski tysięcznik wzruszył ramionami.

- Jeżeli chcesz wysłuchać mojego zdania, wasza miłość... nie. Nie jestem pewny. Podejrzewam, że Belizariusz jest przesadnie sprytny dla swojego własnego dobra. - Skrzywił się. - Zresztą jak zwykle.

Rozchmurzył się nagle.

- Ale... kiedyś tak myślałem. I chociaż nigdy mu tego nie powiem, wiele razy się myliłem. - Znow wzruszył ramionami. - Tak więc lepiej trzymajmy się planu. Może znow będzie miał rację.

Chozroes skinął głową. Przez kilka następnych minut, które upłynęły na oczekiwaniu na Ormazda, perski imperator i rzymski oficer stali obok siebie w milczeniu.

Maurycy wykorzystał te parę minut na dokładniejsze studia malawiańskiej armii. Następnego dnia miał dołączyć do Rzymian, którzy czekali na Malawian nad Nehar Malka. Belizariusz z pewnością zażąda pełnego i dokładnego opisu sił nieprzyjaciela.

Z kolei Chozroes spędził wolne chwile na dokładnym studiowaniu... Maurycego.

Naturalnie nie interesowało go oblicze mężczyzny. Zastanawiał się raczej nad tym, co stary żołnierz opowiedział mu o generale, jego sprzymierzeńcu. Sama natura Maurycego mówiła mu więcej niż słowa, które między nimi padły.

Belizariusz.

Młodzieniec spędził wiele godzin na myśleniu o Belizariuszu w przeciągu kilku zeszłych tygodni.

Belizariusz, jego obecny sprzymierzeniec.

Belizariusz, potencjalny wróg w przyszłości.

Chozroes sam był wielkim przywódcą. I mimo młodego wieku doskonale o tym wiedział. Częściowo wynikało to z jego umiejętności obiektywnego spojrzenia na rzeczywistość, spojrzenia nie przysłoniętego samozadowoleniem i poczuciem własnej nieomyślności. To było dość nietypowe jak na imperatora wszystkich Irańczyków i nie-Irańczyków. Chozroes wiedział także, że wielki przywódca staje się jeszcze większym, jeżeli potrafi gromadzić wokół siebie utalentowanych ludzi.

Nigdy jeszcze nie widział takiego zbiorowiska doskonałości, jakie rzymski generał scementował wokół siebie w dowództwie swojej armii. Podziwiał ten zespół, zazdrościł Belizariuszowi współpracowników, a także się ich obawiał.

Prawda, to byli prości ludzie. Prawie wszyscy byli nisko urodzeni. Na przykład taki Maurycy, o którym Chozroes wiedział, że urodził się jako chłop.

Ale perski imperator był wielkim władcą, więc nie zaślepiało go poczucie klasowej przynależności ani uprzedzenia. Imperia, których władcy byli czystej krwi, upadały pod naporem nisko urodzonych. W przyszłości być może nadejdzie dzień, kiedy wieśniak Maurycy znow stanie na tym wzgórzu, i to niejako sprzymierzeniec, ale zwycięzca. Na tym wzgórzu w Babilonie; na murach Ktezyfontu; na trawiastych nizinach, gdzie pasterze wypasali stada.

Tak więc, podczas gdy czekali na Ormazda, a Maurycy myślał o niedalekiej przyszłości, imperator Irańczyków i nie-Irańczyków zastanawiał się, co czeka ich za wiele lat. Kiedy zdradziecki przyrodni brat pojawił się na wzgórzu, Chozroes zdecydował wreszcie, jak należy postąpić.

Z pewnością zbulwersuje aryjską opinię. Ale nie martwił się tym. Kiedy nie będzie Ormazda, jęki irańskiej szlachty nie zrobią mu żadnej krzywdy. Ufał, że Belizariusz rozwiąże problem Ormazda, i postanowił także uzależnić przyszłość swojego imperium od aliansu z tym człowiekiem.

Ormazd powoli wchodził na szczyt wzniesienia. Częściowo jego marsz opóźniała armia pochlebców, ale też brat imperatora, jak zwykle, poruszał się godnym i dostojnym krokiem. Tak więc Chozroes miał czas, aby nachylić się nad towarzyszem i szepnąć mu do ucha parę słów.

- Dzisiaj wieczorem chcę cię widzieć w moim pawilonie.

Maurycy skinął głową.

\* \* \*

Kiedy Ormazd wreszcie stanął przed imperatorem, Chozroes wskazał malawiańską ekspedycję, powoli przepływającą się przez rzekę.

- Jutro, bracie, weźmiesz swoją armię i dołączysz do zjednoczonych sił nad Nehar Malka. Dasz

Baresmanasowi i Belizariuszowi pełne wsparcie, tyle, na ile cię stać. Czeka was wielka bitwa z siłami wroga.

Mężczyzna skrzywił się.

- Nie zamierzam słuchać rozkazów Rzymianina! - warknął. - I Baresmanasa także, jeżeli już o tym mowa. Jestem wyżej urodzony niż ten...

Władca uciszył go gestem dłoni.

- Oczywiście, że nie, bracie. Ale to ja, nie oni, rozkazuję ci to zrobić. I pozostawiam twojej ocenie, jak najlepiej przysłużysz się Belizariuszowi, kiedy już będziesz na miejscu. Będziesz jedynym dowódcą swoich oddziałów. Musisz tylko asystować sprzymierzonym siłom w walce.

Przyrodni brat imperatora skrzywił się jeszcze bardziej. Chozroes naprawdę się rozgniewał.

- Będziesz słuchał rozkazów swojego władcy - syknął.

Ormazd nie odezwał się. Zresztą i tak nie mógł nic powiedzieć, jeżeli nie chciał swoimi słowami rozpętać otwartej rebelii przeciwko prawowitemu władcy. Zresztą wcale nie miał takiego zamiaru - tkwił przecież w samym środku armii imperatora. I nie teraz, gdyż jego prestiż tak znacznie spadł podczas ostatnich dwóch miesięcy.

Po chwili Ormazd niechętnie skinął głową. Wymamrotał kilka słów, które przy dużej dozie wyrozumiałości mogły zostać uznane za obietnicę posłuszeństwa, i szybko odszedł.

\* \* \*

Później, tej nocy, kiedy Maurycy pojawił się w pawilonie imperatora, poprowadzono go do prywatnych komnat władcy. Kiedy tam wszedł, Chozroes siedział przy małym stoliku i pisał list. Imperator podniósł wzrok, uśmiechnął się i skinął w stronę najbliższej poduchy.

- Proszę, Maurycy, usiądź. Już prawie skończyłem.

Kiedy Maurycy usiadł, zza zasłony wyszedł służący i wręczył mu kielich z winem. Zanim chiliarcha zdołał upić łyk napoju, Chozroes wstał od stolika i zapieczętował list lakiem, w którym odcisnął oficjalną pieczęć perskiego imperatora. Mimo braku jakiegokolwiek sygnału w pomieszczeniu natychmiast pojawił się mężczyzna, który wziął list z rąk młodzieńca. Chwilę później już go nie było.

Przyglądający się temu Maurycy był pod wrażeniem, ale nie dziwiło go to. Persja zawsze chlubiła się efektywnym królewskim systemem pocztowym. Mężczyznę, który wziął list z zamiarem dostarczenia go do miejsca przeznaczenia, nazywano parvank. Była to jedna z najbardziej prestiżowych funkcji w perskiej imperialnej hierarchii. W odróżnieniu od niego rzymscy agentes in rebus byli bardziej szpiegami niż posłańcami.

Co mogło być całkiem niezłe dla państwa, pomyślał Maurycy kwaśno, ale całkowicie rujnowało pocztowy system Cesarstwa.

Kiedy tylko zostali sami, Chozroes usiadł na swojej własnej, bogato zdobionej poduszce.

- Opowiedz mi o cesarzu Focjuszu - rozkazał. - O synu Belizariusza.

Tysięcznik był zaskoczony, słysząc to pytanie, ale nie okazał tego po sobie.

- To właściwie nie jest jego syn, wasza miłość. To jego pasierb. Imperator uśmiechnął się.

- Myślę, że jednak syn.

Maurycy przez chwilę gapił się na imperatora, a następnie skinął głową. To był bardzo stanowczy ruch. Prawie ukłon.

- Tak, wasza miłość. To jego syn.

- Opowiedz mi o nim.

Maurycy, ciągle zdumiony, popatrzył na Persa. Chozroes zrozumiał jego spojrzenie i uśmiechnął się ponownie.

- Może powinienem bardziej sprecyzować pytanie.

Wstał i podszedł do jednej ze ścian pomieszczenia. Odsunął zasłonę na bok i wymówił jedno imię. Chwilę później do pokoju weszła młoda dziewczyna, bardzo nieśmiała i niepewna siebie.

Maurycy ocenił, że miała około trzynastu lat, może czternaście. Z pewnością była córką perskiego szlachcica. I odznaczała się wprost olśniewającą urodą.

- To jest Tahmina - przedstawił ją Chozroes. - Najstarsza córka Baresmanasa, najszlachetniejszego człowieka ze szlachetnego rodu Surenow.

Władca gestem zaprosił dziewczynę, żeby usiadła na pobliskiej poduszce. Tahmina zrobiła, co jej kazano. Usiadła szybko i z zadziwiającą gracją, jak na podlotka.

- Moje dzieci są bardzo młode - powiedział Chozroes. - Poza tym same chłopaki - dodał ze śmiechem.

Imperator odwrócił głowę i spojrzał dziwnie na Maurycyego. A przynajmniej oficer pomyślał, że spojrzenie imperatora jest dziwne. Był teraz bardzo zaintrygowany słowami Chozroesa.

- Baresmanas bardzo kocha swoją córkę - oświadczył młodzieniec stanowczo. - Zresztą ja sam także ją kocham - dodał jeszcze poważniej. - Baresmanas zostawił ją pod moją opieką, gdy pojechał do Konstantynopola wraz ze swoją żoną. Ona jest absolutnie wspaniała i doskonale spędzam czas w jej towarzystwie. To właśnie ona sprawiła, że tęsknię do chwili, kiedy sam będę miał córki.

Imperator zaczął chodzić po namiocie tu i tam.

- Ma dobry charakter i jest inteligentna. A także, jak sam zapewne widzisz, bardzo piękna.

Zatrzymał się nagle.

- Zatem. Opowiedz mi o rzymskim cesarzu Focjuszu.

Maurycy szeroko otworzył oczy. Opadła mu szczęka.

- On ma tylko osiem lat - niemalże się zadławił.

Chozroes machnął ręką i był to gest naprawdę godny imperatora wielkiego mocarstwa. Przez chwilę wyglądał jak cesarz odsuwający od siebie trywialne przeszkody.

- Przecież kiedyś dorośnie - zawyrokował imperator. - I niebawem będzie potrzebował żony.

Znów popatrzył dziwnie na starego Traka.

- No dobrze. Opowiedz mi o cesarzu Focjuszu. Nie proszę cię o nic więcej, tylko o twoją osobistą opinię o tym chłopcu, Maurycy. Powiesz mi, że to jeszcze dziecko. A ja powiem ci, że niebawem z tego dziecka wyrośnie mężczyzna. Więc opowiedz mi o mężczyźnie Focjuszu.

Chozroes na chwilę porzucił imperatorską manierę.

- Dziewczyna jest mi niesłychanie droga, jak widzisz. Nie chciałbym, żeby w przyszłości stała jej się krzywda.

Maurycy szukał odpowiednich słów. Wahał się, nie mógł podjąć decyzji; bił się z myślami. Pływał w wodzie zbyt głębokiej jak na swoje umiejętności. W imperialnej wodzie, na miłość boską!

A potem, kiedy wodził wzrokiem w poszukiwaniu ratunku, jego oczy napotkały spojrzenie Tahminy. Zawstydzone spojrzenie. Niepewne spojrzenie.

Spojrzenie pełne strachu.

Maurycy wreszcie zrozumiał.

Wziął głęboki oddech. Kiedy przemówił, w jego głosie silniej niż zwykle pobrzmiwał akcent trackiego wieśniaka.

- To dobry chłopiec, wasza miłość. Ma doskonały charakter. Wcale nie jest zły. A także ma wartki umysł. Tak przynajmniej sędzę. Oczywiście, jeszcze zbyt wcześnie, aby stwierdzić to z całą pewnością. Obiecujący młodzi chłopcy, tacy jak on, czasami zaprzepaszczają swoją przyszłość, gdy są zbyt pewni siebie. Ale myślę, że Focjusz taki nie będzie... nie on. - Przerwał i wziął się w garść. -



Naprawdę nie powinienem mówić już nic więcej - oznajmił. - To nie jest moje zadanie.

Spoczął na nim wzrok Chozroesa.

- A niech to! - warknął. - Chcę tylko odpowiedzi na proste pytanie. Czy oddałbyś mu swoją córkę za żonę?

Maurycy zaczął protestować, że przecież nie ma córki... a przynajmniej nic o tym nie wie, ale wzrok Tahminy odbierał mu pewność siebie.

To jedno rozumiał. Na to pytanie mógł odpowiedzieć.

- Tak - szepnął. - Z pewnością tak.

# ALEKSANDRIA

*Jesień, 531 n.e.*

## Rozdział 28

Kiedy statki Antoniny wpływały do Wielkiego Portu w Aleksandrii, kobieta zaczęła się martwić, że jej jednostki za chwilę odwrócą się do góry dnem. Wyglądało na to, że wszyscy żołnierze na wszystkich statkach jak na komendę rzucili się na prawą burtę, żeby podziwiać sławną na cały świat latarnię w Faros.

Potężna budowla wznosiła się na małej wysepce, także nazywanej Faros, a z lądem łączyła ją wąska, zbudowana przez ludzi grobla, zwana heptastadion. Przejście, poza tym, że pozwalało dotrzeć do latarni, miało jeszcze inną funkcję. Oddzielało Wielki Port od portu Eunostus na zachodzie.

Zbudowana z trzech wielkich podestów Faros wznosiła się na prawie trzydzieści metrów. Najniższa część była na przekroju kwadratowa, druga - ośmiościenna, a najwyższa - cylindryczna. Na najwyższym piętrze cylindrycznej części znajdowało się pomieszczenie, w którym niezależnie od pory dnia i nocy płonął wielki ogień. Dawał on wiele światła, dodatkowo wzmacnianego przez specjalne urządzenie odbijające. W nocy blask latarni widziany był z naprawdę wielkiej odległości.

Ona i jej oddziały, niestety, nie mogli zobaczyć tego widoku, gdyż zbliżyli się do Aleksandrii wczesnym rankiem, więc ogień był słabo widoczny. Teraz, dwie godziny po wschodzie słońca, blask wydawał się blady. Ale w ciemnościach światło Faros naprawdę zasługiwało na reputację, jaką się cieszyło. A teraz, kiedy przybysze zobaczyli samą latarnię, pomyśleli, że ona też zasłużyła na podziw.

Jej żołnierze praktycznie obsiedli reling na sterburcie. Antonina właśnie miała wydać odpowiednie rozkazy, chociaż nie sądziła, żeby ktokolwiek ich usłuchał, gdy okrzyk z bocianiego gniazda przykuł jej uwagę.

- Zbliżają się statki! - zawołał marynarz. - Dromony! Osiem dromonów!

Zeszła po drabinie z pokładu rufowego i pobiegła wzdłuż sterburty aż na dziób. W przeciągu minuty stała tuż pod obserwatorem na bocianim gnieździe i patrzyła na małą flotę, która wypływała właśnie z Wielkiego Portu.

Osiem dromonów, dokładnie tak, jak powiedział. Pięć miało pełne wymiary tego typu jednostki, pozostałe trzy były nieco mniejsze. Oceniała, że na ich pokładach musi być nie więcej niż półtora tysiąca marynarzy. Oczywiście większość poruszała wiosłami, ale szybka ocena pozwoliła jej na oszacowanie żołnierzy - było ich sporo ponad cztery setki.

Uzbrojonych i opancerzonych. A wiosłarze z pewnością również mieli broń pod ręką, w razie gdyby doszło do abordażu.

Patrzyła, jak siedem statków rozprasza się i formuje barierę u wejścia do portu. Ósmy, jeden z tych mniej szczytów, ruszył w jej stronę.

Poczuła, że ktoś stanął tuż za nią. Odwróciła głowę i zobaczyła Hermogenesa wraz z dwoma trybunami i kapitanem jej okrętu flagowego.

- Jakie są twoje rozkazy? - zapytał kapitan.

- Zatrzymaj statek - rozkazała. - I zasygnalizuj, żeby reszta zrobiła to samo.

Kapitan skrzywił się boleśnie, ale natychmiast usłuchał słów kobiety.

- Co ja takiego powiedziałam tym razem? - warknęła Antonina.

Hermogenes zachichotał.

- Nie wiem. Ja też nie jestem marynarzem. Ale jestem pewny, że nie da się tak po prostu zatrzymać statku. A już tym bardziej całej floty! To by było zbyt proste i logiczne. Prawdopodobnie

powinnaś powiedzieć coś w stylu: „Opóźnij progres oraz przekaż sygnał statkom, aby naśladowały manewr”.

Antonina uśmiechnęła się i znów spojrzała na zbliżający się dromon. Dzieliła ich odległość około dwustu metrów.

- Zakładam, że na pokładzie dromonu są posłańcy.

- Od kogo? - spytał: Dowódczym wzruszyła ramionami.

- Niebawem się przekonamy.

Odepchnęła się od relingu.

- Kiedy tu przybędą, zaprowadź ich do mojej kajuty. Poczeka tam na nich.

Męczyzna skinął głową.

- Dobry pomysł. Będiesz wyglądała znacznie dostojniej, niż gdybyś spotkała się z nimi na pokładzie.

- Do diabła z tym - mruknęła Antonina. - Będę się wydawała wyższa. Mam takie krzesło, w mojej kajucie, które jest specjalnie do tego przeznaczone. - Popatrzyła ze smutkiem na swoje ciało. - Jestem taka niska, że w żadnym razie nie dam rady nikogo zastraszyć na stojąco.

\* \* \*

Kiedy biegła w kierunku swojej kajuty, zauważyła, że pojawienie się ośmiu dromonów daje przynajmniej dobry efekt, jeśli chodzi o stabilność jej statków, i eliminuje ryzyko kapotażu. Żołnierze opuścili wreszcie punkt widokowy na prawej burcie i zajmowali pozycje bojowe.

Zatrzymała się na chwilę i przytrzymała barierki. Teraz, gdy statki stały nieruchomo, okręt flagowy kołysał się na falach i dryfował z wolna. Na szczęście tego ranka morze było dość spokojne, a wiatr nie mocniejszy od lekkiej bryzy. Okręt bujał się bardzo nieznacznie.

Antonina przestudiowała wzrokiem podążające za jej jednostką statki i natychmiast wyłuskała spomiędzy nich „Teodore”, wojenny okręt Jana. Ku swemu zadowoleniu zobaczyła, że Jan już ustawia się dziobem na północny zachód. Gdyby doszło do starcia, okręt uzbrojony w działa miałby doskonałą pozycję do strzału i ataku wraz z wiatrem na dromony, blokujące wejście do portu.

Na jej spotkanie wyszedł Aszot

- Na statku będzie zapewne kilku posłańców - pokazała palcem na dromony. - Hermogenes zaprowadzi ich do mojej kwatery. Chcę, żebyś... - Przerwała na chwilę i przyjrzała się oficerom stojącym na pokładzie nadciągającej galery. A dokładniej; liczyła, ilu ich jest. - Chcę, żebyś wziął czterech katafraktów i towarzyszył mi podczas spotkania -dokończyła.

Aszot uśmiechnął się ponuro.

- Czy życzysz sobie kogoś konkretnego?

W odpowiedzi Antonina również uśmiechnęła się niewesoło.

- Tak. Czterech największych, najzłośliwszych i najtwardszych, jakich mamy.

Żołnierz skinął głową. Zanim zrobiła trzy kroki w kierunku swojej kwatery, armeński oficer już wyrzaskiwał komendy.

- Synezjusz! Mateusz! Leon! Zenofilus! Z szeregu wystąp!

\* \* \*

Pierwszą rzeczą, jaką zrobili zaproszeni oficerowie, kiedy Hermogenes wprowadził ich do kajuty Antoniny, było przyjrzenie się czterem wielkim katafraktom, stojącym w rogach pomieszczenia. Goście obejrzel ich bardzo dokładnie; trwało to co najmniej pół minuty.

Zona Belizariusza z trudem powstrzymała się od śmiechu. Czterej wizytujący statek oficerowie przypominali jej grzeszników, stojących w przedsionku piekieł i przyglądających się stworom z otchłani.

Czterech diabłów, w każdym rogu po jednym. Wliczając zbroję i broń, Antonina oceniała ich wspólną masę na sześćset kilo. Dwóch katafraktów było tak wysokich, że ich hełmy ocierały się o sufit. Jeden był tak szeroki, że wydawał się zdeformowany. A ostatni, Leon, był uważany przez katafraktów Belizariusza za najbrzydszego człowieka na ziemi.

I to nie brzydkiego w miły sposób. Nie paskudnego niczym buldog, skądinąd miły pies.

Po prostu brzydkiego. Brzydkiego jak złośliwy, morderczy i krwawy potwór. Brzydkiego jak ogr, jak troll... nawet wtedy, kiedy Leon miał spokojną twarz, a teraz marszczył brwi wściekle. I był to grymas skręcający wnętrzności, mrozący krew w żyłach i sprawiający, że chciało się wyć ze strachu.

Antonina odchrząknęła. Dyskretnie. Po kobiecemu.

- Co mogę dla was zrobić, panowie? - zapytała.

Oficer, stojący na czele, oderwał wzrok od Leona i zagapił się na nią. Był to człowiek w średnim wieku, o przyprószonych siwizną włosach i z brodą przetykaną srebrem. Jego wzrost nie odbiegał od normy, ale Antonina pomyślała, że stojąc w jednym pomieszczeniu z czterema katafraktami Aszota sprawiał wrażenie karła.

Przez chwilę mężczyzna patrzył na nią idealnie bezmyślnie. A potem, gdy ją rozpoznał, zmrużył oczy.

- To ty jesteś Antonina? - zapytał. - Żona Belizariusza?

Skinęła głową. Oficer zacisnął usta.

- Powiedziano nam... to znaczy, dano do zrozumienia, że to ty jesteś naczelnym dowódcą tej... cóż... flory.

Ponownie skinęła głową. Usta oficera przypominały teraz cienką kreskę, tak jakby ugryzł kawałek cytryny.

- Sytuacja tutaj, w Aleksandrii, jest bardzo skomplikowana - oznajmił oficer stanowczo. - Musisz to zrozumieć. Jeżeli wpadniesz do miasta na czele swojego wojska, na nic się to...

- Sytuacja w Egipcie wcale nie jest skomplikowana - przerwała mu kobieta. - Wręcz przeciwnie, jest bardzo prosta. Byłe władze cywilne, kościelne i militarne straciły zaufanie cesarza i cesarskiej regentki. I dlatego właśnie przysłano mnie tutaj, żebym dopilnowała objęcia tych stanowisk przez ludzi, którzy cieszą się zaufaniem dworu. Na pokładzie moich statków znajdują się: nowy prefekt pretorów, patriarcha i merarcha Armii Egiptu.

Wycelowała palec w Hermogenesa. Młody merarcha opierał się ramieniem o pobliską ścianę, jakby całe zamieszanie ani trochę go nie dotyczyło.

- Tak się zdarzyło, że to właśnie on. Czy mogę ci go przedstawić?

Czterej oficerowie marynarki wybałuszili oczy. Antonina uśmiechnęła się słodko.

- Z przyjemnością przedstawię wam także nowego prefekta pretorów i patriarchę - dodała. - Tak szybko, jak tylko się da. Ale obawiam się, że nie ma ich na tym statku.

Jeden z młodszych oficerów nie wytrzymał i eksplodował jak rakietka.

- To jakiś absurd! Nie możesz...

- Oczywiście, że mogę. I oczywiście, że to zrobię.

Ten sam oficer zaczął znów coś mówić, ale jeden ze starszych, który stał na czele, uciszył go niecierpliwym gestem.

- Umówiliśmy się, że ja będę mówił! - syknął i lekko odwrócił głowę.

Kiedy popatrzył na wysłanniczkę regentki, jego wargi całkowicie znikły. Musiał połknąć całą cytrynę.

- Jak widzę, nie jesteś skłonna do kompromisów - warknął. - Więc nie będę długo się rozwodził. Aleksandryjscy dowódcy floty, których przedstawicielami jesteśmy właśnie my, nie zamierzają

zajmować niczyjej strony w targającym miastem konflikcie. Ale będziemy nalegać, żeby samo miasto rozwiązało swoje problemy. Nie możemy się zgodzić, i nie zgodzimy się, żeby zamieszki uspokajała jakaś obca siła. Dlatego też...

- Aresztujcie ich - przerwała mu Antonina. - Całą czwórkę. - Mówiła łagodnie, spokojnie i z wielką łatwością.

Członkowie delegacji otworzyli usta ze zdumienia. Jeden z nich sięgnął po miecz, lecz zanim zaczął wyciągać go z pochwy, wokół jego nadgarstka zamknęła się stalowa dłoń. Była to dłoń Zenofilusa, która nie ustępowała wielkością i siłą niedźwiedziej łapie. Druga wielka ręka złapała oficera za kark. Mężczyzna zaczął krzyczeć.

Zenofilus ścisnął. Mężczyzna natychmiast przestał krzyczeć, a nawet zrobił się zielonkawy. Pozostali oficerowie także zostali unieruchomieni w podobny sposób, za rękę i kark, przez katafraktów Aszota.

- Nie możesz tego zrobić! - zaskrzeczał jeden z nich, tkwiący w uścisku Mateusza. Mateusz był jednym z tych katafraktów, którzy musieli się garbić, żeby nie uderzać w sufit kajuty. Teraz uśmiechnął się radośnie i ścisnął.

Zapadła cisza.

- Dlaczego nie? - spytała Antonina z uśmiechem Madonny na twarzy. Skinęła lekko dłonią na Mateusza. Katafrakt poluzował nieco uścisk na gardle swego jeńca.

Mężczyzna zaczął spazmatycznie kaszleć.

- Wydałem rozkazy dromonom! - wysapał. - Jeżeli nie wrócimy w przeciągu godziny, przyjmą, że na twoim pokładzie doszło do pogwałcenia prawa!

- Do pogwałcenia prawa - zadumał się Hermogenes. - O mamó, to naprawdę brzmi poważnie. Zerknął na Aszota, opierającego się o przeciwległą ścianę w dokładnie takiej samej pozycji.

- Do pogwałcenia prawa - powtórzył jak echo armeński katafrakt. - Co za paskudne słowa.

Odepchnął się lekko od ściany i stanął wyprostowany. Uśmiechnął się do kompana, który również wyszczerzył zęby.

- Przerażające słowa - powiedział Aszot. - Mało brakowało, a zesrałbym się w gacie.

Oficer, który przed chwilą im groził, zaczął prychać z wściekłości.

- Zadbam, aby wszyscy się o tym dowiedzieli! I przypominam wam, że u wejścia do portu czeka na was osiem okrętów wojennych. A co wy macie poza tymi statkami do przewożenia ziarna i hordą kupieckich balii? Tylko dwa dromony, nic więcej!

- Nie tylko - mruknął Ormianin. Obrócił głowę i spojrzał na Antoninę.

Skinęła głową. Aszot wyszedł z kabiny. Kilka sekund później usłyszeli jego głos.

- Wyślijcie sygnał „Teodorze”. Białą i niebieską flagę! A potem czerwoną!

Chwilę później wrócił do kajuty.

- To oznacza: doszło do pogwałcenia prawa - wyjaśnił czterem unieruchomionym oficerom. A potem uśmiechnął się szeroko. - W pełnym tego wyrażenia znaczeniu.

Więźniowie byli tak zaabsorbowani słowami mężczyzny, że nie usłyszeli, jak małżonka Belizariusza mamrocze coś do siebie.

- A dokładniej narysuj poprzeczkę nad T. I salwa z całej burty.

\* \* \*

Jan z Rodos i Euzebiusz stali na pokładzie rufowym „Teodory”. Jan gwizdnał przez zęby, kiedy zobaczył białą i niebieską chorągiewkę, za którą podążała czerwona.

- Tak! Wreszcie! Teraz zobaczymy, co ta nasza prześliczna suka potrafi!

- Gdybym był tobą, nie chciałbym, żeby cesarzowa usłyszała te słowa - mruknął Euzebiusz.

Rzemieślnik stał tuż obok Jana i trzymał się relingu. Jego twarz była blada i pociągła. Kołysanie „Teodory”, która szła siłą rozpędu, obudziło w nim lekko uśpioną morską chorobę.

- Dlaczego nie? - spytał Rodyjczyk wesoło. - Przecież statek nosi jej imię? Czy cesarzowa nie jest ślicznotką? I czy nie jest najzłośliwszą suką na świecie? - Z szerokim uśmiechem poklepał towarzysza po ramieniu. - Ale przecież ona jest naszą suką, chłopcze! Naszą!

Jan wskazał drabinę prowadzącą na niższy pokład.

- Złaź, Euzebiuszu. Natychmiast. Chcę, żebyś miał oko na tych niesionych entuzjazmem artylerzystów.

Euzebiusz z trudem zszedł po drabinie. Kiedy był w połowie drogi, usłyszał wrzaski Jana.

- Kurs na flotę dromonów blokującą wejście do portu! - krzyczał Rodyjczyk do sternika i marynarzy. - Chcę przepłynąć im prosto przed dziobami!

Kiedy młodzian dotarł na pokład działowy, ruszył na sterburkę. „Teodora” przyjęła nowy kurs - z północnego zachodu na południowy wschód, więc miała do dyspozycji pięć dział, skierowanych na wroga.

Euzebiusz niebawem zapomniał o chorobie morskiej. Całkowicie pochłonęły go przygotowania armat do pełnej salwy. Biegał tu i ówdzie wzdłuż sterburty, zajmując się najmniejszym nawet drobiazgiem operacji.

Przynajmniej ten jeden raz syryjscy artylerzyści i ich żony nie przeklinali go za drobiazgowość i nie drwili z niepraktycznej filozofii, którą posługiwał się na co dzień w swoim życiu. To nie były ćwiczenia. Teraz walka miała odbyć się naprawdę. Nie będą strzelali do pustych baryłek, wyrzuconych za burkę. Wycelują działa w nieprzyjacielskie okręty, ustawione w formacji bojowej, i oddadzą strzał.

Prawda, okręty wroga nie miały na pokładzie broni palnej. Ale słowo „dromon” znaczyło „szybki”, a smukłe jednostki, zgromadzone u wejścia do Wielkiego Portu, w pełni odpowiadały standardom swojego rodzaju. Były piękne i eleganckie, w porównaniu do beczkowatych statków kupieckich, i przypominały syryjskim artylerzystom gigantyczne osy, w każdej chwili gotowe do uderzenia.

Wydłużone, wąskie... i bardzo niebezpieczne.

Kiedy „Teodora” pokonała połowę drogi dzielącą ją od floty wroga, artylerzyści naładowali działa i przygotowali lonty. Nieskończenie długie i nużące ćwiczenia, które Euzebiusz bezlitośnie organizował dzień po dniu, kiedy płynęli przez Morze Śródziemne, teraz okazały się błogosławieństwem, gdyż radzili sobie z bronią doskonale.

W tamtych dniach niechętnie odnosili się do tych ćwiczeń. Artylerzyści „Teodory” byli ochotnikami, wywodzącymi się z Kohorty Teodoryjskiej. Kiedy ogłoszono nabór na okręt, zgłosiło się wielu chętnych. Większość syryjskich grenadierów marzyło o tak prestiżowej pracy. Prestiżowej i łatwej, przynajmniej w ich ocenie. A już szczególnie w porównaniu z ciężką pracą, jaka czekała grenadierów przy noszeniu ręcznych dział i granatów pod palącym słońcem Egiptu. Sądziło, że będą leżeć na pokładzie i nie chodzić dalej niż kilka kroków z i do kajuty. Cóż mogłoby być lepszego?

Niestety, niebawem przekonali się, że ich wyobrażenia są całkowicie błędne. Po tygodniu od wypłynięcia z Rodos stali się pośmiewiskiem całej Kohorty Teodoryjskiej. Reszta grenadierów obsiadała relingi i wanty swoich statków i ze śmiechem patrzyła, jak ich towarzysze biegają po pokładzie. Patrzyli i uśmiechali się szeroko, kiedy artylerzyści wypacali z siebie siódme poty pod palącym słońcem Morza Śródziemnego. Oczywiście, nie było tak gorące jak słońce Egiptu, ale i tak wystarczająco gorące. A zwłaszcza dla mężczyzn i kobiet, którzy codziennie wlekli po pokładzie ciężkie działa, ustawiali je na platformach, dźwigali amunicję, wciskali się do luków, ładowali

działa, strzelali, a potem... robili to samo od początku. Minuta po minucie, godzina po godzinie, dzień po dniu. I to wszystko pod czujnym okiem człowieka, który byłby doskonałym mnichem, bo taki miał charakter. Takim typem mnicha, który czujnie nadzoruje pracę swoich towarzyszy, kopiujących manuskrypty strona po stronie, i nie umknie mu ani jedna kropla atramentu, ani krzywa linia, gdy pisarzowi zadrży ręka ze zmęczenia.

Mężczyzna był wybredny. I bardzo zasadniczy mimo młodego wieku. Zręczliwy, wiecznie narzekający, pełen troski. Człowiek, który doprowadził przygranicznych wieśniaków do szaleństwa.

Teraz, kiedy stali przy swoich działach, syryjscy artylerzyści w myślach dziękowali Euzebiuszowi. I czuli się bezpieczni w jego towarzystwie. Gówniarz potrafił być prawdziwym dupkiem. Ale przecież ich własnym dupkiem.

- Euzebiusz zna się na robocie - oznajmił jeden z nich.

- To najlepszy specjalista od dział, jaki żyje na tym świecie - zgodził się inny.

Nagle jedna z kobiet zaśmiała się głośno.

- Zawołajmy dla Euzebiusza! - krzyknęła. - Niech się ucieszy! Zawołajmy!

- EUZEBIUSZ! EUZEBIUSZ! EUZEBIUSZ!

Młodzieniec zeszywniał, gdy usłyszał te wrzaski. Wiedział, że oficer dowodzący powinien w takiej sytuacji przemówić do żołnierzy. I powinna być to porywająca mowa.

Euzebiusz nie znał się na porywających mowach ani odrobinę lepiej niż mysz na lataniu. Tak więc, po chwili, po prostu się uśmiechnął i skinął im ręką. Dość nieśmiało, niczym młody, zawstydzony mistyk, którym był przez całe swoje życie.

Syryjczycy odpowiedzieli na jego uśmiech radosnym szczerzeniem zębów. Wcale nie rozczarowało ich jego milczenie. Znali go bardzo dobrze.

Ich nauczyciela. Ich osobistego dupka.

\* \* \*

Jan z Rodos, stojąc na pokładzie powyżej, także się uśmiechnął.

Naturalnie, nie był to ani wstydlivy, ani skromny uśmiech. Wcale a wcale. Jan z Rodos nie był ani nieśmiały, ani skromny. Prawda, jego kariera na polu marynarki wojennej legła w gruzach na skutek przygód z nieodpowiednimi kobietami. Ale jego towarzysze oficerowie nadal uważali go za najlepszego rzymskiego kapitana. Wszyscy z wyjątkiem tych, których żony uwiódl.

Na pierwszy rzut oka potrafił rozpoznać bitną załogę. A teraz, kiedy pojął, że Euzebiusz nie jest zdolny do płomiennej przemowy, Jan postanowił wypełnić tę lukę.

Oczywiście na swój własny sposób. Perykles byłby przerażony jego rykami.

- Artylerzyści! Odważni mężczyźni i kobiety Kohorty Teodoryjskiej!

Przechylił się przez reling i dramatycznym gestem wskazał dromony, odległe o jakieś trzysta metrów.

- Te nędzne dupki mają przesrane! Naprawdę przesrane!

Artylerzyści i ich żony wydali z siebie radosny ryk. A potem Jan usłyszał, jak z oddali wtórują im inne głosy. Zdumiony, odwrócił się i popatrzył na przesmyk prowadzący do Faros.

Na obu brzegach stał tłum ludzi. I widział ich coraz więcej i więcej, nadbiegających od strony Aleksandrii przez heptastadion. Zdał sobie sprawę, że to muszą być mieszkańcy miasta. Wieści rozchodziły się szybko i ludność Aleksandrii nie chciała opuścić takiego widowiska.

A dokładniej biedacy z Aleksandrii. Nawet z tej odległości wynalazca mógł zobaczyć, że mężczyźni, kobiety i dzieci, którzy stali na brzegu, nosili proste tuniki. Wiecznie tętniący życiem port Aleksandrii otoczony był wieńcem slumsów. To właśnie mieszkańcy tych biednych dzielnic pierwsi usłyszeli wieści i przybyli tłumnie na heptastadion, a także obsiedli wszystkie punkty, z których

widać było morze i przesmyk.

Wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- To nasi ludzie.

\* \* \*

Na pokładzie okrętu flagowego Antonina doszła do tego samego wniosku. Wyszła ze swojej kabiny, kiedy tylko dopilnowała, żeby jej jeńcy zostali dokładnie związani i zakneblowani. Patrzyła na tłum, zgromadzony na heptastadionie, i słuchała odległych pozdrowień. Potem przeszła na sterburtę i spojrzała na dromon, kołyszący się na falach nieopodal jej jednostki. Po wysadzeniu czterech posłańców okręt odплыł na trzydzieści metrów i ustawił się naprzeciw. Wiośły nie opuszczono i najwyraźniej wszyscy gotowi byli do działania. Teraz wioślarze utrzymywali jednostkę na kursie. Ale Antonina miała pewność, że dromon runie na jej okręt w jednej chwili, gdy tylko padnie taki rozkaz.

Nie zamierzała dać im tej chwili.

Odwróciła głowę i zawołała Eufroniusza. Dowódca Kohorty Teodoryjskiej natychmiast do niej podbiegł.

Kobieta pokazała dłonią na dromon.

- Chcę, żebyś zatopił ten statek. Czy to się da zrobić?

Młody syryjski oficer zmierzył dromon wzrokiem. Ocena nie zajęła mu wiele czasu.

- Z tej odległości? Z łatwością. Nawet nie będę potrzebował proc.

- A. więc zrób to - rozkazała.. Kiedy Eufroniusz zbierał się do odejścia, powstrzymała go gestem.

- Chcę, żeby to było potężne uderzenie, Eufroniuszu. A nie tylko parę granatów. Jeżeli ten dromon ruszy na nas z pełną prędkością, wbije się w burtę niczym młot.

Syryjczyk pokiwał głową. Chwilę później, za pomocą gestów i paru wyszczynanych komend, ustawił swoich grenadierów na śródokręciu. Antonina z podziwem patrzyła, jak żołnierze, do ostatniej chwili niewidoczni dla marynarzy z dryfującego dromonu, pojawili się nagle przy relingu i złapali granaty pewnym chwytem.

Z kajuty wyszedł Hermogenes. Kiedy zobaczył, co dzieje się na śródokręciu, szybko podbiegł do Antoniny.

- Nie zamierzasz ich ostrzec? - zapytał. - Nie wezwiesz ich do poddania?

Dowódczym potrząsnęła głową.

- Nie odważę się. Dromon jest zbyt blisko. Jeżeli dostaną ostrzeżenie, będą w stanie w nas wałnąć, zanim zdążymy wyrzucić granaty. A jeżeli podpłyną zbyt blisko, granaty będą stanowić niebezpieczeństwo także dla nas.

Hermogenes skinął głową, zamyślony.

- Masz rację. - Popatrzył na pobliską wojenną galerę. Widział kilku oficerów, którzy stali na dziobie dromonu. Byli tak blisko, że mógł dostrzec wyraz ich twarzy.

Marszczyli brwi. Byli zaniepokojeni. Zastanawiali się, co się stało z ich posłańcami. Zaczynali nabierać podejrzeń.

- A więc do diabła z nimi - warknął mężczyzna.

Antonina usłyszała cichy syk. Odwróciła się i ujrzała, że Eufroniusz i jego grenadierzy są gotowi. Co najmniej trzy tuziny żołnierzy zamarzy z granatami w dłoniach. Ich żony natychmiast znalazły się za nimi, gotowe zapalić lonty. Które przycięto bardzo krótko.

Kobieta dała subtelny znak ręką, którą trzymała na wysokości pasa. Grenadierzy mieli zielone światło.

Do dzieła.



Żony zapaliły lonty. Syryjczycy podbiegli do relingu, wrzeszcząc bojowe zawołanie:

- Za Cesarstwo! Za Cesarstwo!

Oficerowie na pokładzie dromonu zeszywnieli, kiedy usłyszeli głośnie okrzyki. Jeden z nich otworzył usta. Najprawdopodobniej chciał wydać rozkaz. Ale szczęka mu opadła, kiedy zobaczył tłum grenadierów, którzy pojawili się tuż przy relingu znacznie wyższego statku.

Nie udało mu się wykrztusić ani słowa. Patrzył, z otwartymi ustami, jak w powietrzu szybuje chmara granatów. A potem, razem z pozostałymi oficerami, rzucił się na pokład.

Musiał myśleć, że nadlatujące obiekty to po prostu kamienie. Nigdy nie dowiedział się prawdy. Na dziobie wylądowało sześć granatów i dokładnie przemieszało jego szczątki z odłamkami drewna.

Wybuch granatów zniszczył dromon na całej długości. Galerę ustawiono w najgorszej z możliwych pozycji. Nie zdołałaby uniknąć salwy granatów. Okręt zwrócony był dziobem do okrętu Antoniny. Niektóre granaty oczywiście chybiły celu i spadły do wody po obu stronach kadłuba. Jednakże większość trafiła w okręt. I nawet jeżeli grenadierzy rzucali granaty z różną siłą, oznaczało to, że spadały one w różnych punktach pokładu i wzniewały dodatkowe zamieszanie. Dromon miał prawie trzydzieści metrów długości od dzioba do rufy. Większość grenadierów bez trudu miotała pociski na odległość trzydziestu metrów, dzielących jednostkę Antoniny od jednostki wroga. Wielu z nich trafiło nawet w śródokrećcie, a niektóre granaty doleciały aż do rufy dromonu.

Granaty wylądowały niemal jednocześnie i eksplodowały w przeciągu trzech sekund. Za burzę poleciały tuziny ciał. Z całej załogi ocalało zaledwie kilku marynarzy, w większości tych, co stali na rufie. Po tym, jak w tłum upadło co najmniej dwanaście granatów, środek dromonu, gdzie zgromadziły się dwie setki żołnierzy, wyglądał niczym jatka, po której walają się odłamki kości i ochłapy mięsa.

Kadłub został poważnie uszkodzony w kilku miejscach - gdzieś ziały wielkie dziury. Do środka dromonu wlewała się morska woda, więc zanurzał się on coraz głębiej. Ocalali marynarze skakali do morza z rufy. Inni, którzy nie umieli pływać, po prostu patrzyli, jak zbliża się śmierć, zbyt zaskoczeni, żeby krzyczeć z przerażenia.

- Uratuj tak wielu, ilu się da - powiedziała Antonina do Hermogenesa, nie odwracając głowy. - I zamknij ich w ładowni, pod strażą.

Przyjaciółka cesarzowej patrzyła na pozostałe dromony, zebrane u wejścia do portu. Właśnie zaczynały się ruszać. Widziała, jak mokre wiosła błyskają w słońcu. Po chwili jednak zorientowała się, że w jej kierunku zmierzają tylko cztery dromony. Pozostałe trzy płynęły na spotkanie „Teodory”, która nadciągała z północnego zachodu.

Najwyraźniej chciały przeciąć jej drogę. Nawet niedoświadczona Antonina wiedziała, że wojenny okręt przepłynie przed ich nosami w odległości co najmniej stu metrów.

- Liczę na ciebie, Janie - mruknęła. - Zmieć te dromony z powierzchni morza. Zrób to dla mnie.

\* \* \*

Na pokładzie „Teodory” Jan wydawał nowe rozkazy.

- Zignoruj te trzy, które idą na nas, Euzebiuszu! - wrzasnęła. - Skoncentruj ogień na dromonach płynących w kierunku Antoniny!

Euzebiusz nawet na niego nie spojrzał. Zajęty był pomaganiem swojemu oddziałowi artylerzystów, więc tylko machnął ręką na znak, że usłyszał rozkazy.

W końcu, zadowolony z efektów swojej pracy, popatrzył na wroga. Właśnie przepływali przed trzema wrogimi jednostkami, które zamierzały odciąć im drogę. Najbliższa znajdowała się w odległości dwustu metrów, czyli zbyt daleko, aby mogła skutecznie staranować ich okręt, nawet przy tak wielkiej prędkości, jaką osiągały dromony.

Euzebiusz popatrzył teraz na pozostałe cztery galery. Najbliższa kołysała się na wodzie, ciągle w odległości trzystu metrów od nich. Młodzieniec ocenił jej prędkość, porównał z ich własną i doszedł do wniosku, że przeciwnik znajdzie się w zasięgu strzału za mniej niż dwie minuty.

- Strzelajcie na moją komendę! - Euzebiusz, jak zwykle, próbował naśladować styl dowodzenia Jana z Rodos. I jak zwykle z jego gardła dobywał się cienki pisk zamiast tubalnego ryku. Ale działonowi i tak doskonale go słyszeli.

- Nie chcę salwy! Każde działo strzela niezależnie! Na moją komendę!

Podbiegł do pierwszego działła. Przez chwilę miał ochotę odepchnąć głównego artylerzystę na bok. Powstrzymał się jednak i stanął tuż za jego plecami. Razem z działonowym patrzyli teraz wzdłuż lufy.

Zostało dwieście pięćdziesiąt metrów.

Dwieście metrów.

Mieli przepłynąć przed dziobem najbliższego dromonu w odległości stu metrów. To był dobry dystans.

Euzebiusz wyrzucił ze swojego umysłu wszystko prócz nadciągającego dromonu. Chłopak był krótkowidzem i nawet tak wielki okręt majaczył mu przed oczami jako niewyraźna plama. Lecz to nie miało znaczenia. Podejmował decyzje na podstawie relatywnej prędkości, a nie dokładnej oceny odległości.

On i artylerzysta stanęli teraz z boku działła, żeby nie narażać się na odrzut. Te kilka kroków ani na chwilę nie rozproszyło uwagi Euzebiusza.

Nadeszła wreszcie odpowiednia chwila. Lekko uderzył głównego działonowego w czubek okrytej skórzonym hełmem głowy.

- Ognia - powiedział łagodnie i cicho.

Działo zawyło. Zadrżało i odskoczyło do tyłu. Cel zakryła chmura dymu.

Ale Euzebiusz i tak nie patrzył w tamtym kierunku. Pędził właśnie w stronę następnego działła. Kiedy tam dotarł, artylerzysta już odsunął się na bok, żeby uniknąć odrzutu.

Młodzieniec znów rzucił szybkie, badawcze spojrzenie na morze. I znów niewiele zobaczył. Liczyła się tylko względna prędkość.

Poklepał działonowego po skórzonym hełmie.

- Ognia.

Przebiegł wzdłuż burty do następnego działła.

Zamglony widnokrąg. Relatywna prędkość. Klepnięcie. Ognia.

Następne działo.

Zamglony widnokrąg. Relatywna prędkość. Klepnięcie. Ognia.

Wzdłuż burty; następne działo.

Zamglony widnokrąg. Relatywna prędkość. Klepnięcie. Ognia.

Następne działo.

Zamglony widnokrąg.

Mgła.

Żadnego ruchu.

Spojrzał w górę i zamrugał oczami. Nagle zdał sobie sprawę z tego, że wokół rozlega się hałas. Okrzyki radości. To cieszyli się syryjscy grenadierzy. Syryjskie żony krzyczały triumfalnie. A ponad tym wszystkim królował potężny bas Jana z Rodos.

- Och, jak wspaniale! Doskonała robota, Euzebiuszu! Zostały z niego tylko drzazgi!

Szef działonowych z ostatniego stanowiska szczyrzył do niego zęby.

- Ten dromon ciągle jeszcze pływa - powiedział. - Jeżeli chcesz, mogę go zatopić.

Euzebiusz potrząsnął głową.

- Nie, oszczędź go. Jest ich więcej.

Zamrugnął oczami. Nie widział wyraźnie. Pomyślał, że mógłby spróbować trafić dwa statki przy jednej okazji, ale...

Lata później młody rzemieślnik przypominał sobie tą chwilę i doszedł do wniosku, że to właśnie wtedy ostatecznie dorósł. Przez całe życie martwił się swoim okropnym wzrokiem. Lecz był zbyt dumny... i także zbyt wstydlivy, żeby prosić o pomoc.

W końcu się zdecydował.

- Nie widzę zbyt dobrze, szefie - przyznał. - Czy nie jestem w błędzie? Czy dwa następne statki idą burta w burtę?

Syryjczyk uśmiechnął się jeszcze szerzej.

- Masz rację, panie. Głupki prawie się zderzyli, żeby tylko uniknąć naszego ognia. Zaplątały im się wiosła.

Euzebiusz skinął głową.

- Artylerzyści! - wrzasnął i wyprostował się na całą wysokość. - Czy naładowaliście działa?

Odpowiedział mu chór zgodnych głosów.

- Przygotujcie się do salwy! - zaskrzeczał. - Wycelujcie w te dwa statki! Ognia na mój znak!

Pochylił się do przodu, do ucha artylerzysty.

- Pomóż mi, szefie. Powiedz mi, kiedy mam...

- To już za chwilę, panie. Kapitan Jan właśnie naprowadza statek. Jeszcze moment, moment.

Syryjczyk przyjrzał się przeciwnikom. Dwa dromony, odległe o jakieś dwieście metrów, właśnie usiłowały rozplatać wiosła. To był tłusty, soczysty kąsek.

Poklepał Euzebiusza po kolanie.

- Zrób to teraz, panie - mruknął.

- Ognia! - wrzasnął natychmiast podopieczny Jana z Rodos. - Wszystkie działa! Wszystkie działa... !

Reszta utonęła w potwornym huku.

Kiedy dym wreszcie się rozwiął, podniósł się zgiełk radosnych okrzyków. Prawda, salwa nie spowodowała aż tak wielu zniszczeń jak wcześniejsze pojedyncze strzały, oddane do samotnego dromonu. Ale to nie miało znaczenia. Wojenne galery posiadały osłony na pokładach i przy otworach na wiosła, ale sam kadłub zazwyczaj wykonywano z cienkich drewnianych klepek, żeby zyskać na prędkości jednostek. Okręty nie były w stanie wytrzymać bezpośredniego trafienia dwunastocentymetrową marmurową kulą.

Jeden z nich miał uszkodzony dziób. Kula nie posłała go na dno, ale nadawał się on teraz tylko i wyłącznie do napraw w stocznii.

A drugi...

Także miał poważnie uszkodzony dziób, chociaż kadłub nie został przebity. Ale jedna z kul musiała trafić w wiosła, które na nieszczęście w tej chwili wystawały z wody. Większość z nich zamieniła się w drzazgi. A co gorsza, siła uderzenia wtłoczyła odłamki do wnętrza galery, te zaś zmasakrowały wielu wiosłarzy niczym tysiące młotków bijących w żywe mięso. W zasadzie galera ciągle zdolna była do walki, lecz jej załoga miała już dosyć tej przerażającej broni. Również ten dromon ruszył w kierunku wybrzeża i Wielkiego Portu, zataczając się paskudnie, gdyż dysponował tylko jedną stroną wiosel.

Jan, nadal tkwiący na górnym pokładzie, wyrzaskiwał nowe rozkazy. Cztery okręty wojenne,

które jeszcze chwilę wcześniej pędziły prosto na Antoninę, zostały skutecznie wyeliminowane. Jeden zatonął, dwa uciekły, a trzeci najwyraźniej nie mógł podjąć decyzji. Antonina mogła sobie z nim poradzić sama. Jan za to miał własne problemy.

Rodyjczyk zawrócił „Teodorę” i stawiał czoła trzem dromonom, które wcześniej próbowały przeciąć jego kurs. Wojenne galery goniły go i zbliżały się całkiem szybko, gdyż osiągały naprawdę wielką prędkość.

Jednak nie wystarczająco dużą. Kiedy znaleźli się w zasięgu, Jan ustawił okręt bokiem i wycelował w nadpływające jednostki pięć załadowanych dział, obsługiwanych przez nie zmęczone jeszcze załogi.

Euzebiusz także tam był, spięty i gotowy. Mężczyzna nieco się zdziwił, gdy zobaczył, że jego asystent prowadzi ze sobą jednego z szefów działonowych baterii na sterburcie. Ujrzał, jak Euzebiusz coś z nim konsultuje, a potem usłyszał pisk rzemieślnika.

- Salwa! Na moją komendę!

Jan uśmiechnął się. Wiele razy wcześniej łapał się na tym, że śmieszy go piskliwy głos Euzebiusza. Ale tym razem w chłopięcym głosie młodzieńca nie było nawet śladu samozadowolenia.

Komiczny? Tak. Patetyczny? Nie.

Znów ujrzał, jak głowy Euzebiusza i działonowego zbliżają się do siebie. Nastąpiła szybka wymiana zdań. Trzy dromony znajdowały się w odległości dwustu metrów. Ich wiosła podnosiły się i opadały z morderczą regularnością. Pancerne dzioby celowały wprost w „Teodorę”.

- Ognia! - Usłyszał kolejny skrzek. - Wszystkie działa, ognia! Wszystkie...

Reszta utonęła w hałasie. Uniosła się chmura dymu i zakryła jednostki wroga.

- Ładujcie! - wrzeszczał Euzebiusz. - Ładujcie! Szybko! Szybko!

Jan patrzył, jak załogi dział biegają w doskonale skoordynowanym porządku. W duszy podziękował sobie samemu, że mimo gorzkich narzekania Syryjczyków nalegał na tyle godzin ćwiczeń pod okiem Euzebiusza.

Teraz nie narzekali. O nie, absolutnie nie. Tylko uwijali się jak mrówki. I wrzeszczeli radośnie.

- Za Cesarstwo! Za Cesarstwo!

Dym rozwiął się na tyle, że Jan mógł zobaczyć okręty wroga. Trzy dromony były teraz w odległości zaledwie pięćdziesięciu metrów. Zamrugał oczami. Nie mógł już powstrzymać ich przed staranowaniem jego okrętu.

Tylko że...

Zdał sobie sprawę, że dromony zwalniają. Prawda, żaden nie tonął. I tylko jeden, sądząc z tego, co widział, doznał poważnych uszkodzeń kadłuba. Jednakże siła wybuchu odrzuciła marynarzy od wiosła. Mężczyźni na pokładach byli całkowicie nieprzygotowani na hałas i potężną siłę pełnoburtowej salwy. I dlatego dromony, zamiast pędzić przed siebie, żeby zgnieść przeciwnika jednym uderzeniem opancerzonego dzioba, kołysały się bezradnie na falach.

- Ognia! - usłyszał znowu. - Wszystkie działa...

Reszta zginęła w huku. Okręty znikły w chmurze dymu. Nie widział już wroga.

Ale nie musiał. Ważne, że Euzebiusz wiedział, gdzie celować.

- Szrapnele! - wrzeszczał asystent. - Szrapnele! Załadować szrapnelami!

Dym trochę się rozwiął i Rodyjczyk mógł wreszcie cokolwiek zobaczyć.

Jeden dromon tonął. Drugi był mocno uszkodzony. Ciągle unosił się na falach, ale kapitan całkowicie stracił nad nim kontrolę. Przechylił się mocno na burtę, a jego groźny dziób celował w pustkę Morza Śródziemnego.

Ale trzeci ciągle się zbliżał. Jednakże nie atakował ich opancerzonym dziobem, a tylko pędził,

pchany siłą rozpędu, machając bezradnie połamanymi wiosłami i rozbrzmiewając jękami rannych wiosłarzy, którzy desperacko próbowali go zawrócić. Zrobiliby wszystko, żeby uciec jak najdalej od tego przerażającego okrętu, który miał na pokładzie diabelską broń.

Ale nie mieli szans. Jan zobaczył Euzebiusza, który stał przy środkowym dziale i naradzał się z załogą. Dromon znajdował się w odległości zaledwie dziesięciu metrów, co nie stanowiło zbyt dużego dystansu dla krótkowzrocznych oczu młodzieńca.

Wynalazca dostrzegł, jak jego asystent klepie działonowego po hełmie. Zobaczył, jak poruszają mu się usta, ale nie usłyszał słów.

Chwilę później działo buchnęło dymem. Szrapnel przeleciał przez drugi okręt niczym ostrze kosy.

Jan z Rodos absolutnie nie należał do przewrażliwionych ludzi. Jednak nie mógł nie zamrugać, gdy ujrzał, z jaką brutataością pocisk odłamkowy rozprawił się z załogą dromonu. Wystrzelony z tak niewielkiej odległości w zmasowany tłum ludzi, siedzących ciasno przy wiosłach, siedzących jeden przy drugim...

Zadrzał. Zobaczył, że Euzebiusz mknie do następnego działła. Celuje. Klepie działonowego po hełmie.

Kolejny huk. Kolejny szrapnel skosił załogę dromonu. Wszędzie było pełno krwi.

Euzebiusz pobiegł dalej. Wycelował. Poklepał. Ognia.

Teraz to była prawdziwa rzeź. Czyste morderstwo na szeroką skalę.

Euzebiusz pobiegł dalej.

Jan przechylił się przez reling.

- Wystarczy, Euzebiuszu! - wrzasnął. - Starczy już!

Młodzieniec właśnie unosił rękę nad hełmem następnego działonowego i gotowy był do poklepania. Na głos przełożonego uniósł głowę i popatrzył zmrużonymi oczami na wyższy pokład.

- Starczy! - zawył Jan.

Euzebiusz wyprostował się powoli. Powoli podszedł do relingu i się przechylił. Spojrzał w dół, na pokład dromonu, który teraz objął się delikatnie o burtę „Teodory”. Po raz pierwszy przyjrzał się dokładniej swojemu dziełu.

Gdyby sytuacja była inna, jego podkomendni, twardzi syryjscy wieśniacy, nieczuli na ból i bardzo prości w obejściu, z pewnością straciliby do niego cały szacunek. Na pewno wyszydiliby i wyśmiali dowódcę, który właśnie wyrzygiwał jelita do morza.

Ale nie tego dnia. Nie wtedy. Zamiast tego syryjscy artylerzyści i ich żony powoli zebrali się wokół Euzebiusza i starali się uspokoić roztrzęsionego młodzieńca. A potem, kiedy już się wyprostował, pulchna syryjska kobieta zamknęła siąkającego nosem chłopca w ciepłym uścisku, ignorując łzy, które moczyły jej tunikę, uszytą z samodzielnie utkanego materiału.

\* \* \*

Ponad nimi, na pokładzie rufowym, Jan pozwolił sobie na westchnienie.

- Witaj w klubie, chłopcze. W loży morderców.

Uniósł głowę i rozejrzał się po morzu.

Zwycięstwo. Całkowite. Zniszczyli cztery okręty wraz z załogami. Trzy zamienili w pulpę. Jedyne nietknięty dromon uciekał. Popatrzył na okręt flagowy Antoniny.

- Jest twoja, dziewczyno. Możesz sobie wziąć Aleksandrię choćby teraz.

\* \* \*

Na pokładzie okrętu flagowego Antonina bacznie obserwowała rozwój wydarzeń. Patrzyła, jak flota wroga idzie na dno, i to sprawiło jej niemałą przyjemność. Obserwowała dziko rozradowany tłum na heptastadionie i to również bardzo ją cieszyło.

A potem całe zadowolenie przysło, kiedy spojrzała na samo miasto. Za portem, w sporej odległości ponad składami i domami, majaczyła Kolumna Pompejusza. I Kościół Świętego Michała, położony niedaleko od niego. Kiedyś gmach zwał się Cezareum, czyli świątynią Cezara. Ciągłe stały przed nim wielkie obeliski. Ale monumentalna pogańska świątynia, ozdobiona sławnym wieńcem złotych i srebrnych malowideł oraz płaskorzeźb, teraz została oddana Chrystusowi.

I oczywiście możliwym przedstawicielom Chrystusa. Patriarchowie Aleksandrii rezydowali w tej budowli od ponad dwóch setek lat. Sto lat po tym, jak objęli panowanie nad miastem, przed tą świątynią zakatowano na śmierć Hypację. Była to błyskotliwa nauczycielka, ale wiedza nie ocaliła jej przed hańbą i razami religijnych fanatyków.

- Pieprzyć Aleksandrię - syknęła Antonina.

# SUPPARA

*Jesień, 531 n.e.*

## Rozdział 29

Pod koniec pierwszej godziny Kudzulo zaczął narzekać.

- Co za błocko! Z radością wspominam pałac Venandaktry. Czysty. Suchy.

Przed nim przez gęsty, nasiąknięty wodą las przedzierał się Kungas.

- Byliśmy tam przez sześć miesięcy - warknął. - O ile sobie przypominam, zaczęłeś narzekać już pierwszego dnia. Tak tu ponuro, mówiłeś. Nudno. I nie przestałeś jęczeć, aż wyrzucono nas z pałacu i zastąpiono nowymi strażnikami.

- Potem zaczął narzekać na nowe kwatery - prychnął inny Kuszan, przedzierający się przez las tuż obok. - Takie zagracone, mówił. I jakie przeciągi.

Kudzulo uśmiechnął się od ucha do ucha.

- Jestem po prostu bardziej wymagający niż wy, prości wieśniacy. Bydło, bydło. Przeżuwacie wasze życie, odganiając muchy ogonem. Co za...

Przerwał i wymamrotał pod nosem szereg obelg, gdyż właśnie ugryzła go mucha.

Kungas zobaczył, że przed nimi, na rozwidleniu dróg, zatrzymał się mały oddział zwiadowczy. Trzej marathijscy drwale rozmawiali zniżonymi głosami. Potem jeden z nich ruszył w kierunku kolumny kuszańskich żołnierzy, przedzierających się mozolnie przez las.

Wojownik był pod wrażeniem tego, jak lekko i z jaką łatwością młody mężczyzna porusza się w gąszczu. Szlak, którym podążali, był niczym więcej niż serią krętych, przecinających się leśnych ścieżynek, relatywnie wolnych od zarośli. Ziemia była przesiąknięta wodą, gdyż od wielu dni padało. Kuszanie, obciążeni zbroją i bronią, zapadali się ciężko w błocko.

Drwal podszedł do Kungasa i pokazał ręką na szlak.

- To jest to - powiedział. - Po drugiej stronie tych drzew zaczyna się wzgórze, które prowadzi wprost pod mury fortecy. Możecie pójść prawą albo lewą stroną. Są tam szlaki.

Zatrzymał się i spojrzał na dziwnego żołnierza, stojącego przed nim. Było oczywiste, że drwal boi się Kungasa więcej niż trochę.

Częściowo powodował to wygląd Kungasa. Marathijscy rybacy i drwale, którzy zamieszkiwali wybrzeże, praktycznie byli całkowicie odizolowani od reszty Indii. Kuszanie, ze swoimi dziwnymi fryzurami i płaskimi twarzami o ostrych rysach, wydawali im się całkowicie obcy.

Ale młody mężczyzna bał się Kungasa także z bardziej racjonalnej przyczyny. Drwal miał wiele powodów, by zachować ostrożność. Biedni mieszkańcy Indii, a właściwie biedni ludzie z całego świata, nie darzą sympatią żołnierzy, gdyż pamiętają, jak są przez nich traktowani.

Drwale zgodzili się przeprowadzić Kuszan przez las z dwóch powodów.

Po pierwsze, dla pieniędzy. Zaoferowano im naprawdę dużo. Wedle ich standardów małą fortunę.

Po drugie, ze względu na magiczne imię imperatorowej Szakuntali. Nawet tutaj, w tym odciętym od świata lesie, rozchodziły się wieści.

Andhra ciągle żyła. Dynastia Satavahanów przetrwała.

Dla drwala Andhra była magicznym, na wpół realnym pojęciem. Satavahanowie kojarzyli mu się raczej z legendami. Podobnie jak większość indyjskiej biedoty drwal nie uważał polityki za nieodzowną część codziennej egzystencji. A już z pewnością nie była nią polityka dotycząca spraw pomiędzy imperiami.

Ale jednak...

Nowi panowie z Malawy okazali się prawdziwymi bestiami. Okrutnymi i porywczymi. Wszyscy o tym wiedzieli.

Tak naprawdę młody człowiek nie miał bezpośredniego kontaktu z okupantem. Malawianie operowali raczej na Dekanie i nie zależało im na wybrzeżu; trzymali tylko Supparę. Odizolowane od reszty kraju przez Wielkie Ghaty nabrzeżne lasy tak naprawdę nikogo nie interesowały.

Ale mieszkańcy wybrzeża byli Marathami, a wieści rozchodziły się pomiędzy nimi z szybkością błyskawicy. Opowieści o okrucieństwach Malawian. O ich chciwości i plądrowaniu miast. A także historie o łagodnych władcach z rodu Satavahanów, którzy w miarę upływu czasu stawali się w oczach prostego ludu coraz wspanialsii.

Właściwie, jeżeli już o tym mowa, nawet najstarszy mieszkaniec miasteczka, z którego pochodził drwal, nie pamiętał władców z dynastii Satavahanów, ani tym bardziej ich metod sprawowania władzy. Imperatorzy już dawno porzucili te tereny i pozostawili biedny lud samemu sobie. A to było dokładnie to, czego po nich oczekiwał biedny lud. I za to właśnie rybacy i drwale kochali swoich władców. Dalekich i nie zwracających na nich uwagi. O których słyszało się opowieści, ale nigdy się ich nie oglądało na własne oczy.

Tak więc po długim wahaniu i przeliczaniu zysków młodzi drwale zgodzili się na przeprowadzenie Kungasa i jego ludzi przez las do fortecy. Nie pytali Kungasa, po co udaje się do tak przerażającego miejsca.

Teraz wykonali już swoje zadanie. Drwal czekał w milczeniu. Czy straszny żołnierz zapłaci mu obiecaną fortunę, czy raczej...

Kungas był twardym człowiekiem. Twardym jak skała. Ale nie miał w sobie ani odrobiny okrucieństwa. Nawet nie pomyślał o tym, że mógłby oszukać biednego drwala albo igrać z jego strachem. Po prostu sięgnął do sakiewki i wyjął trzy małe monety.

Na twarzy mężczyzny zagościł szeroki uśmiech. Odwrócił się i gestem przywołał dwóch towarzyszy. Pokazał im pieniądze.

Kuszański dowódca nieomal się uśmiechnął. Dwaj pozostali drwale, czekający w odległości dwudziestu metrów na szlaku, najwyraźniej przygotowali się do ucieczki na pierwszy znak zdrady. Teraz podbiegli do nich bardzo chemie.

- I jeszcze kolejna rzecz - mruknął Kudzulo. - Tęsknię do pełnej wzajemnego zaufania atmosfery w pałacu Nikczemnika.

Kuszanie, którzy stali na tyle blisko, że mogli go usłyszeć, wybuchnęli śmiechem. Nawet Kungas wyszczerzył zęby.

Hałas wystraszył drwali, lecz odprężyli się chwilę później, kiedy zobaczyli, że to nie z nich się śmieją.

Oczywiście, nie do końca. W przeciągu paru sekund pędzili szlakiem w kierunku swojej wioski, odległej o piętnaście kilometrów. I z wielką ostrożnością ominęli pięć setek Kuszan, nadchodzących tym samym szlakiem.

Dowódca osobistej straży Szakuntali ruszył naprzód.

- Przyjrzyjmy się bliżej tej potężnej fortecy, dobrze?

\* \* \*

Dwanaście minut później Kudzulo znów narzekał.

- Nie mogę uwierzyć w to gówno. To mają być strażę? To jest forteca?

Kungas i pozostałych pięciu dowódców pododdziałów, którzy zebrali się wokół niego, przypatrywali się zamczysku uważnie zza osłony drzew. Oni także mruknięciem wyrazili pogardę.



Kryli się na południowy wschód od fortecy. Budowla tkwiła na szczycie małego wzgórza, tuż przed nimi. Wzniesienie nie miało więcej niż siedemdziesiąt metrów wysokości. Po przeciwległej stronie wzgórza wznosiły się wysokie skały, niewidoczne dla Kuszan, o które rozbijała się fala przyboju.

Las, porastający wybrzeże, był nieco rzadszy na wzgórzu. Jednakże niewiele. Niektóre drzewa, dość duże i grube, rosły nawet tuż przy murach fortecy. Ich gałęzie w wielu miejscach zwieszały się ponad umocnieniami.

- Co za idiota hoduje wysokie drzewa tuż pod murami fortecy? - zapytał Kudźulo.

- To mój ulubiony idiota - odparł Kungas cicho. - Naprawdę, naprawdę kompletnie zidiociały idiota.

Mężczyzna popatrzył na swoich podkomendnych. Przynajmniej raz naprawdę się uśmiechał. Był to prawdziwy, szeroki uśmiech. Nie pęknięcie w kamiennej masce, które zazwyczaj za takowy uchodziło.

- I jak myślicie? Damy radę?

W odpowiedzi usłyszał pięć mruknięć. Kudźulo pokazał palcem na wejście do fortecy. Wielkie, ciężkie odrzwia, wychodzące na południe, były szeroko otwarte. Przed nimi, pod schronieniem sporządzonym z paru tyczek i płótna, ośmiu malawiańskich żołnierzy zażywało odpoczynku. Tylko jeden z nich stał. Reszta leżała na ziemi. Dwaj najwyraźniej spali. Pozostała piątka grała w jakąś hazardową grę.

- Pieprzyć to całe skradanie się - warknął młody Kuszanin. - Nie jest potrzebne. Z łatwością podprowadzę moich ludzi na odległość dziesięciu metrów, a oni i tak ich nie zobaczą. Szybki ruch i brama jest nasza.

- A jak myślisz, jak długo uda ci się ją utrzymać? - zapytał Kungas. Kuszański dowódca przyglądał się drzewom, rosnącym tuż przy murach. - Oczywiście możesz się tam podkraść niezauważony. Ale nie sądzę, żebym zdołał podprowadzić do ciebie więcej niż trzy oddziały, zanim mnie zauważą. Reszta będzie musiała czekać tutaj, zanim nie rozpoczniesz ataku.

Spojrzał w górę, oceniając pogodę. Niebo było zachmurzone, ale Kungas nie sadił, żeby miało niebawem padać. A przynajmniej nie przez kilka następnych godzin. Opuścił wzrok i przyjrzał się samemu wzgórzu. Szacował warunki terenowe oraz dystans.

- Sto pięćdziesiąt metrów. Błotniście. I dość stromo. Zajmie nam dwie minuty.

Kudźulo prychnął.

- Dwie minuty? Myślisz, że nie dam rady utrzymać tej wielkiej bramy w walce z tymi nędznymi gównami? I to z pomocą trzech oddziałów? Przez dwie minuty?

Kungas był zdumiony. Tym razem w narzekaniach pobrzmiwała urażona duma.

- A więc do dzieła. Wybierz sobie, kogo chcesz, żeby ci pomagał. A kiedy będziecie się wspinali, ja przygotuję resztę do głównego ataku.

Kudźulo chciał wstać, ale Kungas złapał go za ramię.

- I pamiętaj, Kudźulo. Bierz jeńców. Tak wielu, jak się da... a szczególnie spośród artylerzystów. Będziemy ich później potrzebować.

Tamten pokiwał głową. Chwilę później już go nie było.

Inni dowódcy pododdziałów nie czekali na rozkaz Kungasa, tylko sami zaczęli szykować się do ataku. Nie musiał ich pilnować. Sam wybierał podoficerów na tę wyprawę i miał do nich całkowite zaufanie. Spędził wolny czas na przyglądaniu się fortecy. Próbował odgadnąć, jaki może być wewnętrzny układ budynków.

Mimo nieudolności swoich strażników forteca była naprawdę imponująca. Miała kształt

kwadratu, a jej ściany były grube, ułożone z kamienia i co najmniej na dziesięć metrów wysokie. W czterech rogach stały okrągłe wieże, wystające kolejne trzy metry ponad poziom umocnień. Dwie identyczne wieże strzegły bramy. Na murach, obok zwyczajowych krenelarzy i otworów strzelniczych, zbudowano hurdyce, czyli zabudowane kamienne półki. Wystawały na kilkadziesiąt centymetrów poza zewnętrzne mury. Z półek tych można było łać na oblegających wrzątek albo miotać pociski. Otwarte półki zabudowano drewnianymi osłonami, które zamykały się, gdy oblegający razili fortecę strzałami.

Mury byłyby praktycznie nie do zdobycia, gdyby straż w fortecy nie zachowywała się tak niefrasobliwie. Kungas obserwował umocnienia przez kilka minut i przez ten czas zobaczył tylko czterech żołnierzy.

Sądząc po ich pozycji, musieli oni chodzić po półce albo trasie, która wieńczyła umocnienia. Ale Malawianie nie strzegli fortecy, byli zajęci własnymi sprawami. Żaden z żołnierzy nie rzucił choćby jednego spojrzenia na otaczający las.

Spróbował określić pozycje trzech dział oblężniczych, lecz nie mógł ich dostrzec. Wiedział, że tam są. Parę dni wcześniej rybacy, którzy weszli na pokład flagowego okrętu Szakuntali, dokładnie opisali mu stronę fortecy wychodzącą na morze. W północnym rogu fortecy znajdowała się spora kamienna platforma. Na jej szczycie stały działa. Z takiej pozycji wielkie armaty mogły panować nad całym portem Suppary i ogarniać zasięg nawet do trzech czwartych kilometra.

Jednak działa stały po przeciwległej stronie fortecy i dowódca, ukryty za drzewami, nie mógł ich zobaczyć.

Wzruszył w duchu ramionami. W danej chwili działa nic go nie obchodziły. Marathijscy rybacy nie mieli pojęcia, jak te urządzenia funkcjonują ani gdzie je ustawiono. Kungas zaledwie się tego domyślał. Mimo wielu lat spędzonych na służbie u Malawian nigdy nie zdołał zapoznać się bliżej z bronią palną. Malawianie zawsze byli bardzo ostrożni i trzymali proch z dala od kuszańskich i radzpućkich wasali. Nie chcieli, aby ci wiedzieli cokolwiek o broni Wedów. Ale zarówno na podstawie własnych doświadczeń, jak i informacji dostarczonych przez Etiopczyków wywnioskował, że takie potężne działa są praktycznie nieruchome i nie da się ich przemieścić. I nie było możliwości, żeby nieprzyjaciel w krótkim czasie przetransportował je na tę stronę fortecy, którą Kungas właśnie miał atakować.

A jeżeli już o tym mowa...

Pomyślał, że Kudzulo jest prawdopodobnie na pozycji. Naturalnie nie mógł być tego do końca pewny. Kungas wybrał Kudzulo do tej roboty dlatego, że mężczyzna ów miał nieprawdopodobne zdolności do podkradania się i ukrywania. Nawet Kungas, który przecież wiedział, na co i gdzie patrzeć, dojrzał tylko dwóch żołnierzy Kudzulo, którzy mozolnie i ostrożnie wdrapywali się na wzgórze. Czuł całkowitą pewność, że malawiańskie strażę nic nie dostrzegły.

Powoli obrócił głowę i rozejrzał się dookoła. Był zadowolony, chociaż nie zaskoczony tym, że cała jego armia zajęła pozycje i czekała jedynie na sygnał.

Dowódca, w pełni usatysfakcjonowany, wrócił do obserwacji twierdzy. A potem skinął lekko głową, co stanowiło sygnał do ataku.

Kungas nie mógł widzieć większej części tego nagłego ataku. Częściowo dlatego, że był zbyt daleko. Ale głównie przez Kudzulo.

To była druga przyczyna, dla której Kungas wybrał właśnie tego człowieka. Był on bardzo szybki. On i ludzie, których szkolił. Byli naprawdę szybcy. I bezlitośni.

Zobaczył, jak ludzie podkomendnego wychodzą zza drzew. Byli w odległości dziesięciu metrów od płóciennego daszka i nikt ich jeszcze nie zauważył.

Trzy sekundy później rozpoczęła się rzeź. Osiem sekund później wszystko dobiegło końca. Większość tego czasu zajęło polowanie na pięciu malawiańskich hazardzistów, którzy poderwali się z miejsc i zaczęli biegać, krzyczeć i się miotać, co dla kuszańskich żołnierzy stanowiło nie lada widowisko. Przez chwilę czuli się, jakby musieli upolować ławicę ryb.

Jednakże zwierzchnik Kuszan nie obserwował ich zmagania. Kiedy tylko zobaczył, że ludzie Kudzulo wychodzą zza drzew, dał rozkaz do głównego ataku. Pięć setek Kuszan, nie licząc czterdziestki trzymającej bramę, zaczęło szturmować wzgórze.

Był to szturm godny weteranów. Kuszańscy żołnierze szli przed siebie ostrożnie. Nie było sensu zmęczyć się biegiem i bez tchu wpaść na pole walki. Kudzulo i jego podwładni musieli jakoś wytrzymać.

Zadanie okazało się znacznie prostsze, niż powinno. Zanim w fortecy odtrąbiono alarm, Kudzulo i jego oddział nie tylko zabili ośmiu strażników, którzy stali po zewnętrznej stronie murów, ale też zdołali przebić się do środka. Tunel, zakończony bramą, pilnowany był przez kolejnych dwóch żołnierzy, lecz żaden z nich nie okazał się bardziej przytomny od swoich towarzyszy, którzy wcześniej zginęli na zewnątrz.

Kudzulo osobiście zabił dwóch Malawian w tunelu. Kiedy to zrobił, natychmiast zaczął wypatrywać otworów w stropie. Ale na sklepieniu nie dostrzegł żadnego.

Jeden z jego ludzi podbiegł do niego. Podobnie jak zwierzchnik mężczyzna ten przyglądał się kamiennemu sklepieniu i wypatrywał otworów, przez które obrońcy mogliby rzucać włócznie, kamienie albo łańcuchy na napastników.

- Nie widzę ich - mruknął.

Kudzulo potrząsnął głową.

- Bo ich nie ma. - Splunął na kamienną podłogę, a potem ruszył w kierunku odległego wejścia. Jego oddziałek podążył za dowódcą.

Pięć sekund później żołnierze z trzech oddziałów, służących jako wsparcie, zaczęli wlewać się do wnętrza fortecy.

Przejście, w zasadzie sklepiony kamienny tunel, biegło prosto pod murami. Miało dziesięć metrów długości i co najmniej połowę tej szerokości. Łukowate sklepienie osiągało nie więcej niż trzy metry wysokości w najwyższym punkcie. Wewnętrzna brama wychodziła na główny dziedziniec fortecy i teraz była otwarta na oścież. Kiedy Kudzulo do niej podbiegł, zobaczył, że na straży nie stoi żaden Malawianin.

- Pieprzeni idioci - warknął.

Mógł słyszeć wrzaski dochodzące z wnętrza fortecy. Wreszcie ktoś podniósł alarm. Prawdopodobnie usłyszał hałas, robiony przez walczących, albo jakiś strażnik, stojący na murach, zobaczył żołnierzy wyłaniających się z lasu. Kiedy przeszli przez wewnętrzną bramę, Kuszanin zrobił trzy kroki i zatrzymał się, żeby ocenić sytuację. Środek budowli zaplanowano na kształt pustego kwadratu. Mury na północy, wschodzie i południu stanowiły proste ściany z kamienia. Przy północnym narożniku zbudowano zagrody dla koni i stajnie. W samych ścianach nie istniały żadne pomieszczenia.

Na zachodnim krańcu dziedzińca sytuacja miała się zupełnie inaczej. Tam do ściany przyleżały solidne, murowane budowle. Nad tymi budowlami zamontowano sporą kamienną platformę, wzmocnioną dźwigarami z żelaza. Kudzulo ujrzał wreszcie trzy potężne działa oblężnicze.

W budynkach tych z pewnością znajdowały się kwatery żołnierzy. Wojownik widział rzeki żołnierzy, wylewające się z szeregu drzwi osadzonych w ceglany murze. Żołnierze zahaczali się nawzajem mieczami i włóczniami. Wielu nie miało jeszcze na sobie zbroi. Kiepskiej, skórzanej

zbroi. Kuszaniń prawie się roześmiał, kiedy zobaczył, jak jeden z Malawian potyka się i pada na brzuch.

Kudzulo nie widział nigdzie granatów, a nawet lepiej, bo nie widział też...

- Popatrzcie na to, jeśli łaska! - wrzasnął do swoich ludzi. - W tym miejscu nie ma więcej niż dwie setki żołnierzy!

Kudzulo radośnie kiwał głową. Jego żołnierze natychmiast dostrzegli to, co ich wódz wypatrzył już jakiś czas temu. Była to pierwsza rzecz, na jaką Kudzulo zwrócił uwagę, gdy wpadli do fortecy.

Nie było tu namiotów.

Płaska, pusta przestrzeń, która rozciągała się na większej części terenu fortecznego, powinna być pokryta namiotami. W ceglanych budynkach nie pomieściłoby się zbyt wielu żołnierzy, tak więc miejsca musiał pilnować mały garnizon. Kudzulo pomyślał, że jego ocena jest właściwie przesadzona. Tu nie mogło być nawet dwóch setek. Oficerowie z pewnością zajmowali największe pokoje. Poza tym mężczyzna nie widział nigdzie ognisk, co oznaczało, że kuchnia, znajdująca się w ceglonym budynku, wystarczała dla wszystkich.

- Co najwyżej stu pięćdziesięciu - zawyrokował. Przyjrzał się malawiańskim żołnierzom, nadciągającym od wschodu. Zresztą termin „nadciągający” nie bardzo do nich pasował, gdyż Malawianie nie trzymali żadnej formacji, a biegli bezładną kupą, potykając się o siebie. Przypatrzył się też skórzanej zbroi przeciwników.

- Gówno. - Splunął na ziemię. - To nie są żołnierze. A przynajmniej na takich nie wyglądają. To tylko pieprzeni artylerzyści. Mają działa zamiast mózgów.

Jego oddziałek rozsypał się w tyralierę. Z tyłu słyszał okrzyki trzydziestu mężczyzn z kolejnego oddziału. Byli już tuż, tuż.

Wszyscy jego ludzie szczyrzyli zęby z radości. Jak wilki, które spostrzegą stado karibu.

- Wierzę, że się nie mylisz - powiedział jeden z nich.

Inny zaśmiał się.

- Myślisz, że utrzymamy tę bramę? Przez tę minutę, nim Kungas przybędzie z odsieczą?

Kudzulo znów splunął na ziemię.

- Pieprzyć to - warknął. - Zamierzam pobić tych dupków. Za mną!

Runął na malawiańskich artylerzystów. Do tej pory wszystkie cztery oddziały ustawiły się w linii, rozciągającej się na jedną trzecią szerokości wewnętrznego dziedzińca. Czterdziestu Kuszan, odzianych w dobre zbroje, niosących miecze i włócznie z pewnością siebie nabytą przez lata praktyki, zaczęło biec w kierunku Malawian.

Artylerzyści stanęli. I szeroko otworzyli usta.

Kudzulo ruszył szybciej. Jego ludzie dotrzymywali mu kroku.

Malawianie nadal gapili się na nadciągającego wroga. Ich szeregi zafalowały.

Kudzulo uniósł miecz i dał rozkaz do szarży. Wrzeszcząc jak szaleńcy, czterdziestu Kuszan runęło na setkę Malawian, odległych o trzydzieści metrów.

Artylerzyści obrócili się na pięcie i popędzili z powrotem do murowanego budynku. Połowa zgubiła po drodze broń.

Kiedy Kungas przybył do fortecy, jakąś minutę później, Kudzulo właśnie organizował oblężenie. I narzekał gorzko, że sam pójdzie do pieprzonego lasu i sam wytnie jakieś pieprzone drzewo, gdyż ci pieprzeni Malawianie nie mają nawet wystarczająco dużej kłody, żeby można było użyć jej jako pieprzonego tarana.

\* \* \*

Ścinanie drzewa okazało się niepotrzebne. Oblężenie prawdopodobnie okazałoby się najkrótszą

tego typu operacją militarną w historii świata. Kiedy tylko zabarykadowani w budynku Malawianie ujrzeli Kungasa i pięć setek żołnierzy, wlewające się do fortecy, natychmiast zaczęli negocjować warunki kapitulacji.

Największą przeszkodą w rozmowach stało się pięciu kapłanów Mahwedy, zamkniętych w środku wraz z żołnierzami. Mężczyźni, związani przysięgą, nie mogli zdradzić sekretu wedyjskiej broni, więc zdecydowali się walczyć aż do śmierci. I wszystkie negocjacje uważali za próbę zdrady stanu.

Kuszański dowódca usłyszał krzyki kapłanów i zaproponował Malawianom jeszcze inne wyjście z sytuacji.

- Poderżnijcie kapłanom gardła. Wyrzucicie ich ciała. Potraktuje my was dobrze.

Pierwsze ciało wyleciało przez drzwi po piętnastu sekundach. W przeciągu minuty w pyle podwórza spoczęło pięciu martwych kapłanów Mahwedy.

Kungas przechylił głowę i spojrzał na Kudżulo.

- Co o tym sądzisz? Pomyśl, że ci artylerzyści wydadzą nam wszystkie sekrety.

Mężczyzna splunął na ziemię.

- Jakżeby inaczej. Szczególnie, że ja będę miał z nimi do czynienia.

\* \* \*

- Pomyśl, przecież mamy rodziny - jęczał dowódca garnizonu.

Kłęcząc na środku platformy działonowej, gdzie Kungas właśnie go przesłuchiwał. Sam przywódca napastników stał przy jednym z wielkich dział oblężniczych, półtora metra dalej. Obok niego, na stosie kamiennych pocisków, siedział Kudżulo.

- Powiedzieli nam, że to robota typowa dla żołnierzy z garnizonu - sapał pojmany oficer. - Rodzaj formalności.

Kungas popatrzył na mężczyznę, który kulił się ze strachu przed jego obliczem. Zrozumiał wreszcie, że garnizon nie składał się wcale z elitarnych malawiańskich oddziałów kszatryjasów. Prawda, wielu z żołnierzy należało do tej kasty. Ale tak samo jak wśród psów zdarzają się różne rasy, i spaniele, i pitbule, tak samo byli kszatryjasi i kszatryjasi.

Kungas zdał sobie sprawę, że bezlitosna partyzantka Rao mocno nadszarpnęła siły Venandaktry. Goptri Dekanu nie miał wystarczającej liczby oddziałów, żeby obsadzić wszystkie fortece. Zatem wybrał mniej ważne punkty i zasilił je takimi słabymi żołnierzami.

W sumie dlaczego nie, pomyślał. Suppara leżała na wybrzeżu po przeciwnej stronie Zachodnich Ghatów. Zbyt daleko, żeby Venandaktra musiał się o nią martwić. Zbyt daleko, żeby Rao jej zagrażał, nawet gdyby tego chciał.

Ale na twarzy Kuszanina nikt nie dostrzegłby wesołości. Patrzył na jeńca z kamiennym spokojem.

Dowódca garnizonu zadrżał na widok tego nieruchomego spojrzenia.

- Jesteśmy ojcami i mężami - zakwilił znów. - A do tego zbyt starymi na takie zabawy, Przecież nie skrzywdziłbyś naszych rodzin, prawda? Są tu z nami, w Supparze.

Kudżulo siadł wyprostowany i szerzej otworzył oczy. Lekko i z gracją ześlizgnął się ze stosu kul i podszedł do malawiańskiego dowódcy. A potem nachylił się nad przerażonym mężczyzną i wykrzywił wargi.

- Przywieźliście swoje rodziny, tak? - warknął. - Kobiety też? Żony i córki?

Dowódca garnizonu popatrzył na obleśny uśmiezek podkomendnego Kungasa. Na twarzy Kuszanina żądza walczyła z obleśną chucią. Jego oczy płonęły, usta drżały, a nawet zaczął się ślinić.

Teraz, całkowicie już przerażony, Malawianin spojrzał błagalnie na Kungasa.

- To zależy - warknął kuszański dowódca. Jego twarz nadal przypominała żelazną maskę.

- Od czego? - zaskrzeczał oficer.

Kungas gestem kazał mężczyźnie wstać. Malawianin podskoczył do góry.

Teraz Kungas kazał mu iść za sobą.

Kuszanin podszedł do skraju platformy strzeleckiej. Od zawrotnej trzydziestometrowej przepaści dzielił go zaledwie półmetrowy murek z kamieni. Zachodnia ściana fortecy wraz z platformą usytuowana była na kamiennym urwisku. Na północnym zachodzie znajdował się port Suppary, doskonale widoczny i całkowicie w zasięgu strzału.

Malawiański oficer niechętnie stanął obok Kungasa przy murku. Kuszanin pokazał palcem na port, rozciągający się u ich stóp. Ale dowódca garnizonu patrzył się w osłupieniu na południowy zachód.

Kungas także popatrzył w tamtym kierunku. Na horyzoncie, ledwie widoczne, majaczyły statki pod pełnymi żaglami. Była to wielka flota.

- Ach - mruknął. - W samą porę.

Uśmiechnął się do malawiańskiego oficera tym swoim uśmiechem przypominającym pęknięcie w skale.

- Wiesz, to bardzo przyjemne, kiedy wszystko idzie po twojej myśli. Nie sądzisz?

Dowódca garnizonu oderwał wzrok od floty i spojrzał na Kungasa. Ten zaś znów wskazał trzy galery stojące w porcie.

- To zależy - warknął.

Malawianin wytrzeszczył oczy.

- Chyba nie mówisz poważnie! - wrzasnął.

Kungas zerknął na Kudżulo. Malawianin podążył wzrokiem za jego spojrzeniem. Kuszanin, stojący w odległości pięciu metrów, uśmiechał się okrutnie i trzymał się za krocze.

Malawianin odsunął się z pobladałą twarzą.

- To zależy - warknął ponownie Kungas. - Zależy od tego, czy ty i twoi ludzie zniszczycie dla nas te trzy okręty. A także zależy od tego, czy pokażecie nam, jak się używa dział.

Cisza panowała przez co najmniej minutę. Dowódca garnizonu wpatrywał się w galery, które spokojnie kołysały się na falach. Kilukrotnie zerknął też na Kudżulo.

I słuchał dobiegającego warkotu.

- To zależy.

\* \* \*

Pierwsze dział wystrzeliło, kiedy okręt flagowy Szakuntali, płynący na czele floty, znajdował się w odległości czterech kilometrów od Suppary. Imperatorowa i jej peshwa stali na dziobie. Najpierw zobaczyli chmurę dymu, a potem usłyszeli huk.

Wystrzeliło kolejne dział. A potem trzecie.

- Czy oni strzelają do nas? - zdumiał się Holkar. - Obawiam się, że moje oczy nie są już tak dobre jak kiedyś - dodał ze smutkiem.

Za to imperatorowa Andhry miała doskonały wzrok, a do tego była młoda.

- Nie, Dadadzi. Strzelają do czegoś w porcie. Przypuszczam, że do malawiańskich galer wojennych.

Holkar westchnął.

- A więc Kungasowi się udało. Zdobył fortecę.

Młode, dobre oczy nagle wypełniły się łzami.

- Mój Mahadandanayaka - szepnęła. - Bhatasvapati.

Złapała Holkara za rękę i przytuliła twarz do jego ramienia. W tej chwili przypominała

dziewczynkę, która szuka pocieszenia u ojca.

- A ty jesteś moim peshwą.

Kiedy wielka flota płynęła w kierunku portu Suppary, Dadadzi Holkar trzymał swoją małą imperatorowa w ramionach. Prawda, to były słabe ramiona i należały do wątłego nauczyciela w średnim wieku. Ale w tej chwili dawały dziewczynie ukojenie, a tego naprawdę potrzebowała.

A jeżeli imperatorowa znajdowała w ramionach doradcy prawdziwe schronienie, on czerpał z tego jeszcze większą radość. Stracił całą rodzinę, prawdopodobnie na zawsze, lecz znalazł nowych bliskich, którzy pomagali mu w wiecznych poszukiwaniach. Obok niego stało dziecko. A w fortecy na wzgórzu czekał brat.

Starszy i twardszy brat. Taki, o jakim marzy każdy słaby, zaczytany w książkach chłopiec.

- I mój też - mruknął, patrząc na chmury dymu, unoszące się nad odległym portem. - Mój Mahadandanayaka. Mój Bhatasvapati.

# EUFRAT

*Jesień, 531 n.e.*

## Rozdział 30

- Opowiedz mi jeszcze raz - poprosił Belizariusz.

Maurycy, który stał tuż obok generała na wielkiej kupie kamieni, wydobytej przez Kuszan z dna Nehar Malka, postanowił, że źle zrozumie tę prośbę.

- Mają teraz piętnaście tysięcy kawalerii - sapnął, Pokazał krótkim grubym paluchem na chmurę kurzu, która uniosła się z pustyni w odległości jakichś piętnastu kilometrów na południowy wschód. - Zakładam, że pięć tysięcy to arabscy Lahmidzi. W większości jadą na wielbłądach i...

Belizariusz uśmiechnął się krzywo.

- Może zacznij jeszcze raz, Maurycy.

Chiliarcha wydał policzki. Westchnął.

- To nie jest moja działka, generale. Nie mam żadnego interesu w rozsiewaniu plotek tu i tam..

- Nie proszę cię o plotki - warknął generał. - I oszczędź mi opowieści o swojej wrodzonej skromności. Po prostu powiedz mi, co myślisz.

Maurycy znów wydał policzki. A potem głośno wypuścił powietrze.

- Generale, wydaje mi się, że imperator Persji składa Cesarstwu Rzymskiemu ofertę dynastycznego mariażu. Między Focjuszem a najstarszą córką najszlachetniejszego sahrdarana.

Maurycy zerknął na Baresmanasa. Ojciec córki, o której była mowa, przysiadł na wielkim głazie w odległości dwudziestu metrów od szczytu wzgórza, powstałego na skutek działania wielu ludzkich raje. Był poza zasięgiem i nie słyszał ich rozmowy.

- Chozroes wyraził się jasno - kontynuował. - Z chęcią oddałby za żonę swoją córkę, ale niestety żadnej nie ma. Dlatego uznał, że dziecko Baresmanasa to najlepszy wybór... lepszy, niż branie pod uwagę córek jego przyrodnych braci i krewniaków.

Belizariusz potrząsnął głową.

- To ostatnia rzecz, jaką by zrobił. Chozroes próbuje jakoś okiełznać to stado ambitnych szakali. I jeżeli dobrze go rozumiem, stara się scementować najwierniejsze szlacheckie rody wokół swego tronu.

Generał podrapał się po brodzie i znów spojrzął na chmurę kurzu na pustyni. Jednakże tak naprawdę na nianie patrzył. Z doświadczenia wiedział, że Malawianie będą gotowi do ataku najwcześniej jutro. A w międzyczasie...

- Chozroes jest sprytny - powiedział. - Kiedy prowadziliśmy w Babilonie długie rozmowy, wypytywał mnie bardzo dokładnie o rzymskie metody zarządzania państwem. Sądzę, że on planuje, a raczej próbuje, to lepsze słowo, wyrwać Persję z zacofanego...

Przerwał. Stary wojak nie rozumiałby słowa feudalizm. Belizariusz także go nie pojmował, dopóki Aide mu nie wytłumaczyło, co ono znaczy.

- ...tradycjonalizmu - dokończył, machając ręką dla podkreślenia swoich słów.

- Myślisz, że mu się uda? - spytał Maurycy. - Persowie są mocno przywiązani do przeszłości.

Belizariusz zastanowił się nad pytaniem. Aide kiedyś pokazało mu wizję Persji, stworzonej przez Chozroesa Anuszirwana w przyszłości, która zaistniałaby, gdyby nowi bogowie nie przerwali toku ludzkiej historii. Największy imperator z dynastii Sasanidów, w pewnym zakresie wzorując się na Rzymianach, skonstruował kraj rządzony przez silną, scentralizowaną władzę, panującą nad szeregami niezdyscyplinowanej aryjskiej szlachty. Resztę osiągnął dzięki swojej własnej inteligencji.



Chozroesowi powiodło się w wielu aspektach. Złamał militarną siłę wielkiej arystokracji. Zdobył pełne zaufanie deganów i stworzył z nich zaplecze dla wielkiej, profesjonalnej armii, pozostającej na żołdzie imperatora i przez niego ekwipowanej. Oddał żołnierzy pod dowództwo generałów, czyli spahbadów, jak ich nazwał. Już nigdy więcej ambitni sahrdaranie ani vurcurganowie nie mieli stanowić zagrożenia dla tronu.

Również inne jego plany się powiodły. Jego największa reforma, czyli całkowita zmiana systemu podatkowego, zyskała mu przydomek: Chozroes Sprawiedliwy. Imperator tak zaprojektował finanse królewskie, że nie tylko mniej obciążały one zwykłych ludzi, ale też przynosiły większe zyski imperialnej szkatule.

Jednakże...

Aide już wielokrotnie pokazywało Belizariuszowi, że ludzka historia nie biegnie przed siebie niczym prosta linia, ale meandruje jak rzeka. Dynastia Chozroesa, dynastia Sasanidów, zniknęła w potoku historii, jak wszystkie inne rody. Ale system podatkowy pozostał. Arabscy zdobywcy Persji będą tak zafascynowani tym systemem, że użyją go jako modelu zarządzania finansami publicznymi w późniejszych potężnych kalifatach.

Umysł Belizariusza wędrował bardzo daleko od chwili obecnej. Wiedział, że w przyszłości powstaną muzułmańskie Kalifaty. Aide mu pokazało. Tak samo, jak pokazało mu upadek Cesarstwa Rzymskiego, który nastąpi za tysiąc lat. Oblężenie Konstantynopola przez tak zwaną Czwartą Krucjatę. Ostateczne zdobycie Bizancjum, ćwierć tysiąclecia później, przez nowy lud zwany Turkami.

Trak zastanawiał się, tak jak to robił dość często, co ma myśleć o wizjach ukazujących mu przez klejnot. Był generałem w służbie Cesarstwa Rzymskiego. A do tego najlepszym generałem, jakiego kiedykolwiek wydał Rzym. Wiedział, że to prawda. I zdawał sobie także sprawę z tego, że jako jedyny generał walczący za Cesarstwo wie, iż jego państwo skazane jest na zagładę.

Miał nadzieję, że ocali Rzym i cały świat przed tyranią Malawy, ale wiedział, że nie uratuje samego Cesarstwa. Kiedyś, jakoś... wielki Rzym upadnie. Jeżeli nie pokona go muzułmański sułtan i jego janczarzy, zrobi to ktoś inny. Wszystkie narody Ziemi upadają albo po prostu znikają, pogrążone w rozkładzie. Pewnego dnia, w pewnym miejscu, w pewien sposób.

Belizariusz w głębi duszy wzruszył ramionami. Stworzenie doskonałej ludzkiej przyszłości nie należało do jego zadań. Musiał zadbać o to, żeby ludzie mieli przyszłość, w której będą mogli stawać się coraz doskonalsi. I może nie będą idealni... ale będą. I nikt nie wtłoczy ich w ramy, które ktoś stworzył za nich.

Maurycy ciągle czekał cierpliwie na odpowiedź. Generał uśmiechnął się i sięgnął po najprostsze słowa.

- Tak, myślę, że mu się uda. Na pewno mu się uda.

Maurycy mruknął coś po nosie. W jego mruknięciu zawierała się ogromna dawka zadowolenia, co jak na rzymskiego żołnierza było dość dziwne. Ale chiliarcha spotkał Chozroesa Anuszirwana i, podobnie jak wielu innych ludzi, nawet ten szorstki weteran dał się porwać czarowi silnej osobowości imperatora.

- A ty co myślisz? - zapytał. - To znaczy: o tej propozycji małżeństwa dynastycznego?

Belizariusz znów się uśmiechnął.

- Myślą, że to doskonały pomysł. Teodora oczywiście będzie się sprzeciwiać, ale Justynian z radością na to przystanie.

Maurycy zmarszczył brwi.

- Dlaczego?

- Ponieważ Justynian zawsze miał... powiedzmy, bzik na punkcie dynastii. Jego dynastii, oczywiście, chociaż Focjusz nie jest tak naprawdę jego synem. I wie, że nie ma nic lepszego dla scementowania zbrojnego przymierza niż dynastyczny mariaż z perską księżniczką.

Maurycy w zamyśleniu szarpnął się za brodę.

- Prawda - zgodził się. - Zrobiłby wszystko, żeby uniknąć kolejnej krwawej jatki z tymi pieprzonymi deganami. To źle wróży dla twojej emerytury.

Nagle jakaś myśl wpadła mu do głowy. Szerzej otworzył oczy.

- Teraz, kiedy się nad tym zastanowiłem... Kiedy to po raz ostatni rzymski cesarz poślubił perską arystokratkę?

Generał zachichotał.

- To się jeszcze nie zdarzyło, Maurycy. Persowie uważają, że my, Rzymianie, jesteśmy nędznymi mieszkańcami i popsulibyśmy ich krew.

- Tak właśnie myślałem - zdumiał się Maurycy. - Boże, cała armia aż się zaczerwieni z dumy. Oni już uważają Focjusza za jednego z nich. Jeżeli poślubi córkę perskiego sahrdarana...

Chiharcha przerwał i popatrzył na Baresmanasa, siedzącego poniżej.

- A czy on o tym wie, jak myślisz? Przecież mówimy o jego córce. Może ten pomysł mu się nie podoba.

Belizariusz zaśmiał się i poklepał chiliarchę po ramieniu.

- O ile się nie mylę, Maurycy, cała ta sprawa to pomysł Baresmanasa.

Tak jakby go w tej chwili zawołano, Baresmanas odwrócił głowę i popatrzył na dwóch rzymskich oficerów, stojących na szczycie góry kamieni. Przez chwilę on i Belizariusz spoglądali na siebie. A potem perski szlachcic zeskoczył z głazu i zaczął wspinać się w ich kierunku. Mimo niesprawnego ramienia nadal poruszał się dość sprężysto, jak na mężczyznę w średnim wieku.

- A więc? - spytał, gdy tylko stanął obok nich. - Co myślicie?

Rzymski generał zamarł na chwilę. Jak Baresmanas mógł usłyszeć ich... ?

Chwilę później zdał sobie sprawę, że sahrdaran mówi o ich militarnej sytuacji. Belizariusz skrzywił się.

- Z pewnością nie zaskoczymy ich kolejnym atakiem z flanki.

Baresmanas pokiwał głową. Ani on, ani Belizariusz nie myśleli nawet, że ta opcja wchodzi w grę. Pokonani pod Anathą, Malawianie już więcej nie popełnią błędu nadmiernej pewności siebie. Armia, która zbliżała się od południowego wschodu, była znacznie większa niż siła, której musieli stawić czoła w rezerwacie myśliwskim. Jednak malawiański dowódca i tak wysyłał naprzód liczne oddziały zwiadowcze. I używał do tej pracy swoich najlepszych ludzi. Na lewej flance, od strony pustyni, jechali Lahmidzi, dosiadając wielbłądów. Od prawej, przez jałowe tereny po drugiej stronie prawie wyschniętego Eufratu, podążała kuszańska kawaleria. Było ich cztery tysiące, zgodnie z doniesieniami zwiadowców Kurusza. Szli w doskonałym porządku i utrzymywali spore oddziały zwiadowcze, pilnujące ich własnej flanki.

Nie mieli najmniejszej szansy na zaskoczenie wroga. Nie tym razem.

- A więc będziemy musieli wykorzystać główny plan - powiedział sahrdaran. Westchnął ciężko. - Będą duże straty.

Belizariusz zacisnął usta.

- Tak, będą. Ale nie widzę innego wyjścia.

Baresmanas odwrócił głowę i popatrzył na zachód. Mógł zobaczyć rozległy obóz za rzeką, gdzie rozbiło namioty dwadzieścia tysięcy kopijników i łuczników Ormazda, którzy przybyli tu tydzień temu. Nawet z tej odległości widział pawilon Ormazda, górujący nad mniej okazałymi namiotami

jego podkomendnych.

- Jeżeli on nie...

- Z pewnością tak - rzekł generał z wielką pewnością siebie. Znow uśmiechnął się krzywo. - Mam nadzieję, że zauważyłeś, iż Ormazd rozbił obozowisko właśnie tutaj, a nie niżej w dole rzeki.

Baresmanas skinął głową i się skrzywił.

- Co za świnia - warknął. - Z tego miejsca, które jest powyżej tamy, nie będzie miał szans na przebycie Eufratu, żeby ci pomóc, gdybyś tego potrzebował. Powinien zająć pozycję kilka kilometrów niżej, gdzie nie ma prawie wody w korycie.

Belizariusz potrząsnął głową.

- No coś ty, Baresmanasie. Przecież wtedy jego oddziały musiały by wziąć udział w walce. Podczas gdy teraz...

Są całkowicie poza nawiasem akcji - dokończył sahrdaran. - Malawianie natychmiast to wywnioskują i skoncentrują na nas większość swoich sił. Będą tylko musieli pilnować lewej flanki, na wypadek gdyby niespodziewanie Ormazd ruszył do ataku.

Belizariusz zachichotał, dając tym samym do zrozumienia, jakie jest jego zdanie o niespodziewanej szarży sił Ormazda na malawiańskie wojsko. Było jasne, że przyrodni brat perskiego imperatora zamierzał siedzieć z założonymi rękami, podczas gdy Rzymianie po drugiej stronie Eufratu będą ginęli pod ciosami malawiańskich żołnierzy niczym bydło idące na rzeź.

- A jak wyjaśnił swoje zachowanie? - zapytał arystokrata ze złością.

Rozmówca wzruszył ramionami.

- Tak naprawdę wcale się nie tłumaczył. Nie naciskałem go zresztą, Baresmanasie. Chciałem, żeby się rozbił właśnie tam.

Baresmanas zmarszczył brwi. Sahrdaran zazwyczaj rozumiał strategię Belizariusza. Jednakże emocjonalnie ten aryjski szlachcic nie mógł dojść do ładu z tym, że generał wykorzystuje zdradę innego Arii, a w dodatku z dynastii Sasanidów.

Baresmanas popatrzył na Belizariusza.

- Czasami zapominam, jak zimna krew płynie w twoich żyłach - mruknął. - Nie znam żadnego innego człowieka, który robiłby bitewne plany w oparciu o świadomość, że jego główny sojusznik zamierza go zdradzić. Z pewnością wielu bierze taką możliwość pod uwagę... Każdy zdrowy na umyśle dowódca z tym się liczy, zwłaszcza gdy ma za sprzymierzeńca odwiecznego wroga. Ale żeby wpleść to w swój plan... Nie, nawet więcej! Żeby to zaaranżować, żeby tak wymanewrować sytuację...!

Baresmanas zamilkł i tylko nadal potrząsał głową. Belizariusz nie odezwał się. Zresztą i tak nie miał nic do powiedzenia. Mimo wielu podobieństw, które ich łączyły, on i Baresmanas pod wieloma względami tak się od siebie różnili, jak to tylko możliwe.

Mimo wykształcenia i inteligencji w głębi duszy Irańczyk był ciągle tym samym człowiekiem, który spędził dzieciństwo na podziwianiu perskich kopijników i łuczników. Spędzał godziny na obserwowaniu treningów deganów, które odbywały się na rozległym terenie posiadłości jego ojca, podziwiał niesamowite zdolności konnych łuczników.

Podczas gdy w głębi duszy rzymski generał, mimo wykształcenia i inteligencji, był ciągle tym samym człowiekiem, który spędził dzieciństwo na podziwianiu trackich kowali. Spędzał całe godziny na obserwowaniu pracy w kuźniach na terenie rozległej posiadłości ojca. Patrzył, jak demonstrują swój prosty, ale i tak najpotężniejszy ze wszystkich fach. Ludzie umierali od stali deganów. Ludzie żyli, bo korzystali z żelaza wykutego przez kowala.

Jednakże nawet jako chłopiec Belizariusz odznaczał się subtelnym umysłem. Tak więc, kiedy inni

chłopcy podziwiali siłę kowala i otwierali z zachwytu usta, widząc potężne uderzenia młota o kowadło, Belizariusz poznał prawdę. Kowal był silny tylko dlatego, że tego wymagała od niego praca. Chłopiec Belizariusz widział doskonale, że kowal robi co w jego mocy, żeby oszczędnie gospodarować swoją siłą. I patrzył, jak młot regularnie opada na błyszczący metal, a uderzenia są doskonale wymierzone i celowe. Młotem poruszała precyzyjna ręka.

Nie powiedział do Baresmanasa ani słowa. Nie zostało już nic do powiedzenia.

\* \* \*

Kilka minut później Maurycy zszedł ze sztucznego wzgórza, gdyż jego trybuni mieli jakiś problem i go wezwali. Belizariusz i Baresmanas zostali sami i w milczeniu patrzyli na zbliżające się malawiańskie siły.

Odzywali się tylko okazjonalnie, kiedy wymieniali między sobą uwagi dotyczące rozmieszczenia wojsk wroga. W tej kwestii byli jednomyślni, co nie powinno dziwić. Nawet jeżeli Pers nie dorównywał Rzymianinowi pod względem militarne go geniuszu, był jednak nie najgorszym generałem.

Jednakże pod pozorem spokoju dwaj zaprzyjaźnieni mężczyźni, i dwie skrajnie różniące się od siebie dusze, przygotowywali się do walki.

Jeden z nich, aryjski sahrdaran, najszlachetniejszy mężczyzna z najszlachetniejszego rodu z najszlachetniejszej rasy na Ziemi, szukał siły i odwagi w swoim pochodzeniu. Szukał i znalazł ją, więc czekał na nadchodzącą bitwę ze spokojem, płynącym z przekonania o swojej wartości i honorze.

Drugi, Trak urodzony w szeregach najniższej rzymskiej arystokracji, parweniusz, nigdy nie myślał o szlachectwie. Chociaż wiedział, co to odwaga i honor. Po prostu czekał na nadchodzącego wroga, cierpliwie, niczym kowal, który czeka, aż żelazo rozgrzeje się w palenisku.

Rzemieślnik przy pracy. Nic więcej. I nic mniej.

# ALEKSANDRIA

*Jesień, 531 n.e.*

## Rozdział 31

- To jakieś szaleństwo! - zawołał jeden z gimnazjarchów.

Pulchny urzędnik stał przed tłumkiem, zgromadzonym w sali audiencyjnej. Wszyscy byli płci męskiej, wszyscy ubrani w kosztowną odzież i większość tak samo tłusta, jak i sam mówca. Była to rada miasta Aleksandria.

- Szaleństwo - zawtórował mu inny członek rady.

- Obłąd! - zawołał trzeci.

Antonina nie miała pewności, jakie tytuły noszą poszczególne osoby. Prawdopodobnie także są gimnazjarchami, a może exegetai.

Zresztą nie dbała o to. Tytuły nie miały znaczenia - była to tylko jeszcze jedna tradycja z wczesnych lat Cesarstwa, kiedy rada miejska rzeczywiście miała jakąś władzę. Teraz siła spoczywała w rękach prefekta pretorów, dowódcy Armii Egiptu oraz, oczywiście, patriarchy.

Po zejściu na ląd Antonina natychmiast zajęła pałac leżący najbliżej Wielkiego Portu. Nie była nawet pewna, czyj to pałac. Jego właściciel umknął razem z większością służby, kiedy zobaczył, że nadchodzi wraz z żołnierzami.

Każdy z wielu władców, którzy rządili Aleksandrią od ośmiuset sześćdziesięciu dwóch lat, od czasu kiedy założono miasto, budował w nim swój własny pałac. Aleksandria była wprost upstrzona wspaniałymi budowlami. Przez setki lat większość pałaców przeszła w ręce greckiej szlachty zamieszkującej miasto.

Kiedy tylko rozgościła się w swojej nowej kwaterze, przed pałacem pojawiła się rada miejska, której członkowie domagali się prawa do przedstawienia różnorodnych petycji i skarg. Zaprosiła ich do środka. Tłumek liczył sobie dobrze ponad stu mężczyzn, a wszyscy przekonani byli o swojej niezbędności. Małżonka Belizariusza chciała dać im do zrozumienia, jakie jest jej nastawienie do egipskich władz, i tylko dlatego ich przyjęła.

W przeciągu dziesięciu minut po tym, jak wpadli do sali audiencyjnej, wylali przed nią swe żale. A brzmiały one tak:

Po pierwsze, Cesarstwem rządzi szalona kobieta.

Po drugie, szalona cesarzowa wysłała inną szaloną kobietę, żeby ta szerzyła szaleństwo w całej Aleksandrii.

Po trzecie, oni, z drugiej strony, są całkiem normalni.

Po czwarte, nie będą tolerować szaleństwa.

Po piąte, oczywiście oni sami nawet nie pomyśleli o tym, żeby podnieść rękę na prawomocną władczynię i jej reprezentantkę. Taka myśl nie zawitała ani na moment w ich głowach. I to nawet wtedy, gdy najwyraźniej mieli do czynienia z totalnymi wariatkami. Ale...

Po szóste, oszalały tłum Aleksandrii, zawsze podatny na najłżejsze nawet prowokacje, teraz naprawdę się zagotował. I w każdej chwili szaleństwo może wypaść na ulice. Co z kolei...

Po siódme, ...będzie udziałem szalonych kobiet.

Po ósme, które, co chyba jest oczywiste, są całkowicie szalone. Obłąd wcielony. Nierówno pod sufitem. Brak piątej klepki. Wariatki...

Antonina miała dosyć.

- Aresztować ich - powiedziała. Z godnością. Po kobiecemu. - Wszystkich.

Lekko poruszyła ręką.

- Na razie wsadźcie ich do luku jednego ze statków zbożowych. Później zastanowimy się, co z nimi zrobić.

Kiedy Aszot i jego katafrakci wykonywali jej rozkaz, Antonina ignorowała jęki i wrzaski rozwścieczonych radnych miejskich. Bez trudu zostali związani i poprowadzeni jak bydło na rzeź. Wysłanniczka Teodory miała teraz inne problemy.

Niektóre z nich były proste i łatwe do rozwiązania.

Reprezentanci dużej mniejszości żydowskiej w Aleksandrii domagali się równego traktowania. Antonina zapewniła ich, że nie doznają żadnych krzywd zarówno w cywilnych, jak i religijnych sprawach, tak długo, jak będą akceptować jej zwierzchność. Pięć minut później reprezentanci żydowscy zostali wypchnięci za drzwi. Usłyszała tylko ich mamrotanie:

- A niech ci cholerni chrześcijanie pozabijają się między sobą. Dla nas to żadna korzyść.

Sprawa załatwiona.

Następny problem dotyczył rzemieślników. Przedstawiciele gildii domagali się od Antoniny odpowiedzi na pytanie, czy cesarzowa uzna ich starożytnie przywileje.

Na początku wyglądało to na dość skomplikowane, ale dało się łatwo rozwiązać.

Zapewniła ich, że ani ona, ani cesarzowa regentka, ani cesarz Focjusz nie zamierzają przeszkadzać gildiom w interesach, a wręcz przeciwnie, mają zamiar dać im więcej zleceń, co dotyczy szczególnie związku szkutników i metalurgów. A także powroźników i żaglowników. Nowe statki będą potrzebowały olinowania. I bez wątpienia cesarskie pieniądze popłyną także do kieszeni szklarzy. Cesarzowa regentka, o czym wszyscy doskonale wiedzą, lubuje się w doskonałym szkłe.

Także papiernicy nie muszą bać się bezrobocia. Napływ cesarskich urzędników naturalnie zwiększy zużycie papiirusu. Tak samo jubilerzy - niech pomyślą tylko, z jakimi łupami wrócą do kraju nasze wojska. A na co wydają pieniądze prości żołnierze? Na przedmioty, które nie zajmują dużo miejsca i łatwo je upłynnić, kiedy zachodzi potrzeba, a tak się szczęśliwie składa, że chodzi tu głównie o biżuterię, a już szczególnie przedmioty wykonane, w Aleksandrii, znanej w całym Cesarstwie z doskonałych złotników i jubilerów, tak się szczęśliwie składa.

A handlarze ziarnem? Szczęśliwie się składa, że żołnierze to straszne żarłoki. Muszą dużo jeść. Tak więc...

Dwie godziny później reprezentanci miejskiego handlu i rzemieślniczych gildii wyszli z pałacu, zauroczeni wizjami przyszłych niesamowitych zysków.

\* \* \*

Niestety inne problemy nie były takie proste, ale w ich przypadku Antonina nie musiała przynajmniej siedzieć przez wiele godzin na niewygodnym krześle i wysłuchiwać biadolenia. Te problemy można było rozwiązać tylko na ulicy.

Hermogenes wpadł do sali audiencyjnej tuż po tym, jak wyszli ostatni przedstawiciele gildii. Podeszedł prosto do krzesła dowódczym i pochylił się nad nią.

- Zaczęło się - szepnął. - Paweł właśnie skończył kazanie w Kościele Świętego Michała, w którym nawoływał wszystkich wiernych do odrzucenia Nierządniczy Babilońskiej.

- A której? - spytała Antonina drwiąco. - Mnie? Czy może Teodory?

Hermogenes wzruszył ramionami.

- Z tego, co mówią moi szpiedzy, wnioskuję, że patriarcha nie sprecyzował. Chyba powinienem powiedzieć: były patriarcha.

Kobieta potrasnęła głową.

- On ciągle jest patriarchą, Hermogenesie. W rzeczywistości, jeżeli nie z imienia. Teodozjusz

może mieć tytuł, ale to nic nie znaczy, dopóki nie zainstalujemy go w Kościele Świętego Michała, i to na stałe.

Rzuciła spojrzenie na mężczyznę, o którym właśnie mówili. Teodozjusz stał siedem metrów od nich i rozmawiał z dwoma diakonami, służącymi mu pomocą w eklezjastycznych problemach. Obok niego stał Zenon, dowódca Szpitalników, wraz z dwoma podkomendnymi.

Antonina z radością zauważyła, że Teodozjusz nie jest ani podniecony, ani zdenerwowany.

Nic nie wiem o jego wierze, pomyślała, ale facet naprawdę ma stalowe nerwy. I będzie ich potrzebował.

Popatrzyła z powrotem na rozmówcę.

- A co z Ambrozjuszem?

Hermogenes skrzywił się.

- Ten bękart skrył się w obozie wojskowym w Nikopolis. Razem ze wszystkimi swoimi oddziałami.

Aszot i Eufroniusz, którzy właśnie weszli do pomieszczenia, usłyszeli jego ostatnie słowa.

- W tej chwili tylko to może zrobić - oznajmił Aszot. - Jest generałem i podlega twardym prawom Cesarstwa, które jednoznacznie kwalifikują bunt. Podczas gdy... - armeński katafrakt sarknął - patriarcha może sobie głosić swoje kazania, bo potem stwierdzi po prostu, że odprawiał mszę dla wiernych. To nie jego wina, że się pomylił, kiedy demaskował Nierządnicę Babilońską. Po prostu ostrzegał ludzi przed grzechem. Przecież wcale nie chciał, żeby wielki tłum zlinczował reprezentantkę regentki. Jest zaszokowany i przerażony, bo dowiedział się właśnie, że tę biedną kobietę rozerwano na strzępy.

W tej właśnie chwili do grupki zebranej wokół Antoniny dołączyli Teodozjusz i Zenon.

- To zdarzało się już wcześniej - skomentował Szpitalnik. - Prefekt Petroniusz został ukamienowany przez tłum podczas panowania Augusta. A jeden z Ptolomeuszy został wywleczony na ulicę i tam zamordowany. To był chyba Aleksander II.

Antonina wydeła wargi.

- Jak myślisz, jak długo Ambrozjusz zdoła balansować na tak cienkiej linie, Aszocie?

Dowódca trackich oddziałów wzruszył ramionami.

- To zależy w większej części od jego ludzi. Ambrozjusz ma tylko trzy opcje. - Uniósł kciuk. - Pierwsza to zaakceptować fakt, że już nie jest prefektem.

- Na to nie ma szans - przerwał mu Hermogenes. - Znam tego człowieka. Sitas był bardzo grzeczny, kiedy nazywał go śmierzącym bękartem. Jest bardzo ambitny.

Aszot pokiwał głową.

- A więc wykluczam tę opcję. To daje mu dwa wyjścia. - Znów uniósł kciuk. - Otwarty bunt. Ale...

Tamten znów potrząsnął głową.

- ...to by było szaleństwo - dokończył Aszot. - Każdy z jego żołnierzy dokładnie wie, jaka jest kara za bunt w rzymskiej armii. Bunt niewart jest ryzyka, chyba że... - Obok kciuka pojawił się palec wskazujący. - Opcja druga. Ambrozjusz ogłosi samego siebie cesarzem. Jego żołnierze przysięgną mu wierność, rozpocznie się wojna domowa i wojacy będą mieli nadzieję na pewne zyski, oczywiście o ile ją wygrają.

Hermogenes z wigorem pokiwał głową.

- Ma rację. Patriarcha może pogrywać sobie z opinią publiczną, a generał nie. Dla niego wchodzi w grę opcja „wszystko albo nic”.

Antonina wodziła wzrokiem od jednego oficera do drugiego.

- Ciągłe nie powiedzieliście mi, ile mam czasu, zanim on się zdecyduje.

- Co najmniej jeden dzień - odparł natychmiast armeński żołnierz. - Musi zdobyć poparcie swoich żołnierzy. A przynajmniej większości. To zajmie mu trochę czasu.

- Będzie przemawiał - rozwinął Hermogenes. - Perorował w obecności zebranych oddziałów. A do tego negocjacje z najwyższymi oficerami. Obietnice dla każdego.

- Na pewno obieca annonę, kiedy tylko zasiądzie na tronie - dodał Aszot.

Pozostali oficerowie pokiwali głowami ponuro. Annona była to dodatkowa zapłata, którą cesarze ofiarowali swoim oddziałom, kiedy zasiadali na tronie. Podczas chaotycznych wojen domowych, jakie miały miejsce trzy setki lat temu, gdy na tronie Rzymu często zasiadało dwóch, a nawet trzech władców, potencjalni cesarze obiecywali swoim oddziałom absurdalne profity. Zresztą mimo to rzadko zdarzało im się przeżyć dłużej niż rok czy dwa.

- Może podwyżka żołdu - zastanawiał się Hermogenes. - Kiedy już będzie cesarzem. Lepsze pensje dla emerytów. Wszystko, co tylko przyjdzie mu do głowy.

- Będzie gadał bez przerwy przez wiele godzin - dokończył Aszot. - Cały dzień i przez pół nocy.

Antonina wstała.

- Dobrze. Plus jest taki, że będę miała cały dzień, żeby poradzić sobie z tłumem patriarchy bez przeszkód ze stron Armii Egiptu.

Aszot i Hermogenes pokiwali głowami.

- A więc bierzmy się do roboty. Jak duży jest ten tłum?

Ormianin rozłożył ręce.

- Właściwie trudno powiedzieć dokładnie. W Kościele Świętego Michała zebrały się tysiące. Większość z nich to przypadkowi przechodnie, ale są między nimi fanatyczni ortodoksi. No i...

Zwrócił się do Teodozjusza:

- Jak wielu ortodoksyjnych chalcedońskich mnichów jest w mieście?

Patriarcha skrzywił się.

- Co najmniej dwa tysiące.

- Pięć tysięcy - dodał Zenon. - Jeżeli wliczysz tych, którzy żyją w monastyrach, odległych od Aleksandrii maksymalnie o dzień drogi.

- Każdy z tych mnichów będzie w tłumie. I będzie go podburzał.

- A raczej popychał do ataku - sarknął Hermogenes.

Aszot zaśmiał się chrapliwie i ze złością.

- I możesz być pewna, że frakcje Hipodromu przyłączą się do zabawy. Na pewno Niebiescy. Oczywiście najbardziej interesuje ich plądrowanie. Ale z pewnością poprą Pawła, chociażby dlatego, że on nie zawaha się pobłogosławić ich zbrodni.

- Już teraz idą w kierunku Deltę - dodał Zenon.

Antonina w zamyśleniu skinęła głową. Aleksandrię podzielono na pięć dzielnic, oznaczonych pięcioma pierwszymi literami greckiego alfabetu. Dzielnicą Delta od wieków była okręgiem, gdzie mieszkali Żydzi.

Popatrzyła na Eufroniusza. Jak zwykle podczas podobnych spotkań dowódca Kohorty Teodoryjskiej nie odezwał się ani słowem przez cały czas poświęcony na dyskusję. Młody syryjski grenadier był zbyt nieśmiały, więc tylko uważnie słuchał.

- Co sądzisz o Żydach? - zapytała go nagle.

Eufroniusz najwyraźniej był zaskoczony tym pytaniem.

- O Żydach? - Zmarszczył brwi. - Właściwie, jeśli mam być szczery, to nigdy się nie zastanawiałem. Nie mogę powiedzieć, że ich lubię, ale...



Zamilkł i szukał w myślach odpowiedniego sformułowania.

Dowódczym była zadowolona. W Cesarstwie Rzymskim antysemityzm był głęboko zakorzeniony, ale tylko w Aleksandrii osiągał tak namacalne wymiary. Tak działo się od wieków. Z kolei Syryjczycy jakoś koegzystowali z Żydami i nie było między nimi tarć.

- Chcę, żebyś wraz z Kohortą Teodoryjską wmaszerował do żydowskich kwartałów. Masz ich bronić przed rzeźmieszkami z Hipodromu. I weź jedną z kohort piechoty Hermogenesa, żeby ci pomogli.

Teraz to Hermogenes i Aszot się zdziwili.

- Ale po co, Antonino? - zapytał Hermogenes. - Żydzi sami o siebie zadbają. Przecież nie pierwszy raz będą walczyć z Niebieskimi i Zielonymi.

Antonina potrząsnęła głową.

- Właśnie tego się obawiam. Zamierzam... - zacisnęła pięści - powstrzymać zamieszki. Ich rozprzestrzenianie się jest ostatnią rzeczą, której pragnę.

- Zgadzam się z Antoniną - wtrącił się Teodozjusz. - Jeżeli Żydzi zostaną wciągnięci w uliczne bójki, Paweł użyje ich do dalszego podsycania nienawiści.

- Za to ja - powiedziała kobieta - zatrzymam tłum z pomocą Kohorty Teodoryjskiej, która jest własnością cesarzowej, a to będzie zupełnie inny sygnał.

Wyprostowała się i sztywno opadła na oparcie krzesła.

- Obiecałam ich reprezentantom, że aleksandryjscy Żydzi będą bezpieczni tak długo, jak długo pozostaną lojalni względem Cesarstwa. I zamierzam dotrzymać tej obietnicy.

Wstała i ruszyła w kierunku potężnych podwójnych drzwi, które prowadziły do komnaty audiencyjnej. Po drodze wydawała rozkazy.

- Hermogenesie, wyznacz jedną ze swoich kohort i poślij ją z grenadierami do Delt. Znajdź taką, której oficerowie znają Aleksandrię. Syryjczycy zgubią się w mieście bez przewodników.

- Weź Trifiodorosa i jego chłopców, Eufroniuszu - dodał oficer. - On jest z Aleksandrii.

- To także bardzo dobry trybun - zgodził się syryjski grenadier i pokiwał głową z aprobatą.

Antonina zatrzymała się nagle. Spojrzała na dowódcę Kohorty Teodoryjskiej. Na jej twarzy malowała się stanowczość pomieszana z gniewem.

- Dobry trybun czy nie, Eufroniuszu... to ty jesteś dowódcą. Piechota ma cię tylko wesprzeć, nic więcej.

Eufroniusz chciał zaprotestować, ale Antonina nie dała mu szansy.

- Zawsze byłeś czymś podkomendnym. Ale nie dzisiaj. Dzisiaj sam będziesz prowadził żołnierzy. Jesteś na to gotowy... tak samo jak grenadierzy. Spodziewam się, że będziesz błyszczał.

Młody syryjski oficer wyprostował się na całą wysokość.

- Wszyscy będziemy, Antonino. Nie zawieziemy cię.

Egipcjanka zwróciła się do Aszota i Hermogenesa.

- Przygotujcie oddziały. Chcę, żeby ubrali się w zbroje. Tak samo konie katafraktów. Pełna zbroja... nic mniej mnie nie interesuje. I upewnijcie się, że wykonali rozkaz. W takim upale ludzie będą kombinować, żeby pozbyć się jak największej ilości ekwipunku.

- Pełne zbroje? - Aszot zamrugął ze zdumienia. - Będą jak piecyki. Antonino, nie będziemy mieli tu do czynienia z perskimi deganami, na miłość boską. Tylko z bandą obdartych...

Antonina stanowczo potrząsnęła głową.

- Wiem, to będzie masakra, jeśli staną naprzeciwko nieuzbrojonego tłumy, ale twoje oddziały nie będą brały udziału w akcji. Chcę tylko, żeby wyglądały groźnie. Naprawdę groźnie.

Katafrakt szeroko otworzył oczy. Podobnie jak Hermogenes.

- Nie będą brały udziału w akcji ? - spytał armeński katafrakt.

Antonina uśmiechnęła się, a potem popatrzyła na Zenona.

- Wierzę, że dzisiaj nadszedł czas Szpitalników. To oni będą w centrum uwagi.

Ów pokiwał skwapliwie głową.

- Ja też, Antonino. A to jest doskonała okazja.

- Nie byłbym tego taki pewny - mruknął Hermogenes. Spojrzał na Zenona na wpół przepraszająco, na wpół sceptycznie. - Nie chciałbym cię obrazić, ale twoi mnisi nie są zbyt dobrze wyszkoleni. Nie było czasu. A tu mamy do czynienia z naprawdę paskudną sytuacją.

Dowódczyni chciała coś powiedzieć, ale kiedy zobaczyła, że Zenon jest bardzo pewny siebie, dała spokój. Wiedziała, że Szpitalnik da sobie radę.

- Trenowaliśmy znacznie więcej, niż ci się wydaje, Hermogenesie - rzekł Zenon. - Oczywiście, nie w pełnej zbroi i z bronią w rękę na polu bitwy, jak wy. Ale skorzystaliśmy z długiej podróży i ćwiczyliśmy na pokładach tych wielkich statków na zboże. Z kijami.

Hermogenes gapił się na Szpitalnika, jakby ten oznajmił właśnie, że uzbrojony został w nóż do smarowania chleba. Aszot po prostu wybałuszył oczy.

- Z kijami? - sapnął armeński katafrakt.

Teraz Antonina uznała, że czas interweniować.

- To był pomysł mojego męża - oznajmiła. - Powiedział, że ta broń jest nieoceniona w ulicznych walkach.

Kiedy obaj oficerowie usłyszeli echo swego autorytetu w sprawach militarnych, powstrzymali niesmak i niechęć. Lecz tylko trochę.

- Zdaje mi się, że nie do końca pojmujecie, co się tutaj dzieje - przemówił znów Zenon. - Hermogenesie, Aszocie - odchrząknął nerwowo. - Wiecie, że ja sam jestem Egipcjaninem. Urodziłem się w Aleksandrii, a dokładniej w Naukratis, w delcie Nilu, ale znam dobrze to miejsce. I jego religijną politykę.

Wskazał dłonią na otwarte drzwi.

- Musimy być bardzo ostrożni. Nie chcemy stworzyć męczenników. A już szczególnie nie możemy pozwolić sobie na rozżłoszczenie wielkich mas greckich ortodoksów, którzy stanowią jedną trzecią populacji Aleksandrii.

Skinął w stronę Antoniny - gestem pełnym aprobaty.

- Widzieliście dziś po południu, jak świetnie Antonina poradziła sobie z gildiami. Ale nie możecie zapominać, że wszyscy ci ludzie byli Grekami, a większość ortodoksyjnymi. Praktycznie zdominowali cały miejski handel i wytwórstwo. To są ci sami ludzie, na których będziemy polegać... jutro i przez wiele następnych lat. To tu wykujemy, z ich pomocą, arsenał do walki z Malawą. Ci ludzie, ze względu na swoją wiarę, będą popierać Pawła i jego hierarchów. Lecz oni także nie są zwolennikami fanatyków, a już tym bardziej kolorowych rzezimieszków z Hipodromu. To źle robi na interesy.

- Kluczową sprawą jest odcięcie fanatyków Pawła od większości ortodoksyjnej populacji - wtrąciła się kobieta. - I to odcięcie grubą kreską. Jeżeli dojdzie do masakry, Grecy przejdą do otwartej opozycji. I wiesz tak samo dobrze jak ja, a nawet może lepiej, co się stanie, kiedy w ten tłum wpadną katafrakci i regularna piechota.

Patrzyła na Aszota i Hermogenesa. Dwaj oficerowie jak jeden mąż odwrócili głowy.

- Wiecie! - warknęła. - Ci ludzie są doskonale przetrenowani do jednej sprawy. Do zabijania. Czy naprawdę chcecie wypuścić ich na tłum? Z łukami i mieczami? To nie rebelia Nika, do diabła! - Tam musieliśmy poradzić sobie z malawiańskimi kszatryjasami i tysiącami ulicznych rzezimieszków,

uzbrojonych po same zęby. Tutaj...

Odetchnęła głęboko.

- Jezu. Połowa tego tłumu wyległa na ulice ze zwykłej ciekawości. Wielu z nich to kobiety i dzieci. Może i jesteście szaleńcami, ale ja nie. Teodora wysłała mnie tutaj, żebym ustabilizowała cesarską władzę w Egipcie. Żebym powstrzymała wojnę domową, a nie rozpętała kolejną.

Aszot i Hermogenes wyglądali teraz jak zbite psy. Ale Antonina była bezlitosna.

- Takie są moje rozkazy. Jestem w pełni przekonana, że Szpitalnicy doskonale sobie poradzą. Chcę was tutaj, na tyłach, ale w pełni uzbrojonych i opancerzonych, aby dodać nieco przyprawy do posiłku. Niech tłum wie, że może mu się przydarzyć coś znacznie gorszego niż proste wdeptanie w ziemię i zamiana w pulpę, co przytrafiło się przydupasom Pawła.

Zachichotała zimno.

- Możecie sobie prychać na kije, ale mój mąż tego nie robi. I myślę, że kiedy dzień dobiegnie końca, wy też się do nich przekonacie.

Wyprostowała się i uniosła głowę, żeby wydać się wyższą. Co zresztą i tak nie na wiele się zdało.

- Usłyszeliście rozkazy. Wykonać.

Hermogenes i Aszot niemalże wybiegli z sali. Chwilę później podążył za nimi Zenon. On jednakże sienie spieszył. Za to szedł bardzo dumnym krokiem.

Eufroniusz także zaczął się zbierać do odejścia, lecz zdołał ująć tylko trzy kroki, a potem zatrzymał się, zatupał w miejscu i zawrócił.

- Tak? - zainteresowała się Antonina.

Syryjczyk odchrząknął.

- Moi grenadierzy także otrzymali wyszkolenie prowadzące do jednego... do zabijania innych. A granaty są nawet bardziej śmiertelne od strzał. Nie wiem, jak mam niby...

Podeszła do niego, uśmiechnęła się i położyła mu dłoń na ramieniu.

- Po pierwsze nie będziesz musiał walczyć z tłumem. Będziesz miał do czynienia z gangami. Uwierz mi, w tym tłumie nie będzie przypadkowych obserwatorów. Tylko rzezimieszki z Hipodromu, patrzące, co by tu komu ukraść, a Żydowi dodatkowo z wielką przyjemnością obić twarz. Rabusie, gwałciciele, mordercy... nic więcej.

Uśmiech zniknął. Jej następne słowa brzmiały jak warknięcie.

- Zabij tak wielu, ilu tylko zdołasz, Eufroniuszu. Im więcej, tym lepiej. A potem razem z Trifodorosem powieś tych, których weźmiesz żywcem, i to na miejscu. Nie miej litości. Żadnej. Jeżeli udekorujesz parkany Deltę dymiącymi jelitami, krwią, rozchłapanymi mózganymi i rozczłonkowanymi ciałami, uczynisz ze mnie szczęśliwą kobietę.

Dowódca Kohorty Teodoryjskiej odetchnął z ulgą.

- Och - powiedział. - To możemy zrobić. - Na jego twarzy ukazał się okrutny uśmiech. - Bez problemu.

Teraz i on wypadł z pokoju. Kobieta została sama z Teodozjuszem.

Przez chwilę ona i patriarcha po prostu patrzyli na siebie. Teodozjusz nie odezwał się ani razu podczas zakończonej już dyskusji. Ale Antonina widziała jak na dłoni, że draży go jakiś lęk. Teraz obawa znikła. Lecz nie była pewna, jakie uczucie ją zastąpiło. Duchowny patrzył na nią bardzo dziwnie.

- Czy coś cię martwi, patriarcho?

- Ani trochę - odparł Teodozjusz, potrząsając głową. - Po prostu... jak ci to wyjaśnić?

Uśmiechnął się i zamachał rękami.

- Podejrzewam, że ty powiedziałaś, iż kontempluję boską ironię. To jeden z aspektów najwyższej istoty, który jest ignorowany przez większość teologów. A przynajmniej tak wynika z mojego doświadczenia.

Antonina zmarszczyła brwi.

- Obawiam się, że ja nie...

Znów zamachał rękami.

- Kiedy fanatyczny Paweł nazywa cię Nierządnicą Babilońską, demonstruje swoją ignorancję. A właściwie głupotę. Esencją Chrystusa jest litość, Antonino. A kto, w tym chaosie zwanym Aleksandrią, może odnaleźć tę litość? Kto inny niż kobieta, która rozumie różnicę pomiędzy złem a grzechem?

Antonina ciągle marszczyła brwi. Teodozjusz westchnął.

- Nie umiem ci tego wyjaśnić. Powiedzmy, że bardzo się cieszę z twojego pobytu w Aleksandrii. Dobrze, że to ty tu jesteś, a nie ktoś inny. Ktoś pełny wiary w siebie i przekonany o prawości swoich postępów. To wszystko.

Jej twarz wygładziła się, a na ustach pojawił się smutny uśmiech.

- Podejrzewam, że przejęłam od męża pokrzywiony sposób patrzenia na wszystko.

- Pokrzywiony? Może. - Patriarcha ruszył w kierunku drzwi. - Ale chciałbym ci przypomnieć, Antonino, że winorośl jest także pokrzywiona. A wydaje najcenniejsze owoce.

\* \* \*

Kiedy wreszcie została sama, powoli podeszła z powrotem do krzesła i usiadła. Wiedziała, że teraz nieprędko odpocznie, gdyż zamierzała ruszyć wraz z katafraktami, stanowiącymi tylną straż Szpitalników. Już niebawem będzie musiała włożyć zbroję. I nosić ją przez cały dzień w palącym słońcu Egiptu. Skrzywiła się wyobraziła sobie, jak gorąco będzie jej w tym ubranku.

Ale w pewnym sensie potrzebowała tego. Żeby przypomnieć sobie pokręcony umysł i prostą duszę swojego nieobecnego męża.

- Bądź zdrow, kochanie - szepnęła. - Och, proszę, dbaj o siebie.

# EUFRAT

*Jesień, 531 n.e.*

## Rozdział 32

- To śmieszne! - warknął Belizariusz. - To nie jest bezpieczne! To absurd!

- Przecież złożyliśmy przysięgę, generale - powiedział skwapliwie Anastazjusz.

- Samemu perskiemu imperatorowi - dodał Walentynian, który próbował wyglądać odpowiednio smętnie, ale nie bardzo mu się to udało.

Generał popatrzył na nich z wściekłością. A potem przeniósł rozplamiony wzrok na odległego wroga.

W rzeczy samej - dość odległego. Belizariusz wraz z Walentynianem i Anastazjuszem stali na szczycie wielkiej kupy kamieni, którą Kuzanie wykopali z koryta Nehar Malka. Syryjska piechota, mająca za zadanie bronić wzgórza, sporządziła na szczycie platformę obserwacyjną, z której Belizariusz mógł obserwować przebieg bitwy. Wybudowali także wąską, stromą dróżkę, a raczej ścieżynkę, która wiodła na szczyt po północnym, chronionym stoku kamienistego wzgórza.

Generał uważał, że jako punkt obserwacyjny wzgórze sprawdza się doskonale. Nawet nie używając teleskopu, mógł bez przeszkód obserwować z tej wysokości całe pole bitwy, łącznie z oddziałami wroga, zmasowanymi na południowym brzegu Eufratu i Nehar Malka. Natomiast za pomocą teleskopu mógł wychwycić szczegóły formacji wroga.

Ale...

- A niech to - warknął. - Jestem za daleko. Zanim kurier tu dobiegnie i wróci, a nie ma szans, żeby mógł jechać konno po tej ścieżynce, rozkazy już się przedawnią. Równie dobrze mógłbym wydać je przy wczorajszym śniadaniu.

**Ale tu jest bezpiecznie**, nalegało Aide.

Zanim Belizariusz zdołał odpowiedzieć, jedna z malawiańskich rakiet, wystrzelona w kierunku rzymskich oddziałów broniących tamy, drastycznie zeszła z kursu. Przez chwilę wydawało się, że kieruje się wprost na szczyt wzgórza. Była na tyle blisko, że Walentynian i Anastazjusz rzucili się za niski murek, otaczający platformę.

Belizariusz zamruczał z zadowolenia, nie zamierzając się chować.

**Padnij! Padnij!**

*Bezpieczny?* Zapytał mężczyzna sarkastycznie. *Pamiętasz, mówiłeś, że jestem tu bezpieczny.*

I naprawdę był tu bezpieczny. Z typową dla siebie nieprzewidywalnością rakietę zawróciła nagle i pomknęła na wschód. Kilka sekund później eksplodowała na środku Nehar Malka, nikomu nie czyniąc szkody.

Aide mądrze powstrzymało się od komentarza.

Belizariusz wziął głęboki oddech i powściągnął swój temperament. W tej chwili nie było sensu dłużej spierać się o tę sprawę. Jego przybocznicy najwyraźniej zamierzali dokładnie wypełnić przysięgę złożoną imperatorowi Chozroesowi. A jeżeli już o tym mowa, wszyscy oficerowie z armii Belizariusza poparli imperatora. Generał był naprawdę zaszokowany, kiedy zdał sobie sprawę, że wszyscy jego dowódcy bardzo naciskali, aby w nadchodzącej bitwie pozostał poza bezpośrednią linią, ataku.

- Nie ma takiej potrzeby, żebyś stał w pierwszej linii, panie - upierał się Agacjusz podczas spotkania dowództwa w przeddzień bitwy. - Nie ma takiej potrzeby... a możemy wiele stracić, jeżeli zostaniesz ranny, a może nawet zginiesz. Na początku będzie bardzo źle, prawdziwa rzeźnia.

W tej kwestii Agacjusz miał całkowitą rację.

Było późne popołudnie i bitwa trwała już od wielu godzin. Malawianie po raz pierwszy zaatakowali o świcie, i to po obu stronach Eufratu. Kiedy zobaczyli wielki obóz wojsk Ormazda na południowym brzegu rzeki, na razie postanowili go nie atakować. Najwyraźniej byli więcej niż szczęśliwi, że przyrodni brat imperatora i dwadzieścia tysięcy ciężkiej kawalerii siedzi z założonymi rękami, więc skoncentrowali atak na rzymskich siłach.

Zresztą i tak siły rzymskie stanowiły ich główny i zasadniczy cel. To Rzymianie, a nie Persowie Ormazda, zbudowali tę przekłętą tamę na Eufracie. I to oni bronili jej zarówno od strony rzeki, jak i od Nehar Malka.

Pierwszego dnia walka była mało dynamiczna - Rzymianie, okopani na pozycjach, odpierali ataki Malawian.

Obronna pozycja armii Belizariusza była doskonała. Od zachodu otaczała ich pustynia oraz dwadzieścia tysięcy kawalerzystów Ormazda, rozłożone obozowiskiem na południowym brzegu Eufratu, więc Malawianie nie mieli możliwości podejść ich od tamtej strony. Atakowali więc dość wąskim przesmykiem pomiędzy Eufratem i Nehar Malka, a także wyschniętym korytem rzeki. W miejscu gdzie kanał odchodził prawie idealnie na wschód od płynącej na południowy zachód rzeki, skrawek łądu zwęzał się tak bardzo, że przypominał szpikulec. Na szczycie tego trójkąta znajdowały się doskonałe fortyfikacje rzymskie, uzupełnione drzewem przywiezionym przez barki z dołu Eufratu. Ściany palisady, osypane ziemią i wzmocnione kamieniami, były strzeżone przez syryjskich dragonów. Kiedy zachodziła taka potrzeba, dragonów zastępowali katafrakci z Konstantynopola, gotowi do wycieczki na znak dowódcy. I robili to, raz za razem, przez cały dzień, a Syryjczycy czekali przy palisadzie, żeby zmienić ich, gdy katafrakci padali z nóg i Malawianie zaczęli napierać mocniej.

Wróg nie mógł także podejść do Rzymian od wschodu. Aby to zrobić, Malawianie musieliby przekroczyć wartkie wody Nehar Malka, a potem stanąć przed następną rzymską barierą. Wielka góra kamieni, którą Ruszanie wykopali z dna kanału, zamieniła się w prowizoryczną fortecę, strzegącą lewej rzymskiej flanki. Na tej sztucznej górze stacjonowało kilka syryjskich oddziałów pod wodzą Coutzesa oraz garnizon z Callinicum. Do tej pory dzień był dla tych żołnierzy łaskawy. Malawianie nie próbowali na razie przejść przez Nehar Malka i zaatakować tamy od północnego brzegu Królewskiego Kanału. Skoncentrowali się na samej tamie, a szczególnie na wschodniej części, i próbowali się przedrzeć.

Tak, w tej kwestii Belizariusz nie mógł się spierać. Pierwszego dnia walka była mozolna i krwawa, dokładnie tak jak przewidział Agacjusz. I to prawda, generał wcale by się nie przydał na pierwszej linii.

Ale Belizariusz wiedział, że to nie potrwa długo. Rzymianie nie mieli do czynienia ze zwyczajną malawiańską armią, dowodzoną przez zwykłego generała. Przez teleskop dostrzegł, jak na brzegu rzeki pojawia się wielki słoń z baldachimem, zamontowanym na grzbiecie. Tłumek służących polewał baldachim wiadrami wody z rzeki - była to dość prosta, ale skuteczna metoda chłodzenia wnętrza.

W środku było Ogniwo. Trak był tego pewien, tak samo jak tego, że słońce wschodzi na wschodzie.

Muszę podejść bliżej, pomyślał. Niebawem powolna walka zamieni się w prawdziwe szaleństwo.

Musiał podejść bliżej.

Nagle Belizariusz wychwycił zmianę w tonie krzyków, dochodzących od strony sił wroga, i

przechylił głowę, żeby lepiej słyszeć. Bitwa toczyła się tak daleko stąd, że musiał wyęczać słuch tak samo jak wzrok.

- Odparliśmy atak - powiedział.

Anastazjusz i Walentynian także przechylili głowy i nasłuchiwali wytrenowanymi uszami weteranów.

- Myślę, że masz rację - zgodził się Walentynian.

Olbrzym pokiwał głową.

- To ile ich było? - zapytał. - Pięć ataków?

- Cztery - odparł Belizariusz. - Pierwszy, ten tuż po wschodzie słońca, się nie liczy, bo to był bardziej rekonesans. Były tylko cztery pełne ataki.

- Szaleńcy - warknął oficer o wyglądzie łasicy. - Czy naprawdę myślą, że zdołają przedrzeć się do tamy... bez dział oblężniczych? Jezu, tam musiała być rzeźnia. Już same onagry i skorpiony ze wsparciem ludzi Bouzesa i dragonów dałyby im radę. A tam są także Maurycy i jego Illyryjczycy.

Spojrzał na generała z aprobatą.

- To był doskonały pomysł, żeby rozkazać Kuszanom wybudować tę drogę.

Tamten uśmiechnął się krzywo.

- Obawiam się, że to nie mój pomysł. Ukradłem go Nabuchodonozorowi.

Generał, zainspirowany umocnieniami Babilonu, kazał wybudować drogę pomiędzy tamą a umocnieniami. Kamienna droga, naprędce wzniesiona, wyglądała na bardzo prowizoryczną. Ale była na tyle szeroka i równa, że Trakowie i Illyryjczycy mogli po niej pędzić, bez trudu przemieszczając się do tego punktu, który akurat został zagrożony. Mur był na tyle gruby i wysoki, żeby chronić ich przed pociskami. I jednocześnie umożliwiał konnym łucznikom strzelanie ponad parapetem do próbujących się przedrzeć malawiańskich żołnierzy.

W połączeniu z klasyczną artylerią miotaną, ustawioną na całej długości tamy, oraz spieszonymi syryjskimi łucznikami i grenadierami rezultat okazał się naprawdę morderczy. Większość oddziałów wroga atakowała tamę od dołu, od strony wysuszonego koryta Eufratu. Mulisty teren nie tylko ich spowalniał, ale także łamał szyk ich formacji. Eufrat nie wysechł do końca. Tama skierowała większość wody do Nehar Malka, lecz i tak sączyło się przez nią wystarczająco wiele strumyczków, które łączyły się w większe strugi i w końcu odpływały jako mała rzeczka. Jednak przepływ normalizował się dopiero kilka kilometrów poniżej tamy, a wcześniej koryto było prawdziwym koszmarem. Pełne błota, trzciny, dziur wypełnionych wodą, bajorek i rzeczułek.

Malawianie na razie koncentrowali się na wschodnim odcinku tamy. Tam mogli atakować po suchym terenie, który kiedyś był lewym brzegiem Eufratu, ale Belizariusz spodziewał się tego i dlatego właśnie umieścił tam oddziały z Konstantynopola wraz z grupką katiusz. Całą noc przed bitwą spędził z Agacjuszem i jego ludźmi, aby podnieść ich morale. Mówił im, że Grecy są kamieniem milowym całej obrony. Prawda, otrzymają najmocniejsze uderzenia, lecz tak długo, jak utrzymają pozycję, wróg nie zwycięży. Kiedy generał skończył, pozdrowili go jednym głosem i przysięgli, że będą niczym skała.

I byli mimo czterech potężnych ataków. Odpierali każdy z nich, jak również sami wypuszczali się poza bezpieczne umocnienia i zaciekle atakowali wroga na jego terenie.

Teraz odgłosy bitwy szybko zamierały. Najwyraźniej Malawianie zamierzali odstąpić. Belizariusz zobaczył, jak żołnierze wroga odbiegają od tamy. Nieśli ze sobą wielu rannych, a ścigały ich salwy rakiet, wystrzelonych z katiuszy.

Belizariusz popatrzył na niebo. Słońce właśnie zaczęło zachodzić.

- Z pewnością uderzą w nocy - przepowiedział. - Zmasowany atak na całej linii. - Pokazał ręką

na wschodni kraniec tamy. - Krytyczny punkt będzie tam. Liczę na to.

- Agacjusz ich odeprze - powiedział Anastazjusz z wielką pewnością. - Cokolwiek się stanie, Agacjusz wytrzyma.

Walentynian mruknął coś, zgadzając się z przedmówcą.

Belizariusz popatrzył wściekle na odległego wroga, a następnie spojrzął na swoich strażników. Gdyby umiał patrzeć w głąb siebie, obrzuciłby rozżłoszczonym wzrokiem także Aide.

- Jestem za daleko! - ryknął.

\* \* \*

Atak rozpoczął się dwie godziny po nadejściu zmierzchu i trwał przez prawie pół nocy. Tak jak Belizariusz przewidział, wróg skoncentrował się na wschodnim krańcu tamy.

Godzina po godzinie, generał stał na przeklętej platformie i obserwował bitwę. Przechylał się przez murek i próbował cokolwiek dostrzec w ciemnościach nocy.

I przeklinał Chozroesa. Rzucił klątwy na Anastazjusza i Walentyniana. Klął na Aide.

\* \* \*

Tuż po nastaniu świtu generał zdrzemnął się przez kilka godzin. Wróg został odparty. Walentynian obudził go, kiedy wzeszło słońce.

- Nadjeżdża kurier - poinformował katafrakt.

Belizariusz wstał i podszedł do tego brzegu platformy, z którego wychodziła ścieżynka wiodąca w dół. Rzucił okiem na podstawę wzgórza i zobaczył opancerzonego mężczyznę, który z trudem wdrapywał się pod górę wąskim, stromym szlakiem, usianym kamieniami.

- Wydaje mi się, że to Maurycy - oznajmił Anastazjusz.

Dowódca, zaciekawiony, przyjrzał się mężczyźnie dokładniej. Spodziewał się raczej jednego z młodszych katafraktów, których Maurycy używał jako kurierów, żeby utrzymać łączność ze swoim generałem. Ale nie samego chiliarchy.

Lecz to rzeczywiście był Maurycy. Belizariusz zeszywniał, gdyż poczuł nagły chłód w sercu.

- Złe wieści. - Walentynian zwerbalizował jego obawy. - To pewne jak podatki. Inaczej Maurycy nie drapałby się na tę górę.

Kiedy tylko tysięcznik dotarł do wierzchołka, generał pochylił się i wciągnął go na platformę przez niski murek.

- Co się stało? - spytał natychmiast. - Sądząc po odgłosach, znów ich odparliśmy.

- Bo tak jest - sapnął Maurycy i zdjął ciężki hełm. Westchnął z ulgą. - Boże, czuję się, jakbym wyszedł z pieca. Zapomniałem już, jak smakuje świeże powietrze.

- Niech cię, Maurycy! Gadaj, co się stało?

Szare oczy chiliarchy spojrzały wprost w brązowe generała. Prosto, bez zmrużenia. Szczerze.

- To samo, co zwykle dzieje się w bitwie, niezależnie, czy idzie po naszej myśli, czy nie. Prawda, przebiliśmy się przez nich jak krwawy młot, ale oni nam też oddają. Ponieśliśmy ciężkie straty... a szczególnie Grecy.

Mężczyzna wziął głęboki oddech.

- Timasjusz nie żyje. Prowadził Illyryjczyków do ataku na malawiańskie oddziały... Tak się złożyło, że to byli Kuszanie, którzy przedarli się przez mur, Jego koń potknął się i ktoś wyprał z niego flaki, i... - Maurycy wzruszył ramionami, nie kończąc. Los ciężko opancerzonego kawalerzysty, który podczas bitwy spadł z konia, obalonego przez piechotę wroga, był przesądzony. Timasjusz nie przetrwałby nawet dziesięciu sekund po zrzuceniu na ziemię.

- A Liberiusz? - spytał Belizariusz.

- Przejął dowodzenie nad Illyryjczykami - odparł Maurycy. - Bardzo się stara. To on właśnie



zorganizował kontratak po tym, jak Kuszanie przedarli się przez mur, i odepchnął ich od tamy.

Belizariusz patrzył na ponurą twarz starego żołnierza. Poczul, jak robi mu się coraz zimniej. Maurycy nie wdrapywał by się na wysokie wzgórze w pełnej zbroi tylko po to, żeby powiedzieć mu, że głupawy, ciężko myślący dowódca został zastąpiony przez sprytniejszego podkomendnego.

- Przykro mi z powodu Timasjusza - powiedział łagodnie. - Można było na nim polegać, chociaż nie był zbyt mądry. Jego rodzina otrzyma zapomogę... dopilnuję tego. Ale tak naprawdę nie przyszedłeś tutaj, żeby mi o tym powiedzieć, więc wykrztuś to wreszcie.

Niedźwiedziowaty Trak otarł twarz zmęczonym ruchem.

- To Agacjusz.

- Cholera - syknął Belizariusz. W tym syknięciu zawierało się prawdziwe cierpienie i trzej katafrakci zrozumieli, że ich dowódca opłakuje cenionego przyjaciela, a nie doskonałego oficera.

- Cholera - powtórzył cicho.

Maurycy potrząsnął głową.

- On żyje, generale. - Skrzywił się. - Ale jest z nim kiepsko. Stracił nogę i nie wiem, czy dożyje jutra.

- Co się stało?

Maurycy odwrócił się i spojrzał w kierunku tamy.

- Tym razem naprawdę nas przycisnęli, a szczególnie od wschodniej części. To byli Ye-tai i walczyli sami, a nie popychali malawiańskich regularnych.

Chiliarcha ciągle patrzył na południowy zachód i mamrotał pod nosem niezidentyfikowane przekleństwa.

- To są paskudni, twardzi żołnierze... Nie mają litości, to pewne. Nie chcę nawet myśleć, jakie straty ponieśli, zanim się przebili. - Spojrzał znów na Belizariusza. - Syryjscy dragoni nie byli w stanie ich zatrzymać, więc Agacjusz poprowadził szarżę kopijników. W ciemnościach nocy, możesz w to uwierzyć? Ten koleś ma jaja z kamienia, przysięgam, że tak. To uderzenie złamało szyk Ye-tai... właściwie ich zmiażdżyło, ale Agacjusz dostał granatem. Oderwało mu prawą nogę, tuż nad kolaniem. A także uszkodziło lewą. Lekarz będzie musiał ją amputować, tak mi się zdaje. A poza tym... - Wzruszył ramionami. - Szrapnel mocno go poharatał. Stracił mnóstwo krwi.

- Zabierzcie go z tamy - rozkazał generał. Odwrócił się i wskazał małą flotyllę barek, zacumowanych na środku Eufratu, jakieś półtora kilometra na północ.

- Zanieście go na jedną z barek ambulansów.

Maurycy potarł twarz.

- To nie będzie łatwe. Ciągle jest przytomny, uwierz, jeżeli chcesz. - Zaśmiał się z podziwem. - Ciągle chce walczyć! Kiedy opuszczałem tamę, krzyczał na doktora, żeby ten podwiązał mu kikut i odciął bezużyteczną stopę od drugiej nogi, żeby wreszcie mógł sięść na konia.

Walentynian i Anastazjusz roześmiali się. Belizariusz także nie był w stanie powstrzymać uśmiechu. Znów pokazał dłonią na barki.

- Tam jest lepsza opieka medyczna. I jego żona jest na jednej z tych barek. Nie wiem, na której, ale się dowiem. Prawdopodobnie ona robi dla niego więcej niż ktokolwiek inny.

Maurycy szeroko otworzył oczy.

- Jego żona? Sudaba jest tutaj? Co taka młoda dziewczyna, u diabła, robi na polu walki? To najgłupsza rzecz...

Przerwał, kiedy przypomniał sobie, że żona Belizariusza, Antonina, także zwykle towarzyszyła mężowi podczas kampanii. I na polu bitwy też.

Belizariusz poklepał Maurycego po ramieniu.

- Chcę, żeby on żył, Maurycy. Zabierz go stamtąd. I to zaraz. Niech Cyryl przejmie dowodzenie...

- Już to zrobił - przerwał mu katafrakt.

Głównodowodzący skinął głową i wziął głęboki oddech.

- No dobrze. Co jeszcze?

Chiliarcha zmarszczył brwi. Co dziwne, wyraz jego twarzy naprawdę rozbawił Belizariusza.

Maurycy, który krzywił się ponuro, oznaczał kłopoty. A to nie oznaczało wcale złych wieści.

- Zamierzają zmienić taktykę - oznajmił Maurycy. - Nawet Malawianie nie dadzą rady utrzymać takiego tempa.

- Mogą - zaprzeczył łagodnie Belizariusz. - Mogą, jeżeli uznają, że to my zmęczymy się pierwsi.

Rozmówca potrząsnął głową.

- Nie, nie mogą. Prawda, odnosimy ciężkie straty, ale i tak na jednego naszego ginie czterech czy pięciu Malawian. Przy takiej prędkości oni pierwsi odpadną. - Nachmurzył się jeszcze bardziej. - I jestem pewny, że oni o tym wiedzą. Powiem ci coś, generale. Ktokolwiek nimi dowodzi, nie jest głupcem. Frontalne ataki zostały odparte, ale tylko dlatego, że teren jest dla nich nieprzyjazny, a my mamy się gdzie bronić. Szarże zostały doskonale zorganizowane i przeprowadzone, biorąc pod uwagę tę przeklętą przez Boga wyschniętą rzekę, przez którą musieli się przedzierać. Nie zauważyłem ani śladu tej ich pewności siebie i głupoty, która z niej wynika. Już nie wydaje im się, że pokonają wszystko i wszystkich, bo jest ich więcej. Ye-tai i Kuszanie prowadzili każdy atak, a regularne malawiańskie oddziały działały jako wsparcie, co zresztą jest słusznym rozwiązaniem.

Usłyszał głos Aide. **Ogniwo. Ogniwo jest tutaj.** *Wiem*, odparł Belizariusz.

Maurycy znów potrząsał głową.

- Próbowali taktyki bezpośredniego uderzenia, żeby sprawdzić, czy to działa. Próbowali bardzo solidnie. Ale teraz, kiedy udowodniliśmy im, że jesteśmy w stanie odeprzeć ich ataki, spróbują podejść od flanki. Jestem tego pewny.

Generał potarł podbródek i skinął głową.

- Maurycy, całkowicie się z tobą zgadzam. Tak się składa, że masz rację.

Spojrzał za rzekę. W górze, nad tamą, tuż przed miejscem, gdzie odchodził węższy kanał Nehar Malka, wody Eufratu rozlewały się na co najmniej półtora kilometra, ale i tak dostrzegł perski obóz Ormazda, w którym przyrodni brat imperatora przeczekiwał bitwę.

- Czy widziałeś tam jakiegokolwiek poruszenia? - spytał.

Starzec prychnął.

- Są jak krokodyl, który czai się w trzcinach. Jedyna rzecz, jaka się tam rusza, to nozdrza Ormazda, który węszy w powietrzu słodki zapach szansy.

Belizariusz uśmiechnął się.

- Cóż, jeżeli nie chcą nadzieć się na dwadzieścia tysięcy ciężko zbrojnych deganów, Malawianom pozostaje tylko jedna możliwość.

Maurycy zmarszczył brwi sceptycznie. Odwrócił się i pokazał ręką w dół wzgórza - na Nehar Malka.

- Czy masz pojęcie, jak trudno będzie im się przeprawić na drugą stronę? Nehar Malka nie jest płytką, spokojną rzeką jak Eufrat, generale. Jest węższa i głębsza. Woda płynie tutaj szybciej i w odległości dnia drogi nie ma żadnego brodu. Będą musieli zbudować most pontonowy, a mają mało barek, a w dodatku są kilka kilometrów w dół rzeki.

Odwrócił się i potrząsnął głową.

- A Coutzes i jego chłopcy ani przez chwilę nie dadzą im spokoju. Katusze z tej odległości nie chybią, a ja, Cyryl i Liberiusz będziemy czekać na każdego, kto przejdzie po tym wąskim, drżącym

pomoście.

Odwrócił głowę i znów spojrzał na obóz Ormazda.

- Osobiście uderzyłbym raczej na deganów. Jeżeli Malawianie oczyszczą prawy brzeg Eufratu, będą mogli podejść nieco w górę i przejść przez rzekę gdziekolwiek. A wtedy będziemy w pułapce. Zmuszą nas do porzucenia tamy i ucieczki do Peroz-Szabur. Pozostanie nam tylko połączyć siły z Kuruszem i przygotować się do oblężenia.

Belizariusz uśmiechnął się, bardzo krzywo. Dawny nauczyciel spojrzał na niego ze złością.

- Czy naprawdę jesteś taki pewny swego? - spytał.

Dowódca uspokajająco strzepnął dłonią. Tak jakby chciał poklepać Maurycego, aby ukoić jego zszargane nerwy. Maurycy jednakże nie doznał ukojenia.

- Co to miało być? - warknął. - Czy zamierzasz uspokoić szalejącą bestię? A może po prostu klepiesz psa?

Belizariusz zaprzestał poklepywania.

- Tak, Maurycy - odparł z szerokim uśmiechem. - Jestem pewny swego. A właściwie tak pewny, że zamierzam dokładnie przewidzieć, jak odbędzie się ten następny atak.

Pokazał palcem w dół, wskazując leżący poniżej kanał Nehar Malka..

- Przewiduję, że zaczną budować most pontonowy już dzisiaj, późnym popołudniem. A atak rozpocznie się po zapadnięciu zmroku. A wiesz dlaczego?

- Żeby mieli szansę pokonać most - warknął Maurycy. - W dzień nigdy by im się to nie udało.

Belizariusz potrząsnął głową.

- Nie. To nie dlatego.

Popatrzył na starego Traka twardym wzrokiem.

- Powiedziałeś, że każdy atak był przeprowadzany przez Ye-tai i Kuszan, prawda?

Maurycy skinął głową.

- Ale ten będzie inny, Maurycy. Tylko patrz. Na moście zobaczysz malawiańskie regularne oddziały, a raczej zobaczyłbyś, gdyby nie panujący mrok. Będą atakowali w nocy, żebyśmy nie zobaczyli, że wśród atakujących żołnierzy nie ma Ye-tai ani Kuszan. Z kolei te oddziały...

Odwrócił głowę i skinął w kierunku rzeki.

- ...te oddziały przeprawią się na prawy brzeg Eufratu, jakieś półtora kilometra od tamy. Nie zauważymy ich, bo będziemy zajęci atakiem na Nehar Malka. O świcie, kiedy będziemy przekonani, iż odparliśmy właśnie kolejny atak, najlepsze oddziały Malawian runą na nas od tyłu. Tak jak powiedziałeś, w górze rzeki jest tysiące miejsc, w których można się przeprawić.

Maurycy skrzywił się wściekle.

- Chyba nie zakładasz, że Ormazd skryje się w obozie i ich przepuści - zaprotestował.

Generał wzruszył ramionami.

- Nie mogę być pewny. Ale postawiłbym spore pieniądze na to, że tak się właśnie stanie. Ormazd wie, że lojalne względem nas perskie oddziały znajdują się dopiero w Peroz-Szabur. To dziesięć tysięcy żołnierzy Baresmanasa i Kurusza. Ufortyfikowali się w mieście...

- Chciałbym, żeby byli tu z nami - mruknął katafrakt. - Bardzo by nam pomogli.

- Nie bądź głupi! Gdyby tu byli, z Peroz-Szabur zostałyby tylko kupa popiołów. Ale są tam i malawiańskie siły musiały obejść miasto, a w dodatku unieruchomić część swoich oddziałów, gdyż obawiają się wycieczki. Kurusz stanowi dla nich zagrożenie, chociaż tylko siedzi w Peroz-Szabur i nie wychyla stamtąd nosa.

Machnął ręką..

- Ale nie zmieniaj tematu. Wróćmy do Ormazda... i jego najlepszej szansy pokazania

Chozroesowi, kto jest górą. Jeżeli Malawianie nas pokonają, wrócą do Babilonu i przytrzymają tam imperatora, a w tym czasie Ormazd przejmie władzę w całej północnej Mezopotamii. Tylko nasza interwencja go przed tym powstrzyma... To oraz zwycięstwo pod Anathą. Jeżeli zginiemy, będzie miał wolną rękę.

- A jak zamierza wyjaśnić to swoim deganom? - spytał Maurycy.

Belizariusz roześmiał się.

- A jakże inaczej? Całą winę zrzuci na nas. Ci głupi Rzymianie nalegali, aby do końca bronić straconej pozycji. Na szczęście on sam był na tyle mądry, że nie zamierzał tracić swoich żołnierzy, aby bronić kanału, który przecież miał służyć Rzymianom tylko po to, żeby pewnego dnia mogli najechać Persję, tak jak to zrobił cesarz Julian.

- Bardzo zawile tłumaczenie - mruknął Maurycy, potrząsając głową.

Belizariusz znów się roześmiał.

- Oczywiście, że tak! I co z tego? Przecież doskonale posłuży do jego celów.

Maurycy ciągle potrząsał głową.

- A co, jeżeli się mylisz? - warknął. - Niech to, nienawidzę tych twoich podstępnych planów.

Belizariusz uśmiechnął się.

- Jeżeli się myślę, Maurycy, to co z tego? Wtedy Ormazd będzie walczył z Malawianami, którzy przeprawią się przez Eufrat. Może go pokonają, ale po walce stoczonej z dwudziestoma tysiącami deganów nie będą w stanie zaatakować naszej flanki. A ty byłbyś?

Rozmówca nie odezwał się, tylko westchnął ciężko.

- No dobrze. Zobaczmy, co zrobią.

Chiliarcha zaczął zbierać się do odejścia. Generał powstrzymał go dłonią.

- Poczekaj chwilę. Idę z tobą.

Maurycy popatrzył na niego, zaskoczony. Walentynian i Anastazjusz zaczęli wznosić protesty. Aide także rozpoczęło wewnętrzną tyradę, suto przetykaną jękami.

Belizariusz osadził ich w miejscu.

- Plan się zmienił! - oznajmił radośnie. - Bitwa niebawem dotrze do punktu zwrotnego. Muszę tam być, teraz. Muszę być gotowy, żeby wypełnić przysięgę, którą złożyłem imperatorowi Chozroesowi.

Maurycy uśmiechnął się. Walentynian i Anastazjusz zaprzestali wrzasków. Aide się zamknęło.

- Bezpieczeństwo - sarknął Belizariusz i szybko przywdział zbroję.

- Bezpieczeństwo - powtórzył i ruszył w dół wzgórza.

- Ale będziesz ostrożny, prawda? - zawołał za nim Maurycy. - To znaczy, patrz pod nogi na tej nędznej ścieżynie. To byłoby dość absurdalne, gdybyś skrzył swój głupi kark na tej górze kamieni.

- Bezpieczeństwo! - ryknął Belizariusz.

Dwa kroki później potknął się i stoczył na sam dół. Kiedy wreszcie się zatrzymał na jednym z większych głazów, przez niemal minutę próbował dojść do siebie.

Pierwszą rzeczą, jaką zobaczył, chociaż dość niewyraźnie, była szara broda pochylającego się nad nim Maurycego.

- Bezpieczeństwo - wymruczał stary weteran ponuro. - To tak, jak byś prosił żabę, żeby nie skakała.

Wyciągnął rękę i postawił generała do pionu.

- Czy teraz będziesz patrzył pod nogi? - zapytał głosem ociekającym słodyczą. - Czy może Anastazjusz ma cię znieść na dół niczym niemowlę w beciku?

- Będę dbał o swoje bezpieczeństwo - zapewnił go Belizariusz. Nikt nie uwierzył mu ani przez

chwile.

# ALEKSANDRIA

*Jesień, 531 n.e.*

## Rozdział 33

Aleksandria była sławna na cały świat ze swoich wspaniałych publicznych alei. Dwa największe bulwary, które przecinały się na zachód od Kościoła Świętego Michała, miały po około trzydzieści metrów szerokości. Samo skrzyżowanie było tak wielkie, że tworzyło niemalże plac. Zdobiał je wielki tetrastylon - czyli cztery monumentalne słupy, tkwiące w narożnikach.

Budynki, które otaczały skrzyżowanie, także wyglądały wspaniale. Na północnej ścianie stał kościół, mający setki metrów kwadratowych. Budowla była bardzo stara. Oryginalnie zbudowano ją jako świątynię boga krokodyla Sobeka, ale ponad sto lat temu zamieniono budynek w chrześcijański przybytek. Większość pogańskich ozdób zdjęto, mumie krokodyli, które spoczywały w podziemiach, bezceremonialnie wrzucono do rzeki, ale sama budowla wciąż nosiła cechy monumentalnej architektury starożytnego Egiptu. Pochylała się nad skrzyżowaniem niczym mała góra.

Naprzeciwko niej, na południowej ścianie, stał nowocześniejszy budynek, czyli gimnazjon, typowy dla greckiej kultury, nieważnie, gdzie się rozwijała. A obok niego wznosiła się publiczna łaźnia, która z kolei była typowa dla zabudowy rzymskiej. Z kolei wschodnia ściana placu zabudowana została innymi typowymi obiektami publicznymi. Był wśród nich teatr, w którym wyższe sfery zażywały rozrywki, oglądając dramaty i muzyków. Tylko na ścianie zachodniej wznosiły się prywatne domy, czyli trzy stateczne dwory, podobne do siebie jak ziarnka grochu.

Jako całość plac robił naprawdę imponujące wrażenie.

Ale Antonina, spoglądając na skrzyżowanie ze stopni swojego pałacu, nie uległa temu uczuciu. Dorastała w części miasta, która była zupełnie inna od dzielnic pełnych splendoru arystokratycznych Greków. Urodziła się i wychowała w egipskiej dzielnicy, która nadal nosiła starożytną nazwę Rhakotis. Tam ulice nie były ani szerokie, ani brukowane. Wszędzie wały się kupy śmieci, a wzdłuż alej biegły rynsztoki. Budynki w Rhakotis miały starożytne pochodzenie, ale objawiało się to tylko tym, że odpadały od nich suszone na słońcu cegły, a w zawałonych domach natychmiast zaczynało roić się od biedoty. Nie było tu gimnazjonu... nie było żadnych szkół. A co do publicznej łaźni...

Prychnęła, przypominając sobie tamto miejsce. W Rhakotis mieszkało wielu ludzi. I jeszcze więcej zwierząt. Kwartęły pełne były bydła, świń, osłów, wielbłądów, kóz... i oczywiście wszędobylskich gołębi. I gołębiego łajna.

Prychnięcie zamieniło się w otwarty śmiech. Zenon, stojący obok, spojrzał na nią pytająco.

- Zastanawiałam się właśnie, jakie są warunki typowej umowy najmu w Aleksandrii. No, najmu domu czy mieszkania. Wiesz, chodzi mi o...

Zenon pokiwał głową i także się uśmiechnął.

- Tak, wiem. - Jego głos zabrzmiał jak zaśpiew. - Pod koniec okresu najmu, najemca powinien zdać lokal opróżniony z łajna.

Teraz i on się roześmiał.

- Byłem tak zawstydzony, gdy po raz pierwszy wynajmowałem kwaterę w Konstantynopolu. Zdziwiłem się, że nie ma tej klauzuli w umowie. Kiedy o tym wspomniałem, właściciel spojrzał na mnie jak na wariata. Albo jak na barbarzyńcę.

Antonina właśnie chciała coś powiedzieć, ale przerwała nagle.

- Nadchodzą! - Usłyszała czyjś krzyk. Domyśliła się, że to jeden ze Szpitalników.

Cały bulwar przed nią był ich pełen. Tysiąc Szpitalników stało w zwartej formacji. Ustawili się w linii po dwudziestu ludzi i zajmowali całą szerokość alei. Linii było pięćdziesiąt. Każdy mężczyzna miał w dłoniach kij, ustawiony na sztorc. Ich jedyny pancerz stanowiły skórzane czapki, wzmocnione paskami metalu na czołach. Ale pod białymi tunikami z czerwonymi krzyżami mieli wypychane kaftany z wzmocnionymi ramionami, które dawały ochronę przed tępymi przedmiotami. Większość Szpitalników zabezpieczyła także przedramiona - pasami mocnego lnu.

Większość pozostałych Szpitalników rozlokowała się w uliczkach prowadzących do głównej arterii, ale Zenon umieścił wielu z nich również pod powierzchnią ulicy. Dowódca Szpitalników, doskonale znający Aleksandrię, wykorzystał labirynt cystern, które doprowadzały wodę do tego ogromnego miasta. W razie potrzeby jego ludzie mogli wyjść na powierzchnię przez piwnice pobliskich domów, ale też byli w stanie przemieszczać się niezauważeni w różne miejsca. Obok Zenona stało dwudziestu kurierów, gotowych do zanieśienia jego rozkazów, gdy nadejdzie czas.

Antonina była bardziej niż zadowolona z pomysłów Zenona. Oczywiście nie wiedziała jeszcze, jak Szpitalnicy spiszą się w dzisiejszym konflikcie, ale przynajmniej ich dowódca był w pełni przekonany o umiejętnościach podkomendnych.

- Idą! - krzyknął kolejny mężczyzna.

Spojrzała w kierunku odległego skrzyżowania i ujrzała, że od wschodu w aleję wlewa się ogromny tłum. W przeciągu dwóch minut całe skrzyżowanie zapchane było ludźmi, a forpocztę tłumy nadchodziły właśnie bulwarem w stronę jej pałacu.

- Na oko dziesięć tysięcy - mruknął Zenon. - Nie licząc tych, których jeszcze nie widać.

Kiedy tłum podszedł bliżej, zatrzymał się i zaczął się kłębić. Ludzie, nie do końca przekonani o słuszności swoich postępów, zobaczyli na swojej drodze zdyscyplinowaną formację Szpitalników, a za nimi, co gorsza, w pełni uzbrojonych katafraktów, więc zaczęli się wycofywać. Przepychali się do tyłu albo po prostu stali, niepewni, co robić, i stanowili przeszkodę dla bardziej pewnych siebie fanatycznych towarzyszy.

Przez minutę Antonina miała nadzieję, że tłum rozproszy się i zniknie, ale szybko ją porzuciła. Niebawem najgorsze elementy formujące tłum zaczęły odseparować się od reszty. Ci, którzy byli niezdecydowani, bardziej bojaźliwi albo po prostu tylko ciekawi, co się stanie, odsunęli się na tyły, po czym przywarli do murów i wystaw, biegnących wzdłuż bulwaru. Najbardziej zdecydowani znaleźli się na froncie.

Większość była mnichami, a przynajmniej tak zdawało się wysłannicze cesarzowej. Trudno było to orzec, gdyż zwyczaj noszenia habitów miał pojawić się dopiero później. Uniform Szpitalników stanowił po prostu jedną z innowacji Belizariusza. Ale Antonina знаła mnichów bardzo dobrze. Tylko fanatycy byli tak rozczochrani, nieogoleni, obdarci, czy po prostu brudni, jak mężczyźni, którzy stali na czele tłumy. Podejrzenia Antoniny przeszły niemal w pewność, gdy zobaczyła, jak niedbale i z jaką wprawą ściskają w dłoniach pałki i kije.

Uśmiechnęła się smutno, kiedy przypominała sobie, jak Belizariusz opisywał jej jedną z wizji zesłanych przez Aide, w której klejnot pokazał mu działanie i skromność benedyktynów oraz tych, którzy podążali za mężczyzną zwanym Franciszkiem z Asyżu.

Żona Belizariusza, urodzona i wychowana w Aleksandrii, aż wytrzeszczyła oczy, słysząc taki opis. Mnisi, których znała w młodości, byli tak podobni do Franciszka z Asyżu jak wilki do owcy. W Egipcie za jej czasów monastyczne zakony, zarówno monofizyckie, jak i ortodoksyjne, lubowały się w ulicznych bójkach tak samo jak frakcje Hipodromu. I prawdopodobnie mnisi byli lepsi w walkach od Niebieskich i Zielonych. A już z pewnością bardziej bezlitośni.

Jakiś szczególnie tłusty mnich spojrzał na nią, stojącą na stopniach pałacu. Uniósł do góry grubą

pałkę.

- Śmierć Nierządniczy Babilońskiej! - wrzasnął.

Czy to specjalnie, czy też poniósł ich entuzjazm, ale okrzyk został spontanicznie podchwycyony przez tłum i natychmiast stał się zawołaniem bojowym.

- Śmierć Nierządniczy! Śmierć Nierządniczy!

Pierwsze linie zaatakowały Szpitalników, którzy tkwili na ich drodze. Rozzłoszczona tłuszcza nie wahała się ani chwili. Biegący na czele mnisi byli weteranami bójek. I nie bali się dziwacznie odzianych Szpitalników, a już tym bardziej ich kijów.

Jaki jest pożytek z prawie dwumetrowej pałki? Nawet się nią nie zamachniesz w ciasnocie ulicznej bójki. Głupcy!

Antonina wiedziała, co się zaraz wydarzy, i wstrzymała oddech. Kije także należały do pomysłów Belizariusza... a przynajmniej ich użycie w tej konkretnej sytuacji. Laski pasterzy były oczywiście dobrze znane i często wykorzystywane w wioskowych potyczkach. Lecz nikt nigdy nie włożył ich w ręce zorganizowanej formacji, która systematycznie ćwiczyła nimi walkę.

Kiedy mnisi znajdowali się zaledwie kilka metrów od Szpitalników, kapitan, stojący w pierwszej linii, wrzasnął komendę. Dwudziestu Szpitalników jednocześnie zniżyło kije i pchnęło niczym włóczniami w nadbiegających mnichów. Napastnicy spodziewali się, że ich wrogowie będą uderzać, a nie pchać, więc zostali całkowicie zaskoczeni. Metalowe okucia ciężkich kijów wbiły się w ich niczym nie chronione brzuchy i klatki piersiowe.

Straty były ogromne. Dwóch zginęło na miejscu z przebitymi przeponami. Kolejny zmarł kilka sekund później, kiedy oręż zgruchotał mu żebra i wbił odłamki kości do serca. Reszta padła na ziemię i zatrzymała następnych, którzy biegli za nimi. Rozległy się wrzaski bólu, ale większość tylko jęczała i syczała, gdyż połamane żebra i przebite brzuchy nie pozwalały im na głośne krzyki.

Pchnięcie natychmiast zostało poprawione dwoma szybkimi, wirującymi ciosami z boku na bok. Żelazne okucia na końcach kijów miażdżyły głowy i klatki piersiowe.

Kapitan znów wydał rozkaz. Szpitalnicy znów pchnęli, a potem zakołysali kijami. Na ziemię padło kolejnych dwunastu mnichów.

Tłum nadal napierał. Ludzie wdrapywali się na ciała i ślizgali we krwi. Niektórzy zdołali przebić się przez pierwszą linię Szpitalników, ale następne szeregi rozprawiały się z nimi bezlitośnie.

Znów padł rozkaz. Kolejne pchnięcie. Niektórzy ludzie tym razem wiedzieli już, czego mają się spodziewać i próbowali jakoś uchronić się przed ciosem.

Szpitalnicy również się tego spodziewali. Tym razem okute żelazem kije wylądowały na twarzach i głowach. Efektem były pokruszone czaszki, połamane szczęki, wybite zęby. Zmiażdżone gardła i przetrącone karki.

Tłum zachwiał się. Zatrzymał. Zawahał.

Zenon wrzasnął komendę. Pierwsza linia Szpitalników zakołysała się i natychmiast się rozstała. Druga wystąpiła naprzód.

Kapitan drugiej linii wykorzystał ruch i wyprowadził kolejne mordercze pchnięcie. Pierwsze szeregi cofnęły się, ale tylko kilka kroków. Z tyłu napierał na nich zwarty, gęsty tłum. Mnisi na froncie znaleźli się w pułapce. Potykający się o ciała, stłoczeni, nie mogący nawet wziąć zamachu własną bronią, i tak zresztą zbyt krótką, aby mogła sięgnąć Szpitalników, okazali się doskonałymi celami.

Rozkaz. Pchnięcie. Uderzenie. Rozkaz. Pchnięcie. Uderzenie.

Zenon znów wydał komendę. Druga linia Szpitalników zafalowała, cofnęła się. Trzeci szereg



wystąpił naprzód.

Rozkaz. Pchnięcie. Uderzenie. Rozkaz. Pchnięcie. Uderzenie.

Zenon wrzasnął. Trzecia linia wycofała się. Podeszła czwarta.

Rozkaz. Pchnięcie. Uderzenie. Rozkaz. Pchnięcie. Uderzenie.

Zenon zamilkł wreszcie. Maszyna rozpędziła się i teraz działała sama. Praktykowali to setki razy na statkach ze zbożem. A teraz testowali swoje umiejętności w akcji.

Piąta. Szósta. Siódma linia.

Bulwar został skąpany we krwi. Mnisi, popychani przez kompanów z tyłu, byli jak ochłapy mięsa wpychane do maszynki. Rozpaczliwe młyńce pałek mogły w najlepszym wypadku opóźnić cios kija, nic więcej, ale w końcu i tak okuta stała broń dopadała każdego, a wtedy ten osuwał się na ziemię. Wielu umierało, większość leżała okaleczona albo po prostu ogluszona.

Kiedy na przód wystąpiła ósma linia, przez tłum ortodoksów przebiegło nagłe drżenie. Zobaczyli już wystarczająco dużo, żeby zrozumieć, co może ich uratować. Musieli przebić się przez Szpitalników, nie zważając na koszty.

Z wrzaskiem i pohukiwaniem co najmniej dwie setki fanatyków runęły do przodu, tratując ciała pokonanych, którzy leżeli przed nimi na ulicy. Nawet nie próbowali używać pałek. Chcieli po prostu przebić się przez szeregi wroga. Wszystko, tylko wydostać się z tej przeklętej strefy, kontrolowanej przez okute kije.

Nawała mnichów zachwiała liniami Szpitalników. Kilku z nich upadło na ziemię. Jednego tłum złapał za kostki i dosłownie wchłonął w siebie. Zdeptano go na śmierć. Inny został unieruchomiony przez dwóch mnichów, a trzeci rozwalił mu głowę kilkoma okrutnymi ciosami pałki.

Lecz to także zostało przewidziane. Zenon wydał nowy rozkaz. Dziewiąta linia natychmiast skoczyła do przodu, wspierając ósmą. Oba szeregi zaparły kije i uformowały barykadę w poprzek ulicy. Tłum rozbił się o nią i zaczął ją popychać, bardzo powoli...

Wystąpiła dziesiąta linia i wypchnęła kije przez przerwy. Szpitalnicy celowali w głowy - nie było miejsca na inne uderzenia.

Znów trzasnęły czaszki, posypały się zęby, połamały szczęki. Spłaszczyły nosy. Wybijano oczy i przebijano policzki.

Pchnięcie. Pchnięcie. Pchnięcie.

Obrót. Krok do tyłu. Jedenasta linia.

Pchnięcie. Pchnięcie. Pchnięcie.

Szpitalnicy powoli zaczęli się męczyć. Odnosili też coraz większe straty. Zenon znów wydał rozkaz. Do przodu wyszły dwunasta i trzynasta linia i uformowały barykadę.

Manewr ten jednakże został wykonany niezbyt płynnie i niedokładnie. Zamiana miejsc z ludźmi, którzy tworzą barykadę, nie jest łatwa, nawet jeżeli w danej chwili nie są oni na wpół oślepieni własną krwią i ogluszeni wrzaskiem. A wielu właśnie było w tej sytuacji. Ale tłuszczka nie wykorzystwała tego chwilowego zamieszania, mnisi na czele byli bowiem jeszcze bardziej ogluszeni i zakrwawieni niż obrońcy.

Niebawem wszystko zaczęło się od początku.

- Jezusie, synu Maryi - szepnął Aszot, który stał tuż obok Antoniny. - Matko Chrystusowa.

Kobieta była bardzo blada, ale na jej zimnej i jakby sparaliżowanej twarzy nie malowały się żadne uczucia.

- Mówiłam ci - powiedziała szorstko. - Mówiłam.

Wzięła głęboki oddech i zadrżała.

- Belizariusz to przewidział. Powiedział mi, i Zenonowi, dowódcy Szpitalników też, że jeżeli

uczą się używać tych okutych kijów, będą w stanie pokonać każdy rozwścieczony tłum na świecie. I to z łatwością.

Katafrakt potrząsnął głową.

- Nie jestem pewien, czy straty naprawdę byłyby większe, gdybyśmy to my się z nimi rozprawili.

- To nie ma znaczenia, Aszocie. Ludzie nie patrzą na pałki tak samo jak na ostrą broń, a przecież kije to są takie pałki, tylko dłuższe. Miecz czy nóż to narzędzie zbrodni, czyste i proste. Podczas gdy pałka... - Uśmiechnęła się drwiąco i rozłożyła ręce w na wpół komicznym geście.

- Bójki w tawernie, zwyczajne bijatyki - kontynuował Aszot, kiwając głową. - To tak naprawdę wcale nie jest mordercza broń.

Zachichotał ponuro.

- Tak, masz rację. Gdyby tysiąc mnichów zginęło rozniesionych na lancach albo na ostrzach mieczy, zostaliby męczennikami. Ale jeżeli ten sam tysiąc dostaje bity od uzbrojonych w pałki chłopców, i nawet jeżeli połowa przy tym zginie, ludzie po prostu wzruszą ramionami. Co do diabła? Przecież to była uczciwa walka. Mnisi też mieli pałki i też ich używali. Po prostu mieli pecha, bo ten nowy zakon jest silniejszy.

Teraz szła siedemnasta linia. Pchnięcie. Pchnięcie. Pchnięcie.

- Znacznie silniejszy i twardszy.

Kiedy osiemnasta linia wystąpiła naprzód, tłuszcza wreszcie się załamała. A właściwie to sami mnisi się załamali. Tłum, na początku tysiące ludzi, już jakiś czas temu zaczął rzednąć i uciekać przed krwawą bitwą. Ludzie wymykali się chyłkiem, odchodzili, w końcu uciekali.

Teraz wreszcie było miejsce do ucieczki. Kiedy fanatycy zdali sobie z tego sprawę, cały ich bitewny zapal prysł jak mydlana bańka. W przeciągu paru sekund rzucili się do odwrotu, popychając przed sobą maruderów.

Szpitalnicy instynktownie zaczęli ich gonić, ale Zenon, nie czekając na rozkaz Antoniny, kazał im wracać. Szpitalnicy natychmiast usłuchali rozkazu. Zatrzymali się i wsparli ciężko na kijach, spazmatycznie łapiąc oddech.

Przywódczyni spojrzała na Aszota.

- Chcę, żebyś wziął swoich katafraktów. Przejedźcie się przez miasto. Podzielcie się na oddziały.

- Popatrzyła na niego twardo. - I nie atakujcie nikogo. Chyba że sami zostaniecie napadnięci. Po prostu chcę, żeby was widziano. Zasjejcie w tłumie bojaźń bożą. Chcę, żeby do zachodu słońca, wszyscy, którzy odważyli się wyjść na ulicę, siedzieli w swoich domach i ze strachu chowali głowy pod poduszki. Jak myszy, kiedy kot wyszedł na łowy.

Ormianin skinął głową.

- Rozumiem. - Natychmiast podbiegł do swojego konia, który stał nieopodal.

Zwróciła się teraz do dowódcy Szpitalników.

- Zwołaj wszystkich Szpitalników, których masz w rezerwie. Podziel połowę na te twoje... - zawahała się, szukając odpowiedniego słowa. - I jak postanowiłeś je nazwać? Te twoje grupy po dwie setki ludzi?

- Bataliony.

- Tak. Powinny być na tyle duże, żeby poradzić sobie ze wszystkim, co możesz napotkać. Wyślij je, aby maszerowały po ulicach. Tylko po dużych. Nie wchodźcie w boczne alejki. I trzymajcie się z daleka od dobrych dzielnic.

Pokiwał głową.

- Mamy robić to samo, co katafrakci. Wszystkich wystraszyć.

- Do diabła, nie! - warknęła. - Chcę, żeby oni unikali kłopotów. Za to wy macie ich szukać.

Skrzywiła się i pokazała brodą na ciała zabitych i nieprzytomnych mnichów, które usiały całą ulicę.

- Myślisz, że ich rozpoznasz? Odróżnisz od zwykłych mieszkańców?

- Z pewnością - sarknął Zenon. - Muszę tylko szukać ludzi, którzy są hańbą każdej zadbanej alei.

- Racja. - Wzięła głęboki oddech. - Zapędź ich w kozi róg, Zenonie. Nie wchodź w boczne uliczki... Nie chcę, żebyś wpadł w jakąś paskudną zasadzkę w tych wąskich alejkach. I trzymaj się z daleka od miejsc, gdzie mieszkają ortodoksyjni Grecy. I ścigaj mnichów, którzy pałętają się po głównych ulicach. Dzisiaj rozpoczyna się sezon polowań na chalcedońskich fanatyków. Złap ich, osacz i zrób z nich mielone. Popatrzyła na niego płonąącym wzrokiem.

- Chcę krwi, Zenonie. Nie interesują mnie mnisi siedzący w celach i trzęsący się ze strachu. Chcę, żeby ich ciała walały się po ulicach. Żeby byli martwi, poobijani, pokaleczeni, połamani - nie obchodzi mnie jak. Chcę tylko, żebyś ich totalnie sterroryzował.

- To będzie prawdziwa przyjemność - warknął mężczyzna. Obrzucił zakrwawioną ulicę zimnym wzrokiem. Leżeli na niej nie tylko fanatyczni, ortodoksyjni chalcedońscy mnisi. Tu i tam widział kilka ciał odzianych w białe tuniki z czerwonymi krzyżami. Ich towarzysze właśnie zbierali poległych w nadziei, że może znajdą kogoś żywego.

Zenon wiedział, że nie znajda. Niewielu Szpitalników zostało wciągniętych w tłum. Ale ci, którzy mieli pecha, z pewnością tego nie przeżyli.

- To będzie nasza przyjemność - warknął znów. A potem odetchnął głęboko, żeby się uspokoić. - A co z drugą połową? - spytał. - Jakie masz plany względem tych Szpitalników?

- Pójdą ze mną - odparła Antonina. - Oraz z Hermogenesem i jego piechotą.

- A dokąd pójdziemy?

- Najpierw do dzielnicy Delta. Chcę zobaczyć, co się tam dzieje. A potem, zakładając, że sytuacja będzie pod kontrolą, ruszymy do dzielnicy Beta.

Odwróciła się i stanęła twarzą w twarz z Teodozjuszem. Nowy patriarcha przez całą bitwę stał w milczeniu kilka kroków za nią, razem z trzema diakonami.

Zobaczyła, że jest bardzo blady. Szeroko otwartymi oczami przyglądał się ulicy poniżej, jego diakoni także. Kiedy poczuł na sobie jej spojrzenie, oderwał wzrok od pobojuwiska i spojrzał na żonę Belizariusza.

- Jak się nazywa to zgromadzenie? - zapytała. - Wiem, gdzie ono jest, ale nie mogę sobie przypomnieć, jak się nazywają te skurwysyny.

Teodozjusz wydał wargi i zawahał się.

Twarz Antoniny była nieruchoma jak głaz, a jej zielone oczy przypominały agaty.

- Ty ich znasz, patriarcho.

Odwrócił wzrok i westchnął.

- To zakon świętego Marka - mruknął, a potem spojrzał na nią prosząco. - Czy to jest naprawdę konieczne, Antonino? - Pokazał dłonią zakrwawioną ulicę. - Wydaje mi się, że już dałaś do zrozumienia, o co ci chodzi.

- Nie jestem tutaj, żeby dawać cokolwiek do zrozumienia, Teodozjuszu - syknęła. - Nie jestem nauczycielką, która poucza niesfornych studentów.

Zrobiła trzy szybkie kroki i stanęła naprzeciwko brody patriarchy. Mimo tego, że była tak niska, wszystkim się zdawało, że to patriarcha patrzy na nią z dołu, a nie odwrotnie.

- Ja jestem różgą dla Aleksandrii. Ja jestem mieczem Cesarstwa.

Odsunęła się o krok. Machnęła w stronę głównego skrzyżowania.

- Wystarczy, jeżeli zastraszymy przeciętnych ortodoksyjnych mieszkańców miasta. To właśnie

dlatego Aszot i jego katafrakci będą paradować po mieście, teraz, kiedy już udało się rozproszyć tłum. Ale ci... ci... ci...

Cała nienawiść, która dotyczyła ludzi obwołujących się świętymi i która gromadziła się w niej przez całe życie, wreszcie znalazła ujście.

- Ci śmierdzący, brudni, obleśni mnisi są zupełnie czymś innym!

Zagryzła zęby i zmierzyła płonącym wzrokiem ciała leżące na ulicy.

- Nierządnicza Babilońska, prawda?

Kiedy znów na nich popatrzyła, nienawiść została ujęta w żelazne karby. Teraz w jej oczach był tylko lód. Oczy jak agaty spoczęły na Zenonie.

- Zakon świętego Marka jest największym monastylem w Aleksandrii. To także centrum najbardziej fanatycznych chalcedończyków. Mieszkają tam wyłącznie ultraortodoksi, włącznie z karaluchami w piwnicach. Paweł był tam mnichem, zanim zrobili z niego patriarchę.

Zenon skinął głową.

- Ten monastyr to już przeszłość - mówiła dalej Antonina. - O zachodzie słońca zostaną z niego tylko ruiny. A wszyscy mnisi, którzy do tego czasu nie zdołają uciec, będą w drodze do nieba.

Nienawiść znów dała znać o sobie.

- Albo do innego miejsca które ich wzywa. Mam w tej kwestii swoje własne zdanie.

Dowódca Szpitalników odszedł parę kroków, zwołał kapitanów i zaczął przekazywać im rozkazy. Teodozjusz zamilkł na dobre. Był przyzwyczajony do pełnych ognia debat wysokich kościelnych gremiów, więc potrafił rozpoznać, kiedy dyskusja nie ma sensu. I nawet gdyby nie miał takiego doświadczenia, nie mógł nie pojąć znaczenia zdań, które z sykiem wypadały z ust dowódczym, niczym para z wulkanu. Trwało to dobrych kilka minut. Kiedy kobieta patrzyła na krwawą jatkę na ulicy, z jej twarzy emanowała zimna furia.

*Nierządnicza Babilońska, czyż tak?*

*Pokażę wam nierządnicę.*

*Wreszcie wróciłam do mojego rodzinnego miasta.*

I oczywiście powtarzała w kółko jedno zdanie;

*Pieprzyć Aleksandrię.*

\* \* \*

Kiedy Antonina wraz ze swoją eskortą złożoną ze Szpitalników i syryjskiej piechoty dotarła do dzielnicy Delta, a było to w południe, na jej spotkanie wyszedł Eufroniusz. Dowódca Kohorty Teodoryjskiej podszedł do niej wraz z Trifiodorosem, oficerem stojącym na czele piechoty, która, zgodnie z rozkazem Hermogenesa, miała wspierać grenadierów.

Kiedy spojrzał do góry, na młodą kobietę, siedzącą na wielkim koniu i wyglądającą niczym na wpół ugotowany w swojej skorupie homar, młody Syryjczyk zrobił dziwną minę. Na wpół przepraszającą, na wpół oskarżycielską.

- Bardzo mi przykro - powiedział. - Ale...

Zatoczył ręką krąg, opasując otaczający go teren. Antonina spojrzała na ulice, które otaczały żydowską dzielnicę i zobaczyła jakieś dwa tuziny trupów leżące w pyłe. Były to rzezimieszki z Hipodromu. Sądząc po ubiorach - sami Niebiescy. W większości zginęli od broni palnej, lecz z przodu widziała fronton sklepu, który najwyraźniej ucierpiał od wybuchu licznych granatów. W środku spoczywały trzy ciała, dokładnie przemielone z zawartością składu.

Popatrzyła na dachy. Na wielkich drewnianych belkach, które tworzyły szkielet dla wypełnienia z suszonych na słońcu cegieł, wisiało sześć ciał. Nie więcej.

- Uciekli - jęknął Eufroniusz. - Jak tylko oddaliśmy pierwszą salwę. - Odwrócił się i pokazał

zniszczony sklep. - Z wyjątkiem tej gromadki. Usiłowali skryć się w środku. Po tym, jak wrzuciliśmy do środka kilka granatów, poddało się pół tuzina ocalałych. - Machnął ręką w stronę osobliwych ozdób, wiszących pod dachem. - Nie zdołaliśmy złapać nikogo więcej. Za szybko uciekali. Nie dałaś nam kawalerii - zakończył oskarżycielsko.

- Nie da się złapać rzezimieszków bez kawalerii - zawtórował Trifodoros. - Ludzie, którzy uciekają, żeby ratować swoje życie, biegną szybciej niż ci, którzy chcą ich zabić - dodał tonem doświadczonego weterana. - Trzeba mieć kawalerię, żeby naprawdę skopać im tyłki.

Antonina roześmiała się i potrząsnęła głową, trochę ze smutkiem, trochę z żalem.

- Zapamiętam to sobie!

Spojrzała teraz na samą dzielnicę Delta, która zaczynała się tuż za szeroką ulicą. Po tamtej stronie stały setki Żydów. Byli to w większości młodzi mężczyźni, uzbrojeni w pałki, noże i gdzieś tam włócznie i miecze. Tak jak przepowiedział Hermogenes, Żydzi byli w stanie bronić się sami przed tłumem z Hipodromu. To nie był ich pierwszy raz.

Ale teraz napięcie wreszcie opadło. Nawet najbardziej nerwowi młodzieniaszkowie zrelaksowali się i gawędzili beztrudnie z syryjskimi grenadierami. Zobaczyła wśród nich także kobiety i dzieci oraz staruszków. Dzieci przygnała tu ciekawość. Kobiety zaczynały nawiązywać znajomości z syryjskimi żonami. A staruszkowie, oczywiście, już ustawiali stragany z żywnością i drobiazgami, gdyż nie należeli do tych, co to marnują dobrą okazję. Życie znów toczyło się znajomym torem. A interes to interes.

- Bardzo dobrze - mruknęła. - Bardzo dobrze.

Eufroniusz usiłował zachować godność oficera, ale wyraźnie mu ulżyło, kiedy usłyszał słowa aprobaty. Uśmiechnęła się do niego.

- Zostaw tu połowę grenadierów, Hermogenesie. Oraz Trifodorosa i jego piechotę. Na wszelki wypadek. Nie wygląda na to, żeby Zieloni mieli tędy dzisiaj przechodzić. Może to dlatego, że oni zazwyczaj stają po stronie monofizytów. A może po prostu się zlekli. W razie gdyby zmienili zdanie, chcę, żeby grenadierzy wybili im z głowy te głupoty.

Dowódca skinął głową.

- A w międzyczasie chcę, żebyś wraz z całą resztą poszedł za mną.

Przechyliła głowę, podziwiając zavalony sklep. Jej uśmiech stał się naprawdę paskudny.

- Potrzebuję ekspertów od demolowania.

\* \* \*

Kiedy zapadł zmrok, klasztor świętego Marka był tylko kupą gruzów. Pod zwałem drewnianych belek i suszonych na słońcu cegieł spoczywało co najmniej stu pięćdziesięciu najbardziej ortodoksyjnych mnichów. Nikt nie znał ich dokładnej liczby. Zakonnicy wyrzaskiwali obelgi z okien i drzwi budynków na otaczające ich wojsko. Przysięgali, że nigdy się nie poddadzą. I szczególnie paskudnie odnosili się do niskiej kobiety w zbroi, która siedziała na wielkim koniu.

*Nie poddamy się Nierządniczy Babilońskiej!*

A także inne rzeczy, które były znacznie bardziej wulgarne.

Antonina nie przejmowała się obelgami. Ani trochę. Nie przyjęłaby kapitulacji, nawet gdyby ją o to błagali. Tak więc czekała radośnie przez kilka minut, a potem kazała rzucić granaty. Chciała, aby opinia publiczna zapamiętała sobie, że to tamci wydali na siebie wyrok, a nie odwrotnie.

Lecz kiedy grenadierzy zapędzali mnichów coraz głębiej i głębiej do środka monasteru, mamrotała sobie pod nosem radosną mantrę.

*Ona wróciła, ona wróciła!*

*Nierządnica wróciła!*

Chichotała cicho, kiedy saperzy zakładali ładunki.

*Zatem, Aleksandrio!*

*Twój czas nadszedł!*

Śmiała się głośno, kiedy mury klasztoru runęły z hukiem.

*Tak oto padają sprawiedliwi!*

## Rozdział 34

Następnego ranka Antonina wstała przed świtem, o godzinie, w której zazwyczaj jeszcze mocno spała. Lecz była zdecydowana przejąć kontrolę nad Egiptem i nie zamierzała dać opozycji ani chwili czasu na odzyskanie równowagi.

Wokół niej krzatali się słudzy. Przygotowywali dla niej śniadanie i ubranie. Kiedy miała właśnie włożyć zbroję, ujrzała ze zdumieniem, że jej pokojówka przygląda się kirysowi z dziwnym wyrazem twarzy.

- Przynaję, to jest naprawdę obsceniczne - zachichotała.

Podeszła bliżej i popatrzyła na kirys, leżący na ławce stojącej pod przeciwległą ścianą sypialni. Napierśnik mierzył wypukłościami w sufit.

- Ten płatnerz, który wymodelował dla mnie kirys, sprawił, że moja reputacja musi być przedmiotem bajan starych bab. Przecież nie mam takich wielkich cycków - dodała stanowczo.

Pokojówka popatrzyła na nią z wahaniem, niepewna, co ma odpowiedzieć. Dziewczyna była nowa. Poprzednia pokojówka Antoniny zachorowała na morzu, więc w pośpiechu sprowadzono inną. Należała do poprzedniego właściciela pałacu, a odnalazł ją szef służących, Dubazes.

Kiedy zajęli pałac, zostało w nim zaledwie paru służących. Były właściciel uciekł, gdy na horyzoncie ukazała się flota Antoniny i zniszczyła wojenne galery, blokujące drogę do Wielkiego Portu. Był to grecki szlachcic, blisko związany z Pawłem i Ambrozjuszem. Najwyraźniej doszedł do wniosku, że ucieczka stanowi najlepsze rozwiązanie. Zamierzał przeczekać zawieruchę w swojej posiadłości w dalekim Oksyrynchos.

Wysłanniczka cesarzowej rozmyślała sobie o tym Greku, gdy pokojówka pomagała jej założyć zbroję. A właściwie nie o nim samym... nawet nie знаła jego imienia, ale o tym, co reprezentował. Nie był osamotniony w swoich działaniach. Spora część greckiej szlachty w Aleksandrii zachowywała się podobnie.

Kiedy zajęła się mocowaniem pochwy, w której tkwił jej tasak, a nie było to łatwe zadanie, bo pokojówka zupełnie nie potrafiła jej pomóc, podjęła decyzję. A właściwie dwie decyzje. A może nawet trzy.

Po pierwsze nie wyciągnie konsekwencji względem szlachty, która stanęła z boku i pozostała neutralna podczas trwania konfliktu. Oszczędzi nawet tych, którzy uciekli. Chciała po prostu przywrócić cesarską kontrolę nad miastem. Większość ortodoksyjnej greckiej szlachty, a już szczególnie w samej Aleksandrii, i tak będzie wrogo nastawiona do dynastii, nieważne, jak postąpi. Tak długo, jak ta wrogość nie zostanie otwarcie okazana, zwyczajnie ją zignoruje. Szepty na salonach jej nie przeszkadzały, nie tak jak zamieszki na ulicach.

Druga decyzja wpływała bezpośrednio z pierwszej. Każe Dubazesowi, żeby dopilnował pałacu. Po tym, jak już się przeniesie do swojej nowej rezydencji w posiadłości prefekta. Obecna kwatera musiała odzyskać pierwotny, nie naruszony stan. Nowy prefekt zainstalował się w pałacu poprzedniego dnia. Nie pojawiły się żadne sprzeciwy. Jego poprzednik uciekł do obozu wojskowego w Nikopolis razem z Pawłem, aby połączyć się z Ambrozjuszem i jego Armią Egiptu.

Prychnęła cicho. Jeżeli szlachcic, kimkolwiek on jest, wróci po kryjomu do swego pałacu, będzie zaskoczony, gdy zobaczy, że nic nie zostało zniszczone ani ukradzione. Oczywiście to odkrycie nie sprawi, że stanie się nieco bardziej przychylny władzy rzymskiej, ale mała manifestacja samodyscypliny i to, co się za nią kryje, może wzmocnić jego przekonanie, że najlepiej nie wychylać się z tłumu.

I to wystarczy.

I na końcu - mała rzecz, ale...

Zerknęła na swoją pokojówkę, po czym przyjrzała jej się uważnie. Kiedy dziewczyna zorientowała się, że jest oceniana, skromnie pochyliła głowę.

*Egipcjanka. Nie ma nawet dwudziestu lat. Założę się, że z Fajum. Dobrze mówi po grecku, ale nie wyzbyła się akcentu.*

- Jak się nazywasz? - spytała.

- Kutina - odparła dziewczyna.

- Jesteś monofizytką?

Kutina uniosła oczy, zaskoczona. Antonina nie mogła nie zauważyć strachu na jej twarzy. Machnęła uspokajająco ręką.

- To nie ma dla mnie znaczenia, Kutino. Po prostu... *Chciałam wiedzieć, względem kogo jesteś lojalna. Egipska monofizytką z Fajum. Tak.*

Przeszła z greki na ojczysty język dziewczyny. Antonina ciągle mówiła płynnie po koptyjsku mimo tego, że długi pobyt w Konstantynopolu przydał jej wymowie obcy zaśpiew.

- Opuszczam to miejsce, Kutino. Dzisiaj. Moja pokojówka nie odzyskała jeszcze sił po chorobie morskiej. Będę musiała odesłać ją do Konstantynopola, żeby odpoczęła na łonie rodziny, więc potrzebuję nowej pokojówki. Czy chcesz objąć to stanowisko?

Kutina patrzyła na nią niepewnie. Pytanie o wiarę najwyraźniej wytrąciło ją z równowagi. Prześladowania Pawła były naprawdę bardzo okrutne.

- Wolalabym monofizytkę, Kutino. - Uśmiechnęła się i poklepała ciężki kirys. - Nie noszę tej groteskowej rzeczy, żeby się uchronić przed heretykami. Przecież o tym wiesz.

Kutina zaczęła się uśmiechać.

- Jesteś bardzo sławna - powiedziała cicho. - Bardzo się bałam, kiedy przybyłaś. - Spojrzała na ostrze, umieszczone w pochwie przy pasie Antoniny. - Wszyscy słyszeliśmy o tym tasaku, nawet tutaj, w Aleksandrii.

- Zawsze używałam go tylko i wyłącznie przeciwko zdrajcom.

- Wiem - odparła kiwając głową. - Ale...

Nagle całe jej wahanie znikło.

- Będę zachwycona. - Teraz aż cała promieniała. - To będzie takie ekscytujące! Wszyscy mówią, że niebawem ruszysz do walki z Malawianami. Czy ja też będę mogła iść z tobą?

Teraz to Antonina się zdziwiła. Zamierzała korzystać z usług dziewczyny tylko tutaj, w Aleksandrii. Ale teraz, gdy zobaczyła zapał na twarzy Kutiny, zaczęła się nad tym zastanawiać. Młoda Egipcjanka najwyraźniej nie przejmowała się niebezpieczeństwem. To nuda, a nie niebezpieczeństwo, była jej odwiecznym wrogiem.

I był to wróg, którego żona Belizariusza doskonale pamiętała z czasów dzieciństwa. Nieustanna, męcząca, monotonna praca kobiety urodzonej jako biedna Egipcjanka. Kutina prawdopodobnie opuściła Fajum w poszukiwaniu lepszego życia i trafiła do Aleksandrii. I przekonała się, że zamieniła znój wieśniaczki na zmęczenie domowej służki.

Nie potrafiła odmówić tej zapalanej dziewczynie. Prawda, w towarzystwie Antoniny być może czekają śmierć, ale przynajmniej nie będzie się nudzić.

A poza tym Antonina potrzebowała zaufanych służących. Jeden Dubazes jej nie wystarczał. Była pewna, że w jej otoczeniu muszą być szpiedzy Malawy. Musiała się upewnić, że nie przeniknęli jeszcze do jej najbliższych towarzyszy.

*Kutina z Fajum. Tak. Znam ten rodzaj. Malawianie nie będą mogli zaproponować jej niczego ponad pieniądze, a ja...*

Roześmiała się. W końcu Belizariusz nie oddał całej swej fortuny Szakuntali, żeby ta mogła



rozpętać powstanie w Indiach. A także tylko połowę swoich łupów przeznaczył dla katafraktów.

*Jestem bogatsza niż wszyscy szpiedzy Malawy razem wzięci.*

Wyszczrzyła zęby w uśmiechu.

- Dobrze, Kutino. I zapłacę ci nieźle. Znacznie lepiej niż twój były pracodawca.

Na twarzy pokojówki pojawiła się dziwna mieszanka emocji. Przyjemność na myśl o nieoczekiwanej podwyżce; złość na wspomnienie poprzedniego pana. Ten człowiek musiał być prawdziwym sknerą. Antonina była pewna, że połączył tę cechę z częstymi umizgami. Kutina była ładna i młoda.

- I nie będę się dobijać do twojego pokoju w nocy - dodała z uśmiechem - żeby cię zdybać w łóżku.

- Co za świnią! - syknęła Kutina.

Nadszedł czas do wymarszu. Czas na rozgromienie militarne buntu. Lecz dowódczym dawno już się nauczyła, że trzeba doceniać wszystkie zwycięstwa... zarówno małe, jak i duże. Zatem poświęciła jeszcze chwilę, żeby spojrzeć ciepło na swoją nową pokojówkę. W oczach dziewczyny wyczytała przysięgę lojalności, i to względem jej osoby, a nie sakiewki.

Pokojówka pierwsza przerwała milczenie.

- Musisz już iść! Naprawdę! - Zaczęła wypychać Antoninę z pokoju, jednocześnie szarpiąc się z pochwą, w której tkwił tasak. - Piekło czeka na Ambrozjusza!

Wyszły na korytarz, a pokojówka nadal biegła wokoło swej pani. Teraz walczyła z paskami mocującymi kirys.

- Zresztą on i tak prawdopodobnie nie będzie z tobą walczył. Jego żołnierze będą oślepieni słońcem, które odbija się od twych mosiężnych cycków. Pomyśl, że jesteś jakimś gigantem, bo masz takie wielkie cyce! Będą przerażeni i uciekną w popłochu!

Poważni oficerowie, którzy czekali na nią w przejściu, na chwilę zamarli. Byli zaskoczeni... ale także podniesieni na duchu. Przed nimi pojawiła się nagle ich przywódczyni, na którą czekała niebezpieczna misja. A ta mała kobieta wprost zanosila się śmiechem. I był to najradośniejszy śmiech, jaki słyszeli z jej ust. I to w poranek decydującej bitwy.

Ta myśl dodała im otuchy. Poważne i stanowcze twarze stały się jeszcze groźniejsze.

A Antonina śmiała się i śmiała całą drogę do koma, który czekał na dziedzińcu. Nie była pewna, co ją tak rozśmieszyło. Może była to myśl o brązowych piersiach. A może fakt, że jej dobry nastrój tak bardzo podniósł morale żołnierzy.

*Tak czy siak. To nie ma znaczenia. Po małych zwycięstwach przychodzą większe.*

\* \* \*

Kiedy jej armia maszerowała ulicami Aleksandrii, podążając w kierunku Nikopplis, gdzie od wczesnych lat Cesarstwa stacjonował rzymski garnizon, Antonina przy okazji usiłowała poznać nastawienie ludności. Na ulicach kłębiły się tłumy, obserwujące przemarsz wojsk. Większość stanowili Egipcjanie i biedni Grecy. Lecz wszyscy się cieszyli - Egipcjanie wykrzykiwali głośno radosne powitania, a Grecy byli bardziej powściągliwi.

W mieście już rozeszły się wieści, że Teodozjusz został nowym patriarchą. Egipcjacy monofizyci nie posiadali się z radości. Teodozjusz był przecież jednym z nich. Prawda, dryfował raczej ku szkole seweryjskiej, której zasady nakazywały godzić się z oficjalnym Kościołem, a nie walczyć przeciwko niemu, jak to było w zwyczaju wśród egipskich monofizytów. Ale mieszkańcy Aleksandrii egipskiego pochodzenia nie patrzyli na te sprawy w taki sam sposób jak fanatyczni monofizycy mniisi z pustyni. Mieli już dość ulicznych zamieszek i prześladowań. Nie obchodziły ich zasady doktryny. Cesarzowa Teodora była jedną z nich i umieściła w Kościele Świętego Michała ich

współwyznawcę.

To był dobry, a nawet więcej niż dobry powód, żeby ogłosić ten dzień świętem.

Greccy mieszkańcy, obserwujący przejazd Antoniny i również cieszący się na jej widok, czerpali mniejszą radość z zasłyszanych wieści. Oczywiście wielu Greków z Aleksandrii także wyznawało monofizytyzm. W rzeczywistości wszyscy przywódcy tego ruchu byli Grekami, nawet jeżeli czerpali siłę z nieprzebranych mas egipskich wyznawców, ale większość Greków, nawet najbiedniejszych, pozostała ortodoksami.

Lecz nie byli oni szlachetnie urodzeni. Do grupy tej należeli krawcy, piekarze, powroźnicy, szklarze, handlarze, papiernicy, kupcy, służący, rybacy, handlarze zbożem i wielu wielu innych. Niektórym wiodło się doskonale, inni przymierali głodem, ale żaden nie należał do bogaczy. I wszyscy, nawet tu, w Aleksandrii, darzyli szacunkiem Cesarstwo Rzymskie, które stanowiło dla nich potęgę i siłę.

Ta opinia wykrystalizowała się w samym Konstantynopolu po stłumieniu powstania Nika. Przywieźli ją stamtąd marynarze i kupcy, którzy mierzyli całe rzymskie społeczeństwo jedną miarą i zarazili tym wszystkie ludy, wchodzące w skład Cesarstwa. Od Dunaju po Elephantine, od Cyreny po Trebizont wielkie masy rzymskich obywateli usłyszały wieści, a następnie poddały je pod dyskusję i po wielu sporach wreszcie podjęły decyzję.

Dynastia, która władała Cesarstwem, jest ich dynastią.

Oczywiście, choć nigdy nawet nie przyszło im do głowy, żeby myśleć o władcach jako o przedstawicielach ludu. Cesarze byli cesarzami, a zwykli ludzie - zwykłymi ludźmi. Jedni rządzą drugimi. Takie jest prawo natury.

Lecz myśleli o nich jako o swojej własności. Nie dlatego, że władcy wywodzili się z ich klasy, chociaż to była prawda, a oni o tym wiedzieli i sprawiało im to przyjemność. Cieszyli się, bo dynastia rozumiała ich problemy, bo jej siła wynikała z ich wsparcia. A władca nie spuszczał oka z ich potrzeb i interesów.

Zwyczajni ludzie byli zwyczajnymi ludźmi, cesarze - cesarzami, i żyli na dwóch krańcach świata. Jednakże ciągle istniała różnica pomiędzy dobrym a złym cesarzem... różnica, którą zwykli ludzie mierzyli zupełnie inną miarą niż szlachta.

Obniżono podatki i złagodzono politykę finansową. Najbogatsza szlachta i skorumpowani urzędnicy zostali upokorzeni... To się zawsze podoba, szczególnie tym, którzy cierpią z ich rąk. Może nawet doszło do egzekucji. To jest dopiero popularne. Odzyskano stabilność, a wraz z nią warunki odpowiednie do życia dla rodzin, które musiały wykarmić swoje dzieci.

I w końcu był jeszcze Belizariusz.

Kiedy maszerowała ulicami miasta, Antonina była zaskoczona częstotliwością, z jaką imię jej męża pojawia się na ustach Greków. Egipcjanie także wyrzaskiwali imię generała, ale nie robiło im różnicy, czy pozdrawiali jego, czyją, czy cesarzową Teodorę.

Ale Grecy krzyczeli tylko jedno imię.

*Belizariusz! Belizariusz! Belizariusz!*

Nie obrażała się, oczywiście, że nie wołają jej, było bowiem oczywiste, że w tym okrzyku zawiera się także podziw dla niej samej. Przecież była żoną Belizariusza, i chociaż greccy arystokraci często wyszydzali generała, że pojął za żonę taką kobietę, całkowicie pozbawioną reputacji, było oczywiste, że tego dnia greccy mieszkańcy Aleksandrii nie mają nic przeciwko temu związkowi.

Grecy na swój sposób wspierali dynastię. Belizariusz mógł być Trakiem, a jego żona Egipcjanką, a w dodatku posadził na tronie swojego pasierba, który był pół Egipcjaninem, pół Bóg wie kim, ale

oni i tak uważali go za Greka. I to w sposób, który znaczył najwięcej wśród tej najdumniejszej nacji dumnego Cesarstwa Rzymskiego.

*Przecież skopał tyłki Persom, prawda? Tak samo, jak tym malawiańskimi psom. Kimkolwiek oni są.*

- Wieści o Anatha już się rozeszły - szepnął jej do ucha Hermogenes.

Antonina skinęła głową. Ona dostała informacje zaledwie wczoraj. Sieć przekaźnikowa ciągle jeszcze nie została ukończona, ale udało się przekazać wieści do Antiochii, a stamtąd pokonały trasę do Aleksandrii na szybkim kurierskim stateczku.

W raporcie nie było żadnej osobistej wiadomości, zaadresowanej do niej, lecz rozpoznała w słowach depeszy swojego męża. Ujrzała jego pokrętny umysł przy pracy i doceniła to, że sprytnie wykorzystał decydującą rolę greckich katafraktów w wielkim zwycięstwie nad Mała wianami.

Te wieści również już się rozeszły. Widziała to w uśmiechach greckich kupców, którzy pozdrawiali ją okrzykami. Poznawała w sposobie, w jaki greccy marynarze unoszą kubki, aby zasalutować przechodzącym żołnierzom.

*Dziękuję ci, mężu. Twoje wielkie zwycięstwo dało mi całą masę mniejszych.*

\* \* \*

Forteca w Nikopolis, gdzie ukryli się żołnierze Armii Egiptu, należała do najpotężniejszych rzymskich warowni. Nie było to zaskakujące. Garnizon stanowił punkt krytyczny panowania Cesarstwa nad Egiptem. Pola egipskie żywiły cały rzymski świat, a Konstantynopol bazował praktycznie tylko na nich, a w dodatku statki z ziarnem musiały przejść przez port w Aleksandrii. Od czasów Augusta każdy rzymski cesarz dbał o to, aby Egipt był bezpieczny. Od setek lat wzmocniano fortecę w Nikopolis, rozbudowywano ją, modyfikowano, podwyższano i znów wzmocniano.

- Siłą nigdy jej nie zdobędziemy - oznajmił Aszot. - Nie z tymi oddziałami, którymi dysponujemy. Nawet granaty są za słabe wobec tych ścian.

Spojrzał w górę, na umocnienia, gdzie na straży stała cała masa żołnierzy.

- Czyste samobójstwo dla saperów, którzy będą zakładać ładunki.

Aszot obserwował fortecę z odległości trzystu metrów wraz z Antoniną, Hermogenesem i innymi głównodowodzącymi oficerami wyprawy. Stali na kolejnym wielkim skrzyżowaniu aleksandryjskich ulic. Bardzo podobnym do tego, które znajdowało się w centrum miasta, chociaż to nie było aż tak wielkie. Miało nawet takie same tetrastylony.

Na początku forteca znajdowała się poza miastem, ale przez setki lat Aleksandria bardzo się rozrosła. Dzisiaj ludność liczyła setki tysięcy. Forteca już jakiś czas temu została otoczona przez przedmieścia nazywane Nikopolis.

Właściwie to było nawet dość rażące. Masywna kamienna budowla, przeznaczona do obrony miasta, wyrastała z morza małych sklepików i budyneczków z cegły suszonej na słońcu. Dawalo to komiczne wrażenie. Tak jakby majestatyczny lew spoczywał w otoczeniu kłębiących się myszy.

Tylko że dzisiaj nie było tu żadnych myszy. Sklepy pozamykano i zabezpieczono. Mieszkania były puste. Ludzie Nikopolis uciekli w popłochu, kiedy tylko usłyszeli, że nadchodzi Antonina, aby spuścić lanie Ambrozjuszowi. Przez cały ranek z dzielnicy wylewał się potok uchodźców, niosących ze sobą wszystkie cenne rzeczy, jakie tylko zdołali udźwignąć albo załadować na wózki.

- Zgadzasz się? - spytała Antonina Hermogenesa.

Mężczyzna pokiwał głową.

- Aszot ma rację. Znam tę fortecę. Stacjonowałem tu przez kilka miesięcy, krótko po tym, jak wstąpiłem do armii. Nie uwierzysz, jak grube są te ściany, zanim sama ich nie obejrzyysz.

Odwrócił się w siodle i spojrzał na Menandra.

- Czy zdołałbyś skruszyć je działami oblężniczymi? Tylko ty, jako jedyny z nas, widziałeś je w akcji.

Młody katafrakt cały się spiął, gdy stwierdził, że wszystkie oczy zwrócone są właśnie na niego, ale w jego głosie nie było wahania ani nieśmiałości.

- Tak, mógłbym, gdybym je miał. Lecz Jan powiedział mi wczoraj, że nie spodziewa się wyprodukować żadnych szybciej niż w kilka miesięcy. A nawet wtedy rozbicie ścian zajęłoby nam długie tygodnie. Nie wiem, czy Antonina może tyle czekać - dodał cicho.

- Absolutnie nie - zapewniła go stanowczo. - Im dłużej to trwa, tym większa szansa, że powstanie znów wybuchnie w innych częściach Aleksandrii. Albo i w całym Egipcie. Paweł ma wielu zwolenników w prawie każdym greckim mieście na trasie do Ombos i Syene, tuż poniżej Pierwszej Katarakty. Antinopolis i Oxyrynchos są prawdziwymi gniazdami niełojalnych Greków. Nie wspominając o...

Zamilkła. Wszyscy zebrani wokół niej oficerowie znali plan, który powstał w głowach Belizariusza i jego żony miesiące wcześniej. Zakładał on atak na niestrzeżoną południową flankę Malawian. Lecz młodszy oficerowie go nie znali. Przywódczyni nie miała powodu, żeby wątpić w ich lojalność, jednak bała się ryzyka, że któryś z nich wygada się w obecności szpiega Malawy.

Zatem ugryzła się w język i dokończyła zdanie w myślach.

*Nie wspominając o tym, że nie mam tygodni... miesięcy do zmarnowania w Aleksandrii! Muszę się dostać na Morze Czerwone i połączyć siły z Aksumitami. Najpóźniej do przyszłej wiosny. Wczesnej wiosny.*

Do głowy wpadła jej kolejna myśl, tym razem pełna gniewu.

*W przeciwnym razie, jeżeli nie będę gotowa, mój mąż zginie.*

Ale nie pokazała gniewu po sobie. Była chodzącym spokojem.

- Nie, panowie. Musimy szybko się rozprawić z tą pożałowania godną wojną domową.

Aszot szarpnął się za brodę.

- Mówię ci - warknął - jeżeli spróbujemy zaatakować to miejsce, to będzie rzeźnia.

Antonina uciszyła go gestem.

- Uspokój się, Aszocie. Nie jestem szalona. Nie zamierzam wygubić naszych żołnierzy we frontalnym ataku. Zresztą nie sądzę, żeby był on naprawdę konieczny.

Hermogenes także szarpał się za brodę.

- Oblężenie zajmie całe miesiące. Może nawet lata, bo nie mamy dział. W fortecy jest wystarczająco dużo zapasów. Starczą im na długo. I mają dwie studnie wewnątrz murów.

Antonina potrząsnęła głową.

- Nie myślałam też o oblężeniu.

Z trudem powstrzymała się od westchnienia, gdy zobaczyła zmieszanie na twarzach podkomendnych. Generałowie.

- Podchodźcie do sytuacji ze złej strony - oświadczyła. - To tak naprawdę nie jest problem militarny, tylko polityczny.

- Czy to nie ty powiedziałaś mi zaledwie wczoraj, że Ambrozsus nie zaatakuje nas podczas trwania walki z tłumem, bo potrzebuje paru dni, aby wywalczyć sobie lojalność swoich żołnierzy? - zwróciła się do Aszota.

Dowódca trackich katafraktów pokiwał głową. Uśmiechnęła się szeroko.

- Cóż, dostał ten dzień. Ale jak myślicie, udało mu się, czy nie? Z oddziałami?

Wszyscy jak na komendę zmarszczyli brwi.

Generałowie.

Wskazała na fortecę.

- Jak długo ci ludzie, to znaczy, mam na myśli żołnierzy, stacjonują w fortecy? Hermogenesie, wiesz może?

Młody merarcha wzruszył ramionami.

- Od lat. Większość garnizonu spędza w Egipcie cały czas służby. Nawet oddziały, które idą walczyć do odległych krajów, w końcu tutaj wracają.

- Tak właśnie myślałam. A teraz drugie pytanie. Gdzie oni mieszkają? Jestem pewna, że nie w samej fortecy. Służą tu latami, tak powiedziałeś. To oznacza żony, dzieci, rodziny. Prawdopodobnie jakieś niezależne interesy. Połowa tych żołnierzy, co najmniej połowa, musiała wżenić się w miejscowe rodziny. Być może inwestują w interesy teściów. Robią pieniądze na handlu ziarnem.

- Pewnie wszyscy - mruknął Aszot. - Taa, masz rację. Pieprzeni garnizonowcy. Kiedy idą na wojnę, potrzeba tygodni, żeby zrobić z nich żołnierzy. Pierwszy miesiąc spędzają na jęczeniu, że musieli zostawić swoje kwitnące interesy na pastwę losu i pazernych teściów.

Wreszcie oficerowie zaczęli rozumieć, o co jej chodzi.

A przynajmniej tak jej się zdawało.

- Masz rację, Antonino! - krzyknął podekscytowany Hermogenes. - To z pewnością zadziała!

Rozejrzał się po okolicy, szczególną uwagę poświęcając na zbadanie otoczenia wokół fortecy.

- Większość prawdopodobnie mieszka tutaj, w Nikopolis. Zaczniemy od palenia. A potem...

- Odnajdziemy ich żony i córki - przerwał mu oficer wykonawczy Kalikst. - Znajdziemy je, nieważne, gdzie się schowały, i...

- Nie będzie takiej potrzeby - wtrącił Ormianin. - Wystarczą jakiegokolwiek kobiety. Z tej odległości żołnierze i tak nie będą w stanie rozpoznać ich twarzy. Musimy znaleźć jakieś kobiety, rozebrać je do naga i pobiegać wokoło z kutasami na wierzchu, żeby trochę je postraszyć...

Antonina wreszcie nie wytrzymała.

- Co za idioci!

Jej koń, wystraszony, podskoczył w miejscu. Kobieta szarpnęła wodze, rozwścieczona do granic możliwości. Koń, dość rozsądne zwierzę, zamarł.

- Kretyni! Debile! Półmózgi! Co za idioci... cała banda! Chcecie, żebym zakończyła małą wojnę domową i rozpętała większą? Co się z wami dzieje, do diabła?

Oficerowie uciekli wzrokiem przed jej płonącym spojrzeniem. Antonina skrzyła się w siodle i popatrzyła na Menandra z wściekłością.

- I ty! Może chociaż ty nie jesteś na tyle stary, żeby już zupełnie postradać rozum! Może, Jak byś sobie z tym poradził?

Przez chwilę Menander nie mógł wykrztusić z siebie ani słowa, tak był wystraszony. Wreszcie odchrząknął.

- Cóż. No cóż. Właściwie, gdy rozmawialiście, ja myślałem o tym, jak generał... to znaczy, Belizariusz... poradził sobie z Kuszanami. To znaczy, za drugim razem... z Kuszanami za drugim razem... nie za pierwszym, kiedy oszukał Venandaktrę, który odesłał ich i zamienił na innych strażników... ale tymi innymi, a on... no... Kuszanie nas pilnowali, ale nie wiedzieli, że imperatorowa... to znaczy: Szakuntala, nie Teodora... była ukryta... no więc...

Przerwał, gdyż już zupełnie się zaplątał. Wreszcie wziął głęboki, drżący oddech.

- Mam na myśli to, że tamtym razem bardzo mnie to zdumiało. Jak generał użył miodu zamiast octu.

Antonina westchnęła i lekko się odprężyła.

- Dostałeś awans - warknęła - Od teraz jesteś trybunem, Menandrze.

Kiedy spojrziała na pozostałych oficerów, w jej oczach nie było już ognia.

Ale czał się w nich lód, czysty zielony lód.

- Słuchajcie, co macie robić. Znajdziecie ich żony i córki, a także synów i ojców, i matki, i braci, i jeżeli już o tym mowa, to i kuzynów w drugim pokoleniu, i ciotki, i całą resztę krewnych tych żołnierzy, zamkniętych w fortecy.

Znów odetchnęła głęboko. Miała nieruchome, lodowate oczy.

- A dokładniej to Szpitalnicy odwalą całą robotę, a wy i wasi katafrakci będziecie tylko ich eskortować. I będziecie tacy grzeczni i mili jak ci słodcy chłopcy, którzy służą do mszy... w przeciwnym razie zrobię z waszych flaków obiadek. A Szpitalnicy przekonają rodziny żołnierzy, że ta potencjalnie katastrofalna sytuacja, tak niekorzystna dla ich ojców, i synów, i mężów, i braci, i tych kuzynów w drugim pokoleniu, może się zmienić, jeżeli ich rodziny wrócą do swoich domów i pootwierają sklepy. I co najważniejsze, wezmą się do gotowania obiadu.

- Do gotowania obiadu? - zakrztusił się Hermogenes.

Dowódczym uśmiechnęła się przebiegle.

- Tak. Obiadu. Wielkiego obiadu na sto osób. Takiego jaki pamiętam z dni mojego pobytu w tym mieście. Wielce pachnącego obiadu. Takiego, który czuć z wielu kilometrów.

Popatrzyła na fortecę, ciągle uśmiechnięta.

- Niech ci żołnierze go poczują, gdy będą rzuć garnizonowe suchary. Niech myślą o swoich ciepłych łózkach... z żonami, kiedy będą spać w pełnej zbroi na zimnych kamieniach krużganków. Niech myślą o swoich małych sklepikach i obietnicach teściów, że to właśnie oni odziedziczą rodzinny interes, kiedy Ambrozjusz będzie wygłaszał te swoje idiotyczne przemówienia.

- Nigdy się na to nie zgodzą - jęknął Aszot. - To znaczy: te ich żony i córki. I ich rodziny.

Skrzyżował ramiona i odważnie spojrzął Antoninie w oczy.

- Nie wrócą. Nie z nami. Do diabła, ja bym nie wrócił, gdybym był na ich miejscu.

W odpowiedzi zobaczył lodowaty uśmiech.

- W to mogę uwierzyć. I dlatego właśnie was tu nie będzie. Ani ciebie, ani twoich katafraktów. Ani Hermogenesa, ani jego piechoty.

Tylko ja tu będę, jako gwarancja. Jako zakładnik, jeżeli chcecie myśleć o tym w ten sposób.

- Co?! - wrzasnął Hermogenes. - Sama?

Nagle Antonina uśmiechnęła się ciepło.

- Sama? Oczywiście, że nie! Cóż za głupi pomysł! Moi grenadierzy zostaną ze mną. A także ich żony i dzieci.

Wszyscy oficerowie zagapili się na Eufroniusza. Młody Syryjczyk skrzyżował ręce na piersi. A potem uśmiechnął się od ucha do ucha.

- Świetny pomysł. Nikt nie będzie się bał, że go zgwałcimy. - Zadrzał. - Boże, moja żona chyba by mnie zabiła!

Katafrakt z Armenii znów spojrzął na żonę Belizariusza. Niski, muskularny Ormianin praktycznie dusił się ze złości.

- A co, jeżeli Ambrozjusz was zaatakuje? - spytał. - Czy myślisz, że grenadierzy... całkiem sami... dadzą sobie z nim radę?

Antonina nawet się nie zawahała.

- W rzeczy samej, tak. A przynajmniej tutaj.

Pokazała palcem na drogę prowadzącą do fortecy.

- To nie jest otwarte pole bitwy, Aszocie. Ambrozjusz może mnie podejść tylko dwiema drogami. Może wysłać swoich żołnierzy mały mi, krętymi uliczkami... co całkowicie zda ich na łaskę moich

grenadierów... na takim terenie nie mają szans.

Wszyscy oficerowie potrząsali głowami. Żaden katafrakt przy zdrowych zmysłach nawet nie próbowałby pchnąć opancerzonych jeźdźców w ten labirynt, przypominający króliczą norę.

- Albo może zaatakować pełną siłą tym bulwarem. Co zapewne zrobi, jeżeli w ogóle cokolwiek przyjdzie mu do głowy. Tym pięknym bulwarem, który jest dość szeroki, żeby skusić jeźdźca, ale nie dość szeroki, aby na nim manewrować całym oddziałem.

Spojrzała na ulicę, o której była mowa, z niemalże czułym uśmiechem.

- I tak, na tym terenie, moi grenadierzy zamienią jego żołnierzy w siekane mięso.

Wyprostowała się w siodle, aby wydać się wyższą. Oczywiście nie na wiele się to zdało.

- Róbcie, co powiedziałam.

Jej oficerowie bez dalszych protestów rozpięzchli się niczym stadko kuropatw.

Prawdopodobnie spowodował to żelazo pobrzmiwające w jej głosie.

Ale istniało także niewielkie prawdopodobieństwo, tylko niewielkie, że kiedy się wyprostowała i pałace słońce Egiptu odbiło się od jej kirysu, generałowie zostali na chwilę oślepieni. I przez chwilę zdawało im się, że ta mała kobietka jest prawdziwym gigantem.

\* \* \*

W południe następnego dnia wróciły do Nikopolis pierwsze rodziny. Antonina witała ich na miejscu. Siedziała przed pawilonem, który specjalnie dla niej wzniesiono na środku bulwaru.

Nowoprzybyli zbliżali się do niej nieśmiało. Lecz kiedy się przekonali, że legendarna Antonina, posiadaczka sławnego tasaka, w rzeczywistości jest najbardziej czarującą i słodką panią, szybko zaczęli się ośmielać.

Kiedy zapadł zmrok, w mieście były już setki mieszkańców. Grenadierzy powoli zaprzyjaźniali się z miejscowymi. Wszyscy Syryjczycy mówili po grecku, nawet jeżeli nie posługiwali się tym językiem zbyt płynnie, więc z łatwością dogadywali się z rodzinami żołnierzy. Miejscowi posługiwali się głównie koptyjskim, ale znali także grekę. Było to typowe dla mieszkańców Aleksandrii.

Następnego dnia rano rodziny żołnierzy czuły się tak, jakby znały grenadierów od wieków. Prawda, mężczyźni byli trochę straszni i mieli dziwną, hałaśliwą broń, zupełnie nieznaną, ale ich żony były czarujące, chociaż pochodziły z obcego kraju, podobnie jak dzieci. I trudno bać się człowieka, który bawi się ze swoim dzieckiem albo jest rugany przez żonę.

Pod koniec drugiego dnia do Nikopolis wróciła połowa jego mieszkańców. Obecność Antoniny jako zakładniczki w połączeniu z obawą o rodzinne interesy i domy okazała się dobrym magnesem.

Rankiem trzeciego dnia żona Belizariusza ogłosiła święto. Na własny koszt nakupiła jedzenia w całym mieście. Wielka aleja, nie dalej niż sto metrów od murów fortecy, zamieniła się w tymczasowy, gigantyczny, całodniowy piknik.

Kiedy święto trwało w najlepsze, niektóre żony zaczęły podchodzić pod mury fortecy. Wołały swoich mężów.

W pewnym sensie rozpoczęły się pierwsze negocjacje. Żołnierze zaczęli spuszczać z murów kosze na linach. Do góry powędrowało jedzenie, które miało nieco urozmaicić sucharową dietę garnizonu. A wraz z pysznościami powędrowały słowa żon, wykrzykiwane z dołu. Słowa próśb - w niektórych przypadkach. W innych - gróźb albo przymilań. A także korzystnych obietnic.

Antonina, siedząca u wejścia do pawilonu, liczyła każdy koszt jak uderzenie kul z działa. Każde kobiece słowo jak minę założoną pod murem.

Oparła się wygodnie na swojej leżance, otoczona małą gromadką miejscowych gospodyń domowych, które jednomyślnie obwołały ją swoją patronką, a do tego świętą, i cieszyły się, że mogą

przebywać w jej towarzystwie.

Wielkie zwycięstwa biorą się z małych.

Generałowie. Ba!

\* \* \*

Piątego dnia oblężenia zaczęły się pierwsze poważne kłopoty, Kiedy jedna z żon podeszła do murów fortecy, co teraz zdarzało się codziennie i stanowiło swoisty rytuał, przez tłumek żołnierzy tkwiących na fortyfikacjach przedarł się nieduży oddział oficerów.

Pomiędzy mężczyznami padło kilka gróźb. A potem jeden z oficerów wyrwał łuk z rąk najbliższego stojącego żołnierza i ze złością wycelował w ową żonę.

Na szczęście strzała chybiła celu. Przerażona, rozhisteryzowana i rozwścieczona żona znalazła się w poważnym niebezpieczeństwie, gdyż z murów leciał następny pocisk.

Był to sam oficer, na wpół martwy, zanim sięgnął bruku, rozciągającego się piętnaście metrów poniżej.

Roztrzęsiona żona podniosła lament, kiedy obryzgała ją jego krew. Wrzasnęła po raz ostatni, zakryła głowę rękoma i uciekła, gdy sześciu kolejnych oficerów podążyło w ślad za swoim kolegą.

Przez resztę dnia i przez całą noc tłum, stojący pod fortecą, mógł usłyszeć dobiegające ze środka odgłosy bójek i potyczek. Sama Antonina, która nie wychodziła z pawilonu, doskonale je słyszała.

Kobieta uznała, że Aszot i Hermogenes mogą już wrócić do Nikopolis. Pozwoliła nawet, żeby część żołnierzy Hermogenesa została w mieście jako wsparcie dla jej grenadierów, w razie gdyby doszło do otwartej bitwy. Ale katafraktów nadal trzymała poza zasięgiem wzroku miejscowych.

Teraz stała u wejścia do pawilonu w towarzystwie swoich dwóch oficerów i wsłuchiwała się w hałasy dobiegające z fortecy.

- To jeszcze nie jest walna bitwa - zaopiniował Hermogenes.

- Do niej jeszcze daleko - zgodził się Aszot. - To, co słyszysz, to setka małych bójek i potyczek.

Ambrozjusz właśnie przegrywa.

Dowódca piechoty zerknął na Antoninę z ukosa.

- Jutro zaatakuję. Założą się.

Aszot pokiwał głową.

- Nie ma innego wyjścia. Nie może pozwolić, żeby Antonina tak sobie tutaj siedziała, podczas gdy jego armia wymyka mu się spod kontroli.

- Jak myślisz, ilu mu jeszcze zostało? - spytała.

Dowódca katafraktów wzruszył ramionami.

- Jego katafrakci. A przynajmniej większość. Oni nie są Egipcjanami. To grecki oddział z Paflagonii. Są tutaj zaledwie od roku i nic ich nie łączy z miejscowymi. A poza tym wszyscy oficerowie, łącznie z trybunami, zostali osobiście wybrani przez Ambrozjusza.

Szarpnął się za brodę.

- Powiedzmy, sześć setek ludzi. A poza tym...

Szarpał się coraz mocniej. Raptem szeroko otworzył oczy.

- Mario, Matko Boska. Myślę, że to właśnie to. Mogę przyprowadzić trackich żołnierzy - zaczął mówić gorączkowo. - Te tłuste dupki z garnizonu nie będą mieć żadnych szans! Będziemy...

- Nie.

Wzrok, który spoczął na Aszocie, nie był lodowaty. Ani trochę. Kilka ostatnich dni przywróciło kobiecie dobry humor. Ale ciągle czaiła się w nim zapowiedź gniewu.

- Powiedziałam ci już, że tu mogą działać tylko moi grenadierzy. Tylko oni.

Ormianin westchnął, ale nie zamierzał się kłócić. Antonina nie zdejmowała teraz swojej zbroi.



Rozbierała się tylko do snu. Prawda, słońce już zaszło. Lecz w jej pawilonie świeciło się mnóstwo świec i wszystkie odbijały się w jej napierśniku, tak że wyglądała jak...

Jezu, pomyślał, jak jakakolwiek kobieta może mieć takie wielkie cyce?

\* \* \*

Noc dobiegała końca i hałasy w fortecy powoli ustały. A potem, o świcie, wybuchł wielki zgiełk. I szybko zaczął przypominać bitewny rwetes.

Antonina przygotowała swoich grenadierów dzień wcześniej. Kiedy bitwa w fortecy osiągnęła apogeum, dowódczym już była na ulicy, w pełnej zbroi i na koniu. Aszot i Hermogenes także siedzieli w siódlach, czekając u jej boku.

Przed nimi, w pełni uzbrojona i gotowa do walki, stała Kohorta Teodoryjska.

Trzy setki zostały zaopatrzone w całkiem nowe ręczne działa Jana z Rodos. Lufy wykonano z żelaznych sztab, zespawanych ze sobą i wzmocnionych żelaznymi obręczami. Osadzono je na drewnianych kolbach, kształtem pasujących do ramienia. Lufy miały około pół metra długości, a otwór w środku nie przekraczał dwóch i pół centymetra średnicy.

Działa załadowano nabojami z trzciny, które składały się z odmierzonej działki prochu na jednym końcu, przybitki z bawełny i ołowianej kulki po drugiej stronie. Ręczne działa nie miały spustu. Ładunki odpalano za pomocą lontu, czyli sznurka namoczonego w saetrze. Wchodził on przez mały otwór do komory zapłonowej, gdzie dotykał ładunku.

Jako ręczna broń palna były tak prymitywne, jak tylko mogły być. Jan z Rodos chciał poczekać, aż uda mu się wymyślić coś lepszego, ale Belizariusz nalegał, żeby wprowadzić te działa do produkcji. Z doświadczenia wiedział, że Jan nigdy nie jest zadowolony ze swoich wyrobów i nawet za sto lat nie uzna, że są one wystarczająco dobre. Malawianie nie zamierzali dać aż tyle czasu. Zatem te działa musiały na razie wystarczyć.

Strzelby były prymitywne. I niecelne. Wielu katafraktów śmiało się, obserwując ćwiczenia na Rodos, kiedy syryjscy strzelcy chybiali celu, który był tak blisko, że każdy szanujący się katafrakt trafiłby go z łuku, nawet pijany w sztok i z zamkniętymi oczami. Lecz przestali, gdy zobaczyli, co zostaje z celu, gdy trafi weń ołowiana kulka. Pociski potrafiły wbić się na kilka centymetrów nawet w solidny pień i miały znacznie większą siłę niż strzała wypuszczona z łuku.

Formacja Kohorty była tak dobrana, aby wyciągnąć jak najwięcej korzyści z broni palnej. Połowa strzelców stała na froncie Kohorty w sześciu liniach, rozciągniętych na całą szerokość bulwaru, czyli po dwudziestu pięciu ludzi w rzędzie. Pomiedzy każdą linią powciskano małe grupki piechoty Hermogenesa. Mieli oni długie piki, którymi zatrzymaliby szarżę, gdyby jeźdźcy przedarli się jakoś przez ogień zaporowy strzelców.

Pozostałych stu pięćdziesięciu grenadierów znajdowało się na dachach okolicznych budynków, na odcinku jakichś pięćdziesięciu metrów w dół ulicy, w pełnej gotowości. Reszta Kohorty, uzbrojona w granaty, stała na tyłach strzelców. W dłoniach trzymali proce.

W fortecy już naprawdę wrzało. Chwilę później brama zaczęła się otwierać. A potem, przy akompaniamencie brzęku stali walącej o drewno, ciężkie odrzwia odskoczyły i zatrzymały się na wpół otwarte.

- Chryste - mruknął Aszot. - Ten biedak, Ambrozjusz, musi sobie wywalczyć drogę na zewnątrz fortecy. Ale tam musi być bałagan!

Nagle brama otworzyła się do końca. Parę sekund później pierwsze szeregi katafraktów Ambrozjusza zaczęły wylewać się na ulicę.

Natychmiast stało się jasne, że żołnierze wroga są całkowicie zdezorientowani i pozbawieni dowództwa.

- To nie szarża! - zawołał dowódca piechoty. - Po prostu próbują uciec z fortecy.

- Pieprzyć ich - syknęła Antonina. - Eufroniuszu!

Dowódca Kohorty Teodoryjskiej machnął ręką, nawet się nie odwracając. Pierwsi katafrakci byli nie dalej niż dwieście metrów od jego grenadierów. Czyli w zasięgu najlepszych procarzy.

- Przygotować proce! - wrzasnął. - Ognia!

Dwudziestu grenadierów, stojących z tyłu, uniosło dłonie i zawirowało z gracją, typową dla procarzy. Pociski poleciały w dal.

Dwudziestu najlepszych grenadierów miało za żony najlepsze przycinaczki lontów. Tylko trzy granaty wylądowały za blisko. Żaden nie poleciał za daleko. Tylko dwa wybuchły za późno. Żaden za wcześniej.

Tłum katafraktów, wylewający się z fortecy, liczący teraz około czterech setek żołnierzy, został dosłownie zmiażdżony piętnastoma granatami, które upadły w sam środek. Chwilę później wybuchły pociski z dłuższymi lontami.

W rzeczywistości katafrakci nie odnieśli poważniejszych obrażeń. Ciężki pancerz, zaprojektowany tak, aby chronić przed silnymi pchnięciami perskich deganów, posługujących się kopiami i toporami, był praktycznie nie do przebicia dla lekkich pocisków, jakimi wypełniano granaty. I podczas gdy zbroja nie mogła ochronić ich przed wstrząsem mózgu, śmierć w wyniku eksplozji mógł ponieść tylko człowiek stojący bardzo blisko rozrywającego się granatu.

Ale ich konie...

Zbroja, którą zakładano kawaleryjskim koniom, była nawet jeszcze cięższa, ale chroniła tylko głowę, klatkę piersiową i ścięgna. Granaty, a szczególnie te, które wybuchły tuż przy ziemi, pogruchoły końskie nogi i porozrywały brzuchy. I co najważniejsze ze wszystkiego, wywołały istną panikę wśród przerażonych, nieprzyzwyczajonych do huków zwierząt.

Katafrakci Ambrozjusza i tak byli tylko zwykłym tłumem. Lecz teraz stali się tłumem, który desperacko usiłuje zejść z linii strzału. Z bramy wylewały się kolejne fale żołnierzy, dodając swoje do zamieszania panującego pod bramą. Kolejna ławica granatów szybowała w ich kierunku. Jeszcze więcej koni zważyło się na ziemię.

Kolejna salwa wybuchła w centrum grupy katafraktów.

Po tym uderzeniu Ambrozjusz stracił ostatnie lojalne oddziały. Żołnierze myśleli teraz tylko i wyłącznie o własnej skórze. Rozpadli się na małe grupki albo nawet pojedyncze osoby. Przerazeni katafrakci popędzili w małe uliczki Nikopolis.

Ale dokąd uciekali? Kto wie? Po prostu... gdziekolwiek.

Byle nie tutaj.

Tam, gdzie zwykli żołnierze nie buntowali się bez powodu.

Tam, gdzie granaty nie kaleczyły ciała.

Tam, gdzie ich oczu nie oślepiało egipskie słońce, odbite od wielkich, okrytych brązem cycków kobiety-giganta.

Gdziekolwiek, byle daleko stąd.

\* \* \*

Antonina złapała niedoszłego cesarza dwa dni później. A właściwie w pewnym sensie.

Po tym, jak mała grupka podkomendnych Ambrozjusza wynegocjowała sobie bezpieczne wyjście z fortecy na wolność, przyjechali oni do pałacu Antoniny, który wcześniej stanowił posiadłość prefekta, eskortowani przez tuzin katafraktów.

Mieli ze sobą ciało, zawinięte w lniany całun.

To był Ambrozjusz. Był dowódca Armii Egiptu zginął od ciosu w plecy. Ktoś dziabnął go kilka

razy.

*To on nam kazał to zrobić.*

*Jesteśmy lojalnymi Rzymianami. Naprawdę.*

*On nam kazał*

*Nigdy już tego nie zrobimy, nikomu.*

*Nigdynigdynigdynigdy.*

*Obiecujemy.*

\* \* \*

Antonina pozwoliła im odejść. A nawet wcieliła lojalnych oficerów z powrotem w szeregi Armii Egiptu. Oczywiście, po uprzednim zdegradowaniu. Ale nawet tę karę udało jej się osłodzić. Częściowo informacją, że musi zrobić miejsce dla oficerów nowego dowódcy, który przywiózł ze sobą własnych podkomendnych, ale głównie dzięki obietnicom przyszłych zysków, jakie rzymscy żołnierze zdobędą na pokonanych Malawianach.

Oficerowie nie narzekali. I tak się. cieszyli, że nie kazała ich obwiesić.

Ku jej zaskoczeniu usłyszała za to narzekania szeregowych żołnierzy Armii Egiptu. Byli oni niezadowoleni, że tak lekko potraktowała katafraktów, którzy tak paskudnie obeszlą się z ich żonami. Nawet próbowali jedną zastrzelić z łuku. Ci, którzy wyrwali się z ich rąk i uciekli z fortecy, zostali oszczędzeni, a żołnierze uważali, że to niesprawiedliwe.

Lecz nie narzekali zbyt głośno i nie odważyli się na nic więcej. W końcu oni też stali na straconej pozycji.

Lepiej puścić tamte dni w niepamięć. Jeżeli dobrze się nad tym zastanowić i porównać zyski ze stratami.

\* \* \*

Naturalnie ktoś musiał zapłacić rachunek. Ambrozjusz nie żył, ale Antonina nie zawahała się powiesić jego ciała na fortecznych murach, gdzie kołysało się smętnie na wietrze ku przestrodze następców. Natomiast rachunek przedstawiła Pawłowi i byłemu prefektowi.

Obaj mężczyźni kryli się w jednej z komnat fortecy. Znalezione ich dopiero wtedy, gdy wszyscy katafrakci już uciekli. Paweł ciągle był hardy, prefekt błagał o litość.

Żona Belizariusza powiesiła prefekta natychmiast. Jego ciało kołysało się na wietrze ponad największym skrzyżowaniem miasta, zawieszona na jednym z wielkich filarów tetrastylonu.

A Paweł...

- Żadnych męczenników - oznajmiła, uciszając ruchem dłoni chór żądnych krwi doradców. Wszyscy domagali się śmierci z wyjątkiem Teodozjusza. - Prefekt to tylko jeszcze jeden martwy polityk. Nikt się tym nie przejmuje z wyjątkiem tych jego przydupasów, a i oni nie będą po nim długo płakać. Ale to jest przywódca religijny...

Wyprostowała się na krześle, które wyglądało na tron w każdym calu, służąc jej za siedzisko w wielkiej sali audiencyjnej w pałacu. Oczywiście, władza oficjalnie spoczywała w rękach nowego prefekta, ale tak naprawdę...

Stał w tłumie przed nią. Jeden spośród wielu.

Jej oficerowie zamrugali, widząc, jak się prostuje i wypina pierś. Tym razem nie dostrzegli osłepiającego błysku. Antonina przestała nosić swój kirys. Teraz znów była tylko stanowczą, małą kobietką. Bardzo porywczą, ale nie gigantem.

Jednak nawet sobie nie pomyśleli, widząc tę drobną figurkę, że mogliby się sprzeciwić, Gigant czy nie, cycki z brązu czy też nie, to nie była kwestia do roztrząsania.

Antonina siedziała na tronie i wydawała dekrety.

- Żadnych męczenników.

Teodozjusz odetchnął z ulgą. Kobieta zauważyła to i spojrzała na niego.

- A ty co radzisz, patriarcho? - zapytała z uśmiechem. - Może długi pobyt na wyspie Palmaria?

Przy kozach. Na następne piętnaście czy dwadzieścia lat.

- Doskonały pomysł! - zawołał duchowny. - To świetnie robi znękanym duszom - dodał obłudnie.

- Taki rodzaj prostej, fizycznej pracy. Wszyscy to wiedzą. To stały temat w wielu kazaniach.

Tak więc Paweł został wygnany na Palmarię. Tego samego dnia Antonina pożegnała go osobiście. Stała w porcie, aż statek podniósł żagle.

Dawny patriarcha ciągle był hardy. Przeklinał ją i wyzywał od nierządnic przez cały czas, kiedy stała na nabrzeżu, przez całą drogę z pałacu, i z rufy statku, który uwoził go na wieczne wygnanie.

Antonina odpowiadała na obelgi słodkim uśmiechem. Aż do chwili, gdy jego statek ledwie majaczył na horyzoncie.

Wtedy jej uśmiech zbladł. I zastąpiło go zmarszczenie brwi.

- Czuję się trochę winna - przyznała.

Aszot, który stał tuż obok, był zaskoczony jej słowami.

- Z powodu Pawła? Myślę, że ten bydlak miał wyjątkowe szczęście...

- Nie mówię o nim - prychnęła. - Mówię o tych biednych kozach.

# EUFRAT

*Jesień, 531 n.e.*

## Rozdział 35

- I gdzie jest ten twój atak z flanki? - pytał Maurycy. - Pamiętasz... ten, który przepowiedziałeś na wzgórzu tamtego ranka. Tydzień temu.

Belizariusz wzruszył ramionami. Opierał się wygodnie o szorstką kamienną ścianę jednej z wież artyleryjskich, wzniesionych przy tamie. Spojrzał obojętnie w płonące oczy Maurycego.

- Zapomniałem o negocjacjach - wyjaśnił.

- O jakich negocjacjach?

Belizariusz uniósł rękę i kciukiem pokazał przez ramię na południowy zachód.

- O tych, które Ormazd miał z Malawą w ciągu ostatnich kilku dni. - Sięgnął w dół i uniósł kielich do ust. Upił łyk.

Chiliarcha spojrział z niechęcią na naczynie.

- Jak możesz pić to gówno? Zobaczysz, niedługo zmienisz się w miejscowego, ja wiem, co mówię. Rzymianie, a już z pewnością Trakowie, powinni pić wino, a nie to... to... to perskie...

Generał uśmiechnął się krzywo.

- Uważam, że świeża woda z cytryną i sokiem z granatu jest naprawdę odświeżająca, Maurycy. Świetnie, że Baresmanas powiedział mi jak to robić.

Podparł się łokciem o ziemię.

- Poza tym - dodał - gdybym pił wino dzień po dniu, tkwiąc tutaj, na tej zapomnianej przez Boga tamie, teraz byłbym już całkowicie pijany.

- Anastazjusz i Walentynian piją wino - nadeszła natychmiastowa riposta. - I nie zauważyłem, żeby się potykali.

Belizariusz obrzucił swoich dwóch strażników zimnym spojrzeniem. Byli nie dalej niż cztery metry od niego. Podobnie jak Belizariusz przybocznicy korzystali z miłego chłodu, rzucanego przez artyleryjską wieżę.

- Z jego masą - warknął generał - Anastazjusz mógłby pić całą cysterne wina dziennie i nawet by nie poczuł. - Anastazjusz, który usłyszał jego słowa, popatrzył na swoją wielką postać z filozoficzną czułością. - A Walentynian... ha! Ten człowiek nie tylko wygląda jak łasica, ale także je i pije jak ona. - Na te słowa Walentynian spojrział na swoje szczupłe ciało ze swoją własną wersją filozoficznej czułości. Która przypominała nieco zadowolenie łasicy, właśnie opuszczającej kurnik.

Belizariusz nagle wstał. Tak naprawdę nie było potrzeby. Bezżyteczny ruch doskonale oddawał frustrację generała, który nie mógł znieść tygodniowego zastoju. Utknął pod tamą ze swoimi oddziałami i dzień po dniu odpierał niekończące się ataki i próby Malawian.

Z praktycznego punktu widzenia bitwa zamieniła się w oblężenie. Belizariusz był mistrzem umocnień, niezależnie, czy ofensywnych, czy defensywnych, ale osobiście nie lubił tego rodzaju zmagania. Wolał bardziej dynamiczne starcia, a nie tak proste bitwy.

I nawet nie miał okazji odprężyć się - jeżeli to dobre słowo - w bezpośredniej walce. Pierwszego dnia po dołączeniu do swojej armii, okopanej przy tamie, rzymski generał pierwszy rzucił się do obrony umocnień przed Malawianami. Ale nawet nim Anastazjusz i Walentynian zdołali go zatrzymać, syryjscy żołnierze broniący wschodniego odcinka tamy po prostu go przepędzili. A Liberiusz i Maurycy, jadący w tamtym kierunku, żeby wesprzeć oddziały piechoty, jeszcze go nawyzywali od przeklętych idiotów.

Oczywiście zimny umysł generała potrafił rozpoznać te objawy, a nawet dało mu to satysfakcję. Wiedział, że żołnierze zajadłe bronią bezpieczeństwa tylko tych dowódców, którzy są naprawdę podziwiani przez swoje oddziały. Ale człowiek, który mieszkał w umyśle generała, złościł się, miotał, przeklinał i wściekał.

Generał jak na razie nad nim panował. I tak od tygodnia. Belizariusz czekał, aż coś się wydarzy. Nigdy więcej już nie spróbował stanąć do walki w pierwszym szeregu, lecz każdego dnia jeździł w górę i w dół rzymskich umocnień. Zagrzewał żołnierzy do walki, rozmawiał z oficerami, organizował logistykę, a szczególnie... spędzał czas z rannymi.

Walentynian i Anastazjusz narzekali, Aide wrzeszczało ze strachu - **uwaga! Rakiety! Niebezpieczeństwo!** Ale Belizariusz był głuchy na ich jęki. Uznał, że jego żołnierze czują się pewniej, wiedząc, że ich dowódca jest bezpieczny z dala od bitewnego zamętu, lecz w głębi serca czerpią odwagę z jego widoku i cichej obecności.

Co do tego miał rację. Kiedy tydzień dobiegał końca, zawołanie wojenne jego armii powoli się przeobraziło.

Przez pierwsze trzy dni wołali: Rzym! Rzym!

Czwartego dnia, kiedy wyjechał na umocnienia, usłyszał swoje imię. Nie byłoby to dziwne, gdyż jego żołnierze często go pozdrawiali, ale teraz jego imię nie brzmiało jak zwyczajne pozdrowienie. Stało się kamieniem obrazy rzucanym we wroga. Cała rzymska armia używała tego imienia, żeby przekazać Malawianom jedną ważną wiadomość.

*Macie przesrane, wy dupki! Przesrane!*

*Belizariusz! Belizariusz!*

Belizariusz osuszył puchar i odstawił go na murek z siłą, która o mało co nie potłukła prostej ceramiki.

Zignorował ten dźwięk i obrócił głowę na zachód.

Jego oczy płonęły. Było późne popołudnie, słońce paliło mu twarz. Uniósł rękę i osłonił oczy.

- Chodź tutaj, Ormazdzie - warknął. - Zdecyduj się wreszcie. Nawet taki przeklęty aryjski książę jak ty nie potrzebuje aż tygodnia na podjęcie decyzji o zdradzie.

Maurycy także odwrócił głowę i podążył wzrokiem za spojrzeniem Belizariusza.

- Myślisz, że to właśnie ma tam miejsce?

- Liczę na to, Maurycy - odpowiedział łagodnie zapytany. - Mogę ci zagwarantować, że przez ostatni tydzień posłowie Malawy biegali w tę i z powrotem pomiędzy pawilonem Ormazda a...

Przez chwilę patrzył na południe. Zmrużył oczy, tak jakby mimo dystansu, siłą woli, mógł zajrzeć do wielkiego pawilonu, który Malawianie wzniesli na lewym brzegu Eufratu, dobrze ponad półtora kilometra od tamy. Był pewny, że to właśnie stamtąd Ogniwo wydaj e rozkazy swoim emisariuszom.

- Może masz rację - mruknął kwaśno Maurycy. - I ja też mam taką nadzieję. Jeżeli to przekłete oblężenie potrwa jeszcze parę dni, to... ech. - Machnął ręką, jakby ścierał łajno z fałd swojej tuniki.

Belizariusz nie odezwał się. Wiedział, że stary Trak nie boi się tego, że Malawianie przebijają się przez obronę Rzymian. Nie obawiał się także, że Malawianie w końcu zmęczą obrońców. Z Callinicum przez cały czas nadpływały barki z zapasami, tak że oblężeni byli lepiej zaopatrzeni niż oblegający. Rzymianie byli w stanie wytrzymać takie pseudo-oblężenie przez wiele miesięcy.

Ale... to było męczące. Męczyło nerwy i męczyło ciało. Od czasu pierwszego całodziennego i nocnego ataku, kiedy Malawianie ciągle podpływali pod mur i szarpali obrońców, straty były relatywnie nieduże. Jednakże lekkie straty to zawsze są straty. Ludzie, których znasz, umierają, zostają ranni, okaleczeni. Dzień po dniu, bez widoków na zmianę.

- Mam nadzieję, że masz rację - powtórzył. Kwaśno.

Generał postanowił, że należy zmienić temat.

- Agacjusz będzie żył - oznajmił. - Teraz jestem tego pewien. Widziałem się z nim wczoraj.

Chiliarcha spojrział w górę rzeki, gdzie poza zasięgiem malawiańskich rakiet kołysały się barki sanitarne.

- Miło mi to słyszeć. Byłem pewien. - Znów mruknął coś pod nosem. Ale tym razem nie kwaśno. Nieartykułowany dźwięk wyrażał podziw i niedowierzanie. - Nie sądziłem, że mu się uda - przyznał. - A już szczególnie po tym, jak odmówił podróży do Callinicum.

Belizariusz skinął głową. Większość rzymskich rannych po opatrzeniu ran odpływała do Callinicum, ale Agacjusz się sprzeciwił... a nawet zagroził, że będzie się bronił, gdy zwierzchnik nalegał na wyjazd. A więc został, a wraz z nim jego młoda żona. Sudaba była tak samo uparta jak Agacjusz i ani jej mąż, ani Belizariusz nie mogli jej namówić do wyjazdu. Nawet groźby nie podziałały.

Tak naprawdę Belizariusz był z tego zadowolony. Cyryl, który objął dowodzenie w oddziałach z garnizonu Konstantynopola, radził sobie doskonale, ale postawa Agacjusza doskonale wpływała na morale, i to nie tylko wśród Greków. Przez ostatni tydzień przez barcę, na której leżał ranny oficer, przewinęły się setki żołnierzy... nie wyłącznie Greków, ale też Traków, Syryjczyków i Illyryjczyków. Ranny był bardzo słaby, bo stracił mnóstwo krwi, i bardzo cierpiał, gdyż amputowano mu obie nogi, jedną nad kolanem, a drugą w kostce. Lecz znosił to wszystko ze stoicyzmem, którym zawstydziłby samego Marka Aureliusza, i nigdy nie zapomniał wymóc na swoich gościach przysięgi, że nie dadzą się pokonać Malawianom.

Generał usłyszał głos Aide.

**Początek i kres chwały rozważ w równej mierze**

**I mów, że moja chwała z przyjaciół się bierze.\***

- *Tak - szepnęła Belizariusz. - Tak.*

**To napisał poeta z przyszłości. Będzie się nazywał Yeats. Urodzi się dopiero za parę setek lat.**

Belizariusz wziął głęboki oddech.

*A więc dajmy ludzkości te setki lat. I miliony które nadejdą później.*

## Rozdział 36

W tej akurat chwili, w swoim namiocie, istota z przyszłości o imieniu Ogniwko właśnie podejmowała katastrofalną decyzję, dotyczącą się, Belizariusza.

Ogniwko skalkulowało wszystkie możliwości. Przeanalizowało szanse. Przemyślało opcje. A co więcej - tak dogłębnie zanalizowało generała, tak wnikliwie go oceniło, zbadało w tak wielu aspektach, że Belizariusz byłby zaskoczony, iż można się o nim dowiedzieć takiej masy rzeczy.

Oczywiście, Ogniwko mierzyło go miarą generała... bo tak rozumowało. Istota z przyszłości za pomocą swojej nadnaturalnej inteligencji usiłowała zgłębić pokrętny umysł Belizariusza. Do samego dna.

I całkowicie się pomyliła.

- A WIĘC ORMAZD SIĘ ZGODZIŁ?

Podkomendni Ogniwki, czterej oficerowie, kulili się na poduszkach - przed krzesłem, na którym siedziała stara kobieta. I z wigorem kiwali głowami.

- Tak, czcigodna pani Holi - odezwał się jeden. - Poprowadzi swoje oddziały z pozycji cztery godziny po zachodzie słońca.

Ogniwko zastanawiało się, mierzyło, kalkulowało, analizowało.

Próbowało zrozumieć pokrętny umysł wielkiego generała Belizariusza.

Czterej oficerowie, doskonale zorientowani w tym, jak powinni postępować, siedzieli w milczeniu. Nigdy nie próbowali udzielać żadnych rad. Sugestie nie były tu mile widziane. I nawet jeżeli Ogniwko nie było tak gwałtowne jak ich poprzedni dowódca, pan Dziwita, i tak nie miało litości. Oficerowie nie obawiali się specjalnie wielkich, uzbrojonych w topory mężczyzn, którzy otaczali czcigodną panią Holi przez cały czas. To byli tylko zwykli strażnicy. Ale wystarczyło tylko odwrócić głowę, żeby zobaczyć w końcu pawilonu linię cichych morderców, którzy czekali, nieruchomi jak posągi. Ogniwko... czcigodna pani

Holi użyła tych morderców trzykrotnie od czasu rozpoczęcia ekspedycji. Dwa razy, żeby ukarać za błąd. Lecz był między nimi także oficer, który nie potrafił powstrzymać się od doradzania. W końcu Ogniwko przemówiło:

- JEST TAKA MOŻLIWOŚĆ. ALE MAŁO PRAWDOPODOBNA. GDYBY WOJSKO PROWADZIŁ INNY GENERAL, NATYCHMIAST BYM TO WYKLUCZYŁA. ALE NIE MOGĘ. NIE, KIEDY NA CZELE STOI BELIZARIUSZ.

Znów zapadła cisza i trwała dobrze ponad minutę. Malawiańscy oficerowie nie prosili o wyjaśnienie tych tajemniczych słów. Nawet gdyby poprosili, i tak by go nie dostali.

Mierzyło, zakładało, analizowało. Wreszcie podjęło decyzję.

- POŚLIJCIE NAJPIERW KUSZAN. WSZYSTKICH. PIESZO.

Teraz oficerowie naprawdę się zdziwili. Po chwili jeden odważył się nawet zapytać:

- Pieszko?

Zapadła cisza. Oficer odchrząknął.

- Ale... czcigodna pani Holi, kluczową sprawą jest szybkość wykonania manewru. Belizariusz zorientuje się, co się święci, kiedy tylko się rozjaśni. A może nawet wcześniej. To prawie niemożliwe... nawet jeżeli wydamy odpowiednie rozkazy i zagrozimy okrutną karą, żeby taka ilość ludzi nie robiła hałasu. A nad Persami i tak nie mamy kontroli.

- Musimy podprowadzić kolumnę flankującą w górę rzeki tak szybko, jak to tylko możliwe - wtrącił się drugi. - Żeby mogli przepłynąć się przez Eufrat, zanim Belizariusz ich zablokuje. To wymaga koni, czcigodna pani Holi.

- MILCZEĆ. ROZUMIEM WASZE WĄTPLIWOŚCI. ALE JEST MOŻLIWOŚĆ, ŻE



BELIZARIUSZ JEST ZA SPRYTNY NIE MOGĘ PODJAĆ TEGO RYZYKA. YE-TAI, KIEDY SIĘ PRZEPRAWIĄ, MOGĄ POPĘDZIĆ W GÓRĘ RZEKI I ZABLOKOWAĆ MOST. REGULARNA KAWALERIA, KTÓRA PODĄŻY ZA NIMI, PODPROWADZI KONIE KUSZAN. BĘDĄ W STANIE DOŁĄCZYĆ DO YE-TAI, ŻEBY UTRZYMAĆ PRZEPRAWĘ.

Oficerowie oczywiście ulegli. Lecz jeden z nich, odważniejszy niż reszta, nadal drażył temat.

- Ale Kuszanie stracą bardzo dużo czasu, jeżeli będą się przeprawiać pieszo.

- O TO WŁAŚNIE CHODZI. RÓBCIE, CO WAM KAŻE.

Sprzeciw nagle zelżał. Oficerowie wybiegli z pawilonu i zaczęli wydawać rozkazy wielkiej armii, która rozbiła obóz poniżej tamy.

Ogniwo, samo w swoim namiocie, obliczało dalej. Analizowało.

Było pewne swego. Nie kierowało się tylko i wyłącznie swoim niewiarygodnym intelektem, ale też inteligencją w rozumieniu militarnym. Podczas kilku dni walk Malawianie wzięli paru jeńców. Zostali oni przesłuchani. Ci, którzy osobiście znali Belizariusza, musieli zeznawać na torturach. Ogniwo zadowolilo się dopiero wtedy, kiedy wycisnęło z nich każdą informację o swoim przeciwniku i jego sposobie rozumowania.

Ogniwo z pewnością odniosłoby większą korzyść, gdyby w jakiś sposób zdołało przesłuchać perskich żołnierzy, którzy ocaleli po bitwie pod Mindos. A szczególnie Baresmanasa.

Ale może i nie. Ogniwo z pewnością nie zadałoby odpowiednich pytań. A Baresmanas z pewnością nie udzieliłby mu odpowiednich odpowiedzi, nawet pod groźbą tortur.

Lecz być może udzieliłby mu najważniejszej informacji. Może ostrzegłby malawiańską nadistotę, że litość także ma ostry koniec. Ostrzejszy niż lanca czy miecz. I jeszcze bardziej niebezpieczny.

## Rozdział 37

- Wreszcie - syknął Belizariusz.

Generał praktycznie tańczył z niecierpliwości. Nie mógł się doczekać, kiedy do wieży artyleryjskiej, gdzie przebywał przez ostatni tydzień, podprowadzą mu konia.

Był już odziany w zbroję. Zaczął ją zakładać w momencie, gdy usłyszał pierwszą, salwę katuszy. Tak jak się spodziewał, Malawianie próbowali przekroczyć kanał Nehar Malka po moście pontonowym. Był przekonany, że manewr ten ma tylko odwrócić jego uwagę, ale - podobnie jak wszystkie dobrze przemyślane operacje dywersyjne - niósł ze sobą prawdziwe zagrożenie. Przez kanał pchały się tysiące Malawian, a jako wsparcie mieli ze sobą setki rakietnic. W godzinę po rozpoczęciu bitwy panowało tam prawdziwe piekło. Pociski z katuszy krzyżowały się w powietrzu z malawiańskimi rakietami. Syryjscy żołnierze, którzy nadal stali na górze z kamieni, strzelali płonącymi strzałami, celując do łodzi kołyszących się na kanale. Nehar Malka był doskonale oświetlony płonącymi statkami.

W ciemności dostrzegł majaczący kształt swojego wierzchowca. Domyślił się, że to Maurycy krótko trzyma jego wodze, tuż przy pysku.

- Jak dawno temu? - brzmiały jego pierwsze słowa.

W ciemności ledwie zauważył, że Maurycy wzrusza ramionami.

- Kto to może wiedzieć? Persowie byli bardzo cicho. Szli ciszej, niż bym się po nich spodziewał, gdyż wielu jest wśród nich deganów w gorącej wodzie kąpanych. Ale zwiadowcy Abbu właśnie mi donieśli, że wyprowadzili z obozu już połowę swoich sił. Idą na zachód, na pustynię. Dokładnie tak, jak przewidziałeś - dodał kwaśno.

Belizariusz skinął głową.

- A więc mamy trochę czasu. Czy Abbu...

- Bądź poważny - warknął chiliarcha. - Oczywiście, że Abbu jest na pozycji. Ten stary arabski cap jest jeszcze bardziej pokręcony niż ty.

Anastazjusz pomógł generałowi wdrapać się na siodło.

- Nie jestem pokręcony - mruknął. - Po prostu nie mogą się już doczekać spotkania z wrogiem.

- Spotkania z wrogiem - zaczął go przedrzeźniać Maurycy, który także wdrapał się na konia. - O mamó, czyż nie jesteśmy dzisiaj promienni?

Belizariusz, który solidnie zapał się w siodle, wyszczerzył zęby w uśmiechu. Wszyscy doskonale widzieli, że perspektywa walki całkowicie przywróciła mu dobry humor. Wreszcie!

- Nazwijmy to tak, Maurycy: sądzę, że nadszedł czas, aby zaznajomić Malawian z pierwszym prawem bitwy.

Złapał za wodze i kopnął konia piętami.

- Wróg wreszcie przybył. I zamierza skopać im tyłki, i to bez litości.

\* \* \*

- Co?! - wrzasnął.

Maurycy wziął głęboki oddech.

- Słyszałeś, co powiedziałem. Zwiadowcy Abbu donieśli mi, że Kuszanie idą pierwsi. I to pieszo, wszyscy. Spieszyli nawet kuszańską kawalerię. Zgromadzili na brzegu bataliony Ye-tai. Siedzą na koniach, ale jeszcze się nie przeprawiają. Abbu sądzi, że za nimi formują się oddziały kszatryjasów i malawiańskiej piechoty, ale nie jest pewny. Nie mógł podejść wystarczająco blisko.

Belizariusz odwrócił się i popatrzył w ciemność. Uniósł się w strzemionach, żeby wyrzeć za mur. Stali na drodze na wschodnim krańcu tamy, tuż za pierwszymi fortyfikacjami. Przez chwilę sięgał po teleskop, ale porzucił tę myśl prawie natychmiast po tym, jak mu wpadła do głowy.

Wiedział, że urządzenie nic mu nie pomoże. Była ciemna noc, a Malawianie przechodzili przez niemalże wyschniętą rzekę, półtora kilometra poniżej tamy. Nie mógł ich zobaczyć, nawet z pomocą wyostrzonych przez Aide zmysłów.

- Najpierw Kuszanie, i to bez koni - mruknął. - To zupełnie nie ma sensu. - Podrapał się po brodzie. - Chyba że...

- Chyba że co? - syknął Maurycy.

- Chyba że to coś jest sprytniejsze, niż myślałem - odparł, ciągle drapiąc się po brodzie.

Stary Trak potrząsnął głową.

- To przestań być taki sprytny! Może po prostu nie chcą robić hałasu przy przechodzeniu przez Eufrat. Kuszanie pieszo są jedną z najcichszych wojskowych formacji na świecie.

Rzymski generał wolno pokiwał głową.

- To możliwe. Może nawet dogadali się z Ormazdem, żeby ten zostawił im konie. Ciągle jednak...

Ich uwagę przyciągnął nieznaczny hałas. Od zachodniego krańca tamy kłusował w ich stronę arabski zwiadowca.

- Abbu mówi, że teraz! - wrzasnął Arab, jak tylko podjechał bliżej. - Prawie wszyscy Kuszanie są już w korycie rzeki. Co najmniej osiem tysięcy. To prawdopodobnie wszyscy. Forpoczty już wychodzą na naprzeciwległy brzeg.

Belizariusz znów podrapał się po brodzie.

- Niech to wszyscy diabli! - wrzasnął Maurycy. - Na co czekasz? Nie możemy pozwolić im przejść, generale! Ponieśliśmy wielkie straty i sami nie dysponujemy większą liczbą niż osiem tysięcy żołnierzy. Kiedy staną na drugim brzegu... na południowym brzegu, mogą ruszyć w górę rzeki i przekroczyć ją w dowolnym miejscu. Będziemy musieli stawić im czoła na...

- Starczy, Maurycy.

Chiliarcha z trzaskiem zamknął usta.

Znów drapanie po brodzie.

Generał myślał, oceniał, kalkulował, zakładał.

Wreszcie podjął decyzję.

I uśmiechnął się krzywo.

- Niech Kuszanie przejdą - powiedział stanowczo. - Wszyscy. Niech Abbu wystrzelił rakiety, kiedy Ye-tai będą w połowie drogi - zwrócił się do zwiadowcy. - I powiedz temu staremu wariatowi, żeby się najpierw upewnił, czy nic mu nie zagraża. Rozumiesz, co mówię? Chcę, żeby był w bezpiecznym miejscu!

Arab wyszczerzył zęby.

- Będzie, generale. Oczywiście, uda mu się o włos. Ale się uda.

Chwilę później mężczyzna zniknął w mroku.

Belizariusz znów spojrzął na Maurycego. Niedźwiedziowaty weteran patrzył na niego wściekle.

- Popatrz na to w ten sposób - zagaił młodszy Trak. - Dałem ci właśnie to, co lubisz najbardziej. Czyli powód do złości i ponuractwa.

W oczach Maurycego pojawiła się zimna furia.

- Och, świetnie - mruknął Walentynian, który stał z boku. - Właśnie tego potrzebowaliśmy. Osiem tysięcy Kuszan do zabawy.

Belizariusz zignorował zarówno złość, jak i mamrotanie. Zaczął znów drapać się po brodzie, ale nagle przestał. W końcu podjął decyzję i zamierzał się jej trzymać do ostatniej litery.

Może to była zła decyzja. Może nawet w końcu okaże się, że doprowadzi ich do katastrofy. Ale

pomyślał o ludziach, którzy lubią hazard. Kiedy nie mają już nic do postawienia, zawsze zostaje im dobry humor. I przypomniał sobie człowieka o żelaznej twarzy. Twardego mężczyznę, który w dwóch swoich żywotach i w dwóch różnych przyszłościach podjął taką samą decyzję. I Belizariusz wiedział, że ten człowiek podjąłby podobną decyzję w każdym przypadku, niezależnie od okoliczności.

Wreszcie się odprężył. Był pewny, jeżeli nie swojego planu, to z pewnością swojej duszy.

- Niech przejdą - mruknął. - Niech przejdą.

Przechylił głowę na bok.

- Czy Bazyl jest gotowy?

- Bądź poważny - warknął Maurycy.

- Wszyscy już poszli z wyjątkiem nas - syknął Walentynian. - Zostaliśmy tylko my. Ostatni Syryjczyk zniknął pięć minut temu.

- A więc chodźmy - powiedział radośnie Belizariusz.

Kiedy on i jego trzej katafrakci opuszczali tamę, poruszając się bardzo ostrożnie w smolistych ciemnościach, generał zaczął po cichu recytować wiersz.

Ludzie, którzy z nim byli, nie rozpoznali tej poezji. Zresztą nie mogli. Wiersz pochodził z przyszłości i generał usłyszał go od Aide. Z przyszłości, o którą zadbać miał Belizariusz, broniąc ludzi przed istotami, które same siebie nazywały bogami.

*Te mistrzowskie obrazy, że są dopełnione,*

*W czystym wzrosły umyśle, lecz gdzie się poczęły?*

*Legnę, gdzie się każda drabina zaczyna:*

*We wstrętnym serca sklepie ze starzyzną.\**

## Rozdział 38

W chwili gdy wybuchły rakiety sygnałowe, Ogniwo już wiedziało.

Jego czterej oficerowie, którzy stali na platformie wieży dowodzenia i patrzyli na rzekę, byli po prostu zaskoczeni. Rakietę wybuchła, a potem, płonąć niczym flara, spadła powoli w masę żołnierzy, przedzierających się przez wyschnięte koryto Eufratu. Byli to Ye-tai, którzy przeklinali w myślach, z trudem prowadząc konie w całkowitych ciemnościach, przez labirynt potoczków i błotnistych dziur. Ale było z nimi co najmniej pięć tysięcy malawiańskiej piechoty, a także parę wozów z raketami i obsługującymi je kszatryjasami.

Flara płonąła. Oficerowie gapili się ze zdumieniem.

Ale Ogniwo natychmiast się zorientowało. Zrozumiało, że zostało przechytrzone na całej linii, chociaż nie mogło pojąć, jak Belizariuszowi się to udało.

Ale istota z przyszłości nie ulegała ludzkim uczuciom żalu czy pretensji do samego siebie. Rozumiała tylko potrzebę chwili. Nie czekała nawet na pierwszy huk eksplozji, tylko natychmiast wydała rozkazy swoim zabójcom.

Na całej długości tamy blokującej Eufrat jednocześnie odpalono ładunki. Wypełnione kamieniami barki, formujące podstawę tamy, bardzo powoli i dostojnie uniosły się w górę. Huk eksplozji był potworny, ale stłumiony. I wcale nie widać było płomienia. Ładunki założono bardzo głęboko, żeby w pełni wykorzystać ich siłę. Nawet Ogniwo, które widziało dużo lepiej niż zwykli ludzie, ledwie dostrzegło rozmiar katastrofy, gdyż flara opadła już bardzo nisko i słabo świeciła.

Z drugiej strony oficerowie nie zobaczyli nic. Ani teraz, ani później. Pierwszy zabójca wbił jednemu z nich nóż w plecy i przeciął rdzeń kręgowy. Ułamek sekundy później pozostali także zginęli. Ciągłe zapatrzeni w raketę. Ciągłe zdumieni.

Ogniwo przegrało, ale jego błąd nie wyjdzie na światło dzienne. Istota nie mogła sobie pozwolić na utratę reputacji w oczach Malawian, a także w oczach nowych bogów, którzy Malawian stworzyli. Cała wina spadnie na oficerów.

Tłum żołnierzy, który kłębił się w wysuszonym korycie, zamarł na odgłos wybuchu. Było ich około czternaście tysięcy. Wszyscy jak jeden mąż odwrócili się i zapatrzyli w ciemność. Zdumieni. Noc była bardzo mroczna, a tama znajdowała się w odległości półtora kilometra od nich. Oni także nic nie mogli zobaczyć. Lecz hałas był łatwy do zidentyfikowania.

A potem powiał wiatr i najinteligentniejsi żołnierze zaczęli rozumieć, co się dzieje. Z wrzaskiem i przekleństwami na ustach runęli przed siebie, tratując i zabijając wolniej myślących kolegów, którzy stali im na drodze. Desperacko próbowali wyprowadzić konie z koryta.

A reszta...

Ściana wody, która zmiotła malawiańską armię, była niczym pałka w rękach giganta. Tony spienionej wody, niosącej ze sobą głazy i odłamki drewna, runęły na wyschnięte koryto i żłobiły w nim nowe kanały, wrywając kamienie i wiechcie trzciny.

Kiedy woda uderzyła, wszyscy skazani na zagładę żołnierze zrozumieli wreszcie, co się stało. Hałas nie dochodził już z oddali. Teraz zawisł nad ich głowami. Jak wrzask Sziwy. Jak triumfalny krzyk bogini Kali.

Teraz wszyscy próbowali uciec. Konie, wystraszone odległym hałasem, nadchodzącym z północy, wpadły w panikę, gdy poczuły strach jeźdźców. Ślizgały się w błocie, potykały o kępy trzciny i wpadały do dziur pełnych wody, tratując się nawzajem.

Lecz ich wysiłki skazane były na porażkę. Zaledwie tysiąc malawiańskich żołnierzy, znajdujących się najbliżej brzegu, zdołało uniknąć kataklizmu. Inni, złapani przez falę uderzeniową, ocalili życie, gdyż kurczowo trzymali się trzciny, głazów czy lin rzuconych przez towarzyszy z brzegu.

Kilku przetrwało nawet mimo tego, że fala zabrała ich ze sobą. Gigantyczna spieniona masa wód, która pędziła w dół rzeki, jest zjawiskiem dość nieprzewidywalnym. Czasami może zaskakiwać i zachowywać się pokrętnie.

Eufkrat, który wreszcie wrócił na swoje miejsce, szalał przez wiele godzin. Ale tu i tam pozwalał sobie na akt łaski. Jeden z żołnierzy, ku swemu wielkiemu zdumieniu, został łagodnie popchnięty ku brzegowi. Inny, zbyt przerażony, aby się dziwić, po prostu wyładował na plaży.

A jeden z Malawian wiele godzin później wyczołgał się z trzciny trzydzieści kilometrów od miejsca katastrofy. Eufkrat przytulił go, jak kurczę, które bezpiecznie spoczywa w dłoniach człowieka, i niósł w samym sercu niewielkiego wiru przez całą noc. Był to prosty człowiek... Jego co bardziej niemili towarzysze często wyzywali go od głupków, ale on wcale nie był idiotą. Później okazało się, że ten zagorzały ateista został bardzo gorliwym wyznawcą. I był szczególnie oddany bogom zamieszkującym rzeki.

Ale większość Ye-tai i malawiańskich żołnierzy, którzy wpadli w pułapkę Belizariusza, zginęła na miejscu. I nie przez utonięcie, o nie. Po prostu zostali zmiażdżeni na śmierć.

Dwanaście tysięcy stu czterdziestu trzech żołnierzy poniosło śmierć w przeciągu jednej minuty. Dziewięćset sześciu odniosło poważne rany i większość z nich zmarła w przeciągu tygodnia.

Dziesięć tysięcy osiemdziesiąt dziewięć koni także zginęło. Dwa tysiące dwieście siedemdziesiąt osiem wielbłądów. Trzydzieści cztery wozy raketowe woda rozbiła w drzazgi. Prawie połowa broni palnej spoczęła na dnie.

To była największa katastrofa wojenna w historii Malawy.

I Ogniwko wiedziało o tym. Nadistota zaczęła zastanawiać się nad możliwościami, jeszcze zanim ściana wody runęła na żołnierzy. Podczas całej katastrofy cyborg, który zwał się czcigodną panią Holi, siedział nieruchomo na tronie. I ani trochę nie obchodziła go rzeź żołnierzy. Umierający żołnierze i zwierzęta byli w jego oczach tylko narzędziami. A Ogniwko miało swoje problemy.

Znów oceniało, mierzyło, zakładało.

Wina spadnie na oficerów. Ogniwko ocali tych, którzy jeszcze pozostali przy życiu.

Oceniało, mierzyło, zakładało.

Ale nie zostało ich wielu.

Kiedy nowi oficerowie wdrapali się do wieży dowodzenia, przerażeni i onieśmieleni, Ogniwko podjęło już decyzję.

- MUSIMY USTĄPIĆ. KAŻDIE UDERZYĆ W BĘBNY. ZORGANIZUJECIE ODWRÓT I ZAPASY. BĘDIEMY MUSIELI UCIEKAĆ PRZEZ PUSTYNIĘ, A MAMY NIEWIELE WIELBŁĄDÓW. NIE MOŻEMY RYZYKOWAĆ BITWY PO TEJ STRONIE RZEKI. BELIZARIUSZ ZAPEWNE MUSIAŁ ZABLOKOWAĆ KORYTO NEHAR MALKA, ŻEBY ODNOWIĆ STARĄ TAME. Z ŁATWOŚCIĄ TAMTĘDY PRZEJDZIE. A POZA TYM W PEROZ-SZABUR CIĄGLE STACJONUJE DZIESIĘĆ TYSIĘCY PERSÓW. NASZE SIŁY MUSZĄ TRZYMAĆ ICH W SZACHU, ŻEBYŚMY MOGLI PRZEJŚĆ.

Mimo ponurego przypomnienia, jakie stanowiły ciała poprzednich oficerów, leżące na platformie, niektórzy nowi dowódcy ośmielili się protestować.

- Przez pustynię? Podczas takiego odwrotu zginie wielu żołnierzy.

- WEDLE MOJEJ OCENY CO NAJMNIJ CZTERY TYSIĄCE, MOŻEMY ICH ZSTĄPIĆ NOWYMI.

- A co z Kuszunami? Osiem tysięcy czeka na hasło do ataku!

- TO BEZCELOWE. NIE MAJĄ KONI. NIE MAJĄ ZAPASÓW. A MY NIE MOŻEMY IM POMÓC. SAMI PRAWIE NIC NIE MAMY. BELIZARIUSZ NIE BĘDZIE WALCZYŁ. PO PROSTU

ICH ZABLOKUJE I POCZEKA, AŻ UMRAŻ Z GŁODU. CÓŻ ZA STRATA, TO SĄ DOSKONAŁE ODDZIAŁY... SAMI ICH POTRZEBUJEMY. ALE MUSIMY UCIEKAĆ. NATYCHMIAST POŚLIJCIE KURIERA DO KUSZAN. MUSZĄ PILNOWAĆ NASZYCH TYŁÓW, KIEDY BĘDZIEMY SZLI DO BABILONU.

Oficerowie skłonili głowy. Zaczęli się wymykać chyłkiem, ale Ogniwko kazało im zostać. Musiało jeszcze skalkulować parę rzeczy.

Oficerowie czekali w milczeniu, podczas gdy cyborg zastanawiał się i oceniał.

Nadistota potrzebowała tylko pięciu minut, żeby podjąć kolejną decyzję. Ludzki dowódca, który stanąłby naprzeciwko tej gorzkiej logiki, musiałby wrzeszczeć z wściekłości i zniecierpliwienia. Ogniwko po prostu wydawało polecenia.

- WYŚLIJCIE KURIERA DO BABILONU. KAŻCIE DOWÓDCOM CZEKAĆ NA NASZE PRZYBYCIE, ALE MUSZĄ PRZYGOTOWAĆ SIĘ DO OPUSZCZENIA BABILONU. PRZERYWAMY OBLĘŻENIE.

Padły ostatnie słowa protestu:

- Przerwać oblężenie Babilonu? Ale...

- NIE MAMY WYJŚCIA. BELIZARIUSZ NAS POKONAŁ, A WSZYSTKO TO ZASŁUGA NIEKOMPETENCJI WASZYCH GENERALÓW. FLOTA ZAOPATRZENIOWA I TAK LEDWIE NAM WYSTARCZAŁA. TA OSTATNIA KATASTROFA ZNISZCZY JESZCZE WIĘCEJ STATKÓW. STRACILIŚMY ZBYT WIELU LUDZI, ZBYT WIELE ZAPASÓW, ZBYT WIELE EKWIPUNKU. NIE JESTEŚMY W STANIE DALEJ CIĄGNAĆ OBLĘŻENIA. MUSIMY WRÓCIĆ DO CHARAKS I ZACZAĆ OD NOWA W PRZYSZŁYM ROKU. WYKONAĆ.

Kiedy fala dotarła do Peroz-Szabur, a było to w środku nocy, zginęło jeszcze więcej Malawian. Oczywiście niewielu. Niektórzy mieli pecha, bo akurat wybrali sobie wyschnięte koryto rzeki jako miejsce do odpoczynku. Oblegający żołnierze mieli dość smrodu latryn, więc uciekali od obozowiska, jak najdalej się dało.

Baresmanas i Kurusz, którzy stali na murach obleganego miasta, słuchali uważnie. Eufrat wrócił do swego koryta, a wraz z nim w ich dusze wstąpiła nadzieja.

- Udało mu się - szepnął Kurusz. - Tak jak obiecał. - Odwrócił się od parapetu i zrobił kilka nerwowych kroków. - Muszę przygotować oddziały. Kiedy nadejdzie świt, możemy atakować.

Kiedy zniknął, Baresmanas powoli potrząsnął głową.

- Jak taki ciepły i miłosierny człowiek może być jednocześnie tak bezlitosny? - szepnął do siebie. - Tak zimny, tak okrutny, tak twardy?

W tych słowach nie było żalu ani odrazy. Ani potępienia, ani smutku. Po prostu zdumienie na myśl o tak pokrętnej ludzkiej duszy.

\* \* \*

W innym miejscu w Peroz-Szabur, w pomieszczeniach tuż przy zewnętrznych murach, trzymano dwa tysiące kuszańskich jeńców. Oni także przysłuchiwali się klęsce Malawian.

Wypyтали dokładnie przyjacielskich strażników. Niebawem otrzymali odpowiedzi.

Kuszanie zrobili zakłady.

Ci, którzy wygrali, cieszyli się przez całą noc. Mieli powody do radości. Ich strażnicy także mieli tej nocy świetny humor. Dostali dużo wina, nawet od skąpych Persów.

Tylko Vasudeva powstrzymał się od świętowania. Kiedy pytali go, dlaczego się nie cieszy, kuszański dowódca tylko się uśmiechnął.

- Zapominacie o jednym - powiedział. - Ja zrobiłem jeszcze jeden zakład. Bawcie się dobrze, chłopcy. Niebawem to wszystko, co macie, będzie moje - dodał i wyszczerzył zęby w szerokim

uśmiechu, pokazując na amfory z winem, które jego ludzie ściskali w dłoniach.

\* \* \*

Pod koniec następnego dnia Malawianie oblegający Peroz-Szabur zaczęli się wycofywać. Kurusz, wbrew radom Baresmanasa, zdecydował się na wycieczkę. Jego deganie mocno poszarпали wroga, ale oni także ponieśli spore straty i w końcu ich odparto. Malawiański lew był ranny i mocno kulał, ale ciągle miał jeszcze zęby.

Dzień po tym Kuszanie zostali wysłani do prac przy oczyszczaniu koryta Eufratu z wielkiej ilości trupów, które rzeka wciąż wyrzucała na brzeg. Chowali ich szybko w masowych mogiłach, nie troszcząc się ani trochę o spokój ich czarnych dusz, gdyż obawiali się, że w mieście może wybuchnąć zaraza.

Kuszanie wykonywali pracę bez narzekań. Przed nimi rysowała się perspektywa nowego zakładu.

Pod koniec dnia policzono trupy i każdy z Kuszan poczuł się usatysfakcjonowany. A Vasudeva wygrał zakład.

Wiele ciał zidentyfikowano i zapisano nazwiska poległych. Pomiędzy nimi nie było żadnego Kuszanina.

Vasudeva był teraz bogatym człowiekiem, gdyż tylko on odważył się na ten zakład. Jego bogactwo jednakże nie manifestowało się materialnie... w końcu jego żołnierze nie posiadali wiele, lecz zyskał ich podziw i szacunek. Kuszanie zawsze podziwiali wielkich hazardzistów.

- Skąd wiedziałeś? - zapytał jeden z jego poruczników.

Mężczyzna uśmiechnął się.

- Obiecał mi to. Kiedy złożyłem mu przysięgę, on w zamian obiecał mi, że będzie traktował Kuszan jak ludzi. I będzie ich karał jak ludzi. A nie wieszał jak kryminalistów czy katował na śmierć jak psy.

Pokazał palcem rzekę opływającą Peroz-Szabur.

- Ani topił jak szczury.

Porucznik zmarszczył brwi.

- Przecież obiecał to nam, a nie... - skinął głową w górę rzeki - a nie tamtym Kuszanom.

Vasudeva uśmiechał się teraz niczym Budda.

- Belizariusz nie jest taki małostkowy.

Dowódca kuszańskich jeńców odwrócił się.

- Twój błąd polega na tym, że ty postawiłeś na generała, a ja - na człowieka.

\* \* \*

Dwa dni później, w Babilonie, Chozroes Anuszirwan także płał w podziwie swoich podkomendnych. Wielu z nich, a w zasadzie większość, wcześniej kwestionowało fakt, że tak bardzo ufa rzymskiemu generałowi. Niektórzy byli nawet tak zuchwali i tak bezpośredni, że mówili mu prosto w twarz o swoich wątpliwościach.

Teraz nikt nie kwestionował jego mądrości. Wystarczyło tylko stanąć na murach Babilonu, żeby zobaczyć, jak mądry jest ich imperator. Malawiańska flota została praktycznie zniszczona, gdy rzymski generał opuścił poziom w rzece. A teraz, kiedy przywrócił Eufrat do dawnego koryta, znów odniósł miażdżące zwycięstwo. W przeciągu kilku minut zniszczeniu uległa jedna czwarta ocalałej floty Malawian. Statki, zakotwiczone w prowizorycznych dokach i te po prostu leżące w mule, zostały uniesione przez fale wzbierającego Eufratu i znikły w odmętach. Niektóre rozsypały się w drzazgi, inne woda wyrzuciła dalej na brzeg, jeszcze inne wywróciły się do góry dnem.

A Chozroes znów ruszył do ataku. Ale tym razem nie zbudował mostu pontonowego przez rzekę - nikt by tego nie dokonał przy tak szalejących wodach. Zamiast tego posłał do ataku szybkie galery,



które obsadził swoimi najlepszymi ludźmi. Galery zostały zakotwiczone w bezpiecznym miejscu i ruszyły dopiero wtedy, kiedy opadła pierwsza fala. Okręty pędziły w dół Eufratu, pchane siłą wiosł i wartkim prądem, i niszczyły każdą malawiańską jednostkę na jaką się natknęli. Ale niewiele statków przetrwało gniew Eufratu.

Nie napotkali prawie żadnego oporu. Galery były zbyt szybkie dla dział wroga. A malawiańscy żołnierze, którzy byli na statkach, nie stawiali zorganizowanego oporu, bo ciągle nie potrafili wziąć się w garść.

Galery płynęły w dół Eufratu, kilometr za kilometrem, aż wiosłarze byli zbyt zmęczeni i musieli odłożyć wiosła. Zostawili za sobą czterdziesto kilometrowy szlak, usiany wypalonymi okrętami, zanim w końcu przybili do brzegu i ruszyli w powrotną drogę do Babilonu. Podążali zachodnim brzegiem Eufratu, tam gdzie Malawianie nie mogli im zagrozić.

Połowa floty malawiańskiej zginęła na rzece bądź od fali, bądź z rąk perskich żołnierzy. Nie więcej niż dwa tuziny statków z niezwykłej floty, która tego samego roku, w styczniu, wyruszyła triumfalnie z Indii, dotarło bezpiecznie do Charaksu.

\* \* \*

Chozroes nie zaatakował Malawian zgromadzonych pod Babilonem. Ograniczył się do wysłania galer. Był zbyt sprytny, żeby powtórzyć błąd Kurusza pod Peroz-Szabur. Prawda, malawiański lew mocno kulał.

I wyrwano mu zęby. Ale w armii wroga było jeszcze sto tysięcy ludzi, którzy załadowali działa oblężnicze szrapnelami

Imperator po prostu czekał. Czekał, aż umrą z głodu.

Oblężenie Babilonu załamało się niczym drzewo rażone piorunem. Trwało jeszcze niczym martwe drzewo, które nieraz całymi latami nie pada w leśne poszycie. Do czasu aż zawieje wiatr i je przewróci.

\* \* \*

Wiatr powiał dwanaście dni później. Chozroes i jego świta patrzyli z dachu Esagili, jak do obozu pod Babilonem wracają, powłócząc nogami, niedobitki wyprawy do Nehar Malka. Armia była znacznie mniejsza od tej, która wyruszyła stąd kilka tygodni temu. Zubożona o tysiące ludzi, tysiące koni, wielbłądów, a także z uszczuplonym zapasem prochu i broni palnej.

Dwa dni później cała armia Malawian zaczęła uciekać na południe. O zachodzie słońca obozowisko, od miesięcy otaczające Babilon, opustoszało.

Chozroes spędził ten dzień na dachu Esagili. Otoczony oficerami, doradcami, urzędnikami i małą gromadką sahrdaranów i vurcorganów, a także w towarzystwie młodej dziewczyny, Tahminy.

Co bardziej w gorącej wodzie kąpani oficerowie nakłaniali władcę do rozpoczęcia ataku. Imperator znów odmówił.

Malawa kulała, ale ciągle miała zęby.

A poza tym perski monarcha miał inny problem na głowie.

- Ormazd - syknął. - Najpierw Ormazd. Chcę jego głowy, zatkniętej na włóczni, i to przed końcem roku. Wykonać.

Jego oficerowie rozbiegli się, aby wydać odpowiednie rozkazy. Otoczony resztą wielkiej świty imperator pozostał na szczycie Esagili. Przez jakiś czas patrzył na wycofujących się Malawian. Z satysfakcją, nienawiścią i odrobiną ciekawości.

- Do następnego roku - mruknął. - Do następnego roku, Malawianie.

A potem odwrócił się i podszedł do przeciwległej ściany wielkiej antycznej świątyni. Jego świta podążyła za nim, niczym gigantyczny ogon, ale Chozroes zatrzymał ich gestem.

- Chcę, żeby Tahmina poszła ze mną - rozkazał. - Tylko ona.

Jego towarzysze zamruczeli z niezadowoleniem, lecz usłuchali rozkazu. Urzędnicy, szlachta i doradcy zatrzymali się. Tahmina, nieśmiało i z wahaniem, podążyła za nim.

Kiedy stanęli sami pod północną ścianą świątyni, Chozroes zapatrzył się w północno-zachodni horyzont. Nic tam nie było widać, poza rzeką i oczywiście pustynią. Lecz imperator patrzył znacznie dalej... Patrzył w przyszłość, a może nawet w inny wymiar.

Kiedy tak patrzył, nie potrafił rozwikłać kłęбка emocji, z jakich się składał. Oczywiście, był usatysfakcjonowany. A także czuł podziw, respekt, a nawet... pewnego rodzaju miłość. Ale również trapił go strach, przerażenie i nieufność.

- Za rok, Malawianie - mruknął jeszcze raz. - Ale gdy ten rok upłynie, nadejdzie następny, i następny, i jeszcze jeden. I zawsze będzie Rzym. Zawsze Rzym.

Odwrócił głowę i popatrzył na dziewczynę, która stała tuż obok niego. Kiedy poczuła na sobie jego wzrok, skromnie opuściła głowę.

- Popatrz na mnie, Tahmino.

Gdy dziewczyna uniosła twarz, Chozroes się uśmiechnął.

- Dziecko, nie mogę ci nic rozkazać, ale cię potrzebuję. Ariowie cię potrzebują.

Tahmina także się uśmiechnęła. Prawda, nieśmiało i niepewnie, ale jednak. Był to szczery uśmiech, jak zauważył mężczyzna, a on nie dawał się łatwo zmylić.

- Dobrze, imperatorze.

Chozroes skinął głową i położył rękę na ramieniu dziewczyny. A potem, i tak przez cały dzień, nie powiedział już ani słowa.

Ani nie opuścił posterunku przy północnej ścianie Esagili. Przez cały czas patrzył na północny zachód. Malawiańscy żołnierze mogli sobie uciekać w popłochu za jego plecami. Ale Chozroes o Nieśmiertelnej Duszy był imperatorem Iranu i nie-Iranu. I jego obowiązkiem było dbanie o przyszłość.

## Rozdział 39

Kilka dni później Belizariusz i Maurycy spoglądali na Nehar Malka z tego, co pozostało z góry kamieni, spiętrzonych wcześniej na północnym brzegu kanału. Większość gładów, tak pracowicie wydobytych z dna przez Kuszan, wróciła na swoje miejsce. Królewski kanał znów był suchy, a przynajmniej prawie suchy. Prymitywny i dość brutalny sposób, w jaki Belizariusz ustawił tamę na poprzednim miejscu, nie do końca zablokował przepływ.

Rzymska armia właśnie przeprawiała się przez to, co zostało z Nehar Malka. Wracali do Peroz-Szabur. Po tym, jak zniszczyli tamę, Belizariusz odsunął swoje wojska daleko na południe, w razie gdyby Malawianie spróbowali jednak ich zaatakować swoją przerzedzoną armią, która jednakże i tak sporo przewyższała Rzymian liczebnością. Nie spodziewał się, że popełni taki błąd, nie z Ogniwem jako dowódcą, ale nie mógł nie brać pod uwagę takiej możliwości.

Kiedy tylko stało się jasne, że wróg wraca do Babilonu, Belizariusz podążył za nim. Dotarli na pole bitwy zaledwie dwie godziny temu.

- Wystarczy - powiedział cicho. - Nehar Malka jest wystarczająco suchy. Nie sędzę, żeby Chozroes miał powody do narzekania.

- Nawet nie powinien o tym myśleć - mruknął Maurycy. Jednakże chiliarcha nawet nie patrzył na Nehar Malka. Gapił się na Eufrat.

A właściwie nie na samą rzekę. Na pierwszy rzut oka Eufrat wrócił już do swego normalnego stanu, czyli znów stał się szeroką, płytką i wolno płynącą, zamuloną rzeką.

Nie, Maurycy patrzył na brzegi, gdzie leżały ciała zabitych Malawian, porzucone przez kompanów. Setki, tysiące trupów skrywały trzciny, tak że trudno było je dostrzec. Wszędzie unosiły się chmary much.

- Jezu - szepnął. - Opuść nam nasze grzechy.

Generał podążył za spojrzeniem niegdysiejszego nauczyciela. Jego twarz była całkowicie bez wyrazu. Mógłby być zwyczajnym wiejskim kowalem, który patrzy na doskonałe efekty swojej pracy.

- Jeden człowiek powiedział mi kiedyś, że wojna to śmierć - odezwał się szorstkim głosem. - Nic mniej i nic więcej. To były pierwsze słowa, jakie usłyszałem od tego mężczyzny, gdy zostałem mianowany na oficera. Miałem wtedy siedemnaście lat. I byłem zielony jak szczypiorek na wiosną.

- Nigdy nie byłeś zielony jak szczypiorek na wiosnę - mruknął Maurycy. - W dniu, kiedy się urodziłeś, już miałeś pokrętne myśli. - Westchnął. - Doskonale to pamiętam, chłopcze. Wtedy to była prawda i teraz też jest. Ale wcale nie musi mi się to podobać.

Belizariusz pokiwał głową i nie odezwał się już więcej.

\* \* \*

Kilka minut później on i Maurycy zawrócili konie i zjechali w dół, na brzeg Nehar Malka, gotowi dołączyć do armii, która przekraczała wyschnięte koryto.

Jednakże praca jeszcze nie dobiegła końca. Żaden z nich nie wiedział, kiedy nadejdzie ostateczne rozstrzygnięcie. Ale umieli poznać dzień, w którym przyszedł czas na skończenie roboty.

I to roboty dobrze wykonanej. Mogli czerpać z tego satysfakcję. Przynajmniej z tego, jeżeli nie z samego faktu robienia.

Byli jak rzemieślnicy przy pracy.

# Epilog

## *Tłum i jego myśli*

Siedząc na podium, Antonina z wielką satysfakcją patrzyła na całą scenę, która otwierała się przed jej oczami. Wielka sala audiencyjna pałacu prefekta dosłownie pękała w szwach. Słudzy, którzy nosili tace pełne jadła i napitku, niczym piskorze musieli przeciskać się przez gęsty tłum. Liczne rozmowy dawały w sumie taki hałas, że można by ogłuchnąć.

- Bardzo satysfakcjonujące - oznajmił patriarcha Teodozjusz, siedzący na krześle obok niej.

- Nieprawdaż? - Antonina spoglądała na falujący tłum rozpromienionym wzrokiem. - Myślę, że jest tu dzisiaj cała grecka arystokracja Aleksandrii. A także większość szlachty z głównych miast delty. A nawet sporo ludzi z dolin. A przynajmniej z Fajum i Antinopolis.

Skrzywiła się lekko.

- Właściwie jestem trochę zaskoczona. Nie spodziewałam się takiej masy gości. Byłam prawie pewna, że co najmniej połowa szlachty zbojkotuje nasze małe przyjęcie.

Teodozjusz szeroko otworzył oczy.

- Zbojkotuje? Oficjalne święto na cześć dziewiątych urodzin cesarza? Boże uchroni! - Patriarcha uśmiechnął się nieco drwiąco. - Antonino, ja za to nie jestem tym zaskoczony. Jestem prawie pewien, że gdyby decyzję podejmowali mężczyźni, połowa Greków by się tu nie zjawiała. Ale ich żony i córki nie pozostawiły im wyboru.

Skinął na centrum wielkiej sali, gdzie tłum był najgęstszy. W samym środku masy ludzkiej stał przystojny młody rzymski oficer z kubkiem wina w dłoni.

- Najlepsza partia w całym Egipcie - oznajmił patriarcha. - Merarcha Armii Egiptu. Dopiero co wybrany do senatu... a już bajecznie bogaty, gdyż tak się obłowił w bitwie pod Mindos.

Wysłanniczka cesarzowej zagapiła się na Hermogenesa. Przez chwilę poczuła smutek, gdy pomyślała o Irenie. Grupa kobiet, otaczających Hermogenesa ciasnym kręgiem, składała się z dziewcząt znacznie młodszych od szefowej szpiegów. A także, może z dwoma wyjątkami, były one ładniejsze.

- Gdyby zebrać wszystkie te ich mózdzki do kupy - mruknęła - może dałyby radę Irenie. Kiedy jest zalana w pestkę. Może.

- Co powiedziałaś, Antonino? - zapytał Teodozjusz.

Antonina potrząsnęła głową.

- Nieważne, patriarcho. Myślałam tylko o mojej drogiej przyjaciółce. - Westchnęła. - Która, jak się obawiam, nigdy nie znajdzie sobie męża.

- Jest zbyt religijna? - spytał Teodozjusz.

Kobieta przygryzła wargi, żeby nie wybuchnąć śmiechem.

- Nie, nie. Tylko... po prostu zbyt...

Podniosła się z krzesła.

- Pójdę już sobie. Nasze przyjęcie rozwija się wspaniale. Myślę, że z pełnym przekonaniem możemy sobie powiedzieć, iż Aleksandria i Egipt wróciły na łono Cesarstwa. Ale jestem zmęczona i nie sędzę, żeby ktokolwiek przejął się moją nieobecnością.

Patriarcha Teodozjusz sam powstrzymywał się od śmiechu, kiedy Antonina opuściła towarzystwo. W końcu, kiedy poczuł wielkie, kolektywne westchnienie ulgi, nie wytrzymał i roześmiał się głośno.

Mężczyzna był pewny, że w tej chwili potrafi czytać w myślach tłumy.

*Dzięki Bogu! Poszła sobie!*

*Żadna żywa kobieta nie ma takich wielkich cyców.*

*To szczenię Szatana, bez wątpienia.*

*Nierządnicą z piekła. Dziwka Belzebuba.*

Ale głęboko skrywali te myśli. O tak, bardzo głęboko. Zatrzymywali je tylko dla siebie.

- Bardzo mili ludzie - powiedział Teodozjusz z aprobatą do człowieka, który siedział po jego prawej stronie. - Bardzo grzeczni. Szlachetni. Zgadzasz się ze mną, Aszocie?

Była to dość pochlebna opinia i padła z ust człowieka Kościoła. Za to armeński katafrakt nie zamierzał ukrywać tego, co myśli.

- Są tak wystraszeni, że niemalże srają w gacie.

## *Król i jego obawy*

- Chyba nie myślisz poważnie o poślubieniu tej kobiety? - wrzasnął negusa nagast Aksum.

Etiopski władca pochylił się na królewskim tronie, oparł wielkie łapska na mocnych kolanach i zacisnął masywne szczęki. Groźnie marszczył brwi i wbijał spojrzenie w twarz swego najmłodszego syna.

Książę Eon siedział wyprostowany na swoim stołku. Szczeka mu opadła. Zwiśla zupełnie. Poleciała w dół niczym kamień.

Stojący za nim Ousanas wybuchł śmiechem.

- Świetny pomysł, o Królu Królów! - krzyknął dawazz. - Z pewnością mózg tego zbyt pewnego siebie chłopca skurczył się do rozmiarów orzecha!

Eon w końcu odzyskał równowagę. A przynajmniej na tyle, żeby wykrztusić z siebie dwa słowa.

- Poślubić... Ireneę?

Wytrzeszczył oczy na swego ojca. Król spiorunował go wzrokiem.

- Zdaje mi się, że ta kobieta cię urzekła - oskarżycielsko powiedział negusa nagast.

Oczy księcia przebiegały gorączkowo po całej królewskiej komnacie, w poszukiwaniu czegokolwiek, co pozwoliłoby mu zrozumieć, o co w tym wszystkim chodzi, lecz ciężka kamienna architektura Aksumitów nie udzieliła mu odpowiedzi.

- Lubię ją, tak - powiedział. - Nawet bardzo. Myślę, że jest wyjątkowo zdolna i inteligentna. I bardzo wygadana. Często mnie rozśmiesza. To wspaniały sprzymierzeniec. Nawet... - zrobił zeza, kontemplując tak absurdalną myśl... - nawet jest w pewien sposób atrakcyjna. W pewien sposób. Ale... żeby się z nią żenić?

Zamilkł i szczeka znów mu opadła.

Negusa nagast, zadowolony z odpowiedzi, opadł na oparcie. Popatrzył na Ousanasa stanowczo.

- Masz szczęście, dawazzie. Gdyby odpowiedź była inna, kazał bym cię obić.

Ousanas wyglądał bardzo niewinnie.

- Ależ nie mógłbyś. Dawazzowie nie podlegają władzy królewskiej. Odpowiadają tylko przed sarwenami Dakuen.

Król królów prychnął.

- I co z tego? Myślisz, że mój regiment wahałby się choć przez chwilę? Tylko ostatniej nocy ta piekielna kobieta pozbawiła ich połowy żołdu, gdyż odpowiedziała na wszystkie zagadki. A dzisiaj rano zabrała resztę. Nie potrafili odpowiedzieć na jej pytania, nawet gdy dała im całą noc na ich przemyślenie. - Negusa nagast obrzucił pomieszczenie rozżłoszczonym wzrokiem. - Gdyby książę dał inną odpowiedź, dawazz byłby już krwawą miazgą. Możesz być tego pewny.

Negusa nagast uderzył się po masywnym udzie.

- Jestem zadowolony. Książę jest głupi jak perliczka, prawda. Uparty jak osioł. Kto inny wplątałby mnie w walkę z Malawą? Ale przynajmniej nie postradał rozumu, dawazzie, i to dzięki tobie. Jest wystarczająco zdrowy na umyśle. Złudzenie wielkości jest do przyjęcia u króla, szczególnie wtedy, gdy dotyczy polityki. Ale nigdy żony!

Jego ciężkie ramiona zadrżały, jakby poczuł chłód w krzyżu.

- Boże, uchron nas przed tym losem! Nigdy nie żęń się z kobietą mądrzejszą od ciebie. To zbyt niebezpieczne, szczególnie dla króla. A ta kobieta! Ona jest mądrzejsza od samego szatana!

Odwrócił głowę i popatrzył przez wejście do sąsiedniej komnaty. Mieściła się tam jego biblioteka.

- To największa kolekcja książek na południe od Aleksandrii - zauważył z dumą. - Kazałem moim niewolnikom je policzyć. I każę im policzyć je jeszcze raz, zanim pozwolę tej kobiecie ruszyć do

Indii.

Eon odchrząknął.

- Musimy ruszać niebawem, ojcze.

Negusa nagast skinął głową. Skinięcie było powolne, ale stanowcze. Tak samo solidne, jak głowa, która je wykonała.

- Tak. Musicie. To ważne, żebyście szybko podążyli za Garmatem. Od tego zależy sukces misji, czyli wsparcie imperatorowej Szakuntali i jej powstania. Nie można dać Malawianom czasu do namysłu.

Znów jego ramiona zadrżały lekko.

- I jak najprędzej musimy wysłać tę kobietę na drugi brzeg oceanu.

## *Imperatorowa i małżeństwo*

- Szakuntalo, nadszedł czas - powiedział Holkar stanowczo. Peshwa pochylił się do przodu i podniósł zwój, który leżał na dywanie przed jego poduszką. - Kurier przywiózł to drogą morską dzisiaj rano. Z Tamraparni.

Dadadzi rozwinął zwój i przejrzał go szybko. Jak człowiek, który czyta dokument doskonale mu znany. Na jego twarzy pojawił się dziwny uśmiezek.

- Tak jak myślałem - mruknął.

Zwinął list i podał go imperatorowej. Szakuntala patrzyła na ten nieszkodliwy przedmiot, jakby byt on co najmniej żywą kobra.

- Co to jest? - spytała.

Dadadzi przestał się uśmiechać.

- To list od króla Tamraparni. Oferuje nam przymierze... a właściwie powinienem powiedzieć częściowe przymierze, przeciwko Malawie. - Wzruszył ramionami. - Oczywiście, oferta obwarowana jest licznymi warunkami, wymaganiami i zawołowanymi groźbami. Ale na końcu obiecuje nam w sposób nie pozostawiający wątpliwości, że wesprze nasze wysiłki marynarką wojenną, a także zapleczem logistycznym. Może nawet da nam trochę oddziałów.

Przerwał i wziął głęboki oddech. Szakuntala popatrzyła na niego podejrzliwie.

- I co jeszcze?

- Oferta, co nigdzie nic jest powiedziane wprost, ale przebija spomiędzy wierszy, jest wiązana. W zamian za wsparcie masz się wydać za jednego z jego synów. - Uśmiechnął się drwiąco. - Chyba nie muszę mówić, że za najmłodszego. Król Tamraparni jest gotów zaryzykować, żeby trzymać Malawian na dystans. Ale nie zaryzykuje wszystkiego. A już na pewno nie pierworodnego.

Zatrzymał się i popatrzył na młodą kobietę, która była imperatorową Andhry. Szakuntala siedziała wyprostowana, z plecami sztywnymi jak deska. Jej twarz, o ile to możliwe, była jeszcze sztywniej szta.

Holkar poklepał zwój palcem.

- Król czyni aluzję do paskudnego, jego zdaniem, wykorzystania jego imienia i kraju do oszukania Malawian w Muziris. Ale oczywiście nie narzeka, a przynajmniej nie oficjalnie. To pewne, że zdobycie Suppary drastycznie zmieniło sytuację. Już nie jesteś imperatorową na wygnaniu. Umocniłaś się na ziemi Andhry. Masz pod kontrolą port oraz jedno z największych miast Maharasztry, czyli Deogiri. To daje ci coś więcej ponad formalne prawo, które masz z urodzenia. To daje ci siłę.

Zachichotał drwiąco.

- Niedużą, raczej niedużą, ale jakąś konkretną. Wystarczającą, aby władca Tamraparni uznał, że warto się ciebie trzymać, co może w przyszłości pomóc oszczędzić jego wyspę przed Malawianami.

Przerwał. Twarz Szakuntali nadal była całkowicie bez wyrazu. Dadadzi powstrzymał się od westchnienia.

- Imperatorowo, musimy na poważnie rozważyć tę ofertę. Dynastyczne małżeństwo z jednym z najpotężniejszych królestw południowych Indii bardzo by wzmocniło twoją pozycję. To może być nawet kwestia, która zaważy na przyszłości Andhry.

Ciągle brak odzewu.

Teraz Holkar westchnął ciężko.

- Dziewczyno - powiedział łagodnie. - Wiem, jak ta sprawa cię boli. Ale masz pewne obowiązki i długi względem swoich poddanych.

Peshwa wstał i podszedł do otwartego okna, które wychodziło na port. Do pałacu dobiegały z



dołu odgłosy wesołego święta. Pałac należał kiedyś do gubernatora. Malawiański urzędnik tkwił teraz w lochu, a Szakuntala zajęła budowlę na swoje potrzeby.

Holkar uśmiechnął się, kiedy zobaczył świętujących ludzi. Suppara ciągle się bawiła, chociaż od wypędzenia Malawian minęły już dwa tygodnie. Dadadzi doskonale znał swoich ziomeków. Marathowie cieszyliby się nawet wtedy, gdyby miasto legło w gruzach. A w tym przypadku cieszyć się mogli ze zwycięstwa, które praktycznie nie kosztowało ani kropli krwi. Kiedy działa, zdobyte przez Kungasa, otworzyły ogień, malawiańskie okręty zamieniły się we wraki w przeciągu jednej godziny. Do czasu gdy Szakuntala i jej kawalerzyści zeszli na ląd, malawiański garnizon w popłochu opuścił miasto.

Bawili się i bawili, i bawili.

Malawianie odeszli. Wróciła Andhra.

A wraz z nią sama imperatorowa.

*Szakuntala! Szakuntala! Szakuntala!*

Holkar pokazał w dół, na miasto.

- Jeżeli przegrasz, dziewczyno, ci ludzie przegrają razem z tobą. To ty postawiłaś ich na nogi. Teraz nie możesz zawieść zaufania.

Szakuntala w końcu straciła panowanie nad sobą. Maską obojętności zsunęła się z twarzy, chociaż tylko odrobinę. Przez chwilę zastąpił ją nagły przebłysk bólu, ponure pochylenie głowy. Długi, drżący oddech.

Lecz wszystko trwało tylko chwilę. Szybko podniosła głowę.

- Masz rację, Dadadzi. Napisz list do króla Tamraparni, że się zgadzam...

- Myślę, że trochę na to za wcześnie - przerwał jej inny głos.

Holkar, zdumiony, odwrócił się od okna.

- Za wcześnie? Dlaczego, Kungasie?

Kuszanie siedział na swej poduszce po prawej stronie władczyni. Do tej pory nie odezwał się ani razu podczas owego spotkania najbliższych doradców imperatorowej.

- Ponieważ - kontynuował szorstko - nie sądzę, żebyśmy musieli rzucać się od razu na pierwszą ofertę. - Rozłożył ręce. - Teraz, kiedy Szakuntala pokazała, że stanowi siłę, z którą trzeba się liczyć, będą inni, z pewnością Cholan. I myślę, że następne oferty będą miały mniej wymagań i obwarowań.

Machnął lekceważąco dłonią.

- Tamraparni to tylko wyspa. A Cholan sąsiaduje z tymi bestiami, Malawianami. Mają za mało miejsca na drobne sprzeczki. Ich oferta będzie bardziej treściwa.

Dadadzi z trudem powstrzymał swój temperament.

- Jeżeli wyjdą z taką ofertą! Nie dzielę twojego optymizmu, Kungasie. Prawda, Malawianie mocno ich naciskają. Ale to tym bardziej, przynajmniej w moim mniemaniu, będzie ich powstrzymywać przed prowokowaniem swoich wrogów nieprzemyślanymi postępkami. Kerala także graniczy z Malawą, a mimo tego wszyscy wiemy, że własny dziadek Szakuntali próbował ją zdradzić...

- Zgadzam się z Kungasem - przerwała mu stanowczo władczyni. - Powinniśmy poczekać. Nie zaakceptuję od razu pierwszej oferty. Poczekamy. Jakiś czas.

Holkar wydał policzki. Znał ten ton w głosie Szakuntali. Znał go doskonale.

Wiedział, że nie ma sensu dalej się spierać, więc odpuścił. Nawet bez żalu. Ale nie zdołał powstrzymać się od rzucania złych spojrzeń na Kungasa.

Z nim także nie było sensu dyskutować. Żelazna Maską nie dopuszcza żadnych argumentów.

\* \* \*

- W co ty pogrywasz? - zapytał Holkar, kiedy razem z Kungasem wyszli z komnaty imperatorowej. - Wiesz przecież, jakie to jest ważne! Przecież już o tym rozmawialiśmy... wiele razy.

Kungas zatrzymał się nagle. Dadadzi również. Dwaj mężczyźni stali przez chwilę w korytarzu i mierzyli się wzrokiem. Peshwa był zły. Bhatasvapati... zaciekawiony, może.

- Niezupełnie, Dadadzi. - Usłyszał spokojną odpowiedź. - To ty mówiłeś do mnie na ten temat. I rzeczywiście, wiele razy. Ale ja zawsze ci odpowiadałem, że moim zdaniem małżeństwo Szakuntali, kiedykolwiek i z kimkolwiek, będzie bardzo ważne dla naszych zmagania.

Holkar zmarszczył brwi.

- Tak. I co w związku z tym?

Kungas poruszył ramionami. To mogło być nawet ich wzruszenie.

- Wiec... to nie oznacza wcale, że zgadzam się, że powinna poślubić najmłodszego syna króla Tamraparni. Myślę, że stać ją na kogoś lepszego.

Doradca wykrzywił się gniewnie.

- A na kogo? Na Cholana? Oczywiście, jeżeli Cholanie w ogóle...

- Kto to może wiedzieć? - przerwał mu Kuszanin. I znów udał, że wzrusza ramionami. Bhatasvapati ujął przyjaciela pod ramię. - Powinieneś mieć więcej wiary w imperatorową, Dadadzi. Kiedy nadejdzie czas, ona będzie wiedziała, co robić. Jestem tego pewny.

Zapadła cisza i dwaj mężczyźni ruszyli w dół korytarza. Kungas pozostawał w milczeniu, spokojnym i odprężonym, Holkar nadal był poirytowany.

Gdyby peshwa znał obecne myśli Bhatasvapati, byłby znacznie bardziej niż zirytowany.

*Zapieraj się kopytami, dziewczyno, zapieraj się. Stawaj dęba. Rób uniki. Zwódź ich. Pomogę ci, przysięgam. Kiedy wreszcie nadejdzie dzień ostatecznej decyzji, będziesz wiedziała, co robić. Wtedy będziesz wiedziała.*

Bhatasvapati lekko potrząsnął głową, gdy pomyślał o tym, jacy niektórzy ludzie są ślepi.

Przecież to było tak oczywiste!

## *Generał i jego oficer*

Kiedy tylko Belizariusz wszedł do pokoju Agacjusza, natychmiast się zorientował, że okaleczony oficer jest czymś bardzo zajęty. Katafrakt postukiwał w prześcieradło, jakby coś zajmowało jego umysł. Ruch ten najwyraźniej złościł jego żonę. A może po prostu młoda kobieta krzątała się przesadnie wokół chorego, bezustannie poprawiając mu poduszki i mierzwiąc włosy.

Belizariusz postanowił, że od razu przejdzie do rzeczy. Zaczął wyciągać zwój z fałd tuniki.

W tej właśnie chwili Agacjusz zwrócił się do żony.

- Czy możesz nas zostawić na chwilę, Sudaba? - spytał. - Muszę pomówić z generałem w cztery oczy.

Sudaba skinęła głową. A potem po raz ostatni poprawiła poduszki, uśmiechnęła się do Belizariusza i wypadła z pokoju. Generał był zaskoczony, widząc, jak Agacjusz patrzy na odchodzącą żonę. Bardzo to było dziwne. Tak jakby chciał wypalić sobie jej wizerunek w umyśle na wieki.

Kiedy perska dziewczyna wyszła, jej mai westchnął ciężko i popatrzył na generała.

- Potrzebuję twojej rady - powiedział nieoczekiwanie. - Będę musiał się rozwieść z Sudabą i chcę się upewnić, że to jest możliwe i nie będzie stanowić dla ciebie problemu. To znaczy, czy nie odbije się na przymierzu z Persami.

Mówił szybko, ale wyraźnie, jak człowiek, któremu wyraźnie nie podoba się to, co mówi, ale nie ma wyjścia i musi to z siebie wyrzucić.

Belizariuszowi opadła szczęka. Była to ostatnia rzecz, jaką spodziewał się usłyszeć.

- Rozwieść się z Sudabą? - Przez chwilę jego oczy błędziły po pomieszczeniu, jakby spodziewał się, że ze ścian i przedmiotów wyczyta odpowiedzi na dręczące go pytania. - Ale... dlaczego?

Twarz Agacjusza stężała. Nagłym, szybkim ruchem ręki katafrakt odrzucił koc, okrywający jego okaleczone ciało. Od bioder w górę Agacjusz był nadal tym szerokim w barach, umięśnionym młodzieńcem o potężnej klatce piersiowej. No, może trochę wychudzonym przez tygodnie rekonwalescencji, ale znów nie aż tak bardzo.

Lecz nogi, a właściwie to, co z nich zostało, nie przypominały ani trochę jego potężnych członków, które podczas bitwy ścisnęły końskie boki niczym kleszcze.

- Popatrz na mnie - rzekł. Nie ze złością, raczej z rezygnacją.

Trak zmarszczył brwi, podrapał się po brodzie.

- Wydaje mi się, że Sudaba nie wyszła za ciebie z powodu twoich pięknych nóżek, Agacjuszu. Z tego, co widzę, zdaje mi się, że ona...

- To nie to - warknął Agacjusz. Na jego twarzy przez chwilę znów gościł cień dawnego dobrego humoru. - Jeżeli o to chodzi, myślę, że jest nawet szczęśliwsza niż kiedyś. - Zachichotał. - Zawsze jestem pod ręką, żeby mogła mnie przytulić. A z moim... jest wszystko w porządku. - Westchnął. - On nie jest problemem, generale. Ja też nie jeśli już o tym mowa. To... to... - Słabo machnął ręką. - Po prostu tak już jest. Ona jest perską szlachcianką, a ja pieprzonym synem piekarza, który ma wysokie stanowisko, ale tylko w szeregach militarnej pseudo szlachty.

Mężczyzna rozejrzał się po luksusowej komnacie, jakby oceniał jej wartość.

- Ciągle mam mnóstwo łupów spod Anathy. To mała fortuna wedle moich standardów. Ale nie wystarczy mi na więcej niż dwa lata. Nie, jeżeli będę musiał prowadzić życie odpowiadające jej oczekiwaniom... a nawet więcej, oczekiwaniom jej rodziny. Muszę stawić czoła faktom, generale. Jestem beznogim katafraktem, a to najbardziej idiotyczna istota na świecie. Poza tym umiem piec chleb. Nie ma takiej możliwości, żebym...

Szeroko otworzył usta, kiedy zobaczył, że jego generał nagle wybucha głośnym śmiechem.

Wybałuszył oczy. Tego na pewno się nie spodziewał. Belizariusz z trudem się uspokoił.

- O Boże, tak mi przykro - jęknął słabo, ocierając oczy. - Czuję się taki winny. Chciałem ci to sam powiedzieć. I tak miałem jechać do Peroz-Szabur, żeby zrobić przegląd wojsk, więc pomyślałem, że osobiście przywiozę ci wiadomości, zamiast wysłać kuriera.

Agacjusz nagle się zmieszał.

- Wieści? Jakie wieści?

Belizariusz wyszczerzył zęby w uśmiechu. I nie był to uśmiech krzywy, ani trochę.

Wyjął wreszcie zwój.

- Kiedy tylko stało się jasne, że przepędziliśmy Malawian do Charaks, wysłałem... no cóż, rekomendacje to złe słowo. Cesarz czy nie, to w końcu moje dziecko. Dałem Focjuszowi jasne i zrozumiałe instrukcje i muszę powiedzieć, że ten cudowny chłopak wypełnił je co do joty.

Podał zwój Grekowi.

- Masz. Oficjalny dokument przybędzie tutaj za jakieś kilka tygodni. To kopia, posłana przez system semaforów. Zresztą... nieważne. Jest w pełni prawomocna.

Agacjusz niepewnie wziął zwój z rąk generała. Belizariusz natychmiast zorientował się, o co chodzi.

- Nie umiesz czytać - odgadł.

Agacjusz potrząsnął głową.

- Nie, panie. Raczej nie. Potrafię całkiem nieźle się podpisać, oczywiście o ile mam na to wystarczającą ilość czasu. Ale...

Zamilkł. Nie z zakłopotania, ale raczej z frustracji.

Tym razem to Belizariusz był zakłopotany. Generał powinien pamiętać, że człowiek ze sfer takich jak ta, z której wywodził się Agacjusz, prawie na pewno będzie analfabetą.

Generał machnął ręką, jakby odganiał insekty.

- Cóż, to się musi zmienić. I to natychmiast. Poślę słówko patriarsze Antoniuszowi, żeby przysłał ci jednego z najlepszych mnichów, który będzie twoim nauczycielem. A może lepiej dwóch. Sudaba prawdopodobnie też nie umie czytać, prawda? Przecież jest córką degana. - Uśmiechnął się szeroko.

- Tak nie może być. Przecież jest żoną rzymskiego senatora, niedawno wpisanego w poczet cesarskich illustres. Oczywiście, przez anonimowego wielbiciela. Dostałem także prywatną wiadomość od Sitas. Powiedział mi, że nominacja cesarza była bardzo... stanowcza. Sam Sitas skorzystał z okazji i pojawił się przed senatem w pełnej zbroi. Zrobił to dlatego, a przynajmniej tak powiedział tym wydelikacowanym arystokratom, żeby uzmysłwić im siłę greckich katafraktów pod Anathą i Nehar Malka.

Uśmiechnął się jeszcze szerzej.

- Cesarz uznał także za stosowne, żeby nadać senatorowi kawał niezłej ziemi po to, aby umocnić jego status. Masz teraz posiadłość w Pontusie. Całkiem niezłą. Przynosi roczny dochód w wysokości trzystu solidów. Oczywiście, bez podatku. Zgodnie z nadaniem cesarza to twoja prywatna własność.

Uśmiechał się i uśmiechał.

- O, i jeszcze jedno. Do tych całych senatorskich zaszczytów dodali ci także jeden poważniejszy, godny żołnierza. Dostałeś awans. Teraz jesteś nowym księciem Osroene. To stanowisko wiąże się z doskonałą pensją, tak przy okazji. Czteryście solidów. Będziesz miał pod komendą wszystkie oddziały stacjonujące w tej prowincji, a także całkowitą władzę nad wojskiem w Mezopotamii. Ale tylko nad tymi oddziałami, które nie pozostają pod moim bezpośrednim dowództwem. Odpowiadasz tylko przede mną, jako magister militum per orientem.

Szczerzył zęby w uśmiechu.

- Więc jak widzisz, wybrałem dla ciebie kilka fajnych tytułów. Jako księżę Osroene będziesz miał oficjalną kwaterę w stolicy prowincji, w Edessie. Ale naprawdę wolałbym, abyś został tu, w Peroz-Szabur. Już o tym rozmawiałem z Baresmanasem i Kuruszem. Zgodzili się więcej niż chętnie. Sądzą nawet, że Chozroes zamierza sprezentować ci mały pałac. Myślę, że oni także poczuliby się lepiej, gdyby jakiś rzymski oficer stacjonował na ich terytorium. To umocniłoby przymierze. A poza tym masz perską żonę i...

Wprost promieniał z zadowolenia.

- ...zapewne niebawem doczekasz się gromadki dzieci.

Uśmiech wreszcie zniknął, zastąpiony czymś, co przypominało zmarszczenie brwi.

- Boże w Niebiosach, Agacjuzu! Czy naprawdę pomyślałeś, że porzuciłbym jednego z moich najlepszych oficerów na pastwę losu? Myślałeś, że wrócisz do pieczenia bułek? Tylko z powodu nóg?

Agacjusz nie mógł wykrztusić ani słowa. Belizariusz wstał i uśmiechnął się krzywo.

- Widzę, że cię zamurowało. Dobrze, na dzisiaj wystarczy. Ale mam nadzieję, że jutro odzyskasz pełnię sił umysłowych... księżę. Jutro z rana do ciebie wpadnę. Musimy zaplanować nową kampanię przeciwko Malawianom. Oczywiście nie będziesz nigdzie wybierał się konno, zostaniesz tutaj, w Peroz-Szabur. Ale to nie znaczy, że będziesz tu siedział z założonymi rękami, podczas gdy ja będę się dwoił i troił, aby to wszystko ogarnąć.

- Nie zawiodę cię - szepnął Agacjusz.

- Nie - zgodził się Belizariusz. - Nie mogę sobie nawet wyobrazić, że mógłbyś.

Odwrócił się.

- A teraz powiem twojej żonie, że może już wrócić. Myślę, że to ci dobrze zrobi.

Wyszedł mamrocząc coś pod nosem.

*Początek i kres chwały rozważ w równej mierze*

*I mów, że moja chwała z przyjaciół się bierze.*

## *Strażnik i jego więźniowie*

Dwie godziny później Belizariusz rozkoszował się kubkiem wina w towarzystwie Vasudevy, w barakach, gdzie umieszczono kuszańskich jeńców. Był to bardzo mały kubek.

- Persowie wrócili do swego skąpstwa - mruknął Vasudeva na przywitanie.

Kuszański dowódca obrzucił ciasne pomieszczenie kwaśnym spojrzeniem. On oraz piętnastu najwyższych stopniem oficerów tłoczyło się w ograniczonej przestrzeni niczym ryby w beczce. Gdyby było ich sześciu, zyskaliby znacznie na wygodzie.

- Co za ciasnota - warczał. - Jeden człowiek używa drugiego jako poduszki, a innego jako łóżka. Ludzie jęczą z przerażenia, gdy wchodzi do latryn. Kiedy wychodzą, bełkoczą jak niemowlęta. I nie ma się o co zakładać - dodał ponuro. - No, chyba że o to, czy my zjemy szczury, czy one nas. Każdy Kuszanin stawiana szczury. Dziesięć do jednego. Nikt nie zakłada się inaczej.

- Oczywiście nasze cierpienie nie potrwa długo - dorzucił filozoficznym tonem. - Niebawem położy nas zaraza. Chociaż niektórzy zakładają się, że to będzie skorbut.

Generał uśmiechnął się.

- Do rzeczy, Vasudevo.

Kuszański dowódca szarpnął się za bródkę.

- To trudne, trudne - mruknął. - Są pewne możliwości do rozważenia. Ludzie myślą, że my, Kuszanie, jesteśmy nieokrzesani, ale to nie prawda. Oczywiście, nie jesteśmy tacy, jak ci głupi Radżputowie, którzy za punkt honoru stawiają sobie właściwy sposób przycinania brody czy obierania owoców. Ciągle jednak... - westchnął. - Jesteśmy jeńcami wojennymi, wziętymi do niewoli podczas bitwy. I tak długo będziemy respektować naszą pozycję, jak nikt jej nie będzie umniejszał.

Obrzucił generała badawczym spojrzeniem spod opuszczonych powiek.

- Może to rozumiesz?

Rzymski generał pokiwał głową.

- Z pewnością tak. Tak jak mówisz, trzeba dbać o zasady. Na przykład... - Upił łyk wina i skrzywił się okropnie. - Cóż za świństwo! Chyba się wydelikacilem na doskonałym rzymskim winie i teraz nie mogę już tego pić. Wszyscy tak mają.

Otarł usta i mówił dalej.

- Na przykład: gdybym chciał was zabrać na kolejną kampanię jako niewolniczą siłę roboczą, sytuacja stałaby się nie do zniesienia. Jeńcy wojenni, wykorzystywani do budowy umocnień, muszą być pilnie strzeżeni. Wszyscy to wiedzą.

Kuszanie, zebrani w pokoju pokiwali głowami.

- Nie może być inaczej - zgodził się Vasudeva. - To głupie ze strony zwycięzcy i obraźliwe dla jeńca.

- Tak. Ale podczas nowej kompanii zamierzam przemieszczać się bardzo szybko, dokonywać gwałtownych manewrów, kontr-manewrów, i tym podobnych rzeczy, więc nie będę w stanie oddelegować ani jednego oddziału do pilnowania gromady leniwych i wiecznie zrządzających jeńców. Którzy w dodatku będą nas spowalniać, bo pójda pieszo. Przecież niewolnicy nie mogą jechać konno! To śmieszne. Mogliby uciec.

- Bardzo niewłaściwe - zawtórował mu Vasudeva. - Groteskowe.

Belizariusz podrapał się po brodzie.

- To trudne, trudne.

Uniósł dłoń.

- Poczekaj chwilę.

*Aide?*

## **Bulka z masłem.**

\* \* \*

Kiedy Belizariusz uniósł głowę, jego twarz znów przybrała znajomy wyraz. Kuszenie, którzy zobaczyli, że generał uśmiecha się krzywo, dosłownie wyszczerzyli zęby.

Generał popatrzył na Vasudevę oraz jego kuszańskich dowódców bardzo uważnie i taksująco.

- Słyszeliście zapewne, że potrafię zaglądać w przyszłość.

Vasudeva prychnął.

- Jesteś czarownikiem! Wszyscy to wiedzą. Nawet Persowie, którzy noc ciągle ssą kciuk, nie dadzą się nabrać i nie zamierzają się z nami zakładać. Chociaż oferujemy niezłe sumy. Dwanaście do jednego.

Belizariusz zachichotał.

- Niewolnictwo to bardzo interesujący stan, Vasudevo. Przybiera wielorakie formy. Inne w przeszłości niż teraźniejszości. A także zupełnie inne w przyszłości. Powtórzę jeszcze raz: różne formy.

Pochylił się do przodu, szesnastu Kuszan postąpiło identycznie.

- Pozwólcie, że opowiem wam o niewolnikach z przyszłości.

Usiadł wygodnie i oparł dłonie na udach.

- Będą ich nazywać Mamelukami.

## *Wiadomości i obietnica*

Kiedy Antonina otworzyła drzwi, do jej sypialni wpadła Kutina.

- Miałam nadzieję, że nie będziesz jeszcze spała! - zawołała pokojówka. - Wyszłaś z przyjęcia tak wcześnie.

Młoda twarzyczka pałała z ekscytacji. Pokojówka trzymała przed sobą papirusową kartę.

- To wiadomość! Wiadomość! Dla ciebie! Mówią, że przyszła przez sień semaforów... aż z Mezopotamii.

Kutina podała Antoninie papirus.

- Myślę, że jest do twojego męża, ale nie jestem pewna - dodała. - Nie umiem czytać. Chociaż wydaje się taka okropnie krótka - dokończyła zmieszana.

Kobieta popatrzyła na wiadomość. Dziewczyna miała rację. To była bardzo krótka informacja.

Ale jej wystarczyła. Poczowała, jak serce trzepocze się w piersi.

**W przyszłym roku, moje kochanie. W przyszłym roku.**

- Tak - szepnęła. - Będę tam. Obiecuję.

## *Imperator i jego lud*

Następnego ranka po dziewiątych urodzinach cesarz Focjusz udał się do kwater służby w swoim pałacu.

Dreptał niespiesznie i dość ponuro.

Kiepski humor chłopca brał się częściowo ze zmęczenia. Urodzinowe przyjęcie było pełne napięcia i nie sprawiło mu żadnej radości. Focjusz bawił się tak samo jak owca, która właśnie żegna się z runem, kiedy spoczywały na nim oczy wielkiego tłumu, senatorów i cesarzowej regentki, która dodatkowo miała ostry język Albo jak jagnię idące na rzeź.

Ale najbardziej martwił się tym, co usłyszał wczoraj.

Antonina przekazała mu wieści ostatniej nocy, tuż przed rozpoczęciem przyjęcia. Tak samo farmer musiał informować swojego gołębia. Och, jaki wspaniały. Czyż nie jest najtłustszym maleństwem, jakie mam?

Focjusz dotarł na miejsce i zapukał do drzwi. To były jedyne drzwi, do których cesarz Rzymu pukał. Wszystkie inne otwierały się na jego rozkaz.

Drzwi do skromnego apartamentu, gdzie mieszkali pałacowi słudzy, otworzyły się z hukiem. W przejściu stała młoda kobieta. Była bardzo ładna, chociaż jej twarz szpeciły paskudne blizny.

- Och, patrzcie! To Focjusz!

Uśmiechnęła się i zrobiła mu miejsce.

- Wejdz, chłopcze. Zapraszamy.

Kiedy wszedł do środka, poczuł, że zły nastrój go opuszcza. Wizyta w prywatnej kwaterze Hypacji i jej męża, Juliana, zawsze poprawiała mu nastrój. To było jedyne miejsce na świecie, gdzie Focjusz ciągle czuł się sobą. Hypacja była jego niańką od maleńkości. A chociaż Julian dopiero niedawno objął posadę dowódcy straży, Focjusz znał go od lat. Przecież Julian był jednym z katafraktów Belizariusza.

Pojawił się sam Julian. Wszedł do małego salonu z kuchni. Trzymał w dłoni kubek z winem.

I uśmiechał się radośnie. Tak samo, jak za pierwszym razem, gdy Focjusz go poznał w posiadłości w Daras. Chłopiec miał wtedy sześć lat i szeroko otwartymi oczami patrzył, jak niedźwiedziowaty katafrakt wdrapuje się przez okno i skrada do drzwi prowadzących do pokoju Hypacji. Wtedy z uśmiechem na ustach prosił dzieciaka, żeby ten nikomu nie mówił. I Focjusz dotrzymał sekretu jeszcze przez wiele nocy, które nastąpiły później.

- Witaj, cesarzu! - zawołał Julian.

- Nie nazywaj mnie tak - warknął Focjusz.

Katafrakt uśmiechnął się jeszcze szerzej.

- Jesteśmy nie w humorku, czyż nie tak? Co się stało? Czy twój nauczyciel znów męczy cię retoryką? A może cesarzowa regentka spostrzegła uchybienia w twojej postawie?

- Gorzej - jęknął Focjusz. - To naprawdę okropne.

- Cóż, chłopcze, może przejdziemy głębiej i wszystko nam opowiesz, dobrze? - Julian położył ciężką dłoń na ramieniu chłopca i poprowadził go do kuchni. Hypacja podążyła za nimi.

Pomieszczenie, największe w całym apartamencie, jak zwykle było bardzo zatłoczone. Dwaj katafrakci, koledzy Juliana, siedzieli przy wielkim drewnianym stole, stojącym na środku kuchni. Jak zwykle ściskali w dłoniach kubki z winem. Ich żony i matki krzątały się wokół popołudniowego posiłku, a mała horda dzieciaków latała po całym mieszkaniu i wrzeszczała jak banda dzikusów.

Jak zwykle.

- Cześć, Focjusz! Niech żyje cesarz! - zawołał jeden z katafraktów i uniósł kubek. Nazywał się Markus.

Drugi - Antoniusz - zrobił to samo. I też zawołał podobnie, chociaż jemu dość mocno plątał się język. Julian także usiadł przy stole.

- Zignoruj ich, chłopcze. Znowu się upili. Jak zwykle, gdy mają dzień wolny od służby.

- Takie jest nasze prafo - mruknął Antoniusz. - Sały sień bes wysłuchiwanie pieprzonego naszysiela. Jak torturuje biedneho chłopaha.

- Focjusz musi wysłuchiwać ich paplaniny siedem dni w tygodniu - powiedziała Hypacja. - I nie widzę, żeby był pijany zaledwie dwie godziny po wschodzie słońca.

- Oszwiście nie - prychnął Antoniusz. - Ma tylko siewięś lat... nie, na Boha! Siewięś lat. Wszoraj miał urosiny!

Udało mu się jakoś wstać.

- Cześć Focjuszowi! Cesarzowi Rzymu!

- Nie nazywaj mnie tak! - wrzasnął Focjusz.



- Nie nasywanym cesarzem? - spytał Markus, wlepiając w chłopca zamglone oczy.

- Nie - warknął dzieciak. - Mam dość bycia cesarzem! - Jęknął głośno i przeciągle. - Nigdy ich o

to nie prosiłem! - Jęknął znów. - Kazali mi być cesarzem!

Trzej katafrakci popatrzyli na chłopca swoim wzrokiem.

- Strasznie się wkuszył - zaopiniował Markus.

- Ssałkowicie ssałamał - zgodził się Antoniusz.

Julian popatrzył surowo na swoich towarzyszy.

- Focjusz powiedział mi, że ma dla mnie okropne wieści.

- Chcą teraz, żebym miał żonę! - Nadeszła szybka odpowiedź. - Już jakąś znaleźli. W przyszłym roku ślub! - zapiszczał Focjusz.

Popatrzyli na niego zaskoczeni.

- Tak szybko? - zdumiał się Markus. - To trochę... no... ach...

- Wcześniej - dokończył Antoniusz. W jego oczach pokazała się głęboka myśl. - Bęsie miał siesięś lat. To sa fczęśnie dla jego ku...

- Nie bądź wulgarny! - wrzasnęła jego żona, odwracając się od pieca.

Mężczyzna wzruszył ramionami.

- Mófie, bo to prawfda.

Hypacja usiadła na ławce obok Focjusza.

- A kto ma zostać twoją żoną? - spytała.

- Ktoś o imieniu Tahmina - odparł kwaśno. - Jest z Persji. Jakaś księżniczka. Myślę, że to córka Baresmanasa, tego ambasadora, który był u nas zeszłej wiosny.

- Suren? - syknął Julian i jego rozluźniona postawa natychmiast zniknęła. Usiadł wyprężony jak struna. Chwilę później Antoniusz i Markus uczynili podobnie.

Trzej katafrakci popatrzyli po sobie. A potem przy stole zapanowało nagle podniecenie, którego rezultatem były potoki słów i rozlanego wina.

- Udało mu się! Udało! - wołał Julian, skacząc wokół.

- Za naszego generała! - wrzeszczał Antoniusz. Uniósł wysoko swój kubek i opróżnił go jednym haustem. Fakt, że większość płynu rozlał dookoła, nie wydawał się go martwić.

Markus osunął się w końcu na stół i dyszał ciężko. Podeszła do niego żona i zamknęła go w ciasnym uścisku pulchnych ramion. Przycisnęła jego głowę do obfitych piersi.

Teraz wszystkie kobiety, zebrane w kuchni, stały wokół stołu. Nie manifestowały swego zadowolenia tak gwałtownie, jak to czynili ich mężowie, ale było oczywiste, że cieszą się z informacji nawet bardziej od nich.

- Dlaczego wszyscy się tak cieszą? - jęknął Focjusz. - Ja myślę, że to okropne? Nie chcę się żenić! Mam tylko dziewięć lat!

Jego żalony jęk sprawił, że w pomieszczeniu zapadła cisza. Wszyscy jak jeden mąż spojrzeli na Focjusza.

Hypacja delikatnie ujęła twarz chłopca w dłonie i popatrzyła mu w oczy.

- Czy rozumiesz, co to oznacza? - spytała. - Dla mnie? Dla nas?

Focjusz niepewnie potrząsnął głową.

Kobieta wzięła go za rękę.

- To znaczy, cesarzu, że...

- Nie nazywaj mnie tak!

- Siedź cicho, Focjuszu, i posłuchaj mnie. - Wzięła głęboki oddech. - To znaczy, cesarzu, że twój ojciec zakończył wreszcie długą wojnę, toczącą się pomiędzy Persją i Rzymem. Żaden Pers, a już na

pewno żaden Suren, nie oddał swojej córki za żonę rzymskiemu cesarzowi. Pokój będzie trwał przez wiele lat, Focjuszu. A może nawet dłużej.

Odwróciła głowę i spojrzała na Juliana.

- To znaczy, cesarzu, że mój mąż nie zginie gdzieś, nie wiadomo gdzie, od perskiej lancy. Nasze dzieci nie będą dorastać bez ojca.

Rozejrzała się wokoło.

- To znaczy, cesarzu, że matka Antoniusza, która tam stoi, nie dożyje chwili, kiedy będzie musiała pochować syna. A żona i dzieci Markusa będą godnie żyć za pieniądze z jego renty, a nie poniewierać się w rynsztoku i wieść żywot biedaków.

Kiedy znów spojrzała na Focjusza, z jej oczu płynęły łzy.

- Rozumiesz teraz?

Kiedy Focjusz popatrzył na jej blizny, przypomniał sobie dzień, w którym po twarzy kobiety zamiast łez płynęła krew. To była okropna, przerażająca noc. Czteroletni chłopiec ukrył się w szafie i bezsilnie patrzył, jak sutener Hypacji bezlitośnie tnie nożem jej twarz, tylko dlatego, że odmówiła klientowi.

Był bezsilny, tak bardzo bezsilny. Mógł się tylko ukryć i słuchać, jak krzyczy. Nie miał siły, aby powstrzymać cierpienie i obronić tę kobietę, która zastępowała mu matkę, gdy prawdziwa musiała odejść. Bezsilny.

Wyprostował wątle ramionka. Skrzyżował ręce na piersi.

Teraz nie był już bezsilny. Był cesarzem Rzymu.

Prawda, sutener Konstanty ciągle pozostawał poza jego zasięgiem. Lata temu, kiedy Maurycy, Walentynian i Anastazjusz pojechali po Hypację i Focjusza, żeby przywieść ich do posiadłości w Daras, przy okazji złożyli wizytę Konstantemu. Dwa lata później, gdy Julian został mężem Hypacji, razem z kilkoma katafraktami złożył własne wyrazy uszanowania okaleczonemu byłemu sutenerowi.

Konstanty był poza zasięgiem każdego człowieka. Ale inne rzeczy nie były.

Nie był już bezsilny. Nigdy nie myślał o swojej sytuacji w ten sposób. Nigdy tak naprawdę nie rozumiał, co ona oznacza. Dla innych ludzi. Dla jego ludzi.

- Dobrze - powiedział. - Zrobię to.

W pomieszczeniu nastąpił kolejny wybuch radości, w którym Focjusz także brał udział. Wypił nawet trzy kubki wina razem z katafraktami i trochę zaszumiało mu w głowie.

Ale dlaczego nie? Przecież w końcu był cesarzem Rzymu.

Ich cesarzem.

## *Pożegnanie i rozstanie*

Baresmanas i Agacjusz żegnali go w bramie Peroz-Szabur. Armia opuszczała miasto, a Belizariusz i jego dwaj towarzysze omawiali szybko ostatnie sprawy dotyczące nadchodzącej kampanii.

Szybko... i tak jakby z przyzwyczajenia. Tematowi temu i tak poświęcili już wiele godzin.

Nadszedł czas pożegnań i przyjaciele zdawali sobie sprawę, że być może widzą się po raz ostatni. Agacjusz był ponury, Baresmanas z kolei robił dobrą minę do złej gry.

Belizariusz po prostu uśmiechał się ciepło.

- No Już wystarczy - powiedział. - Przecież jeszcze się spotkamy... Jestem pewny! Nie zamierzam przegrać tej wojny, tak się jakoś składa.

Wymienili ostatnie uściski rąk i generał pokłusował do swojej armii.

**Masz rację**, przemówiło Aide. A potem...

Belizariusz zacząj się śmiać.

- Co to było, to ostatnie? - spytał. - Brzmiało trochę jak: „Dupki mają przesrane”. Co za paskudny język! Ale może źle usłyszałem. Może po prostu powiedziałaś...

**Mamrotanie. Mamrotanie. Mamrotanie...**